

Jacqueline Briskin

Nagie serce

Przełożyła Teresa Tarkowska

Wreszcie, po czterech latach walk o wyzwolenie Grobu Pańskiego z rąk niewiernych Maurów, waleczny rycerz Guy de Permont, wrócił do domu. Tam zastała go wiadomość, że jego kuzyn, Arnaud, któremu baron powierzył był pieczęć nad rodzinę i posiadłościami, pod nieobecność barona przywłaszczył sobie jego ziemie, a on pana Guy i jego syna wygnał do odległej, bezludnej doliny. Najłaskawsza pani niebawem wydała z siebie ostatnie tchnienie, jednak dzieci przeżyło bez opieki, na podobieństwo zwierząt żyjących w padlinach i jagodami. Połysawszy te wieści, baron Guy wpadł w szaleństwo i poprzysiągł, że za bezmiar wyrządzonych krzywd Arnaud odpłaci nie tylko własnym życiem. Przeto wraz z synem złożyli ślubowanie, że do końca najgorstych starć, by na kolejne pokolenia rodu Arnauda spadały cierpienia równe cierpieniom, jakie były udziałem ich rodziny. I tak gałąź Arnaudów upadła niżej najpodlejszych niewolników, podczas gdy Guy de Permont i jego potomkowie kwitną po dzień ten.

fragment *récits* Godfreya d'Angers (1290-1338)

Przejeżdżając boulevard Arago, na odcinku kilku przecznic widzi się długi mur, przypominający mur twierdzy. Nawet dzisiaj, kiedy Paryż na powrót stał się Miastem Wiatła, gigantyczna masa nieforemnych kamieni sprawia przygnębiające wrażenie. W latach okupacji szare, chropawe kamienie były uosobieniem trwogi. Mur okalał wieniec Santé.

Na początku grudnia tysiąc dziewięćset czterdziestego pierwszego roku, po południu, na podłodze celi leżącej w niemieckiej części wienca siedziała siedemnastoletnia dziewczyna. Krzywo pozapinany mundur szkolny, cały w wilgotnych plamach, odsłaniał ciało. Opierała się o solidne drewniane krzesło, do którego przywiązany był jej ojciec. Strażnik, mężczyzna w lśniących butach i czarnym mundurze SS, leniwie miał przy drzwiach papierosa, najwyraźniej nie dostrzegając rozmowy między ojcem i córką.

– Obiecasz mi coś – poprosił ojciec, z trudem poruszając popękkanymi wargami.

– Wszystko.

– Nigdy, przenigdy nie będziesz się wstydził tego, co ci dzisiaj zrobili.

– Kiedy ich wszystkich pozabijam.

– Nie mam nic przeciwko temu – *Papa* – wyszeptwała. – Czy ktoś cię wsypał?

– Wsypał? – Krzywiąc boleśnie pokaleczoną twarz, spojrzał w kierunku esesmana, niedbale strzepując cego popiół na podłogę. Wyglądał, jakby nie znał francuskiego, jednak nigdy nie można było mieć pewności. – Kto... kto, kto mnie dobrze zna, musiał mi coś przeciwko mnie i złożyć donos.

– Naprawdę wierzysz, że ktoś cię podał na gestapo?

– Nie widzę innego wyjścia, znali zbyt wiele szczegółów z mojego życia. Ten, kto to zrobił, musiał mnie miernie nienawidzić.

– Niemcy nie mają nic przeciwko tobie?

– Oczywiście, że mają. Ten donos jest jednak równie próbą porachunków osobistych. Człowiek, który dobrowolnie denuncjuje przyjaciela, godzi się w najwściebszą pogardę.

– On, czy ty, ona, powinien cierpieć tak samo jak ty.

– Postaram się o to, jak tylko się dowiem, kto to był.

– A jego rodzina powinna doświadczyć tyle samo bólu, co twoja. – Jej niebywale wietliste oczy o barwie złocistego topazu rozbłysły. – Tak jak lubowali Guy de Permont i jego syn.

Ojciec zaczął wymawiać imię Gilberte, ale zamilkł gwałtownie na widok otwierających się drzwi. Pulchny kapitan SS o skupionej twarzy polecił strażnikowi odprowadzić *mademoiselle* do celi.

W progu odwróciła się i zawołała do ojca:

– Przysięgam, tato, że póki żyję, cierpieć będzie rodzina zdrajcy!

Ann i Gilberte Pary 1941

W pa dziennikowe popołudnie tyś c dziewi set czterdziestego pierwszego roku, kiedy to Gilberte de Permont popełniła bł d przedstawiaj c kuzyna z drugiej linii, Quenta Dejonga, swojej przyjaciółce, Ann Blakely, Pary ton ł w strugach chłodnego deszczu.

Miasto z pewno ci nie zasługiwało na udr ki ze strony pogody. Od ponad roku, od chwili gdy czerwoczarna flaga ze swastyk załopotała nad północn Francj , pary anie wegetowali na sk pych racjach niestrawnej ywno ci – mówiło si niekiedy o „czasach rzezy”. Brakowało w gla i gazu. Mieszka cy Pary a dusili si w g szczy niezliczonych przepisów, uginali pod nieludzkimi obci eniami. Na ich barkach spoczywał ci ar utrzymania dwumilionowej rzeszy francuskich je ców wojennych za drutami niemieckich obozów, na ich barkach spoczywał ci ar utrzymania okupantów. Gestapo siało postrach w mie cie. Nieszcz cie pogł biały przedwczesne jesienne chłody, zwiastuj ce nawrót zeszłorocznych mrozów – pierwsza zima okupacji była najmro niejsz zim , jak Pary prze ył od ponad stu lat.

Deszcz odarł z li ci kasztanowce ocieniaj ce rue Daguerre. Przybrudzone kamienice, pozbawione li ciastej zasłony, ukazały swoje prawdziwe oblicze przechował , w których tłoczyły si rzesze ni szych urz dników pa stwowych, kupców, nauczycieli, lekarzy, niewydarzonych *cwocats*... Okna domów starannie pozaklejano na krzy papierow ta m , chroni c szyby przed wstrz sami nalotów bombowych RAF-u. Czerwona lista straconych, w czarnej obwódce, ronila na br z tynku szaroró owe łzy. Wodoodporny znak na oparciu zabraniał ydom korzystania z ławki.

Gilberte de Permont trzymała wielki parasol, który chronił j i ni sz o sze cali Ann Blakely przed lekkim, lecz nie słabn cym deszczem. W ci kich szkolnych płaszczach i fildekosowych po czochach, lawiruj ce w ród stert zgniłych li ci dziewcz ta wtapiały si idealnie w ponur rue Daguerre.

Ann roze miała si nagle i delikatnym, uroczym głosem rozproszyła pos pny nastrój popołudnia. Tyłem rzuciła si w podskokach w m awk , a jej drobne stopy poruszały si z pewno ci zawodowej tancerki – najwyra niej nie obawiała si , e upadnie na swój *derrière*.

Siedemnastoletnia Ann nie była pi kna, na niektórych nie sprawiała nawet wra enia ładnej – jej wysokie, wypukłe czoło wydawało si nieproporcjonalne w stosunku do delikatnego podbródka. Chocia wskutek wojennych niedostatków była zbyt chuda, rozsiewała wokół siebie aur witalno ci. Kiedy jej mi kkie, pełne wargi rozci gały si wokół białych z bów w radosnym, zach caj cym u miechu, wygl dała uroczu. Jednak najwi kszym atutem Ann były oczy. G ste rz sy, ciemniejsze nieco od kasztanowych włosów, ocieniały płynn przejrzysto wielkich piwnych oczu, w których teraz tliły si iskierki przekory.

– Skąd wiesz, że oni wszyscy tego chcą – spytała. – To znaczy, czy nie istnieją mężczyźni, którym odpowiada normalny stosunek?

– Normalny? – parsknęła Gilberte de Permont. – Droga przyjaciółko, czy zawsze musisz być aż tak naiwna?

– Od kiedy podawanie w twój sposób bokiej wiedzy de Permontów na tematy płci męskiej nazywa się naiwnością?

– Chyba nie musisz mi przypominać – wycedziła Gilberte – że toniłam w mrokach niewiedzy, dopóki nie objaśniłam ci fizjologię męskiego członka.

Teraz cała twarz Ann oblekła się takim samym szkarłatem jak jej policzki. Złota cięła ją łatwo, z jak się rumieniła. Strzasknęła z ramion krople deszczu i schroniła się z powrotem pod osłon parasola.

– Miałam wtedy piętnaście lat. Poza tym, skoro jedna z nas nie poszła dotąd na całość – określiła to po angielsku: *all the way* – skąd możesz mieć pewność, że nie istnieją mężczyźni, którzy wolą stosunek w normalnej pozycji?

– Chyba tylko Amerykanka może kwestionować *soixante neuf!*

– Urodziłam się w Paryżu!

– Niemniej jesteś w prostej linii potomkini purytanów, podczas gdy ja, droga przyjaciółko, jestem twoim skrajnym przeciwieństwem...

Tym razem w miechu Ann zabrzmiała nuta niedowierzania. Ciągłe jeszcze zdumiewał ją fakt, że ich przyjaźń mogła pokonać tak przepaść.

Gilberte, jak słusznie sugerowało jej imię, wyglądała, jakby wyszła z kart powieści Prousta. Nazwisko jej rodziny figurowało w Almanachu Gotajskim; Louise de Permont, jedna z dam dworu i zaślubin Marii Antoniny, kilka dni po swojej pani ukłękła pod gilotyną, a legenda o dalekim przodku, Guy de Permont, przetrwała wieki w wierszach redniowiecznego *trouvère* Godfroya d'Angers. Gilberte była cudowna. Zaczesane do tyłu długie, połyskliwe czarne włosy odsłaniały nieskazitelny profil. Przezryste oczy barwy jasnego topazu miały kształt migdałów, co w połączeniu z lekko uniesionymi czarnymi brwiami przydawało jej urodzie egzotyczność. Połyskliwa skóra barwy koci słońcowej wzbudzała zawiść *classe de premiere* na kursach *madame Bernard*. Wiąkszość uczennic cierpiała na trądzik młodzieńczy czy albo miała szarymatowacę wywołaną niedoborem tłuszczu w okupacyjnej diecie. Nie było mężczyzny, młodego czy starego, który nie odwróciłby się za Gilberte, gdyby ją spotkał na rue Daguerre – bynajmniej nie z powodu twarzy, lecz z powodu zachwycającej sylwetki. Była wysoka jak modelka i nawet pod paroma warstwami znoszonych ubrań miała wyidealizowaną smukłość, zmysłowe kształty, niezwykle zgrabne nogi, pełne, pięknie zarysowane piersi.

Jej uroda i niedbała wyniosłość postawy zdradzały, że nie urodziła się tutaj, w drobnomieszczańskim getcie Montparnasse'a. Istotnie, mieszkała w tej okolicy niewiele ponad rok. Kiedy trzypiętrowa rezydencja de Permontów przy boulevard Suchet zarekwirowano dla generała hrabiego von Hocherer, rodzina przeprowadziła się do mieszkania położonego nad mieszkaniem Blakelych. Gilberte, podobnie jak Ann, zapisała się na kursy *madame Bernard*. Pełen rezerwy umiejętności nie zdobył jej sympatii ani wśród koleżanek, ani wśród nauczycieli, również boki wiedza i wyjątkowy intelekt, którymi się

otwarcie chełpiła, nie zaskarbiły jej przyjaciół. Ann zauważyła, że dłonie nowej przyjaciółki drżały, ilekroć z kim zamieni choćby dwa słowa. Nie miała wątpliwość, że atmosfera wyniosła ci, jak roztacza wokół siebie Gilberte, jest wyciszenie parawanem. Było dla niej zagadką, dlaczego ktoś o tak niezaprzeczalnej wyszości ci jest jednocześnie nie tak bardzo niepewny i wrażliwy. Kierowana wrodzoną niezlomną lojalnością ci, odsunęła się od dawnych koleżanek czując, że Gilberte potrzebuje jej opieki. Wiosną młodych mężczyzn albo siedziała w obozach jenieckich, albo została wywieziona na roboty do Niemiec, jednak dziewczęta od czasu do czasu były zapraszane do kina przez przyjaciół Ann – Pierre’a Dalmais’a i Charlesa Mainfroya, siedemnastolatków uczyszczających do *lycée* Paula Berta. Choć Gilberte lubiła przemawiać tonem do wiadzonej kobiety z półwiatka, nigdy nie pozwoliła, by rozpalone dłonie Charlesa wylądowały na jej jędrnych piersiach; nie dała mu się nawet pocałować. Ann, siedząc z Pierre’em w ostatnim rzędzie przy wygaszonych wiatłach, parokrotnie uległa porywom budzącej się zmysłowości. Kiedy podczas filmu z Jeanem Marais pozwoliła przycisnąć swój dłoń do wełnianych szortów; wyczuła twardość i erekcję. Lubiała Pierre’a, litowała się nad nim, bo nosił grube szkła, nie kochała go jednak ani trochę. Gwałtownie wyswobodziła dłoń. Była wstrząśnięta. Zdradziły jej własne hormony.

– Czy ty się aby nie naczytała Kraffta-Ebinga? – spytała. Gilberte skoczyła nad ryszotkiem. Straciła wyraz do wiadzonej kobiety i wyglądała o wiele młodziej.

– Podśluchałam rozmowę *madame de Lavadiere* z *maman*.

– Twoja matka rozmawia na takie tematy? – zdumiona Ann wdepnęła w strumień mętnej wody. Waden sposób nie mogła sobie wyobrazić dystygowanej baronowej de Permont rozmawiającej, co dopiero rozprawiającej, o podobnych bezecstwach.

Gilberte uskokczyła w bok, starając się jednak, by parasol chronił nadal przyjaciółkę przed deszczem. Jakby dotknięta tajemnym bólem, mocniej zacisnęła prze licznie wykrojone, wskie usta. Ann pośladowała swojej nieostrożnej uwagi. Jedną z zagadek spowijających Gilberte był wyraz cierpienia, z jakim starała się wykręcić od rozmów na temat któregośkolwiek z rodziców oraz czasów, kiedy mieszkała w arystokratycznym *seizieme arrondissement*.

Przeszły przez jezdnię. Gilberte z powrotem przysunęła się do Ann.

– *Maman* roztrząsała domniemane upodobania naszego powinowatego, Harrisona Dejongę.

– Harrison Dejong? Jak na Francuza dziwnie się nazywa.

– Jest Amerykaninem.

– Macie rodzinę w Ameryce? – Ann nie umiała ukryć nuty urazy w głosie. Dlaczego jej najbliższa przyjaciółka, której zawsze opowiadała wszystko (nawet ten incydent z Pierre’em), zataiła przed nią posiadanie amerykańskiej rodziny?

– *Tante Mathilde*, nieżyjąca już ciotka mojego *papy*, wydała się za oceanem i urodziła córkę, której mężem został właśnie Harrison Dejong. Jest w wieku taty, ale od czasu, kiedy zmarła *cousine Jessamyn*, pełni się z coraz młodszymi dziewczętami.

– Ile miał on?

– Ze dwadzieścia albo trzydzieści.

– Gilberte – upomniała j Ann ze miechem.

– No dobrze, cztery. Reszta to były kochanki.

– Musi mieć chyba z setkę dzieci.

– Tylko troje.

– lubnych?

– O innych się nie wspomina. – Gilberte mocniej zacisnęła smukłą dłoń na główce parasolki.

– Synów czy córki?

– Dwie dziewczynki i syna, Ojuenta, jest najstarszy. To dziecko pierwszej żony Harrisona, a więc mój kuzyn z drugiej linii. Ma dwadzieścia trzy lata i jest przystojnym, wysokim brunetem.

– Wygląda na to, że jesteś nim oczarowana.

– Nie widziałam go na oczy, od kiedy skończyłam czternaście lat.

– Dokładnie w tym wieku zakochała się Julia.

– Nie wiem, czy sobie przypominasz, z jakim skutkiem?

– Czy on jest żonaty?

– Nie, ale w tej dyscyplinie ciągnie się z ojcem. Chodzi o plotki, że oprócz obowiązkowego zdeflorowania zastępcy naiwnych dziewczyc ma za sobą romans z Lan Turnerem.

– Z Lan Turnerem!

– A może z Betty Gracie? Czy te z jedną i drugą?

Ann słuchała z rozmarzonym wyrazem twarzy. W wiecie, w którym płętno ograniczała się do przyszczytanych chłopców w rodzaju Pierre'a bądź podobnych do jej ojca przygnębionych mężczyzn w średnim wieku, oszałamiające podboje kuzyna Gilberte z drugiej linii rozbudzały w niej romantyczne tęsknoty.

– Co robi w wolnym czasie?

– Uprawia wspinaczkę. Obiło mi się o uszy, że po skończeniu uniwersytetu zaczęła pracować w banku należąca do rodziny.

Wreszcie dotarły pod numer 74 – numer ich domu. Poziome pasy brązowych kamieni przeplatały się z pasami jaskrawoczerwonych cegieł, co w oczach architekta z przełomu wieku miało, zdaje się, stanowić wysoce artystyczny efekt. Ponura się z obłupanymi kafkami – szarymi, białymi i brązowymi – ziała lodowatą wilgocią. Przydział w głąb wszystkich lokatorów z trudem wystarczał na rozpalanie podczas weekendów dużego pieca w piwnicy.

– Chodź do mnie – zaproponowała Gilberte. Szły przez siebie, postukując o kafle drewnianymi podeszwami okupacyjnych butów.

– Jesteś pewna, że nie będzie ci wam przeszkadzało? – spytała Ann.

– Dzisiaj jest wasza kolej.

Był akurat czwartek. De Permontowie jadali u Blakelych we wtorek, państwo Blakely szli na górę do Permontów w czwartki – szczupłe zasoby gazu zmuszały do wspólnego gotowania. Kiedy wypadał jej dzień, Dorothy Blakely zrywała się wcześnie, by ze skrupuła wywnosić ci skłeci co do jedzenia. Na odwiecznym, ozdobionym aksamitnym haftem obrusie rozkładała srebra i porcelanę po zmarłej teściowej, zacerowane miejsca przykrywała

mis z woskowymi owocami. Horace natomiast podczas wspólnych posiłków wydobywał z kieszeni marynarki zużyte notesy, oprawny w skórę i ołówkiem zapisywał tytuły księzek, nazwy win i historyczne anegdoty cytowane przez barona. Dorothy, która z powodu małżeństwa przyprawiała o rumieniec wstydu, zachodziła w głowę, co te barony z baronami myli podczas tych spotkań. Baronowej nigdy nie schodził z ust uroczy, lekko żółty uśmiech, a brzydki, choć uprzejmy baron bawił się w mienienie. Może i małżeństwo Blakelych bawiło ich podobnie, jak dowodzą te dworskie kartki rozmieszane między ich przodków.

– Czy mam ci jeszcze raz zapraszać? Przecież wiesz, że nie pomagam w przygotowaniach – odezwała się Gilberte.

– Dobrze. Przyjdź, jak tylko będzie mogła.

Matka musiała widzieć przez okno, że córka wraca. Kiedy Ann otworzyła drzwi mieszkania, zastała już Dorothy czekając w słabo oświetlonym przedpokoju.

– Pozdejmuj mokre rzeczy, kochanie. – Krzątała się wokół córki zaferowana. – Masz, włóż to na siebie.

Sięgnęła na wieszak po sweter, który udzięgała z brzozy *fibranne*, wojennego substytutu prawdziwej wełny; ponieważ zabrakło jej talonów, żeby wykończyć kawę, musiała sprzątnąć stary rudy szalik.

Ann zawsze boleśnie doświadczała braku gustu matki. Teraz zatrzymała się na widok brzydoty ubrania.

– Jestem tak grubo opatulona, że ledwie się ruszam. – Odwiesiła sweter i zabrała się za zdejmowanie przemoczonego płaszcza.

– Nie możemy sobie pozwolić na to, żeby się przeziębiała. Dorothy wiecznie niepokoiła się o zdrowie swojej rodziny, zresztą nie bez powodu. Zeszłej zimy przeziębiała się; wskutek niedożywienia, niskiej temperatury w mieszkaniu i niekończącego się wystawiania w kolejkach na deszczu i w niegu zwykły ból gardła przerodził się w zapalenie płuc. Chorowała przez dwa przeraźliwie lodowate miesiące, tracąc w tym czasie dziesięć kilogramów i swój czarujący wytwór, która wydawała się Ann tak typowo amerykańską. Teraz miała na sobie grube, przekowane po czochy, jakie noszą wieśniaczki, i stary karakułowy akiet, dopity a po wyliniały kołnierz. Szminka i róż, nałożone na twarz z okazji wyjścia do de Permontów, podkreślały bladą zwiędłą cerę. Wyglądała na tak chorą i niespokojną, że Ann z całej siły ją ciskała.

– Wiesz przecież, mamo, że mam naturę Eskimosa i zachowuję gorącą krew przy każdej pogodzie – odezwała się po angielsku.

Dorothy uśmiechnęła się, zaraz jednak wyswobodziła się z objęcia córki.

– Ann, ile razy mam ci powtarzać? Mówimy tylko i wyłącznie po francusku.

Przed okupacją Dorothy i Horace mówili do siebie w ojczystym języku, podczas gdy Ann z dzieciństwa łatwo ci przerzucała się z języka na język. Teraz jednak obowiązywał zakaz posługiwania się angielskim w miejscach publicznych. Dorothy i Horace, dzięki swemu neutralnemu statusowi, cięło stosowali się do wszystkich zarządzeń i nawet pod puchowcami pierzyn na zapadającym się małżeństwem rozmawiali ze sobą po francusku.

Ann komicznym gestem podniosła dłoń do czoła, udając, że wpatruje się w mglisty daleki.

– Adnych *flics* w polu widzenia. Jesteśmy bezpieczne – oznajmiła po francusku. Ponownie ucałowała matkę, której chudo wydała jej się dziwnie obca. – Idź na górę do Gilberte.

– Ale, kochanie, idziemy tam przecież, na obiad. Nie możemy na siebie komuś narzucać.

– Gilberte pomaga mi tłumaczyć Cicerona. – Ann czuła, że płonie jej policzki. Nawet tak niewinne kłamstwo przychodziło jej z trudem. Lekcje nigdy nie były powodem popołudniowych spotkań z Gilberte.

– Zupełnie przestała chodzić do dawnych koleżanek.

– Spotykam je u *madame* Bernard – wymamrotała Ann. W zasadzie nie kłamała. To prawda, że widywała Jeanne, Marthe, Lucie i Emmę pochylone w odrapanych ławkach, jednak z powodu wrażliwości Gilberte na tym kończył się ich kontakt.

– Właściwie musisz przyznać, że lepiej się czujesz, kiedy jesteś w domu, teraz jakś te okropne łapanki – stwierdziła Dorothy.

SS potrafiło otoczyć kordonem kilka ulic, by sprawdzić dokumenty wszystkich zatrzymanych przechodniów. Tego rodzaju inspekcji dokonywano najczęściej w żydowskiej dzielnicy Marais. Ann zadrsała na wspomnienie o tym, jak złapano ją po wizycie u Lei Blum. (Lea, o roziskrzonych błękitno-zielonkawych oczach i wspaniałym poczuciu humoru, była koleżanką szkolną Ann, dopóki okupacyjna polityka rasowa nie zabroniła żydom korzystania z nieżydowskich szkół). Ann oczywiście ukrywała te wizyty przed kłopotliwymi rodzicami. Kiedy czekała, patrzyła w lufy karabinów maszynowych trzymanyh bezimiennie przez umundurowanych na czarno mężczyzn, oprócz strachu gnębiło ją poczucie nieposłuszeństwa. Dodatkowo upokarżał ją fakt, że przez całą godzinę straszliwie chciało jej się siusiu. Zwolniono ją od razu, gdy okazała amerykański paszport. Kiedy złożyła następną potajemną wizytę u Błomów, drzwi otworzyła nieznana starsza pani.

– *Madame* i *monsieur* Blum są *mélèques*, nie urodzili się we Francji – wyjaśniła. – Zostali przesiedleni na wschód wraz z innymi imigrantami.

Pod Anną ugięły się kolana. Czy wielokrotnie słyszane określenie „przesiedleni na wschód” było kolejnym eufemizmem, w jakie obfitował język okupanta? Czy wesoła, dowcipna Lea znalazła się za drutami obozu koncentracyjnego?

– Wyglądasz na głodną i zmarznątą, kochanie – zaniepokoiła się Dorothy. – Zagrzej kawę. Podjesz sobie trochę chleba.

– Dziękuję, mamo. – Ann podejrzewała, że Dorothy podkarmi ją własnym przydziałem żywności. – Jak się teraz najem, nie będzie mi się chciało jeść obiadu.

– W takim razie włóż to na siebie. – Narzuciła sweter na szczupłe ramiona córki. – I zmień koniecznie buty.

W swoim pokoju Ann przebrała się w suche buty i po czochoy, rozczesała kasztanowe włosy, które deszcz zamienił w denerwujący gszczęnie poddających się adnym zabiegom loków, w końcu przyjrzała się swetrowi. Matka byłaby niepokieszona, gdyby znalazła tutaj to ohydztwo, więc po namyśle zdecydowała się zabrać sweter na górę.

Drażniły ją przejawy przesadnej rodzicielskiej troski, w dodatku czuła, że budzi się w niej

protekcjonalny stosunek do rodziców.

Od kiedy zaczęła się okupacja, szarzelili i kurczyli się w sobie, ilekroć mieli wyjść na ulicę. Poruszali się po mieście jak zastraszone cienie. Ann czuła zawsze ucisk w gardle, kiedy przenikliwy głos matki cichł u niej w obecności sklepikarzy. Chciała jej się płakać, gdy widziała, jak ojciec godzinami wczepia się do niej, ze strachu, że nie wciągnie się do zatłoczonego metra przy boulevard Raspail – jak gdyby poczytywał doktor Descourset naprawdę był zdolny wyrzucić go za sprawienie. Biedna mama – pomyślała biorąc sweter do ręki. – Biedny tata.

Zarówno Horace Blakely, jak i Dorothy Strahearn pochodzili z Madison w stanie Wisconsin, jednak „zainteresowali” się sobą dopiero po wstąpieniu na uniwersytet stanowy, którego pełen zgiełku kampus zdominował niewielkie miasto. Tam właśnie Dorothy zauważyła, że Horace ma wielkie, marzycielskie piwne oczy. On z kolei spostrzegł, jakich cudów dokonuje u siebie z jej doświadczeń.

Żadne z nich nigdy z nikim nie spało. Bez końca całowali się w jego staro-wiecznym Fordzie Model T, nigdy jednak nie rozpięli ani jednego guzika. On wtulał twarz w jej obfity biust, ona gładziła go po karku. Seanse pieśczętów burzyły w nich krew; kiedy ktoś czyli, doskwierało im jakieś pierwotne niezaspokojenie. Wady, które dostrzegli w sobie nawzajem w tym czasie, nie zraziły ich, ponieważ byli zakochani. Horace zauważył, że Dorothy lubi o wszystkim decydować, co mu zresztą całkiem odpowiadało. Był urodzonym podwładnym, w dodatku jego owdowiała matka również lubiła mieć ostatnie słowo na każdym temacie. Dorothy wyrozumiale traktowała nieszkodliwie skłonno Horace’a do przechwałek. Studiował architekturę, nic w tym dziwnego, że przechwalał się znajomością z Frankiem Lloydem Wrightem i odbywał częste pielgrzymki do Taliesin, rezydencji wielkiego architekta, gdzie parkując na poboczu drogi, próbował rzucić przynajmniej okiem na swoje bóstwo. Horace, kochany Horace, który nigdy z nikim nie rywalizował, potrzebował swojego idola.

W duszne czerwcowe popołudnie, kiedy był już na wydziałowym roku studiów, został zatrzymany i przesłuchany przez policję, której ktoś doniósł, że staro-wieczny Ford Model T podejrzanie często zatrzymuje się w pobliżu posiadłości. Horace trząsnął się ze strachu i nieproszony wyznał wszystkie grzechy, które popełnił w życiu, nie pomijając rozpusty, jakiej potajemnie oddawał się z Dorothy. „Wisconsin State Journal” odnotował cały incydent pod nagłówkiem „Podrywacz z Uniwersytetu Wisconsin zagiął parol na Wrighta”. Chociaż miech na kampusie i w mieście ustał już po kilku dniach, Horace czuł się obiektem dozwolonego potępienia. Stracił ambicję zostania architektem i tylko nieugięta stanowczo Dorothy uchroniła go przed odejściem z uniwersytetu. Kiedy jego matka, parę tygodni później, nieoczekiwanie zmarła na wylew, uznał, że przyczyną jej zgonu było bezpodstawne aresztowanie syna. Dorothy odwiedziła go w ceglany domku przy State Street i zrezygnowała z zasad, pocieszyła go w sposób stary jak świat. Zważywszy na brak do wiadczenia obojga, ona uznała, że poszło im nie najgorzej.

Pobrali się jeszcze przed otwarciem testamentu zmarłej. Pani Blakely okazała się o wiele zamożniejsza, niż syn przypuszczał. W sumie odziedziczył piętnaście tysięcy trzysta

pięćdziesiąt siedem dolarów, nie licząc domu, który jakoś był położony parę kroków od zwieczonego kopuła budynku kapitolu stanowego – mógł pójść nawet i za pięć tysięcy. Horace nieustannie marzył o tym, żeby zniknąć z miejsca, które było świadkiem jego upokorzenia. Poruszył ten temat jeszcze tej samej nocy.

– Tak naprawdę, to marzy mi się napisanie powieści – odezwał się do oblubienicy, podobnie jak on mile rozleniwionej po stosunku. – Porzucił, uczciwie księgi w rodzaju *Main Street*.

– Niektórym pisarzom nie leży się powodzi – odparła Dorothy, która zawsze rozpatrywała wszystko pod kątem praktycznym.

– Co by powiedziała na... Pary?

– Znany pomysł, kochanie – odrzekła Dorothy, która rozczułało jego wiec sieroctwo, poza tym podzielała powszechny pogląd, że kałdy, je li da mu dosy czasu, jest w stanie napisać, a następnie wyda powieść. – Frank spadł tak nisko, że wystarczy nam grosze, dopóki jakoś się nie urzadzimy.

Zamieszkali na Montparnassie. Wprawdzie rue Daguerre była bardziej mieszczkaśka od State Street, niemniej w okolicy osiedliło się wielu amerykańskich pisarzy. Horace przesiadywał ze szklaneczką wina w Closerie de Lilas, czy w Dôme, nigdy jednak nie udało mu się nawiązać rozmowy ani z tęgubask z San Francisco, Gertrud Stein, ani z tym nad tym młokosem, Ernestem Hemingwayem. Po kilku próbach stwierdził, że woli siedzieć w domu z Dorothy, która spodziewała się dziecka.

Ann przyszła na świat po długim, skomplikowanym porodzie. Horace, całując wyczerpanon, poprzysiągł sobie, że „nigdy więcej”, i popodził zarejestrować córkę w ambasadzie amerykańskiej przy place de la Concorde. Dziewczynka była zdrowym, ywym niemowlciem, mimo to najcięższe kaszlnicie wprawiało w popłoch oszałałych na jej punkcie rodziców. Bez powodzenia usiłowali poskromić odważdziecka i okiełzna jego impulsywnaturę.

Dorothy była oszczędną gospodynią, a dolar nadal utrzymywał korzystny kurs, w związku z czym spadek Horace'a kurczył się powoli, jednak w pięćdziesiąt trzydziestym, kiedy dogadali się bez słów, że Horace, którego dwie powieści zlekceważyło całe środowisko wydawnicze, nigdy nie zarobi na życie jako pisarz, mieli na koncie niecałe pięćset dolarów. Nad Stanami gromadziły się ciemne chmury kryzysu i mimo iż bezadnych kwalifikacji nie miał najmniejszych szans na znalezienie pracy w kraju. Horace nie mógł się zdecydować na powrót do Madison. Z czego jednak mieli być w Paryżu?

Jak zawsze, Dorothy rozwiązała dylemat. Kiedy z powodu błahaj infekcji kobiecej odwiedziła doktora Descourset, dowiedziała się, że dziewcze niej ulotnił się księgowy z gotówką z liczącej pięćdziesiątówkę prywatnej kliniki doktora.

– Panie doktorze, mój mąż postanowił zerwać z pisaniem. Jest nadzwyczajnie uczciwym człowiekiem, zdolnym administratorem i wymienitym księgowym – powiedziała Dorothy.

Kiedy podczas lunchu obwieściła radośnowinę młowi, ten upuścił widelec na talerz z omletem.

– Dorothy, przecie ja w życiu nie miałem w rękach adnych ksiąg rachunkowych.

– Naucz ci – zapowiedziała bez mrugnięcia okiem. Przed laty zaliczyła dwa semestry księgowości na Uniwersytecie Wisconsin. Jeszcze tego samego dnia wieczorem doktor Descourset powierzył Horace’owi posadę księgową.

Państwo Blakely, zajęci swoimi sprawami, nie zauważyli, że na Europę padał coraz dłużej cień od strony Trzeciej Rzeszy. W tysiąc dziewięćset trzydziestym ósmym, podczas kryzysu monachijskiego, wszyscy znajomi z amerykańskiego kontynentu przy quai d’Orsay podbijali wizy powrotne do kraju. Jednak w sytuacji, gdy bezrobocie dosięgło trzeciej części narodu, a miech całego Madison w dalszym ciągu rozbrzmiewał w pamięci Horace’a, państwo Blakely starali się nie słyszeć pogłosek o wojnie. Dopiero pierwszego września trzydziestego dziewięćtego roku, kiedy błyskawiczna ofensywa przeciwko Polsce postawiła na nogi cały Zachód, Horace zaczął bombardować swoim cyfrowym wszelkich możliwych pracodawców. Jedną z nielicznych odpowiedzi przyszła z niewielkiej fabryczki serów pod Milwaukee. „Czy wy tam, chłopaki, wesołym Paryżu nic nie słyszeli o kryzysie? Nie ma tu dla was żadnej roboty.” Horace podejrzewał, że zło liwy ton listu zawdzięcza jakiemuś po ółktemu wycinkowi z prasy.

Kiedy oddziały Wehrmachtu przeparadowały przez Champs-Elysees, państwo Blakely tym samym tonem zapewniali się nawzajem, że są neutralni, a więc bezpieczni. Dorothy zaczęła wystawać w niekończących się kolejkach, kłopot o przydziały, borykała się z coraz gorszym zaopatrzeniem. Horace do późnej nocy łczył nad galimatiasem, jaki w rachunkowość wprowadziły nowe przepisy podatkowe. Ale przecie nic im nie groziło.

Adne z rodziców nigdy nie wspomniała Ann, z jakich powodów, finansowych i moralnych, są skazani na Paryż. Domyślała się wszystkiego, jednak powstrzymywała się od krytyki. Sama właściwie nie wiedziała, czy jej miejsce jest w legendarnym kraju, którego nigdy nie widziała na oczy, czy tutaj, w Paryżu. Uczuciowo związana z obydwojema krajami, zastanawiała się, czy opuszczenie Francji w potrzebie będzie zdradą z jej strony. Gilberte przysłuchiwała się rozterkom przyjaciółki z serdecznym zainteresowaniem.

De Permontowie mieszkali na najwyszym, drugim piętrze. Kilka szyb w wietliki pokłód od drgała podczas nalotów Luftwaffe. Zastąpiono je kawałkami sklejk. Idąc w górę wyłożone kaflami klatki schodów, Ann słyszała, jak deszcz, który przybrał znacznie na sile, bębni na sklejce i szkłe w dwóch różnych tonacjach.

Drzwi otworzył Jacques, sługa baronostwa. Na widok Ann opadła mu powieka, a nozdrza rozdzieliły się, jakby w szył w niej nieciekawy okaz mieszczaństwa z rue Daguerre.

– *Mademoiselle* de Permont czeka na panienkę w salonie – oznajmił.

Zwykle dziewczęta przesiadywały w sypialniach, żeby ich nikt nie podsłuchiwał. Czasami rozprawiły o modnych czynach i tajnikach płci, bawiły się w „projektowanie” z lekką zawstydzone, ponieważ wyglądało, jakby bawiły się papierowymi lalkami. Najpierw Ann projektowała kreacje, potem Gilberte, z wyniesioną z *seizieme arrondissement* znajomości *haute couture*, chwytając za ołówek i bezlitośnie rozprawiła się ze zbędnymi ozdobami i niedoskonałościami kroju. Ann udoskonalała model i tym sposobem kompletowały całą garderobę – zabawa w „projektowanie” osładzała im brak ładnych ubrań w okupacyjnej rzeczywistości.

– W salonie? – powtórzyła za słu cym.

Z ciepł min przewiesił przez rami sweter z *fibranne*.

– Prosz t dy, *mademoiselle*.

Id c w lad za słu cym, min ła osiemnastowieczny stół zastawiony sewrsk porcelan . Rozkład mieszkania był identyczny z rozkładem mieszkania na dole. Jednak to, co wydawało si przestronne dla Blakelych, okazywało si zdecydowanie za skromne jako siedziba de Permontów. W jakim stopniu przyczyn tego stanu rzeczy były rozmiary ich mebli. Horace i Dorothy kupili seryjny mieszczski komplet mebli na wysoki połysk. Osiemnastowieczne antyki de Permontów królowały najpierw w komnatach i korytarzach ich pałacu w He de France, nast pnie w rezydencji przy boulevard Suchet. Powynoszono je do piwnicy, kiedy baron zlecił Hectorowi Guimardowi wykonanie specjalnie na potrzeby paryskiego domu secesyjnego kompletu mebli. W tysi c dziewi set czterdziestym, kiedy niemiecka administracja wojskowa „wydzier awiła” posiadało barona, ł cznie z jego szkarłatnym Bugatti i Daimlerem baronowej, omszałymi butelkami win w piwnicach, kucharzem i reszt słu by, generał von Hocherer, siwiej cy pruski arystokrata, pozwolił baronowi zabra ze sob wszystko, czego on i jego rodzina b d potrzebowa na wygnaniu, wł czaj c w to Jacquesa i pokojówk baronowej, Hèléne.

Jacques, zanim nacisn ł klamk , zastukał do drzwi.

Ann stan ła w progu jak wryta.

Gilberte siedziała w towarzystwie dwóch m czyzn. Gilberte, która nigdy nie miewała go ci! To zawsze Ann poznawała j ze swoimi znajomymi, wzbieraj c od opieku czych uczu , kiedy przyjaciółka kryła nie miało pod mask dumnej ironii.

Deszcz zagłuszył dyskretne stukanie Jacquesa i wej cie Ann. Nikt z trójki nie podniósł głowy. Siedzieli przed sztucznym kominkiem, w którym arz ce si kłody trwoniły domowy przydział elektryczno ci. Gilberte, z odchyłon do tyłu głów , przez w skie nozdrza wypuszczała bł kitne kł by dymu z papierosa zatkn tego w dług onyksow cygarniczk . Zd yła przebra si w sukienk , której Ann jeszcze nie widziała. Szkarłatny d ersej delikatnie opinał jej smukłe kształty i podniecaj ce piersi, nie nobiały kołnierz i mankiety podkre łały wdzi k szyi i szczupło nadgarstków. Zapewne jedna z „chanelek” baronowej – pomy łała Ann. Projektuj c stroje pod okiem Gilberte, nauczyła si rozró nia charakterystyczne style znanych krawców. Z rezygnacj wygładziła co , co kiedy było fałdami ci kiej od wilgoci granatowej spódnicy mundurka od *madame* Bernard.

Chocia obaj go cie odwróceni byli do niej plecami, natychmiast poznała w nich Amerykanów. Krótka obci te włosy i sposób, w jaki siedzieli, z niedbale wyci gni tymi nogami, na pierwszy rzut oka pozwalały zakwalifikowa ich do „wyrobów amerykańskich”.

Drzwi szcz kn ły za Jacquesem i Gilberte podniosła głów . Przez króciutek chwil taksowała Ann spojrzeniem przejrzystych topazowych oczu.

– Jeste wreszcie – powiedziała z u miechem.

M czy ni spojrzeli za siebie i zerwali si z miejsc. Chocia obaj mieli niewiele ponad dwadzie cia lat i obaj byli przystojni, zmieszana Ann w pierwszej chwili zauwa yła tylko tyle, e s swoim całkowitym przeciwie stwem.

Ciemnowłosy miał sporo ponad sześć stóp wzrostu, a barczystość jego tylko po części mogła być przypisana wiotkowi amerykańskiemu modli ramionom eleganckiej marynarki w drobne paski. Roztaczał atmosferę siły, opanowania i solidności.

Blondyn posłał Ann prostoduszny uśmiech, przeczesując dłonią obciętą na jej włosy. Był dość wysoki, jednak wzrost i masywność jego towarzysza sprawiały, że wydawał się niski i chłopiśliwy.

– Ann, pozwól, że ci przedstawię pana Portera – odezwała się Gilberte po angielsku, wyraźnie kpiąc z całej formalności.

Machnęła papierosem w kierunku blondyna. – A to jest pan Dejong. Moja przyjaciółka, panna Blakely.

Dejong?

To przecież było chyba nazwisko, które wymieniła Gilberte, kiedy zdradziła się, że ma krewnych w Stanach. Spojrzała uważnie na Dejonga. Rzeczywiście, włosy miał kruczoczarne, jak Gilberte, i chociaż ich podobieństwo na tym się skończyło, jego uroda równie miała w sobie coś arystokratycznego. Ann zastanawiała się czasem, czy ta rasowo była czymś rzeczywistym, czy też jedynie wytworem jej rozbuchanej wyobraźni – tak czy owak dostrzegała ją w twarzy stojącego przed nią mężczyzny. Wskazywały na niego orli nos, głęboko osadzone oczy i opalenizna niespotykana w jej kraju, dotknięta ostrym zimnem.

Liczne pytania cisnęły jej się do głowy. Skoro Gilberte zdecydowała się wreszcie ujawnić istnienie swojej amerykańskiej rodziny, dlaczego nie wspomniała o tym, że jej kuzyn – to znaczy kuzyn z drugiej linii – przebywa w Paryżu? Czy spodziewała się jego dzisiejszej wizyty? Jeśli tak, to dlaczego nie uprzedziła Ann, aby włożyła najlepszą sukienkę, pończochy ze sztucznego jedwabiu i pantofle na wysokim obcasie?

Pytania zamarły pod natarciwym spojrzeniem Dejonga.

Zaczerwieniła się i spuściła oczy.

– Nazywam się Larry Porter – przedstawił się blondyn. – Mów mi Larry. – Jego uśmiech promieniował wymuszonym entuzjazmem.

– Mam na imię Ann.

– Co za gafa! – ocknęła się Gilberte. – Zupełnie zapomniałam, że Amerykanie nie umieją obyć się bez imion. Ann, pozwól, że ci przedstawię: mój kuzyn Ouentin Templar Pierre Dejong.

Larry gwizdnął.

– No no, starczyłoby tego dla kształtu pełnej krwi.

– Quent – przedstawił się Ouentin, w dalszym ciągu nie spuszczał wzroku z Ann.

W popołudniowym zmroku jego policzki zlewały się z ciemnymi policzkami. Nikt jeszcze nigdy nie przyglądał się jej w taki sposób, taksując ją spojrzeniem niezwykle intymnym i pełnym niedomówień. No dobrze, powiedzmy, że Quent trojga imion rzeczywiście parł przed siebie po trupach niewinnych dziewcząt i gwiazdek filmowych – nie dawało mu to spokoju, ale to spokoju prawa przyglądał się jej z takim minem, jakby przysługiwało mu *le droit du seigneur*. W pewnej chwili rozchylił lekko usta, jak gdyby próbował przypomnieć sobie dawno zasłyszany melodię.

Nabrała powietrza, żeby odzyskała równowagę, i po spłowiałych girlandach pińkowych cennego dywanu ruszyła w stronę kominka. Przysiadła na niskiej pluszowej otomanie. Sztuczne kłody oświetliły jej twarz równo po wiat.

Goście równie usiedli i na chwilę zapadła cisza, zakłócana jedynie szmerem ulewy, smagającej okienne szyby. Larry, wyraźnie zaniepokojony wygaszeniem rozmowy, wychylił się w stronę Ann i paczkę Tareytonów.

– Zapalisz. – Lekkim pstryknięciem wysunął kocyce papierosów z pudełka.

– Dzięki, nie pal.

– A może kieliszek whisky? – Gilberte wskazała srebrną tacę, na której stała butelka Black & White. – Quent sprezentował nam prawdziwy rarytas.

– Dzięki bardzo. – Kiedyś ją dostrzegła, ale Quent przyglądał się jej nadal. Kiedyś w zatuszowanej mieszance, poruszyła komicznie brwiami, naśladując Groucho Marxa. – Moja mama jest wciąż przekonana, że tłumacz Cyserona.

– Zupełnie inaczej sobie ciebie wyobrażałem – stwierdził Larry ze śmiechem.

– Co ona takiego wam o mnie naopowiadała?

– Słowo daj, nie – broniła się Gilberte. – Obaj macie ci za niezwykle cnotliwych osobników nieskalaną reputację.

– Jesteś Amerykanką – zawyrokował Quent.

– Urodziłam się w Paryżu.

– Mówisz po angielsku jak Amerykanka.

– Ty za to mówisz jak paryżanin.

– Wiele czasu spędziłem z *grand-mère*, z moją babką.

– Mój stryjeczny babka Mathilde – uzupełniła Gilberte.

– Dla mnie Ann jest typowym okazem Galijki – wtrącił Larry. – Ale jestem tylko zwykłym prowincjuszem z Van Nuys.

– Van Nuys? – zdziwiła się Gilberte. – Co to jest takiego „Van Nuys”?

– Przede wszystkim stan umysłu. Leży gdzieś w zakamarkach San Fernando Valley, właśnie ciwale do przedmieścia Los Angeles.

– Blakely nie jest francuskim nazwiskiem – obstawał Quent.

– Urodziła się tutaj – Gilberte postukała lekko cygarniczkę w blat – ale jest Amerykanką.

Nieznaczna cierpkością jej tonu delikatnie dała go ciom do zrozumienia, że ich rozmowa wyszła poza przyjęte ramy damsko-męskich przekomarzań.

– Ojciec zarejestrował mnie w ambasadzie godzinę po moim przyjeździe na wiat – wyjaśniła cicho Ann.

Quent jakby nie zauważał aluzji Gilberte i w dalszym ciągu naciskał na Ann.

– Czym się zajmują twoi rodzice? – oddychając, jedzą, jak wszyscy.

Pokiwał lekko głową, wyraźnie niezadowolony jej krótką odpowiedzią.

– Przecież prawie wszyscy Amerykanie stąd powyjedali.

– Francja jest naszym domem. Mój ojciec zarządza jednym ze szpitali.

– No tak, jest wojna...

– Ojciec – przerwała mu Gilberte ze śmiechem. – Czy nie uważasz, że dostatecznie już

zgł biłe kwestie narodowe ci Ann? Zapewniam ci, że piewa *Marsyliank* trzy razy dziennie i jest uosobieniem lojalności.

– Przecież my lada moment wdepniemy w ten kocioł – zauważył.

– Czy by był nie tylko bankierem, ale również ekspertem wojskowym? – Gilberte, zaarcie broniąc przyjaciółki, mówiła zaczepnym tonem.

– Co w tym takiego nadzwyczajnego, że kto przebywa w Paryżu? – zagadnęła Ann. – W końcu wy dwaj tu siedzicie.

– Nie jest to bynajmniej bezpieczne – odparł Larry. – Quenta ci gnęły tutaj jakie machlojki w paryskim oddziale banku Dejongów, ja wpadłem jako korespondent zagraniczny.

– Dlaczego wobec tego nie nosisz wojskowego trencza? – spytała, usilnie starając się oddalić rozmowę od siebie i swojej rodziny.

– „Los Angeles Sentinel” ma siedemdziesiąt tysięcy trzynastu czytelników. Przy takim nakładzie, jak się domyślasz, nie starcza forsy na podobne luksusy.

Ann splótła ręce wokół kolan.

– Jakie wiadomości przekazujesz do Stanów?

– Grubo ocenzurowane – owiadczył. – Każde słowo musi przejść przez Berlin. W dodatku od tygodni nie wypuszczają nas z Paryża.

– Czym się wobec tego zajmujecie?

– Opijamy winkiem wiecie wiadomości z facetami w prawdziwych płaszczach wojskowych. Wszyscy Amerykanie zostali skoszarowani w jakimś Hotel Pyramide, zapchlonej budowie koło Champs-Élysées. Kwaśne wino, a kobiet ani piwku nie uwiadczysz. Od czasu gdy dołączył do nas kolega Quent, znacznie poszerzyły się moje horyzonty towarzyskie. – Posłał znaczny mięk dziewczętom.

Gilberte zgasiała papierosa i wytrzesnęła niedopałek z cygarniczki.

– Nawet nie wiecie, co to za rozkosz pali amerykańskie papierosy.

Quent sięgnął do marynarki i rzucił jej pudełko Camelii.

– Stokrotne dziękuję... – Rozpromieniła się. – Ann przerwała nam właśnie w chwili, gdy Quent miał zamiar wyjawić ci te tajne informacje dotyczące niedawnych zajęć na Gare de l'Est.

W poniedziałek nieznani sprawcy podłożyli dynamit pod tory na olbrzymiej stacji przetokowej na zapleczu Gare de l'Est, zamieniając szyny w zwoje poskręcane metalu. W pobliskich domach popękły szyby i talerze. W zasnuwającym deszczem niebo buchnął czarny kłębowy dymu widoczny z najdalszych zakątków Paryża. Była akurat pora obiadowa i robotnicy kolejowi rozeszli się po domach. Jedyńmiertelną ofiarą okazał się francuski strażnik w podeszłym wieku, jednak gdyby eksplozja nastąpiła pięć minut później, w powietrze wyleciałby pociąg pełen rozochoconych niemieckich żołnierzy jadących na przepustkę. Miasto huczało od plotek. Mówiło się, że nieudany zamach był dziełem ruchu oporu. Zazwyczaj, kiedy dochodziło do wydarzeń określanych przez *Propagandataffel* jako akty terrorizmu, Niemcy żołnierze przeczesywali pobliskie ulice. Wywołało to i rozstrzelano niewinnych ludzi. Tym razem jednak nikogo nie aresztowano. Podczas wiadomości wieczornych Radio Paris i Radio Nationale poinformowały zwiędle, że w wyniku eksplozji

gazu zginął jeden pracownik kolejowy. „Paris-Soir”, „Le Matin” i reszta dzienników umieściła identyczne informacje na czwartej stronie – ostatniej, jako że gazety ograniczały się do czterech stron. Wszyscy zastanawiali się dlaczego. Co skłaniało *Propagandataffel* do tuszowania całego incydentu?

Quent przytknął złoty zapalniczek do papierosa Gilberte, potem zapalił swojego.

– Zamierzałem właśnie ujawnić, że pod Paryżem znajdują się złoża gazu ziemnego.

Ann przyłożyła dwa palce do górnej wargi, na ładując w sik *Führera*. Drugą ręką wyciągnęła przed siebie w geście hitlerowskiego pozdrowienia.

Quent po raz pierwszy się uśmiechnął. Nagle zrobił się młodszy, mniej niecierpliwym, za to niepokojco przystojny. – To wszystko, co wiem na ten temat.

– Nie wygłupiaj się, Quent – ofuknął go Larry. – Cały tydzień krącis się w ród Niemiaszków.

– Chcesz powiedzieć, że ogłupiam ich plecy. Jestem przedstawicielem banku i mogę sobie łatwo wyobrazić, jak gorliwie ci *Bankenaufsichtsamt* wydaje mi zezwolenie na transfer naszych kapitałów do Szwajcarii czy Szwecji – wyjąknął zwracając się do Ann.

– Czy w kołach bankowych też się dzieje to wybuch gazu? – spytała Ann.

– Facet, z którym mam do czynienia, jest w porządku, skończył Harvard Business School parę lat przedemną. Wyznał mi w zaufaniu, że gestapo to przeklęta banda ciemniaków i nie byłby wcale zaskoczony, gdyby nie mieli pojęcia, co się w rzeczywistości ci stało.

– Dziękuję dynamit... – zaczęła Ann.

– ... jutro cały wiat – podchwycił Quent.

Gilberte wodziła wzrokiem od kuzyna do przyjaciółki.

– Do tych powątpiewanych rozmów. Umieram z tęsknoty za plotkami o Dejongach. Co porabia Iren?

– Zarczyła się.

– Niemożliwe!

– Z jakimś gościem z Yale – wyjąknął.

Gilberte zasypała go pytaniami o amerykańskie powinowate. Larry, który podobnie jak Ann nie znał żadnej z tych osób, uśmiechał się czarując, od czasu do czasu dorzucając dowcipne uwagi. Ann poczuła się nagle zmrozić ona pozycją osoby spoza kręgu wtajemniczonych. Nachyliła się w stronę kominka i słuchała w milczeniu. Gilberte, która wybroniła ją przed dociekliwymi Quenta, ostrzegała teraz, że kuzyn należy do niej. Dyskretne stukanie skierowało wzrok całej czwórki na drzwi.

– *Monsieur Dejong*, baron prosi pana do siebie – oznajmił Jacques.

Quent podniósł się.

– Do zobaczenia – powiedział do Gilberte, a zwracając się do Ann, dodał: – Naprawdę powinna przekonać swoich rodziców, żeby wyjechali. Lada chwila znajdziecie się na terytorium wroga.

– Dziękuję za radę.

Zmierzył ją baczny spojrzeniem niepokojących oczu i po raz pierwszy Ann zauważyła, że to, co brała za brzozę, w rzeczywistości jest ciemnym błękitem.

– Mówi powa nie – powiedział cicho.

– Miło było ci pozna – o wiadczyła oficjalnym tonem, czuła jednak, że się czerwieni.

– No, to ja chyba te polec – oznajmił Larry zrywając się. – Gilberte, Ann, pozwólcie sobie powiedzieć, że jesteście dziewczyny, jak wyspy wiatła w ponurych ciemnościach jesieni.

Kiedy drzwi się za nimi zamknęły, Gilberte zadarłszy lekko podbródek, wpatrzyła się w owalny portret któregoś z dawno nieżyjących de Permontów. Portret odpowiedział jej równie wyniosłym spojrzeniem.

– Chyba musisz się wziąć za łacinę. – Ann przerwała milczenie. – Czy twoi rodzice nadal spodziewają się nas na obiedzie?

– Cóż za pytanie. Przecież jest czwartek.

– Myślałam, że może skoro wasz kuzyn przyjechał...

– Nie denerwuj się – uspokoiła ją Gilberte. – Czekamy na was.

Choć byli proszeni na wpół do ósmej, Horace i Dorothy, jak zwykle, wyszli od siebie już dwadzieścia po siódmej. Otworzył im Jacques. Zza pleców słuchającego wyłoniła się Gilberte, rozjaśniając ponury mrok szkarłatem swojej olśniewającej kreacji.

– Ann, zostawiła coś w moim pokoju. – Ann domyśliła się, że Gilberte chce z nią spędzić chwilę na osobności. Rozluźniła się gniewne łopaty. Władza przyjaciółki zanurkowała w prowadzący do sypialni krótki korytarzyk. Wdziecznie spłowiałe firanki z jedwabnego adamaszku były starannie zaciągnięte, gruba granatowa kotara spuszczone, okiennice zamknięte. Gazety co dzień podawały zmieniający się nieustannie rozkład porządku zaciemnienia. Po wyznaczonych godzinach niemieckie patrole strzelały z samochodów do okien, w których udało się wytopić najlżejszy błysk wiatła. W Paryżu obowiązywał czas berliński, cofnięty z powodu oszczędności wojennych o dwie godziny – już na jesieni parę razy wstawiali na długo przed witem. Przydział prądu wystarczał na oświetlenie jednego pokoju w domu; płomień kaganka odbijał się wielokrotnie w szybkach akwareli na ścianach pokoju – jedna z przodków Gilberte była obdarzona talentem malarskim.

Gilberte wręczyła Ann sweter z *fibranne*.

– Musiałaś się o niego niepokoić – stwierdziła z powagą.

– Byłam w rozpacz. Wyobraź sobie tylko: zgubiłam taki skarb. Mniech rozproszył cię jakiś nastrój. Gilberte przysiadła przy toalecie, która służyła jej jednocześnie jako biurko. Mebel ten, choć pokiereszowany, był niewątpliwie bezcennym antykiem.

– No i co? – spytała.

Nie musiała dodawać nic więcej – przyjaciółka i tak wiedziała, że chodzi o tych dwóch.

– Wiedziałaś, że dzisiaj będę u ciebie? Gilberte wzruszyła ramionami.

– Fajnie, że mnie uprzedziła. Dzięki temu miałam na sobie mój wystrzałowy mundur.

– Och, przestań wymuszać komplementy. Może ci nie zwracają uwagi na strój ani nawet na urodę, kiedy dziewczyna roztacza wokół siebie tak po wiat jak ty.

Ann przysiadła na brzegu łóżka, podniesiona na duchu, ale i zaskoczona. Obie z Gilberte pogardzały koleankami, które kadziły sobie nawzajem dla poprawienia humoru.

– Roztaczam po wiat jak robaczek wi toja ski – zakpiła.

– To nie ja wymy liłam, tylko *maman*. Zreszt Larry Porter si z ni zgodził. Prawda, e jest uroczy? Typowy ameryka ski chłopta , roze miany od ucha do ucha.

– Przez chwil wydawało mi si , e masz ochot dobra mu si do skóry.

– Moje pazury oszcz dzaj tak pi kne oblicza. Patrzcie j , jaka nie miała! Wobec tego poprosz o zwi złe blakely’owskie podsumowanie Quenta.

Ann zawahała si . Zwykle bez namysłu umiała powiedzie , czy kogo lubi czy nie, jednak jej uczucia wobec Quenta Dejonga zmienno ci przypominały chor giewk na wietrze. Jego pewno siebie dra niła i wytr cała z równowagi. Deprymował j swoim wzrostem – czuła si przy nim przysadzista jak wiejska dziewczucha. Faktycznie, wydawał si niezwykle czaruj cy, zbyt czaruj cy jednak, eby mogło to w jakimkolwiek stopniu dotyczy Ann. Gilberte z pewno ci przyj łaby z niesmakiem cklive wynurzenia w tym stylu, tymczasem Ouent był jej kuzynem, wi c grzeczno i rozum nakazywały powiedzie co miłego.

– Trzeba przyzna , e jest niezwykle opanowany.

– Dziwi mnie brak zachwytu w twoim głosie. Przecie to ty zawsze twierdziła , e m czyzna musi by pewny siebie.

– No prosz , jaki wietny tytuł piosenki: „M czyzna musi by ...”

– Czasami bywa zupełnie inny – przerwała jej Gilberte. – Pami tam moje ostatnie spotkanie z Cuieniem trzy lata temu, w naszym pałacu w Ile de France. Był przera liwie upalny sierpie , powietrze nie stygło ani na chwil , wsz dzie unosiły si roje opastych, rozleniwionych pszczół. Zdawało si , e cały wiat bzczy. Je dzili my razem konno, st pa, bo na galop było za gor co. Quent zacz ł snu wspomnienia z pobyków na pustyniach południowozachodnich Stanów. Roztoczył przede mn poetyckie wizje bezkresnych przestrzeni, ciemnych chmur gnanych wiatrem po niebie, Indian i staro ytnych ruin ich miast wykutych w skałach. Po powrocie z przeja d ki musieli my pój do rzeki, eby ochłon .

– Ochłon po czym?

– Miałam czterna cie lat!

– No wła nie, tyle samo co Julia.

– Powtarzasz si , Blakely.

– Najmocniej przepraszam, zupełnie zapomniałam, e nigdy nie startujesz w konkurencji damsko-m skiej.

– Porywy miłosne wobec łośnych pokrak, które zion czosnkiem na kilometr i maj spierzchni te dłonie?! – Płomie wiecy zakołysał si od wzgardliwego prychni cia Gilberte.

– Gdyby czasy były normalne, chodziłoby si na bale, obiady, *the dansants*, do opery, a ja byłabym *la femme fatale*, do której buduaru m czy ni pchaliby si drzwiami i oknami...

Ann powstrzymała si od uwag. Wiadomo było, e bale i przyj cia urz dza si nadal – tłumnie ucz szczane przez niemieckich wy szych rang wojskowych. Baronowi, podobnie jak jego onie i córce, honor nie pozwalał uczestniczy w tych imprezach. Mimo to Ann wydało si dziwne, e aden z patriotycznie nastrojonych młodzie ców nie znalazł dot d drogi do dziewiczego buduaru pi knej Gilberte de Permont, przy odrapanej uliczce

Montparnasse'u.

– Powiedziałałam Quentowi, że zachował się wobec ciebie niedelikatnie – dodała Gilberte.

– Nie jego interes, gdzie mieszkamy.

– To samo mu powiedziałam. – Gilberte roześmiała się. – Ale on zawsze czuł się odpowiedzialny za cały świat, a zwłaszcza za wszystkich Amerykanów.

Przerwało im ciche stukanie.

Podano do stołu, *mademoiselle* – zaanonsował przez drzwi Jacques.

Ogromny wiecznik wydawał się nie na miejscu w małej jadalni. Dwa stulecia wczesniej płomień stu wiec, odbite w morzu górskich kryształów, rozświetliły blaskiem oświetlały aksamitowe szaty mieszkać w pałacu. Dziś wyginane ramiona wiecznika były ciemne od kurzu, bo przydziałowa namiastka proszku nie wystarczała, żeby je odczyszczyć. Cztery kryształowe odpadły, reszta była poobtukiwana. Trzy złote ogarki zwisały nad stołem nad ciemnym antycznym stołem z mahoni. Słabe światło miało jeden, jeden zalet łagodziło kontrast między elegancją de Permontów a wyglądem Dorothy i Horace'a.

– Nie wiem, jak się to pani udaje, pani baronowo. – Horace poklepał się po brzuchu. W smokingu z czasów studenckich wciśniętym na grubym sweterze i kilku warstwach bielizny wyglądał jak godło Michelina. – To przecie przedwojenna uczta.

Na masywnym kredensie poniewierały się sztuki mikroskopijnej kury, ogryzione z tykowanego mięsa do ostatniej kosteczki. Rzepa polana sosem z tłuszczu i w trójkąty została pochłonięta w całości.

– To zasługa naszego nieocenionego *monsieur* Vallata – odparła baronowa, uśmiechając się na swój uroczy sposób. De Permontowie, podobnie jak państwo Blakely, byli przypisani do *boucherie* Vallata przy rue Delambre, jedyne sklepu, w którym wolno im było legalnie kupować mięso.

– Czy ten Vallat nie zaopatruje się aby na czarnym rynku? – zaniepokoił się Horace.

– Horace, gdyby tak było, z pewnością cielibyśmy na obiad coś tłustszego – uspokoił go baron, poprawiając dwuogniskowe szkło w drucianej oprawce. – Obiad był wyśmienity – zwrócił się do Jacquesa, który właśnie wkroczył do jadalni.

– To zasługa Hèlène, panie baronie. Ja tam nie mam z kuchni nic wspólnego. – Balansując niewprawnie talerzami na ciemnej srebrnej tacy, Jacques umoczył w sosie białym kawiczki.

– To widać – cierpko skwitowała baronowa, kiedy wyszedł z jadalni.

Trudny życia okupacyjnego w najmniejszym stopniu nie przygasiły wspaniałej urody baronowej Vivienne de Permont. Z dekolty liczącej trzy sezony sukni od Schiaparelli wyłaniała się smukła szyja bez jednej zmarszczki. Para diamentowych klipsów lśniła spod kunsztownej fryzury; baronowa była blondynką. W pelerynce ze srebrnych lisów, zarzuconej niedbale, jakby chodziło wyłącznie o elegancję, a nie o temperaturę, mogłaby pozować jako modelka – gdyby przyszło jej do głowy parać się tak plebejskim zajęciem.

Gilberte dzięki łaskawości genów odziedziczyła urodę po matce. Baron André de Permont był, najłagodniej mówiąc, wyjątkowo szpetny.

Na pierwszy rzut oka wydawał się wyższy od siedzących naprzeciwko niego. Mocne

ramiona harmonizowały z potęgą piersi, ale stół zasłaniał nieproporcjonalnie krótkie nogi. Łuki brwiowe barona zwieszały się jak okap nad oczodołami. Ogólnie rzecz biorąc, baron przypominał rekonstrukcję człowieka z Cro-Magnon. Jednak braki urody równoważyła silna osobowość. Małe oczka jarzyły się dowcipem i inteligencją. Władczy postaci łagodził rozbawiony, sceptyczny uśmiech, który odziedziczyła, czy też nabyła, Gilberte – miewająca się, podobnie jak ojciec opuszczała jeden kciuk ust. Baron szczylił się niemal profesjonalnie znajomością wielu różnych dziedzin – znał się na geologii i prawie międzynarodowym, na ekonomii, historii Chin i zasadach kompozycji muzycznej. Jego erudycja, przeplatana wybuchami entuzjazmu i błyskotliwego dowcipu, nigdy nie wydawała się nuć. Można było się domyślić, co skłoniło uroczą Vivi, by porzucić zamieszkanego przez nią i uwikłać się w skandal, który przez półtorej dekady emocjonował najwyższe warstwy francuskiego społeczeństwa. Skandal był zbyt pikantny, żeby mógł przecieć niżej. Plotka nie dosięgła rue Daguerre.

Baron, który zasiadał w kilku przedwojennych gabinetach rządowych, był głównie przeciwnikiem Trzeciej Rzeszy. „Le Monde” regularnie publikował jego bezlitosne paszkwile przeciwko *Übermenschen*. Z tego powodu *Kommandant* nie „wynajął” dla generała von Hoherera domu od któregoś z zamieszkańców, tylko wysiedlił de Permontów z ich rezydencji przy boulevard Suchet. Kiedy Ann zapytała, co skłaniało barona do ryzykownego pozostania w strefie okupacyjnej, Gilberte, która mówiła o ojcu, gubiła gdzieś cały swój cynizm, wyjaśniała z dumą lapidarnie: „Nigdy nie zniżyłby się do ucieczki. De Permontowie nigdy nie uciekają”.

– Czy słuchał pan dziś wieczornych wiadomości? – spytał Horace, nachylając się do gospodarza.

– Zagłuszał BBC tak okropnie, że nie mogłem zrozumieć ani słowa.

Właśnie, właśnie. Potem przełączyłem na Radio Paris. Ann zrobiła się czerwona ze wstydu. Jej ojciec udawał przed baronem, że słucha zakazanej radiostacji brytyjskiej.

– Podaj, że w ciągu ostatnich trzech dni wzięto do niewoli sześćset pięćdziesiąt tysięcy jeńców rosyjskich. Szesćset pięćdziesiąt tysięcy! Nie wiem, kogo *Propagandataffel* ma zamiar nabrać na te wyssane z palca liczby.

– Czwarta Armia Klugego posuwa się w kierunku Moskwy. Otoczyli już Leningrad i odcięli Krym...

– Chce pan powiedzieć, że liczby mogą być prawdziwe?

– spytał Horace, któremu szczylił zaczynają lata z przerażeniem.

– Wiem tylko tyle – odparł baron ze swoim cynicznym uśmiechem – że Rosjanie nie atakują Niemiec.

– Jedyna nadzieja w Anglii. – Horace zachichotał niepewnie.

– Nawet BBC mówi o tym, że niemieckie łodzie podwodne przedzierają się przez konwoje na Atlantyku.

– To straszne, straszne – wymamrotał Horace, wbijając wzrok w serwetkę z adamaszku.

– Osobiście uważam, że ta wojna ma wymieniony przebieg.

– W małych oczkach barona zatliły się iskielki...

– Kochanie – wtr ciła baronowa i przerwała. Ta krótka, wykwinna pauza zwiastowała jaki uroczy dowcip. Lekko schrypni ty głos baronowej przykuwał uwag nie mniej ni jej powszechnie podziwiana uroda. – Wojna to nie jest temat do artów.

– Ale ja nie artuj , kochanie. – Baron powiódł wzrokiem po twarzach Horace’a i Dorothy. – Doszło ju do tego, e wasz *monsieur* Roosevelt b dzie musiał zerwa pakt o nieagresji z Niemcami.

Dorothy, która przez całe ycie była republikank , zakasała wyliniałe mankiety karakułowego akietu, jakby szykowała si do walki.

– Prosz mi wierzy , baronie, wi kszo naszych rodaków bynajmniej nie popiera Roosevelta. Wyborcom wcale nie odpowiada jego militarizm. Nie maj najmniejszego zamiaru wikła si w kolejn wojn w Europie. Poza tym, zgodnie z nasz konstytucj , tylko Kongres ma prawo ogłosi przyst pienie do wojny.

– Skoro tak, to Roosevelt wymusi decyzj na Kongresie – o wiadczył baron.

– Gdzie pan sływał takie pogłoski? – przeraził si Horace. Chocia André de Permont nie przeszedł na stron zwyci zców i odcisł si od dawnych współpracowników, którzy obecnie bratali si z Niemcami, Horace wi cie wierzył, e jego idol ma dost p do najtajniejszych informacji.

– Przecie to oczywiste, Horace.

– Nie rozumiem.

– *Monsieur* Roosevelt doskonale zdaje sobie spraw , e w Ameryce nie b dzie si dobrze yło po zwyci stwie Hitlera, a prosz mi wierzy , e w tej chwili Trzecia Rzesza ostro prze do ostatecznego zwyci stwa. Wasz prezydent, jako niezwykle przebiegły polityk, zapewne dopu ci do jakiego incydentu, który zmusi wasz Kongres – mówi c: „Kongres” posłał z u miechem ukłon w stron Dorothy – do wypowiedzenia wojny.

– Cjuent uwa a, e to nast pi lada chwila – wtr ciła Gilberte.

– Quent? – zdziwił si Horace.

– Mój kuzyn, młody Amerykanin – wyja nił baron. – Przyjechał do Pary a w sprawach bankowych.

– Jakie informacje na temat Stanów Zjednoczonych przekazał panu baronowi? – Horace zacz ł wyci ga notes z kieszeni kamizelki.

– adnych faktów, wył cznie własne opinie. R ka Horace’a opadła.

– Chocia bardzo podziwiam Francj i zdaj sobie spraw , e jestem niezast piony w szpitalu, nigdy bym nie pozwolił Dorothy i Ann zosta tutaj, gdyby istniała najl ejsza obawa, e dostaniemy si do niewoli.

– Niemcy nie b d rozstrzeliwa Amerykanów – stwierdził baron sucho. – B d was wymienia na niemieckich cywilów. Z pewno ci maj w waszym kraju tyle samo szpiegów i agentów pi tej kolumny, co u nas.

Gilberte siedziała z półotwartymi ustami, wpatrzona w ojca z dzieci cym uwielbieniem.

– *Papa*, Quent powiedział Ann, e powinni natychmiast st d wyje d a .

– Naprawd ? – Baron pogładził córk po dłoni i spojrział na Ann. – I jakie wra enie zrobił na tobie mój ameryka ski kuzyn?

– Wydał mi się niezwykle pewny siebie.

– Ann! – wykrzyknęła Dorothy.

– Rzeczywiście, jak na swój wiek jest bardzo pewny siebie. – W oczach barona zamigotały figlarne chochliki. – Ale to się odnosi również do ciebie, Ann. Horace, Dorothy, powinniście być dumni z odwagi córki.

Państwo Blakely wcale nie wyglądali na dumnych – raczej na strapiionych.

Jacques zjawił się niosąc kryształowe misy, w której połówki trzech pomarszczonych jabłuszek wydawały się jeszcze niniejsze, niż były w rzeczywistości.

Ann układając się do snu, cięgle jeszcze odtwarzała w myślach idiotyczne odpowiedzi, jakich udzieliła „playboyowi Zachodu”, Ouentowi. Czuliła się nie za niego. Postanowiła przynieść z salonu ostatni numer „Pour Elle”, okupacyjnego substytutu „Marie Claire”. W progu sypialni przystanąła na chwilę, osuwając oczy z mrokiem korytarza. W głąb, w nieprzeniknionych ciemnościach, poruszył się jakiś cień. Ręce Ann pokryły się gęstą skórą. Zegar kościelny zaczął wybijać godzinę i dopiero przy dziesiątym, zagłuszonym kroplami deszczu uderzeniu, poznała, że to ojciec. Stał przy drzwiach wejściowych; wnoszące z wiatkiem smutki wiatła, były uchylone.

Kafle klatki schodowej zadźwięczały odgłosem młotów. Ktoś schodził na dół. Godzina policyjna zaczynała się teraz o północy, nie było więc nic specjalnie dziwnego w tym, że ktoś wychodził o tej porze. Tymczasem ojciec wyraźnie podglądał idącego.

– Tato! – zawołała, kiedy kroki ucichły. Horace podskoczył.

– Ann, to ty? Dlaczego nie leżysz w łóżku? Co to za łanie po domu? – spytał podniesionym głosem.

– Chciałam sobie tylko przynieść „Pour Elle”.

– Już dobrze, dobrze. Właśnie zamykałem na noc. – Z głosem zgrzytem włożyła cuchy w zasuwę.

Choć Ann poczuła lekki niepokój, to, co zobaczyła, nie zaskoczyło jej specjalnie. Była prawie pewna, że młotki należały do barona. Nie od dziś wiedziała o uwielbieniu, jakim ojciec darzył się siada. Ostatniego lata w godzinie niedzielnej popołudnie myszkowała na lewym brzegu Sekwany w poszukiwaniu prezentu na siedemnaste urodziny Gilberte. W cieniu platanów wdrapała się od jednego stoiska z książkami do drugiego, kiedy nagle, podnosząc wzrok, dostrzegła sylwetkę barona. Przeciwnie ulicę, kierując się do piwiarni. Po chwili zauważyła ojca, który podzielił się przed siebie nabrzeżem.

– Tato! – zawołała, jednak łoskot ciężkiego wozu konnego zagłuszył jej głos. Dochodząc do piwiarni, Horace zwolnił. Zdjął słomkowy kapelusz i wszedł do rodka. Wieczorem przy kolacji rozprawiał o tym, jak zderzył się z baronem w piwiarni Weplera, a potem jeszcze przez wiele dni rozwodził się nad tym „szczęśliwym zbiegiem okoliczności” z zapalem, z jakim nastolatek opowiada o spotkaniu twarzą w twarz z gwiazdą srebrnego ekranu. To wydarzenie w niczym nie umniejszało miłości Ann do ojca, jednak zaprawiło jej uczucie litością.

Wróciła do łóżka bez czasopisma, zdmuchnęła świecę i szczelnie otuliła się puchowcami. Biedny tata... prezes fanklubu André de Permonta – pomyślała, trzęsąc się z zimna.

Gdzie po południu następnego dnia niebo się przetarło; kłóbiło się na nim zaledwie kilka białych puszystych chmur. Był to jeden z tych lazurowych dni, kiedy Paryż, niezależnie od pory roku, był niewątpliwie zalotnym wdziakiem. Mężczyźni i kobiety, niepomni na swój wiek, status społeczny i przekonania, zapominali o okupacji i pogrzebali się w pogodnych rozmowach o przeszłych, obecnych i przyszłych miłosnych przygodach.

Kołysząc się z torbami, Ann i Gilberte szły niespiesznie pod osłoniętymi zielonymi liśćmi konarami drzew rue Daguerre. Nagle Ann przystanąła.

Chwilę wcześniej Gilberte zaszokowała ją i nie wiadomo zraniła wiadomością, że Quent w wieku piętnastu lat zrobił pewnej dziewczynie dziecko.

– Bardzo przedwcześnie – skomentowała usiłując do wiadczonym tonem zatuszować przetyknięcie. – Jaka niewinna panienka?

– O ile dobrze wiem, sekretarka macochy. Nie byłam wtajemniczona w szczegóły.

– Urodziła to dziecko?

– Nie, miała zabieg.

– Skrobank? Przecież to było jego dziecko!

– Niepoprawna romantyczka – skomentowała cierpko Gilberte, po czym wyjątkowo poważnie: – Miej rozum, Ann. Quent miał piętnaście lat. Co miał zrobić? Ojciec się?

Ann westchnęła z rezygnacją. Oczywiście przyjaciółka miała rację; właściwie nie wiadomo, dlaczego poczuła się tak rozczarowana. Przecież Gilberte już w pierwszych słowach przedstawiła kuzyna jako czarującego, acz nienasyconego kobieciarza. W milczeniu ominęła wypchniętą przez korze drzewa płyt chodnika. Doszły pod numer 74.

Ostre jesienne słońce pogłębiło cień rzucany przez manierystyczny portal budynku. Dziewczyna dopiero w ostatniej chwili spostrzegły dozorczyńnię, starą *madame* Jargaux. W czarnym obwisłym płaszczu, szczelnie otulona czarną chustą, pochyliła się głową, wycierając zapłakane oczy.

– *Madame* Jargaux, co się stało? – Ann upuściła torbę i pędem wbiegła po schodkach.

– *Mademoiselle* Ann, czekam cały czas na panienkę...

– Czy coś z Leonem? – Ann objęła ramieniem wstrząsnętego szlochami plecy dozorczyńni. – Czy coś się stało Leonowi? – Kapral Leon Jargaux, jedyny syn dozorczyńni, od czterdziestego roku siedział w obozie jenieckim na I skoku.

Madame Jargaux, niezdolna wymówiła słowa, potrząsnęła głową.

Mademoiselle Ann była jej ulubioną lokatorką, chociaż niejednemu raz musiała po niej wycierać posadzkę sieni, bo zapominała otrzebutować z błota. Jednak jej ulubionym sprawiał, że dozorczyńnię równie czuła się młodą, przebiegłą konspiratorką. Ann posiadała te rzadki u młodych ludzi dar wysłuchiwanie cudzych zwierzeń.

– Proszę, niech pani wejdzie do nas – zaprosiła Ann. – Mama zaparzy pani kawy i wszystko nam pani opowie.

– *Madame* Dorothy... – Tyle tylko zdołała wydusić z siebie kobiecina, po czym wybuchnęła jeszcze głębszym płaczem.

– Mama? – wykrztusiła Ann przez ściśnięte gardło. Jej również odebrało mowę.

– Co się stało pani Blakely? – włączyła się Gilberte, która zdążyła podnieść z ziemi tornister Ann.

Dozorczytni nie lubiła *mademoiselle* de Permont, głównie dlatego, że mieszkała z tą parą przez drzających słuchaczy. Jednak rozkazujący ton Gilberte okazał się wietnym antidotum na histerię staruszki.

– Wzięli j... *agents de police* zabrali j... – wyjęła wycierając oczy.

– Policja? – spytała Ann, z trudem odzyskując głos. – Mam?

– Przyjechali zaraz po tym, jak panienki wyszły. Ciemno było jeszcze jak w grobie. Przeszli przez *rue Daguerre*, a ta ich syrena wylała jak opłotana. Zaczęli walić w bramę, jakby chcieli umarłego postawić na nogi. I zaraz kazali się zaprowadzić do mieszkania panienki, chociaż tłumaczyłam im, że z rana mam sztywne nogi i... e...

– Czego chcieli od *madame* Blakely? – przerwała jej Gilberte.

– Czego w dokumentach. Kazali jej pokazać dokumenty.

– Dokumenty? – zdziwiła się Gilberte. – Przecież pokazałam, im chyba amerykański paszport?

Dozorczytni, pełna skruchy z powodu swojej niewiedzy, wzniosła pokrzywione artretyzmem dłoń ku błękitnemu niebu.

– Kazali jej zejść na dół do furgonetki policyjnej. Od razu pobiegłam do *boulangerie* i *monsieur* Remigasse pomógł mi się dodzwonić do *clinique*, do *monsieur* 'Orace. – Ostatnie zdanie wymówiła drżącym głosem. W kamienicy nikt nie miał telefonu. W nagłych przypadkach mieszkańcy korzystali z aparatu w piekarni Remigasse'a, na rogu *rue Daguerre* i *rue Delambre*. Dla *madame* Jargaux telefon na ścianie u piekarza był czymś w rodzaju wyroczni, wygłaszającej te sentencje. – *Monsieur* 'Orace natychmiast przyjechał do domu i popędził na *commissariat de police*.

– Czego się tam dowiedział? – indagowała Gilberte.

– Kto to wie? Dotąd jeszcze nie wrócił. Może jego też aresztowali.

Ann wyrwał się z ust suchy szloch, który starała się stłumić, przygryzając z całych sił dolną wargę.

– Pewnie kazali mu czekać – pocieszała ją Gilberte. – Wiesz, jaka jest teraz policja Niemcy wyrzucili wszystkich porządnych policjantów.

– *Madame* Jargaux – wyszeptała Ann ochryplym głosem – czy ktoś doniósł pani o aresztowaniu mojego ojca?

– Ale gdzie tam, tak mi się po prostu głupio pomyślało. Stara głowa i tyle – tłumaczyła się dozorczytni. – Pewnie jakiś nadgorliwy urzędnik wyżył się na nim i każe mu czekać tak długo.

– Może liwe – zgodziła się Ann bez przekonania.

– Gdyby *papa* był w domu, zaraz by się wszystkiego dowiedział – zapewniła Gilberte z westchnieniem. – Niestety, wyszedł rano i wróci dopiero tu przed godzinę policyjną.

– *Maman* panienki też wyszła.

Gilberte cisnęła usta. Nieśmiało, by jej frywolna, wymuskana mamusia mogła się przydać komukolwiek w tej sytuacji.

– Skoro si tak niepokoisz, zadzw do ambasady – zaproponowała.

Ann przymkn ła na chwil oczy. Dzwoni do ambasady znaczyło uprzytomni sobie ostateczn kl sk . Po kapitulacji Niemcy poinformowali Departament Stanu, e istnienie ambasady ameryka skiej w Pary u jest zb dne, poniewa pólnocna Francja wchodzi w skąd Trzeciej Rzeszy i wszystkie obowi zki mo e z powodzeniem pełni personel ambasady w Berlinie (ambasador został odwołany przez prezydenta Roosevelta ju w tysi c dziewi set trzydziestym ósmym roku). Pracownicy ambasady ameryka skiej, opuszczaj c Pary , ostrzegli rodaków pozostaj cych w strefie okupowanej, e odt d, nawet w najci szych sytuacjach, b d zdani wył cznie na własne siły.

– Wiem, e musisz dzwoni przez mi dzymiastow – powiedziała Gilberte, uwa nie wpatruj c si w twarz Ann. – Je eli nie masz pieni dzy, mog co skombinowa .

– Berlin jest za daleko, nie b d w stanie nic pomóc. Pójd na *comissariat de police* – zdecydowała z nagł determinacj .

– Panienska nie mo e tego zrobi ! – krzykn ła przera ona *madame* Jargaux. – *Mademoiselle* Ann, zabraniam panience! – zawodziła.

Mieszka cy całej okupowanej Europy unikali jak mogli wszelkich kontaktów z policj , która zobowi zana była wsz dzie do współpracy z garnizonami wojsk niemieckich.

– Ona ma racj – potwierdziła Gilberte. – Po co masz chodzi do komisariatu, skoro twój ojciec ju tam siedzi?

– Nie mam innego wyboru – upierała si Ann.

Oczy Gilberte wypełniły si smutkiem i współczuciem. Na miejscu przyjaciółki z pewno ci zrobiłaby to samo, nie zamierzała jednak ust pi .

– wietny pomysł, pcha si tam, nie wiedz c nawet, o co im chodzi.

– Mama jest w niebezpiecze stwie, a tata, kiedy jest roztrz siony, nie umie si z nikim dogada .

Gilberte chwyciła j za rami . Nie dotykały si prawie nigdy, wi c gest ten dowodził, jak bardzo była zaniepokojona.

– Ann, posłuchaj mnie – zwróciła si cicho do przyjaciółki.

– Nie wiesz nic o swoich rodzicach. Mog równie dobrze siedzie teraz w kawiarni nad szklaneczk wina. Jaki jest sens, eby w tej sytuacji sama pchała si do wi zienia?

– *Mademoiselle* Ann... – *Madame* Jargaux wytarła nos. – Panienska jest ładn młod dziewczyn . *Madame* Dorothy i *monsieur* ‘Orace nigdy mi nie wybac , je li pozwol panience pój do tych szwabskich łobuzów.

Ann oddychała z trudem.

Gilberte czuła, e przyjaciółka ledwie nad sob panuje.

Wiedziona arystokratyczn delikatno ci , zaniechała dalszych perswazji. Z tornistra Ann wydobyła sfatygowan czarn torebk . – We . B dziesz potrzebowała dokumentów.

Obła ce z brudno- óltej farby ciany poczekalni *comissariat de police* zdobiły tabliczki z napisem: „Zabrania si rozmów”. Tabliczki były zb dne. Garstk zagubionych petentów zbyt absorbowowały własne obawy, by wszczyna jakiegokolwiek rozmowy. Ann słyszała, jak

burczy jej w brzuchu – głód wzmagał się, a poczuła się dziwnie lekka i dostała zawrotów głowy. Ławka była niewygodna. Kiedy tu przyszła, nie minła jeszcze piąta. Teraz wielki zegar w poczekalni wskazywał siedemnaście po ósmej.

Po przyjeździe do komisariatu Ann ustawiła się w kolejce do okienka, w którym udzielano informacji o osobach zatrzymanych. Kapral w okienku, mężczyzna o chudej, krostowatej twarzy, obrzucił ją takim spojrzeniem, które Ann przypomniały sobie zasłyszane opowieści, jakoby Niemcy rekrutowali policjantów spośród morderców i gwałcicieli odsiadujących wyroki w miejskich więzieniach. W głębi skupieniu zanotował wszystkie dane i odesłał ją do poczekalni.

Myśli Ann nie były nieprzerwanie. Dlaczego matka została wywieziona samochodem policyjnym? Czy kontrola dokumentów była tylko pretekstem do aresztowania? Po co jednak Niemcy miałby aresztować gospodynię domową, obywatelkę neutralnego państwa? Gdzie podziewał się ojciec, skoro nie ma go w poczekalni? Czy rodzice są jeszcze na komisariacie, czy też wyjechali wszystko i już wyszli? A może przewieziono ich do jednego z tych przeraźliwych miejsc w rodzaju prefektury koto Notre-Dame? W poczekalni było tak zimno, że z ust siedzących wypływały kłęby pary, mimo to Ann lepiła się do potu. Zdjęła płaszcz i przerzuciła go przez kolana. Gdzieś wśród ponurych rozmów przemknęła myśl o Quencie Dejongu.

Nagle otworzyły się drzwi poczekalni. Na progu stanął strażnik. Ann wyprostowała się gwałtownie. Po chwili z korytarza dobiegł odgłos kroków. Do poczekalni wszedł mężczyzna o obwisłych policzkach. Wskazywał ramionami i rozłożyste biodra nadawały mu wygląd starej kobiety bez piersi. Wytarty czarny mundur miał powypychane kieszenie, jednak energiczny krok i stanowczy wyraz twarzy, z jakim zbliżył się do biurka, zdradzały kogoś na wysokim stanowisku. Pociągnął za nią ciuszek u ocienionej zielonym abażurem lampy. Stał teraz w kręgu światła.

– *Mesdames i messieurs*. Jestem inspektor Dubret – przedstawił się tonem wiatowca. – Osoby, których nazwiska wyczytam, proszę o podchodzenie do mnie.

Wdał się w ciche rozmowy z kolejnymi petentami. Niektórzy dzikowali mu z wylewnym uśmiechem, inni, jak schludnie ubrana, wyglądająca na młodą kobietę, bledli i odchodzili przygnębieni. Wywołano nazwiska trzech mężczyzn, którzy przyszli do poczekalni po niej. Ann. Wreszcie została sama. Mocno przyciskając płaszcz i torebkę, ruszyła do inspektora.

– Nazywam się Ann Blakely. Czy wie pan coś o mojej matce?

– Nazwisko pani matki?

Ann wyraźnie widziała nazwisko BLAKELY, wypisane wielkimi literami ołówkiem na samej górze leżącego przed Dubretem kwestionariusza. Skurwysyn – pomyślała, z trudem łapiąc oddech.

– Dorothy Blakely.

– Jest u nas, w komisariacie – powiedział, zerknąwszy w kwestionariusz.

– Dlaczego? Przecież jest Amerykanką, obywatelką neutralnego kraju!

– Proszę się nie niepokoić, *mademoiselle*. Weryfikujemy tylko paszport pani matki.

– A co z moim ojcem?

– Ojcem? – Inspektor Dubret spojrzawszy uważnie na cienki arkusz szarawego okupacyjnego papieru. – Nie widzę w podaniu żadnej próby o informację na temat *monsieur* Blakely.

– Poszedł się dowiedzieć, co się stało z matką, i nie wrócił do domu. Nic z tego nie rozumiem. Dlaczego sprawdzacie paszport matki? Przecież jesteście my Amerykanami.

– Tak pani twierdzi. Tymczasem ja chlubi się umiejętności wykrywania najłżejszych obcych naleciałał do rozmówcy, a u pani nie słyszę ani śladu akcentu. Czy mogłabym poprosić o pani dokumenty?

Ann nieporadnie wydobyła z torebki paszport i *carte d'identité*.

– Bardzo podobne zdjęcie – zawyrokował inspektor, starannie obejrząwszy pieczętkę i fotografię w dowodzie Ann. Zaczęła powoli wertować paszport. – Nie uwierzyłaby pani, jak doskonałe falsyfikaty dokumentów państw neutralnych krążyły po Paryżu. Nowe przepisy wymagają od nas kontaktowania się w podejrzanych przypadkach z ambasadami odpowiednich krajów. W tej chwili dzwoniemy właśnie do Berlina, żeby, jak już wspominałem, zweryfikować to samo pani Blakely.

– A mój ojciec... to tu jest? Nazywa się Horace Blakely.

– Zobacz, może uda mi się czegoś o nim dowiedzieć. – Pstryknął palcami na czekającą strażniczkę. – Sprowadź mi tutaj Figeac, jeśli jeszcze nie wyszedł.

Po chwili do poczekalni, zatrzasnął drzwi za sobą, wpadł krostowaty kapral.

– Figeac, *mademoiselle* Blakely chciałaby się dowiedzieć, czy jej ojciec, *monsieur* Horace Blakely składał u nas dzisiaj podanie.

– Widuję obcokrajowców od rana do nocy. – Figeac tłumaczył się głosem uczniaka.

– Ta młoda dama jest bardzo zaniepokojona. Mówi, że jej ojciec jest Amerykaninem.

– Amerykaninem? Aaa... teraz sobie przypominam. Mówi, że z paszportem amerykańskim, który martwił się o swój honor. Odesłałem go do pokoju trzydzieści cztery.

– Pokoju trzydzieści cztery...? – powtórzyła Ann drącym głosem.

– Pracuj tam nasi specjaliści od dokumentów zagranicznych – wyjął Dubret. – Zapewne pani ojciec zdecydował się poczekać z matką. Figeac, zdaje się zbierał się już do wyjścia? Mogłoby zostać jeszcze chwilkę i zaprowadzić *mademoiselle* Blakely do pokoju trzydzieści cztery?

Ann poczuła, że straszliwy ciarki spadł jej z serca.

– Bardzo niezmiernie wdzięczna – zwróciła się z czującym miechem do Figeaca.

– Drobiazgi. Proszę się jednak popieszyć z rewizją.

– Rewizją? – Ann przycisnęła płaszcz do piersi.

– Chyba pani rozumie, *mademoiselle*, że nie możemy pozwolić naszym petentom wchodzić do komisariatu nago, brzytwę czy broń palną – wyjął inspektor.

– Czy byłaby pani łaskawa podać mi swój płaszcz i torebkę? Ann z westchnieniem ulgi zastosowała się do polecenia.

Czuła, że nieprędko zapomni pobyt w komisariacie.

Inspektor Dubret starannie przeszukał obie kieszenie płaszcza, wyławiając z nich kawałek bandaża i pogniecioną chustkę do nosa. Potem wziął się za torebkę. Odłożył na bok dokumenty i portmonetkę, rozwinął chusteczkę i wyjął z niej podpuszczkę czystą, choć spraną i

pełn zacieków trykotow wy ciólk . _ Ann lada chwila spodziewała si miesi czki.

– Dalej, prosz – powiedział unosz c głow znad biurka.

– Co... co to znaczy?

– Znaczy to, co pani słyszy. – Krosty Figeaca jeszcze bardziej poczerwieniały. – Prosz pokaza reszt garderoby.

– Nie!

– Je li jakakolwiek bro przedostanie si na teren komisariatu, b d poci gni ty do odpowiedzialno ci za zaniedbanie obowi zków słu bowych – oznajmił Dubret zapalaj c papierosa – Czy nie ma tutaj jakiej kobiety?

– Poszła do domu – poinformował Figeac.

– A mo e woli pani przyj jutro rano? – Dubret gł boko zaci gn ł si dymem.

– O ile rodzice jeszcze tutaj b d – dorzucił Figeac. M czy ni rozmawiali ze sob gładko, jak na scenie. Wida było, e ten numer maj doskonale ograny, musieli go wielokrotnie próbowa na zdenerwowanych młodych kobietach. Ann u wiadomiła sobie, e nie przypadkiem przetrzymywali j do ko ca. Zastanawiała si , czy b d próbowali j zgwałci .

– Nie rozbior si – o wiadczyła zaskakuj co spokojnym tonem.

– Nie jest to wcale konieczne. – Figeac chwycił j za rami . – Sami pani przeszukamy.

Próbowała si wyrwa , ale wykr cił jej r k za plecami tak, e zacz ła obawia si o stan swoich ko ci. Krople potu wypłyn ły na ospowate czoło Figeaca. Odór kwa nego oddechu spowił Ann. Inspektor Dubret, mi c papierosa, przygl dał si im dobrotliwie, jakby byli par dokazuj cych dzieciaków. Tymczasem Figeac mi tosił piersi Ann; wepchn ł jej r k pod bluzk i dalej, pod halk i stanik. Gor ca, spotniała dło dosi gła wreszcie sutka. Przez ciało Ann przeleciał bolesny skurcz. Chc c opanowa fal nudno ci, wbiła wzrok w jedn z ozdobionych swastyk flag, z dwóch stron wie cz cych biurko. Ostre pazury wpiły si w pier . Zamkn ła oczy, jednak symbol hitleryzmu nadal nie znikał spod jej powiek.

Figeac dyszał ci ko. Zadarł spódnic Ann i mocno przejechał r kami po brzydkich, grubych reformach, jakie nosiły wszystkie dziewcz ta od *madame* Bernard.

– Nic nie wyczuwam – oznajmił zdyszany – ale kto j tam wie?

– *Mademoiselle*, prosz pochyli si i oprze o biurko.

– Nie! – krzykn ła rozpaczliwie. Domy łała si , o co chodzi. Dło Dubreta wystrzeliła w powietrze i opadła na kark Ann.

Złapał j tak, jak chwyta si psiaka. Próbowała si wyrwa dysz c i wykr caji c si na wszystkie strony, ale policjant przygniótł jej głow do biurka, i całym ci arem przedramienia oparł si na szyi, tak e dziewczyna le ała z zadart brod na blacie. Nie było mowy o dalszej walce. Gło no ziajała, z trudem łapi c oddech.

Figeac zarzucił jej spódnic na głow . Cerowane wełniane getry opadły na kostki, zaraz potem spadły majtki ze sztucznego jedwabiu. Sapi c gło no, rozsun ł jej po ladki. Ann zeszywniała. Przeszył j ostry ból. Palec Figeaca zagł bił si w jej zwieraczu, gmeraj c jak szczur, który szuka wyj cia z labiryntu. Poczua, e lada chwila mo e si bezwiednie wypró ni . Ka dy bolesny oddech przes czony był smrodem tl cej si sieczki, jaki wydzielał

okupacyjny tyto w papierosie Dubreta. Figeac wyjął palec i rozchylił pochwał Ann. Zamarła, oczekując gwałtu. Jednak znowu skończyło się na badawczym gmeraniu, tym razem z użyciem dwóch palców. W pewnej chwili ruchy Figeaca stały się gwałtowne, bezładne i nieznośnie bolesne. Choć ręką Dubreta zaczęła drężyć, nadal trzymał Ann z nie słabnącą siłą. Figeac wydał z siebie stłumiony skowyt i szerzej rozwarł palce. Z ust dziewczyny wyrwał się cichy jęk. Nagle palce wyśliznęły się z pochwy. Uścisk Dubreta zelżał.

– *Mademoiselle* Blakely, z przyjemnością stwierdzamy, że nie próbuje pani przemycić broni – owiadczył. – Proszę się ubrać.

Lodowate powietrze ziściło wypięte poładki Ann.

Sparaliżowana odrzą i wstydem, nie mogła się ruszyć.

Czyjś ręce obciągnęły jej spódnice i z powrotem postawiły ją w pionie. Kiedy ona spostrzegła, że Figeac niepieszcząc się chowa wilgotnego, sinawego penisa do kalesonów. Pierwszy raz w życiu widziała męski członek.

– Teraz Figeac zaprowadzi pani do rodziców – powiedział inspektor opanowanym głosem, chociaż krwiste plamy pokrywały jego obwisłe policzki.

Dygocząc wciągnęła majtki, getry i reformy, po czym wygładziła ubranie. Usilnie walczyła o spokój, szła za Figeakiem przez ciemne, wyludnione korytarze. Rodzice w żadnym wypadku nie mogli jej zobaczyć w takim stanie. Figeac otworzył przed nią drzwi. Poczowała wiejący zapach nocy.

– Szoruj do domu – rozkazał.

Cały numer od pocztu do końca był zaplanowany.

– Jesteś jeszcze gorsze winie niż Niemcy – powiedziała ochryple.

– Przecież nic się nie stało – zapiszczał swoim łośnym głosikiem. – Troszkę my się pobawili, i tyle.

Nieprzytomna ze strachu o rodziców, roztrzęsiona po „rewizji osobistej”, Ann raz po raz potykała się o krawężniki zaciemnionych ulic. Kiedy dobrnęła wreszcie do azyłu rue Daguerre, upuściła klucz od mieszkania i musiała go szukać na chodniku. Po omacku z trudem dowlokła się do sieni.

Natychmiast otworzyły się drzwi stróżówki ozdobione szybą z matowego szkła.

– Bogu najwyśzemu niech będzie ci, panienska cała i zdrowa! – wykrzyknęła *madame* Jargaux. – *Eh bien?* Co się dzieje z *madame* Dorothy i *monsieur* ‘Orace’?

Ann uprzytomniła sobie, że cały czas kurczowo trzyma się nadziei na spotkanie rodziców w domu. Wyobraziła sobie ich gorące uściski. Wpatrując się w znany na pamięć niemiecki regulamin, którego powielana kopia zdobiła szybę stróżówki, Ann opowiedziała o sprawdzaniu paszportów neutralnych obcokrajowców.

– Dobrze przynajmniej, że panienska cała i zdrowa. Niech panienska wejdzie do mnie, zjemy gorzej zupy z porów.

Wdzięczna dla pocziwej staruszki, która czekała na nią, by podzielić się przydziałem wywnocia, na moment zagłuszyła dojmujący lęk.

– Dziękuję, *madame* Jargaux. Jestem teraz za bardzo zmęczona, eby je cokolwiek – wymówiła się, łykając lin.

W zaciszu pustego mieszkania dała upust histerycznemu szlochowi. Potem podmyła si , szoruj c szarym mydłem, a piekła j skóra. Zbyt zm czona i rozkojarzona, eby pami ta o zaciemnieniu, dobrn ła do salonu i padła na kanap . Gdzie s rodzice? Gdzie? Znów zacz ła płaka . Dlaczego Figeac jej nie zgwałcił? Wła ciwie wolałaby, eby j obaj z Dubretem zgwałcili. To, e si z ni „bawili troszk ”, było jeszcze bardziej upokarzaj ce.

Zabrz czał dzwonek. Wrócili. Dzi ki ci, Panie Bo e, wrócili. Nieprzytomna z rado ci rzuciła si do drzwi wej ciowych. Wchodz c nie zamkn ła zasuwę, wi c otworzyła je jednym ruchem.

– Ann, to ty? – Głos Gilberte odezwał si z ciemno ci. – Rodzice ju wrócili?

– Nie... – Ann musiała si przytrzyma framugi. – Sprawdzaj im paszporty.

– Jeszcze? Jak tylko ojciec wróci, zaraz pójdzie si dowiedzie , o co tym wieprzom poszło tym razem. Chod do mnie na gór .

– Musz tutaj zaczeka na rodziców.

– Przypnij im kartk do drzwi.

– Nie mog teraz wyj .

– No to zostan z tob . A mo e wolisz zosta sama? – spytała nie doczekawszy odpowiedzi.

– Tak...

– Je li b dziesz czego potrzebowała, na przykład towarzystwa, przyjd na gór o ka dej porze.

Ann padła bez sił na kanap w salonie. Zalana łzami sp dziła pierwsz bezsenn noc w yciu.

Drzwi otworzył Jacques. Tym razem jego pogardliwe zmru enie powiek całkowicie uszło uwagi Ann.

– Czy byłby pan łaskaw powiedzie *mademoiselle* de Permont, e nie pójd z ni dzi do szkoły?

– Ann? – Od strony sypialni dobiegł j głos barona.

– Pan baron? Jest pan w domu? – zawołała zdziwiona. Miała wra enie, e wyczekuj c w nocy na powrót rodziców, słyszała wszystkie kroki na schodach.

– wróciłem tu przed godzin policyjn . – Baron pojawił si na korytarzu z r cznikiem na grubej szyi. Rudy szlafrok, ozdobiony herbem haftowanym złot nici , odsłaniał chude nogi z czarnym owłosieniem.

– Gilberte przed chwil powiedziała mi o twoich rodzicach. adne jeszcze nie wróciło?

Ann pokr ciła głow , mrugaj c podejrzenie oczami. Wzi ł j za r k .

– Chod do mojego gabinetu.

Mieszkanie znajdowało si na najwy szym pi trze, w zwi zku z czym tam, gdzie pi tro ni ej była klatka schodowa, tu mie cił si pokoik o dziwacznym kształcie. Ann przysiadła na brze ku jednego z paru jacobowskich krzesel, doci ni tych z dwóch stron do połączanego stołu z czasów Ludwika XIV, którego baron u ywał zamiast biurka. W szybkich słowach wyrzuciła z siebie sk pe informacje na temat znikni cia rodziców.

– Inspektor powiedział, że przedzwonili do naszej ambasady w Berlinie, żeby sprawdzić, czy mama rzeczywiście jest Amerykanką – zakończyła.

– Dlaczego nie sprawdzili ciebie ani twojego ojca? – W małych, zwykłych oczach barona widać było troskę i współczucie. To samo pytanie Ann zadawała sobie wielokrotnie podczas tej długiej nocy.

– Może sprawdzaj tylko po jednym paszporcie na rodzinę, a może ci gdzie jeszcze mają bałagan. W końcu to są całkiem nowe przepisy.

– Taaa... kolejny donosił akt niemieckiego prawodawstwa.

– Baron chwycił za obie końcówki, a włożył je do swoich rękawów. – Dowiem się, co się stało.

Wdzięczny Ann zakłócił natychmiast głowę barona. Nawet najgorliwsi, afiszujący się z antysemityzmem kolaboranci nie kwapili się nigdy dowiadywać o osoby aresztowane przez policję, co dopiero André de Permont, który miał na swoim koncie historię przedwojennych występów przeciw nazizmowi.

– Bóg musiał trochę nastawić karku. – Baron wyraźnie nie czytał w jej myślach. – Ale w końcu po co się ma kark? – rzucił z cynicznym uśmiechem. – Twoi rodzice są moimi przyjaciółmi, więc...

Drzwi otworzyły się z trzaskiem. Do pokoiku wpadła roztrzaskana Gilberte. Zwykle schludna i opanowana, miała krzywo zapięty kurtkę, a jej czarne włosy były w kompletnym nieładzie.

– Dopiero Jacques powiedział mi, że tutaj jesteście – zawołała, z trudem łapiąc oddech. – Mało nie umarłam z przerażenia! Co się stało?

– Prawda mówi ci, nic. – Ann westchnęła.

– Właśnie zastanawiam się, co robi – dodał baron. – Czy nie powinnyście już wychodzić do szkoły?

– W tej sprawie przychodzi – wyjąknęła Ann. – Chciałam powiedzieć Gilberte, że nie pójdę dzisiaj do szkoły.

– Oczywiście, że pójdziesz – powiedział baron ostro.

– *Papa* ma rację. – Gilberte pochyliła się nad Ann i wzięła ojca za rękę. Była od niego o dobrych dziesięć centymetrów wyższa. Tych dwoje wyraźnie nie było niezmiernie uczucie.

– Siedź tutaj sama, w najlepszym wypadku może oszaleć.

W szkole też zdawało się jej, że oszaleje. Deklinacje niemieckie i łacińskie, logarytmy, nazwiska, daty – wszystko przelatywało mimo uszu. W wyobraźni Ann stale pojawiali się matka i ojciec dręczeni przez jakiegoś łobuza na stanowisku, w rodzaju inspektora Dubret, czy katowani przez umundurowanego bandziora pokroju Figeaca. Wreszcie wybiła czwarta. Ann, nie oglądając się na Gilberte, wybiegła od *madame* Bernard. Wpadła do bramy i rzuciła się po schodach na górę. Kiedy mijała dozorcówkę, wychynęła z niej *madame* Jargaux.

– Dobra nowina – zawołała w uniesieniu. – Najlepsze wiadomości!

Ann, przeskakując po dwa schody naraz, dopadła dzwonka.

– Po co ten po piech, kochanie? – Drzwi otworzyła matka.

– Przecież wiesz, że nie dobiegnę szybciej, niż potrafi. – Ta rzeczowa uwaga kłóciła się

z podejrzenie błyszczącymi oczami Dorothy.

Ann rzuciła się matce na szyję, wciśniętym w jej pachy zapachem kulek na mole, przemieszany z wyziewami kuchennymi i lekko słonym potem. Zapach dawno zapomnianego bezpieczeństwa.

– Co się stało? Kiedy ci wypuścili? Gdzie jest tata?

– Po kolei, nie wszystko naraz. Wróciłam około dziesiątej rano, a ojciec przecież o tej porze zawsze jest w szpitalu.

– Oczy Dorothy nadal były suche, jednak w głosie pojawiła się surowa nuta. – A teraz musisz z tobą porozmawiać, moja pannko. *Madame* Jargaux powiedziała mi, że sama wybrała się do komisariatu.

Dorothy zawsze lubiła swoje zmartwienia i niepokoje zachować dla siebie, podobnie też Ann nie zamierzała bynajmniej zwierzać się z tego, co przeżyła w komisariacie, jednak ta prozaiczna reprimenda wydała jej się boleśnie nieestosowna.

– Może ci trudno w to uwierzyć, ale bardzo się o was bałam.

– Przecież *madame* Jargaux wyjaśniła ci, że poszło o moje dokumenty.

– Wywalił ci furgonetkę policyjną! Nie udawaj, że to nic takiego!

– Ann, wyobraź sobie, jak musiała się wczoraj poczuć, ale nie życz sobie, żeby narażała się bez potrzeby.

– Całą noc trzymali cię w komisariacie!

– Był ze mną ojciec. – Dorothy weszła do kuchni. – Kiedy dodzwonili się do ambasady, była już prawie godzina policyjna. Inspektor okazał się bardzo uprzejmym człowiekiem. Pozwolił nam zostać na noc w swoim biurze.

Sięgnęła do szarki, odwróciła się plecami do córki. Patrzyła na jej wychudzone, przesadnie wyprostowane ramiona, Ann zastanawiała się, czy matka mówi prawdę, czy też coś ukrywa.

– Spotkali cie barona de Permont?

Dorothy zdejmowała właśnie filiżankę z haczyka, porcelanowy uchwyt wyśliznęła się jej z ręki. Krzyknęła cicho, w ostatniej chwili ratując naczynie.

– Baron? Gdzie niby mielibyśmy go spotkać?

– Próbował się dowiedzieć, co się z wami stało.

– Poszła do barona! – Miar konsternacji Dorothy był fakt, że przerzuciła się na angielski. – Jak mogła go tak... niepokoić?

– Gilberte powiedziała mi o wszystkim. Była prawie tak samo roztrzęsiona jak ja. Wiesz dobrze, mamo, poszłabym do samego Hitlera, gdyby było trzeba. Tak się dziwnie składa, że kocham ciebie i tatę.

– Wiem dobrze, kochanie, my cię bardzo kochamy. – Dorothy osuszyła oczy i wytarła nos. – Musisz się jednak nauczyć, że nie powinniśmy policji utrudniać wykonywania zarządzeń.

Od kiedy dowiadywanie się o losy własnej rodziny nazywa się utrudnianiem wykonywania zarządzeń? – zastanawiała się Ann. Quent Dejong ma w tym rację. Paryż przestał być odpowiednim miejscem dla Amerykanów.

Powinni my wracać do kraju – zauważyła Ann przy obiedzie.

– Właśnie nie staramy się to załatwić. – Horace zerknął na siedzącego naprzeciwko.

Ann ze zdumieniem upuściła łyżkę do wodnistej kartoflanki, która służyła im za cały obiad. Wydarzenia ostatniego dnia i zeszłej nocy musiały widocznie przeważać i leżały w cieniu skrywania i kłamstwa rodziców przed powrotem do ojczyzny. Ta para, która poza murami własnego mieszkania przemyciała się jak cienie, w komisariacie musiała chyba umierać ze strachu.

– Właśnie ciwie mam zamiar wyjechać, zanim zostanie deportowany – oznajmił Horace.

– Już wyjeżdżamy? – dopytywała Ann.

– Troszkę cierpliwość, moja panno. – Serdeczny miech Dorothy zabrzmiał trochę sztucznie.

W następnym tygodniu oddziały Wehrmachtu zajęły Odessę, niemiecka artyleria ostrzelała Moskwę, niemieckie łodzie podwodne „niechcący” storpedowały u wybrzeży Islandii amerykański okręt *Keamey*, a w Nantes rozstrzelano pięćdziesięciu niewinnych Francuzów w odwecie za zabójstwo niemieckiego oficera.

Horace i Dorothy do późnej nocy omawiali plany. Oszczędności pozwalały im na wynajęcie kabiny na pokładzie trzeciej klasy, nie mogli jednak zdecydować, czy bezpieczniejszy będzie statek francuski czy argentyński. Kiedy i w jakich słowach Horace powinien zawiadomić doktora Descourset? Komu sprzedać meble? Rozmawiali opanowanym głosem, jednak ich oczy błyszczały dziwnie, jak gdyby wpatrywali się w olepiającą wiatro.

Której nocy w połowie listopada Ann obudziło wycie syren. Próbnym alarmom organizowano dwa, trzy razy w tygodniu. Horace już biegał po drzewach.

Stół piwnic wypełniał płacz niemowląt, kaszel i marudzenie dzieci, plotkowanie o siadach. De Permontowie, jak zwykle, nie zeszli na dół. Cała rodzina okazywała arystokratyczne lekceważenie wobec niebezpieczeństwa oraz *défense passive* przed nalotami. Para ich służących zeszła wprawdzie na dół, jednak odseparowała się od reszty towarzystwa, kryjąc za wielkim kałużem wystygłego pieca kotłowni. Pół godziny później alarm odwołano.

Ann podniosła przeciwlotnicze rolety, rozsunęła firanki, otworzyła okno, wreszcie okiennice. Słone światło zajaśniało przez szczelinę w warstwie szklonych chmur. Przecięgając się w jego bladej powłoczce, Ann zerknęła na zegarek. Za pięć dwunasta? Czy to może być liwe? O wpół do drugiej miała z Gilberte iść do Odeonu na Montparnassie, aby obejrzeć *Pontcarral* Jeana Delannoya, film historyczny, o którym szeptały, że przemycił akcenty antyniemieckie.

Szybko narzuciła coś na siebie i weszła do kuchni. Dorothy siedziała zgnębiona nad plikiem kartek tylko ciowych.

– Podobno mają obciąć przydziały chleba – powiedziała z westchnieniem.

– No to będziemy jeść ciasto. – Ann ucałowała matkę w czubek siwej czołwy. – Już niedługo nie będziesz się przejmować adnymi kartkami, tylko piekłaś słodkie bułeczki i polewałaś je sosem z indyka. Czy Gilberte zaglądała do nas?

– Gilberte? – powtórzyła Dorothy dziwnie piskliwym głosem. – Były cie umówione?

Od czasu pami tnej nocy na *comissariat de police* stosunki Horace’a i Dorothy z de Permontami uległy nie wyja nionej metamorfozie. Dawniej wydawało si , e sprawiaj Dorothy wielk przyjemno , a Horace czerpie z nich wr cz poczucie własnej warto ci, teraz kontakty stały si jakby niezr czne. Tłumacz c si pó nym powrotem Horace’a z kliniki, w jednym tygodniu odwołano wtorkowy, w nast pnym – czwartkowy obiad. Przestali si zasiadywa u de Permontów i po piesznie spo ywali posiłki we własnym gronie. Kiedy Ann chciała odrabia lekcje z Gilberte, Dorothy wynajdywała szybko jakie zaj cia w domu. Ann gubiła si w domysłach. Jedynym powodem tej nagłej zmiany mogła by był cznie duma ura ona subtelnym odcieniem *noblesse oblige*, z jakim baron ruszył im na pomoc – stwierdziła wreszcie. Mimo koneksji w najwy szych kr gach udało mu si tylko dowiedzie tego, co pa stwo Blakely i tak ju wiedzieli – posiadacze paszportów neutralnych krajów byli rutynowo sprawdzani na okoliczno ewentualnych fałszerstw.

– Idziemy dzisiaj do kina. Pobiegn na gór powiedzie , e jestem prawie gotowa.

– Najpierw sko czysz je , a potem pozwol ci wyj z kuchni – o wiadczyła Dorothy podniesionym tonem. – Jeste stanowczo za chuda!

Ann posłusznie namoczyła szary, gliniasty chleb w wodnistej *café au lait*. Od czasu znikni cia rodziców jej stosunek do nich bardzo si zmienił. Zawsze kochała Horace’a i Dorothy, jednak o ile dawniej denerwowały j ich kwocze instynkty, o tyle teraz sama zaczęła wobec nich przejawia odruchy opieku cze.

Nie miała serca odziera ich ze złudze , chocia do szału doprowadzały j nie ko cz ce si debaty na temat wyjazdu.

Szczerze mówi c, była zadowolona, e nie maj dot d adnych konkretnych planów. ciskało j w gardle na sam my l o tym, e kraj, w którym przyszła na wiat, ma opuszcza wła nie w czasie dotkliwej kl ski. Jak e miała odpływa do lodów i tłustych befsztyków, skoro wszyscy jej znajomi chudli i czernieli na okupacyjnej diecie? Jak egna si z kole ankami ze szkoły, z nauczycielami, s siadami, z *madame Jargaux*? Jak zostawi Gilberte, która znała ka dy jej sekret?

Wstała od stołu i pobiegła na gór , tłumi c rozdra nienie, jakie wzbudzało w niej dochodz ce zza pleców sapanie Dorothy.

Zadzwoiła. Nikt nie otworzył. Z całej siły zaczęła stuka w drzwi.

– Wyszli – stwierdziła Dorothy.

– Niemo liwe! Cały tydzie rozmawiały my z Gilberte o tym filmie.

– Nie ma rzeczy niemo liwych. – Był to jeden z ulubionych komunałów Dorothy. – Chod my na dół.

– Ale przecie zawsze zostaje Jacques, czy te Hèléne.

– Pełne wargi Ann zapadły si i zbiełały, jakby przycisnęła usta do szyby. – Pójd do *madame Jargaux*, wpu ci mnie do ich mieszkania.

– Nie! – wykrzykn ła Dorothy, po czym, skubi c fr dzle wełnianej chusty, dodała tonem, jakim mówi si do małego dziecka: – Gilberte musiała po prostu zapomnie . Poszli gdzie , i tyle.

Jednak Ann p dziła ju po schodach, by zaalarmowa *madame* Jargaux, e w mieszkaniu de Permontów nikogo nie ma.

– Niemo liwe. – Dozorczyni potrz sn ła głów tak gwałtownie, e kilka siwych kosmyków wymkn ło si z jej koczka.

– Na pewno nie wychodzili nigdzie rano, ani rodzina, ani para tych zarozumialców.

– Helen i Jacques zawsze otwierali, kiedy si dzwoniło. Czy pozwoli mi pani wzi klucz do ich mieszkania?

– Nigdy, przenigdy nie spuszczam oka z kluczy moich lokatorów. – *Madame* Jargaux wypr yła bezkształtny tułów na baczno , spojrzawszy jednak w zatroskan twarz ulubienicy, złagodniała. – Skoro jednak panienska mówi, e nikt nie otwiera, to moim obowi zkiem jest sprawdzi , czy gaz si nie ulatnia. – Starowina przystawała co drugi stopie , eby rozmasowa zartretyzowane kolana. Wlokła si na gór przera liwie powoli. Kiedy wreszcie otworzyła drzwi mieszkania, Ann odetchn ła z ulg . Spodziewała si , e zastanie mieszkanie spl drowane, tymczasem wielka stara sekretera i inkrustowany stolik sewrski po dawnemu królowały w schludnym przedpokoju. Jedynymi oznakami bałaganu, jakie odkryła po piesznie lustruj c mieszkanie, były nie po cielone ło ka domowników i kozetka Jacquesa przy kuchennym piecu.

– Nic nie rozumiem – wyznała *madame* Jargaux. – Je li nawet baron poszedł gdzie z on i córka w czasie alarmu, to co si stało z t dwójk ? Przecie byli z nami w piwnicy, prawda? Niemo liwe, eby pi osób ulotniło si jak gdyby nigdy nic!

Ann przeszył dreszcz. Takie czary nie zdarzały si w Pary u. Je li kto znikał, to na pewno maczała w tym r ce policja albo gestapo. Musi si dowiedzie , co si stało z de Permontami i ich słu b . Ale jak? Nie była na tyle szalona, eby jeszcze raz i na policj . Quent Dejong – przyszło jej do głowy. Wła ciwie stale gdzie si bł kał w zakamarkach jej wiadomo ci. Po chwili zastanowienia stwierdziła, e decyzja jest trafna – Dejong jest przecie krewnym de Permontów i posiada koneksje w ród wysoko postawionych Niemców. Czy jednak nadal bawi w Pary u? Gilberte, po tym jak wygadała si o młodzi czej przygodzie Quenta, z powrotem pogr yła si w swojej m cz cej uporczywej skryto ci, a Ann nie pytała o nic wi cej, w obawie e zdradzi j rumieniec. Jak e nazywał si ten hotel, w którym mieszkał z Larrym Porterem i gromad ameryka skich dziennikarzy? Pyrenees? Mo e Pyramide? Tak – to wła nie to. Hotel Pyramide, koło Champs-Élysées. W dzielnicy, w której roi si od niemieckich ołnierzy. Matka nigdy by jej nie pozwoliła pój do hotelu Pyramide. Pomogła *madame* Jargaux dowlec si do stró ówki, po czym wróciła na gór , cały czas my l c nad tym, jak by wyrwa si spod czujnego oka matki.

– W tej sytuacji pójd chyba do kina sama – oznajmiła.

– To zupełnie do ciebie niepodobne. – Dorothy spojrzała na ni badawczo.

– Dlaczego? I tak jestem ju gotowa do wyj cia, a wiesz, e mam bzika na punkcie Delannoya. Podobno to jego najlepszy film.

Piwne oczy Dorothy zw ziły si podejrzliwie. Domy łała si , e' dziewczyna s umówione z chłopcami z *lycée* Paula Berta i Ann nie ma zamiaru rezygnowa z randki. W podejrzeniach utwierdziła j staranno , z jak Ann ubierała si do wyj cia. Wła yła

najlepszy niebieski sweter i kraciast spódnic , a kołnierz płaszcza obwi zała zielonym szalikiem.

– Odprowadz ci do kina – o wiadczyła. – Obiecałam, e wpadn pomóc tacie. – Była o wiele bieglejsza w meandrach ksi gowo ci ni Horace, potrzebował jej pomocy wobec nowych przepisów podatkowych wprowadzonych przez Niemców.

Kronika pokazywała Messerschmitty lec ce w szyku bojowym na konwój nieprzyjaciela. Ann chyłkiem wymkn ła si z Odeonu.

Wysiadła z metra przy Champs-Élysées. W pierwszej chwili cofn ła si , jakby chciała odzyska bezpiecze stwo w ciepłym zaduchu stacji. Nad Łukiem Triumfalnym w otoczeniu setki małych szkarłatno-czarnych chor giewek królowała ogromna swastyka. Szerokim bulwarem ci gn ły niemieckie samochody wojskowe, na chodnikach roło si od niemieckich mundurów.

Hitler postanowił, e dla oddziałów stacjonuj cych w Europie Zachodniej Pary ma by czym w rodzaju gigantycznego wesołego miasteczka. *Soldaten* na przepustce zapełniali salki kabaretów, łopali wino gapi c si na rozebrane dziewcz ta, opychali si w kafejkach z wykaligrafowanym po niemiecku menu, wykupywali, co si tylko dało, na prezenty dla pozostawionych w domu on i przyjaciółek. Dowództwo niemieckie zarekwirowało burdele miejskie, ustanawiaj c nast puj cy porz dek: wyrafinowane dziewcz ta słynnych przybytków skupionych wokół place Louvois miały by zastrze one dla oficerów wy szych rang, podczas gdy mniej wykwintne do my obsługiwały oficerów ni szej rangi i zwykłych ołnierzy. Ci ostatni, w hała liwych, pijanych grupkach, tłoczyli si oczekuj c na swój kolejk pod zamkni tymi drzwiami klitek, w których trwał nieustaj cy ruch. Do patroluj cych ulice *putains* wszyscy mieli równe prawa.

Młody *matrose* przystan ł na schodach obok Ann.

Niewiele wy szy od niej, był mniej wi cej w jej wieku. Zdj ł z głowy czapkę marynarsk . Spojrzał na niebo o barwie ołowiu.

– Mam nadziej , e nie b dzie pada – zwrócił si do Ann z nie miałym u miechem.

Odpowiedziała mu równie nieskomplikowan niemczyzn – niemiecki był u *madame* Bernard obowi zkowym przed miotem, w którym bynajmniej nie celowała – e ma tak sam nadziej .

– Id wła nie na okresowe badania weneryczne – dodała. Młody marynarz oblał si purpur i pognął po schodach na gór , kieruj c si w stron *Soldatenkino*, kina wydzielonego specjalnie dla ołnierzy niemieckich sił zbrojnych.

Staruszek o gniewnym spojrzeniu, który piekł kasztany u wylotu stacji, niehc cy albo naumy lnie le pokazał drog do Hotelu Pyramide. Ann bł działa tam i z powrotem sieci w skich uliczek rozpi tych mi dzy szerokimi bulwarami prowadz cymi do Placu Gwiazdy.

Min ła obskurny hotelik, w którym Niemcy w towarzystwie trz s cych si z zimna prostytutek czekali, a zwolni si pokój; ruszyła przed siebie szybkim krokiem, cigana spro nymi komplementami dwójki pijanych pilotów Luftwaffe, spławiła uprzejmego, młodego porucznika o powa nym wyrazie twarzy. Za ka dym zakr tem ogarniał j coraz wi kszy strach. Na rue la Boetie dotarła biegiem. Jej wzrok padł na uszkodzony szyld:

HOTEL PY-AM-DE.

Niewielki szary od dymu hall hotelowy tonił w gwarze amerykańskich rozmów. Ann ze zdumieniem stwierdziła, że za cały ten dym i hałas odpowiedzialnych jest raptem pięćdziesięciu mężczyzn, którzy dyskutowali skupieni wokół niskiego, zastawionego butelkami stołu.

Nie było wśród nich ani Larry'ego, ani Quenta.

Recepcjonistka uniosła wzrok znad robótki. Jaki błysk w jej woskowych oczach ostrzegł Ann, żeby nie podchodziła bliżej. Towarzystwo – czy rzeczywiście wszyscy byli dziennikarzami? – złożyło ukłon w stronę jej płci, unosząc się z niskich krzeseł, by zawisnąć w pół drogi między pozycjami siedzących a stojących.

– *Ej, bonjour chérie, hello bébé, He-llo* – odezwał się łysiejczyzna o twarzy ozdobionej gładkim czarnym wosem.

– Czy mogliby mi panowie powiedzieć, czy mieszka tutaj *mister* Ojuent Dejong? – spytała po francusku.

– Udał się za potrzebę – odparł mężczyzna z wosem.

Co miało znaczyć to, co powiedział? Czy, odcięta od najnowszych pism i filmów amerykańskich, nie nadawała się za slangiem?

– A Larry Porter? – spytała uznawszy w końcu zwrot za informację, że Quenta nie ma już w Paryżu.

– Larry? Wyjechał. O ile dobrze go znam, pławi się w bimbrze. W życiu nie spotkałem chłopaka, który by się tak potrafił zawsze urządzić. Proszę bardzo, niech pani posadzi swój licznik...

Ann nie dosłyszała reszty. Ze schodów zbiegł Quent. Był jeszcze wyższy, potężniejszy i bardziej pewny siebie niż w jej wspomnieniach. Ann poczuła, że spływa na nią błoga ulga. Zaraz będzie mogła się podzielić swym niepokojem.

– Ann? – Stanął w miejscu, przekrzywiając głowę w zaskoczeniu.

– Cześć, Quent. – A więc nie musiała mu się przypominać.

– Co ci tu sprowadza?

– Twoja osoba albo Lany – zarząca jeden z mężczyzn. – Damulka jest bardzo sprawiedliwa, wszystko jej jedno, czy spotka ciebie czy Larry'ego.

Quent nie zwracał uwagi na dobroduszny pijacki rechot.

– Chodźmy napić się kawy – zaproponował zdejmując eleganckie tweedowe marynarkę z wieszaka.

Wyszli z hotelu. Po drugiej stronie ulicy mechanik skończył napełniać bak i zakręcił wlot paliwa przy bagażniku. Quent omiół wzrokiem poplamiony niebieski kombinezon. Ann domyślała się, że powinna unikać tych tematów, dopóki nie znajdzie się poza zasięgiem słuchu.

Posuwali się w kierunku l'Etoile. Fizyczna obecność Quenta miała w sobie coś magnetycznego: żeby uniknąć wessania w jego orbitę, odsunęła się jak najdalej na brzeg wskiego chodnika. Idąc, lewa rękawiczka ocierała o witryny.

– Nie mam dowodów na to, że jest szpiegiem, ale on, albo inny pracownik garażu, zawsze

co dłużej na zewnątrz – powiedział, kiedy znaleźli się za rogiem. – Kobieta w recepcji ewidentnie nas podsłuchuje. Nie wyobraź sobie, co nasi korespondenci wymyślą na jej użytek. Ostatnio rozprawiali przy niej o nowej broni typu Flash Gordon, która unicestwi materię.

– Marzy się wam jakiś tajny raport na gestapo? – spytała ze śmiechem.

– Co w tym stylu. Kiedy zobaczyłem cię w hallu, miałaś taką minę, jakbyś wiały coś czytać.

Śmiech umilkł. Kilka metrów przed nimi słychać szuranie siatek brudnych marchewek. Ann wyczekała, a podstarzała gospośka zniknęła w kamienicy o zabitych deskami oknach.

– Nie znam nikogo, do kogo mogłabym się zwrócić. Chodzi o de Permontów – poinformowała go szeptem.

– Co się stało?

– Mieszkanie jest puste.

– Co znaczy „puste”? – Przystanął i spojrzał na Ann.

– Nie ma nikogo.

Jego opalenizna jakby nagle przygasła. Ann dostrzegła dwie podobne do ziaren blizny, jedną przy kącie lewego oka, drugą koło ust – zapewne pozostało po ospie wietrznej.

– A słychać? – spytał matowym głosem. – Te zniknęły?

– Mieszkanie jest całkiem wyludnione. – Ann westchnęła. – Weszłyśmy razem z dozorczyńcami. Władcy rabunku czy plądrowania. Widać, że wszyscy spali w łóżkach. Dziwne i przerażające. *Madame* Jargaux, dozorczyńca, nie słyszała, żeby ktokolwiek wychodził.

– Mogli się wymknąć podczas alarmu.

– Baron, baronowa i Gilberte, owszem. Nie schodzili w ogóle do piwnicy. Ale Jacques i Helen byli na dole. – Poczucie pierwszej kropli deszczu na twarzy. – Tymczasem nie ma całej piwnicy.

Ojciec wsunął ręce głębiej w kieszenie. Nie umiała powiedzieć, czy był przerażony, wściekły, czy może były go wyrzuty sumienia – wiedziała tylko, że boi się jego miny. Nagle twarz Ojca straciła całkowicie wyraz, jak gdyby, jego umysł zdystansował się do informacji. Wydał się Ann daleki i przeraźliwie samotny.

– Zaczłom y – powiedział.

Ruszyli znów przed siebie; mokre plamy na chodniku robiły się coraz głośniejsze.

– Zwykle nie zgarniają całych rodzin, chyba że mają do czynienia z tyłkami – zauważył po chwili.

– Co będzie, jeśli zostali aresztowani?

– Miejmy nadzieję, że nie dostali się do więzienia.

– A jeśli siedzą? Znasz jakiś sposób, żeby ich uwolnić?

– Jak to sobie wyobraź? – spytał cynicznie. – Zwolnieni za kaucję?

– Nie jestem idiotką! – Krew uderzyła jej do twarzy. – Wiem, że znasz różne niemieckie grube ryby.

– Bankierzy to ostrocy naród. Na całym świecie są podobni do siebie.

Nie odezwali się już, dopóki nie doszli do końca pustej i zalanej deszczem uliczki, tej samej, na której piloci Luftwaffe darli się wczoraj za Ann.

– Dowiem się, co się z nimi stało – odezwał się wreszcie Ouent.

– My lałam, a bankierzy to ostro inny naród.

– Generał von Hocherer może zechce pomóc.

– Von Hocherer? Ta kreatura, która zarekwirowała ich dom?

– Nie on o tym zdecydował. Hocherer lubi i szanuje André.

– Owszem, pozwolił im wziąć trochę mebli z piwnicy. Nazywasz to przyjaciółmi?

– W latach dwudziestych obaj współpracowali w Komitecie na rzecz obniżenia roszczeń wojennych Francji wobec Niemiec.

– Współpracowali? – spytała Ann, wyraźnie zaskoczona. Teraz dopiero zobaczyła, jak gruby i wysoki był mur, za którym Gilberte chroniła sprawę swojej rodziny.

– Owszem. Nie muszę ci chyba przypominać, że komitetowi się nie powiodło. Niemiecka gospodarka zrobiła „kaput” i robactwo powychodziło z nosa. Ale Hocherer to pruski arystokrata starej daty, dla którego liczy się kodeks honorowy.

– Podobnie jak dla wszystkich hitlerowców, nie dzisiaj? – zakpiła zastanawiając się, co skłaniają do ciętego dogryzania Ojentowi. Odpowiedź była bardzo prosta: chciała mu odplacić za jego udział w zwolnieniu za kaucją.

– Hocherer nie jest hitlerowcem, jest żołnierzem. – Był bez kapelusza. Przejechał ręką po opalonym czole, strząsając krople deszczu. – Ann, czy nie przyszło ci do głowy, że de Permontowie mogli przejść przez zieloną granicę na tereny nie okupowane? Może liwie, żeś w tej chwili w drodze do Hiszpanii albo Szwajcarii. Wyobraź sobie teraz, że idziesz do jednego z tych ludzi, z którymi prowadzisz interesy. Pierwsze, co zrobi po moim wyjściu, będzie telefon do Berlina, żeby skontaktowano się z Vichy.

Rezydujący w Vichy rzad strefy nie okupowanej tak czył tak, jak zagrali mu Niemcy. Czy było jednak możliwe, żeby rodzina barona uciekła? Ann wydawało się przez moment, że słyszy Gilberte, która mówi z wyniosłą niedbałością: „De Permontowie nigdy nie uciekają”.

– Mogli zostać zmuszeni do ucieczki. – Na twarzy Quenta pojawiły się bruzdy.

Wygląda, jakby się czuł winny – pomyślała.

– Słyszysz, że generał może coś pomóc? – spytała.

– Jeśli wiadomo ci, że to niedobre, nie będzie mógł wiele zdziałać. W kwestiach tak zwanego bezpieczeństwa wewnętrznego gestapo ma więcej do powiedzenia niż wojsko. – Przy pieszył kroku, zmieniając nieoczekiwanie temat. – Niedaleko stąd jest dobra przedwojenna cukiernia.

– Powiedziałam, że idę do kina. Muszę wracać.

– Jeśli zaraz wrócę do Pyramide, może to wyprawy podejrzanie w oczach naszego nadwornego szpiega.

– Faktycznie. – Nagle, ku własnemu zaskoczeniu, Ann dodała: – Przepraszam, że się tak wyśmiałam.

– Jesteś zdenerwowana. Ja też jestem zdenerwowany. Proponuję pakt o nieagresji.

U wlotu na Champs-Élysées skręciła w lewo. Żołnierz na przepustce, starając się zrobić z

ponurej listopadowej pogody najlepszy u ytek, ogl dali wystawy albo fotografowali si nawzajem pod ociekaj cymi wod płóciennymi markizami. Mundury przestały ju przera a Ann. Quent był wi kszy i silniejszy od ka dego Niemca.

– To tu – powiedział w ko cu.

Salon de thé znajdował si na rogu. Oszklon werand zdobiły donice z jodłami. W rodku panował tłok. Damska cz klienteli nosiła zabawne, wykwintne kapelusiki. M sk cz stanowili o pokolenie starsi cywile w dobrze skrojonych garniturach lub wy si rang oficerowie. Trio smyczkowe wykonywało *Chanson d'amour*, słodkie d wi ki ton ły jednak w gwarze francuskich i niemieckich rozmów.

Odebrano od nich wilgotne płaszcze. Ojuent wyra nie nie miał najmniejszego zamiaru czeka w tłoku, a zwolni si jaki stolik. Uniósł r k . Ugrzeczniomy m czyzna o lisiej twarzy przywitał go, zwracaj c si po imieniu, nast pnie poprowadził mi dzy rz dami ciasno poustawianych stolików.

Towarzystwo przy s siednich stolikach wydawało si zbyt zaabsorbowane własnymi rozmowami, eby podsłuchiwa , jednak Ann uznała, e rozs dniej b dzie nie mówi w tym miejscu o de Permontach. Złapała si na tym, e artuje i przekomarza si z Quentem, by wywoła na jego twarzy u miech. Nie było to łatwe, jednak kiedy ju odstaniał rz dy równych nie nobiałych z bów, gdzie ulatniała si cała jego powaga i Ann miała wtedy wra enie, e podoba si m czy nie, który obcował ze słynnymi pi kno ciami.

Do stolika zbli ył si kelner z pełn tac . Torcik malinowy z bit mietan był z prawdziwych jajek i prawdziwej mietany; Ann musiała wykaza cał sił woli, eby nie po re go za jednym zamachem.

– Masz ładny sweter i bluzk – zauwa ył. Chodziło mu o kołnierz, który obszyła koronk ze starej wizytowej sukienki i przyszyła do pruj cego si dekoltu szaroniebieskiego sweterka.

– Ten stary ciuch? – zdziwiła si .

– Ładnie ci w tym kolorze.

– Sama to uszyłam.

– Naprawd w wolnych chwilach zajmujesz si szyciem?

– Czy sprawiam wra enie kury domowej?

– A jeste ni ?

– Powiniene posłucha , co o tym s dzi moja matka.

– A wi c nie jeste .

– Tak naprawd chciałabym by projektantk mody. – Westchn ła na wspomnienie sfatygowanych, wielokrotnie wymazywanych szkiców z „projektowania”.

– Czemu wzdychasz?

– Prawdziwy talent ma Gilberte.

St ał i znów przez chwil miała wra enie, e przebywa gdzie bardzo daleko. Czy był podobny do Gilberte? Czy, jak ona, lubił swoj osob i sprawy własnej rodziny trzyma z dala od ciekawo ci plebsu?

Oboje zamówili herbat . Okazało si , e w tym lokalu herbata nie jest lurowatym naparem z niewiadomego zielska.

– Nie masz pojcia, co to znaczy znów pić prawdziwą herbatę – powiedziała delektując się kolejnym łykiem.

– Klientela jest tutaj dość wymagająca.

– Mimo to od razu dostała stolik – zaartowała.

– Znam właściciela najdłużej ze wszystkich.

– Chcesz powiedzieć, że masz na strychu portret, który starzeje się zamiast ciebie?

– Przychodziłem tu z moją *grand-mère*. Miała dom w Neuilly.

– Ile miała lat, jak zaczęła tu bywać?

– Byłem tak mały, że nie pamiętam.

– Roczek? Dwa latka?

– Pamiętam tylko tyle, że miało mi to osłodzić różki z niani Greves.

– Niania Greves! To brzmi zupełnie jak postać z powieści Galsworthy'ego.

– No to już wiesz, jak wyglądała.

– Co najbardziej lubiła jeść?

– Zawsze zamawiałem takie samo ciasto: *tarte Tatin*, bo lukier na jabłkach był tak twardy, że kelner musiał rąbać go nożem.

– Widz, że naprawdę jesteś bywalcem tego lokalu. Mam jednak wrażenie, że w jakimś innym miejscu też dostałbyś stolik.

– Ann?

– Co?

– Nie mówi się takich rzeczy.

– Chciałam ci tylko powiedzieć coś miłego.

– Tymczasem mnie podsumowała.

Już chciała zaprotestować, kiedy nagle dotarła do niej słuszność tego, co powiedział. Zaczzerwieniła się i wbiła wzrok w filiżankę herbaty. Wyciągnęła rękę i dotknęła leciutko jej małego palca. Gwar rozmów i brzęk sztućców przeszły nagle w łomot krwi w skroniach. Ann miała wrażenie, że z ogromną szybkością spada w dół, jak na rowerze, jest przerażona, ale to przerażenie ją podnieca. Natychmiast upomniała się, że ta reakcja na jego delikatny dotyk jest zgoła nieproporcjonalna, jednak nigdy w życiu nie czuła się taka bezsilna w obecności innej ludzkiej istoty, nawet wtedy, gdy leżała przyciśnięta twarzą do stołu w *commissariat*. Zatrząsała się z przerażenia i odsunęła dłoń.

– Musz wracać. – Zabrzmiało to bardziej prozaicznie, niż by chciała.

Wstał. Nie poprosił o rachunek i aden kelner go nie cigał. Młodziyna o lisiej twarzy podał Ann wilgotne, wywiechtane palto. Kiedy upychała do kieszeni przemoczony szalik, egnał ich wylewnie.

Doszli na stację George V. Ann zaczęła gwałtownie przetrząsać portfel w poszukiwaniu centymów – brakowało jej drobnych monet, a bilet można było kupić wyłącznie za odliczoną sumę.

– Dam ci znać, jak tylko czegoś się dowiem – owiadczył.

– Dziękuj ci bardzo.

– To ja ci dziękuję, Ann, za to, że od razu mnie zawiadomiła.

– Ehm... wolałabym, żeby nie przychodził do mnie do domu. Moi rodzice ogromnie by się zdenerwowali, gdyby dowiedzieli się, że ja... no wiesz, poszukuj zaginionych.

– Znajdź jakiś sposób, żeby się z tobą skontaktowała.

– Wiesz, oni strasznie lubią się zamartwiać – dodała nie chcąc, żeby mylnie zrozumiał jej słowa.

– Czy zdecydowali się już na powrót?

– Tak, wkrótce wyjeżdżamy. – Przeniosła wzrok na plakat przyklejony do białych kafli muru metra. Brytyjski ołnierz bagnietem atakował kobiecą personifikację Francji. – Zastanawiasz się, którym statkiem będzie najbezpieczniej płynąć.

– Może powinni cię polecieć samolotem Pan Arnu?

– Polecieć?

Ani Horace i Dorothy, ani żadna ze znanych jej osób nigdy w życiu nie leciała samolotem. Samolot latał dwa razy w tygodniu z Lizbony do Nowego Jorku, 1 dując po drodze na Azorach. Bilet kosztował bajecznie sumy, a miejsca były podobno zarezerwowane na rok z góry.

– Słuchaj, może dałbym radę załatwić wam wolne miejsca – oświadczył.

– To bardzo miło z twojej strony.

– Ann, to już ostatnia chwila, żeby wydostać się z Europy. Twoi rodzice naprawdę mają zamiar wyjechać, czy to tylko takie gadanie?

– Jestem bardzo wdzięczna za twoją propozycję – wybiegła za enowana i zbiegła po schodach na peron.

W wagonach panował tłok. Przygarbiony sierżant Luftwaffe chciał jej ustąpić miejsca, jednak potrzebowała odmownie głową.

Ujęwszy w zamyśleniu uchwyt, kołysząc się na boki, jechała przez ciemne tunele metra. Miała zorganizować pomoc dla de Permontów, a czym się w rzeczywistości zajmowała? Wieszko czasu spędziła flirtując z mężczyzną, na którym zależało jej najlepszej zaginionej przyjaciółce – Gilberte. W dodatku nie miała najmniejszych szans – Quent Dejong pochodził ze świata nianieek, domów w Neuilly, naiwnych dziewcząt i gwiazdek filmowych, świata, który mimo wojny istniał nadal.

Jednak jej nieposłuszne ciało wciąż rozplątało się na wspomnienie dotyku, jakim obdarzył jej mały palec.

Minęły dwa mroźne tygodnie. Jaka siła zmuszała Ann, żeby raz czy dwa razy dziennie wbiegała po schodach i stukała do drzwi de Permontów. Z dnia na dzień odczuwała coraz większą wierność do Quenta Dejonga. W tamto sobotnie deszczowe popołudnie wydał jej się w najwyższym stopniu godny zaufania, jednak czas mijał i coraz bardziej podejrzewała, że nie działał nic w wiadomej sprawie. Zwykle jej uczucia wobec bliźnich nie podlegały wahaniom – Ann była niesłychanie lojalna – więc utrata zaufania bolała ją tak, że czasem miała ochotę wyjechać. W chwilach większej wyrozumiałości przypuszczała, że chociaż wydał się opowieści o boku poruszony, mógł otrzymać się i później dojść do wniosku, że przyjechał do Paryża w sprawach rodzinnego banku, a nie po to, by poszukiwać dalekich krewnych, którzy w dodatku

mieli na piekno z niemieckimi władzami.

Oczywiście była też inna możliwość: zdobył ją – dobre albo złe – wiadomo ci o de Permontach, ale zapomniał o niej.

Rodzice prowadzili niekończące się rozmowy na temat wyjazdu i ucinali wszelkie rozważania Ann na temat zniknięcia de Permontów. Gazety w dalszym ciągu donosiły o kolejnych zwycięstwach państwa Osi. Pogoda również się nie poprawiła.

Otwierając parasolkę na granitowych schodkach szkoły *madame* Bernard, Ann usłyszała swoje nazwisko, a następnie zaczął się chichot. Przyzwyczała się już do złych liwych docinków, co do niej wyjątkowo nieobecności Gilberte; najbardziej popularna była pogłoska, że arystokratyczna rodzina Gilberte wysłała córkę na wieś, aby zatuszować jej kompromitujący stan. Ann protestowała, ale jej zaprzeczenia kolejno traktowały jako dowody, że Gilberte jest właśnie *enceinte*.

Przygryzając wargi w hamowanej w ciekło ci, Ann wybiegła ze szkoły. Szybkim krokiem przemierzyła *rue de la Grand Chaumiere*. Przeciła *boulevard du Montparnasse* i wplątała się w labirynt uliczek, które stanowiły jej ulubioną trasę powrotu z Gilberte. Gniew powoli zaczął ustępować miejsca smutkowi i niepokojowi.

– Ann! Zatrzymaj się! – Rozległ się z tyłu głos z amerykańskim akcentem. – Dziewczyno, prrr!

Larry Porter, omijając błotnisty wyrw w bruku, machnął do niej ręką. Kołnierz trencza miał podniesiony, plecy ciemne od deszczu. Biegł drobnym truchtem.

– Trenujesz na czterysta metrów, czy jak? – spytał przechodząc na angielski.

– Widz, że jednak nosisz trencz – odparowała.

– Tylko w taką pogodę – odpowiedział ze śmiechem. Wziął od niej tornister i parasol. – Czy w tym kraju chłopcy noszą dziewczynom księżki?

– W Paryżu to nie jest powszechnie przyjęte, a w Van Nuys? – zagadnęła.

– Cóż za pamięć! – Znowu się roześmiał.

– Dlaczego za mną szedłeś?

– Chodzenie za ładnymi dziewczynami jest powszechnie przyjęte w Van Nuys – odparł ze znaczącą miną. – Mam dla ciebie wiadomość od znanej nam osoby.

– Gilberte? – spytała, nie kryjąc podniecenia.

– Quent Dejong. Kazał ci powiedzieć, że przyszedłby sam, ale musi jechać do Vichy w pilnej sprawie, którą, o ile dobrze zrozumiałem, może załatwić tylko ktoś z wojskowej finansjery.

Dlaczego bogaty, wpływowy mężczyzna miałby tracić czas na przychodzenie do niej osobiście – pomyślała Ann. Bo że, jaka ta uliczka jest ponura! Wytłuczone szyby, farba obłamała z okiennic i drzwi powyrywanych z zawiasów.

– Nie wyglądasz, jakby ci zależało na tej wiadomości – zauważył Larry.

– Zależy mi. Powiedz.

– Kazał powtórzyć: „Generał sędzi, że jest na tropie”.

– To wszystko?

– Wszystko. „Generał sędzi, że jest na tropie”.

– Jeste pewien, e nie dodał nic wi cej?

– Jestem. Musiałem powtarza chyba z pi razy. Rozumiesz co z tego?

Skin ła głow . Wiadomo oznaczała, e po spotkaniu z Ann Quent Dejong zatelefonował do von Hocherà i powiadomił go o znikni ciu de Permontów. Tyle wła nie zdziałał. Prawd mówi c, mógł si troszk bardziej wysili .

– Chyba nie musz mówi , e moja zakuta pała – Lany postukał si po głowie – nic z tego nie kapuje. Powiedział mi te , e nikt nas nie mo e widzie razem. Cytuj : „Lany, nogi ci z du... nogi ci z głowy powyrywam, je li pójdiesz do niej do domu albo pod szkoł ”. Wi c oto jestem, wytropiłem ci jak rasowy pies go czy.

– Dzi kuj bardzo.

– Czy nie mogłaby okrasi swojej wdzi czno ci wi ksz dawk entuzjazmu?

– Naprawd doceniam twój wysiłek.

– W porz dku, teraz jestem ju zadowolony. – Nachylił si zwracaj c jej tornister i nim zd yła przejrze jego zamiary, pocałował j w policzek. Gor cym j zykiem musn ł leciutko skór Ann. Wyrwała si gwałtownie, rozzłoszczona nagłym, dojmuj cym pragnieniem, eby to był nie on, a Quent.

Pó niej, ju w suchym ubraniu, owini ta w pierzyn , usiłowała przeczyta zadany na nast pny dzie esej Montaigne’a. *L'utilité du vivre n'est pas en l'espace, elle est en l'usage...* Warto ci ycia nie mierzy si czasem, tylko tym, co z nim robimy. Ta filozofia zapewne sprawdzała si w epoce Montaigne’a, jednak nie niosła adnej ulgi w wojennym Pary u, w którym jej przyjaciółka mogła by wła nie okradana z czasu swojego ycia.

Z cichym westchnieniem przyło yła głow do łó ka. Gdzie jeste , Gilberte?

Gilberte Wi zienie La Santé 1941

Gilberte le ała na górnej pryczy, z palcem przytkni tym do nosa usiłuj c bez powodzenia odgrodzi si od smrodu buchaj cego z przepelnionego kubła w celi.

Dlaczego tutaj jestem? – zastanawiała si . – Co b dzie dalej? Gdzie s *papa* i *maman*? Czy te dusz si w tej kloace? Kiedy si wreszcie dowiem, za co tu siedz yj ?

Pytania pozostawały bez odpowiedzi. Wiedziała tyle tylko, e ju od pi tnastu dni siedzi w wi zieniu Santé.

Kiedy miała siedem lat, szofer wiózł j boulevard Arago i guwernantka pokazała jej wi zienie. Gilberte, która wła nie siedziała po uszy w *Hrabim Monte Christo*, zadr ała z podniecenia na widok nieprawdopodobnie grubych, wysokich na trzydzie ci stóp kamiennych murów. Przed wojn Santé nie ciło sze ciuset wi niów, za okupacji jednak ich liczba zwi kszyła si do dwóch tysi cy o miuset. Gilberte wepchni to do dwuosobowej celi z siedmioma kobietami. (Kobiety spały parami, cz nocy sp dzały po dwie na jednej pryczy, cz na lodowatej betonowej podłodze. Takie było najnowsze zarz dzenie.) Z wyj tkiem Berthe, młodej rozło ystej w biodrach prostytutki, wszystkie były przedstawicielkami klas rednich, które weszły w kolizj z którym z niezliczonych niemieckich przepisów.

Dwie sklepowe rozprawiwały zawzi cie.

– Nigdy nie sprzedałam bez kartki nawet ziarnka fasoli.

– *Moi non plus, madame, non plus*. Nawet sznurowadła nie sprzedałabym spod lady.

– W yciu bym nie wzi ła o centyma wi cej, ni si nale y.

Gilberte skrzywiła si . Te nie ko cz ce si litanie usprawiedliwie zderzały si niezno nie z jej niepokojem. Gdzie s rodzice?

Wtedy w pi tek, kiedy zbudziły j syreny przed nalotem, ojciec zawołał do niej z korytarza: „Nie musisz wstawa , Gilbert ”. Mimo słonych kar za pozostawanie w mieszkaniach, , rodzina barona rzadko schodziła do schronu. Kul c si w ló ku, rozmy łała o filmie Delannoya, który miały obejrze z Ann nazajutrz. Musiała długo wybija z głowy przyjaciółce, zapraszanie tych dwóch ponurych typków z *lycée* Paula Berta. Charles, który był „par ” do Gilberte, stale si do niej dobierał – jak wi kszo przedstawicielei płci m skiej, uwa ał, e kobieta jest fatamorgan , której realno mo na potwierdzi tylko poprzez dotyk. My li Gilberte stały si senne... Spała ju , kiedy czyja pi z wielk sił zacz ła grzmoci do drzwi. Esesman wsun ł do jej pokoju wygolon głów , krzycz c, e ma si ubra . *Macht schnell*. Usłyszała gardłowe niemieckie rozkazy, pi kny, lekko przekorny głos matki, szorstki głos ojca. Gilberte zawsze podejrzewała, e ojciec jest zwi zany z ruchem oporu. Nie mogła zapanowa nad dr eniem r k. Zdawało jej si , e zapinanie guzików i zatrasków bielizny trwa cał wieczno . Zdecydowała si na mundurek szkolny tylko dlatego, e wietrzył si na drzwiach szafy. Kiedy wreszcie była gotowa, na górze został ju tylko „łysa pała”. Z latark

w r ku pop dził j na dół po schodach i wepchn ł na tył policyjnej furgonetki. Została sama w ciemno ciach.

Cienki płócienny materac ugi ł si pod ci arem *mademoiselle* Lesdain. T ga modystka gramoliła si na gór n prycz . Gilberte wstrz sn ła si z obrzydzenia. Rzadko rozmawiała z towarzyszkami, a kontakty i ich blisko fizyczn odczuwała jako zniewag . Odplącały jej nie skrywan niech ci i przezywały j *la dauphine*. Gilberte była przyzwyczajona do pogardy. Całe ycie w ten czy inny sposób pokazywano na ni palcem. Jej rodzice yli ze sob bez lubu. Ka de z nich nadal w my l litery prawa pozostawało w zwi zku mał e skim z kim innym. Mał e stwa te, zaaran owane przez rodziny, dawno nie istniały ani w sensie duchowym, ani fizycznym, jednak ona jej ojca – wiecznie skwaszona dewotka – odmawiała wszelkich rozmów na temat rozwodu. W swoim brzydkim, ogromnym dziewi tnastowiecznym domu zapewne sp dzała czas, modl c si na kl czkach o szybkie zwyci stwo Niemców i dusz swojego m a. Mał onek ViVi natomiast, antropolog-amator, Romain Cagny, bawił zwykle na ekspedycjach do miejsc tak prymitywnych i odludnych, jak rejon Toraja na rodkowym Celebesie. Wst puj c w zwi zki mał e skie za namow ojca, wytwórcy porcelanowych bidetów i umywalek, któremu zale ało na tym, eby syn w enił si w słynny, cho zubo ały ród Mascaretów, podpisał bardzo korzystn intercyz . Dziwnym mo e sie wyda fakt, e kiedy ViVi opu ciła wystawn rezydencj Cagnych w Saint-Cloud, by otwarcie zamieszka w wysokim zgrabnym pałacyku z André przy boulevard Suchet, adne z opuszczonych współmał onków nie okazało nadmiernej rozpaczy – ani Romain Cagny, ani Hortense de Permont nie czuli si specjalnie dobrze w mał e skim stanie.

André i ViVi przeczekali ostracyzm towarzyski, nic sobie z niego nie robi c, jednak nawet najbardziej rozpustni czy tolerancyjni rodzice nie kwapili si nara a swoich pociech na kontakty z tak rodzin .

W ten sposób za cał histori płaciła Gilberte.

Z najwcze niejszego dzieci stwa zapami tała szept słu cych: *la p'tite bâtarde*. Jak wiele małych dzieci uznała, e musiała widocznie popełni jak tajemnicz zbrodni . Wstyd i poczucie winy zapadły w ni tak gł boko, e nigdy nie kwestionowała swojej kary – nikt nie zapraszał jej na przyj cia urodzinowe, nigdy nie odwiedzała cudzych pokoików dziecinnych i adne dziewczynki nie składały jej wizyt, eby pobawi si lalkami. Na wieczór opiekunka ubierała j w jedn z plisowanych sukienek wizytowych, czesała czarn grzywk Gilberte i prowadziła do wypełnionego połyskliwymi meblami salonu o cianach wykładanych tłoczon tapet w br zowym odcieniu. Zwykle byli jacy go cie, ale baronowa (tak kazała si teraz nazywa ViVi, nie dla zachowania pozorów, ale dla uproszczenia ycia) zawsze była najpi kniejsz z wszystkich dam. Gilberte uwielbiała przygl da si matce.

Ale tak naprawd to ojciec przesłaniał jej cały wiat. Pachniał czystymi koszulami, brandy, tytoniem fajkowym i jak własn , słonaw odmian potu. Podró ował z Gilberte po okolicy swoim Delahayem o opływowych kształtach, który miał tylko dwa siedzenia. Je dzili konno po pobliskim Bois de Boulogne, baron na ogierze imieniem Bucefał, Gilberte na kucyku Fru-Fru. W sierpniu, który zawsze sp dziali w obszernym pałacu de Permontów w Ile de France, pływał z ni w stawie – do ko ca ycia ka dy m czyzna, który nie był obficie

owłosiony, wydawał jej się niemiłosierny. Jakby chciał wynagrodzić córce okoliczności przy jej ciążach, karmił ją legendami i historiami o rodzinie de Permontów. Ulubionym przodkiem Gilberte był Guy de Permont, którego powrót z wojen krzyżowych uwiecznił średniowieczny *trouvère*, Godfroy d'Angers. Dreszcz zemsty przechodził ją z każdym razem, gdy ojciec dochodził do opowieści o tym, jak baron Guy dowiedział się, że podły kuzyn Arnaud zajął jego włosy, wypędził go z domu, a jego wygnanie przypłaciła życiem, i jego nieletniego syna. „Zamiast zabić Arnauda – opowiadał baron – Guy odplacił mu pięknym za nadobne. Zepchnął go do bagna, z którego się wylęknął, i dopilnował, żeby jego rodzina tkwiła tam po wszystkie czasy”. Gilberte karanie przyszłych pokoleń wydało jej się bardziej fascynujące niż cała Biblia razem wzięta.

Jej pierwsza guwernantka, *mademoiselle* Gotshalk, lubiła miała się przy najbardziej niestosownych okazjach, a jej oddech pachniał fiołkami.

Której nocy Gilberte obudziło ją głośnie chrapanie. Guwernantka siedziała pochylona, z głową opartą na stole lekcyjnym. Rude włosy koloru marchwi przysłaniały jej twarz; na stole stała przed nią butelka armagnacu. Kiedy Gilberte, chcąc zbudzić guwernantkę, trąciła ją w ramię, ta zwała się bezwładnie na dywan jak Olimpia, lalka ludzkich rozmiarów z *Opowieści Hoffmanna*. Gilberte pobiegła ciemnym korytarzem w stronę sypialni rodziców.

Przez szczeliny w futrynie drzwi do pokoju ojca się wiało. Odetchnęła z ulgą, widząc, że ojciec jest w domu, i przekrzykiwała się z nim.

Maman, naga jak Pan Bóg stworzył, unosiła się i opadała na *papa*, jakby kłusowała na kucu. Ojciec głaskał ją i poklepywał – nagle zerwali się oboje do galopu, głośnie posapując. Gilberte patrzyła na to przez szparę w uchylonych drzwiach. Wiedziała, że nie powinna oglądać takich widoków, jednak stała jak zamurowana. Opanowała niepojęte uczucie, które dopiero po latach rozpoznała jako udręk zdradzonej kochanki.

Nie miała prawie żadnych kontaktów ani z krewnymi ze strony matki, ani ze strony ojca – wyjątkowo stanowiła ciotka ojca, Mathilde Dejong, pomarszczona, władczą siedemdziesięcioletnia farbująca włosy na kruczoczarne kolor. *Tante* Mathilde, wdowa po Amerykaninie, bezustannie podróżowała w tę i w ową przez Atlantyk. Ilekroć towarzyszył jej wnuk, przyprowadzała go ze sobą do de Permontów. Quent, starszy o sześć lat od Gilberte, traktował ją z uprzejmym dystansem, pozwalając, by włączyła się za nim wszędzie; podzielał jej bezgraniczne uwielbienie dla ojca. Kiedy weszła w wiek dziewczęcy, zauważyła, że kuzyn jest wyjątkowo przystojny.

Plotki o podbojach jego ojca sprawiły, że wydał jej się jeszcze bardziej atrakcyjny. A do tego doszedł ten skandal z dziewczyną, który Gilberte знаła tylko w mglistym zarysie. Poza rzadkimi, choć niezapomnianymi wizytami Quenta Gilberte nie utrzymywała żadnych kontaktów z rówieśnikami. Pierwsze dni u *madame* Bernard były koszmarem. To, że jej koleżanki z klasy były *petit bourgeois*, stanowiło pociechę w samotności, ale nie wtedy, kiedy prychały na nią pogardliwie. Nagle któregoś dnia Ann Blakely, młoda Amerykanka z wielkimi, błyszczącymi piwnymi oczami zaproponowała, że będą razem chodzić i razem wracać ze szkoły – Gilberte pokryła radością ironię. Jednak bardzo szybko ciepło Ann i bezbrzydnym podziwem, jakim darzyła przyjaciółkę, przełamały zwykły powściągliwość Gilberte.

Ale nawet yczliwej, współczującej, lojalnej i godnej zaufania Ann Gilberte nie potrafiła wyzna swojej najgłbszej hańby, jak stanowił pas białej karty, biegnący ukośnie przez tarczę jej herbu. W efekcie zakreśliła magiczny krąg wokół wszystkich wydarzeń z przeszłości swojej i rodziców.

W drzwiach celi zgrzytnął metal.

Gilberte się powstrzymała, żeby nie podnieść wzroku. Pozostałe kobiety umilkły i przerażone odwróciły się w stronę drzwi. W Santé panowały niezmiennie rygory. Dwie godziny wcześniej podano im na obiad bure pomyje; teraz nikt nie miał się pojawić do siódmej, kiedy przychodził ten ospały dureń, by wypróżnić kubel.

Drzwi otworzyły się z głośniejącym chrobotem.

– To musi być ten wysoki, nieznajomy brunet, który mi wyszedł w kartach! – Ochryplą głosem należał do Berthe, bezczelnej prostytutki, która talarz wytłuszczonych kart z ołimi uszami wszystkim chętnym stawiała tarota.

– Która z was jest Gilberte de Permont? – zagrzmiało po niemiecku.

Gilberte z wystudiowaną niedbałością wsparła się na łokciu. W drzwiach celi stał barczysty kurdupel, szeregowiec SS. Chociaż Santé podlegało zarówno niemieckiej, jak i francuskiej jurysdykcji, Gilberte jak dotąd widywała wyłącznie francuskich przedstawicieli władzy.

– Czy bym słyszała moje nazwisko? – zagadnęła po niemiecku, nie odrywając wzroku od czarnego munduru ze znakiem trupiej czaszki.

– Kapitan Knecht chce cię widzieć.

– Kapitan Knecht? Nie znam żadnego kapitana Knechta. No dobrze, powiedz mi, kiedy przyjdzie za parę minut. – Nonszalanckim ruchem zsunęła się z pryczy. – Muszę umyć twarz i przyczesać się trochę.

– Jazda! – Kurdupel wpadł do celi. Wiśniarki w popłochu podkuliły nogi, kiedy wlokł Gilberte na korytarz.

Chociaż wiedziała, że Santé ma kształt trapezu o bokach długości kilku przecznicy, nie miała najmniejszego wyobrażenia na temat wewnętrznej geografii więzienia, z wyjątkiem drogi na cieniste brukowane podwórze, gdzie wraz z pięćdziesięcioma wiśniarkami codziennie w milczeniu, pod okiem uzbrojonych strażników, spacerowały w kółko przez pół godziny.

Kurdupel poprowadził ją w przeciwną stronę. Kiedy mijali wiatroschody prowadzące w dół, dobiegł ją przeciągły, stłumiony skowyt. Jeszcze przed elaznymi drzwiami strzeżonymi przez dwóch szeregowych esesmanów Gilberte miała narządkami się skórkę. Nawet gdyby nie mówiła płynnie po niemiecku, zrozumiałaby ich sprone docinki na temat karłów, którym zawsze trafia się najlepsza robota. Przeszli do części Santé zajmowanej przez gestapo. Nagle znalazły się w jasno oświetlonym korytarzu. *Blitzmädchen*, odziane w szare mundury pracownicy służby pomocniczych, z głośniejącym stukotem pisały na maszynach.

Karzeł otworzył drzwi gabinetu. Strzelił butami i zamasywiec wyrzucił dłoń do przodu.

– *Heil Hitler*, kapitanie Knecht. Przyprowdziłem wi niark . Kapitan Knecht uniósł wzrok znad zawalonego papierami biurka. Miał pulchn , pobrud on twarz i pochylone ramiona. Przypominał Gilberte nie miałego, pedantycznego profesora botaniki.

– Ach, *mademoiselle*. Nie zajm pani du o czasu. – Po francusku mówił bezbł dnie, cho z fatalnym akcentem. – Prosz siada .

Nie przyj ła zaproszenia. Nieprzytomna z przera enia, pełna najczarniejszych domysłów, z zamierzon arogancj lustrowała gabinet. Z udanym rozbawieniem studiowała panuj cy w nim bałagan: biurko zawalone listami, sterty dokumentów na podłodze, ciany obwieszone mapami Pary a. Zasycał kaloryfer. Po lodowanej celi miała wra enie, e w gabinecie panuje tropikalny zaduch. Zrobiło jej si słabo. Usiadła.

– Jest pani bardzo ładna, *mademoiselle*, troch podobna do Vivien Leigh. – Kapitan Knecht zakr cił pióro i spoza szkieł bez oprawek rzucił jej powa ne spojrzenie.

– Czy moje przest pstwo polega wła nie na tym, e wygl dam jak angielska gwiazda ekranu?

Wszedł niziutki szeregowiec, nios c na dłoni tac z kaw ze zr czno ci , pozwalaj c si domyla , e w cywilu był kelnerem. Odsun ł papiery na biurku.

– Dzi kuj wam, Wissman. To by było ju wszystko – powiedział kapitan. Wissman zsalutował. Kapitan skin ł w stron półmiska z ciasteczkami. – Mój ordynans znalazł znakomite *patissier*. Czy da si pani namówi , *mademoiselle*! Zapach wie ego ciasta sprawił, e lina napłyn ła jej do ust. Kiedy ostatni raz jadła co z prawdziwego cukru, prawdziwego masła i białej m ki?

– Bardzo dzi kuj , ale nie miałabym apetytu na obiad.

– Wobec tego pozwoli pani, e sam si pocz stuj – powiedział, nie zwracaj c uwagi na kpin . Pulchne palce zastygły na chwil nad półmiskiem, po czym zaatakowały oblan ró owym lukrem ptifurk . Zmiótł trzy ciastka i wytarł usta serwetk . – Bardzo mi przykro, e musieli my pani zatrzyma .

– Rozumiem jednak, e macie nakaz wyłapywa wszystkie dziewcz ta podobne do Vivien Leigh?

– Przypomina sobie pani mo e katastrof , która wydarzyła si około miesi ca temu na tyłach Gare de l'Est?

– Eksplozj gazu?

– To był sabota – o wiadczył nalewaj c sobie kolejn fili ank kawy.

– My lałam, e *Propagandataffel* głosi tylko i wył cznie prawd .

– arty s tutaj nie na miejscu, *mademoiselle*. Mogło zgin wielu niewinnych młodych Niemców.

– Nie przyznaj si do winy. Zacisn ł pulchne białe dłonie na biurku.

– Jestem pewien, e współpracuj c doprowadzimy do tego, e pani i pani matka odzyskacie wolno .

– *Maman*? Wi c ona jest tutaj. – Natychmiast po ałowała ałosnego tonu i dziecinnego okre lenia: *maman*.

– Owszem. Pani ojciec te .

– Ale za co?

– Wiadek utrzymuje, że w czasie akcji terrorystycznej widział go w pobliżu Gare de l'Est.

Poczuła przypływ płomiennej dumy. Miała ochotę wykrzyknąć, że jej ojciec jest jednym z de Permontów, rodu, który zawsze służył Francji, i są wszelkie podstawy, by sądzić, że to właśnie on wysadza w powietrze pociąg nieprzyjaciela. W tej samej chwili jednak jej wyobraźnia zaczęła drżeć przy widoku ojca przypiętego pasami do fotela tortur.

– Może pan spać spokojnie, kapitanie Knecht – oznajmiła. – Mój ojciec nie ma zwyczaju podpalać złóż gazu ziemnego.

– Powiedziałem już pani, że mamy wiadka, który widział go tu przed akcją. Mój problem i pani problem, *mademoiselle*, polega na tym, że baron odmawia wydania nazwisk współzamachowców.

– Nie było żadnych współzamachowców. Mój ojciec nie miał z wybuchem nic wspólnego.

– *Kommandant von Schaumburg* osobiście zainteresował się tą sprawą. – *Kommandant von Schaumburg* znany był wszystkim Francuzom jako głównodowodzący sił okupujących Paryż. – Jest przekonany, że pani i matka brały czynny udział w sabotażu. Osobiście nie podejrzewam panią, jednak... – kapitan Knecht uniosł rzadkie brwi, dając do zrozumienia, kto tu jest szefem – mógłbym dowiedzieć się o panu, że jesteście niewinne, pod warunkiem że ojciec powie nam, kto z nim współpracował.

– Czy rozmawiał pan z moim ojcem?

– Naturalnie. Bardzo miły człowiek, choć niezbyt skłonny do współpracy... *madame Cagny* natomiast *Gilberte* zeszywniała słysząc nazwisko matki – odmawia wszelkich rozmów. – Zerknął na złoty zegarek. – Zaraz przyprowadzę pani ojca.

– Tutaj?

– Owszem, tutaj. Będziecie mieli pół godziny dla siebie.

– Chyba mogła pani przed nim na kolana ze szlochami i błaganiem o sfabrykowanie kilku nazwisk?

– Nie musicie rozmawiać na ten temat.

– Ale po to właśnie nie pozwala nam się pani zobaczyć.

– Oczywiście, że tak. – Kapitan podniósł się. – Jeszcze jedna rzecz do pani wiadomości: *Kommandant von Schaumburg* nie zna litości dla sabotażystów, bez względu na ich płeć i wiek. – Wyszedł z celi, kołysząc się jak kaczka.

Gilberte kurczowo zacisnęła dłoń.

Nie będzie błagać *papa*. Nigdy, przenigdy nie będzie namawiać go do zdrady – obiecywała sobie w myślach.

Mały ordynans, *Wissman*, przyszedł po niego, kaloryfer wydał z siebie serię bulgotów, zegar ścienny odmierzył głośno siedem minut. Czemu go jeszcze nie przyprowadzili? Znowu w wyobraźni wypłynął obraz tortur.

Nagle drzwi otworzyły się z impetem. Do pokoju wszedł ojciec, tak niedbale, jakby

wkraczał do własnego gabinetu. Nigdy jeszcze nie widziała ojca nie ogolonego i widok policzków ciemnych od zarostu lekko ją zaszokował. Oczy miał podkręcone, ubranie – zwykle nieskazitelne – straszliwie wymiószone. Wyglądał jednak cało i zdrowo i, jak zawsze, trzymał się prosto.

Rzuciła się do niego.

– Gilberte, co ty tu robisz? – Ucisnął córkę, a potem odsunął się i obserwował ją uważnie.

– Kapitan Knecht nic ci nie mówił? Mamy pół godziny widzenia.

– Nie powinna była tu przychodzić.

– A jaki miałam wybór? – Przełknęła głośno łzy, widząc na twarzy ojca gniew.

– Mój Boże – wyszeptał zdejmując rękę z jej ramion. – Chcesz powiedzieć, że ciebie też zamknęli w tym *pissoir*?

– Nie wiedziałyśmy, że zaarrestowali nas jednocześnie?

– Byłem na tyle głupi, że mi to w ogóle nie przyszło do głowy. Cóż, widocznie gestapo zajmuje się polowaniem na uczennice. Co z matką? Też siedzi w Santé?

– Tak. Kapitan Knecht twierdzi, że ją przesłuchiwał. Podobno nie odezwała się ani słowem.

– Cała moja ViVi. – Baron za nią miał się.

Gilberte ogarnął nagle wstyd. Dlaczego nie zachowała wyniosłego milczenia podczas spotkania z tym pedantycznym, wyrozumiałym oficerem gestapo?

– Jestem z ciebie bardzo dumna, *papa*.

– A ja dałem się zapudłować?

– A próbowałaś wysadzić w powietrze transport wojskowy.

– Ja? Gilberte! – zbesztął ją, rozglądając się jednocześnie po wiszących na ścianie mapach. Podejrzywał, żeś w nich ukryte otwory do podsłuchiwania rozmów. – Gdybym to ja zrobił, ten pociąg na pewno wyleciałby w powietrze.

– Powiedziałam kapitanowi Knechtowi, że musiał chyba postradać rozum, żeby podejrzewał ciebie – dołczyła się do komedii.

– Gdyby przebadał mój karier wojskowy, wiedziałby, że nigdy nie partacz roboty.

– Czegoś może na spodziewa się po Niemcu? W dodatku niezbyt wysokiej rangi?

Baron roześmiał się, potem jednak jego czoło pokryło się zmarszczkami.

– Gilberte, z całego serca życzyłbym sobie, żeby ci tu nie było.

– Ja też. Maj wyjątkowo dziadowską kuchnię.

Nagle twarz ojca przybrała błagalny wyraz. Chce się usprawiedliwić – przemknęło jej przez myśl. Kiedy ostatni raz usprawiedliwiał się przed kim? Był na to zbyt dumny, zbyt pewny swojej pozycji w świecie. Gilberte nie mogła zniebolesnej skruchy w jego małych, podsiniaczonych oczach.

– *Papa*, dobrze się czuję – powiedziała łagodnie, dotykając jego dłoni.

– Tutaj?

– To bardzo kształćce. Zupełnie jakbym się znalazła w internacie. Jedną z mieszkańek mojej celi jest *putain*, która zajmuje się przepowiadaniem przyszłości. Możesz mnie spokojnie odpytać o znaczenia kadej z kart tarota.

U miech n ł si z wysiłkiem.

Nie prosłam go, eby wydał towarzyszy – pomyślała – to dowodzi, e jestem prawdziwą de Permont.

Następnego dnia po południu mały Wissman znów przyszedł do celi po Gilberte. Tym razem kapitana Knechta nie było w gabinecie, natomiast na jego krzesle, statecznie złożony wycieczny rucel na podółku, siedziała matka.

Baronowa miała jasne włosy upięte w kok i nienaganny makijaż. Na czarnej przedwojennej sukni od Chanel nie widać było najmniejszego zagniecenia. Wejście Gilberte najwyraźniej jej nie zaskoczyło. Uniósł się z wdziękiem i ucałował córkę w oba policzki.

– Ciesz się, e ci widzę, *ma chère*, ale mundurek masz w strasznym stanie!

– Płaszcz wygląda jeszcze gorzej, jakby przeżył wojnę stuletnią. Uzywam go jako koca.

– Czego?

– Koca.

Baronowa zmarszczyła brew.

– W tego rodzaju okolicznościach, *ma chère*, należałoby dokładać wszelkich starań, eby wyglądał schludnie. – Wskazała taczkę z półmiskiem cieniutkich polyskujących masłem kromek. – Przyniesiono nam *the anglais*.

– Przyjmiesz ich poczęstunek?

– Dlaczego nie?

– No bo jest od nich.

– Nie rozumiem ci, Gilberte. Sługa zawsze przynosiła nam posiłki. – Baronowa napełniła filiżanki ciemną mocną herbatą. – Poznała kapitana Knechta?

– Wczoraj.

– Ja miałam przyjemność poznać go już przedwczoraj.

– Baronowa podsunęła córce półmisek.

Gilberte sięgnęła po kromkę.

– Dziękuję.

– Kapitan powiedział mi, e ojciec również jest tutaj. Ma tak *idée fixe*, e ojciec własnoręcznie wysadza pociski w powietrze. Wyobraź sobie tylko! Pułkownik armii francuskiej wkłada dynamit pod szyny!

Gilberte spojrzała uważnie na matkę. Udaje, czy rzeczywiście jest oburzona? Przezrzyste oczy baronowej były nieprzeniknione.

– Rzeczywiście, miechu warte – zgodziła się Gilberte. Czując, e się załamie, je li wspomni o spotkaniu z ojcem. Zdecydowała się więc przemilcze wczorajsze widzenie.

– Jak ci się mieszka, *ma chère*! – Nie narzekam.

– Ja również. – Baronowa lekko pocięła nosem. – Muszę jednak przyznać, e moje towarzystwo pozostawia nieco do życzenia.

– *Je suis d'accord*.

– Zawsze twierdziłam, e by nudziarzem to najbardziej niewybaczalna ze zbrodni... – Baronowa urwała swój wywód.

– Zjesz jeszcze kromk ?

Gilberte marzyła o tym, eby pochłon cały półmisek, jednak wpojono jej elazn zasad , która zabraniała przyjmowania powtórnego pocz stunku.

– Dzi kuj , *maman* – odmówiła.

Je li kapitan Knecht podsłuchuje nasz rozmow – pomy lała – dowie si najwy ej paru szczegółów na temat francuskich manier.

Dwukrotne wyprowadzenie Gilberte przez małego Wissmana wznieciło w celi burz domysłów. Pytania towarzyszek wydawały si Gilberte niezno nym w cibstwie. Zastaniaj c si wyniosłym u mieszkim, odmawiała wylewania wody na młyn ich plotek. Nieprzeparty wstr t *la dauphine* do relacjonowania tego, co dzieje si w niemieckiej cz ci wi zienia, pogł bił tylko niech współwi niarek. Sekrety Gilberte były jednak zbyt przera aj ce, eby dzieli si nimi z obcymi.

Nie jest wa ne, czy ojciec naprawd wysadził w powietrze fragment zajezdni – wa ne jest, e hitlerowcy s prze wiadzeni o jego winie. Kapitanowi Knechtowi zale ało na kontaktach barona w ruchu oporu. André de Permont nie był jednak zdolny do zdrady i kapitan nie miał adnych szans na wydobycie z niego nazwisk. My li Gilberte kr yły nieustannie wokół opowie ci o przesłuchiwanym przez gestapo. Podobno wi niów bito, a ciało odpadało od ko ci, wrywano im z by, wydłubywano oczy. Jej niepokój w znacznie mniejszym stopniu dotyczył matki. Nie tylko dlatego, e ich wzajemne uczucia były słabsze, ale równie z tego powodu, e baronowa, wydała si Gilberte nietykalna w otoczce swojej urody i wykwintnych manier. W dodatku, cho nie miało to wi kszego znaczenia dla gestapo, matka – podobnie jak ona – w zdarzeniach na Gare de l’Est nie brała udziału.

Przenikni tej trwog o ojca Gilberte czas wydawał si kleist mazi , przez któr brn ła z najwy szym wysiłkiem. Rankiem, trzy dni po widzeniu z matk , Wissman znów po ni przyszedł.

Kiedy dotarli do w skich schodów, ordynans wyszczerzył z by.

– Dzi schodzimy na dół.

Nie mogła zapanowa nad dr eniem. Jednak podziemia wi zienia wygl dały dosy zwyczajnie. ciany były pokryte odrapan zielon farb , pod sufitem biegły rury. Na dole urz dzono *gemütlich* k cik wypoczynkowy – dwie wygniecione br zowe kanapy i ciany całe w fotografiach on i dziewczyn. Pół tuzina podoficerów paliło papierosy i zawzi cie rozprawiało o nieoczekiwanym ataku powietrznym na Pearl Harbor, miejscowo , o której Gilberte nigdy nie słyszała. Kiedy szła mi dzy kanapami, ucichły rozmowy na tematy strategiczne, a ich miejsce zaj ły malownicze opisy tego, czym Pan Bóg obdarzył Gilberte.

Szła nie obracaj c głowy na boki.

Wissman skr cił za róg. Przy biurku siedziała cycata *Blitzmädchen*, i polerowała paznokcie pilniczkiem. Wissman poinformował j , e eskortuje wi niark do kapitana Knechta.

– Pokój czterna cie – oznajmiła pracownica słu b pomocniczych, zerkn wszy na jak list .

Czarny krawat kapitana Knechta miał rozlu niony w zeł, co odbierało kapitanowi resztki

pozorów wojskowo ci. Siedział przy zdezelowanym stole, na którym leżały trzy teczki z szarej tektury. Kiedy Wissman pchnął Gilberte do przodu, udało jej się odczytać sumienne gotyckie pismo na klapach teczek.

„Baron André de Permont”. „Vivienne Cagny”. „Gilberte”. Na chwilę wszystkie myśli uciekły jej z głowy. Jej imię, pozbawione nazwiska, sprowadzało ją do rzędu kota, psa czy innego zwierzęcia.

– To by było wszystko na razie, Wissman – zwrócił się kapitan do ordynansa.

Knecht zajmował jedyne krzesło w obskurnej klitce pozbawionej wiatła dziennego. Gilberte stała po drugiej stronie stołu. Czując, że zaschło jej w ustach, a spod pachy ciekła pot.

– Muszę sprawdzić kilka informacji i uzyskać odpowiedź na parę pytań – oznajmił otwierając jej teczkę. – Urodziła się pani siedemnastego czerwca tysiąc dziewięćset dwudziestego czwartego roku, jako córka Vivienne Cagny i barona André de Permont?

– Tak mnie poinformowano.

Wertując jej *dossier* wypytywał o najdrobniejsze szczegóły z dzieciństwa, imiona nianiek, guwernantek, nazwiska prywatnych nauczycieli, nazwy przedmiotów, których ją uczono, oper i restauracji, do których była prowadzona. Zmierzając powolno cię sprawdzał bledz zapisywał odpowiedzi. Musiała przyznać, że jeśli cała procedura miała ją zmieścić, to rzeczywiście była skuteczna. Bolały ją plecy, ze strachu czuła ucisk na piersi.

Musiało minąć dobrych parę godzin, nim doszli wreszcie do przeprowadzki na rue Daguerre.

A wiacie, wzięliście ze sobą dwoje służy?

Odpowiadając na przerzaliwie drobiazgowo pytania o Jacquesa i Helenę, zastanawiała się, co się wzięło ciwie z nimi stało. Czy dalej mieszkali na rue Daguerre, czy też zdecydowali się ukryć, kiedy po powrocie z piwnicy zastali puste mieszkanie?

Knecht dobrał się teraz do jej przyjacieli z Ann, którą nazywał „młoda Amerykanka Blakely”.

– Wasi ojcowie również przyjechali z sobą.

– Byli tylko znajomymi. Kapitan przewertował kilka kartek.

– O, tutaj. Mówiła pani, że wasze rodziny dwa razy w tygodniu jadły wspólnie obiad.

– Dla zaoszczędzenia gazu.

– A wiacie, czy było ich coś więcej niż zwykła znajomość?

– Nie, robili to wyłącznie dla wygody. Nie wiem, czy pan się orientuje, ale gaz jest racjonowany.

Podczas gdy kapitan Knecht z najwyższą sumiennością ledził przebieg znajomości pomiędzy jej ojcem a dziwakiem z cofniętą szczęką, uwagę Gilberte pochłaniał ból krzyża i coraz większy ucisk na piersi.

– Czy zna pani jeszcze jakichś Amerykanów?

– adnych... z wyjątkiem mojego kuzyna.

– Kuzyna? – Knecht poprawił szklę i obrzucił ją baczny spojrzeniem. – Macie krewnych w Stanach?

– Jak wszyscy – odpowiedziała. Wciągnęła na siebie, że się wygadała przed Knechtem,

bezwiednie przycisnęła ręce do krzyża.

– Przypominam pani, *mademoiselle*, że to nie jest masa, tylko oficjalne przesłuchanie. – Jego głos z monotonnej pedanterii przeszedł w ostre szczeknięcie. Opuściła ręce. – Nazwisko pani krewnego?

– Dejong – wymówiła cicho.

– Dejong? – powtórzył unosząc brewi do góry. – Z Banku Dejongów?

– Nie mam pojęcia – skłamała.

– Właściciele banku, sio, ile się nie myli, spokrewnieni z tymi potentatami stali, Templarami.

– W domu nigdy się nie rozmawia o sprawach finansowych. Quent jest wnukiem i jedynym dziedzicem Jasona Templara.

Kapitan napisał coś na odwrocie kartki, i osuszył ją bibułą. Bo e, Bo e, Bo e, niech się to wreszcie skończy. Przesłuchanie trwało jeszcze dobry kwadrans. W końcu kapitan włożył *dossier* do teczki.

– Idziemy oznajmić.

Zrobiła pierwszy krok i jej stopa boleśnie wygięła się w kostce do wewnątrz. Ku tykała niezdarnie korytarzami podziemia, starając się dotrzymać tempa towarzyszącym jej mężczyznom – Wissman czekał na nich za progiem.

Ordynans otworzył któreś z rzędów drzwi. Buchnęła gęsta chmura dymu tytoniowego zaprawionego zjełczalym potem. Na solidnych krzesłach z drewnianym oparciem, mieli papierosy, siedzieli dwaj esesmani. Pozdejmowali bluzy od mundurów; szare podkoszulki obu mężczyzn miały ciemne zacieki potu na piersiach i pod pachami. Młodszy, który nie mógł mieć więcej niż siedemnaście lat, zerwał się na baczność salutując z gorliwością, z jak chłopcy z Hitlerjugend pozdrawiali samego *Führera*. Skinięciem ręki Knecht zwolnił go od formalności. Chłopak czym prędzej wydobyl upuszczony niedopałek z kałuży na podłodze. W celi znajdował się do zaskakująco przedmiot – wanna na czterech nogach, wypełniona po brzegi wodą.

Wszystko to ledwie docierało do Gilberte. Cała jej uwaga była skierowana na ojca.

Kiedy weszła, baron nie podniósł głowy. Klęczał bezwładnie na podłodze, z głową opartą na kolanach. Okolona wianuszkami czarnych włosów łysina ociekała wodą. Przemoczona koszula, oblepiająca potłuszczone plecy pozwałała ledzi spazmatyczny oddech. Baron trzymał się jedną ręką za głowę; na wskazującym palcu miejsce paznokcia zajmowała odrażająca, brocząca krwi rana. Gilberte przeszył gwałtowny ból, jakby jej układ nerwowy był połączony z nerwami ojca. Zbliżyła się do niego o krok.

Kapitan Knecht przytrzymał ją za rękę. Spojrzała na starszego esesmana, rosnącego, piegowatego mężczyznę, o dobrodusznym wyrazie twarzy. Esesman pokręcił głową.

– Panie baronie – zaczął kapitan tonem wymówki – informowałem pana przecie o rozkazach komendanta von Schaumburg. Mamy obowiązek wytropić i zaarrestować wszystkich uczestników spisku. Powoli zaczynam się przychylić do zdania komendanta, a *madame Cagny* i pańska córka współpracowały z panem. Nikt nie zniósłby tak wiele po to tylko, aby ochronić kilku kolejarzy, jakich paru *cheminots*.

– Id do diabła – wycharczał baron. Kapitan odrzucił kniówkę.

– Jeszcze raz daj pani okazję przemówi mu do rozumu – zwrócił się do Gilberte.

Baron podnosił głowę tak powoli, że Gilberte zaczęła się zastanawiać, czy nie ma uszkodzonych kręgów szyjnych. Jego nabiegłe krwiste oczy napotkały wzrok Gilberte. Chciała się uśmiechnąć, ale wargi odmówiły posłuszeństwa.

Gilberte – wyszeptała. – Mój Boże, ty też jesteś tutaj.

– Zostanie zwolniona, kiedy tylko dowiedzie pan w sposób niepodważalny, że nie była razem z panem na Gare de l'Est.

– Knecht rozsiadł się na jednym z wielkich krzeseł. – Szczerze mówiąc, baronie, jestem bardzo rozczarowany. Z pewnością ci zdaje pan sobie sprawę, że *Führer* chce rozprawić się z niemoralnością i dekadencją, tymi dwiema plagami dwudziestego wieku. Czy jego działania nie są zgodne z pragnieniami większości Francuzów? Co się za tym kryje – bolszewizm, to chyba jesteście zadowoleni, że macie bufor w postaci Trzeciej Rzeszy?

Czemu miał słyszeć ten filozoficzno-polityczny wywód? Gilberte szarpnęła się do przodu, ale pulchne palce Knechta okazały się zaskakująco mocne.

– Dlaczego wobec tego walczyliście z nami, skoro mamy rzekomo tyle powodów do zachwyty? – spytała, aby całkowicie nie dać się wygrać.

– Proszę mi wierzyć, *mademoiselle*, ta wojna była nieporozumieniem, została wywołana przez komunistów w naszym kraju, no i naturalnie przez Niemców. Ta sama hołota rozpuszcza teraz pogłoski, że wkroczyli my tutaj, aby eksploatować gospodarczo Francję, wierutne kłamstwo! Płacimy za wszystko, z czego korzystamy. Staramy się zachowywać przyzwoicie. – Nagle opuścił go ferwor mówcy. – W tym miesiącu pchnęli my do was dostaw naszego mleka – zakończył ebrzącym tonem.

– Jesteście więc prawdziwymi zbawcami zachodniej cywilizacji oraz karmiącymi matek – zauważyła Gilberte, myślała o ciasteczkach, chlebie z masłem i prawdziwej herbacie w gabinecie Knechta.

– Proszę mi wierzyć, ograniczenia tylko w Niemczech równie drastyczne, jeśli nie drastyczniejsze. Szkoda, że nie widziała pani listu od mojej siostry. Zeszłej zimy, a była to najcięższa zima w tym stuleciu, robili my wszystko, co w naszej mocy, aby wam pomóc.

– Ciekawe, dlaczego wasza dobroć nie obejmuje również dziewcząt w wieku szkolnym – włączył się baron ochryplym głosem.

– Niechże pan spróbuje wczuć się w punkt widzenia komendanta. – Kapitan westchnął ze znużeniem. – Naturalnie nie mam bliskiego doświadczenia do wojskowego tej rangi, jednak parokrotnie słyszałem, jak powtarzał, że bardzo życzyłby sobie, aby Paryż odzyskał przedwojennego ducha i swobodę. To nie są słowa wymyślone przez propagandowych pismaków, tylko słowa samego komendanta. Jednak do jego obowiązków należy ochrona życia naszych żołnierzy, jak również waszej ludności cywilnej, w końcu to francuski robotnik zginął na stacji przetokowej. Komendant jest cywilizowanym człowiekiem, niemniej w interesie wszystkich należy położyć kresu terroryzmowi. Z tego powodu zmuszeni jesteście my

ucieka si do metod, które bynajmniej nam nie odpowiadaj .

– Takich jak torturowanie mojego ojca? – spytała Gilberte.

– *Mademoiselle*, pani ojciec przecie dobrze wie, o co chodzi. – Knecht przybrał ton znu onego belfra. – W ka dej chwili mo e przerwa przesłuchanie i uwolni pani i pani matk . – Podniósł głos. – Panie baronie, ma pan ostatni okazj , eby uchroni córki przed przesłuchaniem.

Baron zerkn ł niespokojnie na Gilberte. Mimo e l k niepodzielnie zawiadn ł jej ciałem, zmusiła si , eby odpowiedzie mu nieustraszonym spojrzeniem. Była to dla niej chwila g ł bokiego triumfu.

Udowodniła, e chocia przyszła na wiat z nieprawego ł o a, jest prawdziw de Permont. Gdyby w obecnej sytuacji zachowała si niezgodnie z kodeksem honorowym swojej rodziny, dowiodłaby, e nigdy nie była godna staro ytnego nazwiska de Permontów.

Patrzyła ojcu g ł boko w oczy, zawieraj c z nim potajemny pakt. Nie zdradzi dla niej towarzyszy z konspiracji.

Uniósł nieznacznie nie ogolony podbródek.

Zgoda.

– Kapitanie Knecht – oznajmił – adne z nas nie wie nic, co mogłoby panu pomóc w tej sprawie.

– Prosz wygodnie posadzi naszych go ci – polecił kapitan rozebrany do pasa m czyznom.

Starszy esesman podniósł barona za r ce, młodszy chwycił go pod kolanami. Wi zie wydał stłumiony j k; kiedy ci ni to go jak wór z kartoflami na jedno z pot nych krzesel, j kn ł ponownie. R ce skuto mu kajdankami za oparciem, nogi w kostkach przywi zano grubym sznurem do nóg krzesła.

Oprawcy zwrócili si w stron Gilberte.

Starszy z dwóch m czyzn podniósł j i nie bacz c na jej rozpaczliwe wierzganie, zawlókł do wanny. Młodszy podci ł j kantem dłoni pod kolanami. Z krzykiem padła na kl czki.

Kapitan Knecht zawisł nad krzesłem jej ojca.

– ... kto z panem współpracował? Nie mógł pan przecie ...

Czyja dło od tyłu wcisn ła jej głow do lodowatej wody. Chocia walczyła zawzi cie, ucisk nie zel ał ani troch . Zacz ły ni wstrz sa drgawki, poczuła narastaj cy szum w uszach, oczy wyszły jej z orbit. Z przera enia posiusiała si . Jej opór zacz ł słabn . Przez własne rz enie dosłyszała łagodny, strofuj cy głos kapitana Knechta.

– ... był z panem na Gare de l'Est... Ojciec nie odpowiedział.

Z powrotem zanurzono jej głow w wannie. Nie maj zamiaru mnie utopi . Gdybym umarła, nic by im nie powiedział. Na pewno mnie nie utopi – przekonywała sam siebie. Zmusiła si do powolnego wydechu. Kiedy jednak zabrakło jej powietrza w płucach, zwierz cy instynkt wzi ł gór . Zacz ła miota si jak ryba wyrzucona na brzeg. Poczuła, e jest bliska utraty przytomno ci. Ponownie puszczone jej głow . Krztusz c si , pragn ła tylko

jednego – błaga ojca, eby zakończył ten horror, prosi go, eby przyznał się do wszystkiego, czego tylko zażąda, eby podał im wszystkie możliwe nazwiska. Jednak w jakimś odległym zakamarku jej umysł nie wyrażał zgody na kapitulację. Ten właśnie nieznajomy, który dawne pokolenia nazwałyby duszą, bardziej niż torturami i kłopotami Gestapo obawiał się utraty przynależności do rodu de Permontów. W krótkich przerwach między spazmatycznymi wdechami docierał do niej na przemian to podniesiony, to szyderczy głos kapitana Knechta, przeplatający się z obelgami wypowiedzianymi chrapliwie przez ojca. Zorientowała się w pewnej chwili, że starszy z jej oprawców nazywa się Merck, natomiast chłopiec – Ristelheuber.

W końcu puśczonej wolno. Rzuciła się i upadła zemdlna na betonową podłogę. Kiedy zaczęła docierać do niej rzeczywistość, zobaczyła ojca bezwładnie zwieszającego się z krzesła. Z uszu barona ciekła krew. Boże, nie pozwól, eby umarł – modliła się do Boga, który najwyraźniej o niej oślepił i ogłuszył.

– Nie ma sensu kontynuować w tej chwili. Poczekamy, aż odzyska przytomność – zdecydował kapitan Knecht.

Wissman wyszedł i po chwili wrócił z kawą i ciasteczkami. Kapitan właśnie ocierał usta, kiedy baron lekko się poruszył, wracając do przytomności. Głowa Gilberte z powrotem wyładowała pod wodę. Następnym razem, kiedy pozwolono jej zemdlać, ojciec był znów nieprzytomny.

– Będzie tego na dzisiaj, Merck – zaordynował kapitan Knecht. – Jutro zastosujemy inne metody.

Gilberte, skulona na czworakach, z głów zwieszonych jak u chorego zwierzęcia, nie zauważyła lubieżnych uśmiechów na twarzach trzech podoficerów.

Kiedy wróciła ociekając wodą do celi, jej towarzyszki, niepomne na chłodną rezerwę, jak im okazywała, zakrzętnęły wokół niej z wielką troskliwością. Okazało się, że jedna tylko Gilberte nie wiedziała nic o torturze wodnej – *la baignoire*.

Kobiety pomogły jej pozdejmować ubrania, a Berthe wyłożyła je, nie szczędząc ordynarnych wyzwisk pod adresem Trzeciej Rzeszy. Nie było gdzie porozwieszać mokrych rzeczy, więc cuchnący kłębki w nogi górnej pryczy, którą wiały niarki, wbrew przepisom, zwolniły dla Gilberte. Naga, skulona pod płaszczem i dwoma – jedynymi w całej celi – cienkimi, brudnymi kocami koloru khaki, czując przy każdym oddechu dotkliwy ból w piersiach, spędziła noc, usiłując przygotować się na nadchodzący dzień.

Ledwie zdążyła zanurzyć skwaśniały, czerstwy chleb w burym płynie, nazywanym szumnie kawą, kiedy otworzyły się drzwi celi.

– *Guten Morgen, Fräulein* – pozdrowił ją Wissman. – Przepraszam, że przerywam niądanie, ale musi pani pójść ze mną.

– Daj jej się chociaż ubrać, ty mały chuju – wrzasnęła Berthe.

Wissman uśmiechnął się pod nosem i wzruszył ramionami. Prostytutka przytrzymała koc, za którym Gilberte z trudem wbijała się w przemoczone ubranie.

Merck i Ristelheuber zdali ju przyku ojca kajdankami do krzesła, nie było jednak Knechta ani wody w wannie.

– Rozglądaj się pani za kapitanem? – domyślił się Wissman. – Proszę się nie niepokoić, przyjdzie później.

– Który pierwszy? – zapytał Ristelheuber z młodziecym mieszkaniem.

– Zostawcie je w spokoju, parszywe sukinsyny! – wyły wystąpiły na posiniaczone czoło barona.

– Uważaj, co mówisz, ty ydofilu – warknął Wissman. Napinając mi niepotrzebnie ramion, zadał cios pięciomnie ogolony podbródek barona. Ciało wiśni przebiegł nagły skurcz i głowa opadła mu na piersi.

– Za mocno – strofował łagodnie Merck. – Powiem ci, że trzeba trochę wprawy, żeby trafnie wycenić, ile wiśni znieś.

– Przyjdzie do siebie – bronił się Wissman.

– Tak, ale może to potrwa nawet z godzin – stwierdził Merck.

– Mój ustoi tak długo, a twój nie da rady?

– Słuchaj no, karle...

– Zakładamy się, że jest dziewięć? – przerwał kłótni Ristelheuber.

– Synku – wycedził Wissman. – Ile razy mam ci powtarzać, że kaśka da Francuzeczka zostaje rozdziewiczona w swoje dziesięte urodziny?

– No to kto pierwszy? – Merck sięgnął do kieszeni po dziesięć sou.

Gilberte rzuciła się do drzwi. Były zamknięte na klucz. Młodzi ni z rechem przyglądali się, jak Merck rzuca monety. Zwyciężył Wissman.

– Uroda Francuzek jest mocno przereklamowana – stwierdził Wissman, podchodząc do Gilberte. – Powiedziałbym jednak, że stanowisz wyjątek. Jakie piersi, jaki zadek, cóż za nogi, o la la! Ciągaj te mokre łachy, zobaczymy, co tam masz pod spodem.

Na pomoc – pomyślała – kto musi pomóc ojcu i mnie. Cofnęła się, kiedy Wissman zbliżył się do niej o krok.

– Zabij cię, jeśli mnie dotkniesz – krzyknęła bez tchu.

– Czym, *Leibchen*? – zaciekał się Merck.

– Pewnie cipe. – Ristelheuber za miał się rubasznie. Wissman wychynął zza krzesła, na którym siedział zemdlony baron.

– Smaczny z ciebie kasek, schrupiemy cię we trzech, Francuzeczko.

Rozczapierzyła dłoń i paznokciami wpiła się w jego policzek.

– Ty suko! – wrzasnął. Chwytny ją za nadgarstek i wykręcił rękę do tyłu, a zaskomlała z bólu.

Merck zaczął ją okładać obiema rękami po twarzy, zadając ciosy lekkie, lecz bolesne. Pochyliła się do przodu, jakby chciała schwytać z bami wiszące jabłko – amerykański zwyczaj, którego nauczyła się u Blakelych w wigili Wszystkich Świętych – przygryzła z całej siły mały palec Mercka. Ze skowytami wałnęła go w brzuch. W pierwszej chwili nie poczuła nic, tylko zgięła się wpół i byłaby upadła, gdyby nie to, że Wissman ją trzymał. Po chwili jednak z ołdka zaczął promieniować dotkliwy ból.

– Sama widzisz, *Leibchen* – odezwał się Merck – e lepiej by dla nas mił . – Zaczł rozpina gór jej mundurka, z trudem przepychaj c kolejne guziki przez mokre dziurki. Mimo e Wissman nadal wykr cał jej r ce z tyłu, całym ciałem robiła uniki godne zawodowego boksera.

– Zostawcie moj córka ! – zawołał baron słabym głosem.

– O, ju si pan obudził – ucieszył się Merck. – Dobrze pan wie, jak nas powstrzyma .

– On nie zna adnych nazwisk! – wykrzykn ła Gilberte. Baron, próbuj c si wyswobodzi z wi zów, przechylił krzesło.

– Przekl ci...

Jego głos przeszedł w bełkot. Wissman nachylił się nad nim i wepchn ł mu do ust obsmarkan chustk do nosa. Ci kie krzesło run ło z hukiem na beton. Baron nie ustawał w próbach wyswobodzenia się z kajdanek i sznurów.

Gilberte nadal uchylała się na boki, jednak Ristelheuber przytrzymał j . Merck po kolei ci gał z niej gór od mundurka i sweter. Nie zało yła mokrej halki ani stanika, wi c kiedy rozpi ł bluzk , ukazały się nagie piersi, wielkie, j drne i stercz ce, o sutkach otoczonych ciemnoczerwon obwódka .

– Rany – wyszeptał Ristelheuber w zachwycie. – Widzieli cie kiedy równie doskonałe cycuszki?

– I jakie gładziutki – nie mógł się nadziwi Merck, głaszcz c delikatn yłk przecinaj c lew pier Gilberte. – Bł kitna krew!

Wissman w po piechu szamotał się z guzikami rozporka, uwalniaj c wzwiedziony członek.

Merck jednym szarpni ciem zdał spódnic Gilberte, odsłaniaj c mokre na wylot jedwabne majteczki. Wissman pchn ł j na beton i zerwał z niej bielizn . Z zapi cia na boku posypały się perłowe guziczki. Mocno ciska ła kolana. Ristelheuber złapał j za jedn , Wissman za drug łydka . Krzykn ła przera liwie, kiedy rozchylali jej nogi. Wissman poło ył się na niej i wdarł się w jej ciało.

Znowu krzykn ła.

– Widzisz, miałem racj – zarechotał Ristelheuber. – Dziewica.

Kiedy najmłodszy z Niemców, który był trzeci w kolejce, zaliczał swój pierwsz rund , Gilberte nie czuła ju nic.

Siedziała oparta o krzesło ojca, które z powrotem postawiono w pionie. Baron nadal był przywi zany. Dwaj podoficerowie SS wyszli, a kapitan Knecht jeszcze nie przyszedł. Wissman, wsparty o drzwi, palił leniwie papierosa. Wydawał się zupełnie nieobecny my lami – w rzeczywisto ci w wielkim skupieniu podsłuchiwał ich rozmow . Ordynans, który przez dwa lata był dokerem w Hawrze, mówił płynnie po francusku. Dzi ki znajomo ci francuskiego był znakomitym stra nikiem nieszcz snych ofiar, którym zezwolono na rozmow .

– Obiecasz mi co ? – zapytał baron, z trudem poruszaj c pop kanymi wargami.

– Wszystko.

– Nigdy, przenigdy nie b dziesz się wstydu tego, co ci dzisiaj zrobili.

– Kiedy ich wszystkich pozabijam.

– Nie mam nic przeciwko temu.

– *Papa* – wyszeptwała. – Czy kto ci wsypał?

– Wsypał? – Krzywiąc bole niepokaleczoną twarz, zerknął na Wissmana, który beztrząsco wydmuchiwał kółko z dymu. Gilberte zrozumiała, że dopóki znajduje się w Santé, stale musi się mieć na baczności. – Kto ... kto kto mnie dobrze zna, musiał mieć coś przeciwko mnie i złożyć na mnie donos.

– Naprawdę wierzysz, że kto ci podał na gestapo? – Odsunęła się, aby zająrzeć ojcu w twarz.

Od początku okupacji setki, a może nawet tysiące listów z donosami napłynęło do kwatery głównej gestapo przy Avenue Foch. Za donosami kryły się – jak w przypadku barona – porachunki osobiste, chęć pozbycia się niewygodnego sąsiada, rywalka w biznesie, niechcianego kochanka. Zasadniczo donosów była sprawdzana pobieżnie. Na wiadków powoływano zwykle ludzi przypartych do muru – ubiegających się o wizytę, o uwolnienie ukochanej osoby z więzienia lub obozu koncentracyjnego, czasami pozbawionych środków do życia.

– Nie widzisz innego wyjścia? Znali zbyt wiele szczegółów z mojego życia. Ten, kto to zrobił, musiał mnie miernie nienawidzić.

– Niemcy nie mają nic przeciwko tobie? – Gilberte patrzyła to na opuchniętą twarz, to znów na sznury i kajdanki.

– Oczywiście, że mają. Ten donos jest jednak równie próbą porachunków osobistych. Człowiek, który dobrowolnie denuncjuje przyjaciela, godzi się w najwęższą pogardę.

– On, czy ty, ona, powinien cierpieć tak samo jak ty.

– Postaram się o to, jak tylko się dowiem, kto to był.

– A jego rodzina powinna doświadczyć tyle samo bólu, co twoja. – Układany szeptem plan zemsty, jakkolwiek teatralny w stylu, całkowicie pochłonął wyobraźnię Gilberte. W jednej chwili zapomniała o demoralizacji psychicznej i fizycznym cierpieniu, jakich przed chwilą zaznała, o chłodnym ciarze wilgotnego, krzywo zapiętego mundurka, o wetkniętej między uda bluzce, w której wsiąkała krew. – Tak jak lubowali Guy de Permont i jego syn.

– Gilberte... – zaczął baron ochrypłym głosem.

W tej samej chwili otworzyły się drzwi i wszedł kapitan Knecht, polecając Wissmanowi odprowadzić ją z powrotem do celi.

– Przysięgam ci, *papa*, że póki żyję, cierpieć będzie rodzina zdrajcy! – To były ostatnie słowa Gilberte skierowane do ojca.

Kilka dni trwało, zanim wyszło ubranie Gilberte. Pierwszy raz szła przez więzienie w mokrych łańkach dzień po tym, jak Wissman po nią przyszedł. Kiedy prowadził ją więziennym korytarzem, jego nienaganna postawa przeczyła wszelkim pomówieniom o gwałt. Dowody przestępstwa nosiła na sobie Gilberte. Szczęk po obu stronach twarzy miała opuchniętą od ścisów, a zdarty naskórek po wewnętrznej stronie ud powodował, że szła wolno, drobnie powoli na szeroko rozstawionych nogach. Na szczęście Berthe wróciła jej

tubki z jakim lekarstwem, opatrzone adresem apteki przy rue Blondel – jej koleżanki po fachu zarzekały się pono, że lek jest prawdziwym panaceum na bóle czki wywołane zbyt ostrym uprawianiem zawodu – miał te jakoby przeciwdziałać niefortunnym zajściom, które koczyły się skrobankami.

Niezdarnie zstąpiła po schodach do podziemia gestapo, Gilberte usiłowała pokonać wzbierający strach, przekonywała się, że najgorsze już się wydarzyło i nie ma się czego obawiać. Kapitan Knecht na nią czekał. Jego przygarbione ramiona wydawały się jeszcze bardziej obwisłe niż zwykle. Na czarnym mundurze słał się łupież. Spłowiła brwi ciężkim w wyrazie głębi bokiego zaaferowania. Kazał zaczekać ordynansowi, a sam, odpowiadając z roztargnieniem na wojskowe pozdrowienia, poprowadził Gilberte przez wietlic dla personelu.

– *Mademoiselle*, wielu ludzi w tym kraju, w rzeczy samej wiążąc narodu, zgadza się z naszymi dążeniami. Francuzom wystarcza inteligencji, by docenić słuszność poglądów naszego przywódcy, że nadszedł czas skończyć z małostkowym nacjonalizmem. Dostrzegaj wartość zjednoczonej Europy... zjednoczonego świata. Niech pani sama pomyśli. Nie będzie wojen. Nie będzie bezsensownego przelewu krwi. Pieniądze, które wydajemy na zbrojenia, można by wykorzystać dla pożytku ogółu. Z całego serca pragnę, żeby wszyscy Francuzi docenili dobrodziejstwa zjednoczenia pod wspólnym sztandarem. Dlaczego niektórzy z was uparcie nie chcą zerwać z przemyśleniami nacjonalizmu? Nie przeczę, że po zjednoczeniu wszyscy na parę lat będziemy musieli odłożyć nasze ambicje osobiste. Czy jest to jednak zbyt wygórowana cena za zastąpienie szowinistycznych mrzonek uczciwymi przyszłości dla nas i naszych pięknych, czystych rasowo dzieci? Przyszło ci, która raz na zawsze rozprawi się z upiorem bolszewizmu?

Gilberte poczuła, że pokrywa się gęsią skórą. Wykład filozofii nazizmu – z podobną powagą i uczuciem – wygłaszał kapitan już raz, zanim została poddana *baignoire*. Uznała, że i tym razem jego schizoidalne poczucie moralności cię potrzebuje wie ego mi się.

Będzie le, będzie bardzo le.

– Gdyby miała pani chociaż mgliste pojęcie o wizji jutrzejszego dnia, który stworzył nasz *Führer*...

– Raj na ziemi.

– Byłoby lepiej dla pani, *mademoiselle*, gdyby pani postarała się zrozumieć – powiedział z westchnieniem i pchnął drzwi oznaczone mosiężnym ósemką.

Choć ósemka przypominała pozostałe cele, nie było w niej ani mebli, ani wanny. Brzozyściany, miejscami pokrywała grubsza warstwa farby o rdzawym odcieniu. Kapitan wepchnął Gilberte za próg.

Wydała z siebie przecięły skowyt.

Tu przed nią, na cianie, zwisały ciała mężczyzn i kobiety. Łańcuchy ich kajdanków zaczepiono o wielkie rzeźnicze haki pod sufitem, tak że stopy obojga unosiły się wysoko nad pochłapanym krwią betonem. Mężczyzna był bosy, kobieta natomiast obuta w wytworzone czarne pantofle roboczej roboty z krokodyljej skóry. Oboje od pasa w górę byli nagi. Ich piersi i plecy wyglądały jak surowe mięso.

Gilberte trz sła si coraz mocniej, jak pora ona pr dem elektrycznym. Nic jeszcze – a prze yła ju straszliw dawk potworno ci – nie wydawało jej si równie trudne, jak tych kilka kroków, które miały j zbli y do szarych, obwisłych twarzy. Twarzy rodziców. Oboje byli martwi. Jej umysł wił si i skr cał tak, jak ciało podczas przytapienia w wannie; wirował kalejdoskop my li i obrazów... matka w połyskliwej wieczorowej sukni ze srebrnej lamy pochyła si , eby ucałowa j na dobranoc... ojciec z miło ci wymawia jej imi : „Moja Gilberte”... Jak długo Merck z Ristelhuberem w zapami taniu chłostali ich batem? Kto zadenuncjował ojca? Ju nigdy w yciu nie zobaczy ojca. Jest sama. Widok skatowanych zwłok ostatecznie przypiecz tował jej samotno . Odt d na zawsze jest skazana na samotne dryfowanie w lodowatym oceanie tyranii, fałszu i okrucie stwa. Jest sama, zakuta w lodow brył alu i przera enia.

Zdawało jej si , e kto sił wtfacza hel do jej głowy, my li zaczynaj unosi si gdzie wysoko, ponad ciałem. Nie zemdlej . Ostatni hołd, jaki mog zło y moim rodzicom to zachowa si jak jedna z de Permontów, a nie jak jaka głupia wiejska dziewczucha. Mocno przyciskaj c r ce do boków, najwy szym wysiłkiem woli opanowała zawrót głowy.

– Domy lam si – odezwała si , odwracaj c od wisz cych ciał – e wasz osobisty wkład w zjednoczenie Europy polega na skatowaniu na mier dwojga niewinnych ludzi.

– *Mademoiselle*, w gł bi serca zdaje sobie pani spraw , e pani ojciec był winny.

– Doprawdy? – rzuciła ostrym tonem. – A co takiego zrobiła moja matka?

– *Madame* Cagny była na Gare de l’Est razem z baronem. Gilberte mimo woli prychn ła z niedowierzaniem.

– Sama si przyznała – oznajmił Knecht.

– Przy waszych metodach ka dy by si przyznał.

– Mogła nam pomóc, podaj c nazwiska współników zbrodni. Sama brała udział w akcji terrorystycznej.

– Moja matka w ruchu oporu! Niech pan nie b dzie mieszny!

– Była równie zaangażowana, jak pani ojciec.

– Dlaczego nie chce si pan przyzna , e zachłostali cie na mier niewinn kobiet ?

– Podkładała *plastique* pod szyny.

– Racja, całkiem bym zapomniała. Moja matka, kiedy szła do krawca, uwielbiała utyka po k tach dynamit.

– Podała nam szczegóły innych akcji. Prowadziłem ledztwo w sprawie wagonu, w którym jechał *Hauptsturmführer* Schmatz. W tym przypadku posłu ono si bardzo skomplikowanym detonatorem, a pani matka potrafiła doskonale opisa zasady jego działania.

Gilberte szykowała si do kolejnej sceptycznej uwagi, kiedy nagle przypomniała sobie t noc sprzed wielu lat, kiedy przyłapała rodziców kochaj cych si na w skim łó ku ojca. Matka, wiedzona miło ci i burzliw nami tno ci , wystawiała si na ostracyzm kr gów, z których si wywodziła. Rodzina Mascaretów wydawała ołnierzy od czasów Joanny d’Arc. Dlaczego nie miałyby odpowiedzi na zew patriotyzmu płyn cy od pokole w jej cudownie ukrytych pod skór yłach?

Gilberte odwróciła się, by spojrzeć na skatowane zwłoki w nasiłonej tej krwi spódnicy od Chanel. Czy to może być, aby ta delikatna, nieuleczalnie próchna kobieta oparła się wymyślnym torturom stosowanym w podziemiach Santé? *Maman*, wybacz mi mój zazdrość, która kazała widzieć w tobie wyłcznie próchność. Kolejny raz poczuła, że zemdleje. Odwróciła się do kapitana Knechta.

– A ja? – spytała się cicho na ironię.

– Pani?

– Kiedy będzie moja kolej na hak?

– *Kommandant* von Schaumburg był obecny podczas przesłuchania. Uznał, że pani nie jest w to wszystko zamieszana.

– Wielkie, zaiste, jest jego miłosierdzie. Co wobec tego zamierzacie ze mną zrobić?

– Przecież nie jesteście my potworami, *mademoiselle*. Dostanie pani sześć miesięcy, i tyle.

– Za co?

– Za zadawanie sobie z terrorystami.

– Sześć miesięcy więzienia za mieszkanie z rodzicami pod jednym dachem?

Niezły art!

Zaczęła się miać. W celi numer osiem, w której jej rodzice, odmawiając wydania nazwisk, pozwolili się zakatować na śmierć, Gilberte zgięła się w przysłowie nagłego rozbawienia. Kapitan wezwał Wissmana. Głośne wybuchy miechu niosły się po korytarzach więzienia, kiedy mały ordynans prowadził ją z powrotem do celi.

Kobiety rajcowały w podnieceniu. Pod nieobecność Gilbert francuski strażnik przemycił wiadomość, że trzy dni po tym, jak Stany Zjednoczone wypowiedziały wojnę Japonii za nieoczekiwany atak na amerykańską bazę morską na Hawajach, Niemcy w ramach Trójprzymierza wypowiedzieli wojnę Stanom. Wiadomość przerwała atak hysterii. Gilberte oparła się o cian. Amerykanie przystąpili do wojny... To znaczy, że Ann Blakely wyjedzie z Francji, jeżeli już nie odplynęła do Stanów. Quent zapewne zacięnie się i będzie walczył z wrogiem.

Potem mylił się, podobnie jak uciły triumfujące, piskliwe głosy kobiet. Z pełną siłą powrócił przez tyły w podziemiach horror. Towarzyszył mu głośnie. Gilberte nie płakała. Człowiek słyszała, że łzy przynoszą ulgę w cierpieniu, jednak mylił, że krople ciekniego z oczu płynu mogłyby ulżyć jej udręce, dlaczego poczuciu dożgonnego osamotnienia, wydała jej się mieszana.

Znow zobaczyła dwa obdarte ze skóry tułowia.

Kiedy zabije Wissmana, zabije Mercka i chłopca ciego Ristelheubera, zabije kapitana Knechta. Wiedziała jednak, że ci czterej, ze swoim potem i łupieżem, byli wyłcznie posłusznymi wykonawcami cudzych rozkazów.

To ojciec wskazał prawdziwego wroga.

Był nim ktoś, kto całkowicie dobrowolnie zadenuncjował go na gestapo.

Mimo że sama przypominała Guy de Permonta i zamierzał historię rodowej zemsty, uznała, że ostatnie słowa, jakie ojciec do niej skierował, były właśnie daniem, by zło była podobne lubo. Obietnice zło one zmarłym wi nas jak palce ko ciotrupa. Nigdy nie będzie

w stanie uwolnić się od przysięgi.

Zdrajca jest moim wrogiem – myślała. – Jego potomkowie są moimi wrogami. Będzie ich cicha do śmierci.

Łzy popłynęły po policzkach Gilberte. Miała rację, płacz wcale nie przynosi ulgi w bólu. Aby nie słyszeć kletki rozmów o przystąpieniu Amerykańców do wojny, odwróciła się do ściany i oddała drżącym rozmowy.

Quent i Ann Francja, 1941-1942

Roosevelt w karygodny sposób wykroczył przeciwko umowom międzynarodowym”. – Jadowity głos Hitlera widował po ród zakłóce atmosferycznych. Ann, siedząc z rodzicami w salonie, słuchała mowy *Führera* w Reichstagu. Od kiedy dotarła do nich złowrobia wiadomo, że japońskie samoloty zniszczyły amerykańską flotę na Pacyfiku koło Pearl Harbor, w związku z czym Kongres następnego dnia wypowiedział wojnę samej Japonii – z omińcie Niemcy i Niemiec – Dorothy powtarzała nieustannie, że Hitler ma z pewnością na tyle dobrze w głowie, aby trzymać się z dala od Pacyfiku, że z pewnością ma dobry rozum, aby pomimo Trójprzymierza nie rzucić się na Stany Zjednoczone, skoro i tak ma pełne ręce roboty z Brytyjczykami i Rosjanami, że Stany z pewnością nie wypowiedzą wojny Niemcom. Perorowała coraz bardziej piskliwym głosem. Była przeziębiona i miała wysoki gorączkę.

aby wysłuchać Hitlera, wstała z łóżka; siedziała teraz w starych karakulach zarzuconych na flanelowy szlafrok.

Horace przysiadł sflaczały na kanapie, broda opadła mu na wystrzypiony szalik. Kiedy Hitler kolejny raz wykrzyczał nazwisko Roosevelta, posłał pytające spojrzenie Ann. Podobnie jak Dorothy, rozumiał bardzo niewiele po niemiecku.

– Mówi im – przetłumaczyła Ann – że prezydent uległ nieczym podszeptom żydów.

– Stara piewka Hitlera – skomentowała Dorothy. – Widzicie, w kółko powtarza to samo. Nic się nie zmieniło.

– Szsz... – przerwała jej Ann. Była bardzo słaba w niemieckim i z trudnościami nadawała za głosem *Führera*, wznoszącym się w zapalczywym *crescendo*. – Prezydent Stanów Zjednoczonych powinien zrozumieć w pełni – tłumaczyła – mówi „w pełni”, ponieważ jest on człowiekiem umysłowo ograniczonym, że przejrzyli my na wylot jego zamiar zniszczenia po kolei wszystkich narodów.

Głos Hitlera zatonił w ogłuszającej wrzawie wiwatów.

– Stało się – powiedziała Ann bezbarwnie. – Właśnie zarządził, aby paszporty wydane przez ambasady były zwracane na ręce *chargé d'affaires*, to znaczy, że przystąpił do wojny.

– Czy Hitler mówił, że wypowiedział wojnę Stanom? – przeraziła się Dorothy.

– Nie dosłyszałam, ale...

– To znaczy, że nie wypowiedział – oświadczyła Dorothy stanowczo. – Kochanie, jesteś już za duża, aby tak fantazjować!

Ann zatrzymała się na widok bezbrzeżnej lepoty matki. Quent miał rację, powinni się dowieść wiele miesięcy temu. Zastanawiała się, gdzie mogli się podziwiać Gilberte i jej rodzice – ostatni wiadomości o nich była niejasna informacja, którą Quent przekazał przez Larry'ego Portera: „Generał Hocheński jest na tropie”. Czego dowiedział się generał? Czy rodzina de Permontów wyjechała na wolności wiadomo, że Stany przystąpiły do

wojny?

Denerwujące wiwaty przeszły w rytmicznie wyrzaskiwane *Sieg Heil*, co znaczyło, że błyskotliwy popis oratorski *Führera* dobiegł kości. Horace cięko zwał się z kanapy i zgasił radio. Nienaturalna cisza w mieszkaniu zakłócała wyjątkowo dochodzące z sąsiednich mieszkań stłumione odgłosy radiodbiorników.

– Nie mamy nawet konsula w Paryżu – stwierdził.

Ann przypomniała sobie uwagę barona de Permont, że w przypadku wojny Stany będą z Niemcami wymieniać swoich obywateli.

– My licie, że pozwolę nam wrócić do kraju?

– Ann, przestań! – przerwała jej ze złości Dorothy. – Stany nie biorą udziału w tej wojnie. Hitler nie ma żadnego interesu, żeby z nami zadzierał. Po pierwsze, na pewno pamiętasz, co było, kiedy wkroczyli my do pierwszej wojny światowej. Po drugie, zaledwie sześć miesięcy temu napadł na Rosję, a nawet *Propagandataffel* przyznaje, że armia niemiecka bardzo ciężko znosi rosyjską zimę. Marynarka i siły powietrzne zaangażowały się przeciwko Wielkiej Brytanii. Walka, z punktu widzenia Niemiec, to czysty nonsens.

Ann gwałtownie nabrała powietrza w płuca.

– Powinna wysłać list do kancelarii Hitlera. Z pewnością cię posłucha twoich rad, jeżeli naprawdę jest tak niebywale rozstraszony.

Dorothy z powrotem zapadła się w narożnik steranej kanapy. Nie miała siły na dyskusję.

– Przepraszam, mamo – powiedziała cicho Ann.

– Jak to się stało, na Boga, że was tu obie uwiózłem?

– Horace w błagalnym geście złożył dłonie odziane w mitenki.

– Powinienem być, nie baczcie na nic, zawieź was do kraju.

Ann, która zawsze wytykała rodzicom niekończące się wykręty i opieszałość, teraz, widząc gorzki wstyd w piwnych oczach ojca, nie czuła wcale więcej satysfakcji, jedynie bolesną, dławącą litość...

– Wszystko będzie w porządku, tato – pocieszyła go przełknęwszy łzy.

– Okropnie bałem się wracać – mamrotał Horace.

Upokorzenia, których zaznał w związku z aresztowaniem koło Taliesin, i mieszczyność, jak nastąpienie się okrył, wycisnęły głębokie piętno na jego psychice. Jednak ani przed sobą, ani przed nikim innym – nawet przed Dorothy – nie chciał się przyznać, że co takiego idiotycznego mogło go powstrzymać przed opuszczeniem Paryża. O wiele łatwiej było mu zwalić swoje niezdecydowanie na łęk przed kryzysem.

– Cięgle oczyma duszy widziałem, jak sprzedaję jabłka na straganie albo wyjęty z zasięku. I co najlepszego zrobiłem? Uwiózłem swoją rodzinę w samym środku wojny. Gardzę sobą. Nie zachowałem się jak mężczyzna, tylko jak jakiś słabeusz. – Głos mu się załamał. Odwrócił się twarzą do ciany.

– Horace, kochanie, nie bądź mieszczyno. Ilu mężczyzn na obczyźnie nie zaszło tak wysoko jak ty? A co się tyczy Hitlera... nasza Ann nie jest wybitną germanistką. – Dorothy posłała złowrogie, rozgorączkowane spojrzenie córce.

Ann podeszła i uciśnęła ojca. Nie zareagował.

– Wszystko będzie dobrze, tato – powiedziała niepewnym głosem. Chociaż bardzo go kochała, musiała przyznać, że był wyjątkowym niedołgiem; teraz, kiedy Dorothy jest chora, ona, Ann, będzie musiała się opiekować całą rodziną. – Ambasada w Berlinie na pewno już wie, co jest grane. Pójdź do *monsieur* Remigasse’a i zadzwoni.

– Pójdź do sklepu Remigasse’a i spróbuj się dodzwonić do ambasady w Berlinie. Na pewno będą wiedzieli, co się dzieje – oznajmił Horace, jak gdyby Ann chwilę wcześniej nie powiedziała dokładnie tego samego.

– Pójdziemy razem – zdecydowała Ann, biorąc go pod ramię. Popołudniowa kolejka wynudniałych kobiet czekających na przydziałowy chlebsięgała już od *boulangerie* do rogu. Kiedy weszli do sklepu, podniosły się gniewne głosy. *Monsieur* Remigasse, krzywiąc pulchne rękę na białym fartuchu, stanął w drzwiach.

– *Mesdames!* Oni tu nie przyszli po chleb, tylko zadzwonić do swojej ambasady. To są Amerykanie – huknął na oburzone klientki. Przed piekarnią rozległy się ciche okrzyki. *Vive les Americans!* Wiwaty były aktem odwagi. Gdyby w pobliżu znalazł się szpicel, kobiety mogły skończyć w szpitalu pod zarzutem prowokacyjnych występów publicznych.

Horace z nieprzytomnym wyrazem twarzy wczłapał do piekarni. Ann podeszła do telefonu.

Rozmowy mi dzymiaستowe zwykle zabierały wiele czasu, a tego popołudnia połączenie z Berlinem było stale zablokowane przez rozmowy wojskowe. Kiedy ostatni bochenek zniknął z półki i *monsieur* Remigasse umieścił na drzwiach wywieszki *FERME*, Ann i Horace cięgle jeszcze czekali. Na chodniku wzdychała grupka przygnębionych gospodyń – ich rodziny tego dnia pójdą głodne. Piekarz pozwolił Amerykanom zostać i cięko powlókł się na górki do domu. W ciemnościach opustoszałego sklepu Ann próbowała wciągnąć ojca w rozmowę, jednak Horace pod wpływem szoku zamknął się w sobie.

Siedzieli tak przez blisko dziesięć godzin – zbliżała się już północ i godzina policyjna, kiedy dostali wreszcie połączenie. Telefon zadzwonił dwukrotnie. Horace podskoczył wpatrując się w wielką czarną skrzynkę na cianie. Ann podniosła słuchawkę. Najpierw francuska, potem niemiecka telefonistka poinformowały ją, że na linii jest Berlin.

– Ambasada amerykańska, Willets przy telefonie – odezwał się szorstki głos z amerykańskim akcentem.

– Mister Willets, mówi Ann Blakely – powiedziała Ann, trzymając słuchawkę tak, aby ojciec też mógł słyszeć. – Mieszkam z rodziną w Paryżu. Słyszeliśmy dzisiaj wiadomości w Reichstagu i chcielibyśmy wiedzieć, co się stało.

– Ma pani szczęście, że się pani dodzwoniła, *miss* Blakely. Tutaj rozpałało się istne piekło. Ribbentrop telefonicznie zażądał od pana Morrisa, naszego *charge d'affaires*, zwrotu amerykańskich paszportów. Mamy wojnę. Reichstag wypowiedział Stanom wojnę.

Horace zawył cicho.

Właściwie spodziewała się tej wiadomości, jednak ołdek podjechał jej do gardła, jakby podłoga piekarni usunęła się spod nóg, i Ann poleciała w bezdenną przepaść.

– Co... co teraz będzie?

– Nie ma pani powodów do obaw, nie powinna pani mieć żadnych problemów. – Głos

Willetsa stał się oschły i rzeczowy, jakby mówił coś, co powtarzał już wielokrotnie. – Departament Stanu przygotowuje ewakuację wszystkich obywateli amerykańskich. Tymczasem radzimy naszym rodakom zachowywać się bardzo poważnie, nie wygłaszać prowokacyjnych mów, nie porywać się na bohaterskie gesty. Podporządkujcie się wszystkim zaleceniom władz niemieckich, stosujcie się do przepisów. Rozumie mnie pani? – Co zatrzęszczało na linii. – Nie jesteście rodziną żydowską? – zapytał po przerwie.

– Nie – zaprzeczyła Ann.

– To zresztą bez różnicy. Mam jedną radę dla wszystkich obywateli amerykańskich. Unikajcie kłopotów i zachowujcie się tak jak dotychczas. *Miss Blakely*, mam tu istny dom wariatów, musicie się z pani pogodzić. – Po drugiej stronie rozległo się zdecydowane stuknięcie. Właśnie czytała się francuska telefonistka, żeby spytać, czy rozmowa została zakończona.

Rozmowa, niestety, bynajmniej nie była zakończona. Jak mogła zapomnieć spytać Willetsa, z kim się kontaktowała w sprawach ewentualnej ewakuacji?

– Chodźmy do domu – odezwał się Horace, po raz pierwszy od wielu godzin. – Matka na pewno się niepokoi.

Następnego ranka Dorothy miała jeszcze wyszargoczek. Ann chciała zostać w domu i zaopiekować się matką, jednak Dorothy ochryplym głosem upierała się, że należy, zgodnie z zaleceniami ambasady, zachowywać się tak jak zawsze.

U *madame Bernard* czekał na Ann młody porucznik w szarym mundurze. Strzelił obcasami, ukłonił się i zakłopotanym głosem poinformował, że jako przedstawiciel wrogiego mocarstwa nie wolno jej uczęszczać do szkoły. Ann opróżniła swój ławek pod ostrzałem ciekawskich spojrzeń koleżanek, z którymi już nie była. Wydalenie ze szkoły nie wywołało w niej smutku ani żalu. Bez Gilberte pobyt w *classe de première* był ponurym czarnym.

W domu zastała ojca siedzącego na brzegu łóżka matki. Dorothy, ubrana od stóp do głów, leżała oddychając z trudem.

– Czekali na mnie w szpitalu – oznajmił Horace. – Zabrali mi pozwolenie na pracę. Zabrali. Powiedzieli, że przedstawiciele wrogich mocarstw nie mogą pracować w szpitalach.

– Nie ma się czym martwić, kochanie – pocieszała go ona.

– Doktor Descourset obiecał, że dalej będzie wypłacał ci pensję, i tyle. Musimy tylko wystarać się na policji o specjalne *éloignement*.

Był posępny grudniowy poranek. Ann, Horace i dygnie Dorothy byli jedynymi Amerykanami, którzy meldowali się na *commissariat*. Dowiedzieli się, że *éloignement* – przedłużenie pobytu – będzie musieli odnawiać codziennie. Wszyscy cudzoziemcy, wrogowie i im podobni, którym w dokumenty nie wstemplowano wielkiego E, tylko rzadko wpisano datę, będą odsyłani do obozów koncentracyjnych. *Commissariat* znajdował się jakieś dziesięć przecznic dalej, przy *boulevard Raspail*, i przy dobrej pogodzie dotarcie na miejsce było przyjemnym przechadzkiem. Jednak tegoroczna zima była równie ostra, jak poprzednia, a Dorothy była chora. Co dzień spędzali od godziny do pięciu godzin w tej samej poczekalni, w której

Ann przechodziła rewizję osobistą – w pamięci stałe kołatały jej się ohydne wspomnienia.

W następnym poniedziałek północny wiatr miał prosto w oczy mokrym niegim. Horace i Ann prowadzili Dorothy, jednak w drodze powrotnej do domu zwalniała coraz bardziej, a wreszcie nogi odmówiły jej posłuszeństwa. Przez lodowatą zadymkę dowlekli ją na rue Daguerre, gdzie z pomocą *madame* Jargaux wnieśli ją po schodach na górę.

Doktor Descourset po bełkotliwym telefonie od Horace'a rzucił swoje zajęcia w ambulatorium i przyjechał do chorej. Dobrotliwy, przemoczony, nosił bródkę jak z portretów Van Dyke'a i wysoki, staro wiecki kołnierzyk. Po zbadaniu Dorothy poprosił byłego podwładnego do drugiego pokoju.

– *Madame* Dorothy ma influencję.

– Silny katar – zaprzeczył Horace, któremu krew odpłynęła z twarzy.

– Influcja. Wcale mi się to nie podoba. Przypomnij sobie jej zapalenie płuc w zeszłym roku, 'Orace. Nie powinna wychodzić z łóżka.

Horace, bardziej niż zwykle, wyglądał jak biedny oszołomiony królik przyparty do muru.

– Co dzieć musimy osobicie meldować się na policji.

– Ma wysoki gorączki i zajęte płuca. Nie pisze się o tym w gazetach, 'Orace, ale może się mi wierzy, że mamy epidemię influencji w pełnym rozkwicie. Śmiertelność jest wysoka, bo dochodzi do tego zimno i niedożywienie. Tylko w tym tygodniu straciłem trzech pacjentów.

Horace zacisnął rozedrgane szczęki. Na jego twarzy odmalowały się strach i determinacja.

Po południu wyszedł z domu.

Wrócił tu przed ósmą – dla obywateli wrogich mocarstw o tej porze rozpoczynała się godzina policyjna. Usiadł na łóżku małżeńskim i rozłożył *éloignement*, przedłużając pobyt *Frau* Dorothy Blakely o cały tydzień. Nawet znaki wodne na papierze wyglądały jak prawdziwe. Kiedy Ann zakwestionowała pochodzenie dokumentu, Horace tajemniczo zasznurował usta. Ann doszła do wniosku, że musiał wejść w kontakt z doskonałym fałszerzem dokumentów. W podziemiu okupowanego Paryża roiło się od wietnych fałszerzy. W jaki sposób jednak jej strachliwy, praworządny ojciec nawiązał kontakt z fałszerzem?

Gorączka Dorothy rosła i opadała, nigdy nie schodząc poniżej czterdziestu stopni. Dzień przed obowiązkowym stawieniem się na *commissariat* przyszedł ją zbadać doktor Descourset.

– W pani stanie nie może pani jeszcze wstawać – oznajmił gładząc się po swojej bródce.

Kiedy lekarz pośpieszył na dalszy obchód, Horace oświadczył, że te musi wyjść. Idzie do fałszerza – pomyślała Ann. Zawiała mu szalik i pocałowała w czubek nosa.

– Zamknij drzwi i zasuw – rzucił na odchodnym.

Ann założyła cuch i poszła do kuchni oskrobać z grubej warstwy ziemi dwa małe ziemniaki i trzy karłowate marchewki – obiad, po który stała w kolejce przez cały ranek. Do wieczornego posiłku brakowało jeszcze pięć godzin, a już była tak głodna, że mogłaby schrupać wszystkie jarzyny na surowo. Zdjęła fartuch i poszła zobaczyć, jak się czuje Dorothy. Na spójkę z ojcem wtaszczyli wielkie radio do pokoju chorej; Radio Paris włączyło nie transmitowało w całości *Wesołe wdówki*, ulubioną operetkę Dorothy. Matka jednak

pochrapywała głowę. Ann zdecydowała się czuwać przy chorej. Przyniosła do pokoju letni pejzaż, który właśnie nie wykażała – chciała obrazek dla ojcu pod choinkę. Przypięty do deski papier był lichutki, a pastele wyrysowane prawie do końca, mimo to, jak zawsze, kiedy brała się za rysowanie czy malowanie, czas przestawał dla niej istnieć. Wyobrażenia Ann wypełniały zielone pastwiska i pola. W pierwszej chwili nie przyszło jej do głowy, że brzęczenie, które słyszy, nie jest partią instrumentalną operetki Straussa, tylko dzwonkiem do drzwi. Nie chcąc obudzić chorej i spodziewając się *madame* Jargaux, która często przychodziła z wizytą na górę, wyszła na palcach z pokoju, przysmknęła cichutko drzwi i popędziła korytarzem, żeby zwinąć zasuwę. Jasnoczerwona pastela wypadła jej z ręki.

Na ponurym, wyłożonym kaflami podłogą stał Ojuent Dejong.

– Myślałem, że wyjechała, a ja przegapiłem cię na dworcu.

Nie rozumiała, o co mu chodzi, podobnie jak nie mogła powiedzieć, co go do niej sprowadza. Co gorsza, myślenie przychodziło jej z trudem. Trzymaj się gałki od dzwonka, wygłosiła pierwszą lepszą z idiotycznych uwag, które cisnęły jej się do głowy.

– Lany mówił, że nie ma cię w Paryżu.

– Musiałem wyjechać w interesach.

Skinęła głowę i dopiero po chwili dotarło do niej, że nadal nie wyjaśnił celu swojej wizyty.

– Dlaczego cię nie ma na Gare d'Austerlitz? – zapytał. – Właśnie wsadziłem Larry'ego do pierwszego pociągu. Nie mogłem cię nigdzie znaleźć, chociaż przeszedłem cały peron, rozglądając się za tobą. Wszyscy Amerykanie siedzą na walizkach. Czekają na podstawienie drugiego pociągu.

– Pociąg?

– Nic nie wiesz o wyjeździe do Szwajcarii?

– Skąd mam wiedzieć?

– Wszyscy Amerykanie zostaną wywiezieni w zaplombowanych wagonach – wyjaśnił dodając, że nakaz stawienia się o trzeciej trzydzieści na Gare d'Austerlitz wywieszono we wszystkich prefekturach.

– U nas niczego takiego nie było.

Z dołu klatki schodowej dobiegły ich czyjeś kroki.

– Nie powinniśmy tutaj rozmawiać – zauważył i wszedł do rodzka.

Ann zaprowadziła go do salonu. Od czasu kiedy wynieśli stół radio, ona i Horace nie byli w pokoju ani razu i powietrze nabrało już zapachu ciękiej stchlizny nie używanych pomieszczeń.

– Nie ma czasu, żeby się rozsiadać. Powiedziano nam, że drugi pociąg odjedzie – odchylił rękaw, żeby spojrzeć na wielki złoty zegarek – za godzinę. Na dole czeka mój samochód.

Samochód? Jakich cudów potrafił dokonać pieniądze, nawet w rękach obywatela wrogiego mocarstwa.

– Nie możemy jechać.

– Rany boskie! – rozżółcił się. – Dalej upieracie się przy tym samym? Ann, czy ty nie rozumiesz? Znajdujemy się na terytorium wroga!

– Matka ma influenc .

– No to – zawyrokował – b dzie si musiała ciepło ubra . W jego spokojnym tonie było jeszcze wi cej gniewu ni w poprzednim wybuchu.

– Ona jest naprawd chora, Quent.

– Chyba ci przed chwil co wyja niłem. Te dwa zaplombowane poci gi s jedynymi rodkami, jakimi Amerykanin mo e si wydosta z okupowanej Francji. Ka demu wolno wzi walizk wa c do dziesi ciu kilogramów. Id si spakuj. I nie zapomnij wzi jedzenia. Nie wiadomo, jak długo b dziemy jecha . Poci gi pasa erskie s odsyłane na bocznicę, eby da wolny przejazd poci gom wojskowym.

– Mama nie prze yje takiej podró y. Doktor Descourset dał do zrozumienia, e nawet wyj cie z łó ka mo e przypłaci yciem.

– Pozwól, e porozmawiam z twoim ojcem.

– To wła nie jest kolejny powód, dla którego nie mo emy ucieka . Ojciec wyszedł. – Rozdarta pomi dzy l kiem przed pozostaniem a silnym postanowieniem, by nie wsiada do poci gu, podniosła głos. – Nie porzuc ojca ani nie b d nara a ycia matki!

– Id si spakuj. Przywioz go do domu. Dok d poszedł?

– Nie powiedział. Praktycznie mo e by wsz dzie.

– Wobec tego pojedziecie same z matk .

– Wykluczone. Quent, naprawd bardzo ci dzi kuj za to, e po nas tutaj przyjechał .

Patrzył na ni w gasn cym wietle dnia. Po paru sekundach dotarło do niej, e ich milczenie jest kolejnym argumentem.

– Lany Porter przekazał mi wiadomo od ciebie – powiedziała stłumionym głosem. – Czy generał von Hocherer wykrył, gdzie s de Permontowie?

– W Santé. – Nagle Quent wydał si jej przybity i wyczerpany.

– W Santé – krzykn ła przera ona. – Dlaczego?

– Ani mnie, ani generałowi nie udało si uzyska dost pu do akt. Nie wiemy, o co zostali oskar eni. Spraw prowadzi gestapo. – Westchn ł i potrz sn ł głow . – To było niezwykle przyzwoite z jego strony, e si w ogóle starał, zwykle wojskowi unikaj kontaktów z gestapo.

My l o Gilberte w r kach umundurowanych na czarno m czyzn, których unika sam generał Wehrmachtu, wydała si Ann niezno na. Przełkn ła gwałtownie lin . Ci gn c lad jasnoczerwonej pasteli, przejechała palcem po zakurzonym stoliku pod lamp .

– Ann, przesta si zachowywa , jakby rzeczywi cie mogła wybiera . Nie ma adnego wyboru. Twoja matka wyzdrowieje. Nie rozumiesz, e to jest ostatni poci g? – Złapał j za r k i mocnym poci gni ciem zmusił do wstania z kanapy.

Serce Ann zacz ło nagle bi przy pieszonym, nierównym rytmem, nogi zrobiły si jak z waty. Poczwała nieodparty impuls wtopienia si w ciepło emanuj ce z jego blisko ci, poddania si jego sile.

– Nie zapominaj o moim ojcu – przypomniała.

– Jest m czyzn , da sobie rad . – To było wła nie to: zimny, arystokratyczny głos.

– Jeste my rodzin .

– Czy nie potrafisz myśleć logicznie?

– Nie, jeżeli to oznacza, że przestaniemy być rodziną. – Jakim cudem udało jej się zdobyć na równie lodowaty ton.

Ciemnoniebieskie oczy patrzyły na nią badawczo. Poczuli, że się rozpada.

– Wobec tego wracam na dworzec – oświadczył puszczając jej rękę.

Nie powiedział do widzenia. Stała tam, gdzie ją zostawił, wsłuchując się w odgłos jego kroków na chodniku pokrywającym schody, a potem trzaśniecie zamykanej bramy.

Dobiegające zza ścian drzwi kiwały się raptownie.

– Ann... – To był głos matki, skrzeczący i słaby. – Słyszałam, że kto otwierał drzwi. Czy tatu wrócił?

– Nie, to ja sprawdzałam tylko zasuwę – odpowiedziała Ann, zastanawiając się, dlaczego kłamie. Przecież matka i tak niebawem się dowiedzie, że przegapiły ostatni eskortowany pociąg, którym Amerykanie mogli opuścić Francję.

Ann płała w marcowym słońcu, które szeroki strug światła przeżyło przez okno. Jak tancerka flamenco podniosła ręce nad głowę i pstrykała palcami, uśmiechała się do tarczy słonecznej, jakby była twarzą jej partnera.

W ostatnich miesiącach niewiele było powodów do radości, z wyjątkiem rzadkich przebiegów ładnej pogody. Zaraz po Bożym Narodzeniu, kiedy Dorothy wciąż jeszcze miała przeraźliwie wysoki gorączki, *Bankenaufsichtsamt* zarekwizował oszczędności z konta Horace'a w Banque Nationale de Paris oraz skonfiskował skrytkę depozytów Dorothy, w której znajdował się jej pierścienek zaręczynowy z malutkim rubinem, dwie złote dwudziestodolarówki i garstka srebrnych dolarów, zawiązane w starej skarpecie. W styczniu doktor Descourset został wezwany przez porucznika SS, który poinformował go, że – zgodnie z nowymi przepisami – Francuzom zabrania się dawania pieniędzy obywatelom wrogich mocarstw. Pieniądze ze sprzedaży srebrnej zastawy wyparowały i teraz Ann szukała nabywcy na wielkie radio. Dorothy ledwie trzymała się na nogach; musieli ją podpieścić w drodze na posterunek policji. O de Permontach nie było żadnych wiadomości, jeżeli nie liczyć niemieckiej ciarówki, która przyjechała, by zabrać ich meble. W zalewie przygnębienia jedyną ucieczką dla Ann był jednostronny romans. Jej noce wypełniały erotyczne sny o Quencie. Kiedy trzęsła się z zimna, wystawała w kilometrowych kolejkach przed sklepami spożywczymi, jedyną ucieczką były wspomnienia o Quencie Dejongu. Z czasem wspomnienia, jak strony wielokrotnie czytanej książki, zatarły się i straciły na wieści, zaczęła więc wymyślać nowe obrazy.

Słyszeli ciche stukanie, opuściła wzniesione ręce. Dorothy wliznęła się do pokoju, zamykając za sobą drzwi. W świetle słońca jej skóra wyglądała jak pergamin.

– Kochanie, czy znasz dziewczynę, która się nazywa Suzette Pamfou? – spytała szeptem.

– Suzette jaka? – Ann zmarszczyła czoło.

– Pamfou. Mówi, że jest twój koleżanka z klasy. – Dorothy szczelnie otuliła się zbyt obszernym swetrem. Widać było, jak bardzo znowu schudła. – Skoro nie wolno ci chodzić do *madame Bernard*, to chyba nie powinnaś też widywać koleżanek szkolnych. Powiem jej, że nie macie w domu.

adna Suzette Pamfou nie chodziła z nią do szkoły. Było zresztą coś dziwnego w tym nazwisku, bardziej przypominało imię psa czy kota. Słuchając matki, Ann, skłaniając się w promieniach słonecznych, gorączkowo rozmyślała. Widziała tylko jedno wyjście – nieznajoma była czyimś gościem. Uprzedzając dyskusję z matką, rzuciła się do drzwi wejściowych. Czekając na nią dziewczyna mniej więcej jej wzrostu.

– Suzy! Boże, jak się za tobą stęskniłam! – wykrzyknęła zarzucając ręce na szyję nieznajomej, która spowiadała zapach fiołkowych perfum. Po piesznie przedstawiła dziewczynę niespokojnie przypatrując się im Dorothy, a następnie Horace'owi, którego wywabiły z salonu wybuchy entuzjastycznej radości.

– Wejź, Suzy – zapraszała Ann. – Zobaczysz, jak cudownie słodko wiesz w moim pokoju.

Kiedy zamknęła drzwi sypialni, przyjrzała się uważnie nieznajomej. Stała przed nią drobniutka, piegowata blondynka o krótkich włosach. W naciąganych na jej podkolanówkach dla starszych ludzi, z powodzeniem mogła odgrywać uczennicę, jednak jej prawdziwy wiek przy dobrym świetle dla każdej nastolatki był widoczny jak na dłoni. Suzette musiała mieć dobrych dwadzieścia par lat.

– Kim jesteś? – spytała ją szeptem Ann. Ojciec mógł stać na korytarzu, jeżeli coś rozbudziło jego ciekawość, zdarzało mu się ulegać niewinnemu nałogowi szpiegowania.

– Jakie piękne tapety! – pochwaliła Suzette gromkim głosem, po czym dodała szeptem: – Bądź do wpół do czwartej koło bramy cmentarza przy boulevard Edgar Quinet. Ktoś będzie na ciebie czekał.

– Kto? Gilberte? To ona, prawda?

Zamiast odpowiedzi, Suzette wyciągnęła z torby sfatygowaną książkę.

– Powiedz rodzicom, że zapomniała mi oddać moją *Cousine Bette*, i pobiegiesz za mną. A teraz pytaj mnie, co w szkole.

rodkiem boulevard Edgar Quinet biegł deptak wysadzany z obu stron wiązami. Przed wojną w okolicach place Delambre mieściło się na nim ruchliwe targowisko – teraz na tym miejscu stało zaledwie kilka kramów z uboższym sprzętem gospodarstwa domowego. Nieco dalej postawiono rzędy ławek zwróconych w stronę cmentarza Montparnasse. Ann, spacerując tam i z powrotem alejką w pobliżu cmentarza, wzbudzała swoją osobą nieustające zainteresowanie okutanych w palta staruszków, którzy wygrzewali się na ławkach w słońcu.

Przekonana, że tajemniczym „kim” będzie Gilberte, rozglądała się na wszystkie strony, wypatrując wysokiej, szczupłej brunetki. Było już po czwartej i do wrodzonej niecierpliwości dołączyły najgorsze przecucia. Policja stale kontrolowała dokumenty paryżan, a młoda kobieta z przeszłości wistawiana w *carte d'identité* z łatwością mogła zostać zatrzymana. Ona również wzbudzała zainteresowanie, co mogło być niebezpiecznym błędem. Przechodząc koło bramy cmentarza, zauważyła skrytego w cieniu grobowca mężczyznę, który przyglądał jej się, paląc papierosa. Niezwykle wysoki, miał na sobie sukienny beret, wytarte sztruksowe spodnie i powyciągany sweter z grubej wełny, ciasno oparty na szerokich ramionach i luźno zwisający wokół szczupłych bioder. Włosy odznaczających się takim wzrostem, młodości i niewzrostłości przedstawicieli klasy robotniczej albo siedziały za

drutami obozów jenieckich, albo została zesłana na „dobrowolne” roboty w głąb Rzeszy.

Zaczerpnęła głąboko powietrza. Księżka wypadła jej z ręki.

To był Quent.

Chociaż na swój sposób była w nim zakochana, przez myśl jej nie przeszło, że na miejscu spotkania może przyjdzie ktoś inny niż Gilberte. Wiedziała zresztą, że Quent wyjechał z Paryża pociągami pod eskortą. Zamarła ze zdumienia. Quent uniósł dłoń z papierosem i ruszył w jej kierunku.

Schylił się i podał jej upuszczoną *Cousine Bette*.

– Przepraszam, że się spóźniłem, mój „limaczkę”, ale wiesz, jak to jest. Szef mnie potrzebował, ten stary wór bebeczów cię gdzie wynajduje mi coś do roboty. – Pochylił się i cmoknął jej w policzek. – Będzie jeszcze musiał wrócić do pracy.

Lekkie muśnięcie jego warg sprawiło jej rozkosz tak intensywną, że aż granicząca z bólem – nawet erotyczne sny nie ostrzegły jej o możliwości tak silnych doznań fizycznych. Kiedy wziął ją pod rękę i poprowadził w stronę boulevard Raspail, jej ciało zaczęło żyć własnym życiem. Kręgi piersi wyprężyły się, biodra zakotłowały łagodnie. Staruszkowie dowiedzieli się wreszcie, że czekała na ukochanego.

– Suzette Pamfou, czy ta osoba podajca się za nią, powiedziała, że ktoś będzie na mnie czekał. Byłam pewna, że spotkam Gilberte – powiedziała półgłosem.

– Gilberte? – Poczuli, jak mi nie jego ręką jej. – Wyszła już z Santé?

– Nie wiem.

– Kiedy miała o niej jakieś wiadomości? Co z ViVi i André?

– Nie miałam żadnych wiadomości.

– Ale przecie mówiła ...

– Sądziłam tylko, że to ona. Miałam nadzieję, że wyszła z więzienia – broniła się przed nim tym gardłem. Czuli, że zaraz się rozplacze. Jej głos, zazwyczaj niski, nagle stał się piskliwy. – Quent, jakim cudem jesteś jeszcze w Paryżu? Czy spóźniłeś się przez nas na pociąg?

– Nie, wyjechałem ze wszystkimi. – Rozejrzył się. – Mów do mnie Jacques. Nazywam się Jacques Tinel.

– Jacques Tinel... Odrzucił Cauloise’a.

– Jak się miewa twoja matka?

– Lepiej, ale jeszcze nie całkiem przyszła do siebie.

– W najbliższych dniach zacznie się internowanie Amerykanów.

– Spakowali już walizki.

– Powinna wyjechać do Szwajcarii.

– Quent, po co do tego wraca? Nie mogłam jechać. Mama miała straszliwego gorączkę, taty nie było w domu.

– Teraz powinna jechać przerwać jej.

– Teraz? Równie dobrze mogłabym polecić na Księżyc. Quent nie odpowiadał czekając, aż wymyśli jakąś, na której siedział skulony staruszek.

– Słyszała o szmuglerach? – zagadnął cicho.

– Trochę słyszałam. – *Madame Jargawi* parę razy wspominała szeptem o przechodzeniu przez zieloną granicę. „Szmuglerzy” byli Francuzami, którzy pomagali wydostać się z okupowanego terytorium ydom i zestrzelonym nad Francją brytyjskim lotnikom. – Taka przeprawa jest dość ryzykowna, prawda?

– Nie tak ryzykowna, jak pozostanie tutaj.

– Moja matka nadal jest w bardzo złym stanie.

– Postaramy się o najłatwiejszą trasę.

– Jeśli nas złapią, rozstrzelają nas jako szpiegów.

– Będziecie mieli przecie dokumenty.

– Fałszywe.

– Ann, nie bądź tchórzem.

– Pominij wszystkie kwestie ekonomiczne, nic złego nas tutaj nie spotkało.

Przystanął, aby zapalić kolejnego papierosa, i kiedy ruszyli dalej, bole nie odczuła fakt, że nie wzięła jej z powrotem pod rękę.

– Teraz z kolei mówisz jak twoi rodzice – powiedział. Faktycznie, użyła argumentów, jakimi z pewnością posłużyliby się Dorothy i Horace.

– Po prostu jestem rozsądna.

– Rozsądna? Chyba zdążyła już zauważyć, że Niemcy przestali się z nami patyczkować. Wygląda na to, że nie dotarli do ciebie słuchy o tym, co się dzieje w obozach dla wysiedlonych. Głód, choroby, bicie, praca ponad ludzkie siły. Niewiarygodnie wysoka śmiertelność. Ładne dziewczyny odsyła się do burdeli wojskowych. – Zaczernił się. Quent Dejong nie był wolny od mieszczańskiej pruderii, co stanowiło dziwną sprzeczność u człowieka, który pierwszy skrobank opłacił jeszcze jako chłopiec.

Poczuła, że te się czerwieni.

– Chcesz mnie ostrzec, że mogłoby nie zostać jeden z wybranych?

– Przyjdź po ciebie o wpół do dziewiętej. Będzie ciemno.

Ciemno. To słowo dopiero mu wiadomością jej niebezpieczeństwo, na jakie się narażał przychodząc w słoneczne popołudnie na boulevard Edgar Ojuinet.

– To ty powinieneś uciekać do Szwajcarii – zauważyła półgłosem. – Mogłoby ci tutaj rozstrzelać pod zarzutem szpiegostwa.

– Mnie? Jacquesa Tinela?

– Nie wyglądasz na Jacquesa Tinela.

– Jak dotąd nie wzbudziłem niczyich podejrzeń.

– Prędzej czy później wzbudzisz. Pokaż mi Francuza, który wyrzuciłby dwa papierosy wypalone za ledwie do połowy.

Spojrzał na niego z irytacją, dopiero potem potrzęsł z aprobaty głową.

– Masz więc rację.

Wsparta na łasce, zgarbiona staruszka przedreptała obok, nie spuszczając z nich oka. Quent mrugnął do niej porozumiewawczo, po czym nachylił się i ucałował Ann w oba policzki.

– Do zobaczenia wieczorem, mój „liniaczku”.

W drodze do domu Ann próbowała wyobrazić sobie, co by było, gdyby ucieczkę zaproponowała jej jakaś bezpłciowa istota, a nie Quent Dejong. Rozmyślała ponuro o losie Lei Blum i Gilberte de Permont. Wspominała piekło, jakie sama przeżyła na *comissariat*. W końcu doszła do wniosku, że internowanie może okazać się bardziej ryzykowne niż przejście przez zieloną granicę.

Rodzice zareagowali tak, jak się spodziewała. Horace zszarzał i pobladł.

– Wyjazd do Szwajcarii to chory pomysł! Jestem pewien, że ta jakaś Suzette maczała w tym palce! – wykrzykiwał. – Od razu jak tu przyszła, poczułem, że coś międzi!

Dorothy wyjaśniła Ann, że jest już doświadczone, a na to, by wiedzieć, że spotkanie się z Amerykaninem o fałszywych dokumentach jest czynem wysoce ryzykownym i nieprzemysłowym.

– A tak w ogóle, to czemu ten pan Dejong tak się nami interesuje? – spytała w końcu.

– Ponieważ jest krewnym Gilberte, a ja jestem jej przyjaciółką. – Ann wygłosiła tekst podyktowany przez rozszedk.

Państwo Blakely wycofali się do swojej sypialni.

Ann z góry znała wynik ich narady. Horace zda się na niego i pozwoli jej podjąć decyzję, a Dorothy, bezwzględnie posłuszna kądzie niemieckiemu zarządzeniu, odmówi wyjścia z domu, o ile nie będą mieli przynajmniej po jednym *Ausweise* w kładym ręk.

Kiedy zjawił się Quent, rozmowa przybrała bardziej przygnębiający obrót, niż Ann sobie wyobrażała. Rodzice nie zaprosili go do salonu i rozmawiali z nim, stojąc na tle trzech spakowanych walizek, które miały świadczyć o ich dobrej woli wobec okupanta.

Pierwszy, jako głowa rodziny, przemówił Horace.

– Ann twierdzi, że ma pana jakiegoś znajomośc w siatce, która zajmuje się przerzutem ludzi przez granicę, panie Dejong.

– Same osoby godne najwyższego zaufania.

– Przecież nie jesteście my uciekinierami – włączyła się Dorothy.

– Doktor Descourset – broda Horace'a cofnęła się jeszcze dalej niż zwykle – włączył ciciel szpitala, którym zarządzałem, kilka razy odbywał podróż do strefy nieokupowanej. Ma tam matkę, dziewięćdziesięcioletnią staruszkę. Wiele razy nam opowiadał, co musiał przeżyć w tych podróżach. Na każdym postoju miejscowa policja, same typy spod ciemnej gwiazdy, wchodziła do wagonów, aby sprawdzać dokumenty. Na granicy Niemcy mają specjalnie przeszkolonych szpicli do wykrywania nielegalnych pasażerów. Któregoś razu był wiadkiem, jak cała rodzina rozstrzelano obok pociągu, doktor przypuszczał, że byli to ludzie z fałszywymi dokumentami. Innym razem w jego wagonie aresztowano jakiegoś kobietę pod zarzutem szmuglowania towarów. Doktor Descourset twierdzi, że w strefie nieokupowanej policja jest jeszcze surowsza niż tutaj. Jeśli ktoś *sauf-conduit* chociaż na milimetr odbiega od normy, włączy ciciel koczujący w ziemi.

Ann czuła, że dusi się słuchając tych wykrótów, jednak lojalnie kazała jej przysunąć się do rodziców.

– Czy słyszeliście państwo o Drancy? – zapytał Quent z pozornym spokojem. Drancy było podparyskim nieukończonym osiedlem dla robotników, które Niemcy zamienili w przechowalnię dla elementów „niepodanych”. – Albo o obozach koncentracyjnych?

– To wszystko są nikczemne plotki – zbyła go Dorothy, uśmiechając się zbiegającymi wargami. – Panie Dejong, jest pan zbyt młody, by pamiętać o ostatniej wojnie, ale zapewniam pana, że krążyły wtedy bardzo podobne historyjki o Niemcach, którzy mieli jakoby obcinać głowy niemowlom i z bagnietami rzucać się na zakonnice.

– Poza tym – wtrącił Horace – Drancy i inne tego rodzaju miejsca są przeznaczone dla nieszczęśliwych komunistów czy uczestników tak zwanego ruchu oporu. Amerykanie będą internowani w hotelu.

– Możliwe, że na początku tak – stwierdził Quent – ale to nie potrwa długo.

– Wiemy, że ma pan najlepsze intencje, panie Dejong – oznajmiła Dorothy – ale pański pomysł jest zbyt szalony, żeby w ogóle można go było traktować poważnie. Przeprowadzi się przez Francję bez uczciwych dokumentów, przekradnie się przez granice, oddawać się Bóg wie komu pod opiekę? Cóż mogłoby być bardziej niebezpiecznego dla Ann?

– Właśnie – przytaknął Horace. – Jak moglibyśmy ją tak narażać!

Ann poczuła nagle falę ciepła. Uświadomiła jej jako parawanu dla własnej niezaradności – najpierw rolę pełniły „obowiązki wobec szpitala” i lojalność wobec przybranego miasta, teraz przyszedła kolej na nią, na Ann.

– Jeśli zostanie, może zostać oddelegowana do burdelu – włączyła się – albo na jedną z farm rozplodowych. – U *madame* Bernard dziewczęta sнуły szeptem ekscytujące domysły na temat zamiarów, jakie wywiała rasa nadludzi wobec francuskich dojrzałych do macierzyństwa dziewcząt. – Słyszałam, że duńskie i holenderskie dziewczęta zaklasyfikowane jako czyste krwi Aryjki zostaną wywiezione do Niemiec. Mam czysty krew, nieprawda?

– Ann! – wykrzyknął Horace.

– Nie możesz zaprzeczyć – wtrąciła zdenerwowana Dorothy – że Niemcy zawsze w stosunku do ciebie zachowywali się jak skowronki d entelmeni.

– Możesz nam wierzyć, że gdyby w tych komicznych plotkach tkwiło chociaż ziarnko prawdy – dodał Horace – skorzystalibyśmy z propozycji pana Dejong.

– Zawsze lubiła lepij rzucać się na głębok wodę – podjęła matka – ale nie pozwolimy ci narażać życia tylko z powodu jakichś wicherzycielskich pogłosek.

– Mamy na względzie wyłącznie twoje dobro – zakończył Horace dręcym głosem.

Ann poczuła, że jej gniew słabnie. Nigdy jeszcze nie kochała ich bardziej niż teraz, kiedy tak rozpaczliwie się oszukiwali. Przy wysokim, barczystym Quencie, w półmroku korytarza, wydawali się tak ałoni i bezbronni.

Ann odwróciła się do Quenta. Chciała mu powiedzieć, że zostanie z rodzicami, ponieważ jej potrzebują, jednak pod posępnym spojrzeniem wyrazistych, lekko zmrużonych oczu jej wargi złożyły się w jedno słowo:

– Jadę.

– Nie zrobisz tego! – wykrzyknęła Dorothy. – Jesteś jeszcze dzieckiem!

– Zamieszkamy w hotelu. Jedzenie będzie o wiele lepsze – kusił ojciec. – Niemcy to

kulturalny naród.

Kiedy tak przekonywali ją na przemian, Dorothy w pewnej chwili wzięła ją za rękę. Wydali się Ann malutcy i bezbronni. Wiedzioną instynktem opiekuńczym postąpiła krok do przodu.

Ouent szybkim ruchem zdarł z wieszaka jej palto.

– Która jest twoja? – zapytał podchodząc do walizek.

– Jedziesz po nocy? – przeraził się Horace. – Co zrobisz, jak będzie nalot? Jak się dostaniesz do schronu?

– Ta spłata paskiem – rzuciła do Ojuenta. Objęła rodziców.

– To prawda, ale może się stać coś okropnego. Niemiec pilnujący internowanych będzie nienawidził Amerykanów na przykład za to, że zabili jego syna. Czyś dzisie, że nadal będzie zachowywał się kulturalnie?

– Nigdzie nie idziesz, moja panno – oznajmiła Dorothy kategorycznie.

– Co zrobisz jutro? – wrzeszczał Horace. – Przecież nie będziesz miała *éloignement*.

– Mamo, tato, to są naprawdę drobnostki. Błagam was, chodźmy.

Jednak wiedziała, że jej próby są daremne. Dzielili ją od rodziców przepaścią; wołali do siebie, nie słyszeli się nawzajem. Ucałowała jedno i drugie, cichym głosem zapewniając o swojej miłości. Dorothy nie odwzajemniła pocałunku, Horace przytulił córkę.

Całując ich Quent się wypchnął za próg.

Zbliżyła się pełnia. Rue Daguerre toniła w srebrzystej pościeli. Księżyc w pełni był wiernym sprzymierzeńcem pilotów bombowców. Kiedy skręcili za róg, Ann rzuciła ostatnie spojrzenie na kamienicę numer 74. Tam, w zaciszu szczelnie domkniętych drzwi, została poczekać, tam wróciła jako hołubiony niemowlak, tam, nie licząc kilku wakacji letnich spędzonych w pensjonacie w Dieppe, przespała całą noc swojego życia. Tam, w tej chwili, rodzice pocieszają się nawzajem. Stanął jej przed oczyma ich ostatni obraz: Horace wyciągający do niej pulchną, trzęsącą się dłoń, skurczona z żalu wychudła twarz Dorothy. Walcząca z kolejnymi falami, półszła, półbiegła starając się dotrzymać kroku Ouentowi.

– Przykro mi, Ann, ale musimy się bardzo spieszyć – powiedział, nie zwalniając. – Musimy iść do Bagneux przed godzinę policyjną.

Bagneux było jednym z walczących się przemysłowych przedmieść Paryża – ostatnio wiele fabryk stało się celem bomb zapalających RAF-u.

– To przecież najwyższa godzina marszu.

– Będziemy musieli pójść okólną drogą, żeby nie wyjść na obwałowania przeciwlotnicze.

Czy zawsze musiał być nieomylny? Poczuli do niego irracjonalną nienawiść. To przez niego opuściła rodziców.

– Nie powinnam się już pokazywać na ulicach – oświadczyła. – Minęła godzina policyjna dla cudzoziemców.

Przystanął. Odstawił jej walizkę, sięgnął pod grubą sweter po plik dokumentów. Przejrzał je w świetle księżycy, w końcu wybrał jeden.

– Proszę, oto twoja nowa *carte d'identite*.

Zmrużyła oczy, starając się doszukać śladów fałszerstwa.

Siedmiofrankowy i sześćfrankowy znaczek, nad nimi paryska pieczęć. Nawet dziewczyna na fotografii, o wielkich ciemnych oczach i krótkich kręconych włosach, była zupełnie do niej podobna. W świetle księżyca nowy dowód to samo ci wyglądało równie niewinnie, jak *éloignement* jej matki. Odcyfrowała czarne drukowane litery nad zdjęciem.

– Tinel – przeczytała oskarżycielskim tonem.

– Nie miałem pojęcia, że będzie nas tylko dwoje. Wydawało mi się, że najłatwiej nam będzie udawać rodzinę. Ann i Jacques z jej rodzicami – wycedził chłodno.

Ten ton, który uzmysławiał jego wrodzone wyśrodkowanie, onie miełał, a jednocześnie nie pogłębiał w Ann irracjonalnego zła.

Kolejny raz przystanął przy kratce kanalizacyjnej.

– Daj stare dokumenty – poprosił.

Kiedy strzypki jej *éloignement*, *carte d'identité*, paszportu i fałszywych dokumentów, które załatwił jej rodzicom, zniknęły w kanałach Paryża, gniew Ann ulotnił się równie nagle, jak przyszedł. Westchnęła i w zimnym, pachnącym zgnilizną powietrzu utworzył się obłoczek pary. Z Ann Blakely nie zostało nic poza gniotącym w piersiach bólem i poczuciem winy.

Quent podniósł walizkę.

– Nie sądzę, żeby nas zatrzymali, ale gdyby się tak stało, pozwól, żeby ja będę z nimi rozmawiał.

Skinęła głową.

Póknęła odzywał się tylko, żeby objąć jej drogę.

Na początku rozpoznawała wszystkie zaułki i boczne przejścia, potem jednak zaczęła się gubić w labiryncie uliczek. Nie napotkali w jej duszy i gdyby nie odgłosy stłumionych rozmów i muzyki z radia, dobiegające niekiedy z zaciemnionych budynków, mogłoby równie dobrze przemierzać opustoszałe ulice zaginionej Atlantydy. Naloty RAF-u zatrzymywały w czterech ścianach domu nawet tych mieszkańców Montparnasse'u, którzy mieli zwyczaj włączyć się po nocach.

Kiedy przechodzili przez szeroki, pusty boulevard, którego w ogóle nie umiała rozpoznać, mały odkryty wóz patrolowy wyminił ich tak blisko, że w świetle księżyca mignęły zaciśnięte usta sierżanta Luftwaffe, trzymającego karabin maszynowy na kolanach.

Właściwie powinnam się bać – uzmysłowiła sobie Ann.

Jednak wdychając cięgnięte powietrze z samochodu opary spalin, stwierdziła, że wcale się nie boi.

Quent przysunął się bliżej, chcąc jej dodać otuchy.

– Co by zrobił, gdyby się zatrzymali? – spytała.

– Powiedziałbym im, że pokłócili my się i uciekła do rodziców. Poszedłem sprowadzić ci z powrotem do domu. Wiesz, że Niemcy lubi widzieć w Francuzach bandę porwanych idiotów.

Chociaż jej stara, spięta rzemieniem walizka wypchana zimową odzieżą, księżkami i szkicownikami ważyła chyba z pięćdziesiąt kilo, Quent nadal kroczył szybko i bez wysiłku. Ann drżały nogi, a stopy zdrętwiały z zimna, na długo zanim doszli do Bagneux. Przeszli

obok niewysokich domów cz z nich, pozbawiona dachów, sprawiała wra enie do niesamowitych ruin. Omin li gruzy zburzonego muru fabryki, wreszcie dotarli do skweru, na którym umieszczono działo przeciwlotnicze. Quent niespodziewanie wci gn ł Ann do cienia. Przemykali si teraz, podsluchuj c Niemców gaw dz cych o tym, ile razy udało im si tej nocy odstraszy pieprzonych Angoli. Jakby na poparcie ich słów w oddali rozległ si ostry jazgot niemieckich dział przeciwlotniczych, zwanych przez Anglików „akak”, nic jednak nie pojawiło si nad ich głowami. Quent pchn ł j na w sk cie k , wydeptan mi dzy wysokimi blokami. Zaleciało moczem.

– Jeste my na miejscu – szepn ł.

Weszli do jednego z domów. W rodku spowiły ich nieprzeniknione ciemno ci. Ann, wyczerpana fizycznie i emocjonalnie, wspinała si po stromych schodach, wiadoma jedynie ciepłego, opieku czego u cisku prowadz cej j dłoni i wstydu, e jest zdolna do odczuwania przyjemno ci po tym, jak zostawiła rodziców na pastw wroga. Schody skrzypiały pod stopami. Quent zastukał leciutko w jakie drzwi.

– Kto tam? – spytał kobiecy głos.

– To ja, Jacques.

W otwartych drzwiach stan ła Suzette Pamfou ze wiec w dłoni.

– Strasznie pó no przychodzicie.

– Słyszałem, e b d dzisiaj przeszukiwa metro, wi c poszli my na piechot .

– Chwała Bogu, e Anglicy zostali dzisiaj po swojej stronie kanału – stwierdziła Suzette, kład c dło na ramieniu Ouenta.

Jeden pokój z wygniecionym łó kiem, Suzette w szlafroku, gładz ca Ouenta po ramieniu – w wietle wiecy widok wydawał si co najmniej intymny. Ann cofn ła si na korytarz. Suzette spojrzła na ni .

– Wejd – zaprosiła j serdecznie, wiatłem wiecy rozpraszaj c egipskie ciemno ci przedpokoju. – Gdzie s twoi rodzice?

– Pa stwo Blakely uznali, e całe przedsi wzi cie jest zbyt niebezpieczne – odpowiedział za ni Quent.

– Te mi si tak wydawało. – Suzette pokiwała głow , a widz c ły w wielkich ciemnych oczach Ann, obj ła j ramieniem.

– *Eh bien*, kole anko ze szkolnej ławy.

– Przyjd , jak tylko b d mógł – przyrzekł Quent, stawiaj c walizk przy łó ku.

– Wychodzisz? – Ann była zbyt zm czona, eby ukry odcie ł ku w głosie.

– Suzette b dzie miała dla ciebie zaj cie.

W blasku wiecy dostrzegła pokrzepiaj cy u miech.

Suzette zamkn ła drzwi na ła cuch. Wyj ła aparat fotograficzny i z pomoc Ann zainstalowała wokół niego dobre pół tuzina lamp błyskowych.

– Spodziewałam si , e przyjdiesz, zanim wył cz pr d – wyja niła.

– Sk d wzi li cie zdj cie do mojego dowodu?

– Quent je przyniósł. – Przejechała r k po włosach Ann.

– Wyobra sobie, e jestem „zielonym groszkiem”. – Było to przezwisko ołnierzy

Wehrmacht, ukute przez pary an z racji zielonkawego odcienia wojskowych mundurów. – Postaraj si o ponury wyraz twarzy.

Trzasn ła migawka.

– Czy Ojuent cz sto kogo przyprowadza? Suzette wzruszyła oboj tnie ramionami.

– Mo esz mu absolutnie ufa – o wiadczyła. – Nie znam nikogo, kto byłby tak spokojny i opanowany. Jeszcze jedno spojrzenie spode ła. Ann, nie mog marnowa filmu.

Po trzecim zdj ciu Suzette wył czyła reflektory.

– Pójd wywoła zdj cia, wyci gnij si tymczasem.

Ann zdj ła buty i przykryła si płaszczem. Odepchn ła poduszk pachn c fiołkow wod kolo sk .

Cjuent sypia w tym łó ku z Suzette – to była jej ostatnia my l przed za ni ciem.

Obudziła si nagle.

Nad ni stała ubrana do wyj cia Suzette. Miała na sobie czarny płaszcz z kołnierzem ze sztucznego futra i kapelusz, z którego zwisały jaskrawe celuloidowe wisienki. Z umalowan twarz wygl dała jak niezbyt gustownie wystrojona panienska sklepowa. Czy to była jej prawdziwa twarz, czy kolejne przebranie?

– Musz ju i do pracy, ale chciałam ci na odchodnym yczy *bonne chance*.

– Dzi kuj . – Gdzie ulotniła si cała zazdro , a została jedynie my l o niebezpiecze stwach, na jakie Suzette nara ła si dla niej. Wstała, eby j u ciska . – Suzette, nigdy ci nie zapomn tego, co dla mnie zrobiła .

Suzette w progu zamieniła półgłosem par słów z Ojuentem – Ann nie słyszała, co do siebie mówi . Czuj c si jak intruz, podeszła do stołu i zobaczyła własn , ponur twarz na zdj ciu w nowiutkim *Ausweisie* i podniszczonej *carte d'indentité* z wytartym grzbietem. Kartka ywno ciowa opiewaj ca na nazwisko Tinel była równie sfatygowana. Kilka kuponów wydarto.

– Madame Tinel, czy jest pani gotowa podpisa swój dowód?

Quent zamkn ł drzwi i podał jej pióro. Atrament miał barw wypłowiałej rdzy.

– To wszystko jest takie autentyczne – wyraziła swój podziw Ann.

– Niezast piona Suzette. – Podał jej kolejn butelk atramentu, tym razem do podpisania *Ausweisu*, nast pnie odcisn ł jej palce w dowodzie. – Takie same odciski znajd si w kartotece policyjnej.

Ju chciała spyta , w jaki sposób, ale w por ugryzła si w j zyk.

– To dla ciebie – o wiadczył wskazuj c na rud sukienk i czarny płaszcz, wisz ce na drzwiach tandetnej sosnowej szafy. – Kapelusz znajdziesz na półce.

– Co jest nie tak z moim ubraniem?

– Gdyby *madame* Tinel złapano w mundurku szkolnym, niedługo by po yła.

Ann przebrała si w malutkiej łazience poł czonej z kuchenk . Ruda sukienka zalatywała potem i tani wod kolo sk , wystrz piony kołnierz czarnego płaszcza zrudział. Nigdy nie miała na sobie cudzego ubrania i na sam my l o poruszaniu si w oparach kochanki Quenta dostawała g siej skórki. W kieszeni płaszcza znalazła resztk wyschni tej kredki do ust. Zeskrobała wierzchni warstw i wtarła w pełne, delikatne wargi troch kruchej okupacyjnej

antysemickiego szmatławca, „Au Piloni”.

Pociąg zaczął z sykami hamować.

Chalans, *zone interdite* między dwiema Francjami.

Czterech młodych oficerów Wehrmachtu, psionczyc na krótkie przepustki, zbierało bagaż i worki na odzież. Pociąg zakłócał się i stanął. Odnierze wysiedli. W przedziale dało się wyczuć silne napięcie. Nawet łagodne, krzepiące spojrzenia, które słał jej Quent, nie były w stanie uciszyć spazmatycznego oddechu Ann.

Po paru minutach otworzyły się drzwi i do przedziału wkroczyło dwóch esesmanów o znużonych twarzach. Jeden, w szkiełkach w ramionach, miał na twarzy siwy zarost, mundur drugiego zakrywał się nad pokaźnym brzuszkiem. Trudno było o kogoś bardziej nieszkodliwego od dwóch starszawych sierżantów.

Mimo to Ann zamarła.

Dosłownie. Zastygła krew unieruchomiła mięśnie jej ciała. Nie widząc cym wzrokiem wpatrywała się w swoje czasopismo, gdy przegladali przepustki i dowody osobiste.

– Pani dokumenty, *madame* – znudzony głos z wyraźnym niemieckim akcentem rozległ się nad jej pochyloną głowę.

Wszystkie papiery miała w torebce, którą trzymała na kolanach.

– Pani dokumenty – powtórzył.

Nie była zdolna do najmniejszego ruchu.

– Ann! – Quent klepnął ją po kolanie. – Znowu ci wzięło?

– Zarechotał. – Strasznie tu duszno, panie władzo. Oni chwyciły mdłość ci. Pan rozumie?

Ann, przezywając w bezruchu najstraszliwsze morderczynie, poczuła, że się czerwieni.

– *Ach, so?* Wasze pierwsze?

– Zmajstrowałem zaraz w noc po Lubnie – przechwalał się Quent z zawadiacką dumą.

– Mam trójkę, samych chłopaków. Niech pani posłucha mojej rady, *madame*, i powolutku uje chleb. Moja matka tak robiła i ani razu nie zerwała jej do ubikacji.

– Słyszysz, Ann? Te ci powtarzam, żeby wzięła jadła.

– Sięgnę po jej torebkę.

– Jedźcie pani do Lyonu? – Niemiec przejrzał pobieżnie jej *Ausweis*.

– Moja *belle-mère* tam mieszka – odpowiedział za niego Quent. – Tu koło place Bellecour.

– Zarechotał ponownie. – Ja już zrobiłem swoje, reszta należy do kobiet. Niech mi pan wybaczy syna.

Niemiec oddał papiery Quentowi i pogrzebał w kieszeni bluzy od munduru.

– Czasem mi ta pomaga. – Rzucił Ann zieloną pastylkę.

– *Danke schön* – wyszeptwała.

Kiedy nadeszła francuska policja, stara wieśniaczka z siwymi włosami o wiadczyła, że liczna młodzieńca *madame* jest *enceinte* i walczy z nudnościami, więc niech się nie wygłupiają z tymi swoimi kontrolami dokumentów.

Szesnaście godzin po wyjeździe z Pary pociąg wtoczył się na Gare de Perrache w Lyonie. W cztery dni Francji podległej rzadziła Vichy nie obowiązywało zaciemnienie. Kiedy

Ann, cała zeszywniała, ruszyła u boku Quenta przez pokryty niegłębokim plac przed dworcem, nawet najbłedsze wiatelka roztaczały o lepij cy j blask. Przeszli przez ciemny tunel; nad głowami z hukiem przejechał pociąg. Skręcili w boczny zaułek. Wyblakły szyld kołysał się, skrzący c. LA RÉSIDENCE DE LYON. Ciepły zaduch hotelowego hallu powalił Ann na krzesło. Ledwo docierały do niej mskie głosy Ouenta i w satego jak mors włą ciciela, wspólnie wypełniających kilometrów formularze.

Dostali pokój na parterze. Ojuent otworzył drzwi potnym kluczem i zajrzał do rodka. Wysokie łóżko, ozdobione mosiężnymi gałkami, pozostawiało w pokoju tylko w skrajnym kącie przestrzeni, zastawiony umywalką i taboret z obłuczonym emaliowanym bidetem.

– Przepraszam – wymamrotał. – Myślałem, że będzie trochę miejsca, żeby mógł się wyciszyć na podłodze.

Po prostackich przechwałkach, którymi krył się w pociągu, jego skromność wydawała się absurdalna.

– Nie przejmuj się. – Ann zrzuciła buty z nóg i padła na łóżko tak, jak stała, naciągając gładką kołdrę na uszy. – Jestem zbyt wykończona, żeby się do ciebie dobrać.

Jednak wspomnienia o tym, jak zawiodły ją nerwy w Chalans, i wyrzuty sumienia z powodu rodziców nie dawały jej zasnąć. Skulona jak najdalej od zapadliska na rodku materaca, wsłuchiwała się w nieprzerwany turkot pociągów, dźwięki pobliskich i oddalonych kościelnych dzwonów. Jej myśli bezustannie krążyły wokół porzuconych rodziców i własnego tchórzostwa.

– Nie możesz zasnąć? – dobiegło ją ciche pytanie.

– Te nie pisz – odpowiedziała szeptem. – Tak się strasznie wstydzi.

– Chodzi ci o tę historię na granicy? Przez całą podróż wyłgała się z Bóg wie ilu przesłucha, w końcu wzięłam jedno na siebie. Wielka rzecz! – Materac się poruszył. – Wiem, że gadałem do paskudne rzeczy, ale nic innego akurat nie przychodziło mi do głowy...

– Nie masz się czym przejmować. Ty z siebie zrobiłeś tylko kawałek cwała, podczas gdy ja mogłam zarobić kula dla nas obojga, gdyby my mieli trochę szczęścia, żeby nas tylko rozstrzelano.

– Miałaś chwilę słabości, i tyle. – Wycisnęła rękę, żeby poklepać ją po ramieniu. Leżała wyżej od niego, z głową wspartą na twardym zagłówku. Czubkami palców musnęła jej pierś. Cofnęła rękę natychmiast, ale na jej ciele pozostało wrażenie dotyku. Zamilkł na dłuższą chwilę.

– Mylisz o rodzicach, prawda?

– Ci głębiej nie mogę uwierzyć, że ich zostawiłam – potwierdziła z westchnieniem. – Tak bardzo potrzebuję mojej opieki.

– Ann, oni ci tutaj uwiłzili.

– Nic z tego nie rozumiesz!

– Bez wątpienia – wycedził uprzejmie. – Może wobec tego zechcesz zaspokoić moją ciekawość i powiedz mi, czy fakt, że ugrzęzliście w Paryżu, nie ma nic wspólnego z tym, że twój ojciec nie spodziewał się znaleźć w Stanach adnej pracy?

Z trudem powstrzymała łzy. Nie wiedziała, czy chce jej się płakać, bo Quent przejrzał na wyłot ałosne wykręty rodziców, czy te dlatego, że znów wycofał się w niedostępną wiat klasy posiadającej.

– Moja uwaga była nie na miejscu – odezwał się po chwili przepraszającym tonem. – Robi się taki, kiedy sprawy kiepsko się układają. Miły ze mnie facet, nie ma co – dodał po przerwie.

Jasne światło dnia przeniknęło przez zamknięte powieki Ann. Słoneczko wieciło mocno zza na wpół zjedzonych przez korniki okiennic. Odwróciła się na bok. Na drugiej połowie łóżka kołdra leżała odrzucona. Quent... dokąd mógł pójść? Nad miastem rozbrzmiewała symfonia kościelnych zegarów. Jedno uderzenie! Jest już pierwsza! Od jak dawna go nie ma? Nie miała żadnych złudzeń, że Lyon jest bezpieczniejszym miejscem dla Quenta niż Paryż. Choć nie okupowana Francja nie wypowiedziała wojny Stanom Zjednoczonym – ba, nadal otrzymywała hojną pomoc z Waszyngtonu – marionetkowy rząd rezydujący w kurorcie Vichy tak czy tak, jak mu zagrano w Berlinie. Gdyby wyszło na jaw, że dokumenty Quenta są fałszywe, władze lokalne byłyby zobowiązane odesłać go na granicę, gdzie jako Amerykanin zostałby *ipso facto* osadzony pod zarzutem szpiegostwa.

Może wyszedł do toalety.

Pognała na koniec korytarza. Otwarte na oścież drzwi WC odsłaniały staromodny drewniany tron. Był pusty. Zawróciła i przez zasłonkę z paciorków wpadła do hallu hotelowego.

Quent stał oparty o ladę recepcji. Odwrócił się w jej stronę. Właściciel hotelu przerwał w pół słowa, nie domykając ust pod siwym obwisłym w sem. Dopiero wtedy Ann zdała sobie nagle sprawę, jak musi wyglądać w ich oczach, bosa, ze strzech rozczochranych włosów, w wygniezionej zadartej sukience po Suzette.

– Martwiłam się o ciebie, Jacques – wybuchnęła gniewnie.

– Mogłem ci powiedzieć, że wychodzisz.

– Kładasz się do łóżka w ubraniu, pisz do południa i jeszcze masz do mnie pretensje? – odparował.

Właściciel, lekko zaenowany sceną, zachichotał pojednawczo.

– *Madame*, właśnie nie polecałem miłowi Café Camille, dosłownie parę kroków stąd, nad samym Rodanem, przy quai Perrache. Ceny przystępne i nawet w dzisiejszych czasach *mère* Camille potrafi wyczarować prawdziwe lyońskie przysmaki – oznajmił właściciel.

– Konam z głodu! Idziemy! – warknął Quent. – Masz się wreszcie doprowadzić do porządku.

Potulnie udała się za nim w głąb korytarza. W pokoju sięgnęła po grzebień.

– Nie może na powiedzenie, abym wtapiała się w pejzaż.

– To bezpieczny facet.

– Do jakiego stopnia bezpieczny?

– Nie jest członkiem ruchu oporu, jeżeli o to ci chodzi, ale domyśla się, że nie jesteście my całkiem w porządku, i nie zadaje żadnych pytań. W ten sposób dowodzi swojego patriotyzmu,

co jest punktem honoru dla ka dego Francuza. Specjalnie dał nam ten pokój. W razie naj ciał policji mo na t dy ucieka .

– Postukał w brudn okienn szyb .

Wyjrzała na zewn trz. W skie przej cie prowadziło do ulicy ogrodzonej wysokim na dziesi metrów kamiennym murem, zwie czonym kwadratow wie yczk stra nicz .

– Co to za budynek?

– Wi zienie Saint Paul.

– Wi zienie... artujesz chyba...

– Dlaczego? Przez to nasze miejsce wydaje si mniej podejrzane.

– Mniej podejrzane! – Spojrzała na wielkie kamienie, poczerwiałe od kolejowej sadzy. W polu widzenia pojawiło si dwóch policjantów z karabinami. Cofn ła si w obawie, e mog j dostrzec. Quent uprzedził, e sp dz jedn noc w Lyonie, a potem pojad poci giem do Annecy.

– Dobrze, e ju dzi wyje d amy – powiedziała.

– Nie całkiem. Rano spotkałem si z naszym kontaktem od *sauf-conduit*. Okazało si , e z powodu niegu dzie targowy w Annecy przeniesiono na pi tek. Musimy tutaj przeczeka do pi tku.

– Trzy dni? Pod bokiem wi zienia? Dlaczego musimy czeka a na dzie targowy?

– Annecy jest przy szwajcarskiej granicy, wi c Niemcy przeprowadzaj tam ostre kontrole, ale jak jest du o ludzi, nie mog sprawdza tak dokładnie.

– Chyba w tej sytuacji rzeczywi cie warto poczeka . – Westchn ła z przesadnym pow tpiewaniem. W rzeczywisto ci dodatkowe dni, które miała sp dzi z Ojuentem, dziwnie dodawały jej pewno ci siebie (Dorothy niejednokrotnie załamywała r ce nad nieposkromion yłk awanturnicz swojej córki) i kiedy nalewała z dzbanka do miednicy lodowat wod , eby opłuka twarz, nuciła pod nosem. Pomalowała usta szmink Suzette Pamfou i zacz ła mizdrzy si przed lustrem, przymierzaj c bł kitny kapelusik.

– Wygl dasz uroczo – oznajmił Quent. – Ale, naprawd nie artuj , umieram z głodu.

Niedu o mówisz o sobie – zauwa yła.

Dopiero nast pnego wieczoru zdobyła si na odwag , eby to powiedzie . Ojuent umiał zach ci j do mówienia. Odsłoniła si przed nim całkowicie, bez upi ksze i bez ostro no ci. Przyznała si do mieszanych uczu , jakich doznawała jako obywatelka kraju, w którym nie była ani razu w yciu, i mieszkanka kraju, w którym si urodziła i do którego była bardzo przywi zana. Nie bez trudno ci wyja niła mu przyczyny opieku czego stosunku do rodziców. Opowiedziała mu o chłopcach z *lycée* Paula Berta, a nawet przyznała si do potajemnych pieścizot w kinie. Pi tro wy ej kto puszczał Caruso na adapterze.

– Cały czas mówi – sprzeciwił si .

– Wiesz przecie , o co mi chodzi.

Wzi ł j za r k . Zacz ł si bawi jej drobnymi palcami.

– Jeste bardzo otwart osob , tymczasem ja... no có , najlepiej chyba b dzie, je li powiem, e w moim yciu s takie zakamarki, które odwiedzam wył cznie sam.

– To brzmi, jakby si czuł bardzo samotny.

– No wła nie. – Nad ich głowami Caruso opiewał niebia skie wdzi ki Aidy. Czekwała w milczeniu, a zacznie mówi dalej. – Nigdy nie zapytała o zdj cie na pierwszej *carte d'identité*.

– Suzette mówiła mi, e dostała je od ciebie.

– To stare zdj cie mojej matki.

– Przecie ona wygl da zupełnie jak ja... – Głos uwi zł w gardle, przypomniała sobie niebwywał intensywno jego spojrzenia w pami tne deszczowe popołudnie, kiedy poznali si u de Permontów.

– Co by na to powiedział doktor Freud, jak s dzisz?

– Hmm, bardzo interesuj ce. – Udała, e gładzi wyimaginowan bródk . – Gilberte mówiła mi, e twoja matka nie yje – dodała ciszej po chwili.

– Zmarła przy moim porodzie.

– Och...

– Z tego, co o niej wiem, była bardzo podobna do ciebie: ciepła i otwarta dla ludzi. Wszyscy j lubili. *Grand-mère* twierdzi, e miała dar uszcz liwiania ludzi, w jej obecno ci ka dy czuł si szcz liwy. – Westchn ł gł boko. – Gilberte nie mówiła ci o niej nic wi cej?

– Nie, nic nie mówiła.

– Nazywała si z domu Templar. Jessamyn Templar. Była córk Jasona Templara.

Ann zamruęala oczami i rozchyliła lekko wargi, jakby j d gn ł w plecy.

Zawsze zdawała sobie spraw , e rodzina Ouenta – wła ciele banku Dejongów – nale y do bardzo, ale to bardzo bogatych. Jednak słowo „bogacz” było zbyt słabym okre leniem na Jasona Templara, człowieka, który – je eli wierzy historykom – konkurował z Andrów Carnegiem w próbach opanowania ameryka skiego przemysłu metalurgicznego. Jason okazał si szcz liwszy od rywala. Ann znała dzieje Jasona Templara z sensacyjnego bestsellera pod tytułem *Wspaniały Templar*, który Dorothy wypo czyła z poł czonej z bibliotek ameryka skiej ksi garni W. H. Smitha przy rue de Rivoli. Ann, która miała wtedy dwana cie lat, ukradkiem przemyciła ksi k do swojego pokoju i w jedn noc połkn ła najbardziej sensacyjne epizody biografii. Czytała o senatorach i członkach Izby Reprezentantów, którzy ustanawiali prawa maj ce działa wył cznie na korzy Jasona Templara, o jego „przyjaciółkach”, o słynnych diamentach i sznurach pereł do kolan, które ofiarował swojej francuskiej onie (Ann błyskawicznie zidentyfikowała j jako *grand-mère* Quenta i cioteczn babk Gilberte, niejak Mathilde Dejong), o rezydencji Templarów si gaj cej od przecznicy do przecznicy przy Pi tej Alei, o jedenastu pozostałych domach i posiadło ciach wiejskich, wagonie kolejowym, w którym armatura łazienki wykonana była ze szczerego złota, o jachcie *Knight Templar* ze specjalnymi pomieszczeniami utrzymuj cymi odpowiedni wilgo w grubych cygarach, o zwyci stwach rasowych koni na Derby, przyja niach z koronowanymi głowami. Jason Templar był synem zamo nego, lecz oszcz dnego wytwórcy mebli z Liverpoolu. Przenoszc si do Nowego wiata, gdzie miał w przyszło ci zbi niebwywał fortun , pozostawił oszcz dno daleko za sob : ekstrawagancja, z jak korzystał z niezmiernych bogactw, miała si sta wzorem dla ameryka skich milionerów. Jednak

lektura o królu wyzyskiwaczy to nie to samo, co dzielenie zapadaj cego si ło ka z jego wnukiem. Ann zdawało si , e w gł bi jej psychiki wybuchł nagle pocisk, który rozbił jej to samo na atomy. Próbowwała sobie przypomnie , czy w ksi ce była jakakolwiek wzmianka o dziedzicach Jasona Templara. Ouent przygl dał jej si uwa nie.

– Je eli si nad tym zastanawiasz – powiedział z drgaj cym k cikiem ust – to powiem ci, e moja matka była jedynaczk , a ja równie jestem jej jedynym dzieckiem.

Chłodny, wyniosły ton sprawił, e poczuła si nikim. Zapra gn ła dowie mu, e kim jednak jest.

– Opowiedziałam ci wszystko o sobie – wypomniała gniewnie. – Tymczasem ty wolała pewne rzeczy przemilcze .

– Czy bym o czym zapomniał? A mo e istniej jakie złote proporcje zwierze , o których nic nie wiem?

– wiat nigdy nie ma wst pu do twoich prywatnych zakamarków, dobrze mówi ? Czasami sam wychyniesz, eby przespa si z jak przygodn niewolnic , a je li co si przy okazji przytrafi, to w ko cu od czego s skrobanki?

Pobladł nagle i jego niebieskie oczy zal niły podejrzenie. Powoli podniósł si z ło ka, nie odrywaj c wzroku od Ann.

– Gwoli sprostowania rodzinnej plotki ona nazywała si Doris Welch – powiedział beznamn tnie. – Kazała mówi na siebie Dori i... – Gwałtownie umilkł. Poci gni ciem sznurka zgasił lamp . Odsun ł z okna kretonow firank .

Po chwili Ann usłyszała kroki ludzi biegn cych od strony wi zienia, okrzyki: *Halli* Zerwała si na kl czki i spojrzała w okno przez rami Quenta. Okno z naprzeciwwka o wietłało poła brudnego niegu.

Nagle w polu widzenia pojawił si m czyzna. Biegł zygzakiem, w dziwnym przysiadzie, uderzaj c kolanami we własn pier . Kiedy dobiegł do okna, zabrzmiała sucha, przeci gła kanonada, której towarzyszyły rozszalałe błyski wiatła. M czyzna krzykn ł przenikliwie i zataczaj c si , znikn ł z ich pola widzenia, natomiast oczom Ann i Quenta ukazały si postacie trzech cigaj cych, równie ubranych po cywilnemu. Jeden z nich przykl kł z wojskow wpraw i skierował przed siebie luf Schmeissera. Po kolejnej krótkiej, ostrej serii jego koledzy pop dzili naprzód, on za pod ył za nimi bez po piechu, przytulaj c karabin do piersi jak kochank .

Quent spu cił firank , nadal jednak nie odchodził od okna. Ann równie nie ruszała si z miejsca. Zaschło jej w gardle, dr ała na całym cieie. Samochód zahamował z piskiem opon; dobiegły ich kroki kilku osób.

– Francuscy idioci! – darł si rozw ciezony m czyzna po niemiecku. – Zastrzelili nie tego, kogo trzeba!

– Sk d wiesz? Przecie z głowy nic nie zostało.

– lepy jeste , czy co? Nie widzisz, e nie ma na sobie pasiaka?

– Czym tu si przejmowa ? Nie uciekałby tak, gdyby nie miał czego na sumieniu. Pewnie jaki ukrywaj cy si ydek albo inny sabota ysta.

Głosy i kroki wtopiły si w wiergot rozbudzonych ptaków. W pokoju hotelowym

zapadło długie milczenie.

Poszła z tym najpierw do taty. Bo e, jak mnie to strasznie zabolalo, e jemu pierwszemu powiedziala – wspominal. Od zaj cia na ulicy min la godzina. Le eli przy sobie, trzymaj c si za r ce. adne z nich slowem nie wspomnialo o makabrycznej scenie, ktorej byli wiadkami. Ojuent opowiadat o swoich pi tnastych wakacjach, jedynych, jakie sp dził w towarzystwie ojca. Tego lata dal si calkowicie op ta Dori Welch, owczesnej sekretarce macochy.

– Powiedzialem Dori, e chc tego dziecka, e si z ni o eni . Wysluchala mnie z u miechem, z by miala pi kne, du e, biale i polyskliwe. Tato podobno zagrozil, e mnie wydziedziczy, jak si pobierzemy. Zd yla si ju zorientowa , e przed uko czeniem dwudziestego pierwszego roku ycia nie b d mial dost pu do adnych funduszy. „Nie mam zamiaru skazywa si na sze lat n dzy”, o wiadczyla. Poza tym nie miala zamiaru mie dziecka. Pieni dze, ktore dostala od mojego ojca, mialy jej wystarczy na doczekanie yciowej szansy w Hollywood. Okazalo si , e celem ycia Dori bylo pokazanie si na srebrnym ekranie. Bo e, jakie to wszystko losne. Najbardziej losny bylem oczywie cie ja. Ci gle nie tracilem nadziei, e wszystko si jako uło y. Obmy lam przyszlo dla jej dziecka.

– To bylo rownie twoje dziecko.

– Bylo albo i nie bylo. Na koniec oznajmila mi, e to mo e by moj przyrodni brat albo siostra. „Pan Dejong te mi wkladal swojego”, to byly jej slowa. Ann, tyle lat min lo, a ja do dzi , pami tam ton glosu, jakim mowila: „Pan Dejong te mi wkladal swojego”.

– Parszywa suka! – Ann mocno cislala jego dlo .

– My l , e nie zdawala sobie sprawy, jak bardzo mnie rani. Wielu ludzi s dzi, e ka dy, kto ma pieni dze, musi mie serce z kamienia.

Ann zaczerwienila si w ciemno ciach. Przysigla sobie, e nigdy ju nie pomy li w ten sposob. Z ulg przyj la fakt, e ich rozmowa przeniosla si na planowany wyjazd do Szwajcarii.

Ci ki oddech Ann i skrzywienie niegu pod u ywanymi butami turystycznymi wypeelniły ruchom szczelin , ktor wraz z Quentem dr yli we mgle. Wspinali si pod strome zbocze Saleve. Dwie godziny wczesniej, kiedy Quent wypchn l Ann z rozklekotanego, zatloczonego autobusu, nie zdawala sobie sprawy, e czeka ich wiele kilometrow ci kiej przeprawy przez nieprzyst pne gory.

Byla pierwszy raz w Alpach. W poci gu z Lyonu do Annecy nie mogla oderwa wzroku od krajobrazu za oknami. Upajala si widokiem majestatycznych, o nie onych wierzchołków na tle b kitnego nieba, fioletowych rozpadlin i odleglych wiosieczek, ktorych domki wygl daly jak zabawki. Teraz, gdy marzyla o tym, by pi kne widoki umilaly jej trudy wspinaczki, g sta chmura rozpostarla si nad Saleve.

Od kiedy wsiedli do autobusu w Annecy, Quent odezwal si zaledwie par razy. Miala ochot z nim rozmawia , ale jego milczenie nie przeralo jej tak dawniej: zdawala sobie spraw , e w niebezpiecznej sytuacji brala w nim gor wrodzona pow ci gliwo . Szla za

nim, z zazdroci podziwiał c lekko , z jak posuwał si do przodu. Chocia niósł jej walizk i zniszczony plecak wypełniony ywno ci , szedł bez wysiłku m skim, spr ystym krokiem.

Poprzedniego dnia, w pi tek, pó nym popołudniem przyjechali na dworzec w Annecy. W wielkim po piechu ruszyli w miasto, które o zmroku miało ba niowy wygl d. W ksi garni poło onej nad kanałem Thiou Ojuent przedstawił jej wła ciciela o ogorzalej pobru d onej twarzy, niejakiego *monsieur* Duhaye. Duhaye kiedy wspinał si z Ouentem; nad w dzon makrel i dzbanem *vin de Savoie* obaj panowie zacz li wspomina swoje przygody na skalnych cianach. Ann słuchała tych opowie ci, zdaj c sobie spraw , e wspinaczki wysokogórskie mniej zagra ały yciu Duhaye ni przyjacielska wieczerza z nimi. Sp dzili z Ouentem noc na podłodze za kontuarem. Opu cili ksi garni przed witem. Na prowincji o wiele łatwiej było o ywno ni w wielkich miastach. Na targu przy rue SainteClaire Quent kupił gomółk sera o orzechowym smaku i wielki, okr gły bochen chleba. Nabył te nadjedzony przez mole płaszcz z lodenu i znoszone buty wysokogórskie. Buty Ann, najmniejsze na całym stoisku, były i tak za du e i bole nie obcierały jej pi ty.

Za ich plecami co upadło ze stłumionym hukiem. Quent zatrzymał si , r k nakazuj c Ann cisz . Pochylił głow i nadsłuchiwał w skupieniu, jednak dobiegało ich tylko zawodzenie wiatru.

– nieg run ł z gał zi – oznajmił w ko cu.

– Daleko jeszcze?

– Dokucza ci zmiana wysoko ci?

– Ani troch .

– Kłamczucha – skwitował obejmuj c j woln r k . Bij ce od niego ciepło podziałało koj co na Ann. Kiedy znów ruszyli w gór , cichutko nuciła *Chanson d'amour*, wspomnienie z *salon de the* w Pary u.

Przez kilka taktów towarzyszył jej, fałszuj c. Roztkliwiło j , e Ojuent nie ma słuchu. Sama te wkrótce umilkła. Mgła wokół pociemniała, temperatura spadła na łeb na szyj . Mro ne powietrze zacz ło szczypa w płuca. Pies zaszczekał. Wkrótce doł czyły si głosy innych psów. Quent przystan ł.

– Musisz by bardzo cicho – wyszeptał chwytaj c j za r k . – W górach d wi ki rozchodz si inaczej ni na równinach. Tu za tym grzbietem Niemcy maj swój posterunek.

– Niemcy? – zdziwiła si .

– Patroluj granic strefy nie okupowanej – wyja nił szeptem. – Mgła działa na nasz korzy . Duhaye słyszał pogłoski, e wzmocniono stra e.

Ujadanie przybrało na sile. Powinna by przera ona, ale badaj c stan swojego ducha z równ dociekliwo ci , z jak poruszaj c butami w gór i w dół rejestrowała ból otartych, zdr twiałych z zimna stóp, ze zdumieniem stwierdziła, e czuje si zadziwiał co spokojna. Wła ciwie czemu miałyby si czu inaczej? W ko cu jej przewodnikiem jest Quent – silny, spokojny, znaj cy doskonale Saleve.

Szczekanie ucichło równie nagle, jak si zacz ło.

– Tutaj schodzimy z drogi – poinformował j szeptem. – Dalej b dziemy posuwa si t

cie k .

cie ka okazała si potwornie stroma. Ann, zziajana i spocona mimo zaostrzaj cego si mrozu, parla w gór po ród wierków i jodeł. Miejscami Quent podtrzymywał j woln r k . Po dwudziestu minutach dotarli do rozległej hali i zacz li schodzi na dół.

Byli na grzbiecie Saleve. Wiatr rozpraszał mgły. Pod nimi rysowały si mroczne kontury doliny. Ann westchn ła, mru c oczy z zachwytu. U jej stóp naszyjnik migoc cych wiateł okalał brzegi czarnej połyskliwej tafli jeziora.

– Genewa – wyszeptał Quent.

– Jak jasno... jak pi knie.

– Szwajcarzy lubi wieci si jak choinka. W ten sposób sygnalizuj swoj neutralno pilotom bombowców obu walcz cych stron. Genewa le y raptem par kilometrów od granicy...

– *Achtung!*

Wydało jej si , e wołaj cy stoi przed nimi, jednak w górach d wi k lubi płata figle. Odwróciła si . W odległości pół kilometra od nich esesmani wyskakiwali z zielonej ci arówki.

Dwaj stali nieco odsuni ci od reszty, ze sfor owczarków na niewidzialnych z tej odległości smyczach.

– *Achtung!* – Oficer w czarnym skórzanym płaszczu skierował megafon w ich stron .

– Rany boskie! – Quent mówił teraz na głos. – Nigdy przedtem nie u ywali tej drogi. Musimy si podda .

Rozstrzelaj go jako szpiega – pomy ła.

– Nie! – zaprotestowała.

– Nie mamy wyboru.

– Gdyby mnie tutaj nie było, na pewno próbowałby ucieka . Gło na salwa przeszyla powietrze.

Quent rzucił walizk i chwytaj c Ann w pasie, zacz ł ci ga j w dół. Znow zaturkotały karabiny, kule ze wistem przeleciały koło jej głowy. Ci gn ł j w stron k py drzew, trzymaj c w elaznym u cisku. Potkn ła si o niewidoczny spod niegu korze , ale Quent jednym ruchem r ki postawił j na nogi. Wydostali si z zagajnika i znów okryła ich mgła.

– Speidel, bierz swoich ludzi i przeczeszcie teren po tamtej stronie. – Okrzyki wydawały si coraz bli sze. – My spróbujemy ich zaj od lewej.

Psy zacz ły warcze i ujada .

Zatrzymał j nagłym szarpni ciem. Musiała wyci gn r k , eby nie upa . U ich stóp rozpo cierało si morze mgły. Quent kopn ł odłamek skały. Poleciał w dół z łoskotem, po czym ucichł.

– Id za mn – poinstruował j szeptem. – Rób to samo co ja. – Odwrócił si , opadł na kolana i zacz ł spuszcza si w dół. – Chod – rozkazał. – Przytrzymam ci .

Nie pozwalaj c sobie na luksus my li, opadła na czworaki i zsuwała si za nim.

Kawałek po kawałku opuszczali si po wapiennogranitowej skale. Ojuent j przytrzymywał. Na ladowała ka dy jego ruch. Kraw dzie skał, przez dziury w rozdartych

r kawiczkach, zdzierały naskórek z jej dłoni. Pomimo grubego ubrania oblodzone skały bole nie wgniatały si w ciało. Kamie osun ł si spod jej nóg i poleciał w dół, ci gn c za sob przewlekłe nie ko cz ce si echo.

– Uwa aj – wyszeptał Quent. Był to rozkaz.

Podczas rozmowy z Duhaye'em padły słowa: haki, liny, karabinki. Niestety, nie mieli sprz tu. Duhaye długo rozwodził si nad trudno ciami wspinaczki w warunkach zimowych. Był lodowaty zi b. Przesta my le – rozkazała sobie.

Rób to co Quent, i tyle. Po omacku wyszukiwała wyst py skalne. R ka, noga, r ka, noga. Mieli ju za sob około trzydziestu metrów ostrego zej cia w dół, kiedy Ouent si zatrzymał. Ich chrapliwe oddechy zagłuszały wiatr i głosy dobiegaj ce z gór.

– Gdzie oni pole li!?

– Jak to gdzie, *Dummkopf*? Oczywiście, e spu cili si na dół. Na pobliskie głązy posypał si grad kul. Ann walczyła z nieprzemo n ch ci , eby wrzeszcze , krzycze , odda si w r ce wroga.

– Jeszcze kawałek. – Poczwała przy uchu ciepły oddech Ouenta.

Trzymaj c si mocno, zacz li opuszcza si w dół.

– Ju – wyszeptał. – Nie ruszaj si , nie ruszaj. Przywarła do kamienistego zbocza Saleve. Ouent poło ył si na niej; przytrzymuj c r kami i nogami, przykrył j całym ciałem.

ońnierze ze sfor ujadaj cych psów znale li si wprost nad ich głowami. Było ju całkiem ciemno; z sekundy na sekund robiło si coraz zimniej. Pot na ciele Ann zacz ł zamarza . Trz sła si , szcz kaj c z bami. Ouent, który j osłaniał, był jeszcze bardziej wystawiony na w ciekłe porywy lodowatego wiatru. Jak długo utrzyma si na skalnej cianie?

Karabin grzechotał wytrwale, kule z trzaskiem uderzały o skał nad ich głowami.

– Zaraz mi jaja zamarzn . Po choler b dziemy marnowa kule – odezwał si zrz dliwy głos u góry. – Dawno ju spadli.

– Widziałem, jak leciała dziewczyna. Ale facet jeszcze tam gdzie siedzi. Strzelaj dalej.

Ouent zacz ł wykr ca si , dziwnie potrz saj c ramionami. Po chwili zorientowała si , e odpina plecak. Jego milcz cy wysiłek odczuwała we własnych mi niach i nerwach. Plecak zsun ł si i poleciał z hukiem w przepa . D wi k upadku nił stopniowo, wypierany wyciem wiatru.

– No, nareszcie – usłyszeli pogodny głos.

Rozległa si salwa na wiwat, a potem triumfalne miechy. Ludzkie głosy i poszczekiwanie psów zacz ły nkn w oddali. Ouent poruszył z wolna dr cymi r kami i nogami.

– Wszystko w porz dku? – spytał, nadal szepcz c.

– W porz dku.

Z powrotem zacz li wspina si po cianie. Ann szła pierwsza, wymacuj c szczeliny i wyst py skalne. Trwało to niesko czenie długo. W ko cu wyczuła pod r kami poziom płask powierzchni . Wci gn ła si na kraw d i upadła pomi dzy nieg i odłamki skalne.

Jej renice przywykły do ciemno ci. Dostrzegła zamglony zarys sylwetki gramol cej si na kraw d urwiska. Dobiegł j chrz st niegu, odgłosy plucia i chrz kania.

- Ann! – To był głos Quenta.
- Tu jestem.
- Idziemy! – Czuła, jak ziemia drży od jego ciężkich kroków.
- Błagam cię, jeszcze chwilkę.
- Odpoczniemy u chłopca.
- Nie możemy się ruszać.
- Jeśli polejesz tak jeszcze trochę, zamrznie.

Nie drgnęła nawet. Chwytny ją za rękę i mocnym pociąganiem postawił na nogi. Miała sztywne kolana i zdrewniałe nogi, które zginały się tylko w stawach biodrowych. Wlokła się potykając u boku Quenta. Wkrótce weszli na ścieżkę.

Przed nimi rozległo się szczekanie. Pies musiał znajdować się bardzo blisko, bo jego głos nie był w żadnym sposób zniekształcony. Boże, znów te psy, które chcą nas zabić – przemknęła jej przez myśl. Została schwytana po tym, jak uszła z dżungli z bezlitosnych stoków Saleve, wydało jej się gorzko niesprawiedliwie.

Do nogi, Riffi, do nogi. – Quent zagwizdał. – Siad, piesku, siad. – Pies w dalszym ciągu lizał go po twarzy.

Jaki miły psiak! Ann zaniósłszy szalę czymś miechem. Zatoczyła się, chwytając rękę Quenta.

W otwartych drzwiach stanął chudy, malutki człowieczek w zbyt wielkich gumiakach. Wyglądałby jak karykatura farmera, gdyby nie pod wietlona od tyłu aureola włosów, która upodabniała go do Dnsteina. Po chwili cisnęli się z Orientem. Wymienili parę zdań w dialekcie Górnej Sabaudii, i dopiero wtedy Quent przedstawił Ann *monsieur* Laasa. Prowadząc ich do kamiennej stodoły, *monsieur* Laas tłumaczył jej, że będzie tam bezpieczniejsze niż w domu. W środku zapalił latarnię. Pokazał drabinę na stryszek. Po chwili wniósł na górę grube koce i skopek dymiącego jeszcze mleka od jednej ze swoich łaciących krów. Popijając mleko, Ann szczerze otuliła się drapiącym, włochatym kocem. Quent napomknął, że za parę godzin mogą ruszyć w drogę, ale była zbyt zmęczona, żeby go uważnie słuchać.

– Ojciec, co by było, gdyby rodzice szli z nami?

– Myślałem o tym – przyznał zgnębiony. – Mieli rację, że z nami nie pojechali. Byliby teraz w więzieniu, o ile w ogóle by żyli.

– Myjemy, Ojciec.

– Tak, myjemy. – Powiedział to tak, jakby miał co do tego pewne wątpliwości.

Zsunęła się po stercie siana i objęła go. Wcisnął ją pod swój koc i zaczął całować mocno i po pieśni. Przycisnęła się do niego, chociaż dokuczał jej kałdy mi się. W gwałtownym uniesieniu zaczęła pieścić jego rozgrzane, muskularne plecy i ramiona. Pachniał mskim potem – prawdziwy afrodyzjak. Przywarła jeszcze mocniej, drżąc i po dając jedyne go akty, który na tej planecie jest zdolny unicestwić nieodwracalnie mierni. Zadarł jej lodenowy płaszcz, odgarnął pozostałe części garderoby i okrył piersi gradem gorących, wilgotnych pocałunków.

Nie panuj nad draniem, ciągnęła brzydkie wełniane reformy, która matka kazała jej spakować, a potem jedwabne majteczki. Zacerpnęła powietrza, kiedy dotknął ją w miejscu

bolesnego po daniu. Przez moment poczuła się zawstydzona, ale znalazł ją tak wilgotną. Niewprawnie rozpinając sztruksowe spodnie, a on szeptał coś bez ładu i składku, kiedy ujął ją wreszcie twardego, pulsującego, jedwabistego penisa i przytknął go do pokrytych tłuszczem fałd, po których błądziły jego palce. W gorących ciemnościach nie było żadnej drogi odwrotu, nie było moralności, przeszło ci ani przyszło ci. Istniały tylko ich pieszczoty i głodny, drżący oddech. Położył się na niej. Rozsunęła uda najszerszej, jak mogła. Zaczęła w niego wchodzić, ale cofnęła się bezwiednie z cichym okrzykiem. Zatrzymał się.

– Quent... proszę ci ...

Objął ją mocniej, jakby chciał się z nią związać na wieczność, do której o mały włos nie przeszli zaledwie kilka godzin wcześniej. Całowali się przez długi czas, a potem wszedł głębiej i coś w niej pokręcił, jej dziewictwo, panienstwo, bariera oddzielająca ich od siebie. Poruszał się teraz, sprawiając jej nieustanny ból, który splótł się nierozłącznie z podaniem, a wreszcie ustąpił doznaniom tak intensywnym, jakby wchłonął jej rozszalały wir miłości i rozkoszy.

– Ann, całe życie... – wyszeptał jej do ucha. – Szukałem cię przez całe życie.

Jego słowa wdarły się do jej krwiobiegu jak strumień elektryczności. Straciła kontrolę nad ciałem. Nie była w stanie opanować ochryplego ziajania ani pulsujących skurczów, którymi przyjmowała go w sobie. Gdzieś w oddali usłyszała własny głos, wykrzykujący jego imię. Quent unosił się i opadał z coraz większą szybkością.

Razem osunęli się pod koc, jej urywany oddech był głębszy od jego zdyszanego ziajania.

Minęło sporo czasu, zanim zaczęły do niej docierać odgłosy krów przeuwających siano i chrobot grasujących na stryszku myszy.

– Kochanie...

– Co?

– To prawda, co powiedziałem.

– Co powiedziałyście?

– Czekałem na ciebie całe życie.

– Kocham cię. – Złoty pocałunek na jego wilgotnej od potu szyi.

– Chciałbym z tobą. – W głosie Ojuenta brzmiała niespotykana szczerota.

– Zawsze...?

W oddali zahukała sowa. Głos ptaka przywrócił Quenta z powrotem do świata, który istniał poza zasięgiem jego objęcia. Podniósł rękę, żeby odczytać godzinę z fosforyzujących wskazówek tandetnego metalowego zegarka.

– Za chwilę *monsieur* Laas przyjdzie nas obudzić.

Mgły się rozwiały. Dochodziły pełni księżyca i nił z taką mocą, że jego odbicie w kryształkach lodu było wyrazistsze od światła gwiazd. Nie trzymając się żadnej drogi, szli w dół po nieonim stoku. Ann zdawało się, że idą tak godzinami. Śnieg z chrzęstem zapadał się pod ich nogami. Od czasu do czasu droga prowadziła pod rząd drzew – wtedy okrywały ich ciemnością.

– Uwaga! – wyszeptał Ojuent. Doszli do nagiego występu skalnego. Dobrze pamiętajcie

poprzedni pobyt na skale, Ann zaczęła posuwać się naprzód drobnymi, ostro nymi krokami tak długo, aż wyczuła pod nogami z powrotem nieg. Znajdowali się na szczycie pochyłego nasypu. Piepowalonego drzewa, jak gigantyczny palec, wskazywał na czarne zakole oczyszczonej ze niegu drogi.

– Granica jest po drugiej stronie – wyszeptał Ojuent.

– Jak daleko...

Gwałtownie pocięgnięła w dół. Parasekund później o miu esesmanów przemaszerowało dwójkami przez zakręt. W świetle księżyca zalśniły guziki mundurów i przerzucone przez ramy karabiny.

Wstrzymała oddech. Niemcy zniknęli z pola widzenia, jednak zbocze nadal rezonowało odgłosem wojskowych buciorów.

Quent poderwał się i pocięgnięła za sobą Ann.

– Biegiem! – zakomenderował ochryplym szeptem. Pucili się przed siebie po nasypie, przeciwni drogą i zaczęli się zsuwać po nieonym zboczach.

Wszystkie drzewa na stoku zostały wycięte i od drogi aż do gęstych zalesień z drutu kolczastego nie było najmniejszej osłony.

– Po drugiej stronie – poinstruował ją szeptem – gnaj jak szalona.

– A co z tobą? Przecież zobacz nasze lady... Odcignęła do góry pasma kolczastego drutu. Butem docisnęła do ziemi druty na dole.

– Przechodź.

Pracnie nieprzytomnie do przodu, przeczołgała się przez dwadzieścia kolejnych warstw drutu, nie zwracając uwagi na kolce wbijające się w jej nogi i drące coraz bardziej i tak już podarte rękawiczki. Kiedy wyszła z zalesień, poderwała się i dysząc ciężko, popadła w dół na złamanie karku. Na myśl o tym, że Quent mógł zaplątać się w zalesie, umierała ze strachu; mimo woli oczekiwała odgłosu strzałów. Nagle upadła i stoczyła się w dół.

– Ann, rany boskie. – Dogonił ją przyklejony przy niej. – Nic ci się nie stało?

– Nie zatrzymuj się! – krzyknęła.

– Nic nam nie grozi. Jesteśmy po szwajcarskiej stronie. Banda owała jej krwawiące dłonie strzypami oddartymi z własnej koszuli, kiedy natknęła się na nich szwajcarski patrol graniczny.

Deszcz powoli ustawał. Ann, wsparta na poduszkach, zjadła ciepłą brzoskwinię. ledziła krople deszczu majestatycznie osuwające się po szybach podwójnych okien.

Znajdowała się w Bernie, w domu Halloranów przy Jubiläumstrasse. Timothy Halloran był pracownikiem poselstwa amerykańskiego. On i jego żona, Wilma, mieli oboje pod pięćdziesiątkę; twarze obojga były te podobne – okrągłe i pogodne. Kiedy lekarz stwierdził, że żadna z kobiet Ann nie uległa złamaniu, opatrzył pozostałe obrażenia i zadał dla pacjentki dwóch tygodni całkowitego wypoczynku, Halloranowie poprosili Ann, aby pobyt w którejś z genewskich klinik zmieniła na wypoczynek w ich domu.

Widząc, że została bezpiecznie ulokowana, Quent wyjechał do Zurychu. Nie wyjął celu swojej podróży, a Ann nie zadawała żadnych pytań, przypuszczając, że wzywają go sprawy banku Dejongów. Paczkami słał jej ciepłą przedwojenną odzież – szlafrok, dwie

sukienki, spódniczki i sweter, dwie bluzki i palto na podpince, w cudownym odcieniu brzoza. Za każdym razem, kiedy przychodziła nowa przesyłka, Ann opierała się o biurko lekarza, by zmierzyć jej zawartość. Garderoba z pewnością została starannie dobrana pod względem rozmiaru i kolorów, również materiał był wysokiej jakości, a każda rzecz kosztowała więcej niż cokolwiek, co Ann dotychczas nosiła, jednak na pierwszy rzut oka widać było, że szwajcarskim projektantom brakuje lekkości i klasy ich paryskich kolegów. Oskarżając się w duchu o małostkowość z powodu oceniania darów pod kątem ich kroju, Ann błędnie działa palcami po pięknych materiałach.

Halloranowie nie znali wcześniej Quenta – Ann podsłuchiwała, jak rozmawiali o jego pokrewieństwie z Jasonem Templarem tonem, jakim zwykle mówi się o przedstawicielach rodu królewskiego.

Zjadła brzoskwinię do kości i zlizwała słodycz z palców. Opatrunki na obu dłoniach nasiąkły sokiem.

Rozległ się dzwonek. Na odjeźdźnym Quent zapowiedział, że wróci niebawem, nie umiał jednak sprecyzować kiedy. Pełna nadziei, wstrzymała oddech.

Tak. To był jego głos. Drżącymi rękami w bandażach z trudem wzięła satynową szarfę szaroniebieskiego szlafroka, jednego z pierwszych podarunków Quenta. Dalej mocując się z wierzchnim, wyszła na schody.

Rosa, opryskliwa służka rodem z Churu, włączyła światła, nie wieszając się od deszczu peleryny koloru khaki.

Ann przystanąła na szczycie schodów, patrząc w dół. Quent miał na sobie mundur wojskowy ozdobiony na ramionach srebrnymi dystynkcjami porucznika.

– Czy to ma znaczenie, że Stany Zjednoczone mają biuro werbunkowe w Zurychu? – spytała chwytając koniec porczy.

Obejrzał się na Rosę, która zresztą nie znała angielskiego, i odczekał, a wyjdzie przez wahadłowe drzwi obite zielonym sukniem.

– Zaciągnęłam się ponad rok temu – owiadczył.

– Dlaczego mi o tym nie powiedziałyście?

– We Francji, im mniej wiedziałyście, tym było bezpieczniej dla ciebie.

– A tutaj?

– Jakoś nie zgadzało się na ten temat.

Nie tak sobie wyobrażała to spotkanie. Potargana, z twarzą umazaną sokiem brzoskwiniowym, robiła wymówki wysokiemu, szalenie uprzejmemu oficerowi, którego mundur wyglądał, jakby wyszedł z rękawców na Savile Row.

Zeszła parę stopni niżej. Od wspinaczki miała sztywne łydki i uda, cięgle jeszcze bolały jej pięty na stopach. Schodziła schodek po schodku. Jej ruchy w niczym nie przypominały dawnej wywej, energicznej Ann.

– Dziękuję za ubrania, które mi przysłały – powiedziała pokornie.

– Zgubiłem przecie twój walizkę. Jedyne, co mogłem zrobić, to odkupić ci chociaż ubrania.

– Dziękuję, że o tym pomyślałeś. – Szeleszcząc od deszczu ulic przejechał samochód.

Posłała Cmentowi niepewny uśmiech. – Czy pobyt w wojsku to kolejny pokój, do którego nikogo nie wpuszczasz?

– Miejmy nadzieję, że drzwi się dobrze domykają – odpowiedział nie całkiem poważnie.

– Sama widzisz, że jestem przebrany dla niepoznaki.

– A twoje wypadki do Paryża? Czy dostawałeś przepustki, żeby pozafatwiał interesy rodzinne?

– Nigdy nie służyła w wojsku. Przyznaj się, Ann. – Teraz już miał się otworzyć. – W wojsku nie dostaje się wolnego, żeby zajmować się biznesem, niemniej bank stanowi doskonały parawan dla mojej działalności w Paryżu. Jestem w oddziale pułkownika Donovana, który sprawozdania z naszych działań składa samemu prezydentowi.

– Donovana?

– Pułkownika Williama Donovana, znanego również jako Dzikie Bill Donovan. Pułkownik specjalizuje się w akcjach dywersyjnych na tyłach wroga.

Ann szybko powiodła w myślach fakty.

– Na tyłach wroga? Chcesz powiedzieć, że tam wracasz? – wykrzyknęła.

– Ann, chciałabyś wiedzieć zbyt dużo. – Rozejrzył się. Zeszła na najniższy stopień, przytrzymując się ozdobnego zakończenia poręczy.

– Kiedy wyjeżdżasz?

– Dajmy temu spokój, dobrze? – ucił jej pytania. – Posłuchaj, nasz bank ma swojego przedstawiciela w Zurychu i poruszyłem wszystkie możliwe koneksje, żeby cię stała do Lizbony, a z Lizbony samolotem do Stanów.

Dalekie Stany Zjednoczone, które nigdy nie były jej domem. Już wcześniej zdecydowała, że nie odgrodzi się oceanem od swoich rodziców, teraz poczuła, że nie ma również ochoty oddalać się zbyt daleko od Quenta.

– Pan Halloran załatwia dla mnie pracę.

– Tutaj, w Bernie?

– Nie, w Londynie.

– Luftwaffe robi, co może, żeby nie było tam zbyt bezpiecznie.

– Chcesz powiedzieć, że zapomniałaś już o naszej awanturkowej przeszłości? Mam zamiar zostać kierowcą. – Jedną z przedwojennych ekstrawagancji Horace'a był Chevrolet rocznik 1929, którego pozbył się na początku okupacji. Ann tak uporczywie domagała się zajęcia miejsca za kierownicą, że ojciec w końcu ustąpił i nauczył ją prowadzić. Mimo młodego wieku, z nich dwojga ona okazała się o wiele lepszym kierowcą. – Wojsko będzie teraz zatrudniać cywilów.

– Skoro już zdecydowała – ustąpił grzecznie, jednak powieki mu drgnęły. Było jasne, że poczuł się urażony odrzuceniem daru, jakim był bilet na samolot Pan Arnu. Zdobyć takiego biletu graniczyło z niemożliwością.

Z jadalni dobiegł brzęk talerzy. Zbliżyła się do Quenta o krok. Nagle niejasno uświadomiła sobie, że między nimi pierwszy krok zawsze będzie należał do niej, a on nigdy nic nie zrobi, żeby ją do tego kroku zachęcić.

Spotkali się pod kandelabrem, na samym środku hallu.

- Bardzo ci skniłam za tob – wymruczała przytulając się do niego.
- A ja za tob .
- Mimo naszych kłótni?
- Zwariowałem na twoim punkcie. Nie mogliśmy leć logicznie. – Musnęła jej wargi pocałunkiem. – Kochanie, jeśli ktoś z nas zapomni o przeszłości, to na pewno nie ja.

Gilberte Pary 1943-1944

Kiedy Gilberte wracała do loży między połączanymi rokokowymi kolumnami paryskiej opery, ciągnęła się za nią szmer komentarzy. Nie było mężczyzny, który by się za nią nie obejrzał.

Wieczorowa suknia z czarnej satyny była tak idealnie dopasowana, że pełne piersi Gilberte, białe jak płatki kamelii, z oszłamiającą zmysłowością wychylały się z dekoltu. Poza nieodłącznym szkarłatem na ustach nie stosowała żadnego makijażu. Zaczesane do góry włosy uwypuklały arogancję, z jaką zbyła skinieniem głowy ukłony dwóch oficerów wysokiej rangi, którzy stali jej podługie spojrzenia, zamieniając parę słów z jej towarzyszem, feldmarszałkiem hrabią Bemdem von Hochererem.

Wyprzedzając hrabiego, wspierała się po *grand escalier* z marmuru i onyksu. W otworzył przed nią.

– Gilberte. – Feldmarszałek przepuścił ją przed sobą, gwałtownie się w ukłonie i strzelając na pruską modłę obcasami.

– Witam, panie hrabio – odpowiedziała wpływając do loży. Rozsiadłszy się w fotelu obitym czerwonym aksamitem, złożyła obnażone ramiona na balustradzie obitej szorstkim czerwonym pluszem. Ze swojego miejsca miała widok zarówno na scenę, jak i na tunel dla orkiestry, w którym kłaniał się na wszystkie strony siwowłosy dyrygent.

Wystawiano *Otello*. Verdi zawsze poruszał do głębi Gilberte, jednak po wyjściu z Santé pulsujące, bogate akordy zbyt łatwo przywoływały cierpienia, ból utraty, rdzawe plamy u stóp wiszycych zwłok mężczyzny i kobiety. Starając się nie słyszeć uwertur drugiego aktu, rozejrzała się po słabo oświetlonej sali. Przed wojną często bywała w operze z rodzicami – lożą, w której teraz siedziała, kiedy była ich własnością. W siedniedzielnicach, młode sztywne pary anki obnosiły wystawne biuterii w towarzystwie wysokich oficerów armii niemieckiej.

Bernd von Hocherer ze swą władcą posturą, zygzakami blizny po pojedynku przecinającym policzek na ukos i rzędnymi srebrzystymi włosami był doskonałym uosobieniem stereotypu pruskiego oficera. Jednak do całości nie pasowały łagodne piwne oczy i delikatne dłonie.

Prywatnie feldmarszałek najchętniej oddawał się amatorskim studiom nad historią starożytnej Grecji, jednak jako syn słynnego junkierskiego rodu – musiał zapomnieć o upodobaniach klasycznych. Hitler był w jego oczach godnym pogardy awanturnikiem, który zdobył władzę, odwołując się do najniższych instynktów w narodzie, mimo to, kiedy w Niemczech zaczęli rządzić faszyści, hrabia nie podał się do dymisji. Gilberte doskonale go rozumiała. Hrabia Bernd von Hocherer był przedstawicielem pewnej klasy, pewnej tradycji, trwalszej niż efemeryczne reimy. Tak jak baron André de Permont, musiał pełnić swój rolę niezależnie od okoliczności. Gilberte nie miała Hochererowi specjalnie za złe, że był

naje d c , i jakby dla zachowania równowagi, nie wywała do niego zbytnej wdzi czno ci za to, e wyci gn łj z wi zienia.

Kiedy mru c oczy wyszła z bramy w grubych murach Santé, w jej stron ruszył młody uprzejmy adiutant. Posadził Gilberte w długim czarnym Mercedesie z dwiema chor giewkami ze swastyk , powiewaj cymi na przedniej masce. Była zbyt oszołomiona, eby z jego wyja nie cokolwiek zrozumie . Dopiero kiedy zajechali na boulevard Suchet i stan li przed domem, w którym sp dziła całe dzieci stwo, poj ła, e jej wybawc jest generał von Hocherer. Wpatruj c si nieprzytomnym wzrokiem w miedzian kopuł wie cz c fasad , rozwa ła, co kierowało generałem, kiedy wywalczył jej wcze niejsze zwolnienie i ofiarował go cin w swoim domu. Po zako czeniu pierwszej wojny wiatowej generał rami w rami z jej ojcem współpracował w komitecie – który zreszt nie odniósł sukcesu – na rzecz obni enia gigantycznych odszkodowa , jakie Niemcy mieli zapłaci Francji. Generał, podobnie jak baron, honorował stare długi.

Na gorze zastała ju osobist pokojówk , Bretonk o obfitym biu cie, który upodabniał j do synogarlicy. Napuszczała gor c , perfumowan olejkami wod do wanny, która niegdy była wann jej matki. Gilberte zrzuciła z siebie łachmany i po raz pierwszy od czterech miesi cy zanurzyła si w k pieli. Ko ci miednicy sterczały jej przez skór , bez trudu mo na było policzy ebra. Szorowała si pachn cym mydłem Guerlaina i myjk z włókien egzotycznej ro liny, a jej wychudzone ciało nabrało barwy szkarłatu. Na koniec skropiła si od stóp do głów Chanel No. 5. Mimo wszystko nadal czuła na sobie zapach potu i spermy – pozostało nie ko cz cych si zbiorowych gwałtów.

Nie było prawie dnia w wi zieniu, eby Wissman nie prowadził jej do celi w podziemiach. Widziała, jak pobierał opłaty od pozostałych u ytkowników jej ciała. S dz c z przestróg, jakich udzielał szeptem zainteresowanym, kapitan Knecht nie miał poj cia o str czycielskich praktykach kurduplowatego ordynansa. Wszystko to zreszt w najmniejszym stopniu nie obchodziło Gilberte. Z jej punktu widzenia dokonywano na niej zbiorowego gwałtu.

Par miesi cy po uwolnieniu wystarczały jej ju tylko dwie k piele dziennie. Przestała dr e , kiedy kto dotykał jej bez ostrze enia. Sylwetka Gilberte zacz ła si zaokr gla i wraca powoli do dawnych zachwycaj cych proporcji. Cała słu ba, z wyj tkiem pokojówki, nale ła do starych domowników. Kiedy wynurzyła si z pierwotnego ot pienia, dotarło do niej, e wszyscy robi zakłady, ile czasu upłynie, nim *la bêtarde* wpu ci do łó ka starego *boche*.

Sze dziesi ciotrzyletni Hocherer, wdowiec, który zostawił drug on w Niemczech, i ojciec siedmiorga dzieci, po raz pierwszy w yciu był zakochany. Jawnie i nieprzytomnie. Nie był w stanie oderwa wzroku od Gilberte, r ce mu dr ały, kiedy napełniał kieliszek, na lewo i prawo otwierał Gilberte konta w bankach na rue de la Paix i rue Saint-Honore.

W kwietniu 1943 roku Hitler wezwał Hocherera do Berlina, by osobi cie wr czy mu buław feldmarszałka. W ge cie *Führera* kryła si niedwuznaczna ironia – Hocherer dwukrotnie brał udział w zamachu na jego ycie. Swój awans hrabia Bernd von Hocherer uznał za znak, e w jego yciu wszystko jest mo liwe. Pierwszej nocy po powrocie do Pary a

otworzył drzwi i wszedł do jego sypialni z sypialni Gilberte. Pojła, a ostateczną decyzję składała w jej ręce, chociaż fakt, że miał na sobie szlafrok, wyraźnie wskazywał, na co liczy. Dopiero ta pod samobrod szata maskowała wychudłą, pomarszczoną szyję i wystający brzuch. Z wybrylantynowanym siwizną i łagodnym, błagalnym spojrzeniem wyglądał dziwnie bezbroniście. Gilberte zastanawiała się przez chwilę w skupieniu, po czym stwierdziła, że po tylu gwałtach nie ma dla niej większego znaczenia, czy jeszcze jeden sztywny kawał mięsa wylądował w jej kroczu, czy nie. W końcu ten czekał cierpliwie przez cały rok. Umyła się niepieszcząc, zaznaczyła miejsce, w którym przerwała lekturę, i opuciła stopy na łóżko przy łóżku. Zsunęła w ziółtkie jedwabne ramiączka szyfonowej koszuli, która opadła na ziemię, tworząc wokół nóg plamę ciemnego błękitu. Hocheherer, nie ruszając się od drzwi, chłonął jej spojrzeniem. Minęła minuta, dwie, potem trzy. Gilberte zaczęła się zastanawiać, czy hrabia nie jest voyeurystą, któremu wystarczy widok obnażonych piersi i wyraźnie zaznaczonego czarnego trójkąta?

Nagle jednak potrzęsł głowę, jakby ocknął się ze snu.

– Afrodyta, Wenus – wyszeptał sam do siebie. Przeciwnie sypialni i dotknął z czcią jej piersi, po czym drobnymi, trzęsącymi się rękami przejechał po jej biodrach. W secesyjnym łóżku baronowej wielokrotnie wargami przemierzał jej ciało, zanim w niego wszedł. Nie czuła ani odrazy, ani cienia przyjemności, tak naprawdę czuła wycieki, kiedy wchodziła do wanny za letniej kąpieli – tylko całkowita niewrażliwość ratowała ją przed szaleństwem, kiedy była raz po raz gwałcona. Przez głowę przemknęła jej myśl o Quencie: ciekawe, czy z nim też by nic nie poczuła?

Hocheherer, wiadomo jej oziębło ci, zabiegał o nią najczulej, jak potrafił. Kupował biuterium u Cartiera, zdobył wywiezione z Rosji kremowe futro z rysia.

Widok odzianej w szary mundur, wypróżnionej postaci podstarzałego, zadurzonego po uszy kochanka – jak wiat wiatem błądzącej celem niezliczonych dowcipów – w niczym nie zakłócał chłodnej monotonii jej rozmyślań.

Szczupły Włoch, który potężnym głosem bokim głosem piewał partię Jagona, podszedł do skrajnej sceny, by odpiewać słynne *credo*. Burzliwa aria wzniesła płomień w piersiach Gilberte. Podobnie jak Jagon wierzyła w okrutnego Boga, Boga mściwego. O, jak straszliwie po dała zemsty! Jak krzak róży, starannie przycinany po to, by wydać w końcu jeden olśniewający kwiat, po wycięciu wszystkie uczucia na rzecz wyjątkowego pragnienia zemsty. Zniszczenie kapitana Knechta, Wissmana i zjadliwych oprawców Mercka i Ristelheubera okazało się drobnostką. Wystarczyło tylko, że wspomniała Hochehererowi o torturach i niekończących się gwałtach, a już następnego ranka byli w drodze do Stalingradu, gdzie dzielę los trzystu tysięcy niemieckich żołnierzy, zmarli z zimna i głodu w czasie oblężenia.

Jednak cała ta czwórka, nawet degenerat moralny, Knecht, to były tylko płatki. Ojciec wiedział, co mówi. Prawdziwym wrogiem była osoba, która go zadenuncjowała.

Poprosiła Hocheherera, aby dowiedział się, kto to był. Mimo wielokrotnych prób nie udało mu się zdobyć dostępu do tajnych archiwów gestapo. Sama Gilberte nie miała najmniejszych poszlak, aby podejrzewać kogokolwiek. Wreszcie doszła do wniosku, że mogła to być para służyjących. Udała się pod numer siedemdziesiąty czwarty na rue Daguerre. Dozorczyni, stara

madame Jargaux, paplała bez ustanku o swojej rozpacz w związku z internowaniem *madame* i *monsieur* Blakely i o radości z powodu ucieczki *mademoiselle* Ann do strefy nieokupowanej, która, niestety, również została zajęta przez *boche*, więc niewykluczone, że Ann te internowano. Gilberte przeszedł dreszcz na myśl o serdecznej, impulsywnej Ann uwięzionej w obozie. Wreszcie udało jej się skierować rozmowę na słuch. Od pamiętnego nalotu nikt nie widział ani Jacquesa, ani Helen. Kolejne niepowodzenie w ustaleniu miejsca ich pobytu podważyło podejrzenia Gilberte. Gdyby współpracowali ci le z gestapo i ledź członków ruchu oporu, nie mieliby powodu się ukrywać.

Zobaczysz, tato, przyjdzie dzie, kiedy dowiem się, kto ci wydał – pomyślała składając milczącą obietnicę w takt donośnych piebarytonu. – Kara będzie okrutna, nie ominie jego potomków.

Po dziwnym mrowieniu skóry odgadła, że Hocherer na nią patrzy. Nie przerywając rozmowy o zemście, odwróciła się, rozchylając wargi w zmysłowym uśmiechu.

Kiedy na boulevard Suchet Hocherer odbierał od Gilberte futro z rysia, przez chwilę oparł znacząco dłonie na jej ramionach.

Uwielbienie obdarzyło go nadludzko wytrzymałością. Bez końca unosił się i opadał w dół, skrapiając Gilberte starczym potem o myślim zapachu przemieszonym z macicami kamforowymi. Wreszcie po półgodzinie z drucym okrzykiem zakończył swoje zmagania. Zwykle po stosunku oddalał się do pokoju, aby popracować, a następnie zasypiał na pamiętajnym wojny napoleońskiej łóżku ojca Gilberte. Jednak tej nocy pozostał w jej łóżku.

– Gilberte – zwrócił się do niej cichym, tkliwym głosem – czy nie uważasz, że już najwyższy czas, aby mi powiedzisz?

– O czym ci niby mam mówić, hrabio? – spytała drwiąco.

– O dziecku.

– Dziecku?

– Jestem nad wyraz szczeliwy.

– Znowu coś zmyślasz.

– Sze tygodni mija od czasu, kiedy miała ostatni okres. Wyrwała się z jego objęcia i popędziła do łazienki. Seledynowe ściany, zielone kafelki i zwierciadlany sufit nadawały łazience wygląd podwodnej grotty. Gilberte przyjrzała się swemu odbiciu. Ze zwonnymi renicami i starganymi czarnymi włosami na ramionach wyglądała jak natchniona podwodna nimfa. Zaraz, zaraz... kiedy to było? Chyba pod koniec października. Oczywiście, trzydziestego października podczas przyjęcia na cześć tego tłustego, napuszonego osła, Goringa. A teraz jest piątnasty grudnia.

– Gilberte, wszystko w porządku? – Hocherer cicho zastukał w drzwi.

Podniosła flakon perfum Lalique i miała ochotę cisnąć kryształową butelkę w drzwi.

– Podmywam się o wiadczyła sucho znudzonym głosem. Kiedy kroki oddaliły się od drzwi, walnęła butelkę o ziemię.

Cykle miała tak regularne, że księżyc mógłby spokojnie za nią chodzić.

Ponad sze tygodni?

Jak to mo liwe? Ile razy Hocherer zdradzał oznaki gotowo ci, natychmiast zakładała kapturek. Przecie był zbyt stary, eby spłodzi dziecko... Nie zaszła w ci w Santé, chocia cudowny balsam Berthe wyczerpał si na długo przed wyj ciem z wi zienia. Niemo liwe, po prostu niemo liwe, eby była *enceinte!*. Przykucn ła na bidecie, w zapami taniu wypłukuj c z siebie sperm feldmarszałka.

Zbudziła si z ja niejszym umysłem. Niestety, musiała uzna niepodwa aln wymow faktów fizjologicznych. Ostatnio bolały j piersi. Chwilami miała lekkie mdło ci. Była ju ponad dwa tygodnie po terminie.

Jasne, e jestem w ci y – pomy łała.

Równie jasne było dla niej, e istniało tylko jedno wyj cie.

Aborcja.

Jej decyzja nie była spowodowana tym, e ojcem dziecka miał by akurat Hocherer. yła z nim otwarcie od prawie dwu lat, sypiała od wielu miesi cy i jakiegokolwiek patriotyczne skrupuły w przypadku dziecka zakrawałyby na dobry art.

Zadzwoiła po niadanie. Popijaj c gor c kaw zbo ow ze mietank (prawdziwa kawa przestała by osi galna nawet dla feldmarszałków), roztrzała swój problem. Sensownym byłoby zwróci si w tej sprawie do doktora Behna, który dopasowywał jej kapturek, jednak Behn, l zak, z szacunku dla stanowiska i pochodzenia Hocherera z pewno ci najpierw chciałyby zasi gn opinii zramolałego ojca, który był przecie zachwycony perspektyw posiadania dziecka. Kiedy podsłuchiwała rozmow prowadzon szeptem przez trzy wytworne kochanki wysokich niemieckich oficerów na temat „malutkiej operacji”, jakiej si poddawały – nie znała jednak adnej z nich na tyle, eby zapyta , gdzie i jak mo na zrobi sobie skrobank . *Incroyable!* – pomy łała. – Wszyscy mieszkaj c na tej planety zawzi li si , eby si nawzajem powyka cza , a ja nie mog zniszczy jednego male kiego embriona.

Posmarowała rogalik masłem; posypały si okruszki. Tak bardzo brakowało jej przyjaciółki, wiernej, wyrozumiałej Annjej jedynej przyjaciółki. Oczywi cie nie przypuszczała, e Ann, dziewczica i córka puryta skich Amerykanów, wiedziałyby, gdzie mo na si pozby ci y, jednak z pewno ci bez pot pienia wysłuchałyby jej zwierze . My li Gilberte pow drowały do Horace’a Blakly’ego, upiornego nudziarza, który czerpał niewspółmiern dum z faktu prowadzenia ksi gowoci w niewielkiej robotniczej klinice. Nadgryzała rogalik w zadumie. Jak te nazywał si lekarz, który był jego pracodawc ?

– Descourset – przypomniała sobie na głos.

Kiedy Hocherer wrócił do domu o pierwszej, czekała ju na niego w czarno-złotym kostiumie, do którego zało yła nowy kapelusz z szerokim rondem. W towarzystwie niemieckiego plenipotenty, Otto Abetza, i jego francuskiej ony wybierali si na lunch do Tour d’Argent.

– Ten drobiazg, o którym wspomniałe wczoraj wieczór... kiedy wstałam, sprawa si wyja niła.

– Male kie opó nienie? – upewnił si , a w jego łagodnych piwnych oczach odbiło si rozczarowanie. – No, có .

Następnego ranka zeszła do pomieszczenia w piwnicy, w którym przechowywano ubrania jej matki. Poszperała w szafach, wreszcie wyciągnęła kostium od Chanel sprzed dziesięciu lat, z niemodnie zaokrąglonymi ramionami i spódniczkę do połowy łydki. Wprawdzie miała na własny użytek Mercedesa Hocherà, ale anonimowo w samochodzie ozdobionym swastykami byłaby czystym kpinem. Wybrała się do kliniki metrem. W poczekalni kliniki, pośród obdarzonego tłumem nieszczęśliwców, w eleganckim, choć niemodnym stroju, Gilberte wydawała się niezwykłym zjawiskiem. Kiedy doszła jej kolejka i wkroczyła do ambulatorium, doktor Descourset spojrzał na nią zaskoczony.

– Jestem przyjaciółką Ann Blakely – wyjąknęła po pieszniku.

– Nazywam się Gilberte de Permont.

– Ach tak. Pani rodzina wprowadziła się do ich kamienicy.

– Ciszył współczujco głos. – Czytałem notatkę o śmierci pani rodziców. Tyfus, o ile dobrze pamiętam?

Tak przyczynę śmierci podało oficjalnie gestapo. Gilberte wiedziała, że prostuje kłamstwo, z łatwością może grać na uczuciach lekarza, jednak duma i nie wygastyła nie pozwalały jej w adeń sposób wykorzysta okoliczności śmierci rodziców.

– Tak – potwierdziła bezbarwnie. – Tyfus.

– Bardzo mi przyjałuj, że nigdy ich nie poznałem. Horace bez końca opowiadał mi, jak bardzo przyjałni się z pani ojcem.

– Nigdy nie byli przyjaciółmi.

– Ach, cóż, biedny Horace, zawsze musiał coś zmyślać. W każdym razie z pewnościami ubóstwiał pani ojca. – Lekarz pogładził się po siwej brodzie. – Co pani sprowadza, *mademoiselle* de Permont?

– Przychodzę w sprawie mojej pokojówki, Claudine. Obiecałem, że wypytam pana o wszystko, co trzeba. Miałaby Claudine siedzi w obozie jenieckim w Niemczech, tymczasem ona odkryła, że spodziewa się dziecka. Naturalnie jest zrozpaczona.

– Proszę powiedzie pokojówce, że aborcja jest rzeczą szalenie niebezpieczną. – Ciepło ulotniło się z głosu lekarza.

– Hitlerowcy uważają, że wszystkie czyste rasowo Francuzki mają obowiązek dbać o wzrost populacji Trzeciej Rzeszy. Sądząc z najwiekszych wiadomości z Rosji i z Włoch, nastąpi jej poważny spadek. I pokojówka, i lekarz dostaliby po siedem lat. To oznacza obóz koncentracyjny.

– Jeśli zostaliby przyłapani.

– Może pani pokojówka jest skłonna ryzykować, *mademoiselle*. To jest uboga dzielnica i nie ma tu poza mną adnego lekarza ani adnej kliniki.

Poczuła, że tężycisnę jej się do oczu. Gdzie podział się osławiony spokój de Permontów?

– Chodzi o panią? – spytał po chwili Descourset z westchnieniem.

Skinęła głową.

– Znam jednego yda. Biedaczysko przed okupacją był szanowanym ginekologiem, teraz odebrano mu uprawnienia i musi się ima tego proceduru, żeby przeżyć. Na Boga, kiedy

przyjdzie czas, że hitlerowcy i ich banda kolaborantów zapłacą za wszystko? – dodał głuchym głosem.

Lekarz żył mieszkał tu obok avenue Parmentier. Witryny sklepów zabito deskami, na innych widniały czerń-czarne napisy PRZEDSI BIORSTWO ŻYDOWSKIE. Na chodnikach kłócił się tłum. Wychudli, bladzi mężczyźni i kobiety siedzieli nad stertami zużytych ubrań i obfuczonych sprzętów domowych – wielu z nich nosiło opaski z czerń gwiazd, na której widniało słowo: *Juif*.

Gilberte, wstąpiła na górę po rachitycznych schodach, w wyobraźni widziała zasuszonego staruszka z drucymi rękami. Drzwi otworzył jej mężczyzna około czterdziestki. Miał czyste pewne dłonie. W niebieskich oczach czaił się gniew.

Wyjaśniła bez upiśki i niedomówień, co ją sprowadza. Równie rzeczowo podała jej kwotę, dając wypłacenia połowy z góry. Wręczyła mu wymagane banknoty Reichskredit. Zabieg miał się odbyć nazajutrz o dziesiątej rano.

– Proszę przynieść z sobą czyste ręczniki i podkłady – zaordynował. – Będzie pani musiała wypocząć przez kilka dni. Proszę już nic nie brać do ust po północy. Aha, powinien czekać na pani samochód. W tej okolicy nie złapie pani taksówki.

Następnego ranka spuściła wiadanie do toalety. Uliczni sprzedawcy z avenue Parmentier byli już na posterunku, obłożeni stertami łosnej starzyzny. Gilberte nadjechała do kolejki – pierwsze trzy kolejki taksówki odmówiły przyjęcia kursu, kiedy podała adres. Dopiero za sum dwukrotnie przewyższające wynagrodzenie lekarza czwarty kierowca, krzywiąc się niechętnie, zgodził się na miejsce i czeka.

– To są okolice, gdzie łatwo można zostać zgarniętym – tłumaczył swoje obawy.

Z pudeł na kapelusze firmy Vuitton w ręku Gilberte wspinała się po schodach, wdychając zapach niedzieli i gnijących warzyw. Z podestu pierwszego piętra zbiegła w podskokach łnianowłosa dziewczynka z gwiazd Dawida; mijając nieznajomą, posłała jej posotny uśmiech. Gilberte przystanąła patrząc, jak dziecko przeskakuje co drugi stopień, biegnie na dół.

Nie mogę tego zrobić – pomyślała.

Dlaczego?

Grupa rozmnażających się komórek znaczyła dla niej tyle, co wrzód, a wrzody przecież się usuwa.

Nie mogę tego zrobić – nieustępliwie powtarzał irracjonalny głos w jej duszy.

Weszła na sam górę.

– Rozmyliłam się – owiadczyła podając odliczone banknoty do czystej fachowej dłoni.

– Dlaczego mi pani wobec tego płaci?

– Dotrzymuj obietnic.

Hocheer promieniał. Powiedziała mu, że „krwawienie” ust piło. Kiedy parę dni później doktor Behn potwierdził cię, feldmarszałek otworzył butelkę Tattingera i wznosił toast „za ich syna”.

Słowo „syn” zaskoczyło Gilberte nieprzyjemnie. Poczwała falmdło ci rozchodzc si po całym cieie z miejsca, gdzie zwini ty embrion drzemał w czelu ciach jej brzucha.

- Jeste za stary, eby robi z siebie pajaca.
- A ty, moja boska Gilberte, jeste za okrutna w swojej młodo ci i urodzie.

Ci a Gilberte poci gała za sob dwa dziwne i nie zwi zane ze sob skutki uboczne. Po pierwsze, adna siła nie mogła jej zmusi do wyj cia poza mury posiadło ci ojca. Po drugie, zacz ła si nieprzytomnie pasjonowa wojn . Wcze niej, nie daj c adnej wiary wiadomo ciom podawanym przez *Propagandataffel*, nie interesowała si informacjami z frontu. Teraz godzinami studiowała „Le Matin”, „Les Nouveaux Temps”, „Aujourd’hui”. eby nie przegapi serwisu informacyjnego, miała na stałe wł czone radio przy łó ku.

Szalała z rado ci, ilekro informacje wiadczyły o niekorzystnej sytuacji niemieckich sił zbrojnych. W zwi zku z froatem rosyjskim cz sto u ywano wyra enia „odwrót strategiczny”; „imponuj ce działania obronne” miały miejsce we Włoszech; „nikczemna napa na bezbronnych” oznaczała, e spuszczone bomby na *Vaterland*.

Słu ba patrzyła na ni z dnia na dzie coraz bardziej wrogo. Fakt, e byli przyzwoicie karmieni, wynagradzani i traktowani przez feldmarszałka, napawał ich wstydem – było rzecz jak najbardziej ludzk , e w tej sytuacji ch tnie pokazywali palcem na Gilberte, której dowód kolaboracji powi kszał si co dnia. Poczucie honoru nie pozwalało jej napomkn o ich kpi cych spojrzeniach Hochererowi, który natychmiast wysłałby ich wszystkich, nie wył czaj c siedemdziesi cioletniego kucharza i osiemdziesi cioletniego ogrodnika, na mordercze roboty do Rzeszy.

W ród wy szych wojskowych odwiedzaj cych jej protektora panował umiarkowany optymizm – generalnie spodziewano si całkowitego zwyci stwa pa stw Osi nie dalej ni w czterdziestym szóstym. Jednak kiedy Hocherer zostawał z ni sam na sam, alił si , e decyzje *Führera*, który w czterdziestym pierwszym przyznał sobie tytuł najwyszego dowódcy sił zbrojnych, z dnia na dzie s coraz bardziej samobójcze; generał b d feldmarszałek, który o mielił si zgłosi jak kolwiek w tpliwo , zostawał natychmiast, jako malkontent, rozstrzelany albo uduszony. Pesymizm Hocherera – niew tliwie poparty faktami – w znacznej mierze podyktowany był bolesn strat , jak poniósł osobi cie. Wszyscy trzej synowie z jego pierwszego mał e stwa zgin li na froncie. Feldmarszałek zdrzczał si my l , e najmłodszy syn – cierpi cy na szmery w sercu szesnastolatek – równie niedługo zostanie powołany.

Pod koniec lutego Hocherera wezwano do Berchtesgaden, wysokogórskiej rezydencji Hitlera. Sp dził w Alpach o wiele wi cej czasu, ni si spodziewał, l c niezdarne listy miłosne, w których zwierzał si z nadziei, jakie wi zał z narodzinami dziecka. Wrócił nie zapowiedziany w d d yst noc na pocztku marca.

Gilberte zastał ju w łó ku. Słuchała nocnych wiadomości. Widz c Hocherera, nie zgasła radia.

- Jak tam wasze obrady z niezwy ci onym przywódc ?
- Sko czone. – Ci ko usiadł w fotelu.

– Obrady?

– Przegrali my wojnę .

– Ale przecie ... – spojrzała na radioodbiornik – ... druzgocę ce straty sił amerykańskich pod Monte Cassino... miertelny cios dla nadziei Aliantów...

– Działania wojenne trwają nadal, ale zostali my pokonani. – Kościście ramiona opadły bezradnie. – Nie możemy wprost myśleć o tych wszystkich zaprzepaszczonych okazjach. To jest szalenieć! Mogli my przysięgnąć w Rosji inną strategię . Może na było ruszyć na Anglię po Dunkierce. – Zerwał się i wyjął czyjeś radio, które nadawało właśnie komunikat o druzgocęcej klisze Amerykanów na wyspach Kwajalein. – Po co słuchasz tych bzdur? To same kłamstwa. Widziałem, jak wygląda mój kraj. Amerykanie i Brytyjczycy przez dwadzieścia cztery godziny na dobę obracają w gruz nasze miasta i zakłady przemysłowe. Nie mamy żadnych szans na odbudowanie przemysłu. Siły amerykańskie są niewyczerpane.

– Ach, tak, Amerykanie.

Co się dzieje z Quentem? – przemknęło jej przez głowę . – W jakich bitwach brał udział? Z jakich niebezpieczeństw uszedł cało? – Był jej jedynym wiźniem z poprzednim życiem. Odrzucała od siebie myśl, że mógł zginąć .

– W tym miesiącu zrzucili broń partyzantom.

– Naprawdę? – Siadła na łóżku z nieprzytomnym u siebie. – Gdzie?

– Na płaskowyżu des Glières w Górnej Sabaudii. To było zresztą tylko preludium. Eisenhower szykuje się do inwazji.

– Te plotki o inwazji trącają myszkę .

– Nasi szpiegowie donoszą, że prace nad planami inwazji posuwają się dniem i nocą . Operacja ma kryptonim: „Overlord”.

– Kiedy ma nastąpić? – spytała. Serce biło jak oszalałe. Bała się, że zemdleje.

– Nie wiemy. Zapewne wkrótce. Gilberte, nie musisz się niepokoić . Ani tobie, ani dziecku włos z głowy nie spadnie. Wyjadą ci do Szwajcarii...

– De Permontowie – przerwała mu – nigdy nie uciekają .

– Tak, ale ty spodziewasz się dziecka.

– A ty? Też będziesz próbował dać nogę do Zurychu?

– Moja rodzina też nigdy nie ucieka.

Poczuła dziwną solidarność z siwowłosym Prusakim, wrogiem, ojcem dziecka, które właśnie zaczynało kopać w jej brzuchu. Nie miało dotknąć ją pokrytej w trobianymi plamami dłoni. Była to pierwsza pieszczota, jaką go obdarzyła.

Wiosną czterdziestego czwartego Hitler i jego Western Kommando popełnili kilka fatalnych omyłek. Spodziewając się alianckiego desantu w najwęższym miejscu kanału La Manche, strona niemiecka zgrupowała oddziały piechoty i wojsk pancernych przy plażach okolic Ciełiny Kalety. Na początku czerwca meteorolodzy zawyrokowali, że w powodu niekorzystnej pogody w najbliższych tygodniach nie dojdzie do inwazji. Niemcy odwołali gotowość bojową jednostek zgrupowanych wzdłuż wybrzeża, które *Führer* szumnie nazwał niepokonanym „wałem atlantyckim”.

Szóstego czerwca flota, jakiej wiat nie widział, wyruszyła z portów południowej Anglii.

Okr ty, walcz c ze wzburzonym morzem, nie popłyn ły bynajmniej w stron Cie niny Kaleta skiej, lecz skierowały si ku wybrze om Normandii. W Berchtesgaden *Führer* wstał dopiero po południu; kiedy dowiedział si , dok d zmierza flota aliancka, oznajmił, e jest to zwód taktyczny, który ma na celu wywołanie rozłamu w siłach obrony wybrze a. Okopane w bunkrach normandzkich oddziały niemieckie nie otrzymały adnych posiłków.

Gilberte zbudziła si . Przy łó ku stał Hocherer. Zaskoczona zmru yła oczy. Hrabia naruszał jej prywatno w przestronnej sypialni tylko wtedy, kiedy chciał i z ni do łó ka – jednak doktor Behn ju od siódmego miesi ca ci y zakazał Gilberte stosunków. Hocherer miał na sobie czarny skórzany trencz, pod pach trzymał hełm, zwie czony stalowym szpicem.

– Która godzina?

– Dziesi po szóstej. Odlatuj do Normandii.

– Odlatujesz? – Hitler zabronił feldmarszałkom nara ania ycia w powietrzu. – Do Normandii?

– Stało si . „Overlord”.

– Inwazja. Kiedy?

– W samym rodku nocy. Tysi ce statków wyrzucą na brzeg ołnierzy i ekwipunek bojowy, w czasie kolejnych nalotów bombarduj nasze obwarowania, na naszych tyłach odbywa si nieustanny desant spadochroniarzy, a ten szaleniec wci uwa a, e to jest operacja na skal lokaln .

Za ten dzie jej rodzice oddali ycie. Usiadła na łó ku całkiem rozbudzona. Powi kszone sutki nabrzmiątych piersi przebijały przez przezroczyst koszul nocn .

– *Vive la France!* – wykrzykn ła.

– Gilberte, lepiej by było dla ciebie, gdyby my zwyci yli.

– To zemsta za mier moich rodziców. Spojrzał na ni łagodnie.

– Przysi gam, e wróc na czas rozwi zania. – Schylił si i pocałował j w usta.

W jego bezgranicznej czuło ci było co , co j odpychało. Odwróciła głow .

– Pozdrów ode mnie Jankesów, Angoli i generała de Gaulle’a – rzuciła na po egnanie.

Pokojówka miała tego dnia wychodne. Zachwycona wczesnym dzwonkiem z sypialni, pulchna kobiecinka pognała na gór ze niadaniem na tacy. B dzie wolna przed ósm .

Apatia, gn bi ca w ostatnich tygodniach Gilberte, znikn ła jak r k odj ł. Płon ła patriotyczn gor czk , o któr nigdy si nie pos dzała. Ju wkrótce run poni aj ce swastyki, ju wkrótce z powrotem załopoce *tricolore*.

Wkładaj c biało-zielon sukni ci ow , zaprojektowan dla niej specjalnie przez Patou, kr ciła gałk radiodbiornika. Radiostacje kontrolowane przez Niemców nie wspominały o desancie, a BBC tak zagłuszano, e nie mo na było zrozumie ani słowa. Gilberte rozpiearała energia. Postanowiła , przej si po ogrodzie. Kiedy wychodziła z sypialni, dobiegł j ryk radia z pokoju Hocherera. Po ród trzasków wyłowiła głos BBC. Kto ze słu cych specjalnie dla niej nastawił radio na pełen regulator. Trzaski umilkły na chwil . Rzeczowym głosem z ameryka skim akcentem przedstawił si dowódca zjednoczonych sił alianckich. Jankes o

niemieckim nazwisku, Eisenhower – przemknęło jej przez myśl.

– Obywatele Francji! – przemówił Eisenhower po angielsku.

– Ponieważ desant rozpoczął się na waszej ziemi, tym więc kształcie ma mój apel, który kieruję do pozostałych narodów Europy Zachodniej. Stosujcie się do instrukcji... przywódców... cywilny zryw narodu francuskiego może zapobiec...

– Głos Eisenhowera zatonił w morzu trzasków.

Na parterze ryczało kilka radioodbiorników.

– Lądowanie jest zaledwie fazą wstępnej... kampanii... czekajcie na walki...

Gilberte wyszła do ogrodu. Radosny nastrój przyszedł bezpowrotnie. Radia włączone na cały regulator przypominały jej, że jest samotna w rodzinnym domu, która zawsze nie pogardzała, a teraz dodatkowo darzyła potęgą. Wiedziała, że z ukrycia ledzi jej reakcje. Z dumnie zadartymi głowami przechadzała się starannie zagrabionymi ciętkami. Dwa potężne buki cięte na opał, owalny trawnik, na którym jej matka wydawała *garden parties*, był teraz obsiany salatem i piętrem cym grozkiem.

Przysłoniła oczy dłońmi i spojrzała w niebo. Nad głowami, z rykiem silników, przeleciała formacja Messerschmittów, kierując się w stronę Normandii. Hoche, niestety, miał rację. Była jego kochanką – klęska Niemiec pozbawiła Gilberte jego ochrony. We własnym interesie powinna kać demu samolotowi wybrać szczytliwej drogi, tymczasem wybrała im rychłego kołosa w płomieniach. Ryk samolotów umilkł. Z ciszy wyłonił się stukot sekatora. Szczęśliwy ogrodnik przycinał żywopłot, nie spuszczał z niej zmierzających ze starożytności. Nie zwracając na niego uwagi, przechadzała się dalej... Poczowała w brzuchu tępe ukłucie, nie zwolniła jednak kroku.

To chyba nie są bóle porodowe – uznała, kiedy skurcz minął. – Termin mam wyznaczony dopiero na dwudziestego czwartego czerwca.

Nie zdradzała wielkiego zainteresowania swoim stanem, a lekarz, pruderyjny i zakłopotany, nie zachęcał jej do pytania. Po dziesięciu minutach dziwne uczucie powtórzyło się. Zawróciła do domu. Stary ogrodnik odprowadził ją wzrokiem, szczerząc sztuczny uśmiech.

Koło południa skurcze zaczęły regularnie powracać. Nie mogła się dłużej oszukiwać, że nie wie, co jej jest. Zaczynał się poród. Zadzwoiła po służbę. Zwykle kiedy nie było małej bretońskiej pokojówki, na zawołanie przychodziła sama ochmistrzyni, *madame Bolee*. Tego dnia jednak nikt się nie zjawiał. Na parterze radio ryczało w dalszym ciągu. Rozpoznała głos z amerykańskim akcentem – prawdopodobnie powtarzano w kółko to samo nagranie. Podniosła słuchawkę. Wszystkie linie były bez przerwy zajęte. Dopiero po godzinie dodzwoniła się do gabinetu doktora Behna. Telefon odebrała Francuzka, która poinformowała Gilberte, że lekarz znajduje się w drodze do Normandii. Gilberte przedstawiła swoją sytuację.

– Wydaje mi się, że nasi lekarze są wystarczająco kompetentni, żeby odebrać poród, *mademoiselle* de Permont – oznajmiła kobieta, dobitnie trzaskając słuchawką.

Bóle przybierały na sile i czystość. Wbijając paznokcie w dłonie, żeby powstrzymać się od krzyku. Koło piątej po południu z ręką ciekła jej krew. Zastanawiała się, czy nie zejść na dół i kategorycznie zażądać pomocy – w końcu, mimo tego, co się działo w Normandii, Paryż nadal był w rękach Niemców. Jednak ani rosnące przerażenie, ani straszliwe mrocznienie

porodu nie były w stanie wymazać przeszłości. Jak daleko sięgała pamięć, zawsze była przedmiotem pogardy służy, jak daleko sięgała pamięć, odmawiała im – i nie tylko im – prawa oglądania swojej słabości.

Odszukała w paryskiej księgarni telefoniczny numer do doktora Descourset. Linie nadal były zajęte. Zaczynała już zniechęcać się, kiedy się w końcu dodzwoniła.

Wyjechała, a jej osobisty lekarz wyjechał z Paryża.

Doktor Descourset milczał. Może liwe, ale widział już jej zdjęcie w jednym z numerów „L'illustration”. Sfotografowano ją podczas otwarcia sezonu na torze wyścigowym w Longchamps. Kiedy w Paryżu zdawał sobie sprawę, że tak elegancka, rzuciła się w oczy dziewczyna może być tylko kochanką Niemca albo kolaboranta na wysokim stanowisku.

– W tej sytuacji rozglądam się za jakimś lekarzem – podsumowała cierpko, po czym zakryła słuchawkę dłonią, aby nie usłyszał jej jęku.

– Jestem zaskoczony, że zdecydowała się pani na dziecko – powiedział w końcu.

– Postanowiłam nie gwałcić natury i... – Przerwała. Nie była w stanie mówić. Szarpnął ją ból tak ostry i przewlekły, że spłynęła potem. Kiedy ustał, spytała jakby nigdy nic: – He zajmie panu dojazd?

– Bóg musi podjechać metrem – oznajmił lekarz po długiej chwili ciszy.

– *A bientôt* – zakończyła rozmowę.

Przebrała się w koszul nocną, przyjmując kolejne bóle w łokciu lub na stojąco, jednak żadna pozycja nie przynosiła ulgi. Nie była w stanie dłużej się hamować – słuba z pewnością doskonale słyszała jej krzyki. Skrzekliwym głosem wzywała pomocy ojca, błagała Quenta, aby ją zabrał z tego domu, ani razu jednak nie wymieniła Hocherà. Miotła się w konwulsjach, zostawiając na haftowanej ramiączkami zakonnicy po cielej matki ślady potu i uryny. Dochodziła północ, kiedy poczuła, że coś rozdziera jej odbyt.

– Umieram – zaczęła krzyczeć. – Umieram...

Przez nieprzytomny koszmar dotarł do niej smród fekalii. Wypróbowała się. Przecież bezwiednie, zemdląca.

Kiedy zaczęła odzyskiwać przytomność, usłyszała głosik przypominający miauczenie kociaka. Uniosła z wysiłkiem głowę, zastanawiając się, w jaki sposób kot mógł się dostać do jej pokoju. Pomiędzy jej udami leżało, wierzgając niechudziutkimi nogami, czerwone od krwi stworzonko. Chciała wyjść niemowlę z nieczystości, ale dosięgała jedynie liskiego, pulsującego ciemienia. Otworzyły się drzwi...

– *Mon dieu!* – wyjąkał doktor Descourset, podchodząc po piesznicy do łóżka.

– Czy... czy wszystko w porządku? – wyszeptowała.

– *Mademoiselle* de Permont, ma pani syna. – Otworzył swój torbę i przecięł powięź. Miauczenie przybrało na sile. – Byłbym wczynie, ale Niemcy zrobili łapanie na mojej ulicy. Przeczyszywali dokumenty z nieludzką dokładnością. Szalenie zaniepokojeni inwazją.

– Czy jest zdrowy?

– Zdrowszy i większy niż jakiegokolwiek niemowlę, które ostatnio odbierałem. Słyszysz pani, jakie ma mocne płuca. – Nacisnął dzwonek. – *Mademoiselle*, przecież w domu jest słuba. Dlaczego nie wezwała pani którejś z kobiet?

Milczała.

– Kr ci si tutaj tłum słu cych – łajał j . Rozległo si dyskretne stukanie do drzwi. – Prosz – zawołał niecierpliwie. – Prosz przynie miednic letniej wody! Mydło! Czyst po ciel!

Przymkn ła oczy, zbyt słaba, eby wykona jakikolwiek ruch, za enowana, e le y we własnych nieczysto ciach.

– Mój Bo e, przecie pani ma krwotok! – dotarł do niej podniesiony głos lekarza, kiedy ucichły kroki słu cej.

Zacz ł j bada od wewn trz. Pod jego dotykiem wydała z siebie przeci gły skowyt i ponownie zemdląa.

Min ło sporo czasu, zanim odzyskała przytomno .

Pulchna pokojówka wróciła ze zmian po cieli, lekarz pakował instrumenty do torby.

– *Mademoiselle*, tego rodzaju zabiegi zwykle wykonuje si na stole operacyjnym – wyja nił.

– Dzi kuj – wyszeptaa spierzchni tymi wargami.

– Dobrze, e chocia udało mi si zatrzyma krwotok.

Po jego wyj ciu pokojówka obmyła g bk całe ciało Gilberte, machaj c nad ni płon cymi zapałkami, eby usun przykre zapachy.

Na samym ko cu podała matce do r k owini te w czysty flanelowy r cznik niemowl .

Male kie, zaci ni te pi stki przebierały w powietrzu, czerwona, pomarszczona buzia wykrzywiła si w dorosłym ziewni ciu. Kiedy oczy, z których ka de patrzyło w inn stron , zatrzymały si na twarzy Gilberte, jej poranionym, bolesnym łonem targn ło nieznanne uczucie.

Mi dzy ni a niemowl ciem zadzierzgiwały si wi zy krwi.

Ann i Larry Londyn i Pary 1944

Dwudziestego szóstego sierpnia tysiąc dziewięćset czterdziestego czwartego roku podporucznik Larry Porter uważył, że powinien iść z tłumem zgromadzonym w apartamentach hotelu Dorchester. Larry przydzielony w Biurze Informacji Wojennej do wydziału informacji publicznej brał czynny udział w przygotowaniu całej gali. Głównie mówiło się o tym, że impreza miała umożliwić amerykańskim korespondentom wyścig informacji na temat wyzwolenia Pary, wydarzenia, które miało miejsce poprzedniego dnia. Przy jednym z pokrytych obrusem stołów trzech kaprali po piesznie raczyło się Johnnie Walkerem, I. W. Harperem i szampanem. Na drugim stole poniewierały się szczytki wędzonego szkockiego łososia i szynki z Yorkshire. Larry słono przepłacił te dobra na czarnym rynku, zresztą zdobycie ich samo w sobie graniczyło z wyczynem. W miłych pogratulował sobie dekoracji z młodych kobiet w dopasowanych mundurach WAC-u lub w luźnych letnich sukienkach w pastelowych kolorach. Jego uwagę przyciągnęła ubrana w ółt sukienki nowo przybyła o krótkich kasztanowych włosach. Stała odwrócona plecami do Larry'ego. Niezbyt wysoka, ale – na tyle, na ile mógł się zorientować – pierwsza klasa. Stała w towarzystwie wie o mianowanego pułkownika o wypiętej piersi i czerwonych naszywkach Sztabu Generalnego; znanego spikera CBS, Edwarda R. Murrowa; gościa o obwisłych ramionach pracującego dla manchesterskiego „Guardiana”, wreszcie – siwowłosego generała z jednogwiazdką, Harolda Mannbca z oddziałów zaopatrzenia. Wyglądało na to, że dziewczyna coś im opowiada. Słuchając z wyjątkową uwagą, jak wzbudzała jej opowieść, Larry wnosił, że jej twarz dorównuje figurze. Czy była dziewczyną któregoś z tych facetów? Londyn pokał w szwach od atrakcyjnych kobiet, niestety, wiążąc z nich była zajęta przez starych pierdzieli na stanowisku, jak ci czterej. Uniosła rękę i błyskawicznie opuściła w dół, niewątpliwie ilustrując point dowcipnej opowieści. Słuchacze ryknęli śmiechem.

Tercet złożył on z podoficerów przystąpił do wykonania utworu *A Nightingale Song in Berkeley Square*. Dziewczyna odwróciła się. No, może nie dałby jej pić z plussem, ale te nie wyrzuciłby jej z łóżka. Dzierlatka. Wielkie ciemne oczy i łagodne, zmysłowe usta.

Niepewnie zerknęła na Larry'ego. Uśmiechnęła się lekko. Odpowiedziała promiennie, gorącym śmiechem. Rzuciła parę słów gromadzie zalotników i wymijając grupki podpitych gości, ruszyła ochoczo w jego stronę, jakby dostrzegła starego przyjaciela.

Czy to była jedna z tych Angieleczek, z którymi przespał się po jakiejś pijackiej prywatce? Niemożliwe, nawet po pijaku nie zapomnieliby takiej dziewczyny.

– Larry Porter, chyba się nie myli – powiedziała.

Musiał się pochylić, aby ją dosłyszeć. Była Amerykanką, jednak jej akcent miał jak szczególnie przyjemny dla ucha miękkość.

– Pozwól, że zgadnę. – Pstryknęła palcami. – Dwa tygodnie temu na przyjęciu dla królowej holenderskiej.

- Nie. Pary w czasach, kiedy jeszcze chodziło w trenczu.
 - Rany Julek! Ann! Ann Blade, dobrze zapami tałem?
 - Blakely.
 - Blakely, Blakely, Blakely. Teraz ju z pewno ci nie zapomn . Dziewczyno, ale ty wydero lała . Co porabiasz w Anglii?
 - Jestem kierowc generała Mannbca.
 - Dlaczego nie jeste w mundurze?
 - Jestem cywilem – wyja niła. – Nosz mundur tylko za kierownic .
 - Opowiesz mi o tym przy obiedzie. Na razie musz si tu jeszcze troch pokr ci . Mam nadziej , e jeste dzisiaj wolna.
 - Da si to jako załatwi – odpowiedziała po chwili wahania.
 - Masz randk z którym z nich? – Zerkn ł na podstarzałych wielbicieli.
 - Mo na to tak nazwa . Na szcz cie generał Mannbc to stary pocziwina. Na pewno zrozumie.
 - Na wszelki wypadek powiedz mu, e jestem twoim dawno nie widzianym kuzynem. – Pochylił si i zło ył na jej czole braterski pocałunek. Kasztanowe włosy Ann, pachn ce niedawn k piel , mieniły si br zem, złotem i czerwieni .
- Godzin pó niej zaprowadzono ich do naro nego stolika w załoczonej restauracji hotelu Connaugh – Mannix zrzekł si swojej rezerwacji na rzecz „kuzyna” Ann. Larry rozgl dał si po lokalu z uznaniem. Rzadko widywano tu podporuczników. Obecni na sali m czy ni nosili przepasane wst gami mundury wysokich rang oficerów wszelkich mo liwych sprzymierzonych armii. Kobiety z kolei, z upi tymi wysoko włosami, w lu nych, jaskrawych przedwojennych sukienkach, wygl dały jak gromada rozdokazywanych nimf. Podniesione głosy bez ko ca powtarzały historie o wyzwoleniu.
- S dziwy kelner zawisł nad ich stolikiem.
- Ann, czego by si napiła? – spytał Larry.
 - Ci gle jeszcze mi szumi w głowie po tym waszym przyj ciu – przyznała si . – Dzi kuj , nie mam na nic ochoty.
 - Musisz, inaczej nie uczysz wyzwolenia Pary a! Kieliszek tarniówki dla pani i whisky z lodem dla mnie. Czy twoi rodzice wrócili... zaraz, gdzie to było? Do Kansas?
 - Do Wisconsin. – Przestała si u miecha . – Nie. Utkn li pod okupacj niemieck . Kiedy odje d ał poci g ewakuacyjny, matka miała influenc i była zbyt chora, eby podró owa .
 - Hej – wymamrotał przepraszaj co. – Chyba władowałem si tam, gdzie nie trzeba.
 - Dostałam od nich kartk przez Mi dzynarodowy Czerwony Krzy . – Przetarła oczy pi ci jak małe dziecko. – Nie wiedzieli, gdzie mnie szuka , wi c napisali do kuzynki mojej matki w Racine, a ona przesłała kartk dalej. Pisz , e dobrze si miewaj , ale adres został specjalnie zamazany. Larry, Niemcy zapowiadali, e b d nas internowa w hotelu. Je li to prawda, to czemu cenzura wykre liła adres?
 - Jaki durny Szkop musiał si kropn – pocieszył j serdecznym tonem.
 - Kartka przysłała ponad rok temu. Wysłałam setki listów przez Czerwony Krzy .

Wszystkie odesłano mi z pieczętką „adresat nieznanym”.

Alkohol poprawił im trochę nastrojów.

– Za Miasto wiało – wznosił toast Larry – nareszcie wolno. – Stuknął się z Ann kieliszkiem. – Miała mi powiedzieć, w jaki sposób wylądowała w Londynie.

– Ojciec Dejong miał siatkę organizując przerzuty. – Zatrzepotała rękami.

– Zaraz, zaraz. Czy myślimy o tej samej osobie?

– Owszem. Sam mnie przeprowadził.

– A niech mnie. Quent?

– Współpracował z francuskim ruchem oporu, był w oddziale specjalnym Billa Donovana.

– Bohaterski wyczyn miała z OSS.

– Pracował z nimi, jeszcze zanim powstało OSS. – Nachyliła się przez stolik. – Ty nie miałaś żadnych wiadomości od niego?

– Ani słowa, ale musisz mi coś powiedzieć. Kumplowali my tylko w hotelu Pyramide. Nie poruszam się w tych samych kręgach... wiadomo, kim jest jego ojciec, a mój tata jest tylko skromnym podrednikiem Onyxa.

Hal Porter istotnie brał w komisję prywatne samochody od vanuyskiego Onyxa; w latach kryzysu z najwyższym trudem utrzymywał się na powierzchni, sprzedając od czasu do czasu rozklekotanego gruchota. Już jako mały chłopiec Larry postanowił zostać członkiem klasy posiadającej. Studiował jej obyczaje w kinie, gdzie się dowiedział, że bogaci do obiadu siadają w smokingu, rozbijają się odkrytymi samochodami, łamiąc wszelkie przepisy, upijają się elegancko – i w przeciwieństwie do jego taty – nigdy potem nikogo nie biją; wreszcie, kosztujący niewiarygodnie pieniądze dziewczęta. Spotkanie z Quentem Dejongiem było dla Larry’ego rozczarowaniem. Właściwie poza pewnym dystansem nie można było nic zarzucić, jednak ze słynnych uroków paryskiego *highlife* korzystało wiele bardziej powściągliwie niż Larry.

– Miałem wrażenie, że się ze sobą przyjańcisz – zauważyła Ann.

– Mam już taką naturę, że się potrafi przyp... wybaczyć moją francuszczyznę, zaprzyjają mi z kądym. – Umilkł, kiedy kelner z płamami w trobianym na dłoniach zaczął nakładać pasztet firmowy, zapewne z puszkki. – Ty nie miałaś od niego żadnych wiadomości?

– Ani słowa – powiedziała bawąc się nieproporcjonalnie dumą, jak to w Anglii, no em.

– Zostawmy wobec tego przeszłość w spokoju i omówmy sytuację na dzień dzisiejszy – zaproponował. – Patrz na twój palec serdeczny, widzisz, że jeszcze nie zarzączyła się ze mną ani nie wyszła za mnie za mąż, mimo że jednak jesteś z kimś związana?

Odkroiła pasemko pasztetu. Czekając na jej odpowiedź z zapartym tchem.

– Nie... – wybrała w kość.

– Doprawdy, co za zbieg okoliczności. – Szczerzył się by w uśmiechu, skinął na kelnera. – Ja również jestem bezdomny i wolny jak ptak.

Odprowadził ją do domu przez Hyde Park, w którego mrocznych zakamarkach roiło się od zakochanych par. Właściwie mijali osłonę przeciwlotniczą, kiedy ziemia zadrała pod ich nogami, a od strony Kensington Gardens doszły odgłosy potężnej eksplozji. Kolejny nie

naprowadzany pocisk V-1 o napędzie odrzutowym, tak zwana latająca krowa – nowa cudowna broń z arsenału Hitlera – sforsowała system obronny na wybrzeżach Anglii, by posiąść w Londynie bezwzględne zniszczenie. Po paru minutach wybuchł pożar. Za chwilę pracownicy służb ratunkowych rzucili się, by wydobywać z ruin zabitych i ocalałych, jednak twarz Ann w blasku płomieni nabrała różu, który Larry'emu przywołał wspomnienia przyjdą na myśl, hotdogów, spienionego piwa, podmacywanych dziewcząt... Ann, która w połowie obiadu przerzuciła się ze smutnej opowieści o rodzicach na anegdotki o swoich przygodach w służbie generała Mannixa, patrzyła na lunetę, z powrotem popadła w zamyślenie.

Mieszkała przy Polkington Place, niedaleko Albert Hall. U wlotu jej uliczki ziała wielka wyrwa. Wiatry i gruz i prowizoryczne ogrodzenie okalały wypalony budynek naprzeciwko jej domu.

Weszli na schodki osłonięte workami z piaskiem.

– Weźmiesz mnie na górę? – spytał łapiąc ją w pasie.

– Przykro mi – wybrała krótko przez co głowę. Uliczką przejechał jeep. Z nadejście cimer pocisków zdalnie sterowanych zelały przepisy dotyczące zaciemnienia. Zezwolono na słabe światła przednie w samochodach. Błkitny cieprzemysł przemykał przez twarz Ann odsłonił wyraz gęboki smutku, który wzruszył Larry'ego, chociaż przed chwilą dostał kosza.

– Dobrze zapamiętaj tę datę: dwudziesty szósty sierpnia – powiedział muskając wargami jej czoło. – To jest dzień, w którym Lawrence J. Porter, oficer i dyplomata, zakochał się w tobie.

Ann dzieliła pokój z dwiema dziewczynami ze służby koordynujących (JSO). Mówiła jednej i drugiej służyła w marynarce na Pacyfiku, dziewczęta były zdecydowane za wszelką cenę wędrować na najwysze szczyble w organizacji działań wojennych na terenie Europy. Wpadały i wypadały po to tylko, żeby zmienić ubrania i przejrzeć pocztę. Dziś, jak zwykle, Ann miała pokój wyłącznie dla siebie.

W łóżku skrzywołała ręce na piersi i pogryzła się w rozmyśleniach o Ouentie. Teraz, kiedy ci głębszy się o Francji, myślała o nim stale.

Ostatni wiadomo od niego dostała na Boże Narodzenie.

Był i przebywał na wolności. Sprawdził to dla niej sam generał Mannix, a z OSS potajemnie doniesiono jej, że kapitan Dejong w dalszym ciągu przekazuje zaszyfrowane informacje. Spotkanie z Lanym Porterem obudziło w niej nadzieję, że dowie się czegoś więcej. Tylko z tego powodu pozwoliła mu się zaprosić na obiad – potem czuła, że jest podstępna i niegodziwa.

Westchnęła w ciemnościach, przywołując w pamięci portret Larry'ego. Zaczepny uśmiech i kosmyk jasnych włosów opadający na czoło. Bez wysiłku prowadziła z nim artowliw rozmowy, ani na chwilę nie przestając snuć smutnych rozważań na temat rodziców i Ojuenta.

Obróciła się na bok w wąskim łóżku.

Ouent...

Dlaczego do niej nie pisze?

Czy nie wolno mu prowadzić prywatnej korespondencji?

A może chciał zakochać się w ich wojenne interludium w sposób stary jak wiat, po prostu znikając z jej oczu?

Chociaż Ann ufała ludziom, to fortuna Jasona Templara tworzyła tak przepaść, jakby wylądowali na różnych planetach, coraz częściej więc skłaniała się ku drugiej hipotezie. Dla Ojenta przestała już istnieć. Jak długo mogła się pocieszać przywołując w pamięci jego miłosne wyznania? Ich wspomnienia wytarły się i zużyły, nawet wspomnienia przysięg, które jej składał w Greatleigh, w hrabstwie Sussex. Greatleigh...

Dziesięć miesięcy wcześniej w wilgotny październikowy wieczór Ann prała wlaśnie po czochy ze sztucznego jedwabiu, kiedy dobiegło jej nawoływanie posługaczki.

– Panno Blakely, kochaniutka, telefon do pani!

Przypuszczała, że wzywa ją generał Mannix – z jakich powodów w służbach zaopatrzenia najwiskuszy ruch robił się zawsze koło północy – chwyciła podręczny notatnik, aby zapisać adres, pod który ma się udać, i zbiegła po schodach do telefonu.

– Ann? – rozległ się w słuchawce głos Ojenta. – Mówi Quent. Upuścił notatnik. Serce zaczęło jej bić jak oszalałe. Nie słyszała jego głosu od ponad półtora roku, od pamiętnego deszczowego popołudnia w Bernie. Wprawdzie jego listy pisane wielkim, stanowczym pismem, przekopiowane z mikrofilmów, docierały do niej specjalną pocztą po kilka naraz, jednak przerwy między kolejnymi przesyłkami robiły się coraz dłuższe. Jej listki o Ojenta – a na zasadzie sprzeczki psychologicznych, tak o rodziców – zaczęły się pogłębiać. Musiała wkładać sporo wysiłku w zachowanie pogodnej twarzy.

– Ann?

– Jestem. – Głos z trudem wydobywał się z jej gardła. – Gdzie jeste?

– W Londynie. Mam dzisiaj złożyć raport, po którym dostanę przepustkę na dziesięć godzin. Jest taki domek w Sussex. Myślisz, że udałoby ci się wyrwać?

– Chyba tak... Cudownie!

– A twój generał? Nie będzie ci stawiał przeszkód? – Znał Mannixa z listów Ann.

– Na pewno zrozumie.

Mannix, który nieustannie obsztorcował ją, nie uprzedził odmawiając randek, łamał serce całego sztabu, zataił rękę, kiedy powiedziała mu, że do Londynu przyjechał jej chłopak.

– Nie widzę żadnych przeszkód, kochanie – uspokoił ją.

– Swoją drogą musi to być niezły chłopak.

Na stacji za kierownicą Rolls-Royce'a rocznik 1926 czekał na nich wylasty staruszek. Samochód miał w sobie coś z wielkiej łodzi. Wiejski drogą wiozł ich do murów posiadłości. Zatrzymali się przed potężną bramą wjazdową, ozdobioną wyciśniętymi blankówkami. Quent zapowiedział, że zamieszkać w domku. Odwróciła się do niego z pytającym spojrzeniem.

Patrzył w zachwycie na jesienne drzewa. Na ramionach czerwonej bluzy od munduru połyskiwały nowiutkie naszywki kapitana. Mundur wydawał się zbyt obszerny. Kiedy Quent stał bokiem do Ann, wyraźnie widziała zmarszczki w kącikach jego oczu – pojawiły się nowe. Powoli zaczęło do niej docierać, że był – nawet jak na siebie – niezwykle małomówny. Zauważyła to dopiero teraz, bo w pogotowie nie było miejsc siedzących, i cała droga przestali na

korytarzu wśród pijanych amerykańskich lotników, którzy puszczały do niej oko, podiewiali: „Małe, duży, chude, grube jednakowo wszystkie lubi”. Teraz milczenie uznała jednak za bardzo złe. Poczuli się odrzucone. Wjechali na szczyt pagórka. W głąb szczytu rudych buków stał dwór porożnięty wiekowym bluszczem, fantastyczny wytwór wiktoriańskiego gotyku. Nagle z parapetu zerwało się stado synogarlic, tworząc w powietrzu powitalną wstęgę.

– Jak tu cudownie – wykrzyknęła. – Ale zdawało mi się, że mieliśmy zamieszkać w jakimś domku.

– Nie zdawało ci się. Ten budynek należy do szkoły. Rolls bez pośpiechu wzięła zakręty. Spostrzegła małych chłopców biegnących przez boisko do rugby. Samochód zjechał ze wzgórza i okrążył dwór, który z bliska sprawiał przytłaczające wrażenie. Po kilometry czy dwóch zobaczyli niewielki domek kryty słomą.

– Mam nadzieję, że będzie pan zadowolony z pobytu, kapitanie Dejong – powiedział szofer, powolutku zatrzymując samochód. – O ile wiem, pani Caldwell przygotowała dla państwa herbatę.

Weszli prosto do długiego pomieszczenia z niskim, belkowanym sufitem. W kominku trzaskała polana, podarte tapicerki na meblach pokrywały spłowiałe narzuty z wzorzystego perkalu, w wielkiej misie od Wedgwooda ktoś niewprawnie ułożył bukiet chryzantem. Cały pokój wyłożony był półkami. Stare i nowe książki stały wciśnięte jedno obok drugich, stosy pi trzyły się na stołach i stolikach, a na oparciu sofyleżała porzucona otwarta książka w języku greckim.

Ann podała herbatę, w zapchanym książkami pokoju czuła się jak karykatura Mrs Miniver. Chociaż była bez śniadania i lunchu, ci nie tyłdek odmawiał przyjęcia cieniutkich kanapek posypanych rzemiechami i plastrów ciasta ponczowego. Quent również prawie nie jadł.

Wszelkie wysiłki zmierzające do nawiązania rozmowy z Ouentem spełziły na niczym.

– Quent, nie gniewaj się na mnie.

– O co? – spytał podnosząc na nią zapatrzone w płonący kominek oczy.

– Za to, że tak paplam bez składu i ładu. Mogę wrócić wiecznym pociągami do Londynu.

– Naprawdę chcesz wyjechać?

– Nie chcę. Ale, skoro tak... – Wzruszyła ramionami.

– Nie jestem zbyt błyskotliwym rozmówcą, nie uważasz?

– Wiem, że to nie moja wina?

– Bo nie wiemy ty, brałaś to cały czas do siebie?

– Co za idiotka ze mnie! – Roześmiała się z ulgą. – Oczywiście, że brałam to do siebie.

– Bez sensu. To ja jestem wszystkiemu winien. Słuchaj, nie wiem nawet, kim jest ten „ja”.

– Było wam bardzo ciężko?

– Niektórym tak.

– Masz ochotę o tym opowiedzieć? Potrzebuję głowę.

– Już raz zdałem słubowy raport – powiedział zaciskając pięści.

– A może tak oprowadziłby mnie po domu? – Zarumieniła się. Ślony sweterek, który jej przysłał do Szwajcarii, doskonale harmonizował z rumieńcem. – Chodźmy na górę.

– Jak dotąd, to najlepszy pomysł.

Zapadał zmierzch. Wskie okienko na półpiętrze nie przepuszczało prawie wiatła na nierówne, skrzypiące schody. Kiedy dochodzili na górę, Ann potknęła się. Quent, który szedł za nią, przytrzymał ją w pasie. Zadrżała, a potem wstrzymała oddech, kiedy jego dłoń zsunęła się na jej biodro. Odwrócił ją twarzą do siebie. Nigdy jeszcze tak wyraźnie nie odczuwała jego obecności. Pachniał w niepowtarzalny sposób, jego potne ciało emanowało ciepłem. Widziała kontur jego sylwetki, wilgotny blask w oczach...

– Ann... myślałem o tobie aż za dużo.

Odebrała jego słowa jako prośbę i przeprosiny – przeproszał ją za to, co wojna z nim zrobiła, prosił, żeby zaakceptowała go takim, jakim był.

– Ja też bez przerwy myślę o tobie – wyszeptała drżącym głosem. – Szalałam z niepokoju.

Mimo że okna sypialni były zamknięte z powodu jesiennych chłódów, od przeciwnych stron wiały kwieciste firanki. Stare wysokie sosnowe łóżko było wciąż zasłane. Z powietrza unosił się zapach suszonych płatków kwiatowych. Nagle przypomniał jej się słodki zapach siana i krów na stryszku szopy. O mało nie przyplacili mu wyciem z Saleve. Ile razy jeszcze Quent był na krawędzi śmierci? Wziął jej dłoń i przyłożył do swojej piersi. Poczuli pulsujące, żywe serce.

Zaczęła zdejmować przez głowę puszysty ślony sweterek, odsłaniając starannie odprasowane halki ze sztucznego jedwabiu. Z dala dobiegły jej słodkie głosiki dzieci śpiewających piosenki, której nie umiała rozpoznać. Nie odrywał wzroku od Ann, Quent uniósł głowę i zaczął rozpinąć guziki bluzy wojskowej. Rozbierali się po piesznice, upuszczając ubrania na dywan i podłogę z drewnianych desek. Poczuli chłód na obnażonym ciele. Odwróciła się do łóżka.

– Zaczekaj – poprosił wpatrując się w nią z natężeniem.

Uciekła wzrokiem w bok, zbyt skrępowana, żeby spojrzeć mu prosto w oczy. W fałdce jej powierzchni wiekowego lustro zobaczyła przy mione odbicie wysokiego, szczupłego, lecz cudownie umińskiego mężczyzny, któremu towarzyszyła kobieta o krótkich włosach – zdaniem Ann, o wiele za niska i zbyt przysadzista.

– Jesteś piękna.

– Podobam ci się nawet z głową i skórą?

Podniósł ją i położył na łóżku, szczelnie okrywając oboje kocami. Kiedy zaczęła się całować, opuścił wszelki wstyd; wtulała się w Quenta tak mocno, że aż cała spotniała.

– Sekundę, kochanie. – Uniósł się i sięgnął po mały przedmiot, który położył na stoliku nocnym. Z rozmów z współmieszkanicami domyślała się, że zakłada przydziałów wojskowych prezerwatyw. Drażniła ją myśl, że oddziela ich cienka warstwa gumy, kiedy jednak w nią wszedł, przeżyła zachwyty, przy którym zapomniwała o całym świecie.

– Ann. Spójrz na mnie.

Oczy Quenta wypełniły pole jej widzenia. W półmroku poszerzone renice niepostrzeżenie przechodziły w ciemność kitne tęczówki.

– Kocham cię – powiedział. – Nie wolno ci w to nigdy wierzyć zwłoka, słyszysz mnie?

– Słysz .

– Jesteś dla mnie wszystkim.

Kiedy to mówił, zacisnęła mocno powieki i Ann zatonała w fali nie kontrolowanych skurczów.

Czekając, aż wróci jej oddech, odgarniał z twarzy Ann wilgotne włosy. Zaczęła się w niej poruszać, najpierw delikatnie, potem coraz bardziej władczo. Wygięła się w łuk, dociskając z całej siły, a chwycił kolejny orgazm, intensywniejszy jeszcze od poprzedniego.

Długo leżeli bez słowa, przytuleni do siebie. Odsunęła się i sięgnęła po papierosa. Było już całkiem ciemno, zmrużyła oczy od jaskrawego płomienia zapalniczki.

– Tu właśnie moi rodzice spędzili miodowy miesiąc. Ten domek jest najstarszym budynkiem w całej posiadłości.

– Czy zamek też należy do was?

– Ten zamek to spełnienie dziecięcych marzeń mojego dziadka, który wyrósł w niedzielnym Liverpoolu.

– Czytałam o nim. Wydawało mi się, że jego ojciec był zamożnym stolarzem.

– Nie miał ojca, a w każdym razie go nie znał. Matka, portowa dziwka, tego porzuciła. Był tak biedny, że nie wiadomo, jakim cudem przeżył. Zawsze głodny, zawsze zziębnięty. Kiedy miał siedem lat, szorował ubikacje. A teraz powiem ci coś, o czym nie pisz w żadnych księzkach. Kiedy miał jedenaście lat, został złodziejem kieszonkowym, żeby uzbierać pieniądze na przejazd do Nowego Jorku pod pokładem. – W głosie Quenta nie było potępienia, tylko gorzki podziw. – Nie znałem starego łobuza ale, jak się łatwo domyślić, po takim starcie nigdy nie miał dosyć bogactw. Nawet *grand-mère* nie potrafiła go powstrzymać. Bez końca stawiał olbrzymie domy i letnie rezydencje w fatalnym guście, które strasznie teraz pustkami i czekają na konserwację. Najbardziej przywiązany był właśnie do Greatleigh. Kiedy Edward VII spędził weekend w Greatleigh. Pomył tylko! Najuboższy poddany królowej Wiktorii podejmował u siebie syna starej monarchini.

– Greatleigh należy do ciebie?

– Nie do końca. Dziadek postanowił rozdzielić swoimi wnukami nawet zą grobu. Jego testament zabrania mi sprzedać Greatleigh. Przekazałem jednak posiadłość na szkołę dla dzieci z najuboższych rodowisk, zastrzegając sobie prawo do korzystania z tego domku.

– Ale przecie kto tutaj mieszka?

– Kierownik szkoły, pan Caldwell, z nim .

– Czy stołmusz się wprowadza ?

– Poprosiłem ich o to pierwszy raz.

Następnego ranka powietrze było czyste i mroźne. Spacerowali po dawnym zwierzyńcu. Wilgotne poszycie z lekkim odgłosem ugięło się pod ich stopami. Złotoczerwone liście szybowały w powietrzu, w zaroślach szeleściły jakieś stworzonka. Quent pokazał jej lądowe lisich łap. Nagle ciszę lasu przecięło niskie buczenie. Dźwięk przybierał na sile, przechodził

w ogłuszający ryk. Nad głowami przeleciały B-17 w bojowym szyku. Quent zatrzymał się, kurczowo zaciskając dłoń, dopóki dźwięk nie ucichł.

– Wracajmy do domu – poprosił.

Kiedy byli już prawie na miejscu, spostrzegła, że intensywnie się w nią wpatruje. Choć jej nie dotknął, poczuła nieprzepartą, gorzką potrzebę zjednoczenia.

– Tak? – spytał niskim głosem, jednak nie dotykał jej nadal.

– Tak.

Nikt z nich nie przeżył – powiedział pod wieczór. Zmierzchało. Siedzieli na dywanie przed kominkiem. – Nikt z tych, z którymi współpracowałem.

– Suzette?

– Suzette – potaknęła z westchnieniem. W jego oczach zaświeciły się czerwone refleksy płomieni. – Jacques w Lyonie, Duhaye w Annecy. Laas. Wszyscy nie żyją. ViVi i André...

– Baron i baronowa de Permont? Chcesz powiedzieć, że oni również przetrzucali ludzi za granicę?

– Nie, nie wiedzieli nawet, że ja się tym zajmuję. Faktem jest jednak, że również nie żyją. Jaknąła boleśnie. Osunęła się spalona kłoda. Syknęły iskry żaru.

– Jesteś pewien?

– Gestapo zamordowało ich w Santé.

– Ale dlaczego? Dlaczego?

– Wyszadzali w powietrze tory kolejowe.

– Gare de l'Est?

– Między innymi. – Znowu kurczowo zaciskał pięści. – Sam dostarczyłem im do tej akcji *plastique*.

– A baronowa...? Quent, nie powiesz mi, że ona...?

– Z materiałami wybuchowymi obchodziła się perfekcyjnie.

– Ostatnia osoba, którą podejrzewałabym o udział w ruchu oporu.

– To właśnie nie była połowa sukcesu. ViVi miała nadludzki tupet. Wszędzie wchodziła frontowymi drzwiami ze złośliwym uśmiechem na ustach, żeby zaraz wymyślić coś niebywale niebezpiecznego. Mam poważne podejrzenia, że w jakiś sposób naprowadziłem gestapo na ich trop.

– Jestem pewna, że to nie ty – po prostu z zapewnieniem Ann.

– Ann, wszyscy, z którymi mnie coś było, zginęli.

– Ale przecież to nie znaczy...

– Zginęli – powtórzył.

– Czy Gilberte... też nie żyje?

– Potem już nie zostałem wysłany do Paryża, więc nie miałem jak się dowiedzieć. – Siedział zgnębiony, z opuszczonymi ramionami.

Nie będnęła się o nic wypytywać – postanowiła Ann. – Gilberte, ach, Gilberte. Pomyśl o tym wszystkim później, kiedy wrócę do Londynu.

W dalszych rozmowach omijali sprawy wojenne.

W drodze powrotnej do Londynu mieli miejsca siedzące. W milczeniu trzymali się za

racie, nie zwracając uwagi na tłum przewalający się za każdym razem, kiedy pociąg stawał na stacji.

Pod bramą domu przycisnęła ją mocno do siebie i odjechał bez pocałunku ani słów pogodynia. Taksówka zniknęła za rogiem szarej, zasypanej gruzem uliczki. Ann odprowadziła ją wzrokiem. Dopiero wtedy zaczęła płakać. Rerwsze łzy wywołane były rozstaniem, potem jednak jej śmiech zwrócił się ku niebezpieczeństwom, jakie ją momentami miały stać udziałem Quenta. Opłakiwała brzydkiego, dzielnego barona i jego piękność, wyzywając go, płakała nad losem pachnącej wodą kolośki Suzette, nad *monsieur* Duhaye wywleczonym siłą z antykwariatu, nad *monsieur* Lassem, który miał włosy Einsteina i przysadziste krowy. Opłakiwała Gilberte, która mogła być równie dobrze żywa jak martwa. Siedziała szlochając na schodkach obłożonych workami z piaskiem, a posługaczka mówiąca z akcentem przedmieścia Londynu zaprowadziła ją na górę.

W listopadzie Quent trzykrotnie przysłał jej po pieśni skreślone liściki, ostatni z okazji wiośni Dziękczynienia. Potem nie przyszło już nic. *Rien, rien, rien...*

Niespokojnie obracała się z boku na bok, snując ponure rozważania nad przewlekłym milczeniem Quenta. Toasty wychylone na bankiecie i w restauracji na cześć wyzwolonego Pary zaczęły jej się dawać we znaki. Zaduch w sypialni pogłodził ją. Pocisk V-1, trafiając przed miesiącem w dom naprzeciwko, spowodował, że w większości domów przy Polkington Place powypadały oklejone taśmami szyby. W sierpniowe upały zabite dyktokłony nie dopuszczały wiejącego powietrza. Zsunęła kołdrę, dalej jednak nie mogła zasnąć.

Pary – pomyślała. – Jeśli dostanę się do Paryża, znajdę ich na pewno.

Dostać się do Paryża, to była jej *idée fixe* podczas lat spędzonych w Anglii; wiedziała, że na pewno znalazłaby rodziców i Gilberte. Dziecinne, magiczne myślenie w czasach wojny nie należało do rzadkości.

W Paryżu, zaczarowanym miasteczku, dowiedziałyby się te, co – a raczej kto – wkroczył między nią a Quenta. Transmisje radiowe wskazywały na to, że był i nie dostał się do niewoli, skoro jednak nie odezwał się do niej przez tyle miesięcy, to należało widocznie *chercher la femme*.

Wstała i przeniosła się na fotel, próbując oderwać myśli od niejasnych, niepokojących okoliczności, w jakich przebywali jej rodzice i Quent. Pomyślała o Lanym Porterze.

Miał piegi i łobuzerski uśmiech drugoplanowych aktorów z hollywoodzkich filmów wojennych; na bankiecie traktował wyższych rangą oficerów z czułością, jak drugorzędny aktor okazuje gwiazdorom. Sypał kartami jak z rękawic i chętnie prawił jej komplementy. Co by nie mówił – jego pogoda była zaraźliwa. Mogła winić tylko samą siebie za to, że nie umiała cieszyć się jak należy wspólnym wieczorem.

Jej serce stale okrywał mrok. Zabroniłam sobie przeżywania przyjemności – pomyślała opierając głowę na pokrowcu fotela. – Chyba już najwyższy czas pozwolić sobie na kilka niezobowiązujących randek, przeżyję coś zabawnego. Lariyemu przecie chodziło o to samo... Kiedy zadzwoni – a nie miała wątpliwości, że zadzwoni – dlaczego nie miałaby się z nim

umówi ?

Zasnęła w fotelu.

Co ci stało z tą przyjaciółką, którą tak przejmowała w Paryżu? – spytał Lany.

– Gilberte de Permont – przypomniała Ann.

Zwolniła przyglądając się srebrzystoszarym zmarszczkom na powierzchni sztucznego jeziora Serpentine. Była to ich pierwsza randka, ale pierwszy raz mieli okazję naprawdę ze sobą porozmawiać. W ciągu ostatnich dwóch tygodni Lany dwukrotnie wzięła ją na spacer po parku w mieszkaniach zaprzyjanych oficerów, do Palladium na rewi *Mus jabłkowy*, wreszcie, ostatniego wieczoru, na szaloną prywatkę w Mayfair, w domu należącej do pewnej utytułowanej Angielki. Następnego dnia, w słoneczną niedzielę, udali się do Hyde Parku zobaczyć kłosa Larry'ego. Na sztucznym jeziorze mężczyźni w mundurach wozili dziewczęta łódkami, z wynajętych łodzi wynajęźniali londyńscy mężczyźni wystawiali twarze do słońca, chłopcy w cerowanych flanelowych szortach spychali kłosa z betonowych nabrzeży, a niemowlę, którego nie ewakuowano z Londynu, rozpięta się dostojnie w wózku pchanym przez przygarbionego starca. W oddali, na prowizorycznym boisku baseballowym, grupa amerykańskich podoficerów obrzucała się sztucznymi sromotnymi.

– Niezła laska, o ile dobrze pamiętam. Kropka w kropkę podobna do Vivien Leigh – stwierdził Larry. – Jej ojciec jest jakimś hrabią.

– Baronem. – Ann odkaśliła. Nie była w stanie powiedzieć, że baron i baronowa nie żyją. – Ostatnio wiadomo o niej miałam właśnie od ciebie. Była w więzieniu.

– Pierwsza zasada wojenna: jak najmniej pytać – mruknął pod nosem Larry. Jak mógł, unikał ponurych stron wojny.

– Kiedy wrócę do Paryża, dowiem się, co się z nią dzieje.

– Nie „kiedy”, tylko „kiedy”? To brzmi tak, jakby stary Mannix szykował się do przekroczenia kanału.

Chociaż w promieniu dwudziestu metrów nie było nikogo, Ann stanęła przed oczami plakat ostrzegający przed niemieckimi szpiegami.

– Kazał mi się spakować – powiedziała szeptem.

– Hmm... – zamyslił się Larry. – Nie w tym, że w Paryżu mamy zapotrzebowanie na mężczyzn tak uzdolnionych jak ja.

– Teraz, po wyzwoleniu?

– Nie wiem, z czego się miejesz. Ktoś by gdzie musiał ruszyć tyłkiem i... – Przerwał. Zerwał się z miejsca i złapał nadlatującą piłkę. Od razu odrzucił ją z powrotem chuderlawemu zasapanemu sierżantowi.

– Niezły rzut, kolego! Po wojnie twoje nazwisko będzie wymieniane przed Musiałem.

Larry pomachał mu wesoło ręką, po czym zwrócił się do Ann.

– Niezły rzut, co? Jak ci się podoba mój pomysł?

– Nie słyszałaś, co mówi? Przecież jest wojna. Nie możesz załatwiać sobie ot tak przeniesienia do Paryża.

– Masz przed sobą człowieka, który niejednego w życiu dokonał.

– To na pewno wielka wygoda mieć kogoś takiego przy sobie – skwitowała.

Zanim domy liła się, do czego Larry zmierza, chwycił ją mocno za ramiona i pocałował w usta. Pilnowała się, żeby go nie prowokowała (tak nazywała pieścizny obejmujące twarz i piersi). Mieli być po prostu przyjaciółmi, a tu nagle on dobiegał do niej w słoneczne, letnie popołudnie na oczach całego Hyde Parku. Próbowła uchylić się przed natręctwem jej zikiem Larry'ego. Z boiska baseballowego rozległ się przecięty gwizd.

– Dobra robota, kolego – wrzasnął któryś z brooklyńskim akcentem.

Równo miesiąc po wyzwoleniu Paryża, dwudziestego piątego września o ósmej rano Ann Blakely wwozła generała Mannixa do miasta.

Dziesięć dni wcześniej wylądowali w Normandii, w prowizorycznym porcie desantowym, konstrukcji nazywanej *Mulberries*. Od tej chwili Ann szalała z niecierpliwością. Mocno dociskając gaz, lawirowała między wyrwami po pociskach, spalonymi wrakami niemieckich i alianckich pojazdów, wzdłuż padlin koni i krów, nad którymi unosiły się brzytce roje much. Ilekroć generał przystawał, żeby przeprowadzić lustrację zaopatrzenia w oddziałach, Ann drapała się do krwi między łopatkami. Za Arronanches zostali ostrzelani ze Stukasów, drugi raz spotkało ich to samo, kiedy zbliżyli się do Chartres. Kryli się po błotnistych rowach, kule wisały im nad głowami. Ann wydawało się, że ataki powietrzne stanowi wyszukany sposób opóźnienia ich wjazdu do Paryża.

Mimo gorczakowego po piechu zdawała sobie sprawę ze swego rozdarcia. Była amerykańską kierowcą w amerykańskim mundurze, jadła i spała z Amerykanami, używała tego samego slangu co oni, a jednocześnie nie, jako rodowita Francuzka, nie mogła powstrzymać łez na widok leśnych odłogiem, zniszczonych ojczystych pól.

Zajeżdżała pod hotel Raphael. Dookoła wejścia łopotały gwiazdzone flagi. (Hotel Raphael – jeszcze przed miesiącem siedziba niemieckiego gubernatora i jego sztabu – przekazano obecnie w szereg oficerom armii amerykańskiej.) Generał Mannix wygramolił się niezdarnie z jeepa. Cmoknął Ann po ojcowsku w czoło.

– Zwalniam cię na resztę dnia, kochanie – oświadczył. – Idź, obejrzyj swoje stare miecze.

Na ChampsElysees *drapeaux tricolores* zastąpiły czerwono-czarne flagi ze swastyką. Słońce po pieśniach czy ni, zamiast szarych mundurów nosili uniformy koloru khaki, samochody wojskowe miały marki angielskie i amerykańskie, jednak nasilenie ruchu nie uległo zmianie. Ann przyhamowała. Młody oficer pędził na ukos przez jezdnię w kierunku chudej, rudowłosej kobiety w krótkiej, obcisłej spódnicy. Kobieta bez trudu mogła być jedną z *putains*, które Ann widziała kiedyś przed odrapanym hotelikiem w towarzystwie niemieckich oficerów.

Jeep Ann był na Rive Gauche jedynym pojazdem mechanicznym. Wymijała rowery, wozy ciągnięte przez wychudłe człapiące szkapki. Sterane kobiety w asyście wynajętych, niespokojnych dzieciaków tłoczyły się w kolejkach przed sklepami. Jeszcze zanim generał von Choltitz podpisał kapitulację, drastycznie obcięto racje żywnościowe; później, wobec postępującej dewastacji rolnictwa i odciętych dostaw, żywność zaczęła ubywać, jak jeszcze nigdy dotąd.

Zwolniła. Była już na Montparnassie. Ze wszystkich stron obiegły ją wspomnienia. Tu, jako pięćdziesięcioletnia dziewczynka, Horace prowadził ją za siodełko chwiejnego rowerka. Tu,

kiedy miała jedenaście lat, Dorothy, starannie unikała tematu miłości, szeptem poinformowała ją, że wkrótce zostanie kobietą. Tutaj wgniotła błotnik w samochodzie ojca, tu z Gilberte doskonaliły techniki flirtu na dwóch chłopcach, których trzynaście młodzieńców czy miała jeszcze tylko przed oczami, natomiast imion nie mogła już wygrzebać z pamięci. Jechała wolno wzdłuż muru cementarza Montparnasse, gdzie wysoki, czarnowłosy Jacques Tinel, paląc papierosa za papierosem, namawiał zadurzonych w nim nieładnych pannic do wspólnej ucieczki z Francji.

Skręciła w rue Daguerre. Przed numerem 74 zatrzymała samochód. Patrzyła na dobrze znaną elewację z cegły i kamienia, nie mogła uwierzyć w upływ czasu... na pierwszym piętrze Dorothy z pewnością pochmurnie roztrząsała kolejne niemieckie zarządzenia... pięć troje jej baron i baronowa de Permont kpiły co analizując pompatyczne komunikaty wojenne drukowane w *Propagandataffel*, a Gilberte w swojej niewielkiej sypialni nanosiła poprawki na szkic sukni balowej autorstwa Ann.

Przygodny przechodzień zatrzymał się, patrzył z zdziwieniem na kobiety w mundurze skulone w szoferce jeepa. Co takiego mogło doprowadzić do łez tych Amerykanki?

Po chwili jakoś się pozbierała.

Wstróżniewca zastała nową dozorczyńnię, bezbrzydki kobietę o czerwonej twarzy. Zjadliwym tonem poinformowała, że nie ma pojęcia, gdzie się podziewa ta stara jędza, Jargaux.

– A kto mieszka w mieszkaniu 2B i 3B? – indagowała dalej Ann.

Dozorczyńnię oświadczyła, że na drugim piętrze mieszka niechlujna wdowa z leniwym synem kaleką, a pięć troje jej pewna suka z pretensjami w towarzystwie dwójki hałaśliwych bachorów.

– Czy miała pani jakieś wiadomości o państwie Blakely albo o *mademoiselle* de Permont?

– O kim?

– Państwo Blakely są moimi rodzicami. Jesteśmy Amerykanami. Zajmowali my mieszkanie 2B. *Mademoiselle* de Permont mieszkała pod 3B.

– Dostosuj się do własnej roboty, abym się jeszcze miała troszeczki o jakichś dawnych lokatorów. Czy *mademoiselle* ma ze sobą sardynki albo jajka w proszku? Mają obrzydliwy smak, ale głodni nie wybrzydzą.

– Bardzo przepraszam. Nie przyszło mi do głowy, aby cokolwiek wziąć ze sobą.

– Sądziła pani, natomiast, że będzie tutaj wystawa całych dzieł i odpowiada na pytania! Amerykanie, niech ich! – Drzwi zamknęły się z trzaskiem.

Zgnębiona ruszyła boulevard Raspail w stronę *clinique*.

Doktor Descourset dowiedziawszy się, kto czeka na niego w tłocznej poczekalni, natychmiast ruszył na powitanie. Przez te dwa i pół roku, kiedy się nie widzieli, przybyło mu dziesięć lat. Włosy i szpiczasta bródka posiwiały zupełnie, zwiędłszy pokrywał go szereg zmarszczek.

– Ann – ucałował ją w oba policzki, spowijając ostrym zapachem ługu do dezynfekcji – wyrosłaś na młodą, uroczą damę. Chodź, porozmawiajmy chwilę. – Zostawił w gabinecie pacjenta, przysiadł więc w oszklonym boksie, gdzie Horace pocił się nad rachunkami.

Niepewnym głosem odważyła się spytać, czy nie widział któregoś z rodziców.

– Horace przyszedł do mnie powiedzieć, że wyjechała do strefy nie okupowanej. – Westchnął. – Przykro mi, Ann, ale potem o żadnym z nich nie słyszałem.

Była przygotowana na taką odpowiedź.

– A może pamięta pan, doktorze, naszych siadów z góry, baronostwo de Permont?

– Taa... słyszałem, że zmarli na tyfus.

– A ich córka? Gilberte? – Ann nachyliła się do lekarza.

– Ta młoda dama bez wątpienia jest w ród wywych. – Wychudzone policzki zapadły się jeszcze bardziej, upodabniając jego twarz do trupiej czaszki. – Nie musisz się o nią niepokoić, powodzi jej się nieźle, poza tym że zgolono jej włosy.

Na terenach wyzwolonej Francji kobiety, które sypiały z Niemcami, golono do skóry, po czym rozbierano i pędzono ulicami.

– Gilberte? Doktorze, pan się musiał pomylić. Gilberte nie mogła być kolaborantką. Jej rodzice walczyli w ruchu oporu, zmarli w Santé, z pewnościami nie na tyfus. Ona też mogła zginąć z rąk gestapo.

– Ann, tłumacz mi przecie, że Gilberte żyje. – Lekarz przechylił się na stołku księgowego i urywanym głosem zrelacjonował starania Gilberte o zabieg, a następnie nagłe wezwanie na boulevard Suchet, do gniazda de Permontów, które zbeczcze ciła. – Przybyłem zbyt późno, żeby odebrać kartę feldmarszałka von Hocherer, ale akurat na czas, żeby pozszywa Gilberte. To chłopiec.

– Nie mogę... nie mogę w to uwierzyć. Gilberte powiedziała panu, że to jego dziecko?

– Nie musiała mówić. Była elegancko ubrana, leżała w wygodnej sypialni. Służąca, która mnie wprowadziła, błąknęła pod nosem, że idę do kurwy feldmarszałka. Ann, to nie jest odpowiednie towarzystwo dla ciebie.

– Gilberte jest moim przyjaciółkiem. – Na policzkach Ann wykwitły rumieńce. – Z tego, co mi pan opowiedział, wnoszę, że musi potrzebować pomocy.

– Lojalność ma swoje granice. Gdyby... to znaczy, kiedy twój drogi ojciec i *madame* Dorothy wrócą do domu, powiedz mi to samo.

Rodzice. Przypomniała sobie, jak siadywali razem w oszklonym boksie. Niemodny kapelusz Dorothy z opadającym rondem pochylał się nad księgami, Horace z żałobnymi rękami czekał pokornie, a ona wykryje, gdzie popełnił błąd w obliczeniach. Ann nie mogła powstrzymać łez.

– No już dobrze, dobrze, dziecinko. – Doktor Descourset poklepał ją po ramieniu. – W sumie z Amerykanami Niemcy obchodzili się nie najgorzej. Zobaczysz, *madame* Dorothy i Horace lada dzień wrócą do domu.

– Sądzi, jakie wiadomości o twoich staruszkach? – zagadnął Larry.

– Robi, co tylko mogę, żeby ich znaleźć.

Była w Paryżu od dziesięciu dni. Od dziesięciu dni wyczekiwała na generała Mannbca przed budynkami, w których w nieskończoność odbywały się spotkania intendenty wysokiego szczebla, od dziesięciu dni odnosiła kolejne porażki w próbach odnalezienia rodziców i Gilberte.

– Jest przecie chyba jaka organizacja, której nazwa składa si ze wszystkich liter alfabetu. Mo e mogłaby si do nich zwróci o pomoc?

– A, tak, STEFMP. Oni wprawdzie pracuj wył cznie dla wojskowych, ale szef załatwił mi u nich audiencj .

– Zdrowie generałów z jedn gwiazdk ! – Larry wzniół w gór szklaneczk bordeaux. Przyjechał do Pary a po południu i natychmiast zarezerwował stolik w w skim bistro, niedaleko Les Halles. Ławy wzdłu stołów zapełnione były m czyznami w mundurach, gdzieniegdzie błyskała kobieca twarz. Tłum gwarzył w dziesi ciu ró nych j zykach, po ywiaj c si nie dopieczonymi *bifeck* i pstr gami w ma le. W czasie kiedy wi kszo paryskich jadłodajni z trudem zdobywała podrz dne ochłapy, znalezienie takiego miejsca – raptem dwie godziny po przyje dzie – było prawdziwym wyczynem, ale te Larry, co nie umkn ło uwagi Ann, miał nieprzewart skłonno do wystawnego ycia.

– O kole ance te nic nie wiesz?

– Ma dziecko, synka, urodziła go w dniu inwazji. – Ann pochyliła si nad *crudites* i z uczuciem nakre liła sytuacj Gilberte.

– Prosto z pudła w obj cia hitlerowskiej szychy! – Larry gwizdn ł.

– A kim ty jeste , eby j os dza ?

– Uspokój si , malutka. Znasz moje pogl dy na te sprawy. wiat nie byłby w takim ałosnym stanie, gdyby walcz cy po obu stronach pieprzyli si regularnie. – U miechn ł si kwa no. – Chyba b d musiał zło y podanie o godzink czy dwie z pułkowym psychiatr . Chciałbym omówi z nim fakt, e zadurzyłem si w ostatniej dziewicy obu kontynentów.

Ann zagryzła *pomme frite*. Nigdy nie usiłowała wmawia Larr/emu, e jest dziewic . On jednak brał jej niewinno za fakt oczywisty. Nie wiedziała, w jaki sposób mogłaby pozbawi chłopca złudze , nie rani c go przy tym – chyba e poszłaby z nim do łó ka. Za bardzo lubiła Larryego, eby mu robi przykro , za bardzo kochała Ojuenta, eby sypia z innym.

– My lisz, e została w Pary u? – wypytywał Larry.

– Nie wiem. Pani sier ant z WAC, która w ramach STEFMP prowadzi poszukiwania moich rodziców, obiecała, e spróbuje si czego dowiedzie . Była przy tym wyniosła i pełna pot pienia.

– OWI ma swoje kanały. Poza tym mam przyjaciół w Pary u.

– Chcesz powiedzie , e spróbujesz mi pomóc?

– Twoi staruszkowie s w r kach szkopów, wi c nie wiem, czy naszym dzielnym psom go czym uda si cokolwiek wyniucha . Ale mog si dowiedzie , jak stoj sprawy z Gilberte.

– Och, Larry...

Uniósł r k , hamuj c jej entuzjizm.

– O wdzi czno ci porozmawiamy w nocy – oznajmił z lubie nym u mieszkciem.

Cały weekend wiały arktyczne wiatry. Trzy dni po przyje dzie Larry’ego Ann odwiozła Mannbca na konferencj do Marris, a sama, w towarzystwie dwóch ameryka skich kole anekszoferów, udała si do pobliskiego baru, gdzie nad fili ankami cafe noir, czytaj – ameryka skiej kawy instant – schroniły si przed lodowatym wiatrem. Kto zastukał w okno. Odwróciły si . Po drugiej stronie stał Larry, robi c wesołe miny do Ann. Wiatr rozwiewał

jasne włosy na jego czole. Kiedy skręcił za róg, do wejścia, koleś anki zaczął się dopytywać, kim jest ten zachwycający porucznik, a odpowiedź Ann „Po prostu przyjacielem” przyjęła okrzykiem niedowierzania.

– Skąd wiedziałe, że tu jestem? – spytała po wstępnych prezentacjach.

– Drogie panie, nie macie nawet pojęcia, jak bardzo wasza koleśka mnie nie docenia – powiedział przybierając tragiczny wyraz twarzy. Dotknął ramienia Ann. – Ann, czy mogłaby na sekundę zostawić swoje rozkoszne towarzyszki? Chciałem ci coś pokazać.

Wyszli na zewnątrz. Wiatr szarpał wojskową spódnicę Ann.

– Wybacz, że ci wyciągamy na tak wicher, ale dokonałem kradzieży na najwyższym szczeblu. Stary kumpel, jeszcze z korpusu dziennikarzy, podjął się dla mnie ryzyka. – Wyjął złoże on kartki z egzemplarza czasopisma „Yank”. – Pomyłono nazwisko, ale reszta jest w porządku.

Odwróciła się plecami do wiatru, rozkładając cieniutki papier.

– „Gilberte Cagny” – przeczytała na głos. – Zdaje się, że to było nazwisko pierwszego małżonka baronowej. – W milczeniu studiowała dalszy ciąg powielanej strony. – „Gilberte Cagny. Listopad 1941, uwięziona z rodzicami w Santé. Ojciec, baron André de Permont, matka, Vivienne Cagny, działaczka ruchu oporu”. – Gdzieś w głowie mignęło jej pytanie, dlaczego baronowa używała poprzedniego nazwiska, ale w trakcie dalszej lektury zapomniała o tym. – „Rodzice torturowani i zamordowani w trakcie przesłuchań gestapo. Zwolniona w marcu 1942, zamieszkała w domu zbrodniarza hitlerowskiego, feldmarszałka hrabiego Bernda von Hocherer, któremu urodziła syna szóstego czerwca 1944. Skazana sędziwnie za kolaborację, otrzymała najwyższy wymiar kary. Aktualny adres: 12 rue André-Antoine, Montmartre”.

– Mój kolega jest bardzo wysoko w FFI – odezwał się Lany.

– Twierdzi, że gestapo szalało, żeby wydobyć nazwiska. De Fermontom musiało się nieźle dostać, ani razu nie puścił pary.

Odpowiedziała nieokreślonym dźwiękiem. Mocno zacisnęła powieki. Jej ból i przerażenie były zbyt dojmujące; nie próbowała się nawet bronić przed myślami o śmierci barona i baronowej. Dzień po dniu gazety ujawniały szczegóły wyrafinowanych tortur stosowanych przez gestapo.

– Chyba nie powinienem ci pokazywać tego cholernego dokumentu. Zapomniałem, że była bardzo zła z tą rodziną.

– To tylko wiatr – powiedziała mrugając powiekami. Wiedziała, jak bardzo pesz Larry’ego wszelkie oznaki smutku.

– Biedna dziewczyna, musiała nieźle wycierpieć.

– Z pewnościami, uwielbiała swego ojca. – Oddała mu kartki.

– Lany, jesteś cudowny. Bez ciebie w życiu nie znalazłabym tego adresu.

Następnego dnia generał Mannix uczestniczył w konferencji przy avenue Foch, niedaleko hotelu, w którym mieszkali; dał w związku z tym Ann dzień wolnego.

Rue André-Antoine nie była ulicą, lecz szerokim zaułkiem, którego kręte schody

wspinały się na *la bum*. Ann zaparkowała przy rue des Abbesses. Zgodnie z zarządzeniem wojskowym zabezpieczyła samochód przed kradzieżą, wyjmując palec rozdzielacza i ruszyła pod górę. W ostatnim tygodniu przed wyzwoleniem rue AndréAntoine była świadkiem walk między parawanami a niedobitkami niemieckich garnizonów. Powybijane okna, powyrywane drzwi, frontowa ściana jednego z domów runęła odsłaniając wnętrza, które wyglądało jak gigantyczny dom dla lalek. Jednak ruina domu, w którym mieszkała Gilberte, nie była skutkiem działań wojennych, lecz wynikiem starościan i zaniedbania. Ozdoby ze stiuku skruszały i zaczęły się osypywać, z drzwi i okiennic obłaziła farba. Ann kilka razy zastukała w wypaczone drzwi.

– Kto się tam tłucze? – warknął po paru minutach głos osobnika niewiadomej płci.

– Chciałabym się zobaczyć z Gilberte de Permont... Gilberte Cagny.

– Skąd mam wiedzieć co to za jedna?

– Mieszka z niemowlakiem.

– A, ta zrozumiała zdzira. – Drzwi otworzyła kłudzawa kobieta w brudnym szlafroku.

– Jej wysoko rezyduje w piwnicy.

Ann po omacku zaczęła schodzić do piwniczki na wózek. Choć wózek dawno się skończył, ostry zapach pyłu w głównym nadal unosił się w zatłoczonych murach.

– Gilberte, to ja, Ann! – zawołała. – Ann Blakely.

Nie doczekawszy się odpowiedzi, ruszyła mrocznym korytarzykiem w stronę jedynych drzwi. Zastukała. Pod naciskiem dłoni drzwi otworzyły się na oścież.

Z brudnego okna, wychodził cień na zagłębienie poniżej poziomu chodnika, słońce się ponure wiatło, przygaszone, jakby przeszło przez kilka warstw brudnej szmaty. Jedna ściana, utworzona wprost ze skały, wybrzuszała się na pomieszczenie, pozostałe obłożone słabo wypalonym cegłem. Wysoko umieszczony fajansowy zlew świadczył o tym, że za czasów świetności kamienicy piwniczna nora służyła jako pralnia. Koło skrzynki z nadrukiem WŁASNO ARMII USA leżał opieczony towany takim samym napisem starannie złożony koc koloru khaki. Mały miernik i maszynka elektryczna na obdartym pudle po kapeluszach firmy Vuitton dopełniały wyposażenia lokalu.

Kiedy ulica Daguerre wydawała się Ann zbyt niedźwizną dla de Permontów! Chuchając w rękę, przechadzała się tam i z powrotem, bezskutecznie usiłując się rozgrzać. Po półgodzinie w korytarzyku rozległy się kroki.

Na tle otwartych drzwi zarysowała się wysoka kobieca postać. Spore niemowlę i ciemne, niezgrabny czarny płaszcz sprawiały, że głowa kobiety, owinięta w chustkę, wydawała się nieproporcjonalnie mała.

– Gilberte? – upewniła się Ann półgłosem, nie stając, nie zowiadając, jakby popełniła jakieś przestępstwo.

– Kto tam? – Gilberte wzdygnęła się zaskoczona.

– To ja, Ann.

Gilberte weszła do rodzaka. Zbliżyła się do Ann. Na jej twarzy malował się dobrze znany wyraz chłodnej ironii. Niemowlę krzyknęło gniewnie, jakby przycisnęła je do siebie za mocno.

– Oto jeden z naszych szlachetnych wybawców – powiedziała. – Napawasz wzrok urokami Montmartre’u czy może zwiedzasz tutejsze piwnice?

– Było otwarte, więc weszłam.

Kiedy Gilberte, otwierając drzwi, spostrzegła kobiecą postać w mundurze, poczuła w ustach metaliczny smak. W przeszło ci udało jej się wyzbyć najlżejszych oznak tchórzostwa, teraz jednak, kiedy była jedyną opiekunką Michela, strach stał się oswojonym zwierzęciem, które stale czaiło się u jej nóg. Kolaboranci znikali jeden po drugim, niektórzy zapewne przeniesli się na tamten świat, inni zostali aresztowani. Co za różnica – kula czy więzienie? Dla Michela jedno i drugie równało się wyrokowi śmierci. Kto w mieście pełnym głodujących dzieci brałby sobie na głowę poniemieckiego bakałarza?

Kiedy nieznajoma przemówiła łagodnym głosem Ann Blakely, Gilberte poczuła niewysłowioną ulgę, której miejsce zajęła natychmiast piekący wstyd. Dlaczego właśnie Ann musiała ją znaleźć w piwnicy burdelu, w łachmanach odziedziczonych po słuchaczach, w których wyglądała jak strach na wróble? Przycisnęła mocniej Michela i z wymuszonym uśmiechem na ustach podeszła do niego. Ann, której drobna figurka toniła w płaszczu koloru khaki, straciła gdzieś młodzieńcze niezdarstwo. Miedziane włosy wiły się w naturalnych niesfornych kędziurach. Gilberte uznała, że przyjaciółka nigdy jeszcze nie wyglądała tak pięknie.

– To twoje dziecko? – spytała Ann.

– Droga przyjaciółko, czy to miejsce wygląda jak przytułek dla podrzutków?

– Jak ma na imię?

– Michel. Czy interesuje ci jeszcze jakieś dane dotyczące dziecka? – Zrzuciła z głowy chustkę. Czarne gęste włosy były tak króciutkie, jakby na modłę amerykańską przystrzygła je na jej a. – Jest jednym z Hochererów. To syn feldmarszałka hrabiego Bernda von Hocherer.

Ann nie poczuła się zaskoczona ani ogoloną głową, ani łachmanami Gilberte. Nie spodziewała się jednak twardego spojrzenia, które dodatkowo zaostrzało wychudzone rysy przyjaciółki, przydając im chłodnej doskonałości. Zaskoczył ją wyraz zwinionych złocistych oczu Gilberte, z których zniknęły isierki humoru; ich miejsce zajęło zimne wyrachowanie zwierzęcia schwytanego w potrzask.

Gilberte, co z tobą zrobili w Santé? Co te potwory z tobą zrobiły? Popatrzyła na dziecko. Niemowlę przyglądało jej się badawczo. Twarz dziecka miała dojrzały wyraz nieulękłej powagi. Ann za nią miała się.

– Michel, jak się masz, bobasku? – zwróciła się do niego po angielsku.

– Czy wasi zaprzyjaźnieni szpicle wytropili nas tutaj?

– Larry Porter pomógł mi w poszukiwaniach. Nosisz teraz nazwisko matki?

Moje prawdziwe nazwisko – odpowiedziała w myślach – nazwisko bakałarza.

– A kim jest, jeśli wolno spytać, Larry Porter?

– Twój kuzyn, Quent Dejong, przyprowadził go kiedyś do was. – Schyliła głowę, wymawiając imię Quenta.

Zapomniałam o jej bzikach na punkcie gwiazdorów – pomyślała Gilberte. – Chyba miała ochotę na Ouenta. Która by zresztą nie miała? W końcu jest przystojnym milionerem. –

Zupełnie nie zdawała sobie sprawy z tego, jak bardzo zmienił się jej tryb rozumowania. Na rue Daguerre nigdy nie odczuwała wyśzości z powodu młodzieczego pociągania do wiata fantazji, teraz potrzebowała lekceważenia, aby zachować poczucie własnej wartości.

– Rzeczywiście – oświadczyła nieco cieplejszym tonem – przypominam sobie, że za Ouentem cięgnął się jakiś Amerykanin. Blondyn, trochę w typie Tomka Sawyera.

– To był właśnie Larry. Wtedy pracował jako korespondent zagraniczny, teraz jest w wojsku.

Michel zaczął się wiercić niespokojnie. Chciał zejść z ręką Gilberte nie mogła się na to zdobyć, aby włożyć go do skrzynki, chociaż Ann z pewnością zdecydowała się domyślić jej przeznaczenia.

– Michel, a kuku! – Ann zasłoniła twarz furanką i odsłoniła z powrotem. – A kuku!

Chłopczyk przestał wierzeć i obdarzył ją bacznym spojrzeniem. Kiedy Ann powtórzyła gest kilka razy, posłał jej niepewny uśmiech.

– Moje słodkie maleństwo! Gilberte, dasz mi go na rękę?

Gilberte przytuliła mocniej Michela. Od urodzenia nie dawała go na rękę nikomu. Nawet w pierwszym miesiącu, kiedy ledwie chodziła, po samotnym porodzie i krwotoku, nie pozwalała wynajmianym ani nie dopuszczała bretańskiej pokojówki do małego. Na czworakach przewijała dziecko, na czworakach kopała, ubierała, karmiła. Od wyzwolenia Paryża brała go ze sobą wszędzie, nawet do cuchnącej, popsutej ubikacji na pierwszym piętrze. Dziecięce zabawy i śpiewanie kołysanek nie były w jej stylu, jednak nie wtopiła ani przez chwilę, że bez wahania oddałaby za niego życie.

– Co by powiedział na czekoladę? – spytała Ann, sięgając do wielkiej torby przewieszanej przez ramię. – Czy mogę mu dać kawałeczek?

Michel w uśmiechu nie miał w ustach nic poza mlekiem Gilberte. Po zajadło cię, z jak obgryzał jej obolałe sutki, domyślała się, że jest już gotów do przyjęcia bardziej dorosłego pokarmu. Była w pułapce. Sama nie dojadła i gdyby zaczęła się z nim dzielić swój dzienny racjonalny pokarm, straciłaby zapewne pokarm. Fakt, że Ann jak gdyby nigdy nie chciała czuć smaku słodkimi, z powrotem rozbudził w niej dystans wobec przyjaciółki.

– Cóż za amerykański gest – powiedziała z drwin – rozdawać czekoladki niemowlętom przy piersi.

– Rzeczywiście, powinnam była się postarać o sucharki grahamowe w PX-ie.

– Cóż to jest, jeśli mi na wiedzę, sucharki grahamowe. Pełne, delikatne wargi Ann zdręptały.

– Mam wyżej uszu tego traktowania mnie jak... jak... – wybuchnęła po angielsku.

– Nieproszonego gościa? – dokończyła za nią Gilberte. Ann gwałtownie nabrała powietrza. Jej wzrok zatrzymał się na gołej wypukłości skąty. Nora, w której mieszkała Gilberte, była jedynym miejscem, na jakie było jej stać i jakie mogła zdobyć – ogolonym nie płaciło się dobrze w lombardach, a właśnie ciele kamienic nie chcieli ich u siebie widzieć.

– Masz rację – powiedziała cicho. – Nie powinnam była ci tutaj nachodzić. Byłam jednak samotna, Gilberte, bardzo samotna. Rodzice zostali w Paryżu, Niemcy ich internowali. Nie mam pojęcia, gdzie są – cięgnęła ledwie dosłyszalnym głosem. – Mówisz, którego

kocham, przestał do mnie pisywać. – Smutek w jej wielkich piwnych oczach przekonał Gilberte, że nie chodzi tu o zadurzenie w nieosiągalnym idole, jak Sacha Guitry, Robert Taylor czy Quent, ale o prawdziwe uczucie.

– A Larry Porter? Nie mógłby zapełnić tej specyficznej luki?

– Jest bardzo zabawny i miły, ale to nic poważnego. Co przemknęło pod zlewem.

– Chodźmy na spacer. – Gilberte wzięła Michela z powrotem na spacer.

Kiedy wychodziły, wielki dzwonek SacreCoeur wszczął dialog z dzwoneczkami SaintPierre. Ann zebrała się na odwagę.

– Gilberte, może opowiesz mi o Santé? Albo o feldmarszałku von Hoche? Albo o tym, co się z tobą działo po wyzwoleniu? – spytała, kiedy dzwony ucichły.

Gilberte marzyła o tym, żeby wypowiedzieć się przed Ann, jednak nawet za dawnych dni swoje najwskryślejse sekrety zachowywała dla siebie. Teraz nie była w stanie przyznać się do zhańbienia wielokrotnymi gwałtami, trywializowania słowami koszmar śmierci rodziców czy przyznawać się do własnego zabójczego tchórzostwa.

Przełknęła z trudem łzy. Przełknęła Michela z ręki do ręki.

– Co tu jest do opowiadania? – spytała opryskliwie. – Santé było zaszwabione z góry na dół. Hoche był moim, jak to się mówi w Ameryce, dobrym wujkiem. A moje obecne życie... chyba nie trzeba żadnych wyjaśnień.

Ann zamilkła, zraona szorstką odpowiedzią, jednak jej pytania przywołały w pamięci Gilberte niechciane wspomnienia ostatnich dni okupacji w Paryżu.

Sześć tygodni wcześniej Gilberte obudził pomruk odległych dział artyleryjskich i bliska salwa karabinów. Przez kilka niekończących się dni mężczyźni i kobiety z opaskami FFI – oddziałów ruchu oporu – na ramieniu prowadzili wojnę na tyłach niemieckich garnizonów. Uzbrojeni w przestarzałe strzelby myśliwskie, zrzucone z amerykańskich samolotów karabiny M1, wreszcie broń odebraną zabitym Niemcom wznosili barykady z mebli i worków wypełnionych piaskiem i obrzucali czołgi koktajlami Mołotowa domowej produkcji. Odgłosy walk napawały Gilberte radością, a zarazem przerażeniem. Nie miała najmniejszych złudzeń co do tego, jak FFI potraktuje ją, a tym samym Michela.

Strzelanina nigdy jeszcze nie dobiegała z tak bliska. Gilberte wyskoczyła z łóżka na bosaka. Przez szczeliny między okiennicami wyjrzała na zewnątrz. Zobaczyła pusty kawałek jezdni wysadzanej przyciętymi, zakurczonymi drzewami. Nagle w jej pole widzenia wjechał od strony Bois de Boulogne szeregowiec w szarym mundurze. Z pustego domu naprzeciwko, którego właściciel-kolaborant wyprowadził się pięć tygodni wcześniej do Alzacji, posypały się strzały. W jednym z okrytych okienek mansardy pojawiła się twarz i karabin. Broń podskoczyła przy wystrzale. Motocyklista przekoziołkował lądując kilka metrów od pojazdu, który wpadł do rynsztoka i leżał z obracającymi się kołami.

Teraz w polu widzenia pojawił się pancerny wóz sztabowy. Z hamulca ciego wozu wyskoczył w biegu feldmarszałek w wygniecionym, poznaczonym smugami brudu mundurze, za nim dwaj żołnierze z karabinami maszynowymi. Przykucnęli za samochodem, puścili serię w kierunku domu. Nie minęła nawet minuta od chwili ukazania się samochodu, kiedy

Hocherer z impetem otworzył drzwi sypialni.

Przystanął nad kołyską. Jego piwne oczy złagodniały. Po raz pierwszy w życiu oglądał swojego, obecnie jedyne, syna. (Chorowity chłopak, powołany z piątnasto – i szesnastolatkami do wojska, zginął podczas nalotu na obóz szkoleniowy.) Feldmarszałek wyprostował się.

– Szykuj się! – rzucił tonem, jakim się nigdy do Gilberte nie zwracał. – Ubierz siebie i dziecko. Moście wziąć po małej torbie na głowę. *Macht schnell!* – Wybiegł do swojego pokoju.

Podeszła do drzwi i czuła ich sypialnie. Hocherer otworzył pancerną szkatułę. Wysypał do kominka dokumenty opatrzone pieczęcią z orłem Reichstagu. Kiedy zapalał zapalniczkę, na ulicy rytmicznie zagrzechotały Schmeissery. Gilberte pobiegła z powrotem do okna. Wszystkie gzymsy z domu kolaboranta zostały odstrzelone, z okna mansardy zwisało chłopięce ciało. Krew ścieczyła się na opaskę FFI. Ci, którzy strzelali, też byli dziećmi, nie mogli mieć więcej lat niż ten, co podrygiwał w rytm ich kanonady.

– Rób, co ci każę! – rzucił niecierpliwie Hocherer. – Są tu kilka kilometrów od Paryża. Von Choltitz wziął się za pisanie aktu kapitulacji.

– Ja i Michel nigdzie nie jedziemy.

– Gilberte, zawsze podziwiałem twoją odwagę, ale w tej chwili jest zupełnie nie na miejscu.

Odwaga? Teraz, kiedy strzelanina ustała, słyszał chyba, że serce wali jej jak młotem.

– Niemcy – zakpiła. – Idealne miejsce na wczasy dla Francuzek z dziećmi.

Hocherer wrzucił ostatnią partię papierów do ognia. Wyprostował się. W zadumie potarł niewielkie dłonie.

– Możliwe, że twój wybór jest słuszny – odezwał się po dłuższej chwili. – Rosjanie błyskawicznie przewrócą nasze granice, jeśli dotrą przed Anglikami czy Amerykanami, z Niemcami nie zostanie kamień na kamieniu. *Gotterdammerung...* To i tak cud, że jeszcze żyje po trzech nieudanych zamachach na Hitlera. SS z pewnościaniedługo mnie dopadnie. Tysięce ludzi torturuje się w tej chwili, aby wydobyć nazwiska uczestników ostatniego zamachu. Dzieci w dzieci do Berchtesgaden nadchodzi filmy ze zdjęciami moich towarzyszy zaduszonych struną od fortepianu.

– Wasz *Führer* to naprawdę uroczy człowiek. Hocherer przeganiał pogrzebaczem poczerniałe papiery.

Nie naruszony fragment listu zajął się pomarańczowym płomieniem.

– Nie byłbym w stanie obronić ani ciebie, ani dziecka przed tym szaleństwem.

– My nie zostajemy przez tchórzostwo, ale dlatego, że de Permontowie nigdy nie uciekają.

– Gilberte, moja piwna, okrutna miłośniczko, za młoda jesteś, aby zrozumieć... moje twoje uwielbienie. – Wziął do ręki laskę marszałkowską, schylił się i pocałował synka w policzek. – Postaraj się wychować go tak, aby nie pogardzał krajem swojego ojca.

Rankiem dwudziestego piątego sierpnia boulevard Suchet zadrżał pod kołami ciężarówkami, jeepów i czołgów wiozących różne mianych francuskich żołnierzy. Generał Leclerc na czele

dywizji panczernej wkroczył do Pary. Tłum krzyczał, płakał, powiewał malutkimi *tricolores*, obrzucał przejeżdżających kwiatami. Wszystkie kobiety, bez względu na wiek, wyległy na ulicę, aby ucisnąć powracających rodaków. Gilberte obserwowała wydarzenia z okna swojego pokoju. W gardle dławiono ją ze szczęścia, umysł jednak mიაł się na krawędzi paniki.

W oddali przetoczył się pomruk grzmotu. Pary szalał z triumfu. Generał Charles de Gaulle jechał przez Champs-Élysées. Promienne, choć zmieczone oddziały Amerykanów, Brytyjczyków i Kanadyjczyków również witano kwiatami, łzami i niekończącym się rykiem radości.

Owicie dwudziestego siódmego jedno z prześcieradeł baronowej wywieszono z okna na strychu, w charakterze flagi. Okoliczna służba i przekupnie zaczęli się gromadzić w ogrodzie przed domem. Gilberte nie mogła powstrzymać się od myśli, że rozradowany tłum tłoczy się na przyciętym trawniku i wirujących alejkach, składa się z potomków motłochu, który wiwatował, kiedy jej przodkini, Louise de Permont, wstąpiła na szafot. Podała Michelowi pół litra czekolady od kawo-rodka nasennego, który przepisał jej doktor Behn na czas rekonwalescencji. Pięćce niemowlę włożyła do wielkiej walizki, w której już wcześniej, dla dostępu powietrza, powycinała otwory. Odłożyła walizkę z powrotem na półkę. Ubrała się starannie, kruczoczarne włosy upięła w kok.

Kucharz wraz z majordomusem sprowadzili ją na dół, a potem przed dom. Pod miedzianym okapem w kształcie muszli czekał trybunał złożony ze służby. Wyrok na Gilberte już zapadł. Stary ogrodnik – jeden z trzech sędziów – drżącym głosem potępił kolaborantów, lokaj o niewieściej cerze wprawnie ogolił ją do skóry. Tłum zaryczał *Marsyliankę*. Kiedy pulchna bretońska pokojówka postąpiła krok do przodu, posypały się wiwaty i sprone okrzyki. Potem zapadła dziwna, pełna napięcia cisza. Pokojówka rozciąła nowoletni sukienki i sztyt przez zakonnice bielizną Gilberte. Naga, cięgnęła ramiona, przyciska nabrzmiałe od mleka piersi. Z rozdzielenymi nozdrzami starała się nadać swojej twarzy wyraz lodowatej wyśzości. Nie zmieniała postawy ani wyrazu twarzy szła, kiedy tłum pędził ją przez boulevard Suchet. Nie usiłowała zasłonić ani piersi, ani włosów łonowych. Mimo że generał von Choltitz oficjalnie abdykował, po mieście nadal włóczyły się samobójcze niemieckie oddziały. Kiedy zbliżyli się do avenue Foch, parę metrów za jednym z wieżowców otwartych o rodków zdrowia, niemiecki żołnierz wdrapał się na dach i puścił do nich serię z automatu. Wiwatujący tłum rozpadł się na setki przerażonych osobników. Gilberte rzuciła się do bramy rokokowej kamieniczki. Bretońska pokojówka już na nią czekała. Zdjęła swój czarny płaszcz i zarzuciła na ramiona Gilberte, te same ramiona, które własnoręcznie obnażyła niecałe dwadzieścia minut wcześniej. Nie zwracając uwagi na grad kul sypiących się z dachu, Gilberte pomknęła do domu. Wydobyła nieprzytomne dziecko z ukrycia i popędziła na górę, aby ukraść ubrania klucznicy. Razem z ubrankami Michela wpełznąła wszystko do walizki, z której przed chwilą wyjęła dziecko, wrzuciła do torebki diamentowe kolczyki i ciękie złote bransolety, które dostała od Hocherà, potem...

Zrozmyślała wyrwała ją czyjaś dłoń na jej ramieniu.

– Widz, że jest otwarte – odezwała się Ann. – Moje wejdziemy?

Doszły do rue des Abbesses. Chociaż dopiero zbliżało się południe i za wcześnie było na lunch, drzwi kawiarni stały otworem.

Gilberte bolały plecy od noszenia Michela, choć dek skręcał się z głodu, jednak zdobyła się na niedbały ton.

– Jak uważasz.

Właściciel wychynął z kuchni. Omiótł złowrogim spojrzeniem owinięte w chustki głowy Gilberte, po czym przeniósł wzrok na mundur Ann. Na jego twarzy, ozdobionej w sem, w równym stopniu malowało się potępienie, co nadzieja i wyrachowanie – jak każda para anin, oddałby życie za twardy walut. Owszem, owiadczył Ann, za jednego amerykańskiego dolara dałoby się załatwić wczesny lunch na dwie osoby, z kawą i dobrym winem.

Michel, który zdrzemnął się podczas drogi, zaczął kwilić, kiedy Gilberte próbowała rozpiąć szydełkowy serdaczek. Ann znowu zrobiła „a kuku” i malec uciekł przez łyżę.

– Chodź do mnie, wielkoludzie – powiedziała i wzięła go na ręce.

Gilberte udało się rozebrać syna do koca. Mały bez protestów spoczął w objęciach Ann.

Podano im półmisek mięsa nieokreślonego gatunku – mimo niepewnego pochodzenia mięso było smaczkowicie tłuste. Omlet *aux fines herbes*, spreparowany ze sproszkowanych jajek i konserwowego masła (produkty te, nabyte na czarnym rynku, niewłaściwie zostały potajemnie wyniesione z któregoś z amerykańskich magazynów), okazał się w smaku równie upojny. Bóg jeden wiedział, jak bardzo karmiło ciało Gilberte od dnia wyzwolenia tak samo białka i tłuszczu! Tylko wspomnienie piękniego, klarownego głosu, jakim matka pouczała ją o dobrych manierach, powstrzymało ją przed wylizaniem talerzy do czysta. Zostawiła kawałek omletu i prawie nie tknęła bagietki.

Podczas lunchu Ann zaczęła wspominać czasy rue Daguerre i pensji *madame Bernard*. Gilberte, ogarnięta nagłą nostalgią, poczuła, że wraca jej dawna ufność. Michel z zadowolonym minem zjadł drugi kawałek bagietki, kelner przyniósł nesc.

– To naprawdę okrutne – stwierdziła Ann – że najpierw została ukarana przez hitlerowców, a potem przez Francuzów. Bardzo czujesz się rozgoryczona?

– Owszem, czuję się rozgoryczona. – Gilberte uniosła brew i skrzywiła się. – To jednak drobiazg w porównaniu z tym, co czuję wobec wini, która podała mojemu ojcu na gestapo.

– Masz podejrzenia, kto to mógł być?

– Nie, ale się dowiem, nawet gdybym miała po wiści na to resztę życia.

– A teraz? – Ann zamieniła rozmokły kasek w piście Michela na wiechy kawałek bułki.

– Masz jakie plany na teraz?

– Kiedy włosy odrosną mi na dostatecznie patriotyczną długość, żeby jakkolwiek Francuzka zechciała zamienić ze mną dwa słowa, zostanę modystką.

– Będziesz szyła suknie i wyrabiała kapelusze?

– Suknie.

– Sama?

– Szycie nie wymaga specjalnej filozofii. – Gilberte zapatrzyła się przed siebie. – Powiedz sama, czy jest dla mnie jakieś inne zajęcie? Nie mogę zostawić Michela, a przecie muszę jakoś zarobić na życie.

– Uważam, że to wietny pomysł. Chanel powinna się mnie na baczność – stwierdziła Ann. – Chyba jednak nie dasz rady bez maszyny do szycia?

– Tak, z tym będzie problem. – Gilberte westchnęła.

– Uważam, że znamy się zbyt dobrze, żeby sprawy owijać w bawełnę. Chciałabym ci pomóc pieniędzy.

– To niezwykle szlachetnie z twojej strony – wyjątkowo po chwili milczenia Gilberte.

– Nie wygłupiaj się. – Ann dotknęła jej dłoni. – Ile ci potrzeba?

– Trzysta dolarów.

Pensja Ann wynosiła siedemdziesiąt dolarów tygodniowo. Obchodziła się z nią bardzo rozrzutnie, wydawała pieniądze na kino, kupowała przyjaciółom prezenty w PX-ach, opłacała czynsz i sprzątaczkę. Aktualnie była posiadaczką trzech obligacji wojennych, które po nabraniu wartości miały być warte siedemdziesiąt pięć dolarów. W portmonetce miała pięć dolarów.

– Jutro wpadnę do ciebie z pieniędzmi – oświadczyła mimo to bez wahania.

Ann nigdy w życiu nie poprosiła pieniędzy. Musiała się nieźle przemóc, żeby chodzić prosto od generała Mannixa i członków jego sztabu do koleżanek. Lany, znany rozrzutnik, jak zwykle był bez grosza. Udało jej się zdobyć trzysta dolarów.

Gilberte sięgnęła po kopertę wypchaną banknotami; jej dłoń zastygła w powietrzu. „Jałmużna, choćby nawet płynęła” od serca, zawsze pozostawała jałmużną.

– Może jednak powinnyśmy spisać jakieś pokwitowanie?

Ann, która dopiero co podpisała trzydzieści siedem pokwitowań, miała wielką ochotę zgasić pełen wyświecający cień na twarzy Gilberte, jednak spojrzenie jej padło na Michela, który leżał w swojej skrzynce pogodny jak Budda.

– Takie rzeczy robi się tylko na filmach – oświadczyła, uśmiechając się do chłopca, który odpowiedział jej tym samym. – Oddasz mi, jak będziesz mogła.

Dwa dni później Ann siedziała na jednym z obłożonych płóciennymi pokrowcami foteli, ustawianych podcianami latającej fortecy B-57. Dygotała w poproszonym, zbyt obszernym kombinezonie lotniczym. Wrócili z szefem do Anglii.

Bruzdy na twarzy generała Mannixa pogłębiły się. Spędzał teraz całe godziny w Fairfields, starannie strzeżonej posiadłości z czerwonej cegły, położonej trzydzieści mil na północ od Londynu. Tam właśnie dowiedziała się od szoferów, że jej szef w Fairfields jest tylko płotką. Była to prawda. Raz udało jej się wypatrzyć Churchilla, jak szedł przez trawnik w swoim słynnym kombinezonie lotniczym, kiedy indziej Eisenhower przeszedł obok jej samochodu.

W ponure listopadowe popołudnie przy drodze do Londynu zobaczyli wieś o naklejonym obwieszczeniu o zwycięstwie sił brytyjsko-kanadyjskich pod Antwerpią. Generał kazał Ann zatrzymać samochód. Kupił gazetę, przeleciał wzrokiem pierwszą stronę i z kieszeni płaszcza wyjął półlitrową butelkę Southern Comfort. Ze zdumieniem obserwowała w lusterku, jak jej szef, którego miała dotąd za abstynenta, pociąga długi rytualny łyk. Otarł szyjkę i podał jej butelkę.

– Wypij za drogę morską do Belgii. Na pewno zastanawiała się, czym zajmujemy się na wschodzie. Opracowali my właśnie projekt wysłania konwojów do Antwerpii.

Dzień w dzień donoszono o kolejnych klęskach Niemiec. Londyńczycy pozdrawiali się rozkładając palce w churchillovskim V. Włochy robili mi dzień zakłady o datę zakończenia wojny.

Jednak w mglistą, lodową noc z piętnastego na szesnastego listopada niemieckie dywizje pancerne przedarły się przez amerykański front w Ardenach. Starannie ocenzone biuletyny informacyjne nie podawały długiej listy ofiar niemieckiej kontrofensywy, ale londyńczycy umieli czytać mi dzień wierszami.

Dwudziestego drugiego grudnia zadzwonił Lany Porter. Wrócił właśnie do Londynu i chciał zaprosić Ann na huczny przyjęcie w Savoyu.

– Wie ciś tak ponure, że nie jestem w nastroju do zabawy. Czy nie moglibyśmy zjeść obiadu we dwoje?

Zapadła cisza, którą Ann zrozumiała jako wyraz rozczarowania. Lany przepadał za wystawnymi przyjęciami – kiedy tylko mógł, chodził do najlepszych restauracji i hoteli.

– Jak sobie uczysz, mała – ustąpił.

Ann patrzyła na budynek mieszkalny. W błękitnym świetle przygaszonych reflektorów jeepa widać było deszcz uderzający o chodnik Weymouth Street.

– Do kogo należy to mieszkanie? – spytała.

– Do kumpla z OWI, którego oddelegowano do Rzymu. Zaraz rozpuł się w deszczu. Słuchaj, w końcu to był twój pomysł, żeby zjeść obiad *à deux*.

– Larry – westchnęła – wiesz przecie, że miałam na myśli restaurację.

– Stłukłem już befsztyki z mięsami, które przysługują w restauracjach wyższemu generałom. Ann, czy nie mogłabyś uczcić mojego powrotu ze strefy działań wojennych – wiedziała, że nie wystawił nosa poza Paryż – odrzucając fetysz dziewictwa, któremu hołdujecie w Wisconsin.

Aluzja do dziewictwa, jak zawsze, wywołała w niej poczucie winy.

– Skąd wiesz, czy umiem gotować? – spytała i wyłączyła silnik.

Mieszkanie okazało się pokojem wygospodarowanym z większego pokoju. Na ścianie królowała fotografia Bertie Gracie w białym szlafroku kielichowym, a mizerna gałkiewiczowa, ozdobiona papierowymi kwiatami, stanowiła ukłon w stronę Bożego Narodzenia. Ann wzięła się do smarowania na poobijanej kuchence z wysokimi nóżkami. Larry nalał dwie spore szklanki bourbona z wodą sodową. Siedli do befsztyków upieczonych z grubych plasterów polędwicy najlepszego gatunku, równych wag mięs czernemu przydziałowi mięs dla czteroosobowej angielskiej rodziny. Larry odkorkował przywiezione z Francji dwie butelki bordeaux. Przez cały czas dbał o jej pełny kieliszek. Dobrowolnie przystąpiła na ten zamach na jej trzeźwość. Wołała by pijana, nie stale dokonywała nieuchronnych porównań między obiadem z Larrym a posiłkami w wiejskim domku pełnym księżek. Nie zauważyła, kiedy zaczęła puszczać płyty, zapamiętała tylko, że przy *Green Eyes* poprosił ją do tańca Larry był znakomitym tancerzem na dobrym parkiecie, jednak w ciasnocie pokoju nie było miejsca na przysiady, przechyły, zamaszyste obroty. Przywarła do niego z całą siłą, żeby nie stracił

równowagi. Ledwie docierał do jej wiadomo ci fakt, e zdecydowanie napierał na ni biodrami. Kiedy płyta si sko czyła, nie wypuszczaj c Ann z obj , nastawił porysowan *Begin the Beguine*. Przyłgn ł do niej gładkim, wyperfumowanym policzkiem, nuc c tekst piosenki.

Po tej płycie wył czył patefon.

– Szalej za tob , malutka...

– Ja te ci bardzo lubi .

Pocałował Ann gł boko w usta. Nie odrywaj c warg, zgasił wiatło i poło ył j na łó ku. Od odległej eksplozji gwałtownie zabrzczały szkła i porcelana. Pieszczoty Larry’ego ograniczały si do piersi i pleców. Była tak wstawiona, e jego miłosne zabiegi sprawiały na niej wra enie zabawy dwojga lubi cych si dzieciaków. Nigdy dot d nie pozwalała mu na rozpinanie stanika ze sztucznego jedwabiu, teraz jednak było jej głupio odmówi przyjacielowi. Z radosnym skowytem chwycił j za piersi. Napierał na ni coraz gwałtowniej. Nie wiedzie jakim cudem znalazła si goła pod puchow kołdr , jednak jej ciało zacz ło protestowa , kiedy ocierał si o jej krocze. Kwa ne, ciepłe wymioty podeszły z oł dka do gardła. Odsun ła si gwałtownie, o mało nie zlatuj c z w skiego łó ka.

– Gdzie ubikacja? – wymamrotała.

– Wariuj za tob – wyszeptał. – Kochanie, obiecuj , e nie b dzie bolało.

– B d rzyga . – Przyło yła r k do ust, powstrzymuj c fal wymiotów.

Po piesznie przeczołgał si nad ni , by zapali lamp . ; Wszystko – gołe, słabo owłosione nogi Lany’ego, jej porozrzucane ubrania, nie sprz tni ty stół z powywracanymi kieliszkami, ałosna imitacja choinki – zdawało si wirowa pod jakim dziwnym k tem. Z trudem trzymała si na nogach. Znow targn ły ni mdło ci. Larry zarzucił jej na ramiona swoj koszul wojskow .

– T dy – powiedział wskakuj c w spodenki.

Kl cz c na lodowatych kafelkach, wymiotowała tak długo, a z ust pociekł przezroczystry płyn. Przysiadła na pi tach. Z oczu popłyn ły łzy, nie mogła utrzyma prosto głowy ani opanowa dr enia. Jakkolwiek daleka od trze wo ci, nie była jednak ani w połowie tak pijana, jak par minut wcz niej. Co ja tu robi , goła, w koszuli Larry’ego, pachn cej wod kolo sk jego mamusi? Wsłuchuj c si na kl czkach w wycie syren i dzwonki wozów stra ackich, Ann w przypiływie masochizmu oskar ała si o sprowokowanie Larry’ego. W adnej mierze nie obwiniała go o pijack napa na jej cnot .

– Ju dobrze? – spytał otwieraj c drzwi pchni ciem. Dalej miał na sobie tylko wojskowe spodenki i plakietki identyfikacyjne. Twarz była umazana na czerwono szmink Ann. Popatrzył na ni ze współczuciem. – Zrzuciła co do ostatniego ciasteczka? Przymkn ła.

– Gdzie mogłabym wypłuka usta? – spytała podnosz c si .

– Łazienka jest zaraz obok.

Wtarła palcami w z by troch pasty Colgate. Ochlapała twarz zimn wod , gani c si w my lach, e po lubiła wspomnienie.

Larry z powrotem zaprowadził j do pokoiku. Kiedy pochylona zbierała bielizn z podłogi, zaszedł j z tyłu i chwycił za piersi.

– Potem b dziemy sprz ta – wymruczał jej do ucha. – Mamy co wa niejszego do roboty.

– To nieporozumienie – wyjąkała. – Nie powinnam była do tego dopuścić.

– Chod do łóka. – Pocałował ją w policzek.

– Wracam do domu. – Odsunęła się.

– Idziesz już?

– Muszę.

– Wiesz, jak się mówi na baby, które wstawiają takie numery.

– Na pewno zaślęłam sobie, żeby o mnie tak mówił – powiedziała odwracając się, żeby wcięgnąć majtki pod osłonę jego koszuli.

Leżał skulony na łóżku, przyglądając się dziwnemu tańcowi, jaki wykonywała starając się ubierać tyłem.

– Nie kłaniaj mi się więcej na ulicy – oświadczył ochryple, kiedy narzucała płaszcz od deszczu.

– Bardzo mi przykro.

– Piczka-zakonniczka! – wrzasnął za nią. Cichutko zamknęła drzwi.

Larry ukrył twarz w dłoniach. Jego ciałem wstrząsnęły szloch. Przez dłuższy czas płakał głośno i rozpaczliwie.

W połowie stycznia kontrofensywa załamała się i Niemcy zaczęli się wycofywać przez zrujnowane, pokryte śniegiem tereny Belgii, znacząc za sobą ład mundurami koloru szarego i khaki.

Dwudziestego stycznia po północy, wróciwszy do siebie na Polkington Place, Ann zastała list od Larry'ego. Wyjechał z Anglii. Cenzura wprowadzona w kilku miejscach zaczęła jego chłopięce gryzmoły, jednak z listu utrzymanego w artobliwym tonie wynikało jasno, że Larry pilotuje w Paryżu grupę dziennikarzy. Nie zrobił najmniejszej aluzji do nieudanej randki w mieszkanku przy Weymouth Street. Ann, nieprzytomna z radości, że nie utraciła jego przyjaciela, natychmiast odpisała mu w równie lekkim tonie.

Dwudziestego drugiego marca gestapo dobrało się do ostatnich uczestników zamachu na życie Hitlera. Feldmarszałek hrabia Bernd von Hochoerer został pobity na śmierć w berlińskim więzieniu Plötzensee. Jego nazwisko miało zatonąć w *Nacht und Nebel*, nocy i mgle, w której rozpylali się kolejni przeciwnicy Hitlera, ponieważ jednak na Niemcy sypały się alianckie bomby i morale narodu zaczynało podupadać, ministerstwo propagandy ogłosiło, że feldmarszałek stracił życie podczas obrony Renu na południe od Moguncji. Wdowie pozwolono oddać hołd trumnie pokrytej flagą ze swastyką, podczas gdy ostro podmalowany Goring w jednym z krzykliwych mundurów Luftwaffe ze swej kolekcji stał przy jej boku, namawiając niemiecki *Volk*, by brał przykład z dzielnego oficera, który oddał za *Vaterland* własne życie i życie swoich synów. Prasa francuska, która mimo braku papieru stale donosiła o zwycięstwach, po wicięciu akapitu poległemu w boju zbrodniarzowi wojennemu, który dowodził francuskim Western Kommando. Gilberte długo wpatrywała się w notatkę prasową.

Dwudziestego pi tego kwietnia Niemcy zostały podzielone na dwie części. Patrol Pierwszej Armii Stanów Zjednoczonych spotkał się z patrolem radzieckim na brzegu Łaby; Amerykanie wymieniły się z Rosjanami. Obie strony wymieniły się, odebrały hymny i poczęstowały się nawzajem wódką i bourbonem. Brytyjskie siły zbrojne pod dowództwem feldmarszałka Montgomeryego szybko przemierzały równiny Niemiec. Kanadyjczycy rozprawiali się z niedobitkami wojsk niemieckich w głodzącej Holandii, Francuzom udało się ostatecznie złamać opór Wehrmachtu w Schwarzwaldzie. Trzydziestego kwietnia, w *Führerbunker*, ukrytym głęboko pod ruinami Berlina, Hitler strzałem w usta odebrał sobie życie. (Eva Braun Hitler, długoletnia kochanka, która po lubił poprzedniego dnia, wybrała bardziej estetyczny rodek w postaci trucizny.) Siódmego maja admirał Friedenburg i generał Jodl podpisali bezwarunkową kapitulację w imieniu zrujnowanego narodu, który w ciągu ostatnich dwunastu lat zdusił Europę i zniszczył spore połacie naszej planety.

Ann musiała wspinać się na palce za każdym razem, kiedy chciała rzucić kartkę wydartą z londyńskiej księżki telefonicznej na klbki jej stóp tłum. W dole, na Oxford Street, starsi panowie w melonikach ciskali sekretarki w szarych służbowych mundurkach, młodzi poborowi porywali gospodynie domowe do Lambeth walcami, trąbiły klaksony zatrzymanych autobusów, biły kościelne dzwony, a na dachu jednego z pięciopiętrowych autobusów stał Szkot w spodniczkach, dołczył ciekawy niezwykły jazgot kobiecy do kakofonii zwyczajnych dźwięków.

Lany odcięty Ann od okna. Natychmiast chwycił ją w objęcia wysoki pułkownik piechoty, wyginając do tyłu w długim pijackim pocałunku.

– W imieniu niezłomnego stanu Wirginii pozdrawiam cię, o wcielenie wszystkiego, co piękne i uzdrowicielskie w twojej drogocennej kobiecości!

– Twoje zdrowie, jankeseczko! – Młodziutki kapral kanadyjski wcisnął jej do ręki kolejny kieliszek szampana.

– Konga! – wykrzyknęła cycząca dziewczyna z WAC. – Konga, konga! Wszyscy ustawiajmy się w kongę!

Larry chwycił Ann w pasie, Ann złapała polskiego lotnika, który z kolei trzymał liczną Angielkę z RAF-u. Jakieś trzydzieści osób, wyrzucając nogi do przodu w rytmie raz, dwa, trzy, okrężyło mieszkanie, zbiegło w dół po schodach, przecięło hall hotelu Mount Royal i wmieszało się w tłum przy Oxford Street. Konga dotarła w nienaruszonej postaci aż do Marble Arch, gdzie rozplynęła się w klubowisku ludzkich ciał.

– Ale mi się kręci w głowie! – wykrzyknęła Ann. – Za dużo było tego szampana.

– W taki dzień jak dziś nie sposób wypić za dużo szampana – sprzeciwił się Larry.

– Chodźmy do pałacu, chciałabym pójść do pałacu.

– Jak do pałacu, to do pałacu – powiedział biorąc ją za rękę. Brnął przez tłum w Hyde Parku. Po drodze zostali wymciani przez dwóch malutkich chińskich marynarzy, australijskiego szeregowca, francuską matronę, która ledwie trzymała się na nogach, dwóch podochoconych Słowian i co najmniej setkę Brytyjczyków, wojskowych i cywilów. Droga zajęła im sporo czasu. Kiedy dotarli do tłumy pod pałacem Buckingham, ustąpiło miejsce szampana firmy Mumm's. Ann wytrzebiała. Znowu osaczył ją gęszczący natrętnych myśli.

Na Pacyfiku nadal szalała wojna, jednak w Europie taniec śmierci, który rozpoczął się w pogodny wrzesniowy poranek tysiąc dziewięćset trzydziestego dziewiętego roku, dobiegł końca. Dla Ann wojna się skończyła. Jej życie rozpadło się na tysiąc kawałków, wreszcie przyszła chwila, kiedy bóg mógł pozbierać fragmenty tego kalejdoskopu. W kalejdoskopie wzór nigdy się nie powtarza – pomyślała, w tej samej chwili jednak grupka dokerów zaczęła składać na jej policzkach pocałunki zalatujące Guinessem i myliła Ann z powrotem się rozpoznały. Bezpieczna i szczęśliwa zamieszkała z rodzicami z powrotem przy rue Daguerre, a Ouent jeszcze raz zastukała do jej drzwi.

Ogłuszyło ją grzmienie crescendo wiwatów. Na balkonie ukazała się rodzina królewska. Zdołała ich twarze wyglądać jak róże owale, jednak Ann potrafiła rozpoznać króla Jerzego w mundurze marynarki, królową Elżbietę i księżniczkę Małgorzatę w pastelowych sukienkach, księżniczkę Elżbietę w wojskowym mundurze, wreszcie Marię w wielkim toczku. Królewska rodzina była dla Ann uosobieniem miłości i dobroci, jakiej zaznała ze strony Anglików. Przypominała sobie uśmiechniętą cielec mieszkankę, która z własnego przydziału gotowała kleik ziemny, kiedy Ann miała zapalenie oskrzeli, posługaczkę z przedmieścia, która dobrowolnie prasowała jej ubrania, starszawych konduktorów autobusów, którzy cierpliwie udzielali jej wyjaśnień w zbombardowanych dzielnicach, chude kobiety z Shoreditch, która z narażeniem życia rzuciła się, aby usunąć Ann z miejsca, gdzie chwilę później runęła ściana domu. Teraz, wraz z setkami i tysiącami głosów, piewała *God Save the King*. Izy płynęły jej po policzkach.

Jedno za drugim zapalały się światła.

Światła po sześciu latach ciemności!

Trzymaj się z Lanym za rękę, w złocistym świetle zmierzchu w drowali kilometrami w stronę Weymouth Street – Lany przeniósł się do mieszkania kolegi. Tego dnia przeciwko pocałunkom Larry'ego nie miałyby nic nawet cenzura Hay Office. W przedwidzeniu Ann, Lany, wykluczony ze znajomości seks, postrzegał ich związek tak samo jak ona, jako wyraz starej jak wiat formuły „po prostu przyjaciele”.

W rzeczywistości zakochana fiaskiem próba uwiedzenia Ann przekonała Larry'ego, że obiekt jego uczucia ma nie tylko wielkie oczy, zadarty nos i zgrabną figurę „dziewczyny z siedziwą”, ale również posiada zalety moralne, które zwykle się przypisywało tej postaci. Początkowo głęboko obrażony odmową Ann, po paru tygodniach niewidzenia poczuł, że niezłomnie twierdzi jej dziewictwo wieczyście diademem najwyższych cnót kobiecych. Cnota przyszłej żony.

Trzydziestego pierwszego maja Ann zawiozła generała Mannixa do doków w Southampton. Dziesięć miesięcy wlewały się na pokład *Queen Mary*, której kolor stąpił się z ciemnym od chmur niebem. Ann serdecznie ucałowała generała, on również ciepło złożył pocałunek na jej czole. Generała oddelegowano na Ocean Spokojny, jednak udało mu się załatwić dla Ann posadź tłumaczki w paryskim SHAEF, gdzie jej pensja miała wynosić sto pięćdziesiąt dolarów miesięcznie – rzecz nie bez znaczenia, ponieważ ciagle jeszcze spłacała przyjacielskie pożyczki zacięgnięte dla Gilberte. Nie ruszyła się z miejsca, kiedy

Mannbc znikn ł w obszernych czelu ciach okr tu. Nie zwracaj c uwagi na znacz ce pogwizdywania, wodziła wzrokiem od pomostu do pomostu. Dopiero po paru minutach u wiadomiła sobie, e wypatruje oczy w poszukiwaniu wysokiego, czarnowłosego kapitana.

Głupia, głupia, głupia.

Pierwszego ranka w Pary u wynaj ła jednopokojowe mieszkanie. Do toalety schodziło si pi tro ni ej, z mebli unosił si zat chły zapach, ale okno wychodziło na place Saint-Germain, z jego słynnym starym ko ciołem, i było niedaleko do Montparnasse. Nie rozpakowuj c nawet walizki, w której tkwił cały jej dobytek, wyruszyła w stron ambasad amerykańskiej. Odesłano j do urz dnika z Departamentu Stanu, m czyzny z dra ni cym tikiem twarzy, który z wielk sumiennoci spisał wszystkie dane dotycz ce jej rodziców. Niestety, nie napawał optymizmem fakt, e na jego biurku pi trzyły si stosy podobnych notatek.

Rezygnuj c z lunchu, udała si do biur STEFMP-u przy rue Scribe. Francuscy pracownicy pakowali archiwum pod okiem oficera WAC, wysokiej rangi Amerykanki o ko skiej twarzy, której Ann nie spotkała podczas wizyty w czterdziestym czwartym. Ann przedstawiła si i wyłuszczyła swoj spraw . Porucznik Linda Dembock wyja niła z alem, e działalno STEFMP-u uznano za zbyt czynn w zwi zku z istnieniem Czerwonego Krzy a, Alianckiej Organizacji Wzajemnej Pomocy i rozmaitych organizacji ydowskich, specjalizuj cych si w poszukiwaniu zaginionych.

– Mog jednak skierowa ci do odpowiednich instytucji – zako czyła. – Jadła ju lunch?

Po drugiej stronie ulicy, w restauracji hotelu Scribe, Ann stre ciła nieliczne informacje, jakie dotarły do niej na temat pobytu Dorothy i Horace'a na terytorium wroga. W czasie lunchu i posuwania si opowie ci podłtu na twarz porucznik Dembock nabierała ze współczucia jeszcze bardziej ko skiego wyrazu.

– W przyszłym tygodniu wracam do kraju – powiedziała dopijaj c kaw – ale nie powinno by wi kszych trudno ci z wytropieniem pary Amerykanów. Jedno trzeba przyzna Szwabom, zawsze mieli porz dek w archiwach. – Restauracja zacz ła si wyludnia . Ostatnia uwaga miała zako czy zarówno lunch, jak i przesłuchanie.

– Pani porucznik, czy istniej sposoby, eby dowiedzie si czego o osobach wojskowych? – spytała rozgor czkowana Ann.

– Wojskowych? Pani ojciec był wojskowym?

– Nie, nie był. Ja... hm... Znałam pewnego kapitana z OSS. Przestał do mnie pisywa i zastanawiam si , co si z nim mogło sta .

Porucznik wyd ła usta ze zrozumieniem. Z daleka wida było co my li: kolejny wojenny romans nie wytrzymał rozstania. Skin ła r k na kelnera.

– *L'addition, s'il vous plait* – zawołała wydaj c z siebie seri ledwie zrozumiałych d wi ków. Odwróciła si do Ann. – B d w Pary u jeszcze tylko tydzie , wi c lepiej skoncentrujmy si na twoich rodzicach.

Tego samego popołudnia Ann wspinała si po pokrytych kocimi łbami schodach rue

André Antoine. Nie liczyła specjalnie na to, że zastanie Gilberte i Michela – dzięki jej prośbie nie byli skazani na zaszczerzoną piwnicę – spodziewała się jednak, że Gilberte zostawiła jej nowy adres. Drzwi otworzyła znów kłopotliwa kobieta.

– Od kiedy to – warknęła – *putains* zostawiają adres przy przeprowadzkach?

– Czy byłaby pani tak uprzejma dać jej to, gdyby się pokazała? – Na wizytówce SHAEF-u Ann wypisała swój nowy adres w Saint-Germain-des-Prés. Kobieta wzięła kartonik w dwa palce, jak kawałek używanego papieru toaletowego.

Przez następne trzy dni Ann, jak tylko nie była zajęta tłumaczeniem dokumentów w SHAEF-ie, wędrowała po Montparnassie wypytywać o rodziców. Doktor Descourset ze smutkiem potrząsnął głową. Ostatnim ze sklepikarzy i siedlów, który mógł pamiętać Blakelych, był *monsieur* Remigasse. Piekarz wyraził zaskoczenie, że *madame* i *monsieur* nie wrócili do swojej mlekiem i miodem płynącej ojczyzny.

– Nigdy ich tutaj nie widziałem.

W przypływie rozpaczliwej beznadziei Ann jeszcze raz poszła do STEFMP-u. Powitała ją rozpromieniona porucznik Dembock.

– Jak z twoim *Deutsche*? – spytała podając dwie listy do fotokopie.

Kartki drżały w dłoniach Ann, kiedy usiłowała sobie przypomnieć nieliczne słowa, których nauczyła się u *madame* Bernard. W lipcu tysiąc dziewięćset czterdziestego czwartego Horace Blakely, czysty rasowo obywatel Stanów Zjednoczonych, został zatrudniony jako rachmistrz w szwalni mundurów Stroopa w Berlinie. Drugi arkusz zawierał identyczną informację o *Frau* Dorothy Blakely.

– Czy internowanych wysyłano na przymusowe roboty do Niemiec? – spytała Ann z grymasem niedowierzania.

– Wcale nie jestem pewna, czy byli na robotach przymusowych. Mieli łatwą pracę za biurkiem. Przyjrzyj się tej pieczęci.

Swastyka okalała napis: „Złagodzony wymiar kary”.

– Nic z tego nie rozumiem. – Ann westchnęła. – Dlaczego mieliby mieć złagodzony wymiar kary? Przecież byli przedstawicielami wrogiego mocarstwa.

– Hitlerowcy niektórych cudzoziemców traktowali nie najgorzej.

– Chce pani dać do zrozumienia, że moi rodzice byli kolaborantami? – uniosła się Ann. – Moi rodzice byli patriotami. Naturalnie przestrzegali zarządzeń okupacyjnych, tak im poleciła nasza ambasada w Berlinie! Pani sobie nie zdaje sprawy, jak się żyło pod rządami hitlerowców!

– Ja też nic z tego nie rozumiem – uspokoiła ją porucznik Dembock. – Najważniejsze, że jeszcze ostatniego lata byli żywi i zdrowi.

– Gdzie są teraz?

– Najprawdopodobniej znajdują się w strefie radzieckiej. Ruscy zawsze straszliwie się limaczą przy sprawdzaniu ludzi i dokumentów. Złożyłam już podanie o odpowiednie informacje.

– To bardzo uprzejmie z pani strony – wybrała Ann nieporadnie. – Wiem, ile pani ma roboty.

Porucznik zerknęła na smutno zwieszona ramiona tryskając zwykłą energią Ann.

– Co się tyczy tego kapitana OSS, o którym wspomniała w zeszłym tygodniu, to mo liwe, że odesłano go do domu. Spróbuj może napisać na adres domowy – rzuciła na pocieszenie.

Drogi Quencie!

Pisz do Ciebie jeszcze raz na wypadek, gdyby około miliona moich poprzednich listów nie dotarło do Ciebie. Ponieważ europejskie szaleństwo przeszło do historii prawie dwa miesiące temu, zastanawiam się, czy nie wysłano Ci na Pacyfik. A może wróciłeś do domu? Wiem, że mój list nie brzmi specjalnie uprzejmie, ale kiedy jestem miła, wtedy dopada mnie straszna chandra. Moi rodzice cię gdzieś jeszcze nie znaleźli. Teraz, kiedy dociera do nas, co się działo w obozach, okazuje się, że hitlerowcy byli o wiele gorszymi potworami, niż ktokolwiek z nas przypuszczał.

Pisz do Ciebie, bo mimo wszystko bardzo chciałabym wiedzieć, co się z Tobą dzieje. Quent, tak wiele dla mnie znaczysz, i to pod każdym względem. Nie zwracaj uwagi na moje sentymentalne aluzje, jeśli czujesz, że Ci już nie dotyczą. Poza wszelką czułościowość jestem Ci do zgonnie wdzięczna za to, że mnie uratowałeś. Bez Twojej pomocy zapewne byłabym dowołać na tamtym wiecie.

Po paryskim stemplu domyśliła się zapewne, że jestem z powrotem w moim ulubionym mieście. Niech nie robi na Tobie zbyt wielkiego wrażenia nadruk SHAEF-u na papierze listowym. Jestem tylko skromnym tłumaczem nudnych biurokratycznych banialuk.

Na koniec coś weselszego. We wrześniu spotkałam Gilberte, była cudowna. Jeśli dotąd nie napisała do Ciebie, na pewno zrobi to niebawem.

Twoja na zawsze Ann

Nie czytając tego, co napisała, włożyła papier do koperty i podeszła szybko do lady, na której leżały książki telefoniczne całych Stanów Zjednoczonych. Odszukała główny oddział banku Dejongów na Manhattanie, zaadresowała list i wrzuciła do skrzynki.

Przez następne dni co chwilę rumieniała się z zawstydzenia. Olbrzymia fortuna Quenta stanowiła zawsze nieprzebrany mur między nimi. Teraz ten mur pokrywał szyderczy napis: Ty kretynko! Ty skoczona idiotko! Kto ci kazał wypisywać ten stek cikliwych bredni? Jesteś Panną Znikąd, a on jest multimilionerem.

W drodze przed wyjazdem porucznik Dembock z Paryża, Ann po przyjeździe do pracy znalazła na biurku wiadomość: „Przyjdź do biura STEFMP-u o wpół do czwartej”. Pobiegła na drugi koniec korytarza, aby poprosić wojskowe zwierzchnictwo o zwolnienie na jeden dzień. Spędziła rano włócząc się bez celu dookoła Opery i kręcąc się po Galeries Lafayette i Au Printemps, najwielkich, na dzień zaopatrzonych okolicznych domach towarowych. O drugiej czekała już na dziedzińcu przed budynkiem, w którym STEFMP miał swój siedzibę.

Punkt o wpół do czwartej usłyszała kroki porucznik Dembock w przypominającym tunel wejście do budynku. Powitały się w milczeniu. Porucznik zaprowadziła Ann do pustych pomieszczeń biurowych na piętrze, rozłożyła dwa poobijane składane krzesła.

– Niedobre wiadomości, prawda? – odgłosiła Ann.

Twarz pani porucznik wyci gn ła si w ko skim grymasie.

– Dokumenty przysły wczoraj ze strefy rosyjskiej.

– Matka... ?

Porucznik Dembock poło yła dło na kolanie Ann, zaraz jednak cofn ła j i zacz ła si bawi zapi ciem podniszczonej teczki.

– Ann, kochanie, twoja matka umarła zeszłego lata w sierpniu.

– Umarła?

– Rzekomo na gru lic . Jednak szwaby lubiły upi ksza , co si tylko dało, a ju szczególnie wiadectwa zgonu.

– Dwa razy była bardzo ci ko chora. – Ann zaschło w ustach, ledwie mogła porusza j zykiem. – A tato?

– Pod koniec czterdziestego czwartego roku przewieziono go do Dachau.

– Dachau. Jezus Maria...

– Zgon nast pił dwudziestego pierwszego marca tysi c dziewi set czterdziestego pi tego roku – oznajmiła porucznik Dembock z westchnieniem. Rozło yła zadrukowany arkusz papieru. – Tutaj jest wywiad z innym wi niem. Oryginał, naturalnie, był w j zyku rosyjskim, wi c kazałam go przeło y . – Porucznik zacz ła gło no czyta .

Tłumaczenie nie wspominało, e Horace był jedn z niezliczonych ofiar zabójczej niemieckiej biurokracji. Próbował zdoby lekarstwo dla umieraj cej Dorothy. Oficer, do którego zwrócił si w tej sprawie, nie otrzymał odpowiednich instrukcji na temat traktowania osób „na specjalnych warunkach” i na wszelki wypadek odesłał Horace’a, jako obywatela wrogiego mocarstwa, na najci sze roboty do obozu.

Kobięcy głos, starannie wyczuty z wszelkich emocji, monotonicznie odczytywał akapit, w którym wi zie opowiadał, e spali z Horace’em w jednym baraku i wykonywali t sam mordercz prac , polegaj c na d wiganiu beczek z kwasem r cym, pod ci arem których p kały im kr gosłupy.

– Tato? Przecie wypadł mu dysk.

– Ci gle nie mog oswoi si z tym, jak Niemcy traktowali swoich bli nich. – Porucznik Dembock znów podj ła lektur – „Horace Blakely zmarł z przem czenia, głodu i zatrucia wyziewami szkodliwymi dla płuc. Towarzyszyłem mu w jego ostatnich chwilach. Był pogodzony ze mierci , wspominał o poł czeniu si z on ”.

Ann wzi ła arkusz do r ki. Rzy liter przed oczami miały dla niej równie mało sensu, jak akrostychy, które rozwi zywała jej matka, a raczej – jej zmarła matka.

Jak mogłam ich zostawi ?

Byli zupełnie bezbronni – nie znali nawet niemieckiego. Potrzebowali mnie.

yj , poniewa oni umarli.

Umarli, a ja yj .

Ka d cz steczk jej umysłu przenikało pal ce poczucie winy człowieka, który prze ył, irracjonalny wstyd, który nigdy nie miał jej opu ci . Te blizny nie miały si nigdy zagoi ani znikn . Nagle poczuła si osaczona zewsz d plugastwem. Jaka nieokre lona potworno przylg n ła do jej okaleczonej duszy. Zadr ała gwałtownie pod dotkni ciem czego , co w

dawnej demonologii nazwano by Szatanem, Szatanem, który wstąpił na Ziemi, aby zamienić ją w pejzaż piekieł. W prozaicznym wieku, w jakim przyszło jej żyć, o działaniu sił nieczystych ludzie dowiadawali się głównie, studiując raporty i doniesienia z Oświęcimia, Treblinka, Dachau...

Pusty gabinet i porucznik Dembock zniknęli ze wiadomości Ann.

Zatonęła w wirze zła, okrucieństwa i skocznej podłości, jej nozdrza przeniknęły smród gnijących ciał ludzkich, żywych i zmarłych, na spierzchniętych wargach czuła smak ludzkiego popiołu, głód kurczył się z głodu, tak przejmująco, że kał z cieczy ciała odebierała pokarm, słyszała wrzaski esesmanów w czarnych garniturach, czołgała się pod ostrzałami ich karabinów, kuliła pod razami batogów, uciekała przed klami wilczurów i dobermanów. Wdychała rzyśce chemikalia, a zaciskały się nozdrza, a poparzone płuca odmawiały oddechu.

Uświadomiła sobie, że płacze, dopiero kiedy porucznik Dembock dotknął jej ramienia. Szloch przybrał na sile. Porucznik, która obcowała na co dzień z alem i wybuchami hysterii, spoliczkowała Ann. Kiedy i to nie poskutkowało, siłą sprowadziła zanosząc się szlochem dziewczyną na dół, zatrzymała jedną z taksówek, które znów krężyły ulicami Paryża, i kazała się zawieźć do amerykańskiego szpitala w Neuilly.

Z dni spędzonych w szpitalu w pamięci Ann zostało bardzo niewiele realnych wspomnień. Wróble, głochowierkające na platanie za oknem. Ciepła, pachnąca chlebem pielgniarka z Missisipi. Szorstki dotyk szpitalnych kołder i poduszek. Zgnębiony, sztuczny uśmiech Larry'ego, kiedy spytała go podczas pierwszych odwiedzin, czy jest już po tamtej stronie. Pogrońona w otępieniu, w którym nie istniał czas, nie przyjmowała pokarmów, nie reagowała na ludzkimów, a wypowiedzi urywała w pół zdania.

Przysadzisty major z obrzmiałymi workami pod oczami odebrał nietkniętą tacę od Ann i przysunął krzesło do jej łóżka.

- Ann – powiedział – jestem psychiatr. Spróbujmy porozmawiać o twoich problemach.
- Problemach?
- Wiesz, dlaczego się tutaj znalazła?
- Bo strasznie płakałam.
- Chcesz, abyśmy porozmawiali o twoich rodzicach?
- Oni już nie żyją.
- Przeżyła wielki szok.
- Czy to są przymiarki do kaftana bezpieczeństwa?
- W każdym wypadku. Opowiedz mi o nich.

Opowiadała przez ponad pięć godzin. Maniakalnie. Powtarzając te same szczegóły. Bez końca mówiła o tym, jak się dla niej poświęcali, ciułać pieniądze na kursy u *madame Bernard*, dzieląc się z nią racjami żywnościowymi.

- Jak mogłam ich tak zostawić? – powtarzała w kółko.

Z rzadka tylko odzywając się, major podawał jej kolejne chusteczki do nosa. Za oknami zapadł zmrok. Major zapalił światło.

– Ann, jest już po ósmej. Musz i . Chciałbym jednak, eby wzięła jedno pod uwagę .
Twoi rodzice sami zdecydowali, e zostaj e we Francji. Nie miała w ich decyzji udziału.

Kiedy wyszedł, wyczerpana opu ciła głow e na poduszk e . Słowa majora w najmniejszym stopniu nie uwolniły jej od poczucia winy. Potok wynurze nie przyniósł adnej ulgi.

Od tego dnia zaczęła jednak grać przed wiatem. Z radosnym uśmiechem zmiatała wszystko, co było na tacy. „Słuchała” radia przy łóku, „czytała” ka d powie , jak wypo czyła dla niej piel gniarka z Missisipi. Rozci gała wargi w pozorowanym uśmiechu, malowała usta przed wizytami Larry’ego.

Coraz wprawniej odgrywała swój rol e . Piel gniarki zaczęły j nazywa słońcem. Doktor Gold, sm tny internista z pobru d onym czołem, o wiadczył, e Ann jest jedyną pacjentk , która poprawia mu humor.

Zwolniono j e po dziesięciu dniach. Larry, z chłopi c tkliwo ci e w oczach, odwiózł j e do domu. Kiedy w nast pny poniedziałek wróciła do SHAEF-u, pracownicy jej działu powitali j e serdecznie, a dwoje tłumaczy z tego samego biura zaprosiło j e na lunch do Fouqueta. Ani oni, ani Larry w rozmowie nie robili najmniejszych aluzji do mierci rodziców i epizodu choroby psychicznej.

Na pocz tku sierpnia dostała list wysłany tego samego dnia rano z robotniczego przedmie cia Saint-Ouen. Nadawca podpisywał si e Fifo Jullien, ale charakter pisma zdradzał r k Gilberte.

Gilberte Pary , 1945-1946

Fifo Jullien – Gilberte – mieszkała w Saint-Ouen. Ann, jak wszyscy, słyszała o słynnym pchlim targu w Saint-Ouen – jechała tam jednak po raz pierwszy w yciu. Saint-Ouen, przedmie cie Pary a, nigdy nie było zamo n dzielnic , a i wojna nie obeszła si z nim łaskawie. Ann mijała ruiny byłych fabryk, wyrwy po kamienicach czynszowych, lady zniszcze dowodz ce zr czno ci bombardierów obu walcz cych stron.

Gilberte wynajmowała mieszkanie nad zabitym deskami sklepem elaznym przy rue des Rosiers. Li cik brzmiał: „Przyje d aj natychmiast”. Ann, która niedawno przetłumaczyła tajny raport o rosn cej miertelno ci niemowl t, miała dziwn pewno , e została wezwana z powodu Michela. Gło no zastukała do drzwi, na których wisiała r cznie wypisana wizytówka.

Pani Fifo Jullien Przeróbki A wi c nadzieje na karier modystki zawiodły – zd yła pomy le Ann, zanim Gilberte po piesznie otworzyła drzwi. Krucze włosy, si gaj ce ju za uszy, przewi zała kawałkiem sznurka. Wyblakły wzorzysty fartuszek szpeciły wilgotne plamy; na długich w skich stopach nie miała butów. Wyczuwaj c pewn protekcyjnalno w speszonym spojrzeniu Ann, Gilberte popatrzyła jej prosto w oczy, unosz c w gór cienkie brwi. Ann, w prostej spódniczce, któr sama uszyła z kuponu jasno ótego sztucznego jedwabiu, i białej bluzce przywiezionej ze Szwajcarii, której wystrz pione mankiety i kołnierzyk obszyła tym samym materiałem, w jednej chwili poczuła si przebrana krzykliwie jak papuga.

– Witaj w Saint-Ouen – powiedziała Gilberte. Skin ła w stron pi cej na kanapie staruszki, obok której, na dywaniku, poniewierała si sztuczna szcz ka. – Moja czcigodna gospodyni, *madame Pic*. Wynajmuj od niej jeden pokój.

W sypialni dziecko zaniósło si znu onym płaczem. Twarz Gilberte w jednej chwili przybrała wyraz gł bokiego niepokoju. Rzuciła si do drzwi. Ann poszła za przyjaciółk .

Niewielki pokoik był straszliwie zagracony. Na wieszakach za maszyn do szycia wisiały na cianie n dzne pofastrygowane ubrania, głównie w czarnym kolorze. Na sznurku nad w skim łó kiem suszyły si malutkie pioszki i kaftaniki. Suche, nie wyprasowane ubranka pi trzyły si na toaletce.

Michel le ał w elaznym odrapanym łó eczku.

– Boli, *maman* – j czał wtulaj c lew połow twarzy w prze cierałto. Policzki miał rozpalone. Urósł, od kiedy Ann widziała go przed rokiem, ale nie przytył ani troch .

– Cze , Michel – wyszeptła przykucaj c. Przez pr ty łó eczka posłała mu u miech. – Nazywam si Ann. Poznali my si , kiedy byłe jeszcze dzidziusiem.

Dziecko przygl dało jej si nieufnie. Miało czkawk i oczy zaczerwienione od łez.

– Zapalenie uchwy – wyja niła Gilberte, wy ymaj c r cznik w miednicy z zimn wod .
– Wygl da, jakby zimny okład pomagał.

– Mo e powinny my wezwa doktora?

– W tej okolicy praktykują same autorytety medyczne najwyższej klasy. Ostatni lekarz, który tu przyszedł, był pijany. Jego poprzednik zaproponował pijawkę.

Gilberte przyłożyła małemu zmoczonym szmatką do policzka.

Czkawka powoli przeszła w kwilenie. Dziecko zapadło w niespokojny sen.

Gilberte pochyliła się nad kołyską. Ustami dotknęła czoła.

– O wiele chłodniejsze. Niepotrzebnie ci tutaj cięgałam.

– Dlaczego nie napisała wczoraj? Gilberte, ja naprawdę chciałabym wam pomóc.

– Nasza wierna, niezawodna Ann.

Kiedy takie ironiczne podsumowanie doprowadziłoby Ann do szału, teraz jednak ta uwaga sprawiła dziwnie przyjemność. Gilberte stała się jedynym punktem orientacyjnym w jej życiu.

– Owszem, sprowadza mnie tutaj psia wierność. – Westchnęła. – Gilberte, jesteś jedyną osobą, jaka mi została.

– Chcesz powiedzieć, że twoi rodzice się nie znaleźli? Mówiły szeptem, żeby nie obudzić Michela.

– Mama zmarła gdzieś w Niemczech – wydusiła z trudem Ann. – Rzekomo na zapalenie płuc, ale najprawdopodobniej z głodu. Biedna mama... zawsze musiałam z nią walczyć, żeby nie oddawała mi swoich przydziałów. Była straszliwie wycieńczona.

– Jak się znalazła w Niemczech?

– Nie wiem.

– A ojciec?

– Też tam... Gilberte, wysłali go do Dachau. W pasiaku dźwiżył beczki z kwasem... Mój przyjaciel, który mieszkał z nim w jednym baraku, utrzymuje, że zmarł spokojnie śmiercią. Był zawsze dobrym ojcem, prawym, kochanym, pocziwym. Mama miała ten cudowny optymizm, we wszystkim umiała się dopatrywać dobrych stron. Sama zresztą wiesz, jak byli.

Gilberte, która uważała Dorothy za koszmarnie ubraną purytankę, a Horace'a za pyszałkowatego niedołąg, współczuła wycieńczeniu ich zrozpaczonej córce.

– To okropne straciła rodziców, i to w dodatku oboje naraz. – Dotknęła dłoni Ann.

– To moja wina, że umarli – Ann wytarła oczy. – Nigdy nie powinnam była wyjechać z Francji.

– Przestała się wygłupiać – Gilberte podniosła głos. – Masz chyba do siebie rozum, żeby nie popadać w solipsyzm. Winę niech ponoszą winni. Twoich rodziców zabili hitlerowcy.

– A ty nie czujesz się winna temu, co się stało z... ?

– Z *papa* i z *maman*? Owszem, czuję się winna. Ale wycieńczeniu dlatego, że człowiek, który zadenuncjował mojego ojca, nie został dotąd ukarany.

– Co by ci z tego przyszło?

– Hocherer załatwił karne przeniesienie kapitanowi gestapo i jego ordynansowi, a także dwóm „przesłuchującym” z ramienia SS. Cała czwórka oddała życie za *Führera* podczas bitwy pod Stalingradem.

– Poczuli się po tym lepiej?

– O Bo e, ty naprawd jeste cnotliw chrze cijank ! Owszem, poczułam si o wiele lepiej. Ann, mój ojciec w ostatnich słowach wymógł na mnie obietnic , e ukarz donosiciela. Oddelegowanie na front wschodni to jeszcze za mało dla takiej kreatury.

– Przecie to ju i tak nic nie pomo e. To takie... beznadziejne.

– Mo esz mi wierzy , e ta glista, wraz z całą swój rodzin , dobrze jeszcze popami ta t beznadziej . – Przerwała składanie ubranek Michela i chwyciła si za plecy. – Bo e, ale jestem zm czona.

Ann zło yła m ciwy nastrój Gilberte na zm czenie i trosk o dziecko.

– Przyniosłam par rzeczy z PX-u – powiedziała. Z płóciennej torby na zakupy wyj ła puszk kawy Chase & Sanborn.

Piły z fili anek nie od kompletu, kiedy Michel obudził si ze szlochem.

– Michel, chcesz do mnie na kolanka? – spytała Ann. Kiwn ł głow z nieszcz liw min . Ann wyci gn ła go z łó eczka. Przytulił si mocno, pocieraj c uchem o jej rami . Ruchy jego leciutkiego ciała dziwnie si w ni wtapiały. Poczua, e nie wie, gdzie ko czy si ona, a zaczyna dziecko i jego nieszcz cie.

ywa, serdeczna natura Ann nie pozwoliła jej sk pi nikomu uczu . Nami tna miło , jak darzyła w my lach groby zmarłych rodziców, miała jaki makabryczny egipski posmak. Tul c rozgor czkowane dziecko przyjaciółki, prze ywała, mimo l ku o jego zdrowie, g ł bok ulg . Michel otworzył tamy powstrzymywanych uczu , czua, jak zalewa go swój miło ci .

Wkrótce znów zasn ł i Ann odło yła go delikatnie do łó eczka.

– Mam znajomych w ameryka skim szpitalu – powiedziała. – Wezw lekarza.

– Twoja ufno w niewyczerpan dobro rodaków jest rozczulaj ca. Na pewno nie zechc leczy Francuza.

– Gdzie tu jest telefon?

– Niech no si rozejrz . W tak luksusowym otoczeniu z pewno ci znajdzie si jaki telefon. – Gilberte wybuchn ła nieszczerym, stłumionym miechem.

– Gdzie wobec tego jest najbli szy aparat?

– Po drugiej stronie pchlego targu, tam gdzie siedz garncarze.

W saty handlarz starzyzn sklejał fajansow misk , pomstuj c na upadek usług telefonicznych od czasu wycofania si Niemców. Ann, czekaj c bez ko ca na poł czenie, w duchu przyznawała mu racj . Kiedy wreszcie dodzwoniła si do szpitala, kobieta w centrali poinformowała j z paryskim akcentem, e wszyscy lekarze s na obchodzie, po czym odło yła słuchawk .

Dodzwoniła si do Larry'ego w OWI i prosiła, a wła ciwie ubłagała, eby pojechał do szpitala.

– Poszukaj doktora Golda, on mnie b dzie pami tał, powiedz, e prosi go „Słoneczko”. Synek Gilberte ma potworne zapalenie ucha. Jest cały rozpalony.

– Dzieciaki łatwo gor czkuj . Mo esz mi wierzy , miałem trzech młodszych braci. – Chocia Lany cz sto rozwodził si nad urokami ycia w wiecznie ciepłej południowej Kalifornii, rzadko wspominał o swojej rodzinie. – Zawsze który z nas miał gor czk . Mama wkładała wtedy delikwenta na chwil do wanny z letni wod . U dzieci wszystko wygl da o

wiele powa niej...

– Złap doktora Golda! Złap jakiegokolwiek lekarza! – przerwała mu Ann tak gwałtownie, że kropelki liny wyl dowały na aparacie.

Po powrocie zastała Gilberte z Michelelem na kolanach. W pewnym momencie chłopczyk zeszywniał i wygi ł si do tyłu. Wargi mu zsiniały, oczy wywróciły si białkami do góry, twarz spurpurowiała. Przestał oddycha . Wydał z siebie przera liwy pisk, przypominaj cy skrzek egzotycznego ptaka. Zgi te w łokciach r czki zatrzepotały jak wywichni te skrzydła. Małe nó ki wierzgały bezsilnie.

– On umiera... – wyszeptała Gilberte.

Ann chwyciła wij ce si w konwulsjach dziecko, zdumiona si , z jak próbował si jej wyrwa .

To prawda, on umiera – pomy lała, zaraz jednak wróciła jej jasno my lenia. Przypomniała sobie pocieszaj c opowiastk Larry’ego.

– Gdzie jest łazienka?

– Tutaj.

W łazience *madame* Pic myła twarz, pochylona nad umywalk .

– Gilberte, napełnij umywalk letni wod – poleciła Ann, odsuwaj c bezceremonialnie wła cicielk . Staruszka zaprotestowała, co mamroc z c.

Czekaj c, a woda si naleje, Ann i Gilberte usiłowały rozebra przera one, wrywaj ce si dziecko. Obłuczona umywalka napełniła si , zanim zd yły zdj majteczki, i Ann zanurzyła go tak, jak stał.

Po paru minutach dzikie, nieskoordynowane ruchy ustały. Szepcz c uspokajaj ce słowa, Ann zdj ła Michelowi ociekaj ce wod majtki. Le ał teraz bezwładnie w umywalce. Zadzwoił dzwonek. Wszedł Łany, a za nim doktor Gold. Ann opisała konwulsje.

– Bardzo dobrze zrobiła – pochwalił lekarz. – Michel, mamusia wytrze ci teraz i poło y do łó eczka – zwrócił si do chłopca zno n francuszczyzn – a ja zobacz , czy b d ci mógł pomóc.

Podczas badania Michel le ał spokojnie, dopiero kiedy Gold wprowadził otoskop do lewego ucha, mały krzykn ł i zacz ł si wrywawa . Lekarz wyj ł strzykawk z torby. Napełnił j .

– B d musiał ci ukłu w *derriere*, Michel. Troszeczk zabol, ale zaraz poczujesz si lepiej. – Wbijaj c igł w chudziutki po ladek dziecka, powiedział: – Penicylina.

Kiedy Gilberte ubierała szlochaj cego malca, Gold wyprowadził Larry’ego i Ann do ponurego, cuchn cego gnij cymi odpadkami przedpokoju.

– Musimy teraz zaczeka – poinformował.

– Jak to „zaczeka ”? Przecie dał mu pan penicylin . – Ann, ucieszona powodzeniem swoich zabiegów, słysz c pow ci gliwy ton lekarza, nachmurzyła si .

– Penicylina zupełnie niesłusznie uchodzi za czarodziejskie remedium. Wywołuje najró niejsze reakcje. Michel jest niezwykle wychudzony. Nie jestem pediatr , ale przypuszczam, e jest skrajnie wyniszczony z niedo ywienia. Je li penicylina nie zadziała, trzeba b dzie operowa .

– Operowa ? – resztki pogody opu ciły Ann.

– Infekcja doszła do ko ci. Nie mo na dopu ci do infekcji w bezpo rednim s siedztwie mózgu.

Tej nocy Michel spał spokojnie pod baczny spojrzeniem Ann i Gilberte. Przebudził si dopiero o wicie. Uniósł główk i posłał im zdziwione, zaspane spojrzenie. Przystał pociera ucho. Kiedy Gilberte wyj ła mu z pupki termometr, który zostawił jej Gold, rt si gała równo do czerwonej kreski. Nie miał gor czki.

Ann, uszcz liwiona, wskoczyła do metra i pojechała do kwatery głównej SHAEF-u – do Saint-Ouen pop dziła zostawiaj c biurko zarzucone stert nie doko czzonej roboty.

Był szósty sierpnia.

Przepisywała mow obronn breto skiego kolaboranta, kiedy z korytarza doszły j radosne m skie pokrzykiwania. Nie zwróciła na nie uwagi. Po chwili młody adiutant wetkn ł w drzwi głów .

– Słyszała , mała, co si w tej Japonii wyprawia? Istny Ming z planety Mongo! B-29 rzucił supernowoczesn bomb ; rozwaliła w proch jakie wielkie miasto, Hiroco tam, czy co w tym rodzaju. Jedna bomba, i po wszystkim! Nieoficjalnie, mówi si ju , e ótki b d si musiały podda .

W hallu ludzie padali sobie w obj cia, zacz ły kr y butelki szampana, z radosnym hukiem wystrzeliły korki. Gł boki, m ski baryton zanucił *Gwia dzisty sztandar*.

– *Oh, say, you can see by the dawris early light...*

Doł czyły inne głosy. Nadchodz ce zwyci stwo zjednoczyło wszystkich Amerykanów – tych, którzy walczyli na froncie, z tymi, którzy walczyli zza biurka, wysokich rang wojskowych z szeregowcami i urz dnikami w cywilu. Łzy płyn ły po policzkach m czyzn i kobiet. Dobiegła ko ca wojna, w której gin li ich bracia, synowie, kochankowie, m owie, kuzyni, przyjaciele... wojna, która wyrwała im cztery lata z ycia. Błogosławiona bomba miała poło y kres zmaganiem, które pochłon ły pi dziesi t milionów ludzkich istnie i nieodwracalnie zmieniły oblicze Ziemi. Wreszcie po latach b d mogli wróci do domów.

Gł boki głos zaintonował *Bo e, błogosław Ameryk* , a potem *Pi kn Ameryk* . Ann, która nigdy w yciu nie widziała, jak ja niej opisane w pie ni alabastrowe miasta, przyłapała si na rozmy laniu, czy Nowy Jork, Chicago i Los Angeles równie wyparowałyby pod bombami rodem z *science fiction*.

piew powoli rozpadł si w beładne wersje *Wróc do domu na Wigili* , *Do zobaczenia, Sentymentalnej podró y* i *Chłopaków z blaszan tr bk* . Zjawił si Larry, chwycił Ann w obj cia i ucałował.

– Zabieram ci do domu, jako pami tk z Pary ewa – zawołał przekrzykuj c harmider.

– Larry, sentymentalny szale cze, jeste całkiem pijany.

– Nie tak całkiem. Słuchaj, kto wreszcie musi zrobi z ciebie przyzwoit kobiet . Dlaczego tym kim nie miałyby by uroczy, dobroduszny, niefrasobliwy m czyzna?

Pochylił si całuj c j z pijackim, niemniej rozczulaj cym szacunkiem. Wyj za m za Larry’ego? Przymkn ła oczy, przeczekuj c jego pocałunek. Pod powiekami zobaczyła twarz

Cluenta, tak wyraził, że widać było lady po ospie wokół oczu i ust. Wyrwała się z objęcia Larry'ego.

– No to jak? – spytał. – Tak, czy nie?

– Larry Porter, czy mnie oczy mylą? – zahuczał czerwony na twarzy kapitan, obejmując ich naraz oboje. Ucałował Ann i walnął Larry'ego po ramieniu.

Okazał się kumplem z OSC.

Przez kolejnych pięć minut z wymuszonym uśmiechem słuchała o wyczynach Larry'ego i rumianego kapitana w czasach, kiedy zdobywali szlify oficerów i dywizyjentów. Ann odwróciła się od towarzystwa. W gabinecie ukryła twarz w dłoniach. Pomyślała o rodzicach i Oucencie. Czy kiedykolwiek spotka mężczyznę, który nie będzie dla niej wyjątkiem zamiast Ouenta? Kiedy zadzwonił telefon na biurku, otarła łzy.

– Nie wiem, od ilu godzin próbuję się do ciebie dodzwonić, pod jeden z waszych numerów – odezwała się Gilberte.

– Zrzucili my nowy rodzaj bomby na Japonię. Będą musieli się poddać...

– Gorączka znowu się podniosła – przerwała jej Gilberte. – Musiałam go zostawić, żeby zramolał ją dziesięć!

– Zaraz przywiozę lekarza! – rzuciła Ann, modląc się w duchu, żeby kapitan doktor Arnold A. Gold był akurat w szpitalu.

Widz ją, jakby powiedział do Saint-Ouen, gdyby wiedział, kto spłodził Michela.

– To porządny człowiek.

– Bez wątpienia. Powiedz mi jednak, ilu porządnym ludzi pochodzenia żydowskiego kocha potomstwo niemieckich feldmarszałków?

Od telefonu minęły już trzy godziny. Lekarz dał Michelowi zastrzyk z penicyliny i wrócił do szpitala w towarzystwie.

– Powiedział, że już jest mniej ropy – pocieszyła ją Ann.

– Bo dostał penicylinę. Michelowi przydałoby się obywatelstwo Stanów Zjednoczonych.

– Może twoi amerykańscy krewni mogliby was zaprosić?

– Moim jedynym amerykańskim krewnym jest Quent. – Gilberte zatrzymała topazowe oczy na twarzy Ann.

– Miała od niego jakieś wiadomości? – zdobyła się na pytanie, które od dawna miała na karku.

– Parę razy – odpowiedziała Gilberte, nadal wpatrując się nieruchomym wzrokiem w Ann. – Ostatni list przyszedł parę tygodni temu.

– Wrócił do domu?

– Tak, jest w Nowym Jorku. Pisze, że dopadły go widma przeszłości. Nadal zabawia się z *les femmes*.

– Liczba mnoga? – Chichot Ann zabrzmiał nieszczerze.

– Jedno niewinne dziewczę wymienia cię, a inne nie.

– Co poważył się?

– Na to wygląda. Był może zostanie jego pierwszym.

– Wie, jak kiepsko radzicie sobie z Michelem?

- Nie wie o istnieniu Michela – odburknęła Gilberte.
- Gdyby mu napisała, na pewno by ci pomógł.
- Nie zniścis do ebrania.
- Ale Michel...
- Michel jest de Permontem. On te nie będzie nigdy ebrał.

Po wyjściu przyjaciółki Gilberte wyciągnęła się na łóżko, zaciskając pięści.

Nie miała pojęcia, czy Quent żyje czy umarł. Nie dostała od niego żadnych listów. Skłamała i teraz głębię tego wstydziała.

Nigdy nie oszukiwała samej siebie i tym razem też doskonale wiedziała, dlaczego okłamała Ann. Od samego początku znajomości zawdzięczała jej tak wiele. Ann porzuciła dla niej wszystkie koleżanki od *madame* Bernard – w oczach Gilberte nie była to żadna ofiara, jednak Ann, jak to Ann, potrafiła się doszukać zalet u każdego z paplających, beznadziejnych dziewcząt z klasy. Do tego dochodziła po cichu. Nie przeżyłaby z Michelem, gdyby nie pieniądze Ann. A teraz – Gilberte spoglądała na uśmiechniętego spokojnie synka – penicylina, która uratowała dziecko. Bo e, jak bardzo nienawidziła zawdzięczać komukolwiek! To była nie nieugięta duma, a tak e bardzo ludzka pycha kazała jej wymierzyć par prztyczków Ann. Chciała, żeby jej dobroczyca był takim samym nieszczęśliwym jak ona. Udało jej się wydobyc na światło dzienne cały komizm dziewczęcego zauroczenia Quentem – wietliste piwne oczy Ann zwilgotniały. To, że znała powody swojego kłamstwa, nie znaczyło, że umiała nad nim przejść do porządku dziennego. Przepełniona odrazą do samej siebie, z całej siły uderzyła pięścią w poduszkę.

Pod działaniem penicyliny zapalenie ucha ustąpiło. Michel dostał ostatni zastrzyk od Golda dziewiętego sierpnia, kiedy druga bomba zniszczyła Nagasaki.

Piętnastego sierpnia, w dniu podpisania kapitulacji przez Japonię, Michel nie miał gorączki już od czterech dni.

Malutka – ostudził jej zapalony Larry – nie ma najmniejszej szansy, żeby Gilberte z dzieckiem przedostała się za Atlantyk.

– Ale przecie *charge d'affaires* powiedział, że mogłabym...

– Nie zapominaj, że byłem przy waszej rozmowie. Ann, ty zawsze słyszysz to, co by chciała usłyszeć. Powiedział to, co ci mówi: chociaż wojna się skończyła, przez najbliższych par lat nie będzie miejsc na statkach. Pierwsze stwo będą mieli wojskowi i cywile, tacy jak ty. Może za par lat, kiedy wszystko się trochę poluzuje, będziesz mogła ich zaprosić na wakacje – powiedział. – Gdyby *charge d'affaires* wiedział, że Michel jest synem hitlerowskiego bohatera wojennego, nie obiecywałby nawet tego. – Udział feldmarszałka w trzech zamachach na życie Hitlera nigdy nie dotarł do wiadomości publicznej. Gilberte miała opory, żeby powiedzieć o tym Ann; brzmiałoby to jak próba oczyszczenia Hochepera, a tym samym usprawiedliwienia, że z nim była.

– To wszystko jest bardzo niesprawiedliwe.

– Zgadzasz się z tobą. To znakomity malec. – Larry wiedział, jak nawiązać kontakt z Michelem. Poprzedniego dnia chłopiec, który nie chciał prawie nic brać do ust, na kolanach

Lanyego wstrząsnął całą puszkę skondensowanego mleka Nestle z PX-u. – Jednak w obecnej sytuacji nie mają najmniejszych szans na wyjazd do Stanów.

Spacerowali w pobliżu mieszkania Ann. Było piękne sierpniowe popołudnie, studenci i literaci tłumnie obsiedli stoliki wystawione przed Deux Magots. Ciepłe powietrze naszczone zapachem wina rozbrzmiewało gwarem za artystycznych dyskusji.

– Napij się? – spytał Larry. Potrzebujesz głowa.

– Jest tylko jeden sposób, żeby go przemycić. – Larry przystanął obejmując Ann. – Pamiętajmo o skromnych propozycjach, jak ci złożyłem zaraz po tym, jak posadzili my grzyby nad Hiroszim?

Propozycji nie ponowił i Ann chętnie złożyła ją na karb szampana i podniecenia historycznych chwil.

– Mówisz o...

– Tak, mówię o tym wleżałem. Ann wyswobodziła się z jego objęcia.

– Moglibyśmy go zaakceptować – dorzucił Larry.

– Akceptować? Larry, widziałe ich przecie razem. Nie odda go za żadne skarby.

– Odda, jeśli by wiedziała, że to jest tymczasowe.

Moglibyśmy nie wypełniać formalności do końca. Kiedy sytuacja się poprawi, odwieziemy go z powrotem do Francji.

– Larry, jesteś naprawdę bardzo kochany. – Dotknęła jego policzka.

– Naiwna. Proponuję ci małżeństwo z całym innymi powodów. Kiedy jesteś przy mnie, mała, wierzę, że ptaszki i dzwoni dzwoneczki.

Ann zawróciła i ruszyła przed siebie.

– Dobrze, powiem ci całą prawdę – owiadczył ledwie dosłyszalnym głosem. – Tata wcale nie jest pełnomocnikiem Onyxa, handluje używanymi modelami i, przynajmniej do wojny, kiepsko mu się wiodło. Skąd miałem wziąć pieniądze na studia? Bijałem cię z tym UCLA. Pracowałem na stacji Standarda i chodziłem na wieczorowe kursy dziennikarstwa w City College. Mama wkładała nas do wanny z letnią wodą, bo nie stać nas było na lekarza. Jeśli przychyli się do mojej propozycji, będziesz miała z wojskowej odprawy z kłamczuchem i hulak.

– Nie o to mi chodzi, Larry.

– Wiem, że mnie nie kochasz – powiedział dziwnym, pokornym tonem, który pierwszy raz słyszała w jego ustach. – Ale jest przecie stare porzekadło o onach, które zakochują się w swoim mężu.

Wyobraziła sobie, jak wysoki przystojny mężczyzna w nieskazitelnym smokingu opowiada młodzieńczej dziewczynie w białej modelowej sukni bez ramiączek o krety skimił cię od pewnej koszarnej dziewczyny z Francji, od której przez dwa lata nie mógł się odczepić.

Z czasem o nim zapomnieli – pomyślała. Małżeństwo oznaczało, że Michel będzie żył. Poza tym Larry był zabawnym i kochanym chłopcem.

– Daj mi trochę czasu do namysłu, dobrze, Larry? Weź ją za rękę.

– Ale naturalnie. Pięć minut, dziesięć... ile tylko zechcesz.

Ja i Larry bierzemy lub.

– Czy dlatego musiałam wychodzić z domu i zostawiać Michela z tobą bez rodziców? Aby dowiedzieć się o czymś, o czym wszyscy wiedzą?

– W przyszły czwartek.

– Moje gratulacje. A teraz wracajmy do domu.

– Gilberte, mówiłam ci, że będziesz starała załatwić jako Michelowi przejazd do Stanów.

– Kropla letniego deszczu rozprysła się na chodniku. – Mógłby jechać z nami.

– Naprawdę?

– To znaczy, musielibyśmy powiedzieć, że go adoptujemy.

– Podróż po Lubnie we troje? – spytała szorstko Gilberte, zaciskając pięści.

– Larry ma przyjaciela w Departamencie Stanu, który mógłby nam pomóc ominąć pewne formalności.

Kolejne krople rozbryzgiwały się o chodnik.

– A dla mnie jakie miejsce przewidzieli cię w tym zgrabnym schemacie?

– Bylibyśmy jego przybranymi rodzicami. Kiedy tylko sytuacja się unormuje, przywieziemy cię go z powrotem. Gilberte, on tak strasznie chorował. Kiedy wyjedziemy, nie będziesz miała jedzenia z PX-u ani amerykańskich lekarzy. Taka jest prawda, i tyle.

Twarz Gilberte wykrzywił dziwny grymas. Odwróciła się udając, że patrzy na witrynę mijanego sklepu mleczarskiego, Crémérie Gaston. Wystawa była pusta, wisiał na niej jedynie przedwojenny wyblakły plakat przedstawiający krowy na wypłowie pastwisku.

– Wynosi się – rzuciła ochryple. – Wynosi się.

Gilberte siedziała przyglądając się pięciu Michelowi. Z jednej strony leżał przy nim stary miś, z drugiej nowa Myszka Mickey – prezent od Larry'ego i Ann. W ciągu dnia jego powaga sprawiała, że wydawał się starszy i wikszy niż w rzeczywistości. Teraz jednak, kiedy spał z pupką wypiętą do góry, wydawał się taki kruchy i taki mały. Odwróciła wzrok od dziecka. Czarne niezgrabne ubrania rozwieszane po całym pokoju zwiastowały nadchodzącą ałoc. Przez ostatnie dwa miesiące nie przyjmowała nikogo do miary. Tego ranka wzięła cicielka straganu warzywnego, głono pomstując, odebrała (bez zapłaty) wyliniąły płaszcz zimowy, który Gilberte miała przerobić. Ann przynosiła pożywne jedzenie, Ann dostarczała leków i gdyby Ann nie zapłaciła komornego, wkrótce ona i Michel znaleliby się na bruku.

W jej życiu nie było żadnych marginesów swobody. Tylko wtedy, kiedy wszystkie elementy – jej praca, zdrowie, zdrowie Michela, patriotyczne porwy mieszkańców Paryża – utrzymywały się w normie, jej i dziecku przestawała grozić zagłada.

Suchymi oczami wpatrywała się w pięć ciego synka.

Będzie musiała wystąpić z nimi, nie ma innej rady – myślała. Bolesny spazm targnął jej piersi. Z Michelem była jej wijscejsza tylko miłość i uczucia macierzyńskie – w ich żyłach krążyła wspólna krew. Jak znieśie te lata bez niego?

Dwa dni pó niej, w słoneczny ranek, Gilberte pierwszy raz wyszła z Michelelem na spacer. Wolnym kroczkiem udali się do warsztatu ceramicznego. Wdychając zapach kleju, wykręciła numer do SHAEF-u.

– W wiadomej kwestii informuj – oznajmiła bezadnych wstąpiła – e podróż po lubn odb dziecko we troje.

– Naprawdę możemy wziąć Michela? – Ann jak zwykle łatwo wpadła w podniecenie.

– Dokąd się tutaj sytuacja nie poprawi – powiedziała Gilberte i wcisnęła słuchawkę w widelki.

Michel przypatrywał się jej z zadartymi głowkami. Wzięła go na ręce, wybiegła ze sklepu i przez całą drogę do domu niosła go. Kiedy znalazła się w pokoju, przytuliła synka tak mocno, a zaczął rękami odpychać jej twarz.

– Puść Michela, *maman*.

Gilberte jednak przycisnęła wierzgające ciało jeszcze mocniej, smakując ustami zdrowy chłód jego czoła. Próbował się wyrwać, głosił protestując. Nie była w stanie się od niego oderwać. Musiała przytulić go za te wszystkie dni i godziny, które mieli spędzić rozdzieleni. Kiedy wreszcie się rozplakał, ona też wybuchła płaczem. W drzwiach stanęła przygłucha *madame Pic*.

– Czy małeństwo jest znowu chore? – spytała, gdy nawet do niej dotarł płacz.

Mademoiselle de Permont, bardzo proszę, aby incydent z *madame Dalmont* nie powtórzył się więcej – strofowała ją dwa miesiące później, przesywając stalowym spojrzeniem kobieta podająca się za *Mirielle Montargis*. – Wypraszam sobie mówienie moim klientkom, że wyglądasz w sukni jak wypchana kanapa. Twoim zadaniem jest zaprezentować model, a następnie sprzedać, powtarzam: zaprezentować i sprzedać. U wiadomych klientce, e aplikacje z paciorków i wykończenia stanowi *derniercri*. Słyszysz mnie, pani knotko? – *Mirielle Montargis* wymierzyła gruby paluch w Gilberte. – Słyszysz, co mówi?

Nadana, trzeciorzędna projektantka, której modelki muszą być jednocześnie sprzedawczyniami – uspokajała się w duchu Gilberte. – Straciłam już dwie posady, nie stać mnie na to, aby wylecieć po raz kolejny. Znosiłam już nie takie rzeczy.

– Tak, *madame* – odpowiedziała na głos, parodiując lekko ton chlebobawczy. – Słucham pani, *madame*.

– To lekkie uniesienie podbródka jest naprawdę wymienite. Odrobina wyszło ci zawsze sprawdza się w interesach. Onie miała klienta, ale nie na tyle, aby go całkiem zniechęciła. – Tym akcentem *madame Montargis* zakończyła odprawę.

Gilberte doskonale wiedziała, że tylko kobieta równie wysoka i smukła jak ona mogła pozwolić sobie na noszenie wieczorowej sukni tego kroju – szpiczasty tren i aplikacje ze srebrnych podłunych paciorków zmieniały w kształt egzotycznego armadillo wspartego na tylnych łapach, najczęściej jednak zasznurowanym w ciasny gorset klientkom *Montargis* w najmniejszym stopniu nie przeszkadzał fakt, że wyglądały jak pokryte lilią łuską jaszczurki; swoje kreacje dobierały pod jednym tylko kątem – zademonstrowania bogactwa młodym.

– Jazda! – zakomenderowała *madame Montargis*, oddalając się pierwsza w stronę

luksusowej przymierzalni, gdzie już czekała przerażenie pomarszczona klientka.

– *Madame* Treboul, pozwoli pani, że przedstawi *mademoiselle* de Permont. Znała pani zapewne jej nie tylko matkę, baronową de Permont.

Mirielle Montargis nigdy nie przepuściła okazji, żeby wymieni znakomite nazwisko swojej pracownicy. Jedną z klientek w życiu nie spotkała *ViVi*, jedna nie była wtajemniczona w skandal *haute monde* otaczający przyjęcie Gilberte na wiat, wszystkie jednak liźnęły w szkole na tyle historii, żeby zareagowała na dźwięk znakomitego nazwiska. Wiadomo było, że począwszy od tego dnia *madame* de Treboul będzie wtrącać w każdą rozmowę:

„Moja *vendeuse* Montargis, *mademoiselle* de Permont... „

Gilberte odetchnęła głębiej. Krążyła po przymierzalni ze starannym dozowaniem wyświecających się w ruchach. Nikomu nawet nie przyszło do głowy, że z trudem powstrzymuje łzy.

Wcale się nie prostuję – myślała. – Ann Blakely, to znaczy Ann Porter, uważałyby, że po prostu jestem miłą dla starszej, samotnej osoby.

Pomarszczona klientka, podekscytowana znajomością z utytułowaną modelką, zamówiła znacznie więcej garderoby wiosennej, niż miała w zwyczaju.

Gilberte szybkim krokiem zmierzała do domu na rue Saint-Honore, nie zwracając najmniejszej uwagi na listopadowy chłód i na ciemne, wymarłe witryny sklepów za elaznymi kratami. Była bez reszty pogrążona w myślach o Michelu. Od kiedy przed dwoma miesiącami Ann i Lany odjechali z jej dzieckiem, czuła się jak pacjent po amputacji, który w bólach uczy się normalnie funkcjonować. Powoli robiła pewne postępy. Jednak wczoraj przyszło poczucie zdziwienia, na którym Michel tulił się do nogi Ann, a jego powaźne oczy patrzyły z ufnością w twarz przybranej matki. Fotografia formatu osiemnaście na trzydzieści w pełni unaoczniała, ile Michel zyskał – nie wyglądem ani na chorego, ani na zabiedzonego a jednocześnie nie, ile straciła Gilberte. Była zaszokowana siłą zazdrości, którą, jako matka, odczuwała wobec Ann.

Tym wzrokiem omiotła kolumny klasycystycznego kościoła Saint-Roch, po czym skręciła za róg. Dom, w którym mieszkała, był najbardziej ponurym kamieniem przy rue Saint-Roch.

W bramie dozorczyńca poinformowała ją swoim głosem, że ma gościa płci męskiej. Gilberte podjęła mozolną wspinaczkę do pokoiku na poddaszu, spodziewając się, że zastanie brzuchatego mężczyznę z którejś z klientek Montargis. Trzech bufonów tego pokroju zwłochało jej adres i zaczęło składać wizyty; każdy z nich pozytywnie ustosunkował się do jej wyrażonej sugestii, że w zamian za pewną ilość gotówki nie ma nic przeciwko spędzeniu wieczoru na miasteczku, po którym mieli w jej pokoju wychylić „kieliszek do poduszki”. Grosze, które płaciła jej Mirielle Montargis, nie wystarczały nawet na ubranie, a po Santé porcja spermy mniej czy więcej nie robiła żadnej różnicy.

Wiatło zgasło, kiedy dochodziła do najwyższego piętra. Nacisnęła przycisk, oświetlając ostatni odcinek schodów.

Pod jej drzwiami siedział na schodach wysoki, wychudzony amerykański oficer. Lewy rękę wspierał na temblaku. Zaniemówiła z wrażenia. Wpatrywała się w maskę posta tak

długo, a wiatło automatycznie znów się wyłczyło.

– Ojwent – wyszeptała.

Nie widziała go od tego deszczowego popołudnia przy rue Daguerre w listopadzie czterdziestego pierwszego roku. Teraz był listopad czterdziestego piątego. Cztery lata, niemal co do dnia. Ile nieodwracalnych strat poniosła w tym czasie.

Kolejny raz włączyło wiatło. Jeszcze nigdy nie widziała go w mundurze. W pierwszej chwili pomyślała, że dlatego wydał jej się tak zmieniony. Potem jednak zauważyła, że musiał nie tylko stracić na wadze – był wręcz przeraźliwie chudy.

– Przepraszam, że ci przestraszyłem – odezwał się – ale szukałem cię tak długo, że nie mogłem już dłużej czekać.

Nagle, słysząc jego stanowczy, niski baryton z paryskim akcentem, uświadomiła sobie, że nadal jest w nim zakochana. Nigdy nie przestała go kochać. Po niezliczonych gwałtach w Santé to, że jest zdolna do miłości, wydało jej się cudem, ale tak było.

Rzuciła się po schodach na górę. Kiedy padła mu w objęcia, wiatło kolejny raz zgasło. Przez mundur czuła, jak straszliwie wychudł – skóra i kości. Mimo to pierwszy raz od chwili, kiedy gestapo przyszło na rue Daguerre, czuła się bezpieczna, bezpieczna bez reszty.

Oddzielała ich rękawka na temblaku. Drgnął nagle i Gilberte zrozumiała, że uścisk musi sprawiać mu ból. Odsunęła się.

– Quent, czy to ty, czy mnie oczy mylą?

– Dozorczyńni nie powiedziała ci, kto przyszedł?

– Ona zawsze opowiada, że nie ma pamięci do nazwisk. Zaczekaj, muszę otworzyć drzwi.

W pokoiku o pochyłym suficie arówka była nieco mocniejsza. Dopiero teraz Gilberte zauważyła, że cera Quenta straciła swój kolor, a w jego ponurej bladej twarzy rysują się wielkie, zapadnięte oczodoły byłego więźnia obozu koncentracyjnego.

– Jesteś już całkiem dorosła. Wyglądasz przepięknie.

– *Merci beaucoup* – odpowiedziała dygając artobliwie, zadowolona, że ma na sobie brzozykowy kostiumik z gabardyny, który udało jej się kupić za „prezent” od najbardziej spasionego z trzech mężczyznów.

– Bałem się, że mogli ci coś zrobić w Santé.

– Zrobili. – Zrzuciła z nóg przemoczone buty. – A co z tobą? Co ci jest w rękach?

– To długa historia, Gilberte.... – Odwrócił wzrok. – Chodźmy gdzieś na obiad.

W Grand Vefour Quent poprosił, żeby posadzono ich w niewielkiej, cichej salce na lewo od wielkiego salonu. Odzywał się niewiele, co Gilberte przyjmowała z całkowitym spokojem – fakt, że nigdy nie poczuwał się do obowiązku podtrzymywania rozmowy, przyjmowała zawsze za jeden z wielu dowodów jego siły.

Kelner nalał im Pouilly-Fuisse.

– Twoje zdrowie. – Uniosła kieliszek. – Quent, co ci się stało w rękach?

– Zrobili mi to w Mauthausen...

– W obozie koncentracyjnym?

– W Mauthausen było sporo jeńców wojennych, ale niewielu Amerykanów.

– Niemcy nie najgorzej traktowali naszych jeńców, prawda?

– Zdarzały si przypadki łamania Konwencji Genewskiej – rzucił ogólnikowo. Jej ojciec powiedział kiedy , e odwaga Ouenta jest równie cicha i niewzruszona, jak góry, po ród których j trenował.

– Było le?

– Ju po wszystkim. – Zamilkł. – Gilberte, dowiedziałem si o twoich rodzicach, jeszcze zanim dostałem si do niewoli. To był dla mnie potworny cios. Wiesz, jak bardzo podziwiałem André. A ViVi... ty jeste jedyn znan mi kobiet , która dorównuje jej klas i urod .

– Wiedziałe , e byli w ruchu oporu?

Przymkn ł oczy, jakby si bał, e kto przejrzy na wylot ogrom jego cierpienia.

– Wiedziałem.

– Podejrzewałam o to *papa*. Ale to, e matka uczestniczyła w ruchu, było dla mnie całkowitym zaskoczeniem.

– Kolejny dowód doskonało ci ViVi.

– Ja... ja jej chyba nie doceniałam. Bawił si widelcem, nie tykaj c pstr ga.

– Nie było dnia ani godziny, ebym nie zadr czał si my l , e powiedziałem albo zrobiłem co takiego, czym niechc cy ci gn łem na nich gestapo.

Motywy działania Quenta były dla niej zawsze nieprzeniknione. Nie w tpiła, e kieruje si zasad *noblesse oblige*, dalej jednak jego wyrzuty sumienia były niepoję te dla Gilberte. Na twarzy Ouenta wyra nie malowało si poczucie winy i gł boka pro ba. Błaga mnie o wybaczenie – pomy lała.

Ju otwierała usta, by mu powiedzie , e jej rodzina nie poszła do wi zienia z powodu okruszków chleba, które niechc cy wypadły mu z kieszeni, kiedy szedł na rue Daguerre, tylko z powodu donosu zdrajcy, kiedy w ostatniej chwili instynkt powstrzymał j od rozgrzeszenia Ouenta.

– Rozumiesz, przemycałem dla nich materiały wybuchowe. Ostatni ładunek zu yli wła nie na Gare de l'Est.

Gilberte znalazła si z powrotem w Santé u stóp wisz cych zwłok swoich rodziców. Kapitan Knecht informował j o ich zbrodniach. Zakryła oczy dłoni .

– Gilberte – powiedział cicho Quent. – Prosz ci , nie rób tego.

Opanowała si z trudem.

– Chciałabym, eby po obiedzie zabrał mnie gdzie , gdzie spokojnie b d mogła zrobi z siebie po miewisko.

Przechadzali si pustymi wirowymi alejkami ogrodów Palais-Royal. Wieczór był chłodny, gdzieniegdzie unosiły si pasma mgły. Krocz c szybko pod koronami bezlistnych drzew, Gilberte opowiedziała o aresztowaniu podczas nalotu. Jej głos pozostał bezbarwny do chwili, kiedy zaczęła relacjonowa zaj cia w celi przesłucha . Opisuj c tortury i gwałty, wybuchn ła nagle niepohamowanym potokiem słów. W ciemno ci wida było wokół jej ust obłoczek pary. Jednak nawet prze ywaj c ponownie najgorsze chwile, pami tała o tym, eby nie wspomina o denuncjacji ani o obietnicy zemsty.

Odsun ła si na bok. Wytarła nos, próbuje si opanowa .

– Dostałam sze miesi cy za zadawanie si z sabota ystami – powiedziała ju

normalnym głosem. – Wyrok był bardzo na rękę Wissmanowi, karłowatemu ordynansowi. Co dzie za opłat wyprosił mnie swoim kolegom z SS.

– Chryste, zamordowałbym go z rozkosz!

– Hocherer załatwił to za ciebie.

– To ja go prosiłem, żeby ci pomógł.

– Faktycznie, pomógł mi. Załatwił mi wcześniejsze zwolnienie, a po roku zrobił ze mnie swój kochanek. Musz ci powiedzieć, że było mi to zupełnie obojętne. Czy teraz mnie nienawidzisz?

– Na Boga, nie! – Objął ją lekko zdrowym ramieniem.

Kiedy podniosła wzrok, dostrzegła łzy na jego wychudłych policzkach. Nagle ogarnęła ją nieprzeparta chęć, żeby opowiedzieć mu o Michelu. Później, gdy wracała myślowo do tego ułamka sekundy, miała wrażenie, że była to ostatnia szansa na normalne życie. Ale zdaje ci przyszło poprzedniego dnia i ból był zbyt wielki. Oparła czoło o rękaw wojskowego płaszcza. Nie powiedział nic.

– Kiedy ci wzięli do niewoli? – spytała. Ruszyli dalej przed siebie.

– W Boże Narodzenie czterdziestego trzeciego. Wyszedłem z tyfusem i chorobą, dopiero kiedy wyzwolono Mauthausen. Jako agent OSS nie miałem plaketek identyfikacyjnych, w związku z tym odesłano mnie do szpitalika w Chateau-Thierry, gdzie lekarze uradzili, że obetną mi rękę. Zatelegrafowałem do domu. Rodzina poruszyła odpowiednie tryby, w związku z czym przewieziono mnie do kliniki w Sztokholmie, w której potrafi dokonać cudów z beznadziejnymi przypadkami ortopedycznymi. Jak widzisz więc, jestem cały i zdrowy.

– Nikt z nas nie jest cały i zdrowy.

– To prawda. – Przystanął, żeby zapali papierosa. – Gilberte, nie mogę pojąć, dlaczego żyjesz w takiej nędzy. Co się stało z posiadłością cię i André?

– Nie jestem legalną dziedziczką. Wszystko przeszło na jego kuzyna, Jean-Jacquesa.

– Kiedy, pamiętam, jak byłem mały, Jean-Jacques odwiedził *grand-mère*. Uważałem, że wygląda jak abci Król.

– Dokładnie!

– Nie zaproponował ci żadnej pomocy?

Przystanąła. Podniosła z ziemi kamyczek i przez chwilę ciskała go w dłoń.

– Jean-Jacques jest gorącym patriotą, zwłaszcza teraz, kiedy wojna się skończyła, a ja, jak wiesz, byłam kolaborantką.

W milczeniu doszli do rue Saint-Roch.

– Przynajmniej nie miała dziecka. – W całkowitej ciszy nie było słychać nic prócz ich kroków. – W szpitalu we Frankfurcie pracowała belgijska pielęgniarka, która urodziła dziecko Niemcom – cięgnęła w zadumie. – Oddała je do sierocińca. Kiedy pytano ją, jak się mogła pozbyć własnego dziecka, odpowiadała: „A co komu po takim małym szwabie?” Mam wrażenie, że była patriotką tego samego pokroju, co kuzyn Jean-Jacques.

Mocniej cisnęła kamyczek. Jakaś skaza w psychice kazała jej odpłacić za ból, który Quent bezwiednie jej zadał.

– *Papa* mówił mi o materiałach wybuchowych – zaczął.

– Naprawdę? – Przystanął.

– Podczas naszego ostatniego spotkania.

– Mów dalej. – Chwytny chwycił ją za ramię.

– Ojciec, proszę ci... po co masz się jeszcze bardziej martwić?

Wiatło latarni rzucało upiorne cienie na owal jego bladej, wychudzonej twarzy.

– Co powiedział? – Pytanie zawisło w wilgotnym powietrzu.

– Kiedy już mnie zgwałcili, zostawili nas samych na chwilę. *Papa* był w potwornym stanie... – Cisnął kamyczek, słuchając, jak stukocze w rynsztoku. Rozpłakała się. – Knecht... ten kapitan gestapo powiedział *papa*, e... e było pod obserwacją gestapo.

– Wiedzieli, że przetrucam przez granicę materiały wybuchowe dla André?

– Trzymaj się całej. – Otarła oczy. – Chodźmy do mnie – powiedziała wyjmując klucz.

– Czy gestapo po moich ładach trafiło do André? – spytał rozpaczliwie.

Skinęła tylko głową, niezdolna do głębszego kłamstwa.

Siedzieli w pokoju, popijając tanie czerwone wino, które kupiła Gilberte. Napełnił jej kieliszek. Słuchała, jak krząta się po pokoju. Dach przeciekał i wypaczone deski podłogi głośnie skrzypiały. Przystanął.

– Co to jest? – spytał dziwnym, zdławionym głosem. Wyjść zza ramy lustra wetknął jej zdjęcie Ann i Michela. „Przynajmniej nie miała dziecka”. Widziała w lustrze jego odbicie. Cała krew uciekła mu z twarzy, a cienka jak pergamin skóra napięła się na kościach policzkowych. Czy by udało mu się doszukać w twarzy Michela podobieństwa, którego ona sama nie umiała dostrzec?

– Moja dawna koleżanka szkolna, Ann Blakely, to znaczy, Ann Porter.

– Wyszła za mnie?

– Tak, za Lanyego Portera. Właśnie ciwie to ty ich wyswatała, przecie ty przyprowadziła kiedyś Larry’ego do nas.

– To ich dziecko?

– Niezupełnie. Są tak szlachetni, że zaadoptowali sierot wojennych. – Sięgnęła do niego, wyciągnęła rękę po zdjęcie, jednak Ójciec nie wypuszczał go z dłoni.

– Kiedy się pobrali?

W innej sytuacji Gilberte, słysząc niepojętą natarczywość, z jaką Quent domagał się informacji o Ann, z łatwością domyśliłaby się, o co chodzi. Tym razem jednak, chociaż czytał jej nieokreślony niepokój, jej myśli zaprzęgnięte były wyłącznie ukryciem faktu, że Michel jest jej synem. Quent zachwiał się i oparł o biurko, popychając ją do tyłu.

– Quent, co się z tobą dzieje?

– Kiedy się pobrali? – spytał z napięciem.

– We wrześniu. Ale już wcześniej ze sobą, jak to delikatnie określicie w Ameryce, chodzili. Od kiedy Ann znalazła się w Anglii. Jakim cudem udało jej się przedostać do strefy nieokupowanej. Miała szczęście. Jej rodzice umarli w obozie dla internowanych.

Zdaje się, że paplam bez ładu i składu – pomyślała. – Nic nie szkodzi. Ważne, żeby odwrócić uwagę Quenta od Michela.

– S z Lanym znakomicie dobran par . U miech nigdy nie schodzi im z ust. Moim zdaniem, nale y im si tytuł najpogodniejszej, najlepiej swinguj cej, najbardziej zwariowanej na punkcie jazzu pary Stanów Zjednoczonych.

– S tutaj?

– Mieszkaj w słonecznej Kalifornii.

– Kalifornii... – powtórzył Quent. – Tak, Lany przecie stamt d pochodzi. – Oparł si o biurko, jakby nie mógł usta o własnych siłach.

Jest w fatalnym stanie – pomy lała Gilberte. – Wygl da jakby ledwie widział twarz Michela.

– Potrzebujesz teraz troszk snu dla urody – powiedziała. Bezceremonialnie wyj ła mu zdj cie z r ki i wrzuciła je do szuflady. – Nie powinnam ci była dzisiaj tak ci ga po nocy. Wracaj do hotelu.

Po wyj ciu Ojuenta spojrzła na budzik. Dochodziła północ. O tej porze zawsze ju była rozebrana, miała posmarowane kremem twarz, dłonie, łokcie i pi ty, przygotowane czyste ubranie – tymczasem siedziała na brzegu łó ka, zapatrzona przed siebie.

Skłamała. Kłamstwa dotyczyły syna i ojca. Jednak prawd mogła przypłaci utrat Ojuenta, jej miło ci, jedynej ostoi w yciu.

Ukryła twarz w dłoniach, zanurzaj c palce w pl taninie g stych, l ni cych włosów, wpijaj c je z całych sił w głow , eby przegoni wspomnienie pos pnej twarzy, z jak wysłuchiwał jej opowie ci o tym, jak naprowadził gestapo na trop André.

Nast pnego wieczoru, podczas obiadu w grillbarze u Ritza powiedział jej, e przedłu ono mu urlop i zamierza go sp dzi w Pary u. Kroiła mu na talerzu jego *gigot d'agneau*, podczas gdy on z dyskretn trosk wypytywał j o prac i o to, jak daje sobie rad . Par razy miała wra enie, e jej nie słucha, zło yła to jednak na karb zm czenia i złego samopoczucia. Oczy miał podkr one, jakby w ogóle nie spał.

Na dobranoc zaproponował szklaneczk wina w barze hotelowym. Kiedy w Ritzu rz dzili Niemcy, male ki barek był jednym z najelegantszych lokali w mie cie, teraz jednak grupka podpitych oficerów ameryka skich ryczała *Wiffenpo of Song*, a przy drugim stoliku dziennikarze z zapalem omawiali przebieg procesu w Norymberdze.

– Tu si nie da rozmawia – powiedział Ojuent. – Chod my do ciebie.

– Raczej we my taksówk . Wygl dasz na strasznie zm czonego.

– Odbyłem dzisiaj dwie obowi zkowe drzemki. – Wzi ł Gilberte pod r ki i wyprowadził z hallu hotelowego na pi kny, symetryczny place Vendome. – Chciałbym ci co zaproponowa , ale boj si , e mógłbym ci obrazi – powiedział, kiedy mijali kolumn na placu.

– No to po co o tym w ogóle wspominasz?

– Daj mi sko czy , dobrze? Chciałbym, eby miała własne pieni dze. Milion dolarów.

Zatkało j z wra enia, ale nie dała nic po sobie pozna . Milion dolarów? Taka suma to fortuna na całym wiecie, nie tylko w powojennym Pary u, gdzie dolary były jedyn tward walut , pieni dzmi uprzywilejowanych. Za milion dolarów mogła sobie kupi posiadło w

Saint-Cloud, założyła własny dom mody, wytropiła zdrajcę. Ale nawet z milionem dolarów była nadal słaba i bezbronna. Miłość Ouenta stanowiła dla niej jedyną ostoję.

– Masz rację – powiedziała – czuj się dotknięta. – Szła w milczeniu po rue Saint-Roch, pochłonięta obmyślanym sposobem, w jaki mogłaby go zatrzymać. Wszystkie oszczędności wydała na butelkę Hennessy.

– Proszę. – Podała Ouentowi kieliszek. Otarła się dłońmi o jego dłoń. Zarumieniła się lekko.

– Zawsze była takim miesznym, dumnym dzieciakiem – powiedział ogrzewając kieliszek w dłoniach.

– Dumnym? Przecież te pieniądze są naznaczone krwią.

– Przestała, chyba oszalała.

– Dobrze wiesz, że dajesz mi pieniądze z powodu rodziców.

– Staram się tylko zrobić dla ciebie to samo, co zrobiłby André.

– Ponieważ czujesz się winny jego śmierci i śmierci *maman*?

– Oczywiście, że czuję się winny. – Westchnął. – Przede wszystkim jednak nie mogę patrzeć, jak gnijesz w tej nędzy. Będziesz miała dosyć pieniędzy, żeby się wygodnie urządzać w Stanach.

Wygodnie urządzać! Z jaką skromnością spadkobiercy gigantycznych fortun mówili o pieniądzach. Podeszła do okienka mansardy.

– W paśmie dzienniku – odezwała się na głos – wybrałam się do waszej ambasady. Chciałam się wpisać na list oczekujących na wizy. Przyjść mi niechcący przez dniczynę. Nie było mi łatwo odpowiadać na jego pytania, zwłaszcza dotyczące rodziców. Byłam na tyle głupia, że opowiedziałam mu o Hocheherze. Walnął pięścią w blat. Zabronił mi mówić dalej. „Żadna hitlerowska dziwka nie postawi nogi w naszym przyzwoitym kraju”, rozdarł się.

– Kawał przeklętego idioty!

– To jednak prawda. – Zabębniła palcami o szybę. Papier stłumił uderzenie, żeby uchronić się przed wzrokiem ciekawskich, zakleiła okna stronicami „Paris-Soir”. – Nie mam najmniejszej szansy na wyjazd do Stanów. – Kiedy znowu zabębniła w szybę, zsunął się jej mankiet.

– Gilberte, co ci się stało w nadgarstek?

– Nic takiego. – Spojrzała na w ziutką bliznę, która zdążyła już nabierać bladą barwę.

– Zauważyłem przy obiedzie. Czy próbowała ... ?

– Powiedzmy, że po spotkaniu z tym ohydny typkiem opadły mi czarne myśli.

W rzeczywistości ci usiłowała popełnić samobójstwo wczoraj. Trzy dni po oddaniu Michela Larry'emu i Ann przeciwna nadgarstekyletk.

– Musiała przeżyć koszmar. – Odcignął ją delikatnie od niziutkiego okienka i przytulił do siebie.

Przywarła do jego ramienia, czując policzkiem metaliczny epolet.

On musi być mój – pomyślała. – Nic innego na świecie się nie liczy. – Mocno przywarła udami do jego ud, odchylała tułów do tyłu, żeby nie uraziła chorego ręki. Musnęła ustami szyję

i wspiła się do warg. Oddech miał przez czony papierosami i brandy. Był wie o ogolony, pachniał wod kolo sk . Wyra nie czuła jego wzwód. Krew mocniej zat tniła w jej yłach, nie było to jednak podniecenie seksualne, lecz podniecenie hazardzisty. W tym pokerze postawiła wszystko na jedn kart . J zykiem smakowała gładk , delikatn wy ciólk jego ust.

– Gilberte... – Odsun ł si od niej.

– Od kiedy si gn pami ci , zawsze ci kochałam.

– Jeste pi kn kobiet , ale...

– Najdro szy, umr , je eli znów mnie odepchniesz.

– Gilberte, jeste mi bardzo droga, ale nie w ten sposób.

– Kłamiesz, dobrze wiem, e kłamiesz. – Rozsupłała mu krawat. – Quent, gdyby tylko wiedział, jaka byłam samotna, jak straszliwie samotna.

Cofn ła si krok, rozpi ła zamek z boku sukienki i zdj ła j przez głow . Nie opuszczaj c wzroku, rozpi ła sprz czk z przodu biustonosza. Została w samych tylko po czochach, czarnych podwi zkach i czarnych koronkowych majteczkach – jedynych pozostało ciach luksusowej garderoby, któr obsypywał j Hocherer. Przejechała dłoni po swoich pełnych, j drnych piersiach. Na szcz cie karmienie Michela nie zostawiło adnych ładów na aksamitnej bieli skóry. Na szczupłym brzuchu, pod delikatnym zagł bieniem p pka, nie było najl ejszych rozst pów. Długich kształtnych ud nie szpecił ani gram tłuszczu, który widywała nawet u najmłodszych m atek przychodz cych do *madame* Montargis. Miała oszałamij ce ciało i wiedziała, jak wykorzystywała jego magnetyczny powab.

Zbli aj c si do Quenta, dostrzegła w jego oczach po danie i co na kształt smutku. Z j kiem wzi ł j w obj cia. Osun ła si na łó ko poci gaj c go za sob .

– Najdro szy, najdro szy. – Kl cz c nad nim okrakiem, rozpiniała rozporek. Opadła w dół.

Wreszcie była z m czynn , którego uwielbiała. Jego biodra unosiły si w gór na spotkanie jej rozchylonych ud. Przez moment chmurne niebieskie oczy zatrzymały si na jej twarzy. Odchyliła głow do tyłu, obawiaj c si , e oczy mog zdradzi zupełny brak po dania. Wydała z siebie j k udawanej rozkoszy.

Po chwili było ju po wszystkim.

Padaj c mu z wdzi kiem w obj cia zrozumiała, e chocia w Santé poniosła wiele niepowetowanych strat, wyszła stamt d z jedn w tpliw zdobycz – była ozi bła. Nigdy nie b dzie ałosn m , która daje si wzi na lep lepego po dania; do ko ca ycia b dzie grała o wiele korzystniejsz rol – paj czycy, która prz dzie lepk sie .

Kiedy si obudziła, jeszcze spał. Ubrała si kr c na palcach, po czym, nie zdejmuj c butów, poło yła si na chwil do łó ka. Wszechogarniaj cy mrok snu osłaniał przed ni jego my li. Przegrała czy zwyci yła? Wyci gn ła r k , eby go zbudzi , jednak przypomniwała sobie, e strategia m skodamskich podchodów wymaga, eby to on przyszedł do niej. Postawiła rondel z kaw na maszynie i bezszelestnie wyszła z domu.

Przedpołudnie zastało j trz s c si z zimna w szatni dla modelek, w zasłoni tym kotar rogu nie ogrzewanego atelier, gdzie od witu do nocy uwijały si krojczyni, prasowaczka i trzy szwaczki.

– Jaki amerykański ołnierz chce się z tobą widzieć. – Pracodawczyni uniosła zakurzony kotar. – Jest *blesse*.

– To mój kuzyn, je li ma rękę na temblaku. – Dreszcz podniecenia przebiegł Gilberte.

– Kuzyn, akurat! Powiedziałam mu, że zajmujesz się teraz klientką, ale się uparł. Prawdą mówi ci, kazał mi cię przyprowadzić.

– *Madame* Montargis, je li życzy sobie pani lepszej klienteli niż rozlazłe ropuchy, które lubi się obsypywać błyskotkami, musi się pani nauczyć obcowania z ludźmi naszego pokroju.

Madame Montargis miała nieprzepart ochotę wyrzucić Gilberte na bruk, jednak przeklęta smarkula była prawdziwą kopalnią złota.

– Bardzo proszę, żeby wróciła do *madame* Foucray. Grajcie na zwłok, Gilberte dopięła ozdobioną paciorkami i futerkiem gronostajową suknię koktajlową, następnie wyszła do nagrzanego, czy ciutkiej poczekalni. Quent wstał i zgasił papierosa, na widok jej kreacji znacząco unosił ciemne brwi.

– Dom mody Montargis nawet lili posypałby złotem – powiedziała kwaśno. – Nie wiem, czy ci wiadomo, że istnieje coś takiego jak godziny pracy?

– Kiedy będziesz miała przerwę na lunch?

– Dzisiaj – zmyliła na poczekaniu – w porze lunchu będzie miała klientkę. Wracam do domu o siódmej.

– Przyjdź po siebie.

– Koniecznie chcesz, żeby *madame* Montargis dostała apopleksji? Oj, Quent, od września trzy razy zmieniałam pracę i nie stał mi się na to, żeby się dylecie.

– Do zobaczenia u ciebie.

Malutkie blaszane radyjko grało na głos i nie usłyszał, kiedy stanęła w progu. Odszukał zdjęcie i wpatrywał się w nie z bolesną intensywnością.

Dlaczego nie podarła tej cholernej fotografii? Przez chwilę miała zamiar odciągnąć jego uwagę od Michela, opowiadając mu niestędko, niż zowód o tym, jak kiedyś podobał się Ann, postanowiła jednak całkowicie zmienić temat.

– Heifetz, prawda? – spytała zamykając drzwi.

Zerwał się, wykonując obrót do tyłu. Zaciśniętą dłoń na gładkim papierze fotografii.

– Nigdy nie zachodź bez uprzedzenia ołnierz z OSS, bo może się to dla ciebie marnie skończyć.

– Z pewnościami nie zapomnij o tym szczególe. Czy to jest nagranie Mendelssohna w wykonaniu Heifetza?

– Zgadła.

– Wcale nie zgadłam. Hocherer miał wielkie upodobanie do muzyki schyłku wieku.

Mi się w kciuku ust Ojuenta drgnęło. Zdjęła się już zorientowała, że każda wzmianka o jej okupacyjnej przeszłości wytrąca go z równowagi. Jednak nie tylko ze względów strategicznych nieustannie wracała do wspomnień. Czuła niewysłowioną ulgę, mogąc wreszcie dać upust smutkowi i poczuciu krzywdy.

– Jesteś tu od dawna? – spytała. Przysiadła na łóżku i rzuciła z nóg pantofelki.

– Od razu tutaj wróciłem.

– Czytałaś co? – Popatrzyła na stertę podniszczonych klasyków, które kupiła na straganach bukinistów przy Rive Gauche.

– Nie, rozmyślałem. – Umilkł na chwilę. – Gilberte, czy przyszło ci kiedyś do głowy, że gdyby my się pobrali, mogłabyś wyjechać do Stanów?

– Jeśli mi nie uszy nie myli – powiedziała z rozbawieniem – słysz w twoim tonie nutkę aluzji. – Z trudem udało jej się ukryć wyraz gwałtownego triumfu.

– Nie żałuj wczorajszej nocy, Gilberte.

– Skąd wobec tego te aluzje do małżeństwa?

– Faktycznie, mogłem jako zgrabniejszy zacząć – przyznał.

– Cierpię na zespół powikłań pookupacyjnych.

– Wobec tego wybaczam ci, ale musisz zaprzestać tych nieustannych propozycji.

– Gilberte, przecie wiesz, że nie ma drugiej takiej jak ty na świecie. – Podniósł się i stanął przed nią. – Masz temperament i urodę ViVi, dowcip i inteligencję André. A ja... cóż, jestem do kiepskiej partii. Wykończony fizycznie, czekaj mnie jeszcze miesiąc leczenia. A psychicznie... w ogóle szkoda gada! Czasami ledwie powłóczę nogami, kiedy indziej jestem tak nabuzowany, jakbym zaraz miał eksplodować.

– Czy to jest właściwie taka zwana transakcja wiązana? Przyciągnął Gilberte do siebie, wtulając twarz w jej włosy.

– Jesteś wszystkim, co mi zostało – powiedział stłumionym głosem.

– Ty też jesteś wszystkim, co mi zostało – wyszeptwała. – Zgadza się, zgadza się, zgadza się.

Następnego dnia Gilberte zjawiła się w pracy o wpół do dwunastej.

– Potrącam ci pensję za dwa dni – warknęła *madame* Montargis. – To już ostatnie ostrzeżenie!

– Przyszłam powiedzieć, że odchodzę. Proszę mi życzyć szczęścia, *madame*. Wychodzę za mąż.

– Za amerykańskiego „kuchyniarza”, który czekał na ciebie na ulicy? Prawdopodobnie mówi ci, że masz więcej rozumu niż inne dziewczęta! Zdajesz sobie chyba sprawę z tego, że ci Jankesi biorą was na tanią uciechę, papierosy, mundury? Zobaczysz, jak ci będzie słodko, kiedy wylądujesz w łachmanach w chałupie z bali!

– Bardzo miło, że się pani troszczy o moją przyszłość, *madame*, ale w moim przypadku nie służy, aby doszło do łachmanów i kurnej chaty. – Wyciągnęła smukły lew dłoń, na której lśnił nieskazitelnie biały, ostro oszlifowany, jedenastokaratowy diament.

– Falszywy!

– Z nas dwóch pani na pewno ma więcej do wiadczenia z błyskotkami. Trudno mi jednak uwierzyć, aby Cartier sprzedawał falsyfikat członkowi rodziny, która korzysta z jego usług od dziesięciu lat.

Pod grubą warstwą pudru cery *madame* nabrała niepokojącego rumieńca. Podsunęła dłoń Gilberte pod nos i w skupieniu obejrzała pierścionek.

– Widz, że wypatrzyła sobie dobrego Amerykanina – owiadczyła w końcu. – Życz

wam powodzenia. Z przyjemnością ci osobię cię zajmiesz się twoją lubną wyprawą.

Masz minimum zadowolony jak kotka, która położyła mysz – powiedział Quent, kiedy znaleźli się już na rue de Cirque.

– Z najwyższą rozkoszą pokazałam tej starej wiedźmie mój pierścienek. Kochanie, nie wiem, czy dasz mi wiarę? Ta baba wyobraziła sobie, że zamówi u niej lubną wyprawę!

Doszli do rue Saint-Honore. Quent przyglądał się młodej, wykwintnie ubranej kobiecie, która w towarzystwie małego chłopczyka wchodziła do sklepu *pour les bebes*. Pulchry blondynek w niczym nie przypominał Michela, mimo to Gilberte wydało się, że dostrzega jakieś podobieństwo.

– Chcę mieć dzieci – powiedział Quent.

– Ile?

– Całe mnóstwo.

– Typowo męskie. Czy wszystkie z tej samej matki?

– Proszę cię, pamiętaj, że nie jestem taki jak mój ojciec.

– Przestał się u miecha.

– Chcesz powiedzieć, że nie zamierzasz popaść w wieloletnie stwo?

– Jestem na to zbyt leniwy.

– A może po prostu zbyt porządny?

– Osobię cię uważam małżeńskie stwo za zwiędniętą dozgonny. Zresztą nawet gdybym tak nie uważał, dziadek Templar zadbał o życie wieczne, jeżeli nie dla siebie, to przynajmniej dla swoich pieniędzy. Jego testament został bardzo sztywno sformułowany, nie bierze pod uwagę możliwości cię rozwodu.

– Ojciec, co ty na to, żebyśmy mieli szóstkę?

– Szóstka czego?

– Dzieci – powiedziała i odwróciła twarz. Choćby mu urodziła nie wiadomo ile dzieci, zawsze jej brakowało tego jednego.

Zatrzymał taksówkę i zawiózł Gilberte do hotelu George V, w którym rezydował od przyjazdu. Załatwił dla niej apartament, po czym zabrał ją na lunch do restauracji hotelowej, której okna wychodziły na wysadzany drzewami dziedzińiec. Ze szpitala w Sztokholmie zwolniono go z zaleceniem długich popołudniowych drzemek. Kiedy położył się, wyszła z hotelu. Kupiła papier listowy i pojechała taksówką do swojej mansardy.

Wygarnęła ubrania na łóżko. Wzdrygnęła się. Nie było jednej części garderoby, która nie wzbudzałaby niemiłych wspomnień. Zebrała wszystko na stół i usiadła przy rozchwybotanym stole, kładąc przed sobą zdjęcie i papier listowy.

Droga Ann,

Zdjęcie jest cudowne. Michel, którego pewnie nazywacie tam Michałem, wygląda cudownie. Przybyło mu pewnie ze dwa kilo. Nie da się ukryć, że wam zawdzięcza życie.

Pióro zadrżało w jej dłoni. Dygotała patrząc na fotografię. Minęła dłuższa chwila, zanim

zdobyła się na zanurzenie stalówki w butelce atramentu.

Chc zrzec się na zawsze wszystkich praw do Michaela. Musz jednak postawi pewne warunki.

Nigdy nie zdradzicie ani jemu, ani nikomu innemu to samo ci jego rodziców. Przestaniecie uwa a mnie za jego matk . Od dzi Michel ma się sta jednym z miliona bezimiennych sierot europejskich.

Odpiszcie jak najszybciej, czy zgadzacie się na moją propozycję .

Kolejny raz wzięła do r k czarnobiałe zdjęcie. Szybkim ruchem przedarła je na pół, potem na wiartki i wyrzuciła do kosza na papiery, zaraz jednak runęła na kolana i zaczęła wygrzebywać fotografie spośród mieci. Odszukawszy wszystkie kawałki, złożyła je na powrót drożynami, po czym wpatrzyła się w zdjęcie, jakby od tego, czy zapamiętała kiedykolwiek twarz Michela, miałożale całe jej życie.

Schodząc w dół, powiedziała klientce dozorczyńni, że może wziąć z mansardy jej ubrania.

– Co jakiś czas będzie odbierała pocztę – uprzedziła wyciągając z torebki banknot dziesięciodolarowy. Suma ta przewyższała miesięczne zarobki dozorczyńni. – Spodziewam się wamnego listu z Kalifornii. Kiedy przyjdzie, dostanie pani znowu dziesięć dolarów.

Nie opodal skrzynki pocztowej zawodziła katarzynka. Długo Gilberte zacisnęła się kurczowo na kopercie. Katarzynka zagrała *Habaner* . Dopiero kiedy mała, ałosna małpka katarzyniarza pocięła ręk jej spódnicy, wsunęła list do skrzynki.

Odtąd zaczęła się bać o Kopciuszku. Quent otworzył jej konto w banku i przelał na nią sto tysięcy dolarów.

– Chcę, żeby czuła się niezależna – powiedział.

Zabrał ją do Cartiera, tym razem po to, żeby wybrać prezent lubny. Sprzedawca po kolei rozkładał przed nimi kolczyki, kolie, bransolety, broszki. Szmaragdy z brylantami, szafiry z brylantami, rubiny z brylantami, ogromne perły z brylantami. Gilberte nie mogła się na nic zdecydować . Wreszcie sprzedawca wyniósł płaską walizkę z czarnej skóry.

– Jedna z naszych klientek oddała nam ten komplet w komis. Klejnoty należały do jej rodziny, biuteria została zaprojektowana przez nas. Mam wrażenie, że to jest coś, co się pani spodoba, *mademoiselle* de Permont.

Na czarnym aksamicie połyskiwały ółtawe brylanty, duże i małe, połczone tak delikatną siateczką platynowego ła cuszka, a trójkrotnie oszlifowane klejnoty sprawiały wrażenie, jakby je ktoś rozrzucił na chybili trafił po dekolcie i ramionach Gilberte.

– Co o tym myślisz? – Odwróciła się do Ouenta.

– Kolor idealnie pasuje do twoich oczu – powiedział z aprobatą .

Czasem robiła zakupy z Ouentem, czasem chodziła po sklepach sama. Kupiła trzy parasolki z rękawkami ze złota i kołczyki słoniowej u LaFarge'a, tu przy rue Tronchet, tuzinami kupowała rękawiczki z najdelikatniejszej skórki, szale i torebki od Hermesa, perfumy u Guerlaina; zamawiała buty i kapelusze; odbywała przymiarki sukien, bielizny, kostiumów. Nigdy nie przestawało jej zdumiewać, że tak wiele luksusowych rzeczy można dostać w

mie cie, w którym ludzie umierali z głodu, w mie cie, w którym wyn działy kobiety z dzie mi dr c wyczekiwały swojej kolejki do punktów wydawania ywno ci, gdzie urz dniczy o zn kanym spojrzeniu postukiwali drewnianymi sabotami w drodze do pracy, bo nie sta ich było na normalne obuwie. N dza i brzydota, z których dopiero co si wyrwała, uprzytamniały jej fakt, e miło do Ouenta nie była całkiem bezinteresowna. Chronił j przed demonami wspomnie , ale równie przed niedostatkiem.

Z dnia na dzie coraz bardziej przywykała do łatwego ycia, a jednocze nie budził si w niej coraz wi kszy l k, e mogłaby utraci cały ten luksus. Kiedy wysłała list, była pewna, e Porterowie przystan na jej warunki, i z czasem zacz ł j ogarnia coraz wi kszy niepokój. W ko cu byli młod par , wie o po lubie. Larry'emu, z jego upodobaniem do ziemskich uciech, musiało ci y czasem przybrane ojcostwo, a Ann, mimo złotego serca i niezłomnej lojalno ci, na pewno skrycie marzy o potomstwie z własnej krwi i ko ci.

W nocy dopadały j koszmary. Kiedy ko czyli si kocha , ze strachu, e mo e w jaki sposób zdradzi si przez sen, narzucała jeden z nowych atlasowych szlafroczków i po pieśnie udawała si do swoich pokoi na drugim ko cu korytarza.

Dzie po Bo ym Narodzeniu wsiedli do wagonu sypialnego i pojechali na południe. Uzyskali odpowiednie pozwolenie i mer Antibes zało ył szarf na wytarty ze staro ci frak, udzielił im lubu, a nast pnie wr czył tradycyjny wianek czosnku.

Rankiem, po powrocie z podró y po lubnej, pani Dejong kazała taksówkarzowi zawie si na rue SaintRoch. Dozorczyni po raz pierwszy powitała j u miechem. Przymawiaj c si o obiecane dziesi dolarów, wyci gn ła list nadany w Kalifornii. Gilberte miała sucho w ustach i mokro pod pachami, jednak zmusiła si do tego, eby wsi z listem do taksówki. Niezdarnie otwieraj c kopert , rozdarła znajduj cy si w rodku cieniutki bł kitny arkusik papieru.

Droga Gilberte,

Dzi kujemy ci, bardzo dzi kujemy!

Tak drogocennego prezentu nie dostali my nigdy w yciu, ani pod choink , ani przy adnej innej okazji. Oboje z Larrym uwielbiamy Michela. Przyrzekamy ci solennie, e nie zdradzimy nikomu, kim byli jego rodzice. Je li chodzi o ukrycie prawdy przed samym Michelem, to nie powinno by z tym adnych trudno ci. W Stanach dzieciom adoptowanym nie wolno udost pnia informacji o ich rodzicach naturalnych.

Chocia , nie pi c i zaciskaj c z by z niepokoju, na tak wła nie odpowied czekała noc w noc od dnia zar czyn, teraz czytała list przez łyzy.

– O Bo e, Bo e – szepn ła. – Co ja najlepszego zrobiłam.

Trzydziestego kwietnia, równo cztery miesi ce po lubie, Gilberte zaparkowała najnowszy model Jaguara przy boulevard Suchet. Z samochodu podziwiała ciepłe refleksy

porannego słońca na miedzianej muszli ocieniającej bramę do pałacyku. Zaciśnięła powieki. W uszach rozbrzmiewały jej na nowo echa gniewnych przemówień, w ciekłe okrzyki, zgiełk, metaliczny szczyk nożyc. Od czasu bolesnego upokorzenia unikała domu swojego dzieciństwa – czuła, że nie byłaby w stanie przejść przez próg, teraz jednak dostała krótki list od Jean-Jacquesa de Permont, przypominającego tego ropuchę dziedziczącego dobrą jej ojca. Jean-Jacques informował Gilberte, że w piwnicy znalazł dwie skrzynie podpisane jej imieniem. List przemierzył Atlantyk, próbując dogonić ją w Stanach, dokąd udała się z Quentem w celu dopełnienia formalności związanych z jego wystąpieniem z wojska, następnie poleciał za nią do Europy. Łokie Quenta nie zrastał się prawidłowo; musiał się poddać kolejnej operacji na oddziale chirurgicznym kliniki sztokholmskiej. Czekają go miesiąc czarnie drugiej rekonwalescencji. Planowali wracać w tym kwiecień do Nowego Jorku, jednak trzeciego prezydent Truman zatelefonował do Sztokholmu i poprosił Quenta, aby reprezentował kraj na Konferencji Paryskiej. Konferencja była wydarzeniem najwyższej wagi; jej zadaniem miało być ustabilizowanie rozchwianych walut krajów europejskich.

List Jean-Jacquesa dogonił Gilberte rano, podczas śniadania w hotelu George V. Przeglądając broszkę, Quent zaproponował, że będzie jej towarzyszył.

– Za dużo przykrych wspomnień wiążę się z tym miejscem, Gil. Nie pozwól ci jechać samej.

Biała się, że ulegnie pokusie. Z Quentem u boku w jednej chwili przemieniała się w atrakcyjną multimilionerkę, wolną od lęków, w pełni pewna siebie i wahała się. Czy mogła jednak ryzykować wyprawę w jego towarzystwie? Jechała przecie otworzyć dwie wypełnione rzeczami po Michelu skrzynie Pandory jak miała się wytłumaczyć z ich zawartości? Jak ukryły? Nie była histeryczką, ale dotkliwie odczuwała tę skłótnę z Michelem – to było coś, nad czym nie była w stanie zapanować. Bardzo mądre, że Jean-Jacques zachował dawną siostrę, która nienawidziła jej od urodzenia. Wyobraziła sobie, jak ustawieni na podobieństwo greckiego chóru mamroczą o b karcie b karcicy.

– Strasznie jesteś kochany, że mi to proponujesz – powiedziała w końcu – jednak za pół godziny masz spotkanie w Palais de Chaillot, a ja powinnam widzieć prowadzenie wozu.

– Brała lekcje jazdy na odwiecznych ulicach Sztokholmu. Kiedy miała ustąpić, dodała: – Czy chodzisz na węgry chcesz przysporzyć dodatkowych zgrzyzotów prezydentowi? – Prezydent i tak już zebrał odpowiednie cięgi za to, że wyznaczył na konferencję najmłodszego członka komisji.

Słońce schowało się za chmury.

Gilberte ogarnął ją smutek. Zablokowała kierownicę i zmusiła się do wyjścia z samochodu.

Kiedy przechodziła, widziała Gilberte Dejong wysiadając z Jaguara, miałaby wrażenie, że ma przed sobą wytworną parę – rzadki widok w pierwszym roku po okupacji – która szykuje się do wyjścia, niedbale poprawia szarą etolę z kuny, zarzuca na ramiona wiosennego kremowego kostiumiku. Zadzwoiła. Drzwi otworzył młody sługa o poczciwej twarzy, którego – chwala Bogu – nigdy w życiu nie widziała na oczy.

– *Monsieur le baron*, prosił, aby przekazać pani wyrazy ubolewania, ale interesy zmusiły

go dzisiaj do opuszczenia domu.

– Domyłam się, że musiało to być coś niezwykle pilnego – skwitowała cierpko. Z góry wiedziała, że Jean-Jacques będzie starał się wykręcić od spotkania z nią w domu, którego była prawowitą dziedziczką.

Kamerdyner sprowadził ją do piwnicy. W zakurzonych, wypełnionych rupieciami magazynach odszukał dwie niewielkie skrzynki. Gilberte od razu poznała kaligraficzne pismo Hocheràera: „Gilberte de Permont”.

– *Madame?* – Słuchajcie, gdzie to rękopis.

– Chciałabym zostać sama.

Po odejściu słuchającego odczekała parę minut, zanim podważyła deszczułki wiązki ze skrzynek. W środku leżało około tuzina notatników w marmurkowej oprawie. Otworzyła jeden z nich. Na pierwszej stronie widniał rękopis wypisany drukowanymi literami napis:

ROZDZIAŁ PIĄTY PRZEJĘCIEM WYPRES

Kiedy przez szczelinę w drzwiach sypialni Hocheràera do białego rana się wiało, siedziała, że pracuje nad raportami. Spisywał wspomnienia – skonstatowała. Odłożyła notatnik i bez zainteresowania zabrała się za mniejszą skrzynkę, przekonana, że znajdzie tam kolejne tomy wspomnień. Zakłamała jeden ze szkarłatnych paznokci. Jeszcze odwijając brzozy papier pakunkowy, przeklinała podstarzałego kochanka i jego *memento mori*.

Nagle renice Gilberte się zwały. Przed nią leżały dwie wielkie, zapieczkowane czerwonym lakiem koperty, na których odciśnięto pieczęć gestapo – swastykę z trzypięciową czaszką.

Napis na jednej z kopert głosił:

„Seksja iv, *Geheimdienst* Akcja terrorystyczna przy Gare de l’Est, 6 października 1941
André de Permont, sprawa zamknięta”.

Druga koperta była identycznie podpisana, z tym, że wydrukowano na niej nazwisko Vivienne Cagny.

Cisza piwnicznego magazynu zakłócił rytmiczny, ochrypły dźwięk. Gilberte, odrzucając pod wpływem szoku, nie zorientowała się, że to jej oddech. Dygotała ciałem, ujęła kopertę z nazwiskiem ojca. Dopiero po kilku minutach udało jej się złamać pieczęć i wyciągnąć cztery gęsto zapisane na maszynie arkusze. Drżała. Nagle straciła siły. Oparła się plecami o pokryty kurzem, półokrągły podłokietnik kuferek.

Pominęła nagłówki i powoli zaczęła tłumaczyć pierwszą stronę :

Ponieważ doniesiono nam, że Horace Blakely, obywatel Stanów Zjednoczonych, darzył podejrzanego najwyższym podziwem i zapewne potajemnie go ledził, uznaliśmy za niezbyt dnie przesłucha go w stosownych okolicznościach. Zwróciliśmy się tak do policji francuskiej o

dostarczenie jego ony, Frau Dorothy Blakely, b d cej równie obywatelk Stanów Zjednoczonych. I pa dziwnika 1941 o 8. 17 Dorothy Blakely została zatrzymana czasowo pod pretekstem weryfikacji paszportu. O godzinie 10. 38 Horace Blakely przybył na posterunek andarmerii, sprawdzi , co si dzieje z on . Policja, zgodnie z naszymi zaleceniami, nie udzieliła mu informacji, natomiast zatrzymała go pod takim samym pretekstem jak Dorothy Blakely. Nast pnie oboje wiadków przewieziono osobno do komendy głównej przy Avenue Foch. Tego samego dnia, o dziewi tej wieczór, Frau Blakely została doprowadzona do celi przesłucha . Po czterdziestu dwóch minutach przesłuchania ustalono ponad wszelk w tpliwo , e nie posiada adnych informacji dotycz cych terrorystów, w zwi zku z czym odprowadzono j do celi. Oll. 10 wieczorem rozpoc ło si przesłuchanie Horace'a Blakely. Powiadomili my go, e Frau Blakely równie znajduje si na terenie komendy głównej. Zdenerwowany, natychmiast przyznał si do ledzenia de Permonta w nadziei nawi zania z nim kontaktów towarzyskich.

Blakely okazał si wiadkiem niezwykle ch tnym do współpracy. Utrzymywał niezmiennie, e tu przed zamachem terrorystycznym widział de Permonta wchodz cego na teren dworca, jednak pó niej stracił podejrzanego z oczu. Wersj t podtrzymywał w trakcie całego przesłuchania, które trwało trzy godziny i czterdzie ci trzy minuty.

Nast pnego ranka, o 8. 00, Herr und Frau Blakely zostali odwiezieni na posterunek policji z zapewnieniem, e nie b d mieli dalszych kłopotów, je li informacje zostan potwierdzone. Zagwarantowali my obojgu dyskrecj i zobowiazali my si do potraktowania ich ulgowo, gdyby okoliczno ci kiedykolwiek tego wymagały.

Na wargi Gilberte wypłyn ł udr czony u miech. Dotarła do niej w pełni cała ironia sytuacji. O tak, to był naprawdę bolesny art. Jej ojciec ryzykował, e wpadnie w r ce gestapo, po to, eby wydosta Horace'a Blakely z r k policji, w tym samym czasie, gdy Blakely, obywatel neutralnego pa stwa, któremu ze strony gestapo nic nie groziło, składał na niego donos.

Horace Blakely?

To zakompleksiałe, pyszałkowane zero zdrajc ?

Przyznał si do ledzenia de Permonta w nadziei nawi zania z nim kontaktów towarzyskich. Nagle Gilberte uprzytomniła sobie, e ile razy ojciec wychodził lub wracał, Horace zawsze tkwił na pode cie pierwszego pi tra. Ten koszmarny króliczyna przypominał ogłupiał nastolatka , która ciga ukochanego gwiazdora filmowego. Tak, to było mieszne, bardzo mieszne.

... wiadkiem niezwykle ch tnym do współpracy...

J kn ła. Przeszywaj cy ból ciska ł nagle jej czoło; zza niego wyłoniły si beładne pytania. Jak, gdzie i kiedy Hocherer uzyskał dost p do tajnych akt gestapo? Dlaczego nie pokazał jej tych dokumentów? Je eli chciał oszcz dzi jej tych faktów, to po co przechowywał dokumenty opatrzone jej imieniem?

Niezdolna do dalszej lektury, wepchn ła do otwartej koperty pozostałe arkusze. Przyciskaj c obie koperty do akietu, szybkim krokiem ruszyła przez mroczne piwnice. Na

schodach wykręciła nogę w kostce. Upadła do przodu. W naturalnym odruchu powinna wyciągnąć ręce przed siebie, tymczasem tylko mocniej przycisnęła koperty do piersi.

Pod kolanami poczuła coś ostrego, jakby przykładała na bryle lodu.

Poku tykała do salonu o brzozywych wyfłaczanych tapetach, który niegdy był salonem jej matki. Cisnęła koperty na ruszt kominka i wzięła do ręki zapalniczkę. W chwili kiedy ją zapalała, usłyszała za plecami dyskretne pokasywanie. Gwałtownie się odwróciła i stanęła oko w oko z młodym kamerdynerem, którego pocziw twarz zdobiły przedwcześnie obwisłe policzki.

– *Madame* się skaleczyła. Czym mogła się ranić?

Dopiero teraz zauważyła, że po podartej nylonowej pończosze spływa strumyk krwi.

– Proszę dopilnować, żeby skrzynie z piwnicy zostały zniszczone – poleciła.

Kiedy wyszedł, wbiła wzrok w żółte płomieńce, z którego unosiła się cieniutka smuga dymu.

Nie odziedziczyła ani nazwiska, ani dóbr ojca, jednak Hocherer z za grobu wyciągnął do niej dłoń. Raporty gestapo i obietnica, którą ojciec wymógł na niej w podziemiach *Santé*, były jej jedynym dziedzictwem. Zdławiła ogień w zapalniczce. Podniosła koperty i ciskała je mocno, opuściła dom, który przestał być jej domem.

Na *avenue Foch* bezmyślnie skręciła w *contreallée*, wjazd na zaplecze, bokiem Jaguara ocierając o zaparkowany wóz dostawczy. Kiedy okrążyła Łuk Triumfalny, młody piekarczyk na rowerze cudem umknął spod jej kół, gubiąc podłupną bochenki chleba. Zajęty pod *George V* o mały włos nie potrącił portiera w *liberii*.

W sypialni włożyła koperty do szuflady w garderobie i zamknęła na klucz. Nie zdejmując podartych pończoch ani brudnego poplamionego krwi bez owego kostiumu od *Patou*, rzuciła się na łóżko, ciężko dysząc.

Poderwała się, kiedy w drzwiach stanął *Quent*.

– *Chryste* – wyszeptał.

– Dlaczego nie jesteś w *Palais de Chaillot*? – spytała mobilizując całą przytomność.

– Wróciłem, żeby ci zabrać na lunch. Rany boskie, *Gil*, co się znów stało w tym przeklętym domu?

– Nic, znalazłam pamiętniki *Hocherera*. Obrzydlistwa, w sam raz na podpałkę.

– Ale skaleczyła się przecie. – Przysiadł na łóżku i odgarnął jej splecione włosy do tyłu.

– *Gil*, jesteś pokaleczona.

– Brak do wiadzenia za kierownicę. W drodze powrotnej zahamowałam zbyt gwałtownie.

– Wezwij doktora. – Sięgnął po słuchawkę.

Siwy lekarz hotelowy zadał jej kilka pytań, po wieścił latarką w oczy, obmacał czaszkę, wreszcie zawyrokował z powagą, że nie doszło do urazu głowy. Zaaplikował *Gilberte* morfinę, po czym obmył i zszycił kolano. Kiedy pokojówki zmieniały pościel, *Quent* pomógł jej założyć szlafrok.

– Dziękuj – powiedziała patrząc na niego przez sennie zmrużone powieki. Poobozowa chudo zniknęła z jego twarzy, wróciły mu dawne kolory. Był wysokim, pewnym siebie

mężczyzn o kruczoczarnych – takich jak ona – włosach, mężczyźni, którzy troszczyli się o nią z najgłębszym oddaniem.

– Odpocznij teraz. Będzie w sypialnym pokoju.

– A co z... popołudniową sesją?

– Gil, najpierw musi zadziałać lekarstwo.

Przymknęła oczy, wsłuchując się w jego pewne kroki. Wszedł do saloniku, dwuskrzydłowe drzwi pozostawił otwarte.

Pod wpływem narkotyku jej myśli utraciły pancierz ironii.

Bo i w końcu ty, jedyny wnuk rodziców oddany córce Horace'a Blakely.

Ann...

Czy powinnam ukarać Ann, moją jedyną przyjaciółkę?

Tak – odpowiedziała sobie bez wahania.

W swoich ostatnich słowach ojciec wymógł na niej przysięgę zemsty. Ta przysięga wiążąca ją do końca życia.

Nagle dziwna myśl przysła jej do głowy. Ból, który chwycił ją z nienacką w piwnicach przy boulevard Suchet, był zwiastunem raka, który z wolna pochłonie jej mózg.

Obiecałam tacie, że umrę na raka – pomyślała zapadając w twardy sen.

Ann i Gilberte Los Angeles, 1949

Parcela należała przedtem do farmera, który uprawiał kukurydzę, jednak niecierpliwe dążenie weteranów do posiadania własnych domów w połączeniu z hojnym dofinansowaniem ze strony rządu federalnego, okazały się bodźcem tak nieodpartym, że farmer sprzedał parcelę. Miejsce kukurydzy zajęła kolonia pastelowych domków. Porterowie zdecydowali się na zakup posiadłości przy Montecito Lane 109, ponieważ nie trzeba było wpłacić wstępnej raty, ponieważ Michael i Janey mieli tu mnóstwo dzieci do zabawy i ponieważ Westwood, przedmieście, na którym upłynęło dzieciństwo Larry'ego, leżało kilka mil na północ, w związku z czym Lany mógł błagować, że pochodzi z tej okolicy. Pomysłowo, z jak usiłował uchodzić za bogacza, martwiła Ann, a zarazem rozczulała, przypominała marzenia małego chłopca, żeby pograć w piłkę z dużymi chłopakami.

Tego letniego popołudnia, w szortach i opalaczu, z kasztanowymi rozwianymi włosami nad opalenizną lekko piegowatych ramion, wyglądała na typową mieszkankę podmiejskiej kolonii domków.

Pozory, jak wiadomo, mylą. Adna z tutejszych nie urodziła się we Francji, adna nie przechowywała w sobie wspomnień ucieczki przez granicę obsadzoną patrolami SS, adna nie adoptowała dziecka spłodzonego przez niemieckiego feldmarszałka z francuską arystokratką. Adna z nich nie przekroczyła progów równie imponującej posiadłości jak Greatleigh i chociaż wikszość z nich nieobce były sny o Kopciuszku, adna nie miała romansu z multimilionerem, którego nazwisko figurowało w almanachach najznakomitszych rodzin.

Jej sąsiadki wiedziały tylko o jednej, bardzo rzucającej się w oczy różnicy: w przeciwieństwie do nich, Ann pracowała i nie tylko zarabiała.

Siedziała na rodku niewielkiej jadalni, którą zaanektowała jako pracowni, pochylona nad kartką szkicownika, przypiętą do stołu kreślarskiego. Dzieci już spały i w domu panowała cisza, jednak przez otwarte okna wdzierały się odgłosy gorzej nocy, wypełnionej cykaniem wierszczy w zaroślach młodych krzewów, stłumionymi okrzykami z nowego telewizora Fanningów z naprzeciwka, którzy właśnie oglądali kryminał, wreszcie odległym szumem samochodów. Mimo że dochodziła dziewięta, Larry'ego cięgle jeszcze nie było w domu. Pracował dla Purvis & Associates, małej hollywoodzkiej agencji, i do jego obowiązków słuchania – dla Larry'ego była to przysłowiowa bita mietana na torcie – należało dotrzymywanie towarzystwa przedstawicielom prasy w barach Dona Włóczgi, Mike'a Lymana, czy też w Domu Murphy'ego i przekonywanie ich przy tej okazji, żeby umieli wzmiankować o którymś z klientów Purvisa.

Montecito Lane nadjeżdżał samochód. Ann uniosła głowę, nadłuchując. Samochód minął dom, nie zatrzymując się. Przeciwnie, wstała, żeby wpiąć dwie dodatkowe szpilki w sztuczny jedwab udrapowany na kupionym z drugiej ręki manekinie krawieckim. Bluzka stanowczo powinna być o wiele bardziej sutą i z prawdziwego jedwabiu, jednak Sever płacił

jej dolara trzydzieci i dziewięć centów od sztuki. Z buntowniczym min przymarszczyła dodatkowy kawałek materiału na piersi. Jej marzeniem – jej fatamorgan – było dobrać cię do tego etapu, w którym b dzie mogła zaję się prawdziwym projektowaniem, to znaczy nie b dzie musiała się nieustannie zastanawiać nad tym, o ile ka dy cal materiału, ka dy szew czy zapięcie podnosi koszty modelu. Po chwili z powrotem zebrała materiał. Miała szczęście, że w ogóle udało jej się znaleźć jak pracować w branży. Kiedy przyjechali z Larrym do Los Angeles, zapisała się na kursy wieczorowe w Otis Arts Institute. Nauczyciel przedstawił najlepsze projekty Ann Severowi, producentowi odzieży sportowej (czy raczej tego, co w Kalifornii uchodziło za odzież sportową). Sever zaproponował jej pracę. W niepełnym wymiarze godzin – uprzedził. Była w ciąży z Janey i Larry waden sposób nie był w stanie pokryć rachunków za jej ginekologa, pediatr Michaela, spłaty hipoteki, wadzenia miesięczne, najnowszy model Buicka, który pochłonął sporczą odprawy, jak Larry otrzymał występ z armii.

Kolejny samochód wjechał w uliczkę. Tym razem reflektory skierowały się na podjazd.

Czekajcie, a Larry się umyje, Ann odgrzewała spaghetti. Ponieważ jadalnia była zajęta na pracowni, jadali w recepcyjnej, w której BabeTenda, ogromny i kosztowny, ale za to niski i doskonale wyważony fotelik Janey nie pozostawiał miejsca prawie na nic.

Larry nalał czerwonego wina, relacjonując sprzeczki między ich klientkami, lubiąc zajrzeć do kieliszka aktorki charakterystycznej, a felietonistki z „Hollywood Reporter” w sposób tak zabawny, że Ann mało nie udławiła się ze śmiechu. Nawinął porcję spaghetti na widelec.

– Przepyszne – pochwalił. – Jak przeszedł dzień?

– Na pewno przyjemniej niż tobie. Michael nie chciał iść do przedszkola, a Janey wymiotowała w trójkę.

– Nic jej nie jest? – spytał z niepokojem. Chociaż w opiece nad dziećmi zdawał się na Ann, troszczył się o nie bardzo, czego dowodem był zakupiony przez niego rozkładany fotelik BabeTenda.

– Potem już normalnie zjadła brzoskwinię i wypła soczek bez problemów.

Nie pytał się o jej pracę. Chociaż przyzwyczał się – ba, rozsmakował – do standardu, jaki zawdzięczał ich wspólnym zarobkom, jednak praca Ann była dla niego solą w oku.

Ka dy comiesięczny czek z podpisem Severa cofał go do roku 1937, kiedy to jego ojciec, antypatyczny, ponury pijaczyna, sprzedał tak niewiele używanych Onyoców, że matka musiała zamieszkać u obcych ludzi jako służąca; dzięki jej zarobkom na wytłuszczonym obrusie Porterów od czasu do czasu pojawiała się coś do jedzenia. Praca matki w oczach Larryego dyskredytowała ojca jako głowę rodziny i jako męczyznę.

Kiedy Ann pozmywała po kolacji, udali się razem do sypialni dzieci.

Janey leżała wyciągnięta wygodnie na plecach. Blondynka o anielskich włoskach po Larrym odziedziczyła dołeczek w brodzie. Wykapany ojciec – pomyślała Ann, wyciągał obliniony paluszek z ust cherubinka. Larry dopił zatrząskaną piórką małej.

Michael leżał skulony w łóżeczku, cięgał jasne brewki, czujny i wojowniczy nawet w śnie. W wieku pięciu lat był ekstrawaganckim, inteligentnym samotnikiem. Ann darzyła go gorczmiłością. Larry, dla którego życie było nieustannym szukaniem poklasku, kochał syna

wystarczająco, żeby wybaczyć mu jego skrytość i samotność.

W małżeństwie z klonowego drewna Larry musiał koniuszkiem palców rami Ann. Był to ich umówiony znak. Wyszła do łazienki po diafragmę.

Najpierw pieścił jej piersi, dopiero później jego dłonie zapadły się dalej. Na samym początku małżeństwa przekonała się, że ilekroć próbowała odwzajemnić pieśczoć, odpychał jej ręce. Połknął jej bierność, nie namawiając. Uznała w końcu, że w oczach Larry'ego była ponad tym. To moja wina – ganiła się w myślach. Powinnam była mu powiedzieć, że nie jestem dziewicą. Takie wyznanie jednak wymagałoby ujawnienia partnera, gdy tymczasem pani Porter starała się wyprzeć z pamięci wszelkie wspomnienia o Ouentinie Dejongu.

Larry wpił się ustami w jej wargi. Jego pocałunek pachniał winem i sosem do spaghetti. Poglądził jej dłoń w kroku. Była podniecona, kiedy kładł się na niej – zawsze kochał się z nią w tradycyjny sposób. Kiedy zaproponowała mu, żeby wziął ją od tyłu – przez blisko dwa miesiące ani razu nie dotknął jej ramienia. Podjął jego rytm – czasami chwycił ją orgazm, tej nocy akurat nie.

Zsunął się z niej i natychmiast zapadł w sen. Leżała z otwartymi oczami w ciemności, rozmyślała o wielkiej miłości, jak darzy Michaela na równi ze swoją Janey, o tym, jak zawsze umieją rozmieścić. Przytuliła się do pleców Larry'ego i przez chwilę cmoknęła go miłośnymi łopatkami.

Była to ostatnia bezkonfliktowa noc w ich małżeństwie.

Janey spała, kiedy po lunchu zadzwonił telefon. Michael, który uważał, że nie dotyczy go tego rodzaju dziecięce praktyki, zgadzał się odpoczywać tylko pod pretekstem słuchania opowiadań.

Ann nigdy nie mogła się pozbyć niepokoju z powodu zapalenia uszu, jakie przeżył w dzieciństwie. Poza tym było lato, sezon zachorowań na heinemedin i w „Heraldzie” stale drukowano artykuły, od których włos stawał na głowie. Aby utrzymać go spokojnie w łóżeczku, zmieniała się w Szeherezadę. Czasem zdarzało się – tak jak tego dnia – że nagrodził ją, usypiając. Przy pierwszym dzwonku po pieśni wybiegła na palcach z sypialni. Przemknęła przez mały, słoneczny przedpokój i dotarła do kuchni równo z drugim dzwonkiem.

– Hallo – wyszeptała zdyszana.

– Czy to ty, Ann?

Gładka francuska wymowa, cierpkie rozbawienie w głosie.

To mogła być tylko Gilberte. Nie mieli od niej żadnych wiadomości od czasu jej dziwnego listu. Przez jakiś czas Ann była w nieustannym lęku: co będzie, jeśli Gilberte pojawi się i zażąda z powrotem Michaela? Jednak lata mijały, dopełniono formalności adopcyjnych. Teraz lęk wrócił z wzmożoną siłą. Ann miała wrażenie, że zaraz pęknie jej aorta.

– Gilberte, skąd dzwonisz? – Odkasła, żeby rozluźnić krtań.

– Ze słonecznej Kalifornii. Jestem w Los Angeles.

– Przejazdem?

– Mo na to tak okre li . Za du o opowiadania na telefon. Czy mogłyby my si jutro spotka ?

– Mam dzieci.

– Dzieci?

– Tak, Janey sko czyła rok. No i jest Michael. – Głos Ann podniósł si wyzywaj co. – Mój syn, Michael!

– Ann, chyba nie my lisz, e mam zamiar powraca do tej sprawy?!

– Przeprowadzili my adopcj !

– Wierzy mi si nie chce, e te słowa wychodz z twoich ust – powiedziała Gilberte lodowatym tonem.

– Wi c nie chodzi o Michaela?

– O ile pami tam, zobowi zała si na pi mie, e nigdy nie b dziesz prowadzi rozmów tego typu.

Ann osłabła od nagłej ulgi, oparła si o blat kuchenny.

– My l , e uda mi si wyrwa na lunch – powiedziała skruszona. Wyszarpn ła podr czn szuflad , wyławiaj c ołówki spomi dzy rachunków i kwitów. – Gdzie mieszkasz?

– Wynaj li my dom.

– My?

– Wyszłam za m , Ann.

– Wyszła za m ! Musisz mi wszystko opowiedzie !

– Jutro. O pierwszej. North Bedford sze set dziewi dziesi t, w Beverly Hills.

– Wiem doskonale, gdzie to jest – odpowiedziała. Po przyje dzie do Kalifornii Larry obwiózł j samochodem po okolicach Beverly Hills położ onych na północ od boulevard Santa Monica.

„Tutaj b dziemy mieszka , kiedy b d miał własn agencj reklamow ” – powiedział tonem, w którym zachwył mieszał si z nadziej , pokazuj c wielkie domy. Czy by Gilberte odzyskała spadek? Mo e wyszła bogato za m ?

– Mamo – w drzwiach kuchni stan ł zaspany Michael – wyszła w rodku bajki – powiedział splataj c r ce w oskar ycielskim ge cie.

– Dzwonił telefon.

– To chyba kto niem dry. Mógł przecie zbudzi Janey. – Ann i Larry domy lali si , e Michael nie sypia po obiedzie.

– Dzwoniła stara znajoma. – Ann ukl kła przytulaj c Michaela. Drobne rozgrzane ze snu ciałko próbowało wymkn si z jej obj .

– Zało si , e ten kto nie ma dzieci – powiedział.

Gilberte dr cymi r kami odło yła słuchawk . Długi kabel pozwalał na wyniesienie telefonu na taras – na patio, jak si to tu, w południowej Kalifornii nazywało. Wzrok Gilberte był dził ponad nieprawdopodobnie zielonym trawnikiem i padał na wykładany kafelkami basen, na którego pomarszczonej powierzchni załamywały si promienie sło ca. Czekwała tak długo, zaplanowała wszystko tak starannie, e teraz, kiedy wreszcie dotarła do Ann, nie

powinna odczuwać nic poza umiarkowaną nudę, jakiej doświadcza stara aktorka teatralna, kiedy sztuka schodzi z afisza.

Skąd wiacie wewnątrz dygot, skąd absurdalna nadzieja na odnowienie starej przyjacieli, czy prawda o dziecku nie wyjdzie na światło dzienne?

Ann tak samo jak mnie zależy na tym, żeby zapomnieć o pochodzeniu Michela – myślała Gilberte. Jednak wymawiała jego imię miękko, na modłę francuski i w przypływie rozpaczliwej szczerości musiała przyznać się przed sobą, że nigdy, przenigdy nie będzie w stanie zapomnieć, że Michael jest jej synem.

Mucha siadła jej na udzie. Zamierzając strzepliwo, podniosła numer francuskiego „Vogue’a”.

– Wróciłem! – zawołał Quent.

Gilberte zamarła. Quent zapowiedział, że całe popołudnie spędzi na placu budowy, na którym miał stanąć budynek zarządu oddziału Korporacji Jasona Templara Zachodniego Wybrzeża.

Spadek Templara, nazywany Trustem przez wielkie T, przechodził na kolejnych potomków Jasona z prawego łona; obecnie zarządzało nim trzech starszawych, chuderlawych bankierów, których Quent i Gilberte po cichu przezywali „szarymi”, oraz cała armia księgowych, agentów obrotu nieruchomości, maklerów giełdowych i adwokatów. Od zakończenia wojny Quent dołączył do trójki „szarych”, zasiadając w radzie nadzorczej Trustu; nie zajmował się jednak sprawami Korporacji Jasona Templara, które w retorce bogactwa usiłowało wytworzyć kolejne złote jaja, a poświęcił swój czas na zarządzanie Fundacją Templara, charytatywną filią Korporacji. Za namową Gilberte przylecieli do Los Angeles, żeby Quent mógł na miejscu zatwierdzić projekt architektoniczny gmachu połączonego zarządu obu instytucji. Była to dla niej znakomita okazja, żeby – nie wzbudzając podejrzeń, odwiedzić Los Angeles, gdzie mieszkali Ann i Larry Porterowie. Mógł się tu wpakować, kiedy rozmawiałam z Ann – przeraziła się.

– Wczynie wracasz – odezwała się do Ojuenta. – Basen mruga do mnie zachęcając. Co ty na to, żeby się trochę ochlapa?

– Wskakuj – powiedział. – Pójdź się przebrać.

Niemal zawsze przychylił się do jej pomysłów, a kiedy z rzadka sprzeciwiał się jej w czymś, na czym jej zależało, nawiązywała mimochodem do swoich rodziców lub pobytu w Santé, rozbudzając w nim na nowo poczucie winy. W kręgu jej przyjaciółek uchodził za pantoflarza. (Bitsy Dejong Havemeier, jej nowa kuzynka, podsumowała go obrazowo: „Quent okazał się prawdziwym onkosiem. Te powici gliwie typki jak już raz wpadną, to od razu po uszy”.)

Właściwie to co by się stało, gdyby podsłuchał, że rozmawia z Ann – zaczęła się zastanawiać. Pierwszy etap jej planu przewidywał właśnie pojawienie się Porterów na horyzoncie. Dopierołaby tego o wiele szybciej, ale musiała najpierw upewnić się, czy Ann całkiem wyleczyła się z pensjonarskiego zauroczenia Quentem i czy ona sama jest w stanie zapanować nad tsknotami macierzyńskimi, które niestety nie chciały wygasnąć.

– Gotowa? – spytał Quent, pomagając jej wstać z ławki. Spuściła wzrok. Nie lubiła mu

si przygląda, kiedy był rozebrany. Był dobrze zbudowanym, umiarkowanym mężczyzną, ale jego lewa rękawka, od łopatki aż po nadgarstek, była poznaczona pasmami twardych czerwonych blizn. Wspomniał jedynie, że rany odniósł w Mauthausen, a ponieważ blizny wzbudzały w niej obrzydzenie, nie wypytywała go o nic więcej.

Wspiął się na najwyższą trampolinę i wykonując w powietrzu nienaganny obrót, wskoczył głową do wody.

Przechyliła się przez krawędź basenu.

– Rozmawiałam z Ann – powiedziała, kiedy głowa Ouenta wyłoniła się na powierzchni wody.

– Jak się miewa moja kuzynka? – spytał podnosząc głowę i przyciskając dłoń do ucha, aby pozbyć się wody.

Siedział, a ma na myśli Ann Dejong Mayhew. Rozległe plemię powinowatych przyjęło ją do swojego grona i nawet kręce pogłoski o skandalicznych okolicznościach jej przyjęcia na wiat nie były w stanie zagrozić pozycji Gilberte w epicentrum społeczeństwa amerykańskiego. W jej oprawnym w białym jedwabiu terminarzu nigdy nie było miejsc wolnych. Kobiety podziwiała jej stroje, a wszyscy razem zachwycali się akcentem, biżuterią, kwiatami, urządzeniem domu, menu jej przyjęcia, wreszcie, ponad wszystko, podziwiali ją, jak zrobiła wychodząc za Ouenta. Podziwialiby nawet pawiana, gdyby zechciał się z nim o niego dzielić Jasona Templara – myślała czasami Gilberte, zawsze skłonna lekceważyć swoje osiągnięcia.

– O ile wiem, nadal siedzi z Fitzem na swoim jachcie na Karaibach. Mówi o Ann Blakely, Ann Porter, mojej koleżance szkolnej. Mieszka niedaleko stąd.

– Ach, o Ann Porter. Racja, przecie mieszka w Los Angeles. – Wychodził właśnie z basenu, aby powtórzyć skok; jego dłonie zacisnęły się na poręczach drabinki.

– Przyjeżdża do nas jutro na lunch.

– Niestety, jestem już umówiony i nie będę mógł wam towarzyszyć. – W ciągu dnia nigdy nie towarzyszył jej w zajęciach, postanowiła jednak puścić jego wypowiedź mimo uszu; umiała nim manipulować, nigdy natomiast nie potrafiła go zrozumieć. Spokojnie zaliczała kolejne długie kąpiele w basenie.

Przed jedenastą Ann przeprowadziła dzieci przez ciemny, świeżo wyasfaltowany podjazd do Mitzi Fanning. Janey bez protestów dała się usadowić w kojcu Bobby'ego Fanninga. Michael posłał nienawistne spojrzenie swojej rówieśniczce, pięcioletniej Debbie Fanning, wykrzywił się oskarżycielsko do Ann i odmówił przyjęcia z ręką Mitzi marchewki posmarowanej masłem fistaszkowym.

– Mitzi, ratujesz mi życie – oświadczyła Ann, kiedy siadka wrzuciła jej kluczyki do starego niebieskiego DeSoto.

– O rany, pomyśl tylko, ile razy brała do siebie moich czortów. Nie mogła się doczekać kolejnej rundy spotkania.

Wróciwszy do pustego domu, Ann zrzuciła białe szorty i koszulkę bez rękawów ozdobioną kryształkami z krepiny – Sever odrzucił ten model z powodu kosztownego przybrania – i zamarała kontemplując swoją połowę szafy z ubraniami. Sama zaprojektowała i sama uszyła

ka d rzecz. To, jak b dzie si prezentowa , miało wielkie znaczenie. Strój miał by zbroj , w której b dzie broni Michaela – Ann, zwykle a nazbyt łatwawierna, nie bardzo ufała deklarowanej przez Gilberte oboj tno ci wobec dziecka. Wyj ła czarn jedwabn sukienk , któr zakładała, eby zrobi wra enie na klientach Larry’ego podczas obiadów na rachunek firmy, i natychmiast odrzuciła j , jako zbyt eleganck . Z kolei seledynowa pikowana sukienka, na tle której kasztanowe włosy Ann wydawały si naprawd rude, została w my l zalece nowej mody przedłu ona. Chocia ład starego zakładu był ledwie widoczny, Ann nie była w stanie o nim zapomnie . W zwi zku z tym pozostawało jej jedynie to, co Sever nazywał *shlep clothes*, albo nowa jasnoniebieska sukienka z lnu. Ann kupiła resztk płótna za półdarmo – inaczej nigdy nie dałaby si namówi na równie sprany odcie bł kitu. Nie miała jednak wyboru. Wzi ła prysznic, ubrała si i obrzuciła krytycznym spojrzeniem w lustrze łazienki. Widz c zatroskany grymas na swoim czole, poci gn ła si za uszy, zrobiła zeza, a nast pnie ze miechem pokazała sobie j zyk.

W osiedlu Porterów trawa zrudziała od letniego sło ca, ale w tej cz ci Beverly Hills, wokół której obracały si marzenia Larry’ego, ogrodnicy dysponowali wymy lnymi urz dzeniami do spryskiwania trawników, które dzi ki temu zachowywały yw ziele . Z powodu wysokich cen ziemi domy stały g sto jeden przy drugim. Ozdobione kolumnami dworki, stylizowane na lata sprzed wojny secesyjnej kuliły si w s siedztwie kopii Alhambry i zamczysk naje onych wie yczkami. Dom Gilberte, zbudowane od połowy z bierwion dworzyszczce w stylu tudoria skim, był najwi ksz budowl przy Bedford Drive. Ann energicznie docisn ła hamulec – tylko w ten sposób mo na było zatrzyma starego DeSoto Mitzi. ci gn ła łopatki, nabrała gł boko powietrza i złapała bukiet cynii z własnego ogródka.

Gilberte przyj ła j w stroju podobnym do tego, który Ann dopiero co z siebie zdj ła, niemniej Ann na pierwszy rzut oka ustaliła, e prosta bluzeczka i płócienne szorty z zakładkami Pochodz od najlepszych krawców, a ich cena zapewne stokrotnie przewy sza cen jej ubrania. Gilberte podzi kowała za kwiaty. Postawiła je na kredensie w hallu – przybrany gał zkami cymbidium – Ann widywała orchidee wył cznie w bukietkach przypi tych do piersi.

– Jaki pi kny dom – powiedziała rozgl daj c si niepewnie. W dwupi trowym hallu jej nie miałe słowa brzmiały niezbyt stosownie.

– Ann, przesta si zachowywa , jakby zaraz miał nast pi koniec wiata. Jestem w Kalifornii, st skniłam si za tob , i tyle. – Gilberte podniosła r k do góry. – Przysi gam na grób Rabelais’go!

Była to jedna z przysi g, jakie wymy lały na rue Daguerre. Ann wybuchn ła miechem.

– Czy bym zapomniała uprzedzi ci , eby przyszła w szortach? B dziemy je nad basenem.

Podczas gdy we wn trzu domu rozmiar ciemnych włoskich mebli sugerował ich zawrotn cen , ogród sprawiał zupełnie odmienne wra enie. Radosne czerwone i białe geranium odmiany Martha Washington, najbardziej popularne kwiaty południowej Kalifornii, bujnie krzewiły si w wielkich terakotowych donicach. Poduchy krzesel i le aków pokryte były

wzorzystymi materiałami w naiwne desenie, nawiązujące do malarstwa Paula Klee. Trzy jaskrawe piłki plałowe podskakiwały na tafli basenu.

– Jak tu licznie i wesoło – zachwyciła się Ann.

Gilberte podeszła do barku na kółkach, wykonanego z kutego elaza.

– Dom był umeblowany, więc musimy się zmierzyć z tymi koszmarnymi imitacjami. – Podała Ann wódkę z tonikiem. – Jednak człowiek ma swój wytrzymałość, w związku z czym dokupili my coś nieco do ogrodu.

– „My”, ci głębiej to tajemnicze „my”, powiedz wreszcie coś o domu.

– Najpierw ty mi powiedz, skąd masz tak fantastyczny sukienkę? Najbardziej szalony ciuch, jaki widziałam w tym sezonie – kiwnęła apróbując głowę – a byłam na pokazie u Diora. Już wiem, to te wielkie guziki z przodu.

– Naprawdę? Jako mi tak wyszło samo.

– Sama ją szyła? Według wykroju z „Vogue’a”?

– Nie, to mój własny projekt. Jestem zawodową projektantką ... to znaczy dorabiam w ten sposób.

– Nie dam się nabrać.

– Naprawdę.

– Niemożliwe! Kto ci wytyka twoje błędy, kiedy mnie nie ma pod ręką?

– Od tego jest mój szef, pan Sever. Ale on nigdy nie robi uwag w rodzaju: „Co takiego nie bardzo nadaje się na regaty”, on mówi: „Znow próbuje mnie pani zrujnować tymi ekstrawaganckimi guzikami!”

– Chcesz powiedzieć, że wcale nie zależy mu na stylu?

– spytała Gilberte, naiwnie unosząc brwi, by sprawić wrażenie, że jak wszyscy bardzo zamożni ludzie, w kwestii pieniędzy jest czarującym naiwną. Udawała. Przeprowadziła prywatne dochodzenie na temat sytuacji finansowej Ann i Larry’ego Porterów. Dostarczona jej raport na cztery i pół strony. Wiedziała, ile Isadore Sever płaci Ann i ile Neil Purvis płaci Larry’emu, wiedziała, że Larry regularnie przekracza konto na bieżące wydatki, że miesięczna spłata na hipotekę domu przy Montecito Lane wynosi osiemdziesiąt jeden dolarów i siedemdziesiąt pięć centów, że Ann nie potrafi odebrać pieniędzy, które pożyczę swoim siadkom, a Larry nie jest w stanie się oprzeć ekstrawaganckim pokusom.

– Oczywiście, że zależy mu na stylu – odpowiedziała Ann.

– Ale w granicach pewnej sumy. Jego głównym odbiorcą jest sieć tanich sklepów Lerner Shops.

– Pracujesz i zajmujesz się dziećmi. Opowiedz mi coś o nich.

– O Michaelu? – spytała Ann dręcym głosem.

– Naturalnie.

– Gilberte, pisałabym do ciebie o nim, ale...

– Dlaczego miałabyś do mnie o nim pisać?

– Bo przecie ...

Gilberte pochyliła się do przodu, przytrzymując Ann za nadgarstek. Słowo za słowo o lepiąc co na szerokiej wysadzanej obłymi brylantami obrączce lubnej, która zakrywała

palec serdeczny a po pierwszy staw. Obrózka stanowiła jedyną biuterię, jakiej Gilberte używała na co dzień.

– To tak dotrzymujesz obietnicy – zasyczała. – Nie ma żadnego powodu, dla którego miałaby do mnie pisać o swoim synu. Nie mam nic wspólnego z twoim synem. Nic a nic. Rozumiesz?

Ann nie była w stanie oderwać wzroku od chłodnych topazowych oczu.

– Nie powiedziała o nim matce? – spytała.

– Nie. I zabij ją dego, kto to zrobi. – W pogrocie wyszeptanej ochrypłym głosem nie było cienia przesady. Ucisła Gilberte zelała. Usiadła spokojnie.

Na trawniku, wierząc wojowniczo, przysiadła sówka.

– Janey i Michael to prawdziwa para potworów – podjęła po paru sekundach Ann.

– Ann, nie oszukasz Gilberte. Widz przecie, jak twoje liczne guziki trzeszczą od rozpierającej ci macierzyńskiej dumy.

– Kiedy naprawdę spotworami – upierała się Ann, wekslując rozmowę na niewinne opowiadki o uroczym samowolno ci malutkiej Janey i niezwyklej inteligencji Michaela, przejawiając się w jego dziecinnych występach.

Kończyły drinki, kiedy na taras wkroczył ubrany w biały marynarski służy, Filipiczyk. Zatrzymał się z szacunkiem przy krzesle Gilberte.

– Lunch jest gotowy, pani Dejong.

Wielka niebieska szklanka wyliznęła się z ręk Ann, zatrzymując w porę na kolanach, inaczej z pewno ci potłukłaby się o płyty tarasu.

– Jak mogła pozwolić mi paplać tak długo, skoro sama masz w zanadru równie rewelacyjną wiadomość? Jesteś ci matką i siostrą z Ouentem? – spytała nieco zbyt radosnym tonem, pochylając głowę i badając palcami plamy na swojej serwetce.

– Byłam przekonana, że wiesz i tylko droczysz się ze mną, pytając o mojego tajemniczego matkę. Pisano o tym w gazetach. – Prawdę mówiąc, było tylko jedno ogłoszenie. Dejongowie należą do klasy, która uważa, że ich nazwiska powinny pojawiać się na łamach prasy jedynie z okazji narodzin, matki i śmierci. – Chyba nie zabraknie nam tematów do rozmów przy lunchu. Może jednak najpierw wolałaby się odwieść?

W toalecie starannie wystudiowany uśmiech Ann zgasł, a jej twarz zbieleła i nabrała nieruchomego wyrazu aktorów teatru No. Skąd to uczucie, że Quent ci zdradził? Nie zachowuj się jak pies ogrodnika. Przecie sama wyszła za matkę – upominała się w myślach. Jednak prawda – niepodważalna, choć wstydliva – była taka, że nigdy w życiu nie poлюбиłaby Larry'ego, gdyby Gilberte nie opowiedziała jej, że Ojuent po wyjściu z wojska zabawia się na dobre z jakimiś panienkami z wyższych sfer Nowego Jorku. Prędzej czy później jednak Quent zechciałby mieć poważne zamiary wobec jakiejś dziewczyny. Z pewno ci nie byłaby ni tłumaczką SHAEF-u, natomiast Gilberte, arystokratka, jak on – czemu nie? Tylko w wyobraźni natchnionej marzycielki pokroju Ann Blakely bohaterstwo wykonany pod jej adresem z powodu podobieństwa do zmarłej matki Ojuenta i kilkunastu nocy spędzonych podczas wojny – zwykle zresztą z inicjatywy Ann – mogły urosnąć do rangi romansu wszechczasów.

Starannie wytarła rozmazany tusz pod rzęsimi.

Gilberte czekała na nią w hallu.

– Mam dzisiaj bardzo skromny lunch, zwyczajna sałatka z krewetek. Mam nadzieję, że nie masz nic przeciwko temu? – spytała, prowadząc ją z powrotem na taras.

– Mówisz do kobiety, która pięć razy na tydzień jada i cie królewski lunch: kanapki z masłem fistaszkowym i marmoladą – zakpiła Ann. – Kiedy się pobrali? Byliście zaręczeni?

– To bardzo prozaiczna historia. – Pod jasną parasolką, zagryzając wielkie, marynowane krewetki na białych liściach endywii, Gilberte cierpkim tonem zrelacjonowała, jak Quent wybawił ją ze szponów *madame* Montargis. Ann udało się utrzymać błady, ale przekonujący uśmiech. Służący przyniósł sorbet cytrynowy dla Gilberte, brzoskwiniowy dla Ann.

– Widzisz, że nie zapomniała, jak strasznie tęskniłam za brzoskwiniami. Czy Quent dalej jest bankierem?

– Zasiada w radzie nadzorczej Dejongów, a także w radzie Korporacji Templara, ale najbardziej udziela się w Fundacji, która rozdaje znaczne dochody Korporacji. Przyjechali my tutaj, bo Quent zatwierdza projekt gmachu zarządu Korporacji na Zachodnie Wybrzeże. Parcela leży przy boulevard Wilshire, ma to być najwyższy budynek w Los Angeles. Quent stale podróżuje, szukając ofiarodawców dla Fundacji. Wcale nie narzekam, wręcz przeciwnie, jestem dumna z mojego męża. Nigdy bym nie przypuszczała, że się tak będzie nad kim roztkliwiała, i to bez cienia ironii! Naprawdę jestem z niego dumna, robi bardzo wiele dobrego. Czasami marzę o tym, żeby te moje jakieś bardziej absorbujące zajęcie niż dobieranie mebli na patio.

– Tak właśnie nie wyglądałoby to.

– Zazdrościsz ci twojego projektowania.

– O tak, prowadząc rozkoszne życie. Moje atelier ma trzy metry na trzy, w rzeczywistości jest jadalnią. Pracuję po nocach, kiedy dzieci już śpią.

– My też chcieliśmy mieć dzieci, na razie jednak jakoś nam nie wychodzi. Na szczęście zabiegi w tym celu nie są specjalnie uciążliwe.

Ann wyobraziła sobie ciało Ouenta, splecione w miłosnym uścisku ze smukłym ciałem Gilberte, jego dłonie błędnie po zmysłowych piersiach wychylonych z nieodpowiedniej białej bluzeczki, pieszczoty, jakimi okrywa jej długie, szczupłe, opalone nogi. Zerknęła na pozłacany Bulov.

– Już trzecia? Muszę iść, Gilberte.

– Już? Nie wypiliśmy jeszcze kawy.

– W mojej okolicy zbyt długie parkowanie dzieci uchodzi za przestępstwo.

– Koniecznie musimy się znów spotkać. Zadzwoń do ciebie – oznajmiła Gilberte na progu.

– Cudownie! – odpowiedziała Ann, przekonana, że po równa uwaga miała wyłźnie grzeczny ciowy charakter.

Na Carmelita skręciła w prawo, podjechała kilka przecznic do zamkniętej w lecie

szkoły podstawowej El Rodeo. Zatrzymała samochód przy parkanie szkoły i ukryła twarz w dłoniach. Fakt, że Gilberte nie ma żadnych zakusów na Michaela, powinien dla niej znaczyć o wiele więcej niż wiadomo o jej małżeństwie z Ouentem – skąd więc to morze łez?

Gilberte stała w progu jeszcze długo po tym, jak rozwiął się gęsty dym z rury wydechowej gruchota, którym przyjechała Ann. Była przygotowana na wysłuchiwanie opowieści o Michelu-Michaelu w jego nowej postaci amerykańskiego chłopczyka, synka Ann i Larry'ego, nie przewidywała jednak ciepła i prostoty starej przyjacieli z Ann. Dotąd nie mogła się przyzwyczaić do ambicjonalnych rozgrywek towarzyszących wszystkim jej nowym przyjaciołom ani tej nieustannej walki o władzę, jak toczyła z Ouentem. Bycie z Ann przypominało unoszenie się na dmuchanym materacu po powierzchni basenu kąpielowego. Spokój, relaks, nieskrępowanie.

Jest córka Horace'a Blakely'ego – powiedziała sobie i zatrzasnęła frontowe drzwi. W mrocznym hallu jej wzrok przykuła barwna plama cynii.

– Joaquin! – krzyknęła. – Proszę wyrzucić to zielsko!

Nie – powtórzył Quent.

– Nie widzę powodu, dla którego nie mielibyśmy odwiedzić Porterów. Przecież tu, w Kalifornii, mamy sporo wolnego czasu.

– Bardzo mi taka sytuacja odpowiada.

– Mylisz, że o tym nie wiem! – skwitowała niechętnie. Skłonno Ouenta do spędzania cichych wieczorów w domu była źródłem większych nieporozumień.

Zapalił papierosa.

– Nie wiem, czy ci mówiłem, że zszedłem już do jednej paczki dziennie.

Skinęła głową, podnosząc do ust filiżankę kawy. Postanowiła – na jakiś czas – zawiesić sprawę odwiedzin u Porterów.

– Czujesz się nie najlepiej... – Urwała w pół zdania.

– W związku z dzisiejszym wieczorem? – spytał Quent. – Myślałem, że to ja jestem nietowarzyski. – Szykował się do wyjścia na obiad z przedstawicielami studia Magnum, którego filmy finansował bank Dejongów.

– Nie, myślałam o Ann. Kiedy miałam kiepski okres, Ann była dla mnie cudowna... byli cudowni oboje. Gotowi pomyśleć, że ich lekceważyłam, bo mieszkają w upiornym, małym domku, jakichś tysiące.

W milczeniu nakładał czarne skarpetki z przetrąconego jedwabiu.

Quent, jak zwykle po stosunku, zapalił papierosa. Przez odsłonięte firanki księżyc w pełni połyskiwał na obnażonych ciałach.

– To będzie ten papieros, z którym najtrudniej będzie mi się rozstać – powiedział.

– Quent, było cudownie, nalej ci się ode mnie nagroda. – Pocałowała go w ramię, po czym westchnęła. – Ann poprosiła mi pieniądze.

Oparła szyję o jego ramię. Poczowała, jak biceps Quenta się napina.

– Kiedy? – spytał.

- Zaraz po wyzwoleniu.
- Nigdy mi o tym nie wspominała .
- To prawda.

Nie wspominałam, bo to dotyczyło Michela – pomyślała.

– Kiedy miałam ogoloną głowę i mieszkałam w piwnicy na Montmartrze, czy raczej w norze, w której jedna ściana była z gołej skały... Bo e, ale tam było zimno. Trzysta dolarów od Ann uratowało mi życie. Dla niej to też było bardzo dużo.

- Oddała jej te pieniądze?
- Przyznaj że wstydem, e nie. Przez całe lata nie kontaktowałyśmy się ze sobą, a teraz chyba bym ją obraziła.
- Może powinniśmy się z nimi spotkać – powiedział oboje.
- Raz, czy dwa razy, potem znajomo umrze mi serce naturalnie.

W następnym tygodniu Gilberte zadzwoniła, żeby zaprosić Porterów na „sobotni kolację w niezobowiązujących strojach”.

Ann mocniej docisnęła słuchawkę do ramienia.

Sam fakt, że ma spotkanie z Quentą, wydawał jej się dostatecznie przykry, a już wieczór w towarzystwie nieodwracalnie związanych w złem małżeńskim państwie Dejong miał posmak groteskowej tortury. Wybierała jedynie wymówki, która zawsze była aktualna, a w dodatku prawdziwa.

- Możemy sobie pozwolić na kogoś do dzieci tylko wtedy, kiedy wychodzimy w ramach słubowych obowiązków Larry’ego.
- A co z pocziwsiadką, która cię zastępowała w zeszłym tygodniu?
- Michael robi się niespokojny, kiedy jest poza domem.
- Gdyby nazwała trzęsienie ziemi o sile dziesięciu stopni w skali Richtera lekkim wstrząsem, byłoby to równie adekwatne określenie. – Bardzo mi przykro, Gilberte, ale na razie nie możemy sobie pozwolić na prowadzenie nocnego życia.
- W każdym razie, gdyby się namyśliła...
- Na pewno zadzwoni – wybierała.

Co za dzień. – Lany nalał sobie Pabsta. – Ledwie powłóczył nogami.

Zrelacjonował dzień, który upłynął na pilotowaniu Rosii Highwood, aktorki z Broadwayu, przez tor przeszkód niezliczonych wywiadów zakrapianych alkoholem. Dopiero kiedy Ann zaczęła wkładać hamburgery do bułek, zapytał, co słychać na froncie domowym.

- Sever przyjął projekt bluzki bez zastrzeżeń – powiedziała, zamiast wspomnieć o telefonie. Poinformowała go też o nowym z boku Janey i bójce Michaela z Debbie Fanning.
- Dzwoniła Gilberte – dodała na koniec.
- W sprawie Michaela? – Larry rozlał piwo.
- Mówiłam ci już, że to ona się boi, że my się wygadamy.
- Ann postawiła na stole surówki z kapusty. – Chciała nas zaprosić na kolację w sobotę. Naturalnie odmówiłam.

– Przez to „naturalnie” mam rozumieć, że opowiedziała jej twoją ulubioną historyjkę o tym, jak to mnie nie stać na kogoś do dzieci?

Anna spuściła oczy. Dobrze wiedziała, że każde sugestie ograniczenia wydatków odczytywał jako wymówki – chciał, żeby zarówno w domu, jak i poza domem podtrzymywała iluzję, że stać ich na wszystko, czego zapragną. Zmienił się – pomyślała. W głębi duszy wiedziała jednak, że to nieprawda: podczas wojny zawsze zachowywał się tak, jakby najlepsze restauracje i wystawne bankiety należały mu się z samej racji istnienia. Od czasu wizyty w Van Nuys, w nadgryzionym przez termyty domku w kształcie pudła, spotkania z roztrzaskanymi pomarszczonymi ciętymi, której jedynym tematem były produkty lepszej marki w supermarkecie, i pijanym ciętym, który nie umiał porządnie trzymać noża, zaczęła rozumieć Larry’ego. Ciężko jednak, w przeciwieństwie do wielu swoich siadek, nie umiała nawoływać go do oszczędzania.

– Kolacja na stole, Larry.

– Co się z tobą dzieje? Przecież powtarzam ci, że Templar zamierza reklamować utworzenie nowego oddziału za pośrednictwem naszej agencji reklamowej.

– Naprawdę?

– Naprawdę? – powtórzył przedrzeńcając ją. – Działasz cały dzień jak opętana i nie słyszysz słowa z tego, co do ciebie mówi.

W rzeczywistości ci nigdy jej dotąd o tym nie wspominał, ponieważ nikt nie był pewien, czy Korporacja Jasona Templara, która lubiła swoje poczynania trzymać w cieniu, i unikająca publicznego rozgłosu Fundacja będzie anonsonowa powstanie centrum zarządzania na Zachodnim Wybrzeżu, jednak jeden agent reklamowy w Kalifornii nie miał wątpliwości, że jeśli do tego dojdzie, zaszczyt przypadnie w udziale agencji finansowanej przez Korporację.

– Przepraszam – powiedziała ze skruchą. – Larry, kolacja stygnie.

Larry bez pośpiechu otworzył następną butelkę Pabsta i postawił ją na stole.

– Mam dosyć jadania w kuchni jak jakiś słuchacz. Odłożyła widelec i spojrzała mu w twarz, na której malował się wyraz dziecinnej rozpaczki.

– Słuchaj, w każdej chwili mogę zadzwonić do Gilberte i się z nią umówię.

– Niby po co? Przecież powiedziała ci, że jestem kompletnym zerem, prawda? A może chcesz, żeby ją szlag trafił na widok niedołęgi, któremu powierzyła swoje dziecko?

Anna skoczyła na równe nogi.

– Zamknij się! – rzuciła ochryplym szeptem.

Nigdy nawet nie wspominali o pochodzeniu Michaela, a rzadkie rozmowy na ten temat prowadzili wyłącznie w sypialni. Michael, który sypiał niespokojnie, w każdej chwili mógł wyrosnąć jak spod ziemi.

Larry wstał i z urągoną godnością wymaszerował z kuchni. Parę sekund później drzwi frontowe zatrzasnęły się z hukiem.

Gilberte? Przepraszam, że dzwonię tak późno. Czy twoje zaproszenie jest jeszcze aktualne? Jeśli nadal macie ochotę na nasze towarzystwo, to chętnie do was wpadniemy.

– Czy mamy ochotę na wasze towarzystwo? Uratowali cię moje małżeństwo. Quent bez

przerwy narzeka na nud kalifornijskiego życia.

Fosforyzujące wskazówki budzika wskazywały pięć po wpół do trzeciej, kiedy Larry zajechał wreszcie przed dom swoim nowym Buickiem.

– Cześć. – Ann zapaliła lampkę przy łóżku.

– Chyba czasem wychodzi ze mnie kawał durnego sukinsyna. – Umiechnął się ze skruchami.

– Pozwól, żeby się chwileczkę zastanowił nad odpowiedzią.

– Podniosła się i pocałowała go w nos. Pachniał burbonem i piwem. – Zadzwońłam do Gilberte. Jedziemy do nich w sobotę.

Czy nie uważasz, że powinniśmy im zanieść czekoladki czy coś w tym rodzaju? – denerwował się Larry, kiedy odbijali na północ od Bedford Drive.

– Nie, nie uważam – powiedziała, jeszcze mocniej splatając obcisłe rękawiczki dłonie na kolanach czarnej jedwabnej sukienki. Borykała się z własnymi obawami. Co będzie, jeśli na widok Quenta wybuchnie płaczem albo zemdleje jak ciasno zasznurowana w gorset wiktoriańska dziewczyna?

– Popatrz, ile samochodów! – Larry gwizdnął z podziwem.

– Nieźle przyjdzie ci musi być u kogoś!

Rozświetlone okna w domu Dejongów stanowiły niedwuznaczną informację, u kogoś odbywa się przyjęcie.

Drzwi otworzył służący, Filipiczyk. Gilberte, widząc Porterów, przeprosiła swoje towarzystwo. Czy to możliwe, żeby w satynie czyżna, na którego ramieniu trzymała dłoń, był Clark Gable?

– Larry – wymruczała całując go w policzek. – Tyle lat, tyle lat! Jak to cudownie znów cię widzieć. Ann, ta sukienka jest fantastyczna! Kolejny oryginał z kolekcji Ann Porter? – Skinęła ręką w stronę tłumu. – Zainspirowali mnie do zaproszenia paru osób.

Wzięła oboje Porterów pod ramię i sprowadziła ich dwa schodkami niżej do oświetlonego rzęsami salonu, przedstawiając ich skromnie ubranym ludziom o znanych nazwiskach, niekiedy nawet twarzach. Tak, to był Clark Gable. Następła seria oszałamiających prezentacji. Rain Fairbourn i Ingrid Bergman – dwie aktorki filmowe. William Wyler – reżyser. Wszyscy goście, znani i mniej znani, witali się z nimi serdecznie, by potem powrócić do artobliwych pogawędzek. Ann nie mogła powstrzymać się od nieustannego rozglądania za Quentem. W końcu uznała, że widocznie jest na zewnątrz. Kiedy jednak Gilberte wyprowadziła ich na patio, gdzie stał bufet, a pośród gwarne gości krążyły kelnerki z tacami pachnących apetycznie przekąskami, nie udało jej się go wypatrzeć.

Gilberte poznała ich jeszcze z pisarzem, Johnem O'Harem, który wyglądał na niele wstawionego, ze scenarzystą – zdobywcę Oscara – z młodym, wymokłym brytyjskim hrabią, wreszcie zostawiła ich samych. Larry'emu zabrakło tchu na widok zestawu gości – jednego z klientów firmy Purvis & Associates nie poznawało się od pierwszego wejrzenia. Ann, również pod wrażeniem, dodatkowo denerwowała się nieobecnością Quenta. Mniej

towarzyska para ni oni zapewne trzymałaby si razem, kr c w ród go ci, jednak ka de z Porterów ju po paru minutach konwersowało w osobnym kółku.

– Nie, jeszcze nie mamy – o wiadczyła Ann. Rozmowa dotyczyła telewizora.

– Takie dziewcz ta lubi ! – zahuczał Joshua Fernauld, scenarzysta i zdobywca Oscara, unosz c g ste, siwe brwi. – Skromne!

– Nieskromne! – za miała si Ann. – Jak tylko b dziemy mieli troch gotówki, zamierzamy kupi ...

Nagle w przes czonym ciepł , łagodn wilgoci ogrodzie zabrakło powietrza. Z mroków w najdalszym ko cu patio wyłonił si wysoki, ciemnowłosy m czyzna. Nie poznała go w pierwszej chwili. Nie eby si zmienił a tak bardzo, przecie przez ostatnie sze lat szukała go w ka dym napotkanym m czy nie. Jak mogła go nie pozna ! Nie było na wicie drugiego m czyzny o tak kruczoczarnych włosach, orlim nosie, smągłej twarzy, ozdobionej rumie cem. A jednak si zmienił. Dopiero teraz zauwa yła, e w czasie wojny był jeszcze chłopcem, a teraz stał si m czyzn , którego sposób bycia dowodził, e przywykł do zaszczytów i władzy. Była pewna, e j poznał od pierwszego spojrzenia, jednak ruszył w przeciwnym kierunku, witaj c si z gromad go ci.

Wysiłkiem woli odwróciła wzrok i udała, e przysłuchuje si rozmowie o programach telewizyjnych. Z racji tego, e nikt prawie nie miał odbiornika, rozmowa nie kleiła si i wkrótce wygasła.

– Jak si masz, Ann? – To był jego głos. Poczowała gwałtowny, elektryzuj cy przyływ wzruszenia. Przez chwil miała wra enie, e jej ciało wieci.

– Gilberte wspominała mi, e zaprosiła ciebie i Larry’ego. Bo e, jak długo si nie widzieli my. – Mówił po piesznie, patrz c obok jej głowy.

Całe podniecenie ulotniło si nie wiadomo gdzie. Faktycznie, dawno si nie widzieli.

– Rozmawiałem przed chwil z Larrym. Podobno macie dzieci.

– Dwoje...

– Wy demograficzny – za artował.

– Chłopca i dziewczynk .

Nie słuchał jej. U miechał si ju szeroko do scenarzysty.

– O, Joshua! Szukałem ci .

– Quent, gospodarzu miły! – zahuczał Joshua.

– Pozwolisz, e ci porw . Koniecznie chciałbym ci pozna z pewn osob . – Na odchodnym rzucił do Ann: – B d si starał jeszcze ci złapa .

Dwaj wysocy m czy ni, jeden korpulentny i siwy, drugi czarnowłosy o znakomitej posturze, oddalili si w stron liczniejszego grona.

Głosy i miechy w ogrodzie nabrały dra ni cej intensywno ci. Ann nie była w stanie ani chwili dłu ej znie tego, co wydało jej si gwałtem na jej b benkach. Potrzebowała samotno ci. Wokół basenu poustawiano stoliki ozdobione bukietami egzotycznych kwiatów. Przed bufetem tłoczyła si kolejka wstrz sana wybuchami ochrypłego miechu. Kucharze serwowali piecze wołow z ogromnych, podgrzewanych półmisków o blisko metrowej rednicy. Nigdzie nie mogła znale zacisznego miejsca.

Weszła do domu. W salonie garstka męczyn z powagą dyskutowała na temat przemysłu filmowego.

Dopiero biblioteka okazała się pusta. Ann zamknęła drzwi i opadła na krzesło, głębokoddychając, żeby powstrzymać łzy.

Kto przekręcił gałkę w drzwiach. Wiedziała, że to Quent.

– O, jesteś tutaj – powiedział z chłodnym uśmiechem.

– Chciałam pooglądać Van Gogha – zmyliła naprzód, biorąc do ręki ciemny album.

Pogrzebał w kieszeni granatowej kurtki.

– To jest dla ciebie. – Podał jej w skórny pasek bładozielonego papieru ozdobionych brzegach.

– Czek? Nie... nie rozumiem.

– Gilberte powiedziała mi, że po wojnie poświęciła jej pieniądze. Trzysta dolarów, prawda?

Zamrugnęła oczami, zastanawiając się, czy równie rzeczowym, wyzutym z uczuciowym tonem rozmawiał z ubiegającymi się o dotacje Fundacji.

– Już nie pamiętam tam – powiedziała szczerze, siląc się na promienny uśmiech.

– A może wieciej? – zapytał.

– Kto to dzisiaj pamięta. Mam słaby pamięć do cyfr.

– W każdej chwili mogę podrzeć ten czek i wypisać następnym.

Kiedy tulił ją nag w ramionach i mówił, że ją kocha. No cóż, by może męczyną o nienaganych manierach w takich okolicznościach nie mógł powiedzieć nic innego?

– Ile jej poświęciła?

– Nie musisz mi oddawać.

– Nie lubi długów.

– Trzysta.

– No to z głowy – powiedział i z chłodnym uśmiechem upuścił czek na stoliczek przy lampie.

Kiedy została sama, z wściekłości podarła czek na kawałeczki wielkości konfetti i wrzuciła do naszywanej paciorkami wieczorowej torebki, którą kupiła w tym samym budynku, w którym urzędował Sever. Potem już tylko siedziała trzęsąc się z zamkniętymi kolanami. Kiedy usłyszała, że go nie ma z powrotem zaczynając napływać do domu, poszła poszukać maty.

– Głowa mnie straszliwie boli, Larry.

– Poproś Gilberte o aspirynę – poradził.

– Naprawdę, okropnie mnie boli.

– Musiała wypić za dużo wina. Napij się, mała, kawy, zaraz ci przejdzie. – Rzucił się za potnym, przysadzistym mężczyzną. Był to Art Garrison, właściciel wytwórni Magnum. Lany gromadził zawrotną kolekcję nazwisk, które w przeszłości kiedyś mógł wplatać do rozmów.

W niedzielę rano Ann zbudziła się obolała, wstrząsana deszczami i gorączką. Jej dolegliwości były niewątpliwie następstwem huśtawki uczuciowej, jakiej doznała

poprzedniego wieczora, jednak Larry uznał, że Ann przechodzi letni fitype.

– Kazałem ci siedzieć a do końca – powtarzał tonem winowajcy. Przez następnych parę dni wracał wcześniej do domu i pomagał jej kłaść dzieci do łóżek. Nie miała apetytu, więc przynosił jej ulubione, kupowane na wagę lody Willa Wrighta. Wierzył, że kilo kosztowało więcej niż kilogramowa kostka gładkich lodów Value Pak z supermarketu Van Vlieta.

W czwartek nie miała już gorączki od rana. W nocy z czwartku na piątek uznała, że choroba stanowiła punkt zwrotny w jej życiu.

Sobotnia kolacja u Dejongów wyznaczyła mocno spórną granicę między młodością a wiekiem dojrzałym. Polegając, ilekroć dzieci jej na to pozwoliły, kuliła się w sobie na wspomnienie u miechu Quenta. Był niewątpliwie bohaterem, niemniej chłodnym i niechętnym człowiekiem, który – wiedziony niepojętym impulsem związanym zapewne z jej podobieństwem do zmarłej matki – wyrwał się z okupowanej Francji. Za pomocą jego bogactwem, urodził się i paroma wybuchami wojennej namiętności w wyobraźni przyoblekła go w siebie zbroję i napawała się jej blaskiem.

W piątek poczuła się silna, zdrowa, dojrzała i wewnętrznie oczyszczona.

Czując w sobie trochę dojrzałość, nie próbowała się już wykręcić, kiedy Gilberte zaproponowała jej lunch. Jakże to miało w końcu znaczenie, czy nadzieje się na jej snobowatego męża czy nie? Zadzwoiła do Mitzi, aby się dowiedzieć, kiedy siostrzyczka będzie mogła popilnować dzieci, po czym oddzwoniła i powiedziała Gilberte, że przyjmuje zaproszenie.

Gilberte zaprowadziła Ann do małego, ciemnego gabinetu, którego mroczny nastrój pogłębiały wysmukłe cyprysy, nie dopuszczające światła słonecznego do wąskich tudoriańskich okien – pomieszczenie bardziej nadawało się na palarnię cygar dla mężczyzny omawiających sprawy służbowe niż na miejsce, w którym dwie panie mają spotkanie letniego lunchu. Jednak Gilberte bynajmniej nie planowała towarzyskiego popołudnia. Tym razem była zdecydowana przeprowadzić swój plan.

Trzeba to sprytnie rozegrać – pomyślała.

Najtrudniejszą rzeczą będzie kontrolowanie własnych emocji w stosunku do Ann i Michela.

Wiesz, że naprzeciwko biurka lustro w połączanej ramie odbijało kontrast między zamknięciem w jej duszy a zdawkowym, wymuszonym uśmiechem.

– Zanim powiem, o co mi chodzi – zaczęła Gilberte – chciałabym cię prosić, abyś nie odmówiła mi natychmiast.

– Masz nieczyste zamiary, prawda? – Ann zrobiła zeza, naśladując Groucho Marxa.

– Nie. – Gilberte rozejrzała się. – Sprawa jest absolutnie uczciwa. Chciałabym, abyśmy wkroczyły na rynek ciuchów.

– Na co?

– Szkoda, że nie możesz teraz siebie zobaczyć! – Wybuchnęła uśmiechem. – Chciałabym się zająć damskim garderobem.

– Damski garderob?

– *Pretaporter* w najlepszym stylu dla Amerykanek, które nie mogą sobie pozwolić na

Mainbochera czy na wyjazd do Paryża. Nawet w moim kręgu wielu kobietom zależy na stylu i dobrych materiałach, ale nie mogą sobie pozwolić na *haute couture*.

– Zatkąło mnie. Po co ci to, Gilberte? Rynek mody to arena bezpardonowej walki wyzbytej wszelkich zasad. Bagno.

– Nie mam nic do roboty. Ostatnio miała okazję zobaczyć jak na dłoni, na czym polega moje życie.

– Może ci to zaszokowało – przerwała Ann – ale zdarzają się nieszczęsne istoty, które mylnie sądzą, że wydawanie bankietów na czcze gwiazd filmowych nie jest szczytem nieszczęścia.

– Hollywoodczycy! Nowy Jork też jest niezły. Na lito bosko, Ann! Zebrania zarządu fundacji dobroczynnych przeplatane lunchami w „21” i wizytami u Elizabeth Arden nie są moim ideałem osobistego spełnienia. W dodatku jak dotąd nasze wysiłki w kierunku posiadania dzieci spełzły na niczym.

– Co na to mówi lekarze?

– W przyszłym tygodniu mam wizytę u bardzo uczonego specjalisty. Nie mówmy już o tym więcej, *s'il vous plait*. Nie pojmuję twojego zdziwienia. Zawsze pasjonowałam się modą, pamiętasz przecież. Jest popyt na styl amerykańsko-francuski. Lekki, a jednocześnie *tres elegante*.

– Dlaczego zwracasz się z tym akurat do mnie?

– To chyba oczywiste, potrzebuję projektantki.

– Życia by mi nie starczyło, żeby do cięgnąć twój rzekom „ignorancję” w dziedzinie mody.

– Wiedza i umiejętność ci to dwie zupełnie różne rzeczy. – Gilberte skinieniem długej, smukłej dłoni uciszyła samokrytykę Ann. – W Paryżu, zanim zostałam niewolniczką *madame* Montargis, przez parę dni byłam *arpete* u Le Vos... tak, *c'est vrai*, przez parę dni podawałam szpilki, najpokorniejsza ze wszystkich sług. Wreszcie, z dręciem serca, odważyłam się pokazać moje szkice samemu mistrzowi. Wziął je w dwa palce, krzywiąc się, jakbym zarzuciła mu biurko stertą *merde*. „Brak pomysłów ci. Brak wrażliwości ci. Brak indywidualności ci. „Byłam zdruzgotana. Jak dobrze wiesz, jedna z moich chwalebnych cech mojego charakteru polega na tym, że muszę pomścić kaźń obelg. Na cianach porozwieszano wstępne szkice kolekcji wiosennej. Przeszłam od jednego do drugiego, wytykając przycięte akcenty i niezdarny krój. *Uaccord*, zgodził się. „Na tym właśnie polega siła pani zdolności, *mademoiselle*. Jest pani urodzonym krytykiem i, jak wszyscy przedstawiciele tej rasy, nie ma pani za grosz zdolności twórczych. „Do dziś mam w uszach ton, jakim cedził swoją odprawę. Nie masz pojęcia, jak potwornie czułam się zraniona. Chociaż potrzebowałam pieniędzy na życie, wcale nie zmartwiłam się, kiedy Le Vos oznajmił, że zostałam zwolniona. – Historia była prawdziwa i po twarzy Gilberte przebiegł skurcz zadawnionego bólu.

– Le Vos jest tylko człowiekiem – powiedziała Ann łagodnie. – On też się czasami myli.

– Kiedy on absolutnie trafił w dziesiątkę. Ja naprawdę nie potrafię stworzyć niczego bez jakiegoś oparcia. Przypomnij sobie tylko, zawsze ty szkicowałaś, a ja poprawiałam twoje

szkice.

– Były my wtedy dziewczynkami.

– Przesta wreszcie si miga . Nie prowadzimy tutaj treningu samokrytyki. Mam doskonałe oko, a to jest rzadko wielka rzadko .

– Czemu akurat ja? Potrzebujesz kogo z do wiadzeniami wyniesionymi z mody elitarnej.

– W twoich modelach jest „to co ”. S dowcipne i niepowtarzalne. Oczywi cie s troszk pospolite. Te guziki, na przykład, powinny by mniejsze i z prawdziwej macicy. Szarfa zamiast paska stanowi nowo i urozmaicenie, ale w adnym wypadku nie powinna by ze sztucznego jedwabiu, *jamais de rayonne*. – Postukała paznokciem w biurko. – Twoja nieokieznana twórczo potrzebuje pewnych hamulców, i na tym wła nie polega moja rola.

– W ka dym razie u boku Quenta nie musisz si martwi o stron finansow przedsi wzi cia. – Ann poczuła si dumna z powodu nonszalancji, z jak udało jej si wymówi jego imi .

– Quent nie ma zielonego poj cia o moich planach. Mam własne pieni dze. – Trzysta tyśi cy dolarów, które ofiarował jej przed lubem, porastało w odsetki.

– Chcesz powiedzie , e nawet z nim nie rozmawiała o twoich planach?

– Nie yjemy chyba w redniowieczu.

– Wi kszo m czyzn nadal trwa w tej epoce – skonstatowała Ann, o krok od przyznania si do wstydu, jakim jej m a napawał fakt, e ona pracuje zarobkowo, w ko cu jednak doszła do wniosku, e byłoby to odrobin nielojalne wobec Larry’ego.

– Czy Larry do nich nale y?

– Jest bardzo opieku czy.

– Liczyłam na was oboje.

– Na Larry’ego?

– Jako specjalist w zakresie reklamy. – Gilberte przechyliła si przez biurko. – Gdyby si okazało, e nie chce pracowa dla kobiety albo... – Przerwała. Kto dyskretnie zastukał do drzwi.

– Słucham? – zawołała.

Filipi czyk poinformował przez drzwi, e na patio czeka na nie lunch.

Ciepły podmuch wiatru od strony Santa Ana szele cił gał ziemi drzew, przynosz c zapach kwitn cej cytryny do stolika z kutego elaza, przy którym Gilberte, gestykuluj c, wyja niała swoje plany. *Haute couture* dogorywała, nawet w Pary u ceny robocizny podskoczyły tak bardzo, e tylko niewiele osób mogło sobie pozwoli na skompletowanie zaprojektowanej na zamówienie garderoby, jednak – jak dot d – nikt jeszcze nie próbował wypełni tej luki eleganckimi seryjnymi kolekcjami. Mimo e cały projekt zrodził si z najni szych pobudek – zło onej ojcu obietnicy zemsty – Gilberte oddawała mu si z gł bokim zapami taniem. eby przenikn tajniki kroju, godzinami przesiadywała w tak zwanych krawieckich działach domów towarowych, pruła i rozkładała na cz ci ubrania pochodz ce od Mollie Pamis, Ann Fogarty, Claire Mc Cardell i im podobnych. Przegl dała ksi gi rachunkowe. Zdeptała sektor miasta wyznaczony przez Czterdziest Drug i Trzydziest

Czwart Ulic oraz Szóst i Dziewi t Alej – okolice te potocznie nazywano Siódm Alej . Wczytywała si w „Women’s Wear Daily” – dziennik po wi cony damskiej modzie. Kiedy perorowała, pochylaj c si nad nietkni t sałatk z kurczaka, jej doskonale rysy promieniały. Firma b dzie si nazywała Gilberte de Permont, na znaku firmowym b dzie figurował jej własnor czny podpis, a znak zostanie spopularyzowany w ten sposób, e rozda si darmowe egzemplarze garderoby zachwycaj cym młodym kobietom, których poczynania nieustannie ledzi prasa.

Ann udzielił si zapal przyjaciółki. Osobny dział odzie y sportowej w doskonałym gatunku i, zgodnie z gustem ameryka skich kobiet, swobodnej w stylu. Do tego odpowiednie akcesoria.

– Zawsze inspirowały my si wzajemnie – przypomniała Gilberte.

– Bo e, jakie to podniecaj ce!

– Zanim si zdecydujesz, powinna wiedzie o najgorszym. – Kostki lodu grzechotały w mro onej kawie Gilberte.

– Je li oboje z Larrym zdecydujecie si skoczy na gł bok wod , nie b d wam w stanie płaci , przynajmniej na pocz tku, tyle, ile si wam faktycznie nale y. Powiedzmy, dwana cie tysi cy dla Larry’ego, dziewi dla ciebie. – Wiedziała, e projektant zarabia wi cej ni podrz dny dziennikarzyna, i pocz tkowo zamierzała odwrotnie podzieli t sum : dwana cie tysi cy dla Ann, dziewi dla Larry’ego, zmieniła jednak plany, kiedy rumieniec na twarzy Ann zdradził jej, e Larry, mimo chłopiego u miechu, w kwestii kobiet hołduje bardzo staro wieckim pogl dom.

Dwadzie cia jeden tysi cy dolarów to było ponad dwa razy wi cej, ni Porterowie zgłosili we wspólnej deklaracji podatkowej za rok 1948, mimo to Ann si zawahała.

– Larry b dzie zarabiał wi cej ode mnie.

– Nie mog wam wi cej płaci , ale mog podzieli t sum tak, jak sobie yczysz – oznajmiła Gilberte.

Wracaj c do domu starym samochodem Mitzi Fanning, Ann cała błyszczała od potu. Była niezwykle podniecona. Nie by zmuszon do projektowania ubra pod gust niewybrednej publiczno ci. Widzie , jak dobrzy krawcy szyj według jej projektów. U ywa subtelných odcieni i dobrych gatunków płótna czy jedwabiu, zamiast sztucznych włókien. W wyobra ni widziała ju niezliczone suknie i kostiumy. Szcz cie, e Gilberte nie zaproponowała jej tego pomysłu przed przyj ciem, bo wtedy z pewno ci odrzuciłaby propozycj . Teraz, skoro jej młodzi czy romans został pogrzebany z krete sem, mogła ju współpracowa z Gilberte. Pozostawał tylko jeden, bardzo powa ny problem: jak przekona Larry’ego.

Brakowało jej wprawy w delikatnej sztuce manipulowania m em. S siadki z podmiejskiego osiedla napomykały szeptem, e najodpowiedniejszym miejscem do wszelkiej perswazji jest łó ko. Ann jednak wiedziała, e nie umiałyby si zdoby na co takiego, zreszt Larry, jak na m czyn , który przybierał poz wiatowca, był niebywale konwencjonalny.

Szcz cie jej dopisało.

Akurat tego wieczoru Neil Purvis zdecydował si powiedzie Larry’emu, e ma wy ej uszu jego opowie ci o nowych kumplach: Clarku Gable’u, Williem Wylerze, Ingrid Bergman

i Quencie Dejongu.

– Sam znam niejedną sławę. Nie zapominaj, chwalipię to, że to jest twój sposób zarabiania na trunek powszedni – oznajmił.

Purvis nie miał najmniejszego zamiaru wyrzucić z pracy sympatycznego, młodego faceta, którego największą zaletą była liczna, rudowłosa onka, chciał tylko trochę ukrócić swojego podwładnego. Jednak Larry, dla którego najgorszym koszmarem była myśl o powrocie do rodziny z dziećmi, wrócił do domu roztrzęsiony.

Oczywiście, o szefowskiej reprimendzie nie wspomniał Ann, ale zauważyła, że popadł w chandrę – jak zawsze wtedy – pił i miał pretensje do całego świata. Młodsza ona – w rodzaju Gilberte Dejong – wszelkie rozmowy odłożyłaby na później, jednak Ann nigdy nie kierowała się rozsądkiem.

Zmyła naczynia i weszła do saloniku, wnosząc za sobą zapach balsamu do rąk Jergensa.

– Larry?

Wyciągnięty na kanapie, ponuro wpatrywał się w szklankę szkockiej whisky. Przysiadła na fotelu koło malutkiego kominka z cegły.

– Gilberte wpadła na pomysł, żeby wziąć się za projektowanie ubrań. Profesjonalnie.

– A to co znowu? – Za nią miał się nieszczerze. – Dejongom zabrakło pieniędzy?

– To ma być wyjątkowo jej firma. – Ann splótła drobne dłonie. – Chciałaby, żebyśmy z nią współpracowali.

– My? – zdziwił się Larry. – Jak to „my”?

– Ja byłabym projektantką, a ty zajmowałbyś się stronami reklamowymi przedsięwzięcia – wyjaśniła i wyłożyła mu w szczegółach pomysły Gilberte. Kiedy skończyła, Larry kręcił się po saloniku.

– Chyba zdradzi cię, że praca dla Purvisa stała się cholernie monotonna. Z przyjemnością podejmę nowe wyzwania – owiadczył. – Poza tym będzie w ten sposób wyciągać szesnaście tysięcy rocznie. Jak tylko zaprojektujesz pierwszą kolekcję, będziesz mogła dać sobie z tym spokój i siedzieć spokojnie na swojej licznej pupcy w domu.

Ann puściła uwagę mimo uszu.

– Co będzie, jeśli rzucisz Purvisa, a to nie wypali?

– Kobieto, gdzie twoja ufność i wiara? – Larry pod piekącą wyszedł do kuchni. Wrócił z pełną szklaneczką. – Jakie będą moje udziały? Mówiła coś o tym?

– Nie doszłyśmy jeszcze do tego w rozmowie. Nie chciałam się zdecydować, zanim nie porozmawiam z tobą.

– Poruszyła we mnie myśl hazardzisty – stwierdził Larry, który nigdy nie grał nawet w kości. – A teraz, pani Porter, proszę spojrzeć, co mam dla pani. – Zerknął znacząco na rozporek. Wydatne wyrzucenie owiadczyło o tym, że jego ulga podziałała na hormony.

Kiedy Ann zadzwoniła i powiedziała, że Larry chciałby omówić szczegóły, Gilberte nie wydawała się specjalnie zainteresowana spotkaniem.

– Nie potrafię mu teraz odpowiedzieć na jego pytania, w tej chwili wszyscy wiemy dokładnie tyle samo. Jeśli jednak chce, może do nas wpaść w najbliższą niedzielę.

Kiedy, nad Morzemródziemnym, ojciec wziął ją ze sobą na ryby i pokazał, jak się zarzuca przynętą.

– Z początku nie napinaj liny zbyt mocno. Najpierw ryba musi połknąć haczyk.

Larry też wiedział swoje i odmówił spotkania na jej terenie. Zaprosił Gilberte na lunch do Brown Derby w Beverly Hills.

ściany Brown Derby zdobiły karykatury gwiazd filmowych. Siedząc przed portretem Eddiego Cantora o wylupiastych oczach, Larry miał widok na wejście. Jego starannie obmyślona przemowa, w której zamierzał wykonać udziałów, stawała się coraz krótsza i coraz mniej przekonująca za każdym razem, kiedy w drzwiach obrotowych pojawił się ktoś, kto nie był Gilberte. Dziesięć po pierwszej wkroczyła do lokalu. W białym kapeluszu z szerokim rondem i plisowanej sukience płaszczyk tego samego koloru, odsłaniając obfite kształty na wpół obnażonych piersi, przyćmiła wzrokiem każdego z mężczyzn w tłocznych boksach, co jest pewnym osiągnięciem w świecie, gdzie damska uroda jest na porządku dziennym.

Nie przepraszajcie za spóźnienie, wślizgnęła się do boksu. Rzuciła okiem na złoty zegarek.

– O drugiej mam wizytę u lekarza.

– Wobec tego powinniśmy jak najprędzej coś zamówić.

– Umiechnęła się nerwowo.

Zrobił parę uwag na temat strojów kobiet siedzących przy sąsiednich stolikach, ale Gilberte nie podchwyciła tego tematu, żeby od razu przejść do sedna sprawy.

– Ann opowiedziała mi o twoich planach tylko w zarysie – zaczął wychyliwszy szklaneczkę. – Czy powinienem wykonać jakiś wstępny taniec, czy mam od razu przejść do tematu?

– Wał miało.

– Gdzie się firma będzie mieścić?

– Oczywiście w Nowym Jorku.

Manhattan zawsze wydawał się Larry'emu enklawą dla wybrańców, jednak miał nadzieję, że udało mu się zachować obojętny wyraz twarzy.

– To wcale nie jest takie oczywiste. Adrian i Don Loperowie i paru innych facetów z wytwórni filmowych mają większy wpływ na to, co noszą kobiety, niż wszystkie wasze Adele Simpson i Ceil Chapman razem wzięte.

– Widzę, że odrobiła lekcje w domu – skwitowała Gilberte z charakterystycznym cierpkim uśmiechem. – Naturalnie, masz sporo racji. Ale wokół Siódmej Alei krąży cały przemysł odzieżowy.

– Będę musiał całą rodzinę przesadzić na nowy grunt.

– Larry, uważam, że wietnie nadajesz się do tej pracy, ale Ouent twierdzi, że w Nowym Jorku jest mnóstwo znakomitych specjalistów od reklamy.

– Dzieci są jeszcze bardzo małe – rzucił po pieśni. – W tym wieku przeprowadzka nie powinna na nie specjalnie wpłynąć.

Szef sali pchał przed sobą wózek. Przez chwilę mieli okazję przyglądać się, jak z czernicę mieszają plastry awokado, liście sałaty, pokrojony w kostkę bekon i kawałki indyka z

serem roquefort.

Na stole wyl dowwały sałatka dla Gilberte i sandwicz z befsztykiem dla Larry'ego.

– Zamierzasz zarejestrować swoją firmę? – zapytał. Spróbowała sałatki.

– Pycha. Przepraszam, co mówisz?

– Czy utworzysz własną firmę?

– Już to zrobiłam.

– Podasz to do wiadomości publicznej?

– Larry, musisz koniecznie spróbować tej sałatki. Nie dostaniesz takiej nigdzie poza Brown Derby.

– Wiem – powiedział. – Będziesz sprzedawać udziały?

– Prościej będzie, jeśli zatrzymam całość.

– A w przypadku... hmm, pracowników?

– Chodzi ci o to, czy zostaniesz akcjonariuszem, prawda? – Odłożyła widelec i spojrzała na niego.

– To chyba logiczne pytanie. – Rozejmiał się z przymusem. – Skoro nie mam zostać współwłaścicielem...

– Jeszcze tego nie przemyślałam, ale prawdopodobnie zdecyduję się na jakąś formę dopuszczenia do udziału w zyskach.

– Jakiego rodzaju byłby to procent?

Wzruszyła półskłiwymi ramionami o nienaganej linii.

– Poproś swojego adwokata, żeby wysłuchał, o co ci naprawdę chodzi.

– Jesteś my przecie przyjaciółmi, Gilberte. – Larry nie mógł sobie pozwolić na porady prawne. – Niech twoi ludzie to zrobią.

– Już druga? – wykrzyknęła patrząc na zegarek. – Przykro mi, ale muszę iść. – Nachyliła się i musnęła wargami policzek Larry'ego.

Patrząc, jak sunie z wzdziękami w stronę drzwi obrotowych, niepomna krzyknęła owego ognia mskich spojrzeń, przytknęła dwa palce do miejsca, w którym złożyła pocałunek. Poczuli dziwne mrowienie.

Nigdy jeszcze nie była u doktora Lassittera, którego gabinet mieścił się zaledwie kilka przecznic od Brown Derby. Zrezygnowała z samochodu i ruszyła przez bulwar Wilshire, nucąc pod nosem. Spotkanie przebiegło dokładnie tak, jak trzeba, od początku do końca.

Chodniki Beverly Hills rozsiewały tę czuwy blask. Uświadomiła sobie, że kiedy całowała Larry'ego w policzek, przez moment przyszło jej do głowy, żeby go uwieść. Zdecydowała, że nie będzie się odwoływała do takich chwytów. Raz, że seks był czymś do obrzydliwym i banalnym, dwa, że krył w sobie poważne niebezpieczeństwo. Nawet przy zachowaniu najwyższej ostrożności Quent mógł się dowiedzieć. Nie rozwiódłby się – poczucie winy i klauzula testamentu dziadka strzegły ich zwiastującym miecz ognisty – ale jego stosunek do niej zmieniłby się nieodwracalnie. Potrzebowała go, kochała go, nie chciała go ranić. Zresztą, to było zupełnie zbędne. Larry, z jego nieodłącznym sknotem do popularności i

luksusu, miał się stać głównym narzędziem zemsty. Skręciła w prawo w Roxbury Drive, bezwiednie wystukując palcem na skórzanej torebce ponury rytm. Ciągnęła jej dawna niezłomna przyjaciółka z Ann, mimo że raporty gestapo uzasadniały całe przedsięwzięcie.

Wcisnęła łopatkę i pchnęła drzwi do budynku, w którym mieściły się gabinety lekarskie.

W tym samym dziewięćset trzydziestym pierwszym roku, kiedy James Lassitter udał się do Sztokholmu po odbiór Nagrody Nobla za całokształt prac dotyczących zmian hormonalnych zachodzących u samic naczelnych w okresie rui, był już powszechnie znany jako czołowy specjalista w dziedzinie płodności ludzkiej. Lassitter, teraz już około sześćdziesiątych, okrzykiem został zbawcą bezdzietnych kobiet. Z obwisłymi policzkami i wielkimi dziurkami w nosie, prezentował się wybitnie nieatrakcyjnie, jednak błysk jego małych, głęboko ukrytych oczu w jakiś sposób równoważył brzydotę, przynajmniej w odczuciu Gilberte. Doktor Lassitter, podobnie jak jej ojciec, pozbawiony wzrostu i urody, odznaczał się wyjątkowo cichymi ruchami i promieniował energią i inteligencją. Wysłuchał Gilberte w milczeniu.

– Jesteś tu już ponad trzy lata po śmierci – zaczęła czytać. – Mój mąż zaczyna się niecierpliwić.

– A pani, pani Dejong? Jak wygląda dla pani posiadanie dziecka?

Michel – pomyślała i poczuła chłodny dreszcz na karku.

– Jestem jeszcze bardziej zawiedziona od niego.

– Czy kiedykolwiek poroniła pani w sposób sztuczny bądź naturalny?

– Nigdy.

– Czy urodziła pani martwe dziecko?

– Tak nie.

Odłożył kartki, które wypełniał w trakcie rozmowy.

– Kiedy pani przebadam, bądź mógłbym powiedzieć więcej na temat dalszego postępowania.

Przebadam? – poczuła, jak chłód pogłębia się u podstawy czaszki.

– Chyba była już pani badana ginekologicznie... ?

– Jestem Francuzką, doktorze Lassitter.

– Hmm, rozumiem. Nie ma się pani czego bać.

Gilberte poddała się dociekliwoci jego palców wspomaganych wzornikiem; zacięła nimi powieki i nogami w uchwytach fotela ginekologicznego, bezskutecznie walczyła ze wspomnieniami spoconych, podnieconych ciał w Santé. Kiedy delikatna, wnikliwa penetracja ustała wreszcie, Gilberte otarła ligniną wazelinową, ubrała się i weszła z powrotem do wyłożonego grubymi dywanami gabinetu doktora.

– Miała pani dziecko – owiadczył bezbarwnym głosem.

– Tak, żywe, a nie martwe. Nie pytał pan o to.

– Poród był skomplikowany.

– Byłam sama. To był ostatni miesiąc wojny i lekarz został zatrzymany w łapance SS.

Kiedy dojechał, dziecko się już urodziło.

– Czy miała pani krwotok?

– Tak.

– Tak te my lałem. Pani Dejong, nie chciałbym krytykować pani lekarza, jestem pewien, że nie miał wyboru, jednak ratując pani, dokonał wielu szkód.

– Czy to znaczy, że b d si musiała poddać powtórnej operacji?

– Obawiam się, że operacja nic tu nie pomoże.

– To brzmi niezbyt obiecująco.

– Narządy rodne, mimo że nad podziw wytrzymałe, są jednocześnie bardzo delikatne.

– Chce pan powiedzieć, że nie jestem zdolna zajść w ciążę? Krew uciekła z twarzy Gilberte. Opalenizna wyglądała jak puder kosmetyczny na zabalsamowanych zwłokach. Tego rodzaju diagnoza nigdy nie przysłała jej do głowy. Nigdy. Podobnie, jak uważała się za bezpłodną, dopóki Hocherer nie powiedział jej, że jest w ciąży, tak teraz, po urodzeniu zdrowego dziecka, przez myśl jej nie przeszło, że może być nieodwracalnie bezpłodna. – Czy tak mam to rozumieć?

– Proszę zwrócić się do mojej sekretarki o wyznaczenie terminu prześwietlenia narządów rodnych.

– Proszę odpowiedzieć na moje pytanie. Czy b d mogła zajść w ciążę? – Niezgrabnie, kurczowo zacisnęła dłoń na uchwycie białej lakierowanej torebki.

– Moim zdaniem, jest to bardzo mało prawdopodobne. Naturalnie medycyna stale robi postępy....

– Taaa... wiem, te wszystkie wyczekiwane cuda nauki.

– Pani Dejong, proszę ustalić termin z moją sekretarką.

Gilberte bez słowa wyminęła biurko, przy którym urzędowała pielęgniarka o ociężałej twarzy. Wiedziała, że nie ma po co się zatrzymywać.

Jak ci poszło? – zapytał Quent.

– Larry ma mnóstwo pomysłów.

Przytaknął z roztargnieniem; na początku był entuzjastycznie nastawiony wobec projektu, podsuwał wnikliwe, pomysłowe rady, jednak od paru dni, od kiedy Gilberte dowiodła powagi swoich zamiarów, oferując pracę obojgu Porterom, jego zainteresowanie przygasło. Być może Ann miała rację, twierdząc, że może być tylko karieronimka.

– Pytam o lekarza.

– Zostałam starannie obmacana przez laureata Nagrody Nobla. Pozwolisz, że daruję ci szczegóły.

– I co?

– Powiedział, żeby próbować dalej.

– Czy chce mnie zbadać?

– Ale skąd. Twierdzi, że trzy lata to jeszcze nic takiego.

Aha, kazał mi mierzyć temperaturę, abym wiedziała, kiedy mam owulację. – Tuż przy okazji wyczerpnęła ze sfatygowanej broszury w poczekalni.

– To wszystko? – Zbliżyła do oczu Quenta wyjrzała ulga.

– Obawiam się, że tak. – Wzięła go za rękę i przejechała kciukiem po wnętrzu jego dłoni.

– Kochanie, chodźmy na górę popracować nad dzidziusiem – zaproponowała zmysłowym

głosem.

W niedzielę, dwa tygodnie później, kiedy rodzina Porterów szykowała się do wyjazdu, Montecito Lane toniła w mgłę, jednak kiedy dojeżdżali do Beverly Hills, pogoda zaczęła się poprawiać, a słone światło wyłazło z chmur – oświetliło ciepłym blaskiem Bedford Drive.

– Po co jedziemy do tych takich zakochanych ludzi? – Michael wychylił się z tylnego siedzenia, sapiąc w kark Ann.

– Musimy z tatusiem podpisać parę dokumentów, to nie potrwa długo – powiedziała Ann niepewnym głosem.

Lany zdziwienie z widocznej zmiany biegów i dotknięcia jej kolana. Dzieci bynajmniej nie były dodatkiem do całej wyprawy, przeciwnie – jej głównym powodem. Jeśli zdecyduje się pracować z Gilberte, ich syn nieuchronnie będzie się od czasu do czasu stykał ze swoją prawdziwą matką; woleli sprawdzić jej reakcje wcześniej, dopóki jeszcze mogli się wycofać.

– Ja zostaj w aucie – zapowiedział Michael, kiedy Larry zaparkował samochód.

– Nic z tego – rzucił ostro Larry. Michael zamrugnął ze zdumieniem. Zwykle pociągłymi dyscyplinarnymi tatami przerywał na mamę. – Wsiadasz, i już!

Podniesiony głos ojca obudził Janey. Skrzywiła buzię, jakby miała się rozpłakać, potem uśmiechnęła się niepewnie, pokazując wszystkie cztery zębki, nowiutkie, z porwanym brzochem.

Gilberte wyszła im naprzeciw w białym elastycznym kostiumie kąpielowym, który ciasno opinał jej kształty i podkreślał połyskujące od olejku opalenizny.

– Typowa amerykańska rodzina – zaartowała.

– Siła narodu – odparł Larry, gładząc ciemną czuprynę Michaela. – To jest pani Dejong, a to jest Michael.

– Witaj, Michael.

Chłopiec w odpowiedzi wymamrotał coś, co brzmiało jak „... bry pani” i wycofał się za Ann, chwytając ją za rękę.

Kiedy Gilberte otwierała drzwi, miała wrażenie, że serce zaraz jej pęknie. Widok własnego syna, teraz Michaela Portera, szczupłego, rozkapryszonego amerykańskiego pićciolatka, sprawił jej nieznośny ból. Ból pogłębił się jeszcze, kiedy chłopiec schronił się przed nią u dawnej przyjaciółki, która z racji urodzenia stała się jej miertelnym wrogiem. Czym prędzej przybrała rozbawiony wyraz twarzy – sztukę którą opanowała we wczesnym dzieciństwie i doskonaliła latami. Uniosła brwi.

– Twoja mama dużo mi o tobie opowiadała, Michaelu – powiedziała, po czym zwróciła się do małej: – Witaj, Janey. Larry, przecie ona ma zupełnie twój podbródek, z tym dołeczkiem na nosku. Strasznie słodka! Chodźcie na patio. Posiedzimy na dworze.

Z fotela pokrytego pokrowcem w jaskrawy deszcz podniósł się Quent. Na kąpielówkę narzucił sportowy sweter.

– Głupi basen – skrzywił się Michael. – Bbrrie ma porządny basen.

Ann zarumieniła się, Larry zaczął strofować małego. Gilberte nad głowę dziecka popatrzyła na Quenta.

– Chcesz zobaczyć, czy woda jest taka ciepła jak u Bixie? – spytał chłopca z miłym uśmiechem.

– Nnoo....

– Pójdziemy do garderoby i zobaczymy, czy znajdzie się dla ciebie jakiś kostium.

Chłopczyk popatrzył na kolorowe piłki unoszące się na powierzchni basenu. Skinął głową.

– Co takiego! – zdziwił się Larry, patrzcie, jak obaj znikają w domku zbudowanym z belek. – Nigdy jeszcze nie poszedł z obcym.

– Quent umie sobie radzić z *les enfants* – skwitowała Gilberte, podchodząc do stolika z kutego blatu. – Tutaj macie kontrakt w dwóch egzemplarzach.

Larry i Ann na przemian trzymali Janey w objęciach, kiedy drugie z nich studiowało poszczególne punkty umowy. Spojrzenie Ann wzdrowało stale na drugi koniec basenu, gdzie Michael z Quentem miejscami pluskali w chlorowanej wodzie. Dreszcz przechodził już za karkiem razem, kiedy jej wzrok padał na lewy ręk Quenta.

OSS nie poinformowało Mannixa o ranach odniesionych przez Quenta. Kiedy i w jakich okolicznościach zasłużył na Purpurowe Serce? Chociaż normalnie władał ręką, była jakaś taka... Ann przychodziło do głowy tylko słowo: „bezbronna”.

– Nic się nie bój, malutka, Quent na pewno nie puści twojego chłopca na dno – zapewniał Larry, po czym dodał szeptem: – Coś dzisz o punkcie czternastym? Zgodnie z nim Gilberte zachowuje na zawsze wyłączne prawa do twoich projektów.

– Sever też ma takie prawa, mówił mi, że to normalna rzecz w tego typu umowach – odpowiedziała półgłosem.

Właściwie nie musieli zniżać głosu, bo Gilberte przeniosła się z lewej strony na drugą stronę basenu.

Przez zmrużone powieki obserwowała Michela. Nie, to nie był Michel. To był Michael Porter. Ten chłopczyk nie miał w sobie nic ani z niej, ani z Hocherà, sposobem bycia czy rysami twarzy nie przypominał żadnego z rodziców. Trudno było się w nim dopatrzeć podobieństwa do któregośkolwiek z de Permontów, którzy w pałacu w Ile de France patrzyli z pociemniałych portretów na jej niewesołe dzieciństwo. Michael mocno pchał czerwony piłkę po wodzie, ochlapując Gilberte. Nie drgnęła nawet. To był jej syn, którego się wyparła, którego musiała się wyprzeć, jedyne dziecko, jakie miała wydać na świat. Błady, poważył chłopczyk. Poczwała, że jej puste ręce drżą tak samo jak przed czterema laty, kiedy przekazywała go w stęsknione objęcia Ann.

– Gilberte? Drgnęła zaskoczona.

– Jesteśmy gotowi – oznajmiła Ann. Pochyliła się nad Gilberte. Wiatr rozwiewał jej włosy, a słońce nadawało im rdzawy połysk. – Przynajmniej tak mi się wydaje. Wiesz, że wszystkie zawilo ci prawne...

Gilberte zerwała się z leżaka. Cięgle jeszcze drżały jej ramiona.

– Quent, kochanie – zawołała. – Możemy przystąpić do ceremonii.

– Teraz? Zaraz? – Przechylił głowę na bok, przyciskając rękę do ucha, żeby pozbyć się wody.

– Szampan się chłodzi – odpowiedziała.

Najpierw wystawił Michaela na brzeg, potem wyszedł sam, zostawiając dwie lady pi knie skrojonych stóp na płytach wokół basenu.

– Larry, chyba powiniene pokaza dokumenty swojemu adwokatowi – zaproponował, podnosząc wzorzysty r cznik.

Larry przeniósł wzrok z tekstów umowy na Gilberte.

– Kobieto, czy podstępnie przemyciła do umowy jakie niegodziwe kruczki? – spytał. Nie mógł sobie pozwolić na adwokata.

– *Mon Dieu*, przyłapała mnie na gorącym uczynku! – Gilberte wybuchnęła miechem.

– Myślenie to byłby niegłupi pomysł. – Quent spojrzął na Lanyego; od początku wizyty, jak mógł, unikał patrzenia w stronę Ann. – W umowie mogłyby warunki, których mógłby w przyszłości pochwalić.

– Przecież tu są chyba sami moi, stary – bronił się Larry.

– Jasne, jasne. – Quent włożył sweter i zniknął w drzwiach kuchennych. Po paru minutach wrócił w towarzystwie służącego z wielką tacą napoi i kucharza z półmiskiem kanapek.

Na oczach służby Gilberte, Ann i Larry dokonali małej ceremonii podpisania kopii umów. Quent nalał dzieciom coca-coli, dorosłym szampana Moët & Chandon.

– Zdrowie Gilberte de Permout, Incorporated i tak dalej.

– Podniósł kieliszek, lew ręk obejmując obnażone ramiona Gilberte.

– Zdrowie Gilberte de Permout – zawtórowali Larry i Ann.

Możemy spać spokojnie – powiedział Larry tej samej nocy, kiedy po ciemku rozmawiali szeptem w łóżku, chociaż dzieci spały już od dobrych dwóch godzin. – Ona w ogóle nie zwracała na niego uwagi.

– Owszem, zwracała. Wyraźnie denerwowało ją, że hałasuje bawiąc się w basenie.

– Tak, Quent był dla niego cudowny – rozrzewnił się Larry.

– Ale ta twoja psiapsiółka jest zimna jak ołiznięty gad.

Następnego ranka Larry odwiedził Neilowi Purvisowi, kiedy odchodził, po czym wziął się za uprzątnięcie biurka, czerpiąc nieopisaną przyjemność z rosnącego osłupienia na twarzy byłego szefa, kiedy po kolei odrzucał propozycje podwyżki, a następnie dziesięcioprocentowego udziału w zyskach.

Ann przygotowywała wiosenną kolekcję jeszcze przez dwa tygodnie, dopóki Sever nie znalazł na jej miejsce chuderławego młodzieńca, który skłonny był pracować za pół darmo. Potem, ogarnięta szaleństwem, wykonała setki projektów, które w olbrzymich kopertach wysyłała Gilberte do Nowego Jorku.

Gilberte bez problemów znalazła pomieszczenie na swoje atelier.

Przy Trzydziestej Piątej Ulicy, tuż obok Siódmej Alei, znajdował się budynek o granitowych cianach, własność Korporacji Jasona Templara.

Nie pytała o zgodę Quenta, prośbami i pochlebstwami skłoniła młodego agenta o

rozbieganym spojrzeniu do wypowiedzenia trzem wytwórcom z drugiego piątra, którzy nie mieli aktu dzierżawy, i wynegocjowała bardzo korzystne warunki wynajmu, niezmiernie dumna, że osiągnęła to wszystko bez pomocy matki. Godzinami naradzała się z architektami i dostawcami. Przemierzyła wzdłuż i wszerz odzień zgiełku Manhattanu, podkupując czterech najlepszych sprzedawców, pół tuzina do wiadczonych krawców, prasowaczek, specjalistów od wykończenia, pakowaczek, magazynierów, urzędników. Wskoczyła do samolotu do Paryża, żeby podpatrzeć tamtejsze kolekcje.

Stale brakowało jej czasu na wszystko. W styczniu, kiedy zaczęto kłaść fundamenty pod budynek zarządu Korporacji Templara za Zachodnim Wybrzeżem, była pochłonięta doborzem materiałów; nie mogło być nawet mowy o jej obecności u boku Quenta podczas ceremonii.

Ann i Quent Kalifornia 1950

Wizja zbliżającej się przeprowadzki bardzo zmieniła Michaela. Przedtem był buńczuczny, wiecznie domagającym się niezależności chłopcem, teraz nie opuszczał Anni ani na krok. Kiedy, podczas poobiedniej drzemki, przerwał Ann opowiadanie bajki.

– Mamo, czy tato na pewno kupi dla mnie bilet? – spytał chwytając ją za rękę.

– Oczywiście, że tak. Pamiętaj, jak razem pojechaliście na dworzec Union i oglądaliście rozkład pociągów? Pojedziemy pociągiem, który się nazywa „Buntownik”. Będziecie mieli wspólny przedział z Janey, a my z tatą drugi, zaraz obok. Między waszym przedziałem a naszym będzie drzwi. – Monotonnie recytowała tę opowieść, przypominając reklamowe teksty biur podróży; wielokrotnie już uspokajała nią Michaela. – Wieczorem przyjdzie konduktor i pozmienia fotele na łóżka piętrowe...

– Skąd ja mogę wiedzieć, czy wy mnie nie zostawicie?

– Zostawimy cię? Przecież mamy razem pójść do wielkiego zoo w Central Parku. – Ann wzięła go na kolana i mocno przytuliła. – Przecież mamy razem zrobić bałwana. Razem zwiedzimy Nowy Jork. Kto z nas wjedzie na dach Empire States Building?

– Kiedy moja prawdziwa mamusia mnie zostawiła. – Łzy napłynęły do szarych, przejrzystych oczu chłopca.

– Michael, kochanie, przecież twoja mamusia zmarła w czasie wojny. – Ciągłe nie umiała wypowiedzieć tego kłamstwa z przekonaniem. Michael ze swoją przenikliwą inteligencją doskonale wyczuwał wahanie w jej głosie. – Jesteś naszym synkiem, adoptowali my cię, bo ci bardzo, ale to bardzo kochamy i nigdy kochać nie przestaniemy.

Po tej rozmowie została niewolnicą Michaela.

Mamo – wyszeptał w lizgując się do łóżka Anni i budząc ją. – Mam pomysł.

Larry zachrapał przez sen i przesunął się na brzeg materaca.

– Idź do łóżeczka, Michael – szepnęła ciskając go mocno. – Jest rodek nocy.

– Dziesięć po szóstej – sprostował. Był jedynym pićciolatkiem na Montecito Lane, który posiadał skomplikowaną umiejętność odczytywania godziny na zegarkach z rzymskim cyferblatem. – Chodźmy na plażę.

Właściwie... czemu nie? Podobnie jak Michael uwielbiała puste plaże. Był w październiku, kiedy nikt w Los Angeles nie kwapił się nawet stawić nogi na szerokim rubieżu ółtego piachu na obrzeżach miasta. Larry, znany pićcioch, z pewnościc nie poszedłby z nimi; Janey też, jak na roczne dziecko, wyjątkowo długo spała.

Założyła dżinsy i sprany wojskowy sweter Larry'ego, zostawiła karteczkę i odwiesiła słuchawkę, żeby nikt nie zakłócił snu taty i jego córki.

Poranek spowijała mgła znad oceanu. Ann i Michael zostawili buty w Buicku i rzucili się biegiem na lodowaty piasek. Gdzieś daleko na Pacyfiku szalał sztorm. Wielkie fale, jedna za

drug , rozbijały si o brzeg, nios c w przejrzystych wn trzno ciach kawały drewna i wielkie zwoje wodorostów. W ciekłe bałwany z grzmotem uderzały o pla , zalewaj c j biały pian , której odpływ, niegro ny z pozoru, w rzeczywisto ci bywał niezwykle zdradziecki. Larry zawsze trz sł si ze strachu o dzieci, kiedy brodziły przy brzegu. Jako młody chłopak był wiadkiem porwania dziecka przez fale; dziecko znikn ło z pola widzenia i ratownikom nie udało si go znale . Ann ustawiła si mi dzy Michaelem a zdradzieckim morzem. Za najbli sz budk ratownicza – budki z zatrza ni tymi okiennicami miesi cami stały puste – stała samotna posta , owiana mgł . Je eli nie liczy tej sylwetki, pla a przesycona słonym, wilgotnym zapachem jodu była teraz niepodzielnym królestwem Michaela i Ann.

Biegli trzymaj c si za r ce, płosz c mewy i brod ce.

– Michael... – wołała Ann. – Michael...

– Mama – pisał chłopiec. – Mamaa...

W ciekłe uderzenie przyboju zagłuszyło ich okrzyki. Biegn c truchtem, eby dotrzyma synkowi kroku, Ann spogl dała w stron horyzontu. Najpierw nie mogła dostrzec granicy mi dzy szaroburym morzem a szarobur mgł , potem jednak zauwa yła niewyra n , bladoliliow kresk – wła ciwie był to wietlisty fiolet... Wyobraziła sobie wieczorow sukni z tiulu o tym odcieniu. Marszcz c czoło, utrwaliła w pami ci subtelne odcienie.

– Mamo! – Michael poci gn ł j za r k . – Popatrz, przyszedł pan Dejong.

Potkn ła si o kawał drewna, wytrawionego przez fale morskie w białe pr ki. Powinien by w Nowym Jorku z Gilberte. Jednak wysoki m czyzna... to był bez w tpienia Quent. Gilberte wspomniała kiedy o jego upodobaniu do porannych nadmorskich przechadzek.

W pierwszej chwili chciała porwa Michaela na odsuni t od brzegu promenad , jednak Ojuent odwracaj c si do nich, uniemo liwił ten manewr. Zdaj c sobie spraw , e nara a si na wysukan grzeczno , gorsz od otwartej pogardy, przeczesaa palcami niesforne loki i na zzi bni tych sino-czerwonych stopach zacz ła si wspina w jego stron po wymytm przez fal piaszczystym nabrze u.

Michael rzucił si do przodu; Quent zrobił zr czny unik przed powitalnym szturcha cem chłopca.

– Tym razem nie b dziemy pływa – powiedział u miechaj c si szeroko. – Nie przy tej pogodzie. – Odwrócił si do Ann, szybko przyoblekaj c twarz w grzeczno ciowy u mieszek. – Witaj, Ann. Widz , e te jeste rannym ptaszkiem.

Odpieprz si – pomy lała. W oddali Michael zje d ał po suchym piaszczystym zbocz. Nie mógł słysze ich rozmowy.

– Zdawało mi si , e wiesz, jak sypiam – odparowała.

– To fakt.

– Przyjdzie nam si od czasu do czasu widywa . To nic strasznego. A mo e s dzisz, e widywanie mnie obra a twoich bogów i zagra a nie miertelno ci twojej duszy?

Na tle mglistych zarysów kopuł i minaretów przy promenadzie w Santa Monica jego twarz wydawała si jeszcze bardziej ko cista ni zwykle.

– Invictus – powiedział.

– Sama dobrze wiem, czyje wiersze przekr cam. Na lito bosk , przesta si

zachowywa , jakbym stała kilometr od ciebie. Musimy si jako znale w tej sytuacji.

– Ann, nie bardzo rozumiem, o co ci chodzi.

Dr ała, brakło jej tchu, jednak mówienie do niego podniesionym głosem przynosiło jej niewysłowion ulg .

– Chodzi mi o to, e co si kiedy mi dzy nami wydarzyło.

– To było dawno temu.

– Owszem, dawno. Ale nawet najbardziej wielkopa skie maniery nie s w stanie cofn raz danego słowa... tylko nie mów mi, e to jest Omar Khayyam.

– Co wobec tego proponujesz?

– Wydaje mi si , e je li przewietrzmy przeszło , b dziemy w stanie zachowywa si normalnie.

Patrzył gdzie daleko, poza ni . Nagle jego oczy rozszerzyły si .

– Jezus, Maria – wyszeptał. Odwróciła si na pi cie.

Po pla y sun ła ogromna fala, rozmiarem przewy szaj ca wszystkie swoje towarzyszeki. Piana obmywała nogi Michaela. Chłopczyk, balansuj c r kami, usiłował utrzyma równowag . Upadł, nadal machaj c r kami.

Ojuent p dził ju po mokrym piasku, w biegu zdejmuj c sweter i tenisówki. Ann w nagłym porywie energii rzuciła si za nim, chwytaj c z trudem powietrze. Biegn c wzniecała tumany piasku. Na wpół o lepiona zobaczyła, jak piana bezlito nie zasysa Michaela w stron nadei gaj cej coraz wy szej ciany wody. Chudziutkie ramionka dziecka chwiały si w powietrzu, główka podskakiwała jak piłka. Zdawało jej si , e słyszy krzyk przera enia.

Suchy, sypki piasek spowolniał jej bieg. Quent p dził ju po fali przypiływu. Ostro pracował ramionami, usiłuj c posuwa si do przodu. Kiedy rozp dzona cofaj ca si fala dosi gała mu kolan, rzucił si do wody i zacz ł płyn , pot nie machaj c ramionami. W stron pla y sun ła gigantyczna ciana wody. Legendarna siódma fala, najwi ksza ze wszystkich, spi trzona masa pochylona do przodu jak ruchoma przypora szata skiej katedry, p dziła sycz c pian wysoko nad głów Michaela. Ann dobiegła do wody. Niewinny z wygl du strumyczek piany wypłukał piasek pod jej stopami. Z trudem zachowała równowag . Bezsilnie przygl dała si , jak ciana wody wali si na Michaela, i w tej samej chwili Quent rzuca si w spieniony odm t.

Znikn li obaj. Nigdy w yciu nie prze yła jeszcze paniki w tak prymitywnej postaci, ani uczepiona skalnej ciany Saleve, ani wtedy, kiedy niemieckie kule wistały jej nad uchem. Nad głów mewa zatoczyła koło, nurkuj c w złowrog to . Ann, któr opuszczał rozum, ptak wydał si aniołem zagłady.

Nagle w niebywalej odległo ci, na południe od Ann, z oceanu, ociekaj c wod , wyłonił si Quent. Pod pach niósł Michaela. Chłopczyk zwiisał bezwładnie jak szmaciana lalka.

Ann rzuciła si w ich kierunku przez otchła spienionej, słonej wody. Quent krzyczał co do niej. Nie słyszała go, ale zrozumiała gest, którym wskazał jej l d. Wróciła na pla , i pobiegła po piasku. Quent zd ył ju uło y Michaela buzi do dołu na swoim swetrze. Trzymał r k na drobnych pleckach chłopczyka. Po przera liwie bladej twarzy dziecka płyn ła stru ka krwi.

– Mamusiu, to nie moja wina – wyszeptał patrząc na nią spod półprzytomnych powiek.

– Wiem o tym, kochanie. Zwymiotował słonwoda.

– Michael – zagadnął Quent z wielkim spokojem – czy jechałeś kiedy samochodem z otwieranym dachem? Mam taki samochód, stoi tu przy plaży. My dwaj pojedziemy z twoją mamusi do doktora sprawdzić, czy nic ci się nie stało.

Stała w szpitalnej budce telefonicznej, dygocąc z zimna w lewisach ciętych od piasku i wody. Zgrabiętymi palcami ledwie udało jej się włożyć pićciocentówek do otworu i wykręcić numer. Już szósty raz usiłowała zadzwonić do domu. Była zła na siebie, że coś ją zmusza do ciągłego ponawiania prób; oskarżała Larry'ego, że plotkuje przez telefon, blokując linię.

Nagle sygnał z tego telefonu uprzytomnił jej, że sama chciała przecieć, żeby nic nie zakłóciło snu Larry'ego i Janey.

– Sama odwiesiłam tę słuchawkę – powiedziała zdruzgotana.

– Nie przejmuj się – uspokajał ją Quent. Czarne włosy miał przyprószone piaskiem; przemoczone płócienne spodnie ciasno oblepiały smukłe nogi. Był boso, tenisówki zostawił na plaży. – I tak na nic by się tutaj nie zdał.

– A co będzie, jeżeli każe rodziców musi podpisać zgodę na operację? – Dlaczego zwierzała mu się z najczarniejszych koszmarów? Wcale nie przynosiło jej to ulgi, za to Quenta z pewnością szalenie krępowało. Popatrzył w stronę korytarza, tam, gdzie przed chwilą wywieziono Michaela, straszliwie malującego na szpitalnym wózku, powiedziała najspokojniejszym tonem, na jaki była w stanie się zdobyć: – Wyglądał do okropnie, nie uważasz?

– Przestał krwawić.

– Powinna się uprzeć, że z nim wejdzie. – Opuścił ją całe opanowanie. – Jest nie przyzwyczajony do obcych. Ma dopiero pięć i pół roku. Powinna była wrzeszczeć, zrobić sceny ...

– Nic mu nie będzie – przerwał jej stanowczo. – W gabinecie widziałem maszynkę do parzenia kawy. Myślę, że obojgu nam przyda się coś ciepłego. Zaraz wracam. – Odszedł.

W ogóle nie miała ochoty na kawę, natomiast potwornie chciało jej się siusiu, jednak nie miała nigdzie się ruszyć, o władni ta zabobonny mięk, że jeżeli drgnie z miejsca, coś strasznego przydarzy się Michaelowi. Weszła do składowej umeblowanej poczekalni, przyłgnęła głową do odrapanej złoto-zielonkawej ściany. Kto musiał się nie leżeć nam czy, zanim osięgnął równie obrzydliwy odcień musztardy – pomyślała i już nie była zdolna dłużej wstrzymać łez.

– Co się stało? – spytał Quent, wracając z kawą.

– Nic, nic. – Przyjła od niego ręcznik toaletowy i wytarła nos w szorstki brzozy papier. – To wszystko przeze mnie.

– Przecież to nie ty sprowadziła na plażę fal wysoko cię pięć metrów. – ciągnął współczująco brwi.

– Puciłam go samego, powinnaś być patrząca, co robi – mówiła cieniem głosem. – A ja co robiłam? Próbowałam zwrócić na siebie twoją uwagę. A nawet gorzej. Próbowałam ci zmusić do tego, żeby się przyznał, że kiedy czułeś coś, czego nigdy nie czułeś ...

– Proszę. – Podał jej kolejny papierowy ręcznik. Ponownie wytarła nos, wzięła od niego kawę i usiadła, grzejąc dłonie o ciepły kubek.

– Co nie tak? Myślałem, że dalej używasz mleka do kawy.

– Nie zwróciła uwagi na zawołanie aluzji do ich wspólnej przeszłości.

– Nie, w porządku. – Upiła łyżeczkę. – Nie podziękowałam ci nawet za to, że uratowałaś Michaelowi życie.

– A co niby miałem robić? Stać i przyglądać się, jak tonie?

– Odpływ był nieprawdopodobnie gwałtowny. Mogła się utopić.

– Pływam nie najgorzej.

– Byłaś strasznie odważna, zawsze jesteś niezwykle odważna. Bo że, dlaczego to tak długo trwa? Musieli odkryć coś strasznego. Może ma wstrząs mózgu. Albo przetracił sobie kark, albo...

– Uspokój się!

– Masz przed sobą klasyczny okaz zgnębionej materii północnoamerykańskiej... – W próbach dowcipkowania pobrzmiwały akcenty hysterii. Zmusiła się, żeby przełknąć kolejny łyk kawy.

– Wobec tego powiedz mi, o czym mam mówić z osobą, która uratowała życie mojego syna.

– Najlepiej wyciej o tym nie wspominać – odpowiedział łagodnym tonem. – Gilberte wspominała, że Michael jest sierotą wojenną.

Jakim cudem Gilberte zdobyła się na obojętny ton, kiedy go o tym informowała? Po prostu musiała, ty idiotko. Sama też była w zaparte.

– Tak, adoptowali my Michaela. Jest naszym dzieckiem, tak samo jak Janey. – Kawa bezlitośnie parła na pierze. Odstawiła fajansowy kubek. – Quent, musisz wyjść do toalety. Obiecuję, że zawołasz mnie, jeśli przyjdzie lekarz.

– Naturalnie, ale to chyba jeszcze trochę potrwa. Myjąc ręce w umywalni, przejrzała się w chromowanym lustrze. Tylko jej rozczochrane włosy miały jeszcze jakiś kolor. Wyglądała jak mierzwiak – pomyślała, rezygnując z wszelkiego poprawiania wyglądu. W poczekalni zastała Quenta masującego chore ramię.

– Co ci się stało? – Gdyby nie była tak kompletnie rozbita, tego rodzaju pytanie nigdy nie przeszłoby jej przez usta. – To znaczy, wiesz, trudno nie zauważyć, że co ci się stało w rękę.

– Nic przyjemnego.

– Wojna?

– Wojna – Przyjrzał się jej pociemniałymi oczami i wyjrzał przez okno. Z porannej mgły powoli wyłaniały się zarysy ulicznej kamienicy. – O ile się nie mylą, uważasz, że ci zdradziłem.

Zdumiona – ba, osłupiała – odetchnęła tylko kilka razy, zanim była zdolna wydusić:

– Przestała pisać.

– Przestałem – powiedział.

Między nimi rozciągały się kilometry lodowej równiny umiarkowanie wyczarowana na zawołanie, żeby odgrodzić się od Ann.

– Już wcześniej bywałem po stronie wroga i zawsze jakoś się ze mną kontaktowała. Po paru miesiącach zaczęłam naprawdę wariować. Nie byłem twoim krewnym, więc nie miałam jak się o ciebie dowiadywać. Byłem w takim stanie, że generał Mann postanowił mi pomóc.

Przyjał się z pewnym pułkownikiem z Grosvenor Square. – Przy Grosvenor Square nie były skupione wokół ambasady Stanów Zjednoczonych kwatery OSS. – Kolega Mannixa użył swoich wpływów, żeby sprawdzić, czy zginęła, została wzięta do niewoli czy może... nie żyje. Nikt w OSS nie chciał mu niczego jasno powiedzieć, jednak dali mu do zrozumienia, że transmitujesz dla nich zaszyfrowane depeche.

– To nie byłem ja.

– To nie była ty?

– Naprawdę – zapewnił. – To nie byłem ja.

– Quent, wierz mi. Ale tak właśnie powiedziano generałowi Mannixowi.

– Nasi szyfranci nigdy nie chcieli uwierzyć, że ich niemieccy koledzy mogą być równie inteligentni. Nie przyszło im do głowy, że informacje mogły być sfabrykowane.

– Gdzie była?

Odwrócił się od okna. Jego twarz miała równie mało wyrazu, co jego plecy.

– W Mauthausen.

– Była w Niemczech? – spytała szeptem.

– Przez blisko dwa lata.

Gilberte nigdy nie wspominała o tym, że Quent był w obozie, chociaż z upodobaniem opowiadała o dziewczynie, z którą balował na Manhattanie. Mauthausen? Choć Niemcy w miarę przyzwoicie obchodzili się z amerykańskimi jeńcami wojennymi, to w czasie procesu norymberskiego na światło dzienne powychodziły przerażające historie o tym, co spotkało ludzi, którzy mieli nieszczęście się tam znaleźć.

– Dwa lata...

– Niecałe. Zaraz po tym, jak byłem z tobą w Greatleigh. W grudniu zostałem zrzucony ponownie do *zone interdite* koło Dieppe. Na dole czekał na mnie niemiecki komitet powitalny.

– Quent, wysłałam do ciebie chyba z milion idiotycznych listów.

– W Mauthausen jeńcy bardzo rzadko dostawali listy czy paczki z Czerwonego Krzyża.

– Wysłałam jeden na adres banku, dzięki pomocy zakonu wojny.

– Możliwe, że mi go przesłali, nie wiem. – Wzruszył ramionami. – Prawdę mówiąc, parę pierwszych miesięcy pamiętam tam niezbyt dokładnie. Byłem trochę słaby na umyśle.

– Quent, bardzo mi... przykro. – Ten głupi banal miał zastąpić wyrazy współczucia, wzbierając fałszywie.

Korytarzem przemaszerowała pielgniarka. Milczeli, dopóki nie ucichł mi jakiś odgłos gumowych podeszew jej butów.

– Nigdy nie zrealizowała czeku.

– Jakiego czeku?

– Trzystu dolarów, które dałem ci w czasie przyjęcia.

– A, o to chodzi. – Skrzywiła się na samo wspomnienie.

– Byłem czarującym, nie uważasz? Kiedy jestem w ciekłym, opuszczaj mnie dobre maniery.

– W ciekłym? Nie rozumiem?

– Bardzo proste. W obozie wybudowałem dla ciebie piedestał, była wszystkim, co

trzymało mnie przy życiu. Kiedy wyszedłem i dowiedziałem się, że moja bogini wystawiła mnie do wiatru...

– To wcale nie tak.

– W każdym razie byłem, łagodnie mówiąc, rozgoryczony. Postanowiłem nie oglądać ci na oczy. A potem Gilberte urządziła to przyjęcie w Hollywood.

– Nie chciałam przyjęcia, ale Lany... – Umilkła na chwilę. – Kiedy wrócicie do Stanów?

– W styczniu czterdziestego szóstego.

– Ale przecie Gilberte powiedziała... – Urwała.

Gilberte kłamała. W obskurnej, zatłoczonej sypialnicy, stojąc przy elaznym łóżeczku spotniałego od gorączki Michela, kłamała.

– Co ci powiedziała Gilberte?

Gilberte jest jej przyjaciółką. Gilberte jest jedyną osobą z jej dzieciństwa, która ocalała. Gilberte jest matką Michaela. Gilberte jest jej pracodawczynią i pracodawczynią Larry'ego. Czy można by ją tak zwinąć z czymś innym? To chyba wręcz niedozwolone.

– Pani Porter? – Młody pulchny lekarz z granatowym smugiem zarostu na twarzy stanął w drzwiach poczekalni.

– To ja. – Ann wstała dygocząc.

– Pan Porter? – lekarz zwrócił się do Ouenta.

– Dejong – poprawił go Quent. – Jestem przyjacielem. Jak się czuje Michael?

– Pacjent doznał licznych kontuzji, miał też ran wymagających szycia.

– Szwy? – wyszeptała Ann. – Co pan powiedział o transfuzji?

– Kontuzji. Pani syn był kontuzjowany. Mówiąc po ludzku, posiniaczony. Rentgen nie wykazał uszkodzenia czaszki ani kręgosłupa.

– adnych? Jest pan pewien?

– Chyba umiem odczytać zdjęcia rentgenowskie – owiadczył lekarz lekko poirytowany.

– Pani Porter po prostu się niepokoi – próbował załagodzić Ouent.

Nie podniósł głosu ani nie zmienił wyrazu twarzy, a jednak lekarz dyurny u niego przepraszał go.

– Poza tym – powiedział wbijając ręce w kieszenie kitla – tak się składa, że szef oddziału pediatrycznego jest akurat na terenie szpitala. On też badał małego i oglądał klisze. Zgodził się z moją diagnozą.

– Jak się nazywa? – zapytał Ouent.

– Doktor Gerardson.

– Czy byłby pan łaskaw powiedział doktorowi Gerardsonowi, że pani Porter chciałaby z nim rozmawiać?

– Zapewniam państwa, że doktor powie państwu to samo co ja. – Pulchne granatowe policzki zatrzęsyły się.

– Proszę powtórzyć doktorowi Gerardsonowi, że czekamy na niego. – Przez sekundę, może dwie, obaj mieli wrażenie, że mierzyli się wzrokiem.

– Poproszę go – owiadczył dyurny lekarz potulnie. Oddalił się szybkim krokiem, łopocząc wykrochmalonym fartuchem.

– Czemu tak się uparłeś, żeby ten lekarz tutaj przychodził?
– Nogi trzęsły się pod nią. Opadła na krzesło.
– Bo za parę minut przestaniesz wierzyć w to, co powiedział ten nadęty bubek.
– Niepokoisz się o Michaela! Przywiozłem go do szpitala, bo się boisz, e...
– Ann, proszę ci, przestań. – Kucnął przed nią, w ciepłym uścisku zamykając jej lodowate dłonie.

Jego dotyk rozproszył ją, a przynajmniej sprawił, że stała się znowu. Patrzył jej w oczy. Z rozchylnych ust Ann wydobyło się drżące westchnienie.

Przez korytarz przebiegli sanitariusze z noszami, które podniesionym głosem wydawały ostre polecenia, ale oni nie odrywali od siebie wzroku.

– Naprawdę uratowała mi życie – powiedział z cichym arliwem. – W Mauthausen mierzył sto wydawała się lepszym wyjściem. Tylko myślenie o tobie trzymało mnie przy życiu.

– Czujesz się tak podle... Quent, wybacz mi.

– Ty też mi wybacz – powiedział. – W czwartek wracam do Nowego Jorku. Czy myślisz, że udałoby ci się znaleźć dla mnie parę godzin?

Doskonale wiedziała, jak spędzić tych kilka godzin, mimo to, wbrew woli, wyszeptwała bez tchu:

– Tak.

Nad wejściem na oddział chirurgii urazowej zawyła syrena, zagłuszając odgłos kroków.

Ktoś kaszlnął znacząco. Quent puścił dłonie Ann. Zaczerwienili się oboje. Lekarz naczelny oddziału pediatrycznego powtórzył obcesowym tonem to samo, co wcześniej powiedział lekarz dyżurny z ambulatorium urazowego. Poza trzema szwami na czole Michael wyglądał na całego i zdrowego. Jednak na wszelki wypadek przez kilka najbliższych dni powinien być pod obserwacją w zaciszu domowym.

Dziecko przyjdzie za parę minut.

Prawy policzek Michaela szpeciły bolesne ścieżki, banda zasłaniała linię włosów na czole, poza tym jednak potyczka z Pacyfikiem nie zostawiła na nim żadnych śladów. Zadał złożeń dachu na Cadillacu Quenta i kręcił się teraz na lewo i prawo, łapiąc w dłonie wiatr i zadzierając głowy do góry, żeby popatrzeć w niebo.

Wiesz co, tato? Byłem w prawdziwym szpitalu! – zawołał w progu, rzucając się Larry'emu w objęcia.

Harcował jak mały niedźwiadek obudzony z zimowego snu. Wreszcie Ann musiała wsadzić go do łóżka. Tylko wspólnym wysiłkiem rodzicom udało się utrzymać go pod kołdrą. Kiedy po południu Quent, za którym Joaquin jechał Cadillacem, odstawił Porterom Buicka, Michael rzucił się do salonu, dając kolejnej przejażdżki ze złonym dachem.

Ann i Lanyego wyrwały ze snu okrzyki przerażenia.

Popędzili do dziecięcej sypialni.

Pośród niewyraźnych cieni, rzucanych przez nocną lampkę na linoleum, dostrzegli postać Michaela. Chłopiec klęczał na czworakach. Śmiała się, z której wystawał palec lewej

nogi, zupełnie nie pasowała do wykrzywionych groz rysów twarzy dziecka.

– O, Bo e – wyszeptał Larry.

Ani on, ani Ann nie mogli wiedzieć o tym, jak bardzo Michael przypominał teraz Berndta von Hoherera w chwili, gdy doborowa ekipa esesmanów tłukła go na śmierć pod obiektywem kamery – ten film, przesłany później do Berchtesgaden, *Führer* oglądał z najwyższym upodobaniem.

– Michael, syneczku. – Ann kucnęła przy dziecku.

– Już wszystko dobrze, tatuś i mamusia są z tobą. Chodź do łóżeczka. – Schyliła się, żeby wziąć go na ręce.

Próbował się jej wyrwać, potrząsał głową i rytmicznie wydychał z siebie zdyszane, ochryple okrzyki.

Larry przysiadł na podłodze, klepiąc Michaela po drobnych, wstrząsanych szlochach ramionkach, jakby uspokajał rekabaka. Gładził go nadal i szeptał mu coś, kiedy Ann wróciła z kołderką, w której otulili rozhisteryzowane dziecko. Tymczasem obudziła się Janey i też zaczęła płakać. Ann wyjęła ją z łóżeczka i zadzwoniła po pediatrę. Łysiejcy lekarz wystając spod kurtki piąmie zastał Michaela popłakującego cichutko w objęciach Larry'ego.

Następnego dnia rano Larry zawiózł chłopca na prześwietlenie. Ledwie Ann położyła Janey na przedpołudniowym drzemku, zadzwonił dzwonek do drzwi. Na progu stał Quent z trzema wielkimi pudłami, owiniętymi w papier z kolorowymi lizakami i kokardkami ze sklepu Wujka Berniego.

– Dziękuj – powiedziała pokornie, odbierając od niego pudła.

Nie zaprosiła go do rodzka.

– Jedno jest dla małej.

– Bardzo miło z twojej strony.

– Jak się miewa Michael?

– Zeszłej nocy obudził się z krzykiem. Przyjechał lekarz i powiedział, że to zwykłe koszmary, nie ma żadnych oznak wstrząsu mózgu. Jednak Larry na wszelki wypadek zawiózł go jeszcze raz na prześwietlenie.

– Ann, co się dzieje? Czy coś jest nie tak?

– Przecież ci właśnie powiedziałam.

– Nie o to mi chodzi. Wczoraj była przerażona, ale była. To znaczy, była ze mną.

Zza rogu dobiegł dźwięk dzwoneczków objazdowej lodziarni.

– Wczoraj w nocy Michael był w okropnym stanie. Lany zachował się cudownie. Okropnie się kochaj. Michael cały czas chciał być tylko z Larrym.

– To wspaniały dzieciak.

– Quent, nie wiem, jakie nadzieje wiążesz z naszym spotkaniem. Ale znasz mnie, prawda? Zawsze byłam niepoprawną romantyczką. Nadal coś do ciebie czuję.

To było trochę dziwne, w jasnym świetle poranka wyznawa komuś cięglę było miło, patrz, jak ciarówka rozwija lody powoli wjeżdża na Montecito Lane.

– Rana się nie zagoiła do końca, o to ci chodzi?

– Nie mogłabym powiedzieć o tym Larry’emu. A ty powiedziałabyś Gilberte?

Zacisnęła usta i po chwili potrząsnęła głową.

– Najwyżej o tym, że wyłowilem Michaela z morza.

– Widzisz.

– Owszem, widzisz.

– Za bardzo mi zależy na tym spotkaniu i dlatego będę musiała z niego zrezygnować.

– Chcesz, żebym ci próbował przekonać?

– Nie.

– W porządku – zgodził się z nieprzenikniętym wyrazem twarzy. – Powiedz Michaelowi, że fala, na której odbył przejazd, biła wszelkie rekordy wysokości.

Przyciskając do piersi pudła, zamknęła za nim drzwi. Patrzyła przez szybę, jak nie zdradzając najlżejszego przygnębienia, idzie do wozu. Jednak kiedy wsiadł do samochodu, zanim ruszył, przez kilka minut tarł obiema rękami czoło.

Gilberte Nowy Jork, 1950

Nie wykończona sala widowiskowa pachniała trocinami. Stolarze wyszli na lunch, porzucając narzędzia przy szkieletach czterech kabin ze sklejki. Tego popołudnia w kabinach miały zostać założone wielkie okna wychodzące na salę.

Gilberte i Quent stali wpatrzeni w kilka smug szarej farby nad próbką szarego dywanu. Jak opłatanie wydzwaniały do siebie z Ann przez cały kontynent, omawiając w ród trzasków szczegóły wystroju wnętrza. Gilberte marzyła się niezwykle elegancka sala, jednak Ann się sprzeciwiła:

– Chcesz, żeby nabywca widział wieczniki i boazerie, czy stroje Gilberte de Permont?

Stanęła na prostocie i monochromatycznej kolorystyce. Ann, która dotarła na Manhattan poprzedniego dnia, przyjechała taksówką prosto z dworca Grand Central, żeby zobaczyć próbki.

– Malarze zaczynają od jutra. – Gilberte palcem od nogi przesunęła kwadratową próbkę dywanu. – Quent, jak uważasz? Czy dywan lepiej wygląda z tym odcieniem ciemny?

– Dla mnie to wszystko wygląda jednakowo.

– Kochanie, zdaj sobie sprawę, że masz protekcyjny stosunek do mojej kariery – wycedziła. – Nie musisz mi tego specjalnie dawać do zrozumienia.

– Daj spokój, Gilberte. Wiesz, że jestem twoim najwiśszym fanem. Wiesz jednak również, że jestem prawie daltonistą.

Trzeba przyznać, że Quent nie miał za grosz wyczucia kolorów. Ale trzeba również przyznać, że od chwili, kiedy udało jej się go przekonać, że firma Gilberte de Permont nie miała być przelotnym kaprysem, udzielał jej niezłomnego wsparcia – lepiej od adwokata Gilberte potrafił jej wyjaśnić zawiłość umów, które podpisywała. (Duma nie pozwalała jej na przyjęcie wsparcia finansowego z jego strony, w związku z czym, jak zawzięta bretańska chłopka, lubiła obejrzeć grosz z każdej strony, zanim wypuściła go z ręki.) Jednak co się między nimi nie układało.

Nie była nawet w stanie sprecyzować, co ją niepokoi, i nie mogła sobie dokładnie przypomnieć, kiedy po raz pierwszy dotarło do niej, że coś jest nie tak. Mimo że nadal był – jak to określały przyjaciółki – „absolutnie boskim mędrcem”, co oznaczało, że jest niebywale bogaty, ma doskonałe maniery, nie znać się nad nią fizycznie ani moralnie, wspiera jej pomysły, projekt, był jednak – ujmując rzecz najprościej – nieobecny. Meandry jego umysłu zawsze pozostawały niezgłębione dla Gilberte, w związku z czym nie umiała inaczej określić jego stanu. Kiedy zwracał się do niej, miała wrażenie, że jego duch był gdzieś daleko.

Kaszlnęła od pyłu unoszących się w powietrzu trocin.

– Ten – zdecydowała stawiając woskowym ołówkiem wielki krzyżyk.

– Wygląda, jakby zawierał najwiśszej jakości.

– Proszę! A mówię, że nie masz wyczucia kolorów. Faktycznie ma najwiśszej jakości – pochwaliła biorąc ze składanego krzesła futerko ze złocistych soboli. – Chodźmy stąd,

kochanie.

Jedli lunch we dwoje, siedząc na kanapie w biało-niebieskie pasy zaraz przy wejściu do Le Soleil, nowo otwartej restauracji przy Piędziestej Trzeciej. Raz po raz pozdrawiał ich ktoś z klientów prowadzonych przez obsługę do stolików w głębi. Gilberte zauważyła nagle, jak wiele kobiet zwraca wyraźną uwagę na Quenta – Betsy Marpen rzuca w jego stronę łakome spojrzenia, Lynn Hutchinson, przejeżdżając z Grosse Pointe, przeciąga biust do przodu, leżąc zagadkowo u miechy, Eleonor Risconti przytyka okulary do ust, wodząc jęczymkiem po oprawce. Przy drugim daniu nagła myśl jak pocisk wybuchła w jej głowie. Ma kochankę. Zadrżała.

Jeśli odejdzie, znajdzie się z powrotem w Santé.

Mimo że go kochała, mimo że odczuwała w ciele, zwierając zazdrość o te kobiety – istniejąc czy te wyimaginowane – mimo że zdawała sobie sprawę, że bycie pani Dejong pozwala jej stawiać czoło społeczeństwu, wszystkie uczucia nikły wobec irracjonalnego lęku. Jeśli on odejdzie, znajdzie się z powrotem w Santé!

– Nie smakuje ci cielęcina? – zapytał Quent troskliwie, przerywając jej mroczne rozmyślenia.

Dotarło do niej, że odłożyła na bok widelec i nóż.

– Ale skąd, jest pyszna.

Wzięła kęs do ust, starając się myśleć przez dni. Jeśli nawet ucił sobie jakiś romans na boku – a nie miała na to najmniejszych dowodów – nie było to równoznaczne z rozpadem ich małżeństwa.

Patrząc na zdecydowany profil męża, jeszcze raz przejrzała w myślach wszystkie powody, dla których nigdy by się z nim nie rozwiódł. Przede wszystkim, jest w szponach poczucia winy z powodu śmierci jej rodziców. Po drugie, jest na to zbyt prawy i brzydki z zachowaniem swego ojca. (Jej opasły, podstarzały, niemniej przystojny teściwła nie porzucił czwartego dla dwudziestoletniej manikiurzystki.) Bardziej przyziemny, ale równie skuteczną przeszkodą jest Trust. Testament Jasona Templara praktycznie uniemożliwia potomkom wzięcie rozwodu poza granicami stanu Nowy Jork, gdzie jedyną podstawą do złożenia pozwu jest niewierność współmałżonka. Quent nie ma wyjścia, chyba żeby się zgodziła.

Czym jest jednak głos rozświecony wobec krzyku przerażenia w jej duszy? Porzuci mnie i znajdzie się z powrotem w celi numer osiem. Muszę go zatrzymać, ale jak?

Pragnie rodziny...

Nie mogła mieć dziecka.

On o tym nie wie.

Tego wieczoru Ojuent jadł obiad w klubie Metropolitan.

Gilberte, ilekroć zostawała sama, jadła lekką kolację przy stoliku w ich wspólnej sypialni. W kominku z czarnego marmuru trzeszczały kłody jabłoni. Niewielki akt Renoira zasłaniał sejf z biurowymi i tajnymi dokumentami gestapo. Spróbowała ryby. Odechciało jej się je. Dotychczas sypialnia zawsze wydawała jej się zachwycająca. Czy to może być, żeby

starannie wybrane przez ni krzesła i stolik z laki nie odpowiadały roslemu m czy nie? I czy historyczne zasłony, które zdobył jej dekorator – zielony mieni cy si jedwab, zdobny w złote pszczoły, godło dynastii napoleo skiej – nie były aluzj do faktu, e cesarzowa Józefina została porzucona dla młodszej kobiety, która mogła mie dziecko?

Demon l ku owładn ł Gilberte.

Siedziała w wannie tak długo, a perfumowana woda wystygła. No yczkami do paznokci przyci ła bujne włosy łonowe. Wprowadziła rodek nawil aj cy do pochwy. Wtarła w piersi i w biodra perfumy Chanel, po czym udała si do długiej na dziesi metrów garderoby, której cała cz zawierała nocne stroje – sterty cieniutkiej bielizny szytej na zamówienie u Odile przy place de la Madelaine, w domu mody, z którego usług niegdy korzystała jej matka. Gilberte, podobnie jak baronowa, po trzy razy chodziła do przymiarki ka dej ze swoich koszul nocnych i szlafroczków, szytych ze staranno ci , jakiej w dzisiejszych czasach daremnie szuka nawet w Pary u. W ko cu zdecydowała si na be owy jedwabny mu lin, który przysłał nieco – ale tylko nieco – jej piersi o wielkich sutkach.

Było ju po północy, kiedy pod dom, od strony Pi tej Alei, zajechał samochód.

Wtarła jeszcze odrobin perfum w nadgarstki. Zgasiła lamp . Kiedy Quent wszedł do sypialni, le ała spowita odbłaskami rozta czonego ognia. Pocałowała go w policzek, wie y od chłodu nocy, gł boko wci gn ła w płuca otaczaj cy go zapach. Cygara hawa skie. Nie był z kobiet .

– Obiad był dobry? – spytała przytulaj c si .

– Niezły. Jak sp dziła wieczór? – Chocia obj ł j ramieniem, wyczuła w nim pewn rezerw .

– Strasznie mi si czas dłu ył. Zawsze bez ciebie czas mi si dłu y.

– Chciałem ju wróci par godzin temu, ale zacz li my z Chesterem gada o szpitalu w Nagasaki i jako czas nam przeciekł przez palce. Wygl da na to, e b d musiał si tam przelecie .

– Naprawd ? Do Japonii? Kiedy? – spytała z westchnieniem.

– Gdzie w marcu.

Rozpi ła mu smoking i zacz ła rozwi zywa krawat.

– Gilberte, jest pó no. – Cofn ł si .

– Tyle tygodni si nie kochali my.

Stał bez ruchu, kiedy rozpinała mu koszul , gdy jednak polizała pasmo czarnych włosów oddzielaj cych jego piersi, wyczuła pod j zykiem bicie serca.

– Chcesz mi wmówi , e jeste zm czony?0, kochanie, jak strasznie mi ciebie brakowało... – Kl kaj c, eby rozpi pasek, przywarła policzkiem do jego członka.

Siedział na krze le. Oplotła go długimi, smukłymi nogami i powoli opu ciła si na stwardniał m sko . Zacz ł si porusza – odpowiedziała okr nymi ruchami bioder. Wszystko odbyło si jak zawsze. Bez wzgl du na to, jak spragniona była miło ci, bez wzgl du na to, jak arliwie starała si reagowa na jego pieszczoty – nie czuła nic. Kochali si sk pani i w czerwonej po wiacie kominka. Gilberte zasymulowała orgasm, stuletnie krzesło z czarnej laki skrzypn ło przera liwie, Quent krzykn ł.

Przenieśli się do łóżka. Kiedy przytknął płomień zapalniczki do papierosa – tych kilka sztuknię po stosunku było jedynym ustępstwem na rzecz nikotyny – dostrzegła, że jego twarz jest zapadnięta i wymizerowana.

Dwudziestego piątego marca pojechała go na La Guardi. Zapowiedziano już lot do San Francisco – pierwszy etap jego trzydniowej podróży do Japonii – mimo to żadne z nich nie ruszyło się z miejsca.

– Quent, wiem, że nie powinnam ci teraz zawracać głowy...

– To całkiem zrozumiałe, Gil, że się niepokoisz. Nie ma jednak o co. Larry twierdzi, że jesteś niezłym zawodniczką. – Troskliwy ton Quenta ani trochę nie zdradzał niecierpliwość, którą musiał odczuwać.

Cały niepokój o trwałość ich małżeństwa Gilberte kanalizowała w niekończących się obawach o losy nowej firmy. Czy kolekcja i sala widowiskowa będą gotowe na tydzień targów? Czy kupcy złożą chociaż jedno zamówienie? Czy prasa nie pominie aby jej pokazu milczeniem, mimo że wśród modelek pojawią się tak atrakcyjne nazwiska, jak Mary Martin, Bab Paley, Ethel Marman. Czyjej nie wyżej?

– Larry jest tu dopiero od paru tygodni, nie ma dobrego rozeznania w nowojorskim wiatku.

– Gilberte, gdyby się tak zdarzyło, że przez pierwszych kilka sezonów stracisz więcej, niż zarobisz...

– Wiem, wiem, znam pewnego bankiera. Metaliczny głos ponownie zapowiedział odlot. Quent wziął Gilberte pod rękę i odprowadził w stronę bramki, gdzie Chester Houston, główny koordynator działalności filantropijnej Fundacji, czekał ze swoją nową walizką na dokumenty, o pozłacanych rogach, i z podniszczoną walizką Quenta.

– Byłam u ginekologa – powiedziała Gilberte przez ciemne gardło. – Wczoraj.

– Tak? – Przyszedł.

– W tej chwili zapewne – powiedziała zniżony głos – jakiś królik rozstaje się z życiem.

Oczy mu rozbłysły, twarz pojaśniała, jakby nagle wstąpiło w niego życie. Dotąd nie wiadoma sobie, że jej mąż wygląda i porusza się jak automat, i w wyobraźni zobaczyła nagle scenę wycmem wziętą z *Frankensteina*, niebiosy się rozstąpiły i wylatuje z nich błyskawica, techniczna iskrzyca w jej móżdżku.

– Gil, dlaczego mi nic nie powiedziała?

– Co ci miałam mówić? *Je mam quelques jours de retard?*

– Mówi ci o opóźnieniu w jakimś okresie, poczuła nagle, że ma za ciasny pasek i nie może odetchnąć.

– Odmówiłbym wyjazdu. Chester równie dobrze mógłby lecieć bez mnie.

– Czy by nie otrzymał listu od generała MacArthura, Wszemogącego Pana Pacyfiku we własnej osobie? – spytała.

– Czy nie wspominał ci o tym, jak niezbędna jest twoja obecność w Nagasaki? Japończycy są już dostatecznie urażeni faktem, że przyjmują szpital od Fundacji Templara, trzeba im tylko, żeby najważniejsze osoby nie stawiały się na rozmowy.

– Wszystko to zawracać głowy.

– Quent, jeszcze za wcześnie, żeby wiedzieć na sto procent. Wrócisz za niecały miesiąc.

– Kiedy będzie wiadomo? – objął Gilberte.

– Pojutrze.

– Psiakobole. Nie będzie mnie już w San Francisco. – Pocałował ją we włosy. – Jak tylko się czego dowiesz, dzwoń do mojego biura. Poproś, żeby przetelegrafowali wiadomość na statek.

– Kochanie, zachowujesz się jak klasyczny młody ojciec. W odpowiedzi wsunął dwa palce w kciuki ust i gwizdnął głośno, radośnie, jak mały chłopiec. Kiedy pasażerowie zaczęli się odwracać w jego stronę, przybrał poważny wyraz twarzy, bardzo stosowny do przekonanego płaszcza zarzuconego na garnitur.

Dwa dni później zadzwoniła do biura zarządcy Korporacji Templara. Dramatycznym szeptem przekazała Marian LaRosa, swojej niezawodnej sekretarce Quenta wiadomość złożoną z jednego słowa.

Tak.

Mieszkanie przy Uniwersytecie Columbia było dwa razy większe – stwierdziła Ann.

– Ja wolę to mieszkanie – oświadczyła Gilberte.

– Kiedy by wolał – poparł ją Larry.

We trójkę stali w nieumeblowanym saloniku na dziewięćdziesiąt trzy przy Wschodniej Szóstej, w najelegantszej dzielnicy mieszkaniowej Manhattanu. Kroki Ann odbijały się echem, kiedy przemierzała długi pokój i korytarz. Gilberte i Larry poszli w łódź za nią do małej ciemnej sypialni.

– Michael będzie musiał tutaj mieszkać z Janey – powiedziała.

– Michael jest jeszcze w wieku, w którym można spokojnie spać z płcią przeciwną – skwitowała Gilberte cierpko. Zaskakiwała samą siebie umiejętnościami mówienia o Michaelu takim tonem, jakby faktycznie był dzieckiem Porterów. Czuli ucisk w piersiach.

– Ten pokój jest strasznie mały i ponury.

– Pomalujemy go na błękit i zaraz będzie wyglądał inaczej, mała. – Larry, który zdążył się już zorientować w hierarchii terytorialnej Manhattanu, nie miał najmniejszego zamiaru mieszkać w „Nigdzie”, jak nazywał West Side. – W przyszłym roku przeniesiemy się do większego mieszkania.

– Czynsz za tamto jest o wiele niższy.

– Jeśli chodzi ci o pieniądze, to pomyśl tylko, ile kosztuje nas kiedyś w Ranaleigh.

– Chwilowo zatrzymali się w pensjonacie Ranaleigh, którego podstarzali mieszkańcy narzekali na hałas i skarżyli się, że Michael gania po korytarzach ich spalonej jamniki. – Zresztą słuchają na stałe, będzie ta szata od dochodzących opiekunek do dzieci.

– Niedaleko mieszkają moi znajomi z dziećmi – wtręciła Gilberte. – Postaram się załatwić jakoś, żeby maluchy się poznały.

– Będziecie niezmiernie zobowiązani! – wykrzyknął Larry skwapliwie. Przeszedł się tam i z powrotem po pokoju i rzucił wyzywającą do Ann: – Nie zamierzam oszczędzać paru dolarów kosztem Michaela i Janey.

– Zostawiam was, goł beczki, w spokoju, eby cie przedyskutowali spraw w detalach – o wiadczyła Gilberte, dopinaj c futro z norek. – Musz i , jestem umówiona.

Na dole czekał na ni samochód. Kazała Jordanowi zawie si na Siedemdziesi t Ósm , w pobl e Madison Avenue.

Quent był w Japonii ju od dwóch miesi cy. Co dzie telefonował do niej, co graniczyło prawie z cudem. Od Cartiera przesłano jej par klipsów ozdobionych szafirami, nast pnie bransolet z brylantami. Odbył si pokaz mody. W nieprawdopodobnym rozgardiaszu panuj cym w nie doko czonej *cabine* Ann, w wymi tych spodniach, upinała szpilkami ostatnie poprawki na modelkach szykuj cych si do wyj cia na pochyły wybieg.

Gilberte ubrana w szkarłatn sukni *à la Velazquez* – jak si pó niej okazało, przebój kolekcji – stała w naro niku szarej sali, ciskaj c dłonie, eby ukry dr enie r k. Chocia zała yła firm wiedziona niskimi pobudkami, szalenie uto samiała si z całym przedsi wzi ciem, niła o sławie i powodzeniu. Na razie nie spełniły si ani jej czarne proroctwa, ani optymistyczne zapewnienia Ann. Nie wydarzyło si nic specjalnego. Przedstawiciele Saksa i Berdorfa zło yli dosy skromne zamówienia, jednak co zamówili, co według Ann było pierwszym krokiem na drodze do sukcesu. Sprzedawcy uwijali si niestrudzenie, gor co zach cają c do kupna; w po piechu przyjmowali zamówienia ze sklepów z odzie damsk . Larry opowie ciami o pochodzeniu Gilberte zwabił na pokaz reporterów. Liczba wierszy po wi conych jej arystokratycznym przodkom i maj tkowi m a trzykrotnie przewy szała uwagi na temat kolekcji. Pi przoduj cych czasopism zamie ciło fotografi Gilberte w sukni *à la Velazquez*.

Samochód zatrzymał si przed czarnymi eleganckimi drzwiami, na których wisiała złocona tabliczka z napisem:

DR J. STONEHAM KREIGER
KLINIKA GINEKOLOGICZNO-POŁO NICZA

Gilberte dotarła do doktora Kreigera z równie uzasadnionych powodów, dla jakich upatrzyła sobie wcz e niej, w Los Angeles, laureata Nagrody Nobla, Lassittera, jednak reputacje obu ginekologów były kra cowo ró ne. Kreiger, wysoki, smukły, z pot n głow pokryt jasnymi włosami przeplatany siwizn , swoj sław zawdzi czał skwapliwemu spełnianiu ycze pacjentek. Hojn r k wypisywał recepty wszelkiego rodzaju, w jego klinice rodz cym kobietom podawano silne dawki rodków znieczulaj cych, a co najwa niejsze, wykonywano aborcje, na które nigdy nie wyraziłyby zgody wi ksze, starannie administrowane szpitale. Praktyki doktora Kreigera regulowały przyrost naturalny w powszechnie szanowanych rodzinach. Chodziły równie pogłoski, e sypia ze swoimi pacjentkami.

W czasie pierwszej wizyty Gilberte postanowiła sprawdzi wiarygodno tej plotki. Kiedy lekarz wpisywał dane do jej karty, patrzyła mu niedwuznacznie w oczy; piel gniarki w gabinecie nie było. Z nogami w czarnych pantoflach z krokodylej skórki wsuni tymi w strzemiona fotela ginekologicznego poddała si intymnym zabiegom, które z pewno ci nie

należały do rutynowego postępowania lekarskiego. Mimo że wszystko, co słyszała o J. Stonehamie Kreigerze, wskazywało na to, że może liczyć na jego współpracę, do wiadomości nauczyciela, że kiedy tylko okoliczności pozwolą, należy działać z pozycji siły.

– Jestem w drugim miesiącu, prawda? – spytała po wszystkim, już ubrana, siedząc z nogami skromnie skrzyżowanymi w kostkach.

– Hmm...

– Mój mąż niezmiernie liczy na to, że będziemy mieli dziecko.

– Rozumiem.

– Prawdopodobnie mówi ci, ma obsesję na tym punkcie – ciągnęła, posyłając Kreigerowi nad biurkiem przeciągłe spojrzenie. Jej przejrzyste błękitne oczy zwiły się jak u tygrysy.

– Tak – odpowiedział, wyraźnie zadrętwiony pod jej spojrzeniem. – Niewątpliwie jest pani w drugim miesiącu.

Podczas drugiego badania „prenatalnego” doktor Kreiger dokonał obdukcji niezapłodnionej macicy Gilberte, donosząc pielęgniarkę o objawach charakterystycznych dla pierwszego trymestru ciąży.

– Wzietnie się pani spisuje, pani Dejong – oznajmił w końcu. – Miło mi poinformować pani, że ma już pani niebezpieczny okres prawie całkiem za sobą. Prawie. Wkrótce ryzyko poronienia spadnie do minimum.

Niedługo po północy czerwone światła karetki pogotowia rozbrły przed rezydencją Dejongów przy Piętej Alei. Domowa służba, w szlafrokach narzuconych na piżamy i koszule nocne, przyglądała się, jak ich pani, szlochając i jęcząc, wywołała noszaki.

Karetkę ruszyła na syrenie Piętej Alei, skręcała w Siedemdziesiąt Ósmą i zajęła przed kliniką doktora Kreigera przy Madison Avenue.

Prywatna pielęgniarka wprowadziła Ann, ostrzegając ją, że „biedna dziewczyna nie przyszła jeszcze całkiem do siebie”.

Komoda tonęła już w kwiatkach; przyniesione przez Ann róże pielęgniarka wsadziła byle jak do wody, a wazon postawiła w hallu, spokojnie wracając do oglądania zawodów zapalniczych na migoczącym ekranie dziesięciocalowego telewizora. Klinika doktora Kreigera była jedyną wyposażoną w telewizor kliniką na Manhattanie, jeżeli nie na całym świecie.

Ann usiadła przy łóżku. Nigdy jeszcze nie widziała Gilberte w takim stanie. Twarz jej straciła wszelki wyraz i tylko lekka zmarszczka wokół lewego kąta ust przypominała o kpiącym mieszkuniku, za którym lubiła się ukrywać. To, co się stało, było całkowitym zaskoczeniem dla Ann. Kiedy rano dowiedziała się o poronieniu, poczuła dziwny ucisk w ołdku.

Z mrocznych gałęzi wypełzł zielonooki w zazdrości. Teraz, patrząc na bladą, wymizerowaną twarz przyjaciółki, wyrzucała sobie swoje niskie uczucia. Skoro sama miała dzieci, dlaczego nie miał ich mąż Quent? Siedząc u wezłowa Gilberte, czuła jedynie

współczucie dla Quenta, który od piątnastego roku życia marzył o dziecku, i dla Gilberte, która musiała się wyrzec Michaela, a teraz traciła kolejne dziecko.

Gilberte zamrużyła powiekami. Po chwili całkiem otworzyła oczy.

– Ann – wyszeptała, nie okazując zdziwienia, jakby wiedziała o jej obecności.

– Strasznie mi przykro, Gilberte. Gdybym wiedziała, nie pozwoliłabym ci kiwnąć palcem w czasie targów.

Do pokoju wkroczyła pielęgniarka z kubkiem. Przytknęła wygiętą szklaną rurkę do ust Gilberte.

– Złotko, napij się trochę wody.

– Wynosi się – wyszeptała Gilberte.

– Złotko, jestem Braithwaite. Jestem pani pielęgniarką ...

– Proszę nie mówić do mnie... złotko – oświadczyła Gilberte tonem nie znoszącym sprzeciwu, chociaż mówiła cicho i z wysiłkiem. – Proszę wyjąć czy ten... jazgot i... wyjść.

Kobieta wycofała się z pokoju i wyłączyła telewizor.

– Gdyby nasza dziewczynka potrzebowała czegoś, proszę mnie zawołać – powiedziała teatralnym szeptem, zadartszy dumnie podbródek, i zniknęła zamykając za sobą drzwi.

– Kiedy nie przyszła rano, zadzwoniłam do ciebie i lokaj opowiedział mi o wszystkim – wyjaśniła Ann. – Larry natychmiast zadzwonił do biura Gnienta, ale oni już wiedzieli o tym, więc poroniła.

– Wcale nie poroniłam – powiedziała Gilberte półprzytomnie.

– Gilberte, straciła dziecko.

– adnego dziecka...

– Szszsz....

– Nigdy nie było adnego dziecka....

– Nie mów mi o tym. Jesteś jeszcze cięgle pod narkozą.

– adnego dziecka – upierała się Gilberte.

– Już dobrze, dobrze – uspokajała ją Ann.

– Wcale... wcale nie byłam w ciąży – ciągnęła Gilberte. Nagle otworzyła oczy. Zaciśnięta mocno szczęką. Na czole pojawiły się kropelki potu. – Wiem, oczywiście. Straciłam dziecko.

– Jeszcze będziesz miała następne.

– Quent oszalał ze szczęścia. Gwizdał na palcach jak chłopiec... Nigdy by go nie poznała... Chce mieć cię albo sze cię... nie chciał mnie samej zostawić... trzęsę się... nade mną... tak strasznie był podniecony myślałem, że jestem w ciąży... – Pot spływał na jej czarne włosy.

– Poproś pielęgniarkę – powiedziała zgnębiona Ann.

– Chyba dla siebie – wymamrotała Gilberte i ponownie zapadła w sen.

Kiedy Ann wychodziła z kliniki, pasma chmur zasnuły słońce, temperatura spadła o sześć stopni. Od Siódmej Alei do Trzydziestej Piątej było prawie pięć kilometrów, ale bez zastanowienia ruszyła przed siebie. Kiedy tylko miała czas, chodziła pieszo. Manhattan na co dzień fascynował ją różnorodnością swoich mieszkańców, niewyczerpaną energią,

egzotycznymi potrawami, atrakcyjnymi, tanimi towarami na witrynach sklepowych. Tego dnia jednak wlokła się z wzrokiem wbitym w płyty chodnikowe. Nie myślała ani przez chwilę o dziwnych uwagach Gilberte – uznała, że przyjaciółka bredzi pod wpływem narkotyków; doktor Kreiger poinformował ją zwiśle o „poronieniu”. Ann nie myślała o słowach Gilberte. Snuła niewesołe myśli na temat ojca nie narodzonego dziecka.

W Nowym Jorku widywała Ojenta rzadko i przelotnie. Od czasu wypadku Michaela w jego zachowaniu nie było już tej drańczej rezerwy, zachowywał się jednak tak, jakby romantyczne epizody we Francji i Anglii, spotkanie o wicie nad Pacyfikiem i rozmowa w szpitalu nie miały miejsca. No, może nie całkiem. Bardzo zaprzyjaźnił się z Michaelem i prosił Ann, żeby pozwoliła wziąć chłopca do zoo w Central Parku i do teatru na wznowienie *Pinokia*. Michael, który od czasu przeprowadzki bywał na przemian nieprzystępny, to znów nadmiernie ożywiony, z kadem razem wracał do Ranaleighu i miechni ty, z czekoladami w rękawku. Ann wielokrotnie zastanawiała się, czy fakt, że ci dwaj – nie wiedząc o tym – byli kuzynami z drugiej linii, wzmacniał ich wzajemną sympatię.

Kiedy dochodziła do dzielnicy firm odzieżowych, trzęsła się jak osika. Nogi miała jak z waty. Uskakuje przed dwoma chłopcami, którzy zamasy ci wystawiali na chodnik wieszaki z marynarskimi strojami, poczuła wielką ochotę, żeby wstąpić na kubek kawy i słodki bułeczkę do jednej z długich, wiskich kafejek pachnących zachętą co kiszonymi ogórkami i polędwicami wołowymi. Było już jednak po dziesiątej, a tego dnia miała przyjmować klientów zamiast Gilberte.

Wykładany biało-zielony boazeri gabinet Gilberte, pełen angielskich antyków i waz, do których codziennie przysyłano wieńce kwiaty, miał klimat uroczego saloniku. Przez kozetkę przerzucono stonowane kolorystycznie próbki krepy, a wstępne odręczne szkice Ann (nie podpisane) piętrzyły się w malowniczej stercie na najniższym ze stolików z laki – podobnie jak kwiaty, pełniły wyłącznie funkcję dekoracyjną i były codziennie zmieniane. Jednym z cian ozdobiły szkice w ramach. Ann zeszywniała na moment, widząc zamaszty podpis Gilberte de Permont niedbale postawiony na jednej z jej prac. Zrzuciła zimowy płaszcz, zostawiając na głowie zawadiacki kapelusik z piórkami – w tej branży kobiety prowadziły interesy nigdy nie zdejmowały nakrycia głowy.

Odbyła spotkanie z jakimś Samem, którego naszpikowane spółgłoskami tajlandzkie nazwisko nie nadawało się do wymówienia. Był drobnym, ruchliwym, puciołowatym Tajlandczykiem, któremu udało się przeżyć okupację Japończykami. Po wojnie ponownie uruchomił swoje tkalnicze w Chiang Mai. Jego luksusowe jedwabie były pięć razy tańsze od amerykańskich materiałów o znacznie niższej jakości. Trzymając w rękach siwiejący odcieniem turkusu próbek, Ann wyobraziła sobie nagle modelki na rampie w czasie pokazu kolekcji na rejsy wycieczkowe. Kolekcja pokładowa? Przez myśl jej dotąd nie przeszło, żeby uruchomić produkcję mody sezonami, tym bardziej nie namawiała do tego Gilberte, jednak pomysł nie chciał jej już opuścić. Posłuszna impulsowi, postanowiła działać. Z powodu odległości i komplikacji produkcyjnych nie mogło być mowy o jakichkolwiek zmianach zamówienia – tak przynajmniej twierdził Tajlandczyk. Ann nabrała powietrza i na odwrócenie jednego ze swych szkiców zaczęła obliczać, ile potrzebuje szmaragdów, turkusów i

ró ów, tak intensywnych, e od samego patrzenia robiło si gor co.

Nie miała czasu wyj na lunch, kazała wi c przynie sobie kaw i bułk z w dzonym łososiem – był to jej nowy przysmak.

Kwadrans po trzeciej pojawiła si redaktorka działu mody magazynu „Life” w towarzystwie Lanyego, który wła nie sko czył podejmowa j wystawnym lunchem w restauracji Colony. Ann poprosiła długonog sekretark Gilberte o zaprezentowanie sukni *à la Velazquez*. Redaktorka zachwyciła si szerokim paskiem i wielkim kołnierzem, obiecuj c, e po wi ci im cał szpalt w swoim pi mie.

Poza tym Ann rozstrzygn ła jeszcze spór mi dzy krojczymi, wynaj ła now prasowaczk , wypowiedziała nie dotrzymuj cemu terminów dostawcy akcesoriów, dzwoniła dwa razy do Ranaleigh, by sprawdzi , czy z dzie mi wszystko w porz dku, i raz do kliniki, gdzie powiedziano jej, e Gilberte czuje si coraz lepiej.

Koło szóstej spadł deszcz i nie było wolnych taksówek. Jednak Ann z prawdziwie nowojorsk werw rzuciła si na rodek jezdni, wymachuj c uniesion dłoni i ju po pi ciu minutach znalazła si w mieszkaniu na Sze dziesi tej Szóstej, gdzie czekał na ni Larry. Wspólnie z po redniczk wzi li si za studiowanie umowy.

– Sk d si tu wzi ł ten punkt o trzyletnim terminie najmu? – zaniepokoił si Larry.

– My li pan, e łatwo było wynegocjowa taki okres z wła cicielem, który chciał wynaj lokal na pi lat? – obruszyła si po redniczka, szykowna wdówka otulona kołnierzem z norek. – Trzy lata to absolutne minimum.

– A dla mnie absolutnym maksimum – Larry uraczył j najbardziej chłopi cym ze swoich u miechów – jest rok.

– Pan chyba liczy na cud. My li pan, e za rok b dzie pan doje d ał do pracy ze stylowego domku w Darien?

– Darien... – powtórzył Larry, przeci gaj c sylaby, jakby nazwa podmiejskiej miejscowo ci w Connecticut była czarodziejskim zakl ciem. – Owszem, w Darien.

Jego pensja nie była wystarczaj co wysoka na por czenie rocznego najmu, wi c Ann musiała równie zło y swój podpis.

Kiedy Gilberte z Larrym wychodzili z hotelu St. Regis (dopadła go w hotelowej restauracji King Cole’s Room, gdzie spo ywał lunch z rodakiem z Kalifornii, Cyrilem Magninem, kieruj cym słyn c z elegancji firm Joseph Magnin), pokazała niewielki sklepik po drugiej stronie ulicy.

– To człowiek Quenta – o wiadczyła.

Larry mieszkał w Nowym Jorku ju od dwóch miesi cy, a ci gle jeszcze nie mógł si nasyci urokami miasta. Spojrzał na jedyn dekoracj witryny, bel białego płótna i nazwisko MORTON wytłoczone na drzwiach literami z br zu.

Za nic nie mógł odgadn , jaki rodzaj towaru oferuje wła ciciel.

– Morton? – zapytał.

– Quent r czy za niego, twierdzi, e jest jedynym krawcem na tym kontynencie, którego koszule dorównuj jako ci Turnbullowi i Asserowi w Londynie. Chod my na drug stron ,

poznam ci z nim.

Morton, wysoki, przygarbiony mężczyzna z akcentem oksfordczyka, przywitał się serdecznie z Gilberte.

– Pan Porter chciałby obejrzeć pańskie materiały – wyjaśniła.

Serdecznie Mortona rozcignęła się i na Larry'ego. Delikatna jak jedwab bawełna egipska. Wymienite gatunki lnu. Biele we wszystkich gatunkach i odcieniach. Pralkowane białki, pralkowane szarości, drobna brozowa kratka.

Gilberte wzięła do ręki rękawicę białej bawełny z tłoczonym deseniem.

– W tym byłoby ci szalenie do twarzy.

Larry'emu tymczasem wpadł w oko materiał w wiotkie białe prki, podobny do materiału jednej z koszul Quenta.

Nie było problemów z wyborem, bo Morton wyjaśnił, że klient po raz pierwszy korzystający z usług firmy musi zamówić co najmniej pół tuzina koszul.

Czy mi się zdaje, Larry, czy wspominałeś kiedyś, że chciałbyś mieć buty robione na zamówienie? – zagadnęła Gilberte. W rzeczywistości ci nigdy nie było o niczym takim mowy. – Nie wiem, czy wiesz, że Goforth ma już swojego przedstawiciela w Nowym Jorku.

– Goforth?

– Robi buty dla Ouenta. Firma mieści się przy Jermyn Street. To ich pierwszy oddział za granicą. Biorę miarę ze stopy nowych klientów.

– Hmm. Jak mógłbym się z nimi skontaktować?

– Poproś Ouenta, żeby ci zaprotegował.

... Larry, kiedy następnym razem będziesz posyłał kwiaty Dian Vreeland – w ustach Gilberte to imię zabrzmiało jak „Dijana” – bardzo ci proszę, żeby skorzystał z usług Constance Spry. Drogę prób i błędów przekonałam się, że ich kompozycje nigdy się nie powtarzają.

... nie masz jeszcze biletów na premierę ostatniego Rodgersa i Hammersteina. Pozwól, że ci podam numer telefonu naszego dostawcy biletów.

... słyszałam o genialnym dostawcy obiadów domowych...

... najlepsza firma wynajmująca samochody w mieście...

Chociaż Gilberte bez skrępowania nacięła Lanyego na coraz większe ekstrawagancje, widok Ann zawsze wzbudzał w niej wyrzuty sumienia. Ann w towarzystwie nadal zachowywała swój ywiolowy entuzjazm, kiedy jednak sędziła, że jest sama, na jej twarzy pojawiał się wyraz przygnębienia. Gilberte musiała powstrzymać się, żeby nie spytać, czy mogłaby jej jakoś pomóc.

Mniej więcej sześć miesięcy po przyjeździe Larry'ego i Ann z Kalifornii Gilberte zaprosiła ich na przyjęcie.

Gdyby można było postawić się od przecznicy do przecznicy stutrzydziestosiedmiopokojową rezydencję Jasona Templara, która została rozebrana w dwudziestym trzecim roku, obok neoklasycznego domu z czerwonej cegły należącego do jego

wnuka, ten ostatni wydałby się niebywale skromny. Jednak trzy dekady, które upłynęły od tamtych czasów, obniżyły standardy wielkością, i położyły na Piętej Alei, naprzeciw Central Parku, dom Dejongów uchodził za jedną z najwykwintniejszych rezydencji w Nowym Jorku.

W roku pogodne obrazy znanych i mniej znanych impresjonistów przeplatały się z mrocznymi obrazami Goi i Gainsborough, odziedziczonymi przez Ouenta, drewniany Indianin królował przed wejściem do sali bilardowej, skąd goście mogli przejść na oszklony taras, a następnie do uroczego miejskiego ogródka. Wśród gości nie widziało się znanych twarzy, jak w Beverly Hills. Kobiety ubrane były bardzo skromnie. Mężczyźni mieli na sobie lekko znoszone ubrania: koszule i buty na miarę, brytyjskie garnitury. Gilberte zadbała o to, aby Porterowie byli jedynym parą, której nazwisko nie figurowało w nowojorskim almanachu znakomitości ani nie było z nim powiązane przez małżeństwa, wspólne kluby czy szkoły. W czasie przyjęcia w Beverly Hills Larry, jakkolwiek pod wrażeniem spotkanych sław, miał wrażenie, że gdyby szczerze uśmiechnął się do niego, w każdej chwili mógłby dołączyć do panteonu. Po tym jednak, jak przedstawiono go jednemu Rooseveltowi, jednemu Rockefellerowi i dwóm Dejongom, zupełnie stracił kontenans. Ich nazwiska, które w przyszłości miały, tak tylko przypadkiem, wypływać w rozmowach, wskazywały na przynależność do warstwy społecznej, do której należało się tylko z racji urodzenia. Z przyklejonym do twarzy słabym uśmiechem Larry przystąpił na obrzeżach grupki dyskutujących mężczyzn. Ponieważ w tym środowisku pokazywanie się z własnym imieniem nie było równoznaczne z towarzyskim samobójstwem, po paru minutach przytłoczony do Ann, Quenta i paru innych mężczyzn tego świata. Kiedy Quent mimochodem napomknął, że Ann jest przyjaciółką Gilberte jeszcze z Paryża, posypały się pytania, czy gospodyni już wtedy zdradzała zainteresowania modą.

– jak najbardziej – odpowiedziała Ann wesoło. – Była wojna i nie można było dostać żadnych ubrań, więc wymyśliłyśmy własne zabawy i nazwałymy je „projektowanie”. Projektowałyśmy kreacje dla siebie. Pomysły czerpałam głównie z filmów, doprowadzając tym do rozpaczy Gilberte, która swoją wiedzę na temat *couture* pobierała od matki. Moja mama zamawiała jedną sukienkę na rok u *modiste* za rogiem. *Madame* była przeraźliwym beztalenciem, w dodatku niedowidziała, ale była niezwykle tania.

Larry, oblewając się rumieńcem, ryknął miechem z całym towarzystwem.

Dlaczego nie zaprosiła Porterów z jakimś kulturalniejszym towarzystwem? – spytał Quent, kiedy rozbierali się po przyjęciu.

– Masz rację, nie bardzo pasowali do reszty. Cóż, zrobiłam, co mogłam. Niech sobie dalej szukają odpowiedniego towarzystwa na własny użytek. Przy obiedzie Larry zadręczał Mittie i Charity bezsensownymi pytaniami o szkoły w Darien, jakby mogły się znać na tego rodzaju miejscowościach!

Darien, położone w stanie Connecticut, na trasie Nowy Jork-New Haven-Hartford, od Nowego Jorku dzieliła mniej więcej godzina jazdy. Jak słusznie zauważyła Gilberte, mieszkanie w Darien bynajmniej nie było szczytem marzenia, choć goście, jednak dla biznesmenów, którzy zarządzali różnego rodzaju firmami, miasteczko stanowiło ziemię

obiecany. Na przełomie stulecia Darien było nadmorskim letniskiem i nadal zachowało ten styl architektury. Wielkie domy, niemal bez wyjątku obłożone drewnem, udawały starsze, nie były w rzeczywistości. Otoczone drzewami, stały przy cichych, krętych drogach, które spotykały się w klubie sportowym Wee Burn.

Ann, kiedy dotarły do niej opowieści o panującym w tym ekskluzywnym miasteczku dementelnej umowie, na mocy której nie sprzedawano posiadłości żydom, katolikom ani kolorowym, nie miała najmniejszej ochoty na dom przy Hollow Tree Ridge Road, tym bardziej że jego cena wielokrotnie przekraczała ich możliwości finansowe. W drodze Larry wygłodniałym wzrokiem omiatał stajnię, dom w stylu Cape Cod przysłonięty olbrzymimi białymi wiekami, dziwną latarnią, równie dziwne nazwy ulic. Przez myśl mu nawet nie przeszło, że Gilberte, która towarzyszyła im w powtórnym „rzucie okiem” – żeby ustalić lokalizację miejscowej parafii – na dom jego marzeń, czuła się tutaj jak w dzielnicy slumsów, chociaż w ten sposób nie dawała tego po sobie poznać. Kiedy Jordan bezszelestnie wiozł ich samochodem, zwracała uwagę Larry’ego i Ann na urządzenia gimnastyczne dla dzieci, domki na drzewach, drewniane samochody.

Otoczony gęstymi zarostami dom, pokryty łuszczącą się farbą i drewnianym zniszczonym od wiatru i deszczu dachówką, prezentował się niezwykle czcigodnie. W rzeczywistości miał zaledwie trzydzieści lat, a przez ostatnie dwa lata stał pusty.

Chodząc po pokojach, Gilberte podziwiała rżnięte ciosane belki sufitów i kominki wykładane kamieniami.

– Co zrobicie w pokojach na drugim piętrze? – spytała, kiedy zakończyli zwiedzanie domu. Koło kuchni znajdował się pokój dla służby, jednak na poddaszu mieściły się jeszcze dwie słuźówki.

– Myślałem o tym, żeby wyburzyć ścianę i zrobić z tego pokój do zabawy dla Ann – oznajmił Larry, siląc się na dowcip. W rzeczywistości krępował go i denerwowało, że teraz, bardziej niż kiedykolwiek, musieli polegać na zarobkach Ann.

– Co pani o tym sądzi, szefowo? Czy nie jest to transakcja stulecia?

– Zwykłe zdzierstwo.

– Nie stać nas na spłatę długu hipotecznego – wtrąciła Ann.

– Parafianka jest pewna, że właściciel zgodzi się przejąć dług.

– Larry, ona wcale nie była tego pewna. Poza tym, nawet bez tego miesięcznych opłat są zbyt wysokie jak na nasz kieszeń.

– Najwyżej troszkę docigniemy pasa.

Ann zmierzyła wzrokiem wypaczone, uszczelnione klinami deski podłóg, wielkie plamy wilgoci na dwóch ścianach.

– Tu jest potwornie dużo roboty. Dach, kanalizacja...

– Dlatego jest tak tanio.

– Nowe dachówki będą kosztować naszą fortunę – powiedziała Ann dręcym głosem. Zbierało jej się na płacz.

Nienawidziła tej roli! Czuła się skłopotem, który wszystkim psuje zabawę. W czasie wojny hojnie, z jak Larry na lewo i prawo rozdawał napiwki, i skwapliwie, z jakim się gał po

swoje księgi czeków, wydawały jej się czymś równie nieszkodliwym, jak jego przekrzywiona na bakier czapka porucznika; był dla niej uosobieniem bez troski. Teraz jednak, zmuszona do przyjęcia roli rodzinnego skrypcy, zaczęła nienawidzić jego rozrzutności. Ich wielkie wydatki osiągnęły astronomiczne rozmiary, do tego miał teraz dołożyć gigantyczny czynsz i pensja służy – wszystko jednak byłoby do zniesienia, gdyby nie nieustanne nadwierżanie konta. Prezenty dla Ann, prezenty dla przyjaciół, prezenty dla rodziców na dowód sukcesu syna. Jego osobiste wydatki, na które składały się między innymi garnitury zakupione u Chipa oraz inne zamówienia w firmach tak ekskluzywnych, które Ann nigdy o nich nawet nie słyszała – w sklepie niejakiego Mortona zamówił dwa tysiące koszul, z których każda kosztowała tyle co dwa tysiące koszul marki Arrow. Nosił teraz robione na miarę buty i szyte na miarę kurtki do konnej jazdy. Wypisywał czeków na kolosalne sumy dla podrednika, który załatwiał mu bilety, i agencji samochodowej, z której usług korzystał, ilekroć wybierał się na jedno z licznych premier na Broadwayu. U specjalnego dostawcy zamawiał potrawy na zawrotnie drogie „kolacje z zimnych przekąsk”. (Ann w ten sposób nie mogła dociec, jakim cudem udało mu się wywołać adres dostawców obsługujących towarzyszek elit.) Ich wspólne dochody ponad dwukrotnie przekraczały kalifornijskie zarobki, jednak przy Montecito Lane byli w miarę wyścigowcami, podczas gdy na Sześciu tej Siódmej tonili w niezapłaconych rachunkach. Ann stale robiła coś kosztem czegoś innego – w jednym miesiącu zalegała z czynszem, w innym rezygnowała z wizyty u pediatry. Każde telefon od wierzycieli czy listowne upomnienie wywoływało u niej zawroty głowy. Teraz rozrzutne oko Larry’ego padło na dom w Darien. Ann zdawało się, że skóra wierzbi się od nieustannych długów. Gilberte podeszła do okna.

– Cudowny ogród – zauważyła patrząc na wysokie trawy, zaniedbane drzewa i żywopłot pozarastany jeżynami.

– Prawda? – zgodził się Larry, posyłając triumfalne spojrzenie Ann.

– Nie chciałabym się wtrącać w wasze sprawy – zaczęła Gilberte – ale pozwól sobie zauważyć, że Larry ma rację. To jest doskonałe miejsce dla dzieci. Jeśli macie problemy z gotówkami, weźmijcie na siebie spłatę hipoteki.

– Nie możemy się na to zgodzić ... – zaprotestowała Ann.

– Spadasz nam z nieba, Gilberte – wykrzyknął Larry w uniesieniu.

– Nie ma powodów do wdziaczności. Nie zaproponowałabym wam tego, gdyby mój radca prawny nie wyjaśnił mi, że spłaty hipoteczne są pierwszorzędne lokat kapitału. Quent wspominał te o nowej formie spłaty.

– Nowej formie spłaty? – Larry odgarnął rzędnące włosy z czoła. (W poprzednim miesiącu wypisał czek dla salonu fryzjerskiego przy Czterdziestej Dziewiętej, gdzie leczono wczesne stadium łysienia.)

– To bardzo proste – oznajmiła Gilberte i wdała się w wykład na temat nowej koncepcji finansowej, którą Quentowi wyjaśniał przy niej prezes banku Dejongów: – Przez, dajmy na to, pięć lat nie płacicie ani grosza, a po upływie tego okresu oddajecie mi pieniądze, naturalnie z procentami. A do tego czasu firma Gilberte de Permont będzie mocno stała na nogach, z czego wy również będziecie czerpać korzyści.

– Gilberte... – zaczął Ann.

– Naradcie się mi dzisiaj, ja pójdę teraz zwiedzić ogród – uśmiechnęła się Gilberte. – Przypomina mi nasz wiejski rezydencja w Ile de France.

Chciała wypuścić Gilberte, Larry zaczął się szamotać z wypaczonymi bocznymi drzwiami.

Mocno eleganckie pantofelki, Gilberte brnęła przez wysokie chwasty. Nic tutaj nie przypominało jej wypielęgnowanego szarego *chateau* w Ile de France. Jednak w oczach małego chłopca wielki, zdziczały, otoczony niskim kamiennym murem ogród, z nieprzebytym gęszczem jeżyn i wielkimi drzewami, których gałęzie były wystarczająco silne, aby utrzymać domek, z łatwością mógł urosnąć do rozmiarów zaczarowanego królestwa.

Gilberte nie była w stanie umknąć swojej nemezis – przysięgła przed laty. Nadal jednak nie mogła się zdobyć na obojętność wobec Michela, cierpiała więc, niezdolna poniechać działań, które krzywdziły jej własne dziecko.

Przynajmniej będzie tutaj szczęśliwy – pomyślała. Kiedy okrążyła rozrośnięty rododendron, wiewiórka z wysoko zadartym ogonem uciekła jej spod nóg.

Przez zakurzony szyb Larry odprowadził wzrokiem swoją chlebodawczynię.

– Gdyby Gilberte przejechała się, to rozwiązałoby cały problem.

– Jasne! – zakpiła Ann. – Nie miałoby żadnych kłopotów, poza pierwszymi wpłatami na hipotekę, podatkami, nowym dachem i Bóg wie iloma remontami.

– Słyszałaś, co mówiła Gilberte! – Twarz zaczerwieniła mu się gniewnie. – To wymarzony dom dla dzieci.

– Larry, jak na razie ledwie widzimy koniec z kołosem.

Spodziewała się, że Larry będzie próbował zbyć podniesionym głosem, on jednak opadł nagle na obłęd z farby parapet.

– Malutka, nawet nie wiesz, ile dla mnie znaczy to miejsce. Zawsze musiałem zwracać się do grosza pieniędzy zarobione na roznoszeniu gazet. Nigdy nie miałem na kino. Kumpel otwierali dla mnie wyjście ewakuacyjne. Na ekranie pokazywano domy takie jak ten. Wielkie, dostojnie umeblowane, a jednocześnie przytulne. A ojcowie... Chryste Panie, ci tatusiowie z ekranu... Prawo i siwy włos. Dla swoich rodzin dalać im wszystko. Znasz mojego starego. Ilekroć uzbierał do niego, aby dać mu szyję, odpinał pasek i zabierał się za mamę i za nas. Leżał na brzuchu z pokrwawionym tyłkiem, przysięgał sobie, że moje dzieci będą miały lepsze dzieciństwo.

– Słuchaj, przecież inne miejscowość podmiejskie – powiedziała Ann łagodnie, przysiadając obok. – Możemy kupić nowszy, mniejszy domek.

– Czy ty nic nie rozumiesz? Chciałbym, aby chowali się w przyzwoitym miejscu, aby im niczego nie brakowało. Nie chcę, aby musieli służyć na tylnych łapach dla zdobycia ludzkiej sympatii.

– Larry, przecież ty jesteś najpopularniejszym człowiekiem, jakiego znam.

Z nieartykułowanym dźwiękiem opadł na kolana. Objął Ann w pasie, w błagalnym geście przywarł policzkiem do jej brzucha.

Kiedy po chwili weszła Gilberte, z trudem otwierając kłopotliwe boczne drzwiczki, Ann

poinformowała ją, że będzie jej i do zgłębienia zobowiązań za pomoc.

Gilberte nie miała odwagi spojrzeć w wypięzione i kłujące wielkie piwne oczy przyjaciółki.

Był zimowy poranek pięćdziesiątego pierwszego roku. Ann siedziała w małym pokoiku określonym przez poprzedniczkę jako „kantorek”. Pokój przylegał do hallu na parterze. Za całe umeblowanie służył obrotowy stół biurowy i biurko z poobijanej blachy, które Ann kupiła w sklepie Armii Zbawienia. (Kiedy mieli przyjechać, Larry zamykał kantorek na klucz.) Ann z nadludzką cierpliwością sortowała papier na biurku stert rachunków. Najpilniejsze odkładała na prawo, te, które mogły ją trochę poczekać, na lewo. Przez dłuższą chwilę studiowała w skupieniu wykaz należności wystawiony przez Henry’ego Bennetta, dentystę z Darien. Do wykazu dołączony dopisek, w którym Bennett groził im komornikiem, więc rachunek wyłożył na prawym stole. Ratując nowego Lincolna, też odłożyła na prawo. Opłać kwartalną w klubie – Larry przystał do Wee Burn, najbardziej ekskluzywnego klubu sportowego w miasteczku, pod pretekstem, że gra w golfa pomoże mu w karierze – umieściła na lewej stercie. Larry na pewno będzie w ciekły, ale musiała zapłaci zaległe świadczenia z poprzedniego miesiąca. Przez chwilę wahała się pomiędzy sklepem z antykami Robinsona w Darien a dekoratorem, Willisem Zode’em, którego Gilberte nasłuchiwała do domu, w końcu jednak oba rachunki odłożyła na lewo, ponieważ nie mogła dalej odłożyć dwóch kolejnych wpłat na hipotekę – bank już w zeszłym miesiącu obciążył ich dziesięcioprocentową karą za zwłokę.

Zdecydowała się zapłacić wydrukowany wyraźny rachunek ze sklepu spożywczego Galwaya w Darien. Mimo że surowo przestrzegała zakupów w supermarkecie w Stamford, po dwudziestym była zawsze bez grosza, i musiała korzystać z usług Galwaya, który sprzedawał na kredyt, licząc sobie za to odpowiednio słono. Na odwrotnej stronie koperty napisała: „Coriana, pan Popescu, bilety miesięczne na pociąg do Nowego Jorku”. Surowo przestrzegała płacenia Corianie, promiennej, brzuchatej Murzynce z Jamajki zajmującej się kuchnią i dziećmi (w niedzielę Ann zakładała wielkie niebieskie rękawice z lateksu i sama brała się za sprzątanie) oraz panu Popescu, siedemdziesięcioletniemu przygarbionemu ogrodnikowi. Przymknęła oczy z westchnieniem. Cyfry poprzedzone symbolem dolara skakały jej przed oczami.

Na siłę próbowała sobie przypomnieć wszystkie dobre strony przeprowadzki do Darien. Janey przestała siusiać do łóżka, a Michael, ten dumny odludek, głębiej zaprzyjaźnił się z Timmy Popescu, najmłodszym synem ogrodnika z jego trzeciego małżeństwa.

Niekończący się szereg cyfr. Przerażenie opuszczało Ann tylko w chwilach, które spędzała w wilgotnym chłodzie bądź nieznośnym upale swojej pracowni na poddaszu. Tam też zapominała o swoich cierpieniach z powodu Ojenta. Rzadko go widywała, wciąż za nim tęskniła. Była nieuleczalnie romantyczna.

Rachunki z lewej sterty wrzuciła do szuflady, te z prawej złożyła w równy stosik. Otworzyła duży szary księczek czeków. Postanowiła być miłsza dla Larry’ego. Był

fantastycznym ojcem i, pominwszy nałogów rozrzutno, idealnym mężem – w końcu to nie on wzdychał do innej kobiety.

Nieco ponad rok później, w słoneczne kwietniowe popołudnie pięćdziesiątego drugiego roku, Gilberte wezwała Larry'ego do swojego gabinetu.

– Poznaj Marjan.

– Twarz jakby skąd znam. – Larry uśmiechnął się do rudawej blondynki o ostrych rysach, która swoją twarz trzykrotnie zaszczyciła okładką „Vogue'a”.

– A ciało? – zagadnęła Marjan, wysuwając biodro. Pozując zachowywała zawsze skromność stosowną dla ultrakobiecej orientacji w aktualnej modzie, ale jej uśmiech zdradzał, że nie do końca opiera się pokusom ciała.

– Marjan będzie reklamować nasze stroje – powiedziała L Gilberte.

– Wszystkie? – zapytał Larry.

– To zależy od ciebie – stwierdziła. – Czy mylisz, że prasa się zainteresuje się nami, jeśli Marjan zostanie Dziewczyną Gilberte de Permont?

– Dziewczyną G de P – poprawił ją, kiwając potakująco.

– Będzie symbolem firmy – oznajmiła Marjan, trzepocząc ciemię od tyłu rami.

– W pewnym sensie działałoby to w obie strony. Za każdym razem, kiedy umięciłbym w prasie twoje zdjęcie, padałaby nazwa naszej firmy. Słowo daj, szefowo, znakomity pomysł.

– Czemu nie mielibyście zastanawiać się we dwójkę nad strategią reklamową? – zaproponowała Gilberte.

Kiedy wyszli z gabinetu, długo jeszcze patrzyła za nimi zamyślonym wzrokiem.

To wietny pomysł, żeby używać nazwy firmy zamiast nazwiska – stwierdził Larry, mrugając w blasku popołudniowego słońca.

– Gdzie planujesz omówić sprawę słuchawki? – spytała Marjan z uśmiechem.

– W Colony? W „21”? U Lindyego? Gdzie tylko sobie życzysz. Marjan nie przestawała się uśmiechać.

Larry, który dotychczas nie miał nikogo na boku, poczuł, że uszy mu płonęły.

– Znam pewne miejsce parę przecznic stąd – oświadczyła. – Naprzeciwko Madison Square Garden.

– Tak? – Larry mimo woli cofnął się o krok. Okolica słynęła z podłych barów i hotelików z pokojami na godziny.

Marjan uśmiechała się kąpiąc.

– Co w tym miejscu jest takiego szczególnego? – spytał. Za nią się gardłowo.

Tak jak się spodziewał, Montague okazał się obskurnym hotelikiem. Nieprawdopodobnie tęgi recepcjonista, wietnie obznajomiony z dietami przysługującymi pracownikom odziegowego zagłębia Manhattanu na koszty reprezentacyjne, spytał, czy Larry chce wziąć pokój na rachunek.

– Wielu facetów tak robi. – Marjan zdjęła z usminkowanych warg drobną tytoniu. –

Oczywi cie zrobisz, jak b dziesz uwa ał.

Lany nie bardzo wiedział, jak si zachowa . Po chwili wahania przyst pił do formalno ci zwi zanych z wypisywaniem rachunku opiewaj cego na firm Gilberte de Permont, Incorporated. Po ciel w Montague była nie pierwszej wie o ci, w pokoju unosiła si wo kurzu i kwa nego potu, a Lany, którego z erały nerwy, miał kłopoty ze wzwodem. Jednak erotyczna pomysłowo Marjan okazała si niewyczerpana.

Pod koniec targów mody w pi dziesi tym trzecim roku Gilberte, oparłszy dło o mikrofon, obserwowwała, jak trzy modelki, którym przewodziła Marjan, obecnie znana wiatu jako Dziewczyna Gilberte de Permont, wiruj na zmontowanym na okres targów wybiegu w takt d wi ków *W gierskiej Rapsodii Liszta*. Kwieciste chłopskie spódniczki wydymały si , odsłaniaj c falbaniaste halki. W wietle reflektorów migotała złota ni , któr do obcisłych staniczków przyszywano korale. Trzystu widzów, stłoczonych w rz dach wynaj tych krzeseł, entuzjastycznie biło brawa – rzecz bez precedensu w tym gor czkowym tygodniu.

Gilberte poczuła gniew. Sprzeciwiała si kolekcji chłopskich sukienek, u ywaj c wobec Ann argumentu, e jej firma nie jest wprawdzie wielk *maison de couture*, ale to jeszcze nie oznacza, e zaopatruj si w niej chłopki. Pi kne usta Ann zasznurowały si w grymasie zawzi to ci; wida było, e gotowa jest do upadłego broni tworów swojej wyobra ni. Patrz c z góry na kapelusze pa , na l ni ce łysiny panów, na uniesione do okłasków dłonie, Gilberte musiała przyzna , e Ann w kwestii mody miała zupełnie niezemsk intuicj . Ceniony francuski urnal *Jardin des Modes*” po wi cił spory artykuł sukience *à la Velazquez*. Kolekcja pokładowa z tajlandzkich jedwabiów zdobyła rzesze nabywców, zesłoroczne dzianiny letnie rozeszły si jak gor ce bułeczki. Rozs dek, którym si tak szczyciła, podpowiadał Gilberte, e uczucie upokorzenia wobec tej długiej, arliwej owacji jest czystym nonsensem. Jednak rozs dek nie był w stanie zagłuszy głosu opuszczonego, zranionego dziecka.

Uniosła dło , uciszaj c widowni .

– T urocz kolekcj bawełnianych sukienek zaprojektowałam, kiedy musiałam podnie si na duchu.

Widowni przeszedł współczuj cy szept. Wtajemniczeni wiedzieli o tym, e przed paroma miesi cami pani Dejong ponownie bawiła w klinice doktora Kreigera.

Biedny Quent – pomy lała Gilberte, ujmuj c mikrofon. – Ci gle jeszcze nie mo e sobie darowa tej wyprawy w Himalaje.

– Wyobra ałam sobie, e w takiej sukience miałabym ochot je kolacj na tarasie w gor c noc, teraz jednak czuj , e ch tnie nosiłabym j chodz c bosy, podczas koktajlu na moim jachcie.

Na te słowa Marjan rzuciła z nóg sandałki i nie przerywaj c ta ca, zadarła spódniczk i zatkn ła j z boku za szarf . Ten spontaniczny gest w rzeczywisto ci był pomysłem Ann, która szukała okazji, eby zademonstrowa sute halki modelek. U miech Gilberte maskował wzbieraj cy w niej absurdalny gniew. Chocia sama rzuciła Larry’ego w obj cia Marjan, miotła si teraz w sprzeczno ciach, które cechowały cały jej zwi zek z Ann. Ta ko cista

blondyna ma czelno sypia z m em jej przyjaciółki!

W burzy braw trzy modelki biegly po pode cie w gór , roze miane jak przekorne nastolatki.

Ta kolekcja jest absolutnym przebojem – przekonywała si Gilberte. – Odniosłam sukces, odniosłam sukces – powtarzała, dziwnie skwaszona.

Tego wieczoru Gilberte wcz nie poło yła si do łó ka. Ogromny wysiłek, jaki wło yła w kolekcji i towarzyszenie jej m ki niepewno ci, napi cie podczas pokazu (poufny ton, jakim osobi cie prezentowała własn kolekcji , stanowił wyłom w tradycji bezosobowych konferansjerów i był kolejnym pomysłem Ann) wyczerpały j do cna, jednak nie zamierzała z tego powodu rezygnowa z wieczornych obowi zków. Nigdy nie zaniedbywała ani wygl du, ani pracy. Układała wła nie harmonogram na nast pny dzie , gdy wrócił Ojuent ze słu bowej kolacji. Stan ł w progu sypialni Gilberte.

Kiedy wrócił ze wspinaczki w Himalajach i zastał j dochodz c do siebie po drugim „poronieniu”, zaproponował, e przeniesie si do wielkiej, słonecznej pracowni. Wtedy wydawało si to kolejnym dowodem troski, teraz jednak Gilberte czuła, e był to jeszcze jeden pretekst, eby si od niej odsun . Brakowało jej wielkiego, ciepłego ciała, brakowało rozmów ci gn cych si do pó nej nocy. Zadr czała si my l , e Ojuent ma romans z jak kobiet – był zbyt wielkim d entelmenem, eby dopu ci si najl ejszej niedyskrecji, wi c mogła si tylko gubi w domysłach.

– Jak poszło? – spytał.

– Znakomicie. Posypały si zamówienia. Twój prezent, jak zawsze, okazał si zabójczy. – Zawsze z okazji targów rozpoczynaj cych sezon posyłał jej co z bi uterii – tym razem była to broszka w kształcie ró y z rubinów i diamentów.

Zapraszaj cym gestem poklepała po ciel przy sobie.

– Nie wiem czemu, ale wydawało mi si , e bardzo pasuje do ciebie – powiedział, nie ruszaj c si z miejsca. U miechał si serdecznie, jednak nadal nie przest pił progu.

Poczuła, jak ciepło kaszmirowych kołder, niezmierzone bogactwa, mał e stwo, którego zazdro cił jej cały wiat, starannie zaprogramowane ycie towarzyskie, sława i sukces zawodowy, wszystko przestaje istnie . Była znów samotna i ogołocona z wszystkiego, jak przed laty, pod miedzianym daszkiem osłaniaj cym wej cie do pałacyku przy boulevard Suchet.

– Mo e dlatego, e *papa* zamówił kiedy dla *maman* szpilek z główk w kształcie ró y. – Westchn ła. – Ciekawa jestem, czy jaka *Hausfrau* z Bonn trzymaj teraz z swojej szkatulce.

Quent przysiadł na brzegu łó ka.

– Kochanie – wymruczała gład c go po czarnych włosach, tak podobnych do jej włosów. Oplotła go ramionami i poci gn ła na zmienian codziennie po ciel. Z gi tko ci akrobatki wiła si pod nim w pozorowanej rozkoszy.

– Czy Porterowie byli na pokazie? – spytał pó niej, zapalaj c rytualnego papierosa po stosunku.

– Zawsze przecie s . Larry zwija si jak w ukropie, reklamuj c firm . Ann siedziała w

cabine, doglądała modelek. Czemu pytasz?

– Chciałem po prostu wiedzieć. Na przyjęciu u nich – jednym z niewielu, bo Gilberte i Quent unikali wizyt w Darien – odniosłem wrażenie, że lekko się na siebie bocz.

– Czy stała dola gospodarza i gospodyni. Jestem pewna, że biednej Ann z pewno ci spodobałoby się twoje określenie.

– Czy to ona szkicuje projekty dla ciebie?

– Oczywiście, że nie. Skąd ci to przyszło do głowy? – Ponownie przeszył ją dreszcz.

– I nigdy tego nie robiła? – Przez opary dymu spojrzał na nią spod oka.

– Nigdy. Pewnie przyszło ci to do głowy dlatego, że czasem, kiedy jestem zajęta, Ann koloruje farbami moje szkice.

– W przyszłym tygodniu muszę lecieć do San Francisco.

– Wypuścił kłęb dymu i ponownie się zaciął.

– Interesy banku?

– Tak.

– Tym razem na jak długo? – spytała.

– Trudno określić. Skoro już będę na Zachodnim Wybrzeżu, skorzystam z okazji i skoczę do Los Angeles, żeby przekazać pieniądze uniwersytetowi. – Fundacja Templara szczerze wspomagała uniwersytety na terenie całego kraju.

– Będzie mi ciebie brakowało.

Dotknął jej policzka. Ten gest zawierał więcej ciepła, niż wszystko, co ze sobą robili tego wieczoru.

Muszę przyznać, że miała rację co do tych cholernych chłopskich kiecek, natomiast ja się pomyliłam – oznajmiła Gilberte. – Ukręciła sobie sznur na własny użytek. Do następnej kolekcji będzie musiała wymyślić coś równie zaskakującego, a jednocześnie całkowicie odmiennego.

– Myślałam włącznie...

– To dopiero nowość! – Gilberte czsto na miewała się z faktu, że Ann nie potrafiła nic wymyślić, dopiero rysując albo drapując materiał na manekinie odkrywała własne pomysły. – Co takiego myślała?

– Dżinsy.

– Co takiego?

– Dżinsy.

– Taki jak na spodnie robocze?

– Dokładnie. Ale najpierw trzeba go spróbować, żeby się zrobił mi taki, jak spodnie Michaela.

– Mówisz poważnie, prawda?

– Mam tylko zarys pomysłu, będę musiała poeksperymentować.

– Dżinsy... – Gilberte uniosła w powietrze palec. – Czekać, czekać... wydaje mi się, że chyba widziałam dżinsowe spodniczki w Santa Fé.

– Była w Nowym Meksyku? – spytała Ann ze zdziwieniem.

– Kiedy pierwszy raz przyjechałam do Stanów. Quent zawsze roztaczał przede mną

poetyckie wizje Południowego Zachodu, więc w mojej naiwności pozwoliłam mu się tam zawlec na kilka dni, w ciągu których zdecydowały się spać na brzozi i zaliczyć wysoce romantyczny epizod w moim życiu.

– Zamieniam się w słuch... – Ann puściła znacz co oko. Gilberte zauważyła, że u miech przyjaciółki jest wymuszony. Jak słusznie zauważył Quent, Ann wyglądała na przygnębioną. Gdzie ulotniła się z niej cała radość życia. Sprawiała wrażenie smutnej, zatroskanej; na twarzy, wyrażającej ni zwykle, odznaczały się piegi.

Nagle Gilberte dała się ponieść niczym nie uzasadnionej szlachetności. Z jakiego powodu zapomniała o swoim lubowaniu? Co kazało jej po latach obmyślenia sposobów na pogrzebie i zniszczenie Ann zaprzagnąć, aby promienny u miech z powrotem zagościł na twarzy przyjaciółki?

– Mamy mały domek niedaleko Santa Fé. Może tam chciałaby spędzić swoje dzieło? – zaproponowała nieoczekiwanie.

– To strasznie miło z twojej strony, ale nie mogę zostawić Michaela i Janey.

– Przecież Larry będzie na miejscu. Poza tym zwykle zajmuje się nimi wasza służba z Jamajki.

Zadzwoił telefon.

– Potraktuj to jako polecenie służbowe – owiadczyła Gilberte, przekrzykując dzwonek telefonu.

Dlaczego tak się upierała przy wyjeździe Ann? Później, z perspektywy czasu, nie umiała się doszukać w zaproszeniu żadnych ukrytych intencji, poza niezręcznymi i niestosownymi próbami przyćmienia z pomocą wrogowi, który zarazem był jedynym przyjacielem.

– Otrzymujesz polecenie służbowe spędzenia tygodnia w Santa Fé. – Podniosła słuchawkę, ucinając dalszą dyskusję.

Ann i Quent Santa Fé, 1953

Dom stał na odludziu, par kilometrów od Santa Fé. Spod płaskiego dachu w meksykańskim stylu wystawały zniszczone przez niepogodę belki. Gliniane mury wymagały corocznego łatania, przez co nabrały wyglądu starego pokrytego plamami złota. Zarówno przy krzywych, prymitywnych okienkach w ścianie frontowej, jak i dwa okna w kolonialnym stylu miały framugi w żywym niebieskim kolorze, w tych okolicach zwanym błękitem z Taos. Stajnie i domki dla słów, widoczne zza wielkich, starych krzewów bawełnianych ocieniających niewielki zapuszczony ogródek na tyłach domu, wyglądały jak wartownie broniące dostępu do surowego piasku pustyni.

Dom był niewielki, jednak wewnątrz wydawało się przestronne dzięki prostocie wystroju oraz artystycznym wkomponowanym *bancos*, glinianym ławom, które w wielu miejscach spełniały funkcję mebli. Sufit podtrzymywały ozdobne vigas – ciemne sosnowe belki. W sklepieniu w ścianie w salonie znajdowała się kolekcja starożytnych kaczynek – lalek Indian Hopi.

Ann wyszła z mniejszej z dwóch sypialni, otulając się szlafrokiem przed chłodem. Płonące w narożnym kominku kłody *mesquite* w szybkim tempie rozgrzewały salon. Oczy Ann straciły wyraz zatroskania, policzki i nos nabrały brzoskwiniowej barwy. Przystanęła przy dużym oknie i wyjrzała na zewnątrz. Już trzy dni minęły od przyjazdu, a ciemność jeszcze nie mogła się nasycić krajobrazem – ostre krawędzie płaskowyżu ciemnego na zachód a po Rio Grande, mozaika chmur, których purpurowe cienie mknęły przez bezkres pustynnego płaskowyżu.

W krystalicznym powietrzu masywu Sangre de Cristo wydawał się bliski jak na wyciągniętej rękę. Teraz, w świetle wczesnego poranka, góry były brunatne, jednak wieczorem, kiedy stykały się z tarczą zachodzącego słońca, rozświetlały się krwistym blaskiem, któremu zawdzięczały swój nazwisko. Ann doszedł zapach kawy. Weszła do kuchni. Rosie szykowała jej śniadanie. (Rosie i jej mąż, Juan, Indianie z okolic Penasco, mieszkali w sypialni przy drewnianej słupówce.) Kawa była tak mocna, że Ann musiała dolać trochę skondensowanego mleka. Rosie serwowała Ann kolejne talerze puszystych przyrumienionych kluseczek. Ann polewała kluski obficie miodem szałwiowym, obiecując sobie, że zrezygnuje z lunchu.

Juan wręczył jej klucze do małego ciemnego Forda. W dżinsach i starym swetrze ruszyła wyboistymi koleinami w kierunku Canyon Road, przy której mieszkali artyści, po czym zagłębiła się w labirynt uliczek biegnących między meksykańskimi parterowymi domami Santa Fé. Dojechała na Plac. Uwielbiała ten plac, porośnięty pośród traw i zakurzonych drzewami. Zaparkowała przy północnej stronie, naprzeciwko Pałacu Gubernatorów. Pałac Gubernatorów stał w Santa Fé od tysiąca sześćdziesiąt pięć lat. Był to niezwykle długi, surowy budynek z płaskim dachem. W chłodnym mroku portali siedziały

Indianki w aksamitnych bluzach. Ann przykucała, by obejrzeć ich starannie ułożony towar: ceramikę i czarne wyroby, rzeźbione srebrne paski, bransoletki i naszyjniki wysadzone turkusami, kilimy w geometryczne wzory, lalki kaczyńki. Ceny były nieprawdopodobnie niskie, Ann jednak upomniwała się surowo, że nie stała jej praktycznie na nic. Z drugiej strony – nie mogła przecież wracać do domu z pustymi rękami. Wybrała tradycyjny wisiołek z kwiatem dyni dla Coriany – srebro nie ważyło zbyt wiele, za to turkus miał cudownie stonowane zielone barwy. Długo się wahała, czy nie kupić mienicej się połyskliwej czerwieni glinianej miski ze wsi San Ildefonso. Zauroczonej elegancją stylizowanych jeleni zdobiących brzegi naczyń, uznała w końcu, że Gilberte, której zamierzała podarować miskę, uznałaby ją za prymitywną skorupę. Dla Janey wybrała dwie lalki o głowach zwierząt, dla Michaela glinianą figurkę bajarki o otwartych ustach, po której wspinały się dzieci. Miała nadzieję rozbawić tym syna. Za parę groszy kupiła koraliki o żywych barwach z ziaren kukurydzy.

Dochodziła już pierwsza i mimo obietnic, że nie będzie jadła lunchu, poczuła, że ogarniają ją ciekły głód.

Odniosła zakupy – z wyjątkiem koralików, które założyła na szyję – do samochodu i przecięła Plaza, udając się do autobusu, który udawał bar, a którego szyld zapowiadał, że można będzie dostać CHIUR I JADŁO. Siadła przy kontuarze, przebiegając palcami po paciorkach kukurydzy. Kolejny ranek diabli wzięli – pomyślała bez cienia skruchy. Od przyjazdu nie zabrała się ani razu do projektowania.

– Słucham? – spytała dziewczyna zza kontuaru. Długo z ołówkiem zawisała w powietrzu.

– Zielone chili i *tamale* – poprosiła Ann.

– Chili jest tutaj strasznie ostre, zamów od razu piwo. – Usłyszała za plecami męski głos.

Odwróciła się.

Na sąsiednim stołku siedział Quent. W spranych dżinsach, spranej kraciatej koszuli, w skórzanej kamizelce, z włosami czarnymi jak Indianin z łatwością mógł uchodzić za tubylca.

– Co tu robisz? – spytała łamiącym się wysokim głosem.

– Jem lunch – odpowiedział i położył na ladzie zawinięte opakowane w gazetę. Krzesła miały oparcia z aluminiowych rurek. Quent rozsiadł się, posyłając Ann szeroki uśmiech.

– Dobrze wiesz, o co mi chodzi – nie dawała za wygraną z nieustępliwością godną Michaela. – Co robisz w Santa Fé?

– Tak się składa, że niedaleko stąd mam dom.

– Wiem, właśnie nie tam mieszkam. Przyjechałam, żeby popracować nad kolekcją.

– Podoba ci się tutaj?

– Jest cudownie. Oczywiście, skoro przyjechałaś, natychmiast się wyprowadz – oświadczyła skromnie, patrząc w stronę La Fonda, hotelu z sieci Harveya, położonego po drugiej stronie Plaza.

Kelnerka cmoknęła niecierpliwie.

– To samo co dla tej pani – zaordynował Quent. – *Y dos cervezas, por favor.*

W ciągu tych paru sekund, kiedy składał zamówienie, Ann doznała olśnienia. Powinna się była domyślić od razu. Przyszedł tu za nią.

– Od jak dawna chodzisz za mną? – spytała, kiedy kelnerka zaczęła wywrzaskiwać zamówienia, przypinając karteczkę do kołnierza i idąc przez okienko do kuchni.

– Mniej więcej od godziny. Nie wiedziałem, że tak starannie wybierasz zakupy.

– Ledziła mnie!

– To chyba nic dziwnego, zważywszy na moją przeszłość w OSS.

– Nie wiem, z czego jesteś tak cholernie zadowolony.

– Złoć się, jeśli ci szkodzi, moja rudowłosa. Sięgnęła do kieszeni po pieniądze.

– Co masz zamiar zrobić?

– Zapłacić. Jadę się spakować.

Wyprostował się. Uśmiech przysiadł na jego twarzy. Jak dotknął ciemnoczarną czarodziejską różdżkę zamienił się w nieprzystępnego arystokratę.

– Skąd wiedziałe, że jestem w Santa Fé? – spytała cicho.

– Od Rosie. Byłem w Los Angeles i zadzwoniłem, żeby zapowiedzieć przyjazd.

– Powinna była mi powiedzieć. Mogłam od razu przewieźć do miasta swoje rzeczy.

Obrócił się na stołku, żeby spojrzeć jej w oczy. Wokół panował głośnie gwar, kelnerka wywrzaskiwała kolejne zamówienia. Ann zapatrzyła się w głębie boków, błękitne oczy.

– Chcesz wyjechać? – spytał.

Miała tysiąc powodów, żeby powiedzieć tak – mała sprawa z Lanym, przyjaźń z Gilberte, wszystkie cnoty, które zaszczerpiła w niej matka. Spuściła wzrok na swój butelek piwa, starła wilgoć ze szkła i potrzebowała głowę.

– Zostaniesz? – spytał. Nieoczekiwanie uśmiechnęła się.

– Chyba mi padło na umysł – rzuciła wysysając policzki i obnażając urocze białe zębki w grymasie niedorozwiniętego dziecka.

Roze miał się.

– To dla ciebie – powiedział popychając zawiniłkę w jej stronę. W środku znalazła czarną glinianą miskę.

– Tutaj koło był stary szlak do Santa Fé, ciągnący się przez tysiąc mil od Missouri – wyjechał Quent. Szli przez zakurzony plac do samochodu.

– Wiesz co? Byłam pewna, że to będzie coś w rodzaju miniaturowego Los Angeles, być może z powodu hiszpańskiej tradycji. Ci głębiej jeszcze nie mogli się nadziwić różnicom.

– Tak naprawdę, to jest kultura indiańska – poprawił ją. – Historia Nowego Meksyku ma swoje korzenie głęboko w kulturze indiańskiej. Słyszałaś kiedy o starożytnych Anasazi?

– Wspólnych przodkach wszystkich Indian Pueblo?

– Właśnie. Niedaleko stąd można obejrzeć ruiny ich skalnych domostw.

– Strasznie chciałabym zwiedzić to miejsce. – Oczy Ann zabłyśły.

– Nic prostszego. – Podniósł z zapylonej torebki czarne pióro i wygładził je starannie. – Niektóre projekty strojów wychodzą spod twojej ręki.

– Wszystkie. Potem rzuca się na nie Gilberte; ma niebywałe oko i znakomity gust. Czasem zgadzam się na jej poprawki, czasem musi się nalegać na mnie, zanim ustąpi. – Roze miała się. Publiczne przyznanie się do autorstwa własnych dzieł wprowadziło ją w

doskonały nastrój. – Wiem, że to brzmi nie najlepiej, ale tak właśnie wygląda nasza współpraca i – dodała.

Doszli do samochodu. Ojciec otworzył przed nią drzwi ‘od strony pasażera’.

– Kluczyki – poprosił. Sięgnęła do kieszeni dżinsów.

– W jaki sposób dostała się do miasta? Podniósł dłoń z wyprostowanym kciukiem.

– Autostopem? Ty?

– Chciałbym na wstępie się umówić, że nie usłyszysz więcej uwag tego rodzaju. Zgoda?

Spojrzała mu prosto w oczy. Znowu, jak o poranku, poczuła, że w czystym, krystalicznym powietrzu tego miejsca wszystko znajduje się w zasięgu jej ręki.

– Zgoda. – Umiechnęła się i dotknęła jego policzka.

– Tam, w wozie restauracyjnym, trząsnęłam się ze strachu – powiedział szeptem głosem. – Bałam się, że znowu będzie tak jak w Los Angeles, że mi odmówisz. Ann, nawet nie wiesz, co ja przeżywałam bez ciebie.

Jesteś zupełnie innym człowiekiem – wymruczała.

– Innym niż ten, którego znała w czasie wojny?

– Nie, innym niż ten, którego widuję w Nowym Jorku.

– To nie ja. To on. On jest człowiekiem Korporacji Jasona Templara, udziałowcem Trustu, słynnym filantropem. Mój przyjaciel Roku tygodnika „Fortune”. Czasem daję mu urlop.

– Czym się wtedy zajmujesz?

– Myślenie o tobie. Umiechnęła się.

Leżąc obejmując się pod kołdrę z kolorowych kawałków materiału. Trzy godziny wcześniej bez słowa weszli do windy z dwu sypialni, gdzie na malowanej hiszpańskiej ławie stała nie rozpakowana walizka Ojca. W milczeniu zrzucili ubrania na wykładane kafelkami podłogi i runęli na łóżko, obejmując się z desperacją. Potem usnęli. Kiedy zbudzili się, półmrok zalegał już w kątach pokoju.

Ann przesunęła pieszcotliwie dłonią po lewej ręce Quenta. Pod palcami wyczuła warstwę liskiego, zgrubiałego ciała.

Poruszył rękę.

– Zabolęło ci? – spytała.

– Nic nie czuję w tym miejscu. Nie mam nerwów. Ale jak nie przestaniesz mnie ciskać, w końcu zabolę mnie kości.

– Kochanie, co ci się stało?

– Pewien ogolony szkop w Mauthausen chciał wyciągnąć ode mnie więcej, niż byłem w stanie mu powiedzieć ... Co ci zresztą będzie karmił przedpotopowymi historiami.

– Wolałby o tym nie mówić?

– Nigdy tego nie robiłem...

– Nie musisz.

Przewrócił się na plecy i włożył rękę pod głowę.

– Chyba opowiadałem ci o tym, że kiedy zostałem zrzucony ponownie do Francji, czekało już na mnie gestapo z Dieppe?

– Tak, opowiadała mi to wtedy, jak uratowała Michaela.

– Jeden z naszych ł czników został wzięty na tortury i wyspał kogoś tylko dało. Wiedział znacznie więcej ode mnie, jednak Niemcy uważali, że Amerykanie są w posiadaniu najtajniejszych informacji. Chciałbym wierzyć, że nie puściłbym farby, nawet gdybym miał o czym mówić. – Potarł okaleczone ramię.

– Kod radiowy?

– Rozszyfrowali go sami. Po przesłuchaniach oddelegowali mnie na „post powojenne specjalne”.

– Post powojenne specjalne?

– To mogło oznaczać najróżniejsze rzeczy, na przykład kula za szpiegostwo. Zaraz po przyjeździe esesmani dołączyli mnie do grupy dwudziestu dziewięciu Amerykanów, w których z nich stanowili zestrzeleni lotnicy. Zabrali nam buty i pogonili bosymi na dno kamieniołomu. Każdy z nas dostał na plecy jakieś trzydzieści kilogramów granitowych płyt. Musieliśmy je dźwigać po stu osiemdziesięciu szczeblach schodach w górę. Potem mieliśmy znieść je z powrotem na dół. Podkładali nam kamienie do nosideł. Zaczęło padać. Stopnie były bardzo strome, teraz jeszcze zrobiły się śliskie. Tego, kto upadł albo nie szedł do przodu, szybko, kopali i bili pałkami. Pracowali przy nas na dwie zmiany. Nosiliśmy kamienie przez całą noc. Po dwóch dniach i nocach, kiedy przestało padać, zostało nas już tylko trzech.

– Zostało?

– Wszyscy. Innych wywieziono na wózkach, pchanych przez chudych jak szkielety rosyjskich jeńców wojennych albo polskich jeńców. Jestem pewien, że następnego dnia ci dwaj też już nie żyli.

– Bo nie – szepnęła.

– Bóg w Mauthausen słabo dawał znać o swoim istnieniu. Po tym wszystkim dołączyłem do grupy francuskich jeńców wojennych w Gusen. Głodzili nas i kazali pracować po dwanaście godzin na dobę. – Zamknął na dłuższą chwilę, pogrzebając się w wspomnieniach. – Wreszcie, niedługo przed końcem wojny, zwróciłem na siebie uwagę Ulricha Hoelzhoenera. Wtedy, czy kiedykolwiek miał słodkie usposobienie, ale zupełnie zrozumiał, że zgorzkniał jeszcze bardziej po nalocie na Drezno, w którym zginęła jego żona i troje małych dzieci. Kazał mnie trzymać w tak zwanej psiej budzie, wysokiej na metr i długiej na półtora metra betonowej celi. Mogłem się wyprostować, tylko jak wzywali mnie na przesłuchanie. Hoelzhoener wytrzasnął skądś średniowieczne narzędzie tortur, prawdziwy zabytek. Było to żelazne imadło, w którym trzymał mój łokieć i dokręcał co parę dni rękę.

Anna z trudem powstrzymała okrzyk przerażenia. Bardzo chciała przytulić Ojenta, ale widząc, jak pociera chórkiem, pomyślała, że dotyk byłby dla niego czymś nieznośnym.

– Przecież i tak nie mogłem im powiedzieć nic ważnego, skoro Francja była już wyzwolona.

– Chociaż złapano mnie we Francji, nasz porucznik w ciebie wierzył, że współpracowałem z podziemiem holenderskim. – W czasie ostatniej wojennej zimy Holandia nadal pozostawała częścią Trzeciej Rzeszy. – Uważał, że szuka nowe tereny pod zasiew dla *Vaterlandu*. Jego zdaniem uczestniczyli w obaj w najpiękniejszych chwilach ludzkości.

– Sadystyczny skurwysyn. – W kciukach oczu Ann zalśniły łzy.

– Od ropiej cej rki zacząłem gorczkować. Kiedy Trzecia Armia Pattona wyzwała w maju obóz, leżałem z malignie. Jako żołnierz OSS nie miałem plakietek identyfikacyjnych, musiałem jednak bełkotać po amerykańsku. W szpitalu wojskowym dowiedziałem się, że zamierzają mi uciąć rękę.

Moja rodzina poruszyła właściwe sprawy, w związku z czym wyjechałem w Sztokholmie w klinice doktora Lindstroma. Lindstrom to geniusz chirurgiczny, ale operacje były niemożliwie bolesne. Parę razy błagałem, żeby amputowali mi już tę przeklętą rękę i żeby wreszcie było po wszystkim.

– To straszne, kochanie, to straszne – szeptała jej co Ann.

– Czasami mam wrażenie – powiedział w zadumie – że ten facet, którego widzisz w Nowym Jorku, byłby kimś innym, gdyby to wszystko nie miało miejsca. Był może oszukuj samego siebie.

– Jesteś najodważniejszym, najszlachetniejszym człowiekiem, jakiego spotkałam.

– Mówiłem ci już, że tylko rozmowy o tobie trzymały mnie przy życiu?

Wieczorny wiatr szeleścił w bezkresnym morzu szafalii – jej cała, zbawienna muzyka sfer. Ann wytarła oczy ręką po ciele i przysunęła się do Quenta. Zaczęła masować napięte mięśnie jego łopatkami. Uspokajała. Pocieszała. Po chwili zwarli się w uścisku.

Dawniej, ilekroć się kochali, trzeba było sporo czasu, żeby doprowadzić Ann do orgazmu – przebić się przez barierę jej poczucia winy. Teraz, gdy tylko w nią wszedł, krzyknęła wysokim, nieswoim głosem.

– Quent, Quent... kochanie, Quent, Oquent, Cluent... Kocham cię ... zawsze, zawsze... – dyszała.

Później, kiedy zapalili światła w salonie, Rosie wniosła tacę z zakrytymi półmiskami. *Posol*, co w rodzaju zupy z prażonej kukurydzy, kurczak *poblano*, naleśniki *enchiladas*.

– Rosie wie, jak się zachować – zauważyła Ann.

– Wrodzony takt. – Oderwał kawałek *tortilli* i posmarował masłem. – Jeśli zmierzasz do tego, czy przywoziłem tutaj jakieś kobiety, to musisz być rozczarowana. Niemniej jednak przez ostatnie dwa lata nie hołdowałem wierności małżeńskiej.

– Ja tak – wyznała. – Aż do dzisiaj.

W ciągu najbliższych paru dni nie robili żadnych, nawet najbardziej zawołanych aluzji do swoich współmałżonków.

Trzymając się za ręce, spacerowali po pustyni. Z głową na kolanach Quenta leżała przed rozpalonym kominkiem, wpatrzona w ogień. Objęci przyglądali się, jak zachodzące słońce czerwieni masyw Sangre de Cristo. Było tak, jakby ktoś przywrócił im wygasające zwierzęcą zdolność do cichego szczytu. Kiedy rozmawiali, mówili o sprawach bieżących – o hojnie posypanych meksykańskimi przyprawami potrawach Rosie, o leniwym locie jastrzębia ze strzępiastymi skrzydłami, o burzy z błyskawicami, które rozświetlały noc jak fajerwerki na czwartego lipca.

Kochali się czsto. W jawnym po piechu i z kunsztowną wytrwałością. Kochali się w

k piele, dziko i bez zahamowa, kochali się ubrani w chłodzie nocy, pod wielkimi, połyskującymi gwiazdami. Ann straciła zupełnie poczucie czasu, z rzadka tylko patrzyła na staro wiecki, malowany hiszpański zegar, który odliczał sekundy do jej niedzielnego odlotu.

– Dziś masz ostatni okazję zwiedzić ruiny Puye – przypomniał jej Quent, kiedy zbudzili się w sobotę.

– Chętnie skorzystam!

Jechali drogą wijącą się wśród pagórków, wymijając długie, niedźwiedziejowskie pola położone na zdumiewająco płaskim dnie doliny.

– Tam kryje się Los Alamos. – Na rozwidleniu dróg Quent wskazał w stronę gór Jemez.

Zadrżała na dźwięk groźnej nazwy tajnego, zamkniętego miasteczka, w którym zrodziła się bomba atomowa. Przysunęła się do Quenta, zadowolona, że jadą w przeciwnym kierunku. Skręcili w opuszczony kanion na północy. Po paru kilometrach zjechali na pobocze.

– Jesteście tu na miejscu – oświadczył Quent.

W pierwszej chwili nie zauważyła żadnych jaskiń. Potem, patrząc we wskazanym przez Quenta kierunku, w warstwie skał, tuż pod krawędzią płaskowyżu, zauważyła szereg ciemnych punktów wyglądających na naturalne otwory w skałach.

– To może być skalna osada? – spytała.

– Rozczarowana?

– Nie, raczej zaskoczona. Jak się tam dostaniemy?

– Na piechotę – oświadczył wyciągając z wozu kosz piknikowy i złożony indiański koc.

Kiedy wysiadali z ciarówki, na błękitnym niebie pałało się zaledwie kilka baranków, jednak w czasie ich wspinaczki nad górami Jemez zawisły ciemne chmury, zakrywając słońce. Temperatura zaczęła gwałtownie spadać, ale wysiłek rozgrzewał Ann. Droga wiła się pomiędzy skalnymi głazami. Byli na wysokości czterech tysięcy metrów. Kiedy dotarli do podnóża brzoźnych skał, Ann bez entuzjazmu omiotła wzrokiem prymitywnie wyciosane drabiny, w których brakowało kilku szczebli. Drabina kołysała się na dobry kawałek przed krawędzią skały.

– To nieuczciwe. Jestem zwykłym mieszczuchem, a ty alpinistka.

– Nie wiem, czy sobie przypominasz, że windowałem cię już w gorsze miejsca?

Wspiął się z pewnością na drabinę, zostawił kosz i koc, następnie wrócił i pomógł Ann. Wczołgała się na krawędź. Leżąc na pokrywanym wierzchołkiem skały brunatnej glinie, po raz pierwszy tego dnia miała okazję obejrzeć roztaczającą się w dole panoramę.

Ciarówka wyglądała jak dziecinny samochódzik, drzewa i poślinka roślinność okalały wioseczki z miniaturowych domków. Promień słońca przebił się przez chmury, oświetlając niegłęboko zalegający w skalnych rozpadlinach gór Jemez.

– O, Quent – westchnęła wyciągając rękę, jakby chciała przyciągnąć ten cudowny widok.

Rozmieszczone wzdłuż krawędzi skalne domostwa miały w kształcie otwory wejściowe i mniejsze – pełniące funkcję okien. Zajrzała w najbliższe drzwi i rozległa się głono. Jakiś człowiek, nie żyjący już od stuleci, wykuł w jaskini tak samo wnękę i ławę, jakie widziała w domu Quenta.

– Skąd to znam – rzuciła z przekornym błyskiem w oku. – Wasz architekt nie był

specjalnie twórczy.

– Teraz przynajmniej mi uwierzysz, kiedy ci powiem, że wszystko tutaj pochodzi od Anasazi.

Przysłonił oczy i spojrzał w niebo. Spierzchnięte, ciemne kumulusy ciągnęły za sobą zasłonę deszczu.

– Lepiej wejdźmy do rodka.

– Ten będzie za niski dla ciebie – powiedziała przesuwając się w prawo. – Zaraz znajdę coś odpowiedniejszego.

Skalny występ wzniósł się do parunastu centymetrów, przylgnęła więc do ściany i obeszła ostro nie kamienny filar, odrzucając po kolei trzy jaskinie, jako zbyt małe lub pozbawione uroku. Quent ze miechem towarzyszył jej w zabawie.

– Ta. – Zajrzała do półkolistego otworu. – Biermy to, naturalnie, jeśli jesteś w stanie wyprostować się w rodku.

Musiał się pochylić, żeby przejść przez drzwi, jednak wewnątrz nie dosięgał głów sklepienia.

– Biorę od ręki.

Rozłożył koc na zapyłonym *banco*. Anna na jednym końcu rozstawiła przygotowane przez Rosie plastikowe miseczki z plackami, sosem, pieczoną wołowiną i jajkami na twardo. Kiedy jedli, porywisty wiatr chłostał skały płaskowyżu. Przeleciała błyskawica. Liczyli na głos, kiedy doliczyli do dziesięciu, huknął piorun. Lunął ulewny deszcz. Woda i wilgoć ziemi i zapach ozonu mieszały się z aromatem potraw.

– Posłuchaj, jak leje – powiedziała, kiedy dopijali resztki kawy z termosy. – Może nie uda nam się się nigdy wydostać. Nie będzie musiała wymyślać żadnych wymówek, dlaczego wracam bez jednego szkicu.

W jaskini było ciemno, jednak dostrzegła, że twarz Quenta przybrała kamienny wyraz, jakby uciekło z niej całe życie.

– Mamy przed sobą jeszcze wiele godzin – powiedziała cicho. – Wiem, że wszystko popsułam.

– Prędzej czy później będziemy musieli pomówić o przyszłości. Nie widzę powodów, dla których nie mielibyśmy tego zrobić teraz. – Oplótł kolana rękami. Mówił cichym, gniewnym głosem. – Chyba nie mógłbym jej porzucić.

– Ojciec, było nam jak w raju, ale to nas do niczego nie zobowiązuje.

– Przeważnie jej nienawidzę.

– Gilberte? – upewniła się zaskoczona. – Wiem, że nie kochacie się do szaleństwa, ale zawsze wydawaliście mi się bardzo do siebie przynależnie. Macie wspólnych przyjaciół, oboje lubicie powaźny muzyk. Gilberte cię kocha... zawsze cię kochała, Quent.

– Mówisz jak pracownica poradni małżeńskiej.

– Albo naiwna idealistka. Ale to prawda.

– Przez cały tydzień nie mogłem się opóźnić od myśli, że moje życie mogło wyglądać zupełnie inaczej.

– Ja też. Ale co z tego? – Z westchnieniem odgarnęła włosy z czoła. – Nie ma na to rady.

Dzieci... Larry je uwielbia, one te za nim przepadaj . Nigdy go nie kochałam, ale zawsze go lubiałam. Wszyscy go lubi . Jest taki miły i kochany... – Urwała dostrzegaj c w wietle błyskawicy zaci ni te usta Ojuenta. Wida było, e nie jest w nastroju do wysłuchiwania jej uniesie na temat Larry’ego. – Nie potrafiłabym ich porzuci .

– O eniłem si z ni , kiedy byłem jeszcze bardzo rozbity nerwowo i w kiepskiej formie fizycznej. Akurat dowiedziałem si o tobie i Larrym. Kiedy patrz na to z perspektywy czasu, s dz , e tak czy owak bym si z ni o enił. Czuj straszliwe wyrzuty sumienia z powodu tego, co si stało.

– Naprawd wierzysz w to, e wydałe barona i baronow gestapo?

– Mam dowody.

– To, co mówi Gilberte?

– Niew tpliwie wie, jak gra na tej strunie. Ale w Dieppe gestapo wiedziało o tym, e przemycałem materiały wybuchowe dla podziemia.

– Podejrzewam, e o to samo oskar ali ka dego je ca z OSS.

– André był moim krewnym, a zarazem przyjacielem. Patrzyłem na niego jak w Boga. Byłem samotnym, nie miałym nastolatkiem, a on traktował mnie jak koleg , do czego mój ojciec w ogóle nie był zdolny. Zawsze wysłuchiwał mnie z uwag . A ja zabiłem jego i ViVi.

– Ka dy mógł ich wyda w r ce gestapo, dlaczego miałby to by akurat ty?

– Nie zamierzam si z tob sprzecz , chc ci tylko wytłumaczy , dlaczego mam takie cholerne wyrzuty sumienia wobec Gilberte... dlaczego mimo wszystko z ni zostan .

– Zawsze była inna ni wszyscy, trudno j zrozumie .

– Nie musisz mi o tym mówi ! Przeszła przez piekło i wyszła z tego ci ko okaleczona. – Zerwał si z miejsca i zaparł r kami o br zowy brzeg skalnego otworu. – Wcale nie była w ci y.

– Była – zaprzeczyła Ann. W pierwszej chwili nie zrozumiała, o czym mówi.

– Nic podobnego, jest nałogow kłamczucha. – W kurtce z jagni cej skóry jego plecy wydawały si mocne i nieugi te. – Oszukuje, kiedy tylko mo e. Udaje, e ma orgazm, udaje, e mnie kocha, udaje, e jest autork twoich projektów. – Wystawił r k na deszcz. – Dziecko uzdrowiłoby troch t chor sytuacj . Byłem bardzo wstrz ni ty pierwszym poronieniem. Za drugim razem było jeszcze gorzej. Oskar ałem siebie o to, co si stało. Mo e wina le ała po mojej stronie. My lałem, e niespecjalnie miłe do wiadzenia wojenne mogły mnie w jaki sposób okaleczy . Byłem wła nie w Los Angeles. Zło yłem wizyt jej lekarzowi. Doktor Lassitter jest specjalist od zagadnie płodno ci ludzkiej. Był zdumiony wiadomo ci , e pani Dejong zaszła w ci . Prawd mówi c, nie bardzo chciał w to wierzy . Twierdził, e wzi wszy pod uwag stan jej macicy, byłby to cud przewy szaj cy niepokalane pocz cie.

Poryw wiatru wdmuchn ł deszcz do jaskini. Quent cofn ł si , uskakuj c przed strugami wody. Ann nie drgn ła nawet. Bała si , e przy najmniejszym poruszeniu zacznie krzycze , e Gilberte wcale nie jest bezpłodna, e urodziła dziecko feldmarszałka von Hocherer. Gdyby wypowiedziała te zakazane słowa, Gilberte odebrałaby jej syna.

– Nie miałem zamiaru ci tym obci a . – Powoli podszedł do Ann i zajrzał jej w twarz.

– Najdro szy, wiesz, e kocham ci do szale stwa.

– Wiem. Ja ciebie też kocham. Ale ty lubisz Larry’ego, a ja zapewne do końca życia będę uwiązany do Gilberte.

Westchnęła. Poczucie winy, wyrzuty sumienia, zasady moralne, dzieci, przyzwoitość, głupota – kombinacja tych elementów – każda z nich wiła w nieszczęśliwym, pozbawionym miłości świecie.

– Burza się kończy – zauważył Quent, zamykając rozmowę.

Ann, Lany i Gilberte Nowy Jork 1953

W Santa Fé nie było lotniska. Quent odwoził Ann do około sto kilometrów dalej Albuquerque. Po drodze oglądała zwietrzałe skały, wysepki płaskowyżów. Milczeli, ale w ich milczeniu nie było spokoju sprzed kilku dni, przeciwnie, zawisło między nimi, pełne grozy i wyczekiwania, jak chmury burzowe rzucając cienie na brunatny pejzaż. Oboje rozmawiali o tym, co nieuchronnie musiało zostać powiedziane.

– Jak będzie w Nowym Jorku? – przełamał milczenie Quent.

– Chciałabym cię widzieć.

– Ale?

– Quent, na pewno bym się jakoś zdradziła. Przecież oboje uznaliśmy, że nasze małżeństwo jest faktem nieodwracalnym.

– Mam cię namawiać, żeby zmieniła zdanie? Potrzebuję głosu.

Patrzyła na niekończące się ogrodzenia z drutu kolczastego – nieodłączny element pejzażu w Południowym Zachodzie – przypominała sobie, jak na granicy szwajcarskiej rozciągały się te druty. Tacy byli młodzi, bez żadnych obciążeń. Nie oczekiwano, wybuchnęła płaczem. Quent zjechał na wyjeżdżone pobocze i przytulił ją. Zdawało się, że będzie płakać bez końca, nie mogła powstrzymać łez. Gładził jej włosy, całował w czoło.

– Chciałabym... chciałabym, żebyśmy nie byli sobą, tylko kimś innym – szlochała.

Przytulił się policzkiem do jej twarzy. Miał tak samo wilgotny, rozgrzany policzek jak Ann.

To było ich pożegnanie. Nie całowali się na lotnisku. Na szczycie aluminiowych schodków przystawionych do samolotu odwróciła się i poszukała wzrokiem Quenta. Stał z rękami w kieszeniach obdartej kurtki z jagnięcej skóry. Nie pomachał jej. Ona też mu nie pomachała.

Samolot przyleciał na La Guardia z blisko czterdziestominutowym opóźnieniem. Larry'ego, który obiecał przyjechać po Ann, nie było przy bramce.

Zdążyła już odebrać bagaż, kiedy pojawił się w oparach alkoholu i wymówek.

W drodze do domu zabawił ją opowieściami o dzieciach – Janey płakała za Ann, widać było, że wolnego i całą trójkę poszli do teatru na *Król i ja*. Obejrzeliby z Michaeliem mecz baseballowy Dodger kontra Cards na stadionie Ebbetts Field (Michael uważał baseball za idiotyczny sport, uwielbiał jednak ojca i nigdy się ze swoim zdaniem nie zdradził). Był na zebraniu Stowarzyszenia Rodziców i Nauczycieli, na które zaproszono przedstawicieli organizacji March Dimes – trzech lekarzy wypowiadali się na temat metod ochrony dzieci w nadchodzącym sezonie zachorowań na heinemedin. Ann nie dała się nabrać, żeby odciągnąć jej uwagę od opóźnienia, Lany mydlił jej oczy. Niemniej kiedy ona w Santa Fé kochała się z innym mężczyzną, Larry bawił się z dziećmi i troskliwie się nimi opiekował.

Dwa dni później Gilberte czekała na Quenta przy tej samej bramce.

– Wyglądasz na zmęczonego. Miałeś kiepski lot? – spytała, kiedy Jordan poszedł po bagaże.

– Strasznie nami rzucało – powiedział.

W samochodzie odchylił się do tyłu i przykrył oczy.

– Czy myślałaś kiedyś o tym, ile czasu spędzamy osobno? – napomknął, gdy wjeżdżali mostem na Manhattan.

Gilberte była pewna, że drzemał. Poczowała, jak napinają się jej mięśnie.

– To ciębie nie było długo, nie planowałam – zauważyła prostując się na siedzeniu.

– Nie o to mi chodzi.

– Oboje jesteśmy stale w rozjazdach.

– Tak, ale dlaczego?

– Dlaczego nie powiesz wprost, że denerwuje cię moja kariera?

– Wcale nie próbuję cię oskarżać. Ja też jestem winny. Ale doszło do tego, że jesteśmy razem tylko wtedy, kiedy musimy się gdzieś publicznie pokazać.

Poczowała, że zalewa ją zimny pot. Zadrżała pod futrem z białego owego rysia. Ogarnęło ją straszliwe przerażenie, niewspółmierne do wagi tych kilku cicho wypowiedzianych słów.

– Która to jest tym razem? – spytała z cierpkim uśmiechem.

– O co ci chodzi?

– O starą jak wiatr „inną kobietę”, którą powiedziałam: *cherchez la femme*. O bohaterkę pozwów rozwodowych twojego ojca.

– Mieliśmy rozmawiać o nas!

– Mam ci! Wpadłaś w klasyczny pułapkę! Zakochałaś się w jakiejś drugorzędnej aktorce z Hollywood?

– Dlaczego oszukiwałaś mnie, że jestem w ciąży? – spytał obojgowie, patrząc jej prosto w oczy.

Równie dobrze mógłby zniechęca wrzucić w czarny lodowat towar, nad którym włączyła niejechał ich samochód. Czowała, że cała gwałtownie stygnie i tylko jej serce bije coraz mocniej.

– Nie... nie bardzo rozumiem, o czym mówisz... – Trzasnęła się i głos jej drżał, jakby była w ciekła. – Muszypowiedzieć, że wciągasz mnie w dosyć trudne rozmowy...

– Nie mówisz mi o dzieci. – Nabrał głosu powietrza.

– To bardzo interesująca hipoteza, chociaż dziwi mnie, że włączyłaś nie ty jesteś jej autorem. Ale może wyjaśniła twoją najnowszą przyjaciółką, młodą adeptkę sztuk dramatycznych. Powiedz jej ode mnie, że może sobie obejrzeć moją kartotekę u doktora Kreigera.

– Ten twój doktor Kreiger to jedno wielkie gówno.

– Barwna metafora – skwitowała.

– Oszust pozbawiony zasad – ciągnął Quent. Jego głos nabierał zwykłej, chłodnej ironii. – Amerykańskie Stowarzyszenie Lekarzy przyłapało go na wszystkich możliwych formach zakazanych praktyk ginekologicznych.

– Byłam w ciąży dwukrotnie, mówisz to powiedz swojemu daniu.

Korytarz bez okien ci gn ła si w niesko czono . Szła i szła bez ko ca. Głos jej matki, głos bez ciała, wysoki, pełen uroczej przekory, poinformował j , e nie wypada i dalej. Z tyłu, zza zamkni tych drzwi rozległy si krzyki. Chciała zawróci i uciec, jednak nieposłuszne stopy niosły j do przodu. W korytarzu robiło si coraz chłodniej, w powietrzu unosił si t py, słony zapach surowego mi sa i u ywanych podpasek higienicznych.

Jedne drzwi były otwarte na o cie , wiedziała, e w rodku czeka na ni co nieprawdopodobnie przera aj cego. Czowała ucisk w piersiach tak silny, e ledwie mogła oddycha . Spojrzała za siebie, w surrealistyczn perspektyw korytarza. De Permontowie nie uciekaj – poinformował j jej własny głos. Pchn ła drzwi do przodu. Na krze le siedział ojciec. Jego małe, ywe oczka wypełniał smutek.

– Gilberte, nie powinna była tutaj przychodzi – powiedział.

Zauwa yła, e jest ubłocony, na koszuli ma kropelki krwi. Był przywi zany do krzesła.

W ustach miał kawał brudnej szmaty, chocia jeszcze przed chwil mówił do Gilberte. Usłyszała dalekie dudnienie, jakby setki obutych nóg maszerowały g siego w jej stron . Tupot stał si gło niejszy, wreszcie wypełnił cel , która zacz ła si powi ksza . Z oddali wyłonili si ołnierze. Szli bez ko ca, jeden za drugim, w czarnych mundurach. Z twarzami zasłoni tymi hełmami byli podobni do siebie jak z by smoka. Padł rozkaz. Jeden z ołnierzy wyst pił naprzód, wyjmuj c z bagnetu par długich, błyszcz cych no yc. Słyszała trzask płótna, kiedy rozcinał jej bluzk i spódnic . Nag i dr c dobiegł miech ołdaków, nieludzki i rytmiczny jak tupot ich butów. Padł kolejny rozkaz. Czterej ołnierze wyst pili z szeregu. Jeszcze jeden rozkaz. Z szeregu wyst pił pi ty ołnierz, rozpinaj c spodnie. Odwróciła wzrok na cian , eby nie widzie jego członka, czerwonego jak u psa, niesamowicie grubego i o lizłego. Ze ciany zwisały okrwawione zwłoki ojca....

Krzyczała bez ko ca.

Zbudziła si gwałtownie.

– Gilberte! – Quent potrz sał jej ramieniem. Potargane włosy opadły mu na czoło, miał nie dopi t gór od pi amy. – Koszmary? – spytał ze współczuciem.

– Byłam tam... przyszli mnie zgwałci . Cała armia miała mnie gwałci . *Papa* nie ył... wisiał, potworny, okrwawiony, z wytrzeszczonymi oczami.

– Ju dobrze, ju po wszystkim.

– Nigdy nie b dzie po wszystkim. Nigdy, nigdy, nigdy. Quent, zosta ze mn przez chwil – poprosiła.

Przysiadł na łó ku, gładz c j po włosach. Jej przera enie było dot d jak najbardziej szczere, z chwil jednak, kiedy dostrzegła na twarzy m a dobrze znany wyraz smutku i winy, rozszalałe serce Gilberte uspokoiło si i poczuła, e przyszła pora, eby wykorzysta swój przewag . Szlochała nieprzerwanie. Kiedy Quent poło ył si przy niej, przykryła go swój kołdr . Cho całowała go po szyi i po brodzie, tuliła si z całej siły, nie reagował. Przespał jednak cał noc w jej łó ku.

Rano zamkn ła drzwi na klucz i podeszła do aktu Renoira. Odsun ła od ciany umocowany na zawiasach obraz, wykr ciła szyfr w sejfie i odsun ła na bok kasetki z bi uteri . W gł bi sejfu le ały koperty z dokumentami gestapo.

Jej *cauchemer*, mimo że wyolbrzymiony, miał w sobie element ostrzeżenia. Blisko siebie w mrocznych za wiatach cienie rodziców dopominały się o dopełnienie zemsty.

Nie minęła jeszcze siódma. Gilberte sięgnęła po oprawioną w zielony prókowaną jedwabną książkę telefoniczną i odszukała domowy numer agenta biura podróży, z którego usług korzystała. Ze wzrokiem wbitym w podłokcie stronicę podyktowała agentowi polecenia.

W gwarze towarzyskich rozmów panującym w restauracji Colony Ann czuła się zupełnie nie na miejscu. Bawiła się srebrnymi sztućcami, ałowała, ale nie paliła. Papieros pomógłby jej skrócić czas oczekiwania. Siedziała przy stoliku zarezerwowanym na stałe dla Gilberte. Właśnie przeszedł jakiś kapitan, prowadząc za sobą trzy chuderlawe damy. Kiedy wzrok wszystkich kobiet spoczął na jej stoliku, Ann odpowiedziała uśmiechem. Widywała je czsto na urządzonych przez Gilberte dobroczynnych pokazach mody. Kobiety spojrzały na nią dopiero, jakby należała do wyposażenia restauracji. Spuściła wzrok, udając, że studiuje szkice przyniesione w wielkiej teczce. Były to szkice do kolekcji z Santa Fé, których nie pokazała jeszcze przełożonej.

Wieczorem po powrocie do domu zaszyła się w pracowni na poddaszu. Przez następnych parę dni przeżywała prawdziwie nawalniczo pomysłów, jednak nie była w stanie ich przekazać Gilberte. Wiedziała, że nie zniósłaby rozmowy z przyjaciółką. Nawet przyływ natchnienia nie był w stanie osłodzić poczucia gwałtownej utraty. Pod koniec tygodnia, kiedy zdobyła się na telefon do biura Gilberte, nowa sekretarka poinformowała ją, że *madame* wyjechała do Paryża – tak, wyruszyła całkiem nieoczekiwanie.

Tego ranka sekretarka zadzwoniła do Ann i powiedziała, że *madame* wróciła z Paryża i chciałyby z nią zjeść lunch.

Przy siedzących stolikach zrobiło się małe zamieszanie.

Kilku mężczyzn poderwało się z miejsc. Władza kapitanem do restauracji wpłynęła z uśmiechem na ustach Gilberte. Wśród kobiet w lokalu miała włosy – zgodnie z najnowszą modą – przystryżone krótko na pudła, włosy Gilberte zachowały jednak dawną długość. Zaczesała je w kok, który podkreślał jasny cery i egzotyczny kształt topazowych oczu. Miała na sobie skromny *tailleur*, który – wyjątkowo – nie był dziełem Ann, lecz pochodził z Paryża z najnowszej kolekcji Balenciagi. Kostiumik uwydatniał bujne, zmysłowe piersi i biodra.

Za Gilberte kroczył młody mężczyzna. Miał długą fryzurę, nie przywykło się nosić w Stanach, a prókowana marynarka była cielisto dopasowana do jego drobnej figury. Jeszcze zanim Gilberte przedstawiła ich sobie, Ann wiedziała, że jest Francuzem.

Nazywał się Yves Roland.

Jedząc i popijając aperitif, gawędzili *en français* o panującym w Nowym Jorku chłódach, o przedwojennym Paryżu i o Paryżu po wojnie. Yves Roland znał wszystkie znakomite, od Edith Piaf po de Gaulle'a, od Jean-Pierre'a Aumonta po Jean-Paula Sartre'a, od Cocteau po Coco, i chętnie rzucał anegdotami na ich temat. Nie wspominał ani słowem o powodach, które sprowadzały go do Nowego Jorku. Okulary powiększały jego okrągłe, sówie oczka. Baczenie przyglądał się Ann, słuchając tego, co mówi, bez oznak aprobaty czy te

dezaprobaty, chłon ła jej słowa całym sobą. Widać było, że usiłuje zgłębić jej charakter i osobowość.

Zdumiała ją to. Podskórnie wyczuwała, że w łoku kobiety nie są ulubionym towarzyszem Yves Rolanda; domyślała się też, że jak wielu homoseksualistów, woli zawierać przyjaźnie w obrębie własnej płci.

Zastanawiała się, dlaczego Gilberte, której rzadko zdarzało się robić coś bez powodu, zaprosiła go na ten lunch.

– Wpół do trzeciej! – krzyknęła Gilberte, patrząc na zegarek. – Muszę pójść, jestem umówiona. Zostańcie, dopijcie spokojnie kawę. – Kiedy Ann z Yvesem wstali, żeby ją poegnąć, dorzuciła: – Ann, Yves współpracował z Cortini.

Cortini i Schiaparelli – te dwa nazwiska wymawiano na jednym oddechu. Oba należały do włoskich projektantek, które wywarły znaczny wpływ na francuski mod.

– Cortini! – powtórzyła Ann po odejściu Gilberte. – Jakże panu zazdroszczę się?

– Niepotrzebnie. Cortini bywa okrutna wobec swoich *proteges*, zwłaszcza jeżeli wykazują chociażby *soupcou* talentu. – Nachylił się do Ann i cisnął przyciszonym głosem: – *Madame Dejong* zdradziła mi w najgłębszej tajemnicy, że pomaga jej pani w pracy. Czy to prawda?

– Robi projekty wstępne. – Ann zaczerwieniła się. Dlaczego miała wrażeń, że się przechwala? Przecież mówiła tylko prawdę koleżance po fachu. – Potem Gilberte kreśli i wprowadza poprawki. Wtedy drugi raz zabieram się do pracy.

– Dokładnie tak samo projektuje Cortini – powiedział. – Nie umie ani szkicować, ani układać materiału na manekinie. Siedem lat pracy dla niej nauczyło mnie niejednego. Postawiłem warunek, że zanim podpiszę kontrakt z *madame Dejong*, włączę do niego klauzulę zastrzegającą moje prawa do projektów. Na każdej reklamie, każdym zdjęciu w prasie, każdej naszywce będzie napisane: „Yves Roland dla Gilberte de Permont”.

– Przyjechał pan pracować dla Gilberte? – wyszeptwała Ann.

– Przecież chyba powiedziała pani, że jedzie do Paryża na rozmowę ze mną?

Ann potrząsnęła głową. Kurczowo zaciskała i otwierała dłonie, strącając przy tym serwetki z kolan na podłogę. Zauważyła to, dopiero kiedy kelner wykwintnym gestem podał jej prostokątny wykrochmalonego adamaszku.

– Pani zbladła. Nie sądziłem, że to będzie dla pani zaskoczeniem. – Jeszcze przed chwilą współczucie Yves Rolanda było udawane, teraz jednak w jego głosie zabrzmiała nuta szczerej troski. – Może napije się pani wody?

Wychyliła podaną jej szklankę do dna.

– Co będzie ze mną?

– Naturalnie będzie pani pracować nadal w swoim dziale.

– Co to ma być za dział?

– Powiedziała, że chce teraz poświęcić więcej uwagi „linii ogólnej”.

– Zawsze pracowałam z Gilberte.

– *Exactement*. Teraz będzie pani pracować ze mną.

– Moje kolekcje wietnie się sprzedawały.

– Zapewniam pani, że moje również – nastroszył się Yves Roland. – *Madame*

powiedziała mi, że zapagnęła kogoś, kto nie pachniałby masłem fistaszkowym i konserwami smacznymi.

W jednej chwili oburzenie Ann przeszło w głębię rozpacz.

Dlaczego Gilberte bez powodu potraktowała ją tak okrutnie, przyjmując na jej miejsce konkurenta z zagranicy? Nagle przyszło jej na myśl, że Gilberte wie o pobycie Quenta w Santa Fé. Nie, nie miała się tego dowiedzieć. Cóż, na złodzieju czapka gore.

– Nie powinienem był powtarzać – zaczął przepraszać Yves Roland.

– Nic się nie stało.

– To wredna suka.

Była pewna, że Roland wyraża się tak o Gilberte, żeby zatuszować własne złoty liwo.

Po egali się obojgim u ciskiem dłoni pod markiz restauracji. Roland zatrzymał taksówkę, Ann poszła na piechotę. Miała zamiar natychmiast wracać do Darien – obiecała dzieciom, że pójdzie do biblioteki, a potem do cukierni. Kiedy jednak zaczął się wlec w stronę dworca Grand Central, uraza dopadła ją jak mały, kłujący pies, od którego nie sposób się odzepić. Przez wszystkie lata w milczeniu zgadzała się na uzurpację Gilberte, która zamieniała ją w bezimienną maszynę do produkcji szkiców, a tu nagle pojawia się Yves Roland z kontraktem, który respektuje jego prawa do projektów!

Nie wróć do domu, zanim tego z nią nie wyjaśnią.

Zadzwoniła z budki do Coriany, by uprzedzić, że przyjedzie pociągami o wpół do szóstej, a nie o wpół do piątej, jak przewidywała, i pobiegła na stację metra.

Kiedy wysiadła przy Siódmej Alei, mżył lodowaty deszcz. Postawiła na sztorc kołnierz płaszcza i szła coraz wolniejszym krokiem. Po drugiej stronie ulicy stał budynek z szarego granitu. Ann przystanęła w bramie przy wejściu do hurtowni dodatków krawieckich i popatrzyła do góry na wiatłosczenie się przez przezroczyste, plisowane zasłony. Gabinet Gilberte.

Sprowadziła ją tutaj potrzeba wyrzucenia swych żali prosto w jej twarz, teraz jednak zadawała sobie pytanie, kim jest Ann Porter, żeby oskarżać Gilberte Dejong o zdradę?

Z budynku wyszedł Larry w towarzystwie Marjan. Ann cofnęła się o krok. Lewa rękawka Larry'ego obejmowała pięćdziesiąt centymetrów kibi Marjan. Ann dobrze знаła wymiary modelki. Niejednokrotnie w *cabine* upinała na klęczkach zakładki na szczupłej talii, którą teraz podkreślał pasek płaszcza od deszczu i pieszczotliwa dłoń Langego. Marjan nachyliła się do Larry'ego, szepcząc mu coś do ucha. Uśmiechnęła się, a jego dłoń powdrowała nieznacznie w stronę jej płaskiego biustu.

Nie trzeba było być specjalistą od zachowań ludzi, by domyślić się, że zmierzali do łóżka w hotelu albo w pożyczonym mieszkaniu. Marjan, mimo olśniewającej kariery i bujnego życia erotycznego, mieszkała z rodzicami w Queens.

Para zniknęła za rogiem Siódmej Alei. Ann stała drżąc tak długo, aż z hurtowni wychynęły krupy, w satymocznym. Uśmiechnęła się do niej. Zanurzyła się w mawkę i pobiegła z powrotem do wylotu metra.

W milczeniu wiozła Larry'ego do domu ze stacji w Darien. Lany mówił za dwoje, co

chwila kład c r k na kolanie Ann. Epizody z Marjan pogł biały jego miło do rodziny, dzi ki czemu – tak sobie przynajmniej wyobra ał – lepiej wywi zywał si z roli ojca i m a. Dzieci le ały ju w łó kach, ale jeszcze nie spały. Długo mówił im dobranoc, głaszcz c delikatnie ciemne włosy Michaela i całuj c rozgrzany, pachn cy mydłem k pielowym karczek Janey. Na dole nalał sobie solidn szklank scotcha i pow drował do kuchni. Chocia wci domagał si , eby słu ca podawała im obiady do salonu, Ann uparcie zwalniała Corian na wieczór i sama przyrz dzała i podgrzewała jedzenie. Tego dnia jednak na kuchence firmy Roper nie było adnych garnków, a Ann ze zwieszon głow siedziała przy stole niadaniowym.

– Rozumiem, e b dziemy jedli poza domem – powiedział z irytacj w głosie. – Ruszmy si wobec tego.

Podszedł z godno ci do lodówki i wymownym gestem wyj ł i nadgryzł marchewk .

– Du o o tym my lałam – zacz ła, jakby podejmuj c przerwan rozmow . – Mo e powinni my si rozwie .

– Rozwie ?

Marchewka wypadła z r ki. Poczł, jak krew uderza mu do twarzy. Bezsensowne poczucie winy – próbował si przekona . Faktycznie, bzykn ł co tam par razy na boku, ale niezobowi zuj co, niejako dla uzdrowienia sytuacji rodzinnej.

– Wcale ci nie obwiniam – dodała.

Gał zie rododendronu uderzały o szyb okienn .

– Co ty pieprzysz! – wrzasn ł odzyskuj c głos. – Jakie rozwodzenie si ? Jakie obwinianie?

Zerkn ła na sufit. Nad głowami mieli wielkie, sk po umeblowane sypialnie dziecinne. Popatrzyła w stron słu bówki, z której dochodziły d wi ki radia Coriany.

– Wracam po dniu ci kiej harówy i nadziewam si na jakie melodramatyczne zagadki – mówił gniewnym szeptem. – Czy byłaby łaskawa wyja ni mi, co si tu, u diabła, dzieje?

– Wiele si zmieniło, od kiedy wyjechali my z Kalifornii.

– Czy chcesz powiedzie , e t sknisz za czasami, kiedy siedzieli my na zachodnim Levittown?

– Ach, Larry – poddała si z westchnieniem.

Chyba si odchudza. Jest o wiele chudsza. Tak mizernie wygl dała tylko po urodzeniu Janey. Fala bezradnej lito ci sprawiła, e zacz ł wrzeszcze .

– Masz kogo ! – To stwierdzenie było wierutnym idiotyzmem.

– Miałam poprawiła go.

Nagły ból przesywaj cy głow przeraził Larry’ego. Faceci w jego wieku dostaj czasem wylewów.

– Miała ? – Wybałuszył oczy na Ann.

– Zerwali my ze sob .

Jednym haustem wychylił resztk scotcha.

– Siedzisz sobie jakby nigdy nic i oznajmiasz mi, e puszczasz si z jakim facetem?

– Zerwali my – powtórzyła.

– Nie mog w to uwierzy ! – Faktycznie, nie mógł w to uwierzy . Jego ukochana oneczka, liczna i cnotliwa, jego niewinna oblubienica, Ann, która nigdy nie musiała si niczego wstydzi , sypiała z jakim facetem.

– Nienawidz oszukiwa .

– W porz dku. Nazwijmy fakty po imieniu: moja onka rozkłada nogi przed ka dym, kto j tylko o to poprosi.

– To nie miało nic wspólnego z nami. – Ann rozplakała si .

– Nic wspólnego z nami? Ty suko, ty ałosna pizdo!

Wiedział, co nale y zrobi po takich słowach. Znał kolejno post powania na pami , wtłoczono mu j w umysł od najwcze niejszego dzieci stwa. Powinien zrzuci teraz Ann z krzesła, spra dokładnie po twarzy, a potem przyło y jej z piachy albo odpi pasek. Jednak Larry nie był typem damskiego boksera. Trzymaj c si za głow , wybiegł do gara u. Po chwili Lincoln mign ł po wirowanym podje dzie.

Nast pnego wieczora wrócił do domu z bukietem dwunastu czerwonych ró . Ann le ała ju w łó ku.

– Prosz – powiedział bezradnie i wr czył jej kwiaty.

– Dzi kuj . – Wstała i zdj ła z kominka w sypialni słój po pierniczkach.

Poszedł w lad za ni do łazienki. Patrzył, jak nalewa wody do słoja. Odwrócił wzrok od brakuj cych kafelków. Tyle razy jej przypominał, i zawsze zapominała o telefonie do glazurnika.

– Ann, sko czyła z tym facetem? – Patrzył na jej odbicie w lustrze.

Potakn ła. Zaj ta przekładaniem ró z kartonowego pudła do biało-niebieskiego słoja, nie odwzajemniła spojrzenia.

– To czemu wobec tego wspominała o... – słowa z trudem przechodziły mu przez zaci ni t krta – ... o rozwodzie?

– Ty te kogo masz.

– Co ty opowiadasz!

– Larry, oszcz d my sobie kłamstw. – Ukłuła si cierniem; wło yła palec do ust i wyssała krew. – Wiem, e masz dziewczyn .

– Chyba ci si dzisiaj w głowie miesza.

– Widziałam was. Dwa dni temu.

– Mnie i Marjan?

– Tak. Ciebie i Marjan.

– Wyobra sobie, e szli my na sesj zdj ciow .

– Ja ci powiedziałam prawd .

– To nic powa nego – wymamrotał po kilku gwałtownych uderzeniach serca.

– Larry, ja ci o nic nie oskar am. Nie mam prawa ci oskar a .

– Ty i dzieci to całe moje ycie. – Opadł na brzeg wanny i ukrył twarz w dłoniach.

– , ... – usłyszał po chwili. Mówiła do niego niskim, koj cym szeptem.

Biedny, biedny Larry – my łała gładz c go po włosach. Nie był ani podły, ani okrutny, nie gonił ani za władz , ani za pieni dzmi. Jego maniakalna rozrzutno nie była prób

zaimponowania wiatu, lecz błaganiem: zaakceptujcie mnie, polubcie mnie, zobaczcie, jaki ze mnie fajny gość, kochajcie mnie.

Wiadomo, że go zdradzała, musiała potwornie zranić jego nieszczęsnego, przewrażliwionego. Nic dziwnego, że wybiegł z domu. Kolejny raz wpadła w sidła litoci, niepomna krzywdy, jak jej wyrzuciła, zachowuj się jak dziecko. Pocałowała go w rzednięte zmierzwiłone włosy.

– Malutka, ty i dzieci to wszystko, co mam – powiedział urywanym głosem.

Później, kiedy jadł kolację, którą mu podała – omlet z serem polany, tak jak lubił, konserwowym sosem chili Hormela – Ann myła naczynia w zlewie, relacjonując przebieg lunchu z Gilberte i Yves Rolandem.

– Nie powiedziała mi tego wprost. To mnie boli. Zostawiła nas samych w Colony i on mi o wszystkim powiedział. Facet, którego w dzieciństwie przedtem nie widziałam na oczy.

– Nie w tym, że to jakaś nowa, niecodzienna twarz w świecie mody – o wiadczył Larry pocieszając – ale jako nigdy o nim nie słyszałem.

– Musi być niezły. Pracuje dla Cortini.

Z tostera wyskoczyły dwie grzanki z kruszonego chleba.

– Schiaparelli, Cortini, kto by je tam od siebie odróżnił – zbagatelizował smarując grzankę masłem.

– Larry, jej nazwisko figuruje na wszystkich moich szkicach, a jemu przyznała przywilej podpisywania ubrań „Yves Roland dla Gilberte de Permont”.

– Wielkie mi co. Słuchaj, mała, przecie podpisała z nim umowę, że wszystkie twoje projekty są jej własnością.

– Kawy? – spytała słabym głosem.

– Nie, dziękuję. – Patrzył, jak ona niesie naczynia do zlewu, po czym dodał z namysłem:

– Wiem, że ci zdenerwował ten typ z Paryża, ale weź pod uwagę, że Gilberte jest twoją przyjaciółką i na pewno próbuje dać ci coś do zrozumienia.

– Do zrozumienia?

– Tak, chce ci powiedzieć, żeby siedziała z dziećmi w domu i nie przejmowała się niczym.

Ann mocno przytrzymała się zlewu, wpatrując się w dziurę w cianie, kształtem przypominającą gruszkę. Nigdy nie wystarczyło pieniędzy, żeby ją załatać.

Nie mogła wydusić z siebie ani słowa. To, że Larry uważał jej pracę wyłącznie za osobisty kaprys, zawsze doprowadzało ją do szaleństwa. Teraz jednak pierwszy raz przyszło jej do głowy, że Gilberte może zredukować jej pensję.

Przez następnych parę dni Ann nie mogła się zdobyć na wyjazd do Nowego Jorku. Choć pracowała w domu, więc jej nieobecność nie powinna wzbudzać niepokoju, mimo to naliczyła aż dwadzieścia siedem telefonów z zapytaniem, czy dobrze się czuje. Dzwonili wszyscy – począwszy od Moe Sbicca, kierownika działu sprzedaży, a po chłopca na posyłki, Maisla, którego imienia nikt nie znał. Nikt z dzwoniących nie wspomniał o Yves Rolandzie, łatwo było jednak odgadnąć, że solidaryzują się z Ann, wiedząc, jak nieuczciwie została

potraktowana przez Gilberte. Podczas tych rozmów ołdek podje d ał jej do gardła; parazy po odło eniu słuchawki biegła do toalety z wymiotowa .

Od czasu do czasu przychodziło jej do głowy, eby zło y wymówienie, nie był to jednak realny pomysł. Kto przyj łby do pracy nie znan nikomu osob na podstawie własnych zapewnie , e projektowała dla Gilberte de Permont, kiedy na lewo i prawo kr yły zarówno oficjalne, jak i poufne opinie, e wła cicielka firmy G de P zrewolucjonizowała damsk mod ? A gdyby nawet jakim cudem znalazła prac , kto w tym krwio pijczym wiatku dałby jej tak pensj , jakiej Porterowie teraz bardziej ni kiedykolwiek potrzebowali?

Lany próbował pocieszy on , ofiarowuj c jej pokryte szkarłatnym aksamitem pudełko czekoladek firmy Godiva i czarn portfelow torb z krokodylej skóry; w rodku torby wytłoczone było nazwisko znanego z wysokich cen Henri Bendela. (Ann zwróciła torb , niestety, czekoladki nie podlegały zwrotom.) Lany spl drował te sklep z zabawkami F. A. O. Scharza – nie miała serca zwraca prezentów, które nakupił dzieciom. Targana morderczymi instynktami wobec m a, wstrz sana histerycznym miechem, w ko cu si poddała. Kilka rachunków mniej czy wi cej – jakie to w ko cu ma znaczenie? Miała ich w metalowym biurku dostatecznie du o, eby siedzie w długach do ko ca ycia.

W dniu powrotu do pracy była pewna, e jej przypuszczenia nie s bezpodstawne. Gilberte musiała wiedzie o Santa Fé.

W drzwiach jej oszklonej matowymi szybami pracowni dopisano pod nazwiskiem Ann jeszcze jedno nazwisko. CARTWRIGHT POLLITT.

Na podłodze kl czał, upinaj c d insow spódniczk na manekinie, młody przesadnie utleniony m czyzna o urodzie m skiego modela.

– Cartie Pollitt. Jestem asystentem pana Rolanda – przedstawił si . – Wła nie próbuj rozgry jego model.

Ann oparła torebk i teczk z projektami o swój stół kre larski. Stół był zaj ty. Wła ciwie nie stało si nic nadzwyczajnego. Kto wie, mo e upokorzenie oka e si zbawienne dla jej cudzoło nej duszy?

– Zaczekaj – powiedziała. – Poka ci, jak to ma by .

Którego wieczoru w połowie kwietnia Ann i Larry spó nili si na poci g do Darien. Nast pny mieli dopiero za niecał godzin . Zeszli do baru Pod Ostryg w podziemiach dworca. Rozlu niło si i udało im si znale wolny stolik.

Larry, nienaturalnie milcz cy, zapatrzył si w szklaneczk scotcha. Ann wyj ła kosmetyczk . Do marca tego roku rzadko malowała si nawet szmink , teraz jednak zaczę ła u ywa pudru w płynie, tuszu do rz s i cieni do powiek. Cho jej twarz ton ła w makija u, patrz c w przyprószone pudrem lusterko, Ann zdawało si , e widzi oznaki zarówno t sknoty za Ouentem, jak i nie ko cz cych si katuszy, które prze ywała w pracy.

Kiedy kelnerka przyniosła bł kitka dla Ann i gulasz rybny dla Larry’ego, bar opustoszał do ko ca.

Larry si gn ł przez stolik i dotkn ł r ki ony. Od krytycznego dnia był dla niej bardzo czuły, chocia nie kochali si ani razu.

– Powoli zamienia si w wampira – powiedział.

– Kto?

– A kto by? Gilberte. – Rozejrzył się sprawdzając, czy nikt ich nie słyszy. – Chodź słuchaj, kiedy rozmawiała z Davise i Bentonem. – Dla Larry'ego powodem do dumy był zawsze fakt, że Gilberte, nawet podczas targów inauguracyjnych sezon, nigdy nie zwracała się do Davisa i Bentona, niezwykle wpływowej agencji reklamowej, uważanej za wyrocznię w dziedzinie mody. – Podobno zamierza wziąć kogoś spoza firmy.

– Wiesz, jak w tym wiatku ludzie lubią plotkować – pocieszyła go Ann. – Jakie pogłoski i tyle. W swoim fachu jesteś przecie znakomity.

– Masz rację. Po co miałaby to robić. – Nadal jednak wyłamywał palce i nie sięgał po łyk.

Gilberte miała w zwyczaju o dziesiątej rozpoczynać dzień pracy, tymczasem w poniedziałek czwartego maja Jordan już o dziewiętej przywiózł ją pod budynek z szarego granitu. Teraz, kiedy udało jej się zająć całe trzecie i czwarte piętro, poszerzyła swój gabinet o przestronną poczekalnię. Wiele kwiatów stało już w wazonach, a sekretarka stuknęła na maszynie.

– Dzień dobry, *madame*, miło pani widzieć wiec utkała o tak wczesnej porze. – W głosie sekretarki nie było zaskoczenia. Gilberte zdecydowała się zatrudnić trochę i przerażenie chude kobiety, ponieważ nawet w najwęższym stresie zachowywała swój słodki głos, z jakimi spikerzy radiowi zachwalają rekordy na przeczyszczenie.

– Jak przyjdzie Larry Porter, poproś go do mnie.

– Nigdy nie bywa w pracy o tej porze, *madame*.

– Nigdy? – powtórzyła Gilberte chłodno.

– Z tego, co wiem, ale pracuj tutaj dopiero od kilku miesięcy.

Urwane policzki sekretarki zapadły się, nadając jej twarzy wrogi wyraz. Gilberte podsłuchiwała dostatecznie urywanych rozmów, żeby domyślić się, ile niechciało wzbudzało jej posunięcia, prowadzące, *de facto*, do degradacji Ann. Zatrzasnęła się w nagłym przypływie w cień wiatu, jej odwiecznego wroga, uosobionego teraz w postaci sekretarki o trupiej czaszce.

– Proszę przyjmować telefony – poleciła lodowatym tonem.

– Od zaraz, czy kiedy przyjdzie pan Porter?

– Mówiono mi, że mój angielski jest bezbłędny. Od zaraz. – Zatrzasnęła się za sobą drzwi do gabinetu. Zastygła dysząc bezładnie. Dławił ją lęk, rozpacz, paniczna bezradność. Bo e, Bo e, całe życie to samo – wiecznie była dla wszystkich *la p'tite bdtarde*. Otworzyła zamek szuflady biurka, w której trzymała rekordy uspokajające.

Kiedy już przestała się trząść, doszła do wniosku, że o mieszańcu, reagując tak ostro na słowa sekretarki. Przeszła do stolika ze szkicami Yvesa. Zatrzymała się nad projektem. Jej zmysł krytyczny podszeptł, że kostium będzie ładny, ale pozbawiony cienia oryginalności. Już przed laty pogodziła się z faktem, że brakuje jej wrodzonej pomysłowości. Nie była w stanie powiedzieć Rolandowi, co trzeba zmienić w akcie i jaki krój nadać spódnicy, żeby strój miał w sobie zaskakujący urok projektów Ann. W całej kolekcji tylko seria z dalszym

b dzie cokolwiek warta.

Wymuszony lekami spokój zmienił się w bolesną nostalgię. Oddałaby duszę (jeśli jeszcze posiada ten bezużyteczny rekwizyt) za powrót do niezmiernie przyjaźni dwóch bawiących się w „projektowanie” nastolatek – cóż to była za wspaniała zabawa.

Jestem straszliwie samotna – pomyślała.

Od czasu podróży na zachód Quent bywał w domu jeszcze rzadziej niż zwykle. Odnosił się do niej z powściągliwością. Dla Gilberte małżeństwo zawdzięczało się do panicznego lęku przed rozstaniem i natychmiastowej czujności, kiedy tylko Quent zaczynał rozmawiać z jakkolwiek kobietą. Miał stać się obcym człowiekiem, ojciec nie był, syn należał do Ann. Podwładni nie pogardzali. Z półotwartymi ustami, Gilberte przeniosła szkice Yvesa na biurko i zaczęła notować uwagi.

Została jej tylko jedna przyjaciółka.

Firma Gilberte de Permont, Incorporated.

Zegar Faberge, dawna własność księcia dynastii Romanowów, wskazywał za pięć dwunastą, kiedy zadzwoniła sekretarka z wiadomością, że przyszedł Larry. Gilberte odczekała pół godziny, zanim kazała go poprosić.

Energicznym pchnięciem otworzył drzwi.

– Witaj, szefowo! – powiedział rzucając na wszystkie strony chłopskie spojrzenia. – Nie moglibyśmy naszej narady wojennej odłożyć na popołudnie? Powiniennem lecieć do Sardiego. Szykujemy pokaz twojej kolekcji w programie Eda Sallivana.

– Niestety – przerwała mu. – Mam do ciebie sprawę⁵ niecierpiącą zwłoki.

Odwrócił się do sekretarki i poprosił, żeby zadzwoniła do jego współpracowników od Sardiego i wyjaśniła, co wypadło mu z głowy i dołczył do towarzystwa z opóźnieniem.

Płaszczycym się tonem zaczęła rozprawiać o rosnącym znaczeniu reklamy telewizyjnej.

– Larry, mam bardzo mało czasu – przerwałamu Gilberte.

– No to weźmy się do tego.

– Przeglądałam twoje rachunki słubowe – powiedziała otwierając szufladę i wyjmując skoroszyt, wypełniony białymi, różowymi i różnymi kwitami.

– Oto żywy dowód na to, że wypruwam sobie żyły dla ciebie.

– Cóż za niecodzienne wyrażenie. Czy mam przez nie rozumieć, że zajmowałaś się wypełnianiem swoich obowiązków słubowych?

– Trafiała w sedno, szefowo. – Z wymuszonym uśmiechem młasknęła i próbując językiem i wycelował palec w Gilberte.

– W tym, czy to były obowiązki wobec firmy. Na przykład ten – pchnęła kwit w jego stronę – pochodzi z hotelu Montague.

– Nie pamiętam tam, co tam robiliśmy. – Larry’emu zadrżała grdyka. – To musiała być jakaś bibka dla zamiejscowych kontrahentów.

– Z całkowitą pewnością ci nie – oświadczyła chłodno. – Poprosiłam Jordana, żeby przejechał tamtędy w drodze do pracy. Montague to hotelik z pokojami na godziny.

– Takie miejsca łatwo podupadają ...

– Ostatni rachunek ma datę dwudziestego ósmego kwietnia tysiąc dziewięćset

piędziesiąt tego trzeciego roku. Rzadko zdarza się, żeby jakieś miejsce podupało w niecałym tygodniu.

– Przyłapała mnie na gorącym uczynku – przyznał z bladym uśmiechem.

– Dział rachunkowo ci podliczył, a w sumie przysłał do nas trzydzieści dwa rachunki z hotelu Montague.

– Zwróć wam wszystko.

– To nie ulega kwestii. – Wybrała kolejne rachunki. – Constance Spry. Wygląda na to, że w ciągu tego roku wysłała jak nieprawdopodobnie dużo bukietów.

– Gilberte, jak Boga kocham, znasz te wszystkie damy, które u nas zamawiają. Każdej marzy się bukiet od podłogi do sufitu.

– A modelki? Widz, że orchidee zostały wysłane pani Mary Jane Peterson z Ojueens.

Marjan, którego pseudonim był zbitką dwu imion, orchidee przesyłane do mieszkania rodziców napawały dziecięcym triumfem.

– Wszystko zwróć. Wszystko, co nie było ci leżące z obowiązkami służbowymi. – Zachichotał. – Gilberte, oboje dobrze wiemy, że wydatki reprezentacyjne to dosyć umowny termin.

– Jako ostro na Francuzka mogą ci tylko pozazdrościć pogody ducha. – Stuknęła palcem w stert faktur na biurku.

– Wydała niebotyczne sumy we wszystkich możliwych restauracjach i barach Manhattanu, ponieważ jednak trudno sprawdzić, kogo w rzeczywistości podejmowała, zdecydowałam się darować ci te rachunki. Suma wydatków niezwiniętych w jakienś sposób z firm Gilberte de Permont wynosi dwadzieścia cztery tysiące trzysta dwadzieścia dziewięć dolarów.

Krew odpłynęła mu z twarzy. Suma przekraczała jego roczne dochody, w które wliczył te zarobki Ann.

– Zapłać – oświadczył głośno.

– Jest jeszcze jedna sprawa, mniej kosztowna, ale za to poważniejsza. Od paru miesięcy ktoś stale podkrađa ubrania z moich magazynów.

– Rany boskie, Gilberte. Przecież mnie znasz.

– Zauważyłam, że Marjan często nosi coś z naszych kolekcji. Rozmawiałam z nim wczoraj i mówiła, że dostaje te rzeczy od ciebie.

– Przecież ona jest Dziewczyną G de P! – Głos ugrzeszył mu w gardle.

Gilberte stanął przed oczami młody amerykański porucznik w przekrzywionej zawadiacko czapce, taszczący pudła przysmaków do jej koszmarnego mieszkania w Saint-Ouen. Zaprażyła nagle darować mu wszystko, jednak zwyciężył imperatyw zemsty.

– Larry, moje towary są kosztowne. To nie jest jakieś drobne nadużycie, tylko normalne przestępstwo kryminalne.

– Zapłać ci za każdą rzecz, którą, według ciebie, dałem Marjan.

– Warto przedmiotów, do których się przyznała, oceniam na pięćset dolarów, naturalnie z uwzględnieniem zniżki, jaka przysługuje ci jako naszemu pracownikowi.

– Powinna chodzić w naszych ubraniach – wybuchnął.

– Przyznasz, że decyzja w tej sprawie należy do mnie. – Gilberte zamknęła skoroszyt. – Kradziono odzież i fałszywe rachunki... to będzie razem dwadzieścia pięć tysięcy osiemset.

– Nie ma sprawy.

– Sam rozumiesz, że w tej sytuacji nie mogłem jej zatrudnić ani ciebie, ani Ann. – Zrobiła małą przerwę. – Musicie poza tym oddać dług.

– Jaki dług? – spytał wpatrując się w nią z osłupieniem.

– Przejście wasz dług hipoteczny.

– Przecież termin spłaty jest dopiero w tysiąc dziewięćset pięćdziesiątym szóstym roku!

– Zdaje się, że podpisując umowy i Ann nie przeczytaliście jej dokładnie. Punkt piąty, podpunkt B, stwierdza, że w wypadku zerwania umowy o pracę z firmą Gilberte de Permont Incorporated dług musi zostać spłacony natychmiast.

– Czy pomyślała chociaż przez chwilę o mojej rodzinie?

– Larry podniósł głos do krzyku. – Pomyślała o Ann? Podobno jest twój przyjaciółka.

– Wnosząc z twoich wizyt w Montague i podarunków dla Marjan, ty też nie dbasz o Ann.

– Przypomnij sobie Paryż. Przypomnij sobie, jak stawali my na głowie, żeby ci pomóc.

– Poniąsz się tylko.

– Pomyśl o Michaelu.

Michael zacisnął dłoń pod zabytkowym biurkiem. Jej syn. Gdyby Quent dowiedział się o Michelu, natychmiast by ją porzucił. Zawsze przeczuwała, że przyjdzie dzieć, kiedy Michel stanie się niewinną ofiarą przysięgi sprzed lat, teraz jednak poczuła, że rytualny nóż przeszył jej pierś.

Nie dając poznać po sobie bolesnego rozdarcia, spojrzała pogardliwie na Larry'ego.

– Jeśli jeszcze raz powiesz coś takiego, oddam sprawę w ręce policji.

– Ty suko – powiedział niskim, stłumionym głosem. – Ty zimna, krwiożercza suko... – Głos odmówił mu posłuszeństwa i Larry wybiegł z gabinetu.

Trzasnęły drzwi. Gilberte przeszył dreszcz. Czując, że przekroczyła cienką jak włos granicę, ale co za tę granicę leżało – nie umiała powiedzieć.

Tego samego wieczoru Ann odwoziła Janey przez sielankowe, tonące w wiosennej zieleni Darien do kolejnej mieszkalnej dzielnicy nad jeziorem Holly Pond. Michael, który niedługo miał skończyć dziewięć lat i postanowił po wyjeździe do studiów nad owadami, został w szkole, żeby dokończyć prace o pajkach – nazywał je pajczakami. Coriana miała wolne. Kiedy Ann przekręciła klucz w drzwiach wejściowych, ogarnął ją spokój. Miała zagwarantowanych kilka godzin pracy w pustym domu; nieważne, że w tym czasie przyjdzie jej się biegać nad wstawieniem zameczka do balowej sukni Yves Rolanda – kreacja miała w sam raz tyle polotu, że królowa-matka spokojnie mogłaby ją przywdziać do trumny. Najważniejsze, że będzie pracować; tylko praca odrywała ją od niewesołych myśli.

Dochodząc do półpietra, usłyszała nagle dziwne chrapliwe dźwięki dochodzące z małej sypialni. Pchnęła drzwi. Larry leżał na wznak na włochatej narzucie. Obok łóżka stała na sztorc pomalowana przez Ann skrzynka po pomarańczach, pełniła funkcję nocnego stolika. Skrzynką wieczyła butelka. Potrzebowała ramieniem Larry'ego. Dalej leżał z nie

domkni tymi ustami, był nieprzytomny.

Larry, z gruntu towarzyski, nie należał do typów, które piją do lustra. Poza tym, nie zdarzało mu się w tygodniu wracać do domu wczesnym popołudniem. Z zaskakującą miną wróciła na dół, aby zaparzyć kawę.

Wreszcie ta suka wymówiła mi – powiedział półtorej godziny później Larry. Jeszcze nie całkiem trzy tygodnie, perorował z głośnym oburzeniem: – Twierdzi, że za dużo wydałem na G de P, w związku z tym mnie wylewa. Skoro uznała, że za dużo wydałam na koszty reprezentacyjne, dlaczego, do cholery, nie ustaliła wcześniej jej górnej granicy?

– Naprawdę ci wyrzuciła? Może to było tylko ostrzeżenie?

– Malutka, jesteście my oboje na bruku.

– Oboje? Ja też?

– Oboje, niech szlag trafi tamron suk.

– O Boże...

– Sam w to nie mogłem uwierzyć. Wylała mnie, chociaż obiecałam jej, że oddam pieniądze za każdy rachunek, który zakwestionowała.

– Dlaczego niby miałby to robić? Przecież wydałam te pieniądze w trakcie wykonywania obowiązków służbowych?

– To, że jest wredną suką – zaczął Larry tonem urażonej niewinności – nie zwalnia mnie z zachowania się jak przystało na dyrektora.

– Ile masz zapłacić?

– Około piętnastu tysięcy.

– Około piętnastu tysięcy?!

– No może tysiąc albo dwa tysięcy.

– Czyli ile?

– Dwadzieścia... no, raczej około dwudziestu pięciu tysięcy. Popatrzyła na niego poważnie. Dotychczas udawało mu się przejść przez życie z przebiegiem – nieobcym znacznej części ludzkości – a jeżeli nie błądził po całym swoim kłopotem uwagi, automatycznie przestał istnieć. Jednak nawet najbardziej optymistyczny strumień musiał wyjść z piasku pod zranionym spojrzeniem ogromnych oczu Ann.

– W dodatku da zwrotu długu hipotecznego.

– Tych pieniędzy, które za nas wpłaciła?

– W umowie stoi czarno na białym, że z chwilą kiedy przestaniemy u niej pracować, musimy zwrócić pożyczkę.

– Pójdź do niej jutro rano. – Ann zerwała się z miejsca.

– Porozmawiam z nią...

– To się na nic nie zda. Uwziła się na mnie, nie pytaj o co, po prostu się uwziła. Może dotarło do niej, że masz coś o Yves Rolanda.

Ann mocno zacisnęła zęby. Jedną z niezbyt atrakcyjnych cech Larry'ego była niezdolność do stawiania czoła konsekwencjom własnych poczynań i skłonność do zrzucania winy na

innych. Był może jednak Lany faktycznie był kozłem ofiarnym.

– Co wobec tego zrobimy?

– Troszkę ufno ci wobec losu. – Umiechnął się rozmazanym pijackim uśmiechem. – Malutka, ka dy, kto chce zrobić karierę, lubi, kiedy jego nazwisko staje się przedmiotem powszechnego zainteresowania. Wyrzuciła mnie, no i co z tego? Był może to najszczęśliwszy przypadek w moim życiu. Nasz Lany dobrze wie, gdzie się stawi, o jakiej porze i w jakiej sprawie...

Jego pełne ufno ci słowa cichły, w miarę jak Ann domykała drzwi nasłonecznionej sypialni.

Zamknęła za sobą drzwi kantorku. Oparła głowę na biurku z Armii Zbawienia. Gdyby Lany teraz zajrzał do pokoju, chyba by mu coś zrobiła. Przez parę minut siedziała zrezygnowana, oddychając nierówno, potem wyprostowała się, mrużąc pod nosem jedno z ulubionych powiedzonek Dorothy: „Nie warto płakać nad rozlanym mlekiem”. Rozejrzała się za kawałkiem papieru. Natrafiła na błękitny kartek z notatnika Yves Rolanda. Kanciastym charakterem pisma przypominał jej po francusku, że wszystkie projekty do następnej kolekcji będą komponowane na żywych modelach.

Chyba powinnam ten kartek przekazać Cartiemu Pollittowi – pomyślała odwracając niebieski papier.

Napisała:

„\$ 25 000. 00”

Spojrzała na liczbę zer i pobladła. Zaciskała szczękę, sięgnęła do najwyższej szuflady po lewej stronie, w której kiedyś były niezapłacone rachunki. Nigdy nie mogła się zdobyć na to, żeby je zsumować. Teraz wypisała długi szereg liczb. Suma wyniosła dziewięć tysięcy siedemset sześćdziesiąt trzy dolary i dwadzieścia sześć centów. Dodała je do ich zadłużenia wobec Gilberte i zapatrzyła się w kolejną kwotę.

„\$ 34 763. 26”

W obliczeniach nie brała pod uwagę długu hipotecznego ani należnych odsetek. W miasteczku rozstała się już z domem. Ceny nieruchomości poszły w Darien ostro w górę, przy odrobinie szczęścia, mogli na sprzedaży zarobić dziewięć do dziesięciu tysięcy dolarów – sam Bóg wie, jak bardzo potrzebowali tych pieniędzy. Na osobnym wstęku podliczyła, ile wyniosły minimalne wydatki na życie. Kiedy przestanie zarabiać, nie będzie w stanie utrzymać ani Coriany do opieki nad dziećmi, ani pana Popescu do opieki nad ogrodem, co nie znaczy, że kiedykolwiek było ich na to stać naprawdę. Do końca swoich dni będzie żyła w ubóstwie, a kiedy wreszcie przyjdzie śmierć, być może zabierze ich z plikiem niezapłaconych rachunków.

A może ogłosi niewypłacalność? Natychmiast odrzuciła tę myśl. Czy może być coś bardziej moralnie odrażającego od przywłaszczenia pieniędzy osób, które kiedyś zaufały? Poza tym posunięcie tego rodzaju nieodwracalnie zaszargałoby im reputację. (Przez całe dzieciństwo w Paryżu wysłuchiwała potajemnych utyskiwań Dorothy i Horace’a na temat dawno nie żyjącego Blakelye’go z Wichita, który zbankrutował w czasie kryzysu tysiąc dziewięćsetdziesiątego roku.)

Za oknem rozległo się głośnie, metaliczne brzdęknięcie. Wracający ze szkoły Michael upuścił swój rower marki Schwinn – jedną z nielicznych rzeczy, za które Lany zapłacił gotówką. Ann zerwała się. Zastukała w okno i pomachała do syna. Uniósł prawie do nieznacznie o kilka centymetrów i odwrócił się do niej plecami. W pewnym sensie Ann była równie niepoprawnym optymistą jak Lany – w najczarniejszej sytuacji potrafiła zawsze dostrzec jasne strony, do których z pewnościami zaliczała się para zdrowych, wspaniałych dzieciaków.

W dziesiątym musieli sprzedać dom – oświadczyła, kiedy szykowali się z Lanym do snu. – I to natychmiast.

– Moje ty tak uważasz. – Lany ustawił czarne a urowe półbuty od Gofortha pod wieszakiem przy łóżku. – Robisz się nudna, nie wiem, czy zdajesz sobie z tego sprawę.

– Przecież nie mamy wyboru.

– Nigdy nie wierzyłaś, że dam sobie radę, przyznaj się.

Przez następne parę dni Larry'emu nie drgnęła nawet powieka, kiedy Ann wspominała o możliwości sprzedaży. Utrata pracy wystarczyła go zdruzgotała; nie miał najmniejszej ochoty wsłuchiwać się w bolesne jęki, która rozlegała się w jego duszy, ilekroć Ann poruszała temat wyprowadzenia się z Darien – z domu jego snów.

W następnym poniedziałek, przed dziesiątą rano, Ann udała się samochodem do Salt Box, biura obrotu nieruchomościami w Darien. W drodze po południu przez pokoje przetoczył się zastęp zasnurowanych w gorsety agentek w średnim wieku, doradzając Ann to czy tamto nadmierem kaw i słodkimi bułeczkami.

Coriana przyjechała z płaczem wiadomości o utracie pracy, przytulając Janey, swoje słodkie jagniętko, do obfitego łona. Murzynka w ciągu paru godzin załatwiła sobie nową posadupactwa Newcombe w Tokenoke nadciągnięciem Long Island i kiedy pan Newcombe przyjechał po nią i po jej blaszany kuferek, wszyscy płakali – Coriana, Ann, dzieci. (Lany, który nie umiał patrzeć na demontaż swojego życia, rzadko się w domu pokazywał.) Pan Popescu nie wyglądał na poruszonego. Jednak Timmy Popescu, jedyny przyjaciel Michaela, przestał z nim rozmawiać, a w szkole zachowywał się wobec niego w obelżywy sposób. Michael, jak to on, nie wspominał o tym rodzicom, ale nauczycielom zaczął stwarzać trudności wychowawcze. Przedtem połykał książki jedną za drugą, teraz, w mrukliwym nastroju, wysiadywał godzinami przed telewizorem.

Ann nieustannie myślała o Ouencie. Dawniej jego pieniądze odpychały ją i przerażały, teraz, po raz pierwszy w życiu, zaczęła mu zazdrościć bogactw.

Czego by nie robiła, mając takie góry pieniędzy! Po nocach niła, ale w objęciach prawdziwego Quenta.

Dwa tygodnie po zwolnieniu z firmy Gilberthe de Permont, Incorporated Ann i Lany dostali list od adwokatów Kempa i Schuylera, którzy zawiadamiali ich, że występuje w imieniu pani Dejong w sprawie zwrotu udokumentowanej prawnie pożyczki.

– ... pani Porter? Na pewno zapomniała pani po prostu o rachunku od doktora Skagga...

– ... pani Porter? Termin zapłaty za remont dachu upłynął pierwszego listopada pięćdziesiątego drugiego roku...

– ... pani Porter? To już trzecie upomnienie z naszej strony. Od tej chwili będziemy zmuszeni przekazać sprawę komornikowi...

Zawsze dostawali telefony z daniami zwrotu pieniędzy, ale teraz wierzyciele musieli dodatkowo wywsiżyć utratę pracy Larry'ego i Ann; krążyli wokół Porterów jak wygłodniałe sypki. Ann znienawidziła telefon – czasami słyszała, że dzwoni, i nie podnosiła słuchawki. Podobnie odrazem czuła do blaszanej skrzynki ze sklepionym daszkiem, w której czekały siurówki koperty. Za sumę dwa razy wyższą od ceny kupna sprzedała kilka zabytkowych mebli, które troskliwie sama odnowiła. Za jedną piętę ceny pozbyła się zdobionej złotym brzegiem zastawy z porcelany Lenoxa, na którą Lany szarpnął się dwie wigilie wcześniej. Pieniądze z tych sprzedaży trzymała w rodkowej szufladzie biurka. Potrzebowała ich rozpaczliwie na wyżywienie i przejazd do Nowego Jorku.

Tego roku maj był wyjątkowo chłodny. W tygodniu Larry co dzień jeździł do miasta, rozglądając się za jakąś posesją. Wracał do domu uskrzydłony nadzieją i alkoholem i opowiadał Ann ze szczegółami, jak to wszyscy stawiali mu drinki i składali fantastyczne propozycje. Drugiego czerwca nadeszły dwa rachunki. Bary u Gallaghana i u Lindy'ego domagały się uregulowania pozostałych rachunków podpisanych zamaszyście przez Larry'ego.

– Jak mogłem? – rozjuszyła się Ann.

– Bardzo do ciebie podobne! Wyzywasz się na mnie, bo jest cholerny kryzys! – wrzasnął. Zaraz jednak pocałował ją ze skruceniem, po czym cudownie pomagał zajmować się dziećmi.

Ann nowe rachunki dorzuciła do starych.

Następnego dnia poprosiła Lanyego, żeby zajechał się domem, a sama pojechała sprawdzić, jakie jest w branży zapotrzebowanie na projektanta-widmo.

Milt Copeman, trąc pozostałe nosy, wertował szkice Ann. Kiedy doszedł do odzieży sportowej, kiwnął aprobować głową – był wytwórcą płaszczy dla rednio zamożnych kobiet. Przez dwa tygodnie Ann nosiła teczkę z projektami do wszystkich znanych krawców przy Siódmej Alei – Milt był pierwszą osobą, która okazała chociaż trochę zainteresowania.

– Sł znakomite, kochanie – podsumował. – Tak się składa, że Dessie – Dessie Copeman była moją i główną projektantką Milta – ma zamiar odejść z pracy, kiedy tylko znajdziemy kogoś na jej miejsce.

– Przyjmij nawet skromne wynagrodzenie, jeśli tylko będzie mogła pracować w domu.

– Z tego mógłby być niezły szlagier. – Milt Copeman zalewał popatrzył na kurtkę do połowy uda z zawijanymi rękawami. – Ann, nie musisz ci chyba mówić, ile w naszym *schmatte* biznesie zależy od podrywania połycek. Osobiście korzystam z usług DeJonga na rogu Siódmej i Trzydziestej Trzeciej, mam dobre stosunki z dyrektorem. Sama rozumiesz, że nie mogę cię zatrudnić.

– Przecież Gilberte nie ma nic do powiedzenia w sprawach banku. – Ann poczuła, że zaschło jej w ustach.

– Ludzie szemrzają to i owo, wiesz jak to jest, każdy ci bardziej uwierzy, jak mu co

powiesz na ucho. Plotka głosi, że dyrektor u DeJonga nie podryje weksli nikomu, kto zatrudni którekolwiek z was dwojga. – Copeman uniósł rękę. – Moje dzieci, nie macie szans na pracę w tym mieście.

Wracając pocieszeniem do domu, Ann ułożyła na brudno list do dawnego pracodawcy w Los Angeles.

Dwudziestego czwartego czerwca nadeszła od Severa przychylna odpowiedź. Dwudziestego piątego rozszczębiotana agentka przekazała im propozycję od pewnej pary z White Plains. Oferowali znacznie mniej, niż Ann spodziewała się dostać za dom. Po spłaceniu kredytów bankowych, zwrocie długu hipotecznego z odsetkami i opłaceniu agencji mieli dostać na rękę raptem pięć tysięcy osiemset dolarów.

Jednak, na co nie omieszkała zwrócić ich uwagi szczębiotliwa agentka, poza tym parę nie było żadnych innych.

Ann weszła na górę, żeby naradzić się z Larrym.

– Co o tym myślisz? – spytała.

– Po co pytasz? Znasz moje zdanie w tej sprawie. Zeszła powoli na dół i poinformowała agentkę, że się decyduje.

Ann i Michael Lato 1953

Ubrana tylko w szorty z obci tych d insów i gór od opalacza, Ann pakowała w domowej rupieciarni starocie. Był pocz tek sierpnia; tego wieczoru znad cie niny nie dochodził nawet najl ejszy podmuch, który rozproszyłby panuj c duchot . Otaksowała spojrzeniem drewnian kaczk , u ywan jako przyn t przez my liwych. Trzymała ptaka w r kach poczerniałych od farby drukarskiej z gazet. Powinnam j sprzeda – pomy lała. Jednak czuła sentyment do zwietrzałego drewna, poza tym zabranie kaczki do Kalifornii było jej prywatnym odwetem za ten przykry dzie . Rano zadzwonił do drzwi m czyzna o wystaj cych z bach, ubrany w garnitur z bistoru.

– Nie jestem pocziwym doktorem Skaggiem, prosz pani – oznajmił wciskaj c jej do r ki rachunek od pediatriy. – Z naszym urz dem nie ma artów. Radziłbym zapłaci co do grosza, inaczej ani si pani obejrzy, jak b dzie miała adwokata na karku. Chyba pani nie chce, eby s siedzi naczytali si o pani w tym waszym, jak mu tam, „Darien Review”.

Janey z kole ank zainteresowały si makija em. Najpierw musiała zmy „odporn na pocałunki” szmink z obu dziewczynek, potem z kafelków w łazience i z drewnianej boazerii. Michael, który przez kilka ostatnich dni z powodu chorego gardła nie wychodził z domu, zarzucił tego popołudnia telewizj na rzecz gonitwy z w em ogrodniczym w dłoni po ród po ółkłych, wyro ni tych traw. Przem czenie i lodowata woda to były dwie najbardziej zakazane rzeczy podczas sezonów zachorowa na heinemedin , jednak Michael dopiero co wyszedł z trudnego okresu samotnego buntu, i Ann nie miała serca psu mu zabawy.

Owin ła kaczk w gazet i doło yła do reszty pakowanych rzeczy. Zerkn ła na połączany zegarek. Za siedem dziewi ta. Z Larrym mieli tak umow , e je li nie zadzwonił, e b dzie wcze niej, wyje d ła po niego na poci g o 8. 03. Dzieci le ały ju w łó kach, miały zosta same na jakie dwadzie cia minut. Wsiadła do samochodu, czuj c lekki niepokój i zdecydowan uraz . Sprzedawca samochodu zamierzał wyst pi o zwrot auta, wi c czym pr dzej sprzedała wielkiego luksusowego Lincolna po redniczce, która przej ła spłat samochodu i dała Ann sto dolarów – za t sum kupiła rozklekotanego, przedwojennego Chevroleta z podart tapicerk . Lany nienawidził tego wozu.

Zapalaj c zauwa yła, e wska nik poziomu paliwa jest prawie na zerze. Nie miała ju pieni dzy, eby zatankowa . Rozmy laj c, co by tu sprzeda , poczuła, e oczy zachodz jej łzami. Nienawidziła swojej słabo ci. Wła ciwie obecna sytuacja nie była wcale taka straszna. Na rue Daguerre chodziła od s siada do s siada, błagaj c, eby odkupili lubn zastaw Dorothy. Za pieni dze ze sprzeda y sreber kupowała n dzne ochłapy ywno ci.

Zaparkowała na uklepanym placyku pod nasypem stacyjki kolejowej. mietanka Darien, pracownicy wielkich przedsi biorstw na kierowniczych stanowiskach, zwykle korzystali z poci gu o 5. 32. Kiedy o ósmej zero trzy na peron zajechał jasno o wietlony poci g, wysiadło tylko kilku znu onych m czyzn z walizeczkami.

Larry'ego w ród nich nie było.

Z zaci ni tymi ustami wróciła do domu i zabrała si do pakowania.

– Mama? – Janey zesła na parter. W białej koszulce nocnej, z burz jasnych k dziorków wokół głowy wygl dała jak z płócien preraphaelistów.

– Co tu robisz, kochanie? niło ci si co niedobrego?

– Michael mnie zbudził. Wzescy jak potwór. – Janey, gdy była zaniepokojona, wracała do dzieci cego seplenienia. Teraz, wyrwana nagle ze snu i zaaferowana, sepleniała z urocz powag .

Ann przykl kła, eby przytuli drobne, ciepłe ciałko.

– Kochanie, wiesz, e on nie mógł naprawd zamieni si w potwora. – Michael lubił udawa wilkołaka, eby dokuczy Janey.

– Jest naprawd stłasnny.

Ann odniosła dziewczynk do łó eczka, improwizuj c na temat ulubionej ksi eczki małej. Janey przerywała jej coraz senniejszym głosikiem, wreszcie zasn ła.

Ann przed zej ciem na dół zajrzała do Michaela.

– Mamo – wymamrotał. – Okropnie si czuj .

Podeszła do łó ka i przyło yła mu r k do czoła. Było wilgotne i rozpalone.

– Jeste strasznie ciepły, pewnie masz gor czk . Zaraz przynios termometr.

Doszła do drugiej łazienki, kiedy dobiegł j krzyk. Czy takim głosem wła nie przeraził mał Janey? Z sypialni dochodził przeci gły, upiorny skowyt.

– Co si stało? – spytała dobiegłszy p dem do łó eczka.

– Próbowałem wsta – wyj czał. – Moja szyja...

– Co z twoj szyj ?

– Jak si ruszam, to mnie strasznie boli.

Sztywny, obolały kark stanowił objaw, który ka d matk w Stanach Zjednoczonych napawał najwy sz trwog , jako wst pny objaw heinemedyny.

– Pójd zadzwoni po doktora Skagga – powiedziała Ann najspokojniejszym tonem, na jaki potrafiła si zdoby .

Zanim si dodzwoniła, dwa razy wykr ciła zły numer.

– Prosz poda swój numer – za dał osobnik nieokre lonej płci. – Doktor zadzwoni do pani.

– To jest bardzo pilne wezwanie!

– Prosz poda numer telefonu.

Ann przemkn ła obł dna my l, e doktor Skagg w ten sposób próbuje si zem ci za nie zapłacone rachunki. Przekazała informacje dla lekarza, łami cym głosem powtarzaj c, e dziecko odczuwa ból w karku. W sypialni Michaela powitał j kwa ny zapach wymiotów.

– Próbowałem doj do łazienki – usprawiedliwiał si ochryple. – To heinemedina, prawda?

– Raczej grypa oł dkowa – oznajmiła lekkim tonem. Dr czyła j gonitwa rozszalałych my li. Oczywi cie, e to jest heinemedina – zapalenie szarej substancji rdzenia pacierzowego, polio, parali dzieci cy, bicz Bo y, plaga przerastaj ca ludzkie poj cie. Ka da notatka w

prasie podkreślała znaczenie natychmiastowej pomocy lekarskiej. W zeszłym tygodniu w „New York Timesie” przeczytała artykuł o doskonale wyposażonym oddziale heinemedyny w szpitalu Mount Sinai.

– Michael – odezwała się – musimy pojechać gdzieś, gdzie ci pomogą.

– Nie chcę się ruszać... – Chłopiec się rozpląkał. Dumny samotnik nigdy nie uciekał się do łez.

– Wiem, że to boli, ale zawiezie ci kierowca wielkich generałów. Nazywali mnie „Bezszerzmerowa Blakely”. – Jak to możliwe, że mówiła z takim ożywieniem?

Nie mogła zostawić Janey samej, nie mogła jej też zabrać do auta z Michałem, który wymiotował i rozsiewał zarazki choroby. Przeklinała nieobecność Larry’ego. Była na krawędzi łez. Jak znaleźć o tej porze kogoś do opieki nad dzieckiem? Nagle przyszła jej na myśl Coriana. Jej nowi pracodawcy, państwo Newcombe, byli na szczęście bezdzietnym starszym małżeństwem. Nie wyglądało na to, żeby mieli zabronić swojej służbie popilnowania dziecka w domu, w którym najprawdopodobniej przebywał chory na heinemedin.

Corianie udzieliło się przerażenie Ann. Pani Newcombe ponaglała ją do wyjazdu.

Ann tymczasem przebrała Michaela w czystą piżamę. Zniosła ciężkie, jęczące, rozszlochane dziecko do starego samochodu – żeby chociaż na tę jedną podróż miała z powrotem Lincolna! Łamiąc ograniczenia szybko ci na wykończonych odcinkach autostrady do Nowego Jorku, uniknęła wypadku tylko dzięki temu, że o tej porze nie było już prawie ruchu. W New Rochelle silnik zaczął pokaszływać i zorientowała się, że nie ma benzyny. Wtoczyła się na stację benzynową Paloverde. W portmonetce miała raptem parę groszy, ale obsługujący zlitował się nad nią i przyjął zapłatę czekiem – nie była w stanie zastanawiać się nad wtpliwą moralnością wydawania czeków bez pokrycia. Czekał, a napełnił jej bak, przyłożyła rękę do spoconego, gorącego czoła Michaela.

– Mamo... – wymamrotał ochryple. – To moja wina, że mam heinemedin... bawiłem się w domu...

– Cicho, kochanie, wszystko będzie dobrze. – Był jeszcze bardziej rozpalony niż przedtem, a kiedy zaczął opowiadać o Ivanhoe, zrozumiała, że bredzi w malignie.

Jechała przez Harlem i Manhattan, nie zwracając w ogóle uwagi na czerwone światła.

Parkując przed oddziałem nagłych przypadków szpitala Mount Sinai, w upiornym świetle dostrzegła, że Michael, na podobieństwo ółwia, wbił chudziutką, zeszywniałą szyję w ramiona, a jego twarz ma dziwny sino-czerwony kolor. Walczyło oddech. Nie chciało się wierzyć, że jeszcze przy kolacji był takim samym buńczucznym chłopcem jak zawsze. Kiedy sanitariusze w białych kitlach wynosili go z samochodu, zakwilił przeraźliwym głosem, który cofnął Ann w czasie aż do Saint-Ouen i jego dziecięcych zmagania z miernicą.

Dopełniła wszelkich formalności, dzięki czemu w duchu March of Dimes, organizacji, która wywalczyła bezpłatną opiekę lekarską dla wszystkich ofiar paralizacji u dzieci tego rodzaju. Skierowano ją do sporej poczekalni. Krępe małżeństwo z różnymi warkaczkami poruszało ustami w bezgłośniejszej modlitwie. Dwie podstarzałe blondynki raźnym głosem pocieszały bladego, przygarbionego młodego mężczyznę. Do poczekalni weszła młoda kobieta. Mężczyzna chwycił ją za rękę. Blondynki – sędziwa rozmowa, matka obojga młodych i babki chorego

dziecka – przesiadły si bli ej automatu telefonicznego. Odpowiadały na nie ko cz ce si telefony, stłumionym szeptem przekazuj c informacje kolejnym rozmówcom.

Ann zadzwoniła do Darien. Nie, prosz pani, nie wrócił ani nie zadzwonił, moje jagni tko pi, jak si miewa nasz najdro szy Michael? Ann odło yła słuchawk . Siadła z zamkni tymi oczami, splataj c lodowate dłonie. Jak si miewa nasz najdro szy Michael?

– Pani Porter?

– Tak?

Siwowłosy, przystrzy ony na je a m czyzna w białym kitlu, o pobru d onej, cho dziwnie młodzi ezej twarzy, przysiadł obok Ann.

– Jestem doktor Levinson – przedstawił si cicho. – Czy mógłbym si dowiedzie , jak si Michael miewał i czym si zajmował w ostatnich tygodniach?

Opowiedziała mu o przezi bionym gardle, o tym, jak po południu biegał z w em po ogrodzie.

– Wiedziałam o epidemii heinemediny. Dlaczego mu na to pozwoliłam? – sko czyła dr cym głosem.

– Obwinianie siebie niczemu nie słu y, pani Porter. Jeszcze nie wiemy wszystkiego o tej chorobie.

– Wi c on jest chory na... to?

– Tak wskazuj objawy. Oczywi cie robimy wszystkie mo liwe badania, przeprowadzili my punkcj kr gosłupa.

– A co z Janey? Moja córeczka ma dopiero pi lat.

– Osoba, która si ni zajmuje, powinna dwa razy dziennie mierzy jej temperatur , uwa nie obserwowa i sprawdza , czy po wyj ciu z toalety starannie myje r ce mydłem i wod .

– Czy ona te zachoruje?

– Po co si martwi na zapas, pani Porter. Dosz mamy kłopotów z Michaelem.

Kiedy za oknami zrobiło si szaro, pulchny pogodny wolontariusz w fartuchu w białoniebieskie pasy wtoczył do poczekalni wózek, na którym stał dzbanek z kaw i talerz p czków. niadanie o ywiło troszk przygn bion gromadk . Zacz ły si rozmowy. Dwuletnia córeczka młodziutkiej pary – Joy i Artiego Liebmanów – le ała pod namiotem tlenowym. Matka Artiego mieszkała przy Riverside Drive, matka Joy przyje d ała a z Filadelfii. Aurora i Joe D’Amato byli katolikami. Najmłodsze z ich sze ciorga dzieci, jedyny syn, Dommy, przed dwoma dniami wczołgał si w nocy do ich sypialni. Nie mógł porusza nogami. Dommy zapadł na parali rdzenia kr gowego, najcz stsz posta parali u dzieci cego. Oboje D’Amato modlili si , eby infekcja okazała si przeji ciowa i objawy si cofn ły.

– Dommy grał przez dwa lata na pierwszej bazie w dru ynie beseballowej Saint Ignatius – powtarzał w kółko Joe D’Amato, jakby uprawianie sportu miało by czarodziejskim amuletem, który chroni mi nie chłopca przed zanikiem. Niestety, prawda była taka, e wiele ofiar heinemediny, jak nie yj cy prezydent Roosevelt, cieszyło si znakomit form a do chwili choroby. Ann jeszcze raz zadzwoniła do domu. Coriana poinformowała j , e Janey pi

spokojnie, a pan Porter nie dzwonił.

Pani Porter? – Doktor Levinson wywołał ją do hallu.

Stetoskop zwiisał mu z szyi. Twarz doktora straciła swój młodzieńczy wygląd. Opadł na jedno z drewnianych krzeseł stojących w tej części korytarza. Anna nerwowo przysiadła na siednim krześle.

– Michael? – ponagliła doktora.

– Przykro mi, ale nie mam dla pani lepszych wiadomości – powiedział. – Pani syn ma wirusa rdzeniowo-opuszkowego.

Anna jednak nie była. W poczekalni przewertowała broszury Narodowej Fundacji na rzecz Parali u Dzieci tego. Wiedziała, że szczep rdzeniowo-opuszkowy należy do najbardziej niebezpiecznych i zjadliwych postaci choroby. Odmiana była połączeniem szczepu rdzeniowego, który wywoływał paraliż, ze szczepem opuszkowym, atakującym pień mózgowy i upośledzającym zdolność do przełykania.

To dlatego miał chryp – pomyślała.

– Czy pani się dobrze czuje, pani Porter?

– Nie zemdlej – uspokoiła go. – Gdybym tylko była ostry niejsza, gdybym wczynie niej go tutaj przywiozła...

– Pani Porter – przerwał jej Levinson stanowczo – bicie się w piersi nic pani nie pomoże. Nie mamy żadnych leków, które potrafiłyby zatrzymać chorobę, jeżeli wirus już się dostał do organizmu.

– Czy mogę go zobaczyć?

– Tak. Będzie pani mogła być tylko przez chwilę.

Prowadzając ją przez korytarz, opowiadał o swoim współpracowniku, doktorze Salku, któremu udało się opracować szczepionkę nieaktywnej postaci wirusa. Szczepionka została wypróbowana w marcu i wyniki wyglądały obiecująco. Levinson opowiedział też o doktorze Sabinie, który pracował nad szczepionką z wirusów aktywnych. Anna nie słuchała, co do niej mówił. W magazynie Salowa wzięła jej zbyt obszerny kitel chirurga, zielone papierowe buty, które Anna założyła na sandały, wreszcie przypominające czepki pielomowe czapki, z gumkami, pod którą Anna wsunęła włosy. Wzbraniała się przed założeniem maski.

– Przestrasz mojego synka – tłumaczyła. Salowa wzruszyła tymi ramionami.

– Musi pani założyć maskę, jeżeli chce pani wejść na oddział. Chyba rozumie pani, że nie możemy roznosić zarazków, prawda?

Anna zawiązała podwójne tasiemki tak, że płótno całkowicie zasłoniło jej nos i usta. Z doktorem Levinsonem weszła w drzwi, na których widniał wielki czerwony napis:

ODDZIAŁ ZAMKNIĘTY PARALI DZIECIĘCY

Znaleźli się na korytarzu podobnym do tego, z którego przyszli, było tu jednak o wiele więcej sprzątu i pielgniarek. Anna zajrzała do jednego z pokoi. Pielgniarka wyjmowała dywanice przez cieradło z pralki, dwie owijały w takie same cieradła małego

popłakuj cego pacjenta.

– Okłady Kenny – wyja nił doktor Levison.

Ann usiłowała przypomnie sobie wszystko, co wiedziała o metodzie siostry Kenny, polegaj cej mi dzy innymi na okładaniu mi ni dotkni tych parali em płatami wilgotnego, gor cego płótna.

Jeszcze zanim doktor Levinson pchn ł podwójne drzwi wahadłowe na ko cu korytarza, uszu Ann dobiegł niski, wibruj cy d wi k, przypominaj cy rytmem oddech. D wi k płyn ł z trzech rz dów respiratorów.

Chocia Ann niejednokrotnie widziała fotografie „ elaznych płuc”, które mechanicznie pobierały i wydalały powietrze, zast puj c sparali owane ludzkie płuca, przystan ła na moment zdezorientowana. Miała wra enie, e zabł dziła do salonu samochodowego przyszło ci. Opływowe kadłuby zielonych elaznych pojemników z chromowanymi uchwytami i okr głymi pokrywami włazów wygl dały jak rz d niesamowitych pojazdów. Ka dy wa ył po dwie tony. Wystaj ce spod pochylonych luster głowy pacjentów, wydawały si niestosowanie miertelne.

Twarc Michaela była malutka i niepokoj co blada. Ann pu ciła do niego oko.

– Kim jest ten zamaskowany je dziec? – spytała parafrazuj c zako czenie *Samotnego łowcy*. – To twoja mama.

Mrugn ł na znak, e dosłyszał.

– Michael, ju niedługo b dziesz si czuł lepiej. Znów mrugn ł, tym razem niepewnie.

– Jeste wspaniały, strasznie ci kocham – powiedziała mi kko.

Michael bezd wi cznie poruszył ustami.

– Tato?

– Lada moment b dzie tutaj.

Lekarz wzi ł j pod rami . Wyszarpn ła si i przytykaj c palce do maski, posłała Michaelowi całusa. Znów do niej mrugn ł.

Za podwójnymi drzwiami musiała si oprze o cian , eby nie straci równowagi. Min ło par minut, zanim była w stanie rozwi za tasiemki sterylne stroju.

W poczekalni panował ju tłok. Ze wszystkich stron rozbrzmiewały rozmowy o upo ledzeniach mi ni, wyjazdach do gor cych ródeł, stalowych szynach i fizjoterapii. Kolejny raz zadzwoniła do Darien. Janey rysuje kredkami, a pan Porter si nie odezwał, za to dzwoniła pani Newcombe spyta o zdrowie Michaela. Pozwoliła Corianie zosta tak długo, jak długo b dzie potrzebna. Czy pani Porter chciałaby mo e, eby posprz ta albo co spakowa ?

– Coriano, jeste cudowna, ale wystarczy zupełnie, je li zajmiesz si Janey.

Straszliwie chciała zobaczy Michaela, usłysze z ust doktora Levinsona, e syn czuje si lepiej. Zawsze była niecierpliwa, teraz niecierpliwo poł czona z niezno nym niepokojem o dziecko sprawiały, e całe ciało zacz ło j wierzbi od wewn trz. Wierc c si i zgrzytaj c z bami, zaszyła si w najdalszym k cie. Nagle przypomniała sobie Gilberte, zawsze nieskaziteln Gilberte, w brudnej, wzorzystej sukieneczynie ze sznurkiem wplecionym w czarne włosy, Gilberte czuwaj c przy łó ku rocznego nie lubnego synka, którego gor czka

podnosiła się nieubłaganie.

Powinam jej powiedzieć o Michaelu – pomyślała. Jednak nie drgnęła z miejsca.

Po tym, jak wypowiedziano jej pracę, dzwoniła parokrotnie do Gilberte, zostawiając wiadomość u sekretarki. Gilberte nie reagowała na wiadomości z telefonów. Ann napisała list na trzy strony, z prośbą o zgodę na zwrot długów w ratach. Gilberte nie odpowiedziała, natomiast przyszedł list od Kempa i Schuylera, w którym informowano Porterów, że jeżeli w ciągu sześćdziesięciu dni nie zwróci całej sumy wraz z opłatami za postępowanie sądowe, zostaną podjęte przeciwko nim odpowiednie kroki prawne. W dniu, w którym sprzedano dom, Ann wysłała krótką notkę z zawiadomieniem, że zwrotu wpłat na hipotek i odsetek dokonaj dwudziestego siódmego sierpnia, w dniu wygaśnięcia wadium. Ten list również pozostał bez odpowiedzi.

Do poczekalni wpłynęła grupka krzywych kobiet, oblegających matkę jednego z pacjentów. Pokój wypełnił się brooklyńskim akcentem i zapachem wieńca upieczonego ciasta cynamonowego. Jedna z nowo przybyłych podeszła do telefonu. Kiedy po dłuższej rozmowie odłożyła słuchawkę, Ann wstała z miejsca.

Słodki głos sekretarki poinformował ją, że *madame* włączyła nie wyszła na umówiony lunch.

Wykręciła numer trzydzieści sześć – pomyślała Ann.

– Proszę przekazać, że dzwonię ze szpitala Mount Sinai. Michael jest ciężko chory, ma *heinemedin*. – Podała numer automatu w poczekalni.

Gilberte nie dzwoniła, Larry nie dzwonił. Gdzie mógł być, do diabła? Doktor Levinson się nie pojawiał, a żadna z pielęgniarek nie umiała nic powiedzieć o pacjentach z oddziału zamkniętego.

O wpół do piątej ból w lewej skroni mało nie rozsadził jej czaszki; Ann osięgnęła ten poziom lęku, który pozbawia wszelkich zahamowań. W księżycowej telefonicznej zawieszce na ścianie pod aparatem odszukała numer manhattańskiego oddziału Korporacji Jasona Templara. Przełęczano ją z kolejnej centrali na centralę. Za każdym razem uprzejmy głos pytał, w jakiej sprawie dzwoni do pana Dejongę. Uparcie powtarzając, że jest jego przyjaciółką, dotarła wreszcie do niejakiej panny LaRosa, sekretarki Quenta. Pana Dejongę nie ma w Nowym Jorku – poinformowała ją – jeżeli jednak pani Porter będzie uprzejma zostawi swój numer, zostanie przekazany panu Dejongowi.

Ann opadła z powrotem na krzesło.

Kiedy wieczorem pozwolono jej znowu zobaczyć Michaela, miał łzy w oczach i ciemną twarz. Gorączka podskoczyła.

Pani Porter? – Aurora D'Amato wycięgnęła słuchawkę w jej stronę. Było już po dziesiętej, przewalała się lawina wieczornych odwiedzin. Babcie blondynki odjechały obiecując, że wrócą o wicie. Ann, Liebmanowie i małżeństwo D'Amato zostali opuszczeni, jak rozbitkowie na bezludnej wyspie strachu.

Spojrzała na telefon. Gilberte? Larry? Quent?

Dzwonił Larry.

- Co z Michael'em? – spytał z niepokojem.
- Jest w „elaznym płucu”.
- W „elaznym płucu”? Jezus Maria, ja się chyba zabiję.
- Skąd dzwoniisz?
- Z domu. Przyjechałbym zaraz, ale Coriana chce wracać do siebie i...
- Zostanie.
- Malutka, wzięła samochód.
- We taksówkę.
- Nie mam forsy. – Larry rozplakał się. – Nie mam złamanego grania. Mała. Musiałem ze stacji wracać pieszo.
- Wypisz czek taryfiarzowi – powiedziała ostro.

Po rozmowie stanła w progu poczekalni, patrzyła na korytarz. Oddział Parali u Dzieci czego nie odróżnia dnia od nocy – pielgniarki i sanitariusze szybkim krokiem wchodzili i wychodzili zza drzwi, za którymi układ odpornościowy Michaela toczył walkę z wirusem choroby.

Gilberte wstała z łóżka o pierwszej i wyłączyła klimatyzację, którą dwa lata wcześniej zainstalowała w całym domu. Mimo to o wpół do czwartej temperatura w jej pokoju powinna dochodzić do czterdziestu stopni, dzięki klimatyzacji powietrze było chłodne i wilgotne. Siedziała nad otwartym florenckim szkatułem ze skóry. W środku, obok kopert z dokumentami gestapo, leżał stos notatek o telefonach od Porterów. Czuła nieodparty przymus przechowywania wiadomości ich rozpaczliwych telefonów będących chorym dowodem na to, jaki wywijał się ze swoich słów, składała prochom rodziców. Wiadomości o telefonach była od Larry'ego; najpierw dzwonił po cztery, pięć razy dziennie, dopiero w zeszłym tygodniu zadzwonił tylko dwa razy. Wzięła do ręki ostatnią wiadomość. „Ann Porter dzwoniła o 1.15 – Michael chory na heinemedin w Mount Sinai”. W rubryczce JEST POD NUMEREM wypisano wyraźnie numer telefonu.

Gilberte spojrzała na notatnik w kolorze kości słoniowej. Czy wiele lat temu w brudnym zaułku niedaleko pchlego targu w Saint-Ouen nie podjęła decyzji w sprawie Michela? Czy tej decyzji nie przypieczętowały uwagi Quenta? Nie ma syna. Chore dziecko jest wnukiem Horace'a Blakely'ego. Przyjdzie dzieło, a równie Michael Porter padnie ofiarą zemsty. Zaciśnięła powieki i rozciągnęła usta w szerokim grymasie, a w jej głowie wystąpiły na jej szyi. Bez względu na to, co usiłowała sobie wmówić, niespokojny zew krwi nie dawał się uciszyć. Zgniotła wiadomość w kulkę i odrzuciła ją w bok; po piesznie zamknęła szkatułę w sejfie. Szybkim krokiem udała się do ogromnej garderoby i wyszarpnęła granatowe lincze koszulki.

Gilberte przystanąła na progu poczekalni; oświeceni tchnący wymuszonymi pogodami. Na prostych krzesłach obitych skórą spało pięć osób: para niechlujnych tłuciochów, którym z ręką wypadły różańce, dziewczyna w pikowanej sukience z białego trykotu (mimo to sukienka była wygnieciona, Gilberte rozpoznała w niej model letniej kolekcji swojej rywalki, Jo Copeland), pięć z głów opartych na ramieniu młodego chłopaka.

I Ann.

Ann miała na sobie sprane levisy obci te w pół uda i niebiesk gór od opalacza, wygl daj c na produkt uboczny słynnej d insowej kolekcji z Santa Fé. Kasztanowe włosy, dłu sze ni przy ich ostatnim spotkaniu, opadały w lokach na piegowate ramiona. We nie emanowała z niej naiwna bezbronno , jak miała w sobie przy rue Daguerre.

Nagle otworzyła oczy. Albo nie spała wcale, albo błyskawicznie si przebudziła. Na widok Gilberte podniosła dło do ust gestem nakazuj cym cisz , na palcach wyprowadziła j na korytarz i stan ła par metrów od drzwi. Dwaj interni ci zerkn li na nie, po czym wrócili do studiowania karty pacjenta.

– Chwała Bogu, e przyszła – powiedziała Ann z cichym arem w głosie. Cienie pod piwnymi oczami sprawiały, e wydawały si jeszcze wi ksze i bardziej błyszcz ce ni zwykle. – Michael ma wirusa rdzeniowo-opuszkowego.

– Rdzeniowo-opuszkowego? O czym ty, na Boga, mówisz?

– Nie przekazano ci wiadomo ci?

– Sk d e, mam zwyczaj dokonywa obchodów szpitali we wczesnych godzinach porannych. Bo e wi ty, co ja mówi . Jak mo na dowcipkowa w takiej chwili!

– Szczep rdzeniowo-opuszkowy to najzdradliwsza ze znanych odmian wirusa heinemediny.

Gilberte poczuła dobrze znany chłód. Jej odsłoni te r ce okryły si g si skórki .

– Jeste niezł specjalistk w zakresie nauk medycznych.

– Płuca ma sparali owane, le y w „ elaznym płucu”. Nie mo e łyka i musieli mu zrobi tracheotomi , eby oczy ci gardło.

– Niedługo zaczniesz wykłada publicznie z ramienia March of Dimes.

– Po co w ogóle tutaj przyje d ła , skoro nie obchodzi ci , co si dzieje z Michaelem? – Twarz Ann wykrzywiła si w gniewie.

– Nie pomoc i pocieszenie, to moje yciowe powołanie.

– Wiem co o tym. – W oczach Ann zabłyśły ogniki. – Przez ciebie jeste my z Larrym skre leni na Siódmej Alei.

– Gdzie jest Larry?

– W drodze.

– Sama widzisz! Ojciec Michaela te nie przej ł si na tyle, eby si pieszy . Zawsze miała skłonno do nadmiernego przejmowania si wszystkim.

Ann miała ochot uderzy j w u miechni t twarz, uprzytomniła sobie jednak, e rozbawiony u mieszek zawsze maskował u Gilberte gł bokie cierpienie.

– Gor czka si podniosła. Kiedy weszłam za drugim razem, chyba mnie ju nie poznał. – Opadła na krzesło i ukryła twarz w dłoniach.

Gilberte przysiadła na s siednim krze le. Dotkn ła nadgarstka Ann. Miała ochot odr ba sobie t pocieszaj c dło , w my lach ła ją si za łamanie danej ojcu przysi gi, jednak jej r ka nadal spoczywała na dr cej dłoni Ann.

– Dzieci nieraz ci ko choruj , a potem jako z tego wychodz .

– Gilberte, on ma dopiero dziewi lat. Niewykluczone, e reszt ycia sp dzi w „ elaznym płucu”.

– To już lepiej, żeby umarł.

– Nie... – zaczęła Ann, ale przerwała na dźwięk pośpiesznych kroków. Gilberte odwróciła się.

Korytarzem biegł Larry. Ann zerwała się na równe nogi, zamiast jednak pobiec do męża, pozostała na miejscu, mocno przyciskając dłonie do nieznacznie usianych piegami ud. Larry zwolnił kroku i uśmiechnął się niepewnie. Twarz miał czerwona i obrzmiała, jakby pił, jednak był wieńcem ogolony i miał na sobie czystą koszulę ze starannie zawiązanym krawatem.

– Witam cię serdecznie, Gilberte – wykrzyknął promiennym głosem. Nachylił się, żeby pocałować Ann.

Uchyliła się. Zamrugła, lekko urażona.

– Malutka, przepraszam, że dopiero teraz jestem, ale taryfa wlokła się tutaj godzinami. Jak się miewa nasz chłopak?

– Nie wiem nic nowego od czasu naszej rozmowy.

– Jak mówi, brak wiadomości to dobra wiadomość. Chodźcie, dziewczyno, zobaczymy, czy kawiarnia jest otwarta. Stawiam kawę.

– Szkoda, że nie szampana – rzuciła Ann ze zjadliwością, która zaskoczyła Gilberte.

Twarz Lanyego się zapadła. Znikł z niej wyraz chłopczej swawoli. Przez chwilę wydawało się, że z przekrwionych oczu popłyną łzy.

– Szampan byłby nie od rzeczy, teraz, kiedy znów jesteście my w trójkę przyjaciółmi, nieprawda? – Uśmiechnął się z wysiłkiem.

– O, Boże! – Ann rozplakała się i wybiegła do poczekalni. Larry westchnął głęboko.

– Jak widzisz, jesteście my tym bardzo przygnębieni – wymamrotał i udał się za nią do poczekalni.

Gilberte nie ruszyła się z miejsca. Trzymając dłoń na zdławionym gardle, obserwowała, jak nieszczęśliwa para się oddala. Kiedy zniknęli z pola widzenia, nadal wpatrywała się w pusty korytarz. Wzrok miała zamglony od łez. Nagle zorientowała się, że dwaj interni ci przyglądają jej się z uwagą. Z dumnie uniesionymi głowami popłynęła korytarzami do wyjścia, przy którym czekał na nią Jordan. Samochód popadł w opustoszałe nadranie Piłt Aleja. Gilberte drżała, skulona w narożniku tylnego siedzenia.

Malutka, dałbym sobie rękę uciąć, żeby być z tobą – mówił Larry – ale wczoraj wieczorem zajrzałem do Gallaghera, a tam stawał akurat nie kto inny tylko Wolf Englemark, ten Englemark z Englemark & Bowles. Sama rozumiesz, że musiałem zostać. Wyznaczył mi spotkanie na dzisiaj po południu. Kiedy skończyli my gadać, nie jeździły już żadne pociągi, więc zostałem na noc u Billa Johansena. Przez cały ranek przygotowywałem się do spotkania. Poszło mi nad podziw dobrze. Złożyłem mi wysokiej klasy ofertę, zapamiętaj jeszcze moje słowa. – Mówił zbyt gładko.

Czy był z Marjan? Czy nabijał kolejny niewyjaśniony rachunek w barze? Miała nadzieję, że był z Marjan. Wołała, żeby te dwa dni i noc, kiedy nie miała o nim żadnych wiadomości, spędził z innymi kobietami, niż żeby stawał w knajpach całemu Manhattanowi.

Patrzył na nią tak, jakby oczekiwał jakiejś odpowiedzi. Nie była w stanie pomyśleć o niczym, co by nie spowodowało kłótni i nie zdemaskowało Larry'ego; przytaknęła i

przymknęła oczy. Jak zwykle, przymknięcie oczu na jego kłamstwa powodowało, że czuła się nieswojo, jakby sama kłamała.

Larry zasnął. Zbudził go pulchny, pogodny wolontariusz z wózkiem. Larry wziął paczkę w lukrze i ciasto z kruszonymi orzechami. Wyjechał do Uebmanom i D'Amatom, wraca z podróży słusbowej i nie mogła na niego skontaktować się z nim wcześniej. Koło dziesiątej rano przyszedł doktor Levinson i powiedział Ann, że może pójść na oddział respiratorów.

– Kiedy będzie mógł zobaczyć moje dziecko? – spytał Larry.

– Bardzo mi przykro, ale wpuszczamy tylko po jednej osobie.

– Idź, Larry. Michael dopytywał się o ciebie – powiedziała Ann, chociaż szalała z chęcią zobaczenia syna.

Chwilę po odejściu Larry'ego i lekarza zadzwonił telefon. Ann usłyszała charakterystyczny pomruk, jakby kabel znajdował się pod wodą. Kto dzwonił spoza Nowego Jorku.

– Właśnie nie przekazano mi wiadomości od ciebie – odezwał się Quent. – Ann, czy coś jest nie w porządku? Kto podniósł słuchawkę? Gdzie jesteś?

– Tak się boję – wyszeptała.

– Musisz mówić głośniej.

– Jestem w szpitalu Mount Sinai.

– Miała wypadek? Jesteś chora?

– Michael zachorował na heinemedin.

– O Boże...

– Odmiana rdzeniowo-opuszkowa...

– Jestem w Bostonie. Zaraz ruszam do was – powiedział po dłuższym milczeniu.

– Dzięki.

– Ann, nie było dnia, żeby nie chciałem do ciebie zadzwonić, nie było takiej godziny.

– Wiem, wszystko wiem.

– Tak strasznie chciałem, żeby do mnie zadzwoniła, ale nigdy z takiego powodu.

Larry wrócił po paru minutach przygarbiony.

– Malutka, z gorszej kabały wyciągnijmy go w Paryż – powiedział z wisielczym humorem, ciskając dłoń Ann.

– Jak wygląda?

Larry zaczął się trząść. Wyjął z kieszeni chusteczkę, wytarł nos i osuszył oczy.

– Czym oni go leczą? – spytał.

– Podali mu serum z surowicy ludzi, którzy przeszli chorobę.

– Nic poza tym?

– Nie mają nic innego. Nie są nawet pewni, czy to działa.

– Dobra, skoro czmy z tym czarownictwem. Najważniejsze, to nie traci wiary – upomniał ją. – Nie rozumiem tylko, jak mógł tak nagle zachorować.

– Miał chrypki od paru dni.

– Dlaczego nie wzięła go do Skagga?

– Bo Skagg przekazał nasze rachunki komornikowi, a jego pielgniarka da teraz ode mnie opłaty gotówką.

Ogarnęła ją irytacja; przez chwilę miała wrazenie, że wyjdzie ze skóry. Bała się otworzyć usta, pogryzała się wściekła z powrotem w ponurych rozważaniach.

Trzy godziny później, kiedy wszyscy wyszli z poczekalni na lunch, pojawił się Ouent.

– Ojuent, jak to cudownie, że się zjawiasz, jesteś naprawdę kumpel w dech. – Larry zerwał się i zaczął potraszać jego dłoń.

Ojuent objął Ann. W pierwszej chwili zeszytniała, potem jednak uprzytomniła sobie, że jest to gest absolutnie dozwolony między parastarych przyjaciół. Zarzuciła mu ręce na szyję i pozwoliła sobie na chwilę wytchnienia w ciepłe jego muskularne ciało. Kiedy się odsunęła, nadal nie spuszczał z niej wzroku.

Odruchowo chciała poprawić włosy. Czując, że w tym ubraniu, po dwóch bezsennych nocach, musi przedstawiać sobie przerażający widok.

– W czym mogę wam pomóc? – zapytał.

– W tej chwili nie da się dla niego nic zrobić – odpowiedziała.

– Do Darien Street jest kawałek drogi, a my mieszkamy tak blisko, moglibyście się u nas zatrzymać – zwrócił się do Larry'ego.

– Janey... – zaczęła Ann.

– Janey przecie może z nami mieszkać – po prostu powiedział Ouent. – Mam pomysł. Pojadź teraz do Darien i przywieź tutaj Janey i wasz słupek.

– To niemożliwe – uprzedziła Ann. – Coriana już prawie dwa dni zajmuje się Janey. I ona, i państwo Newcombe, u których teraz pracuje, zachowali się cudownie, ale nie mogą przetrzymać jej w nieskończoność.

– Ann uznała, że słupka jej tylko przeszkadza – wymamrotał Lany, oglądając w ścieżkę, wyblaszczoną czubkami robionych na zamówienie półbutów.

– Nasza kucharka, pani Kaliska, ma siedmioro wnucząt. Jestem pewny, że przypadnie sobie do gustu z Janey. Zadzwonię do swojej niani, że już jadą.

– Nie! – gwałtownie sprzeciwił się Lany. – To znaczy, strasznie jesteście mi wdzięczni, ale Janey bardzo ciężko znosi całą tę historię, w dodatku prawie cię nie zna. Trzeba będzie poza tym coś niecoś spakować. Ann musi się przebrać.

– Nie mogę wychodzić ze szpitala – przeraziła się Ann.

– Janey... Biedactwo jest naprawdę w okropnym stanie – powiedział Lany. Mówił przyciszonym głosem, chociaż Ouent oddalił się w głąb korytarza, żeby mogli spokojnie porozmawiać. – Nie mów mi, że sprzedajemy dom.

– Na lito boska, Lany.

– To bardzo ważne, malutka. Wiem, że Ouent robi to dla Michaela, zaprzyjmił się po tamtym wypadku, ale nie przeciągajmy zbytnio struny. Wiadomo o sprzedaży domu może potraktować jako krytykę pod adresem Gilberte. Za nic w świecie nie chciałbym zaprzęczyć ci szansy na powrót do GdeP.

Miała ochotę krzyknąć mu w twarz, że wszystkie jego opowieści o udanych rozmowach w sprawie pracy, jego wyjazdy słubowe, czyste koszule i pachnący płyn po goleniu to jedno

wielkie oszustwo, ale patrzył na nią tak ebrz cym wzrokiem, e dała temu spokój. Wyci gn ła z kieszeni wieczne pióro i sporz dziła list rzeczy, które miał przywie dla niej i dla Janey. Dała mu kluczyki od samochodu i banknot pi ciodolarowy – reszt z czeku, którym płaća na stacji benzynowej Paloverde.

– To dla Coriany – poleciła.

Po piesznie odszedł. Kiedy zostali sami, usilnie starała si nie patrze na Ouenta, który pogr ył si w rozmowie zjedna z piel gniarek z oddziału zamkni tego.

– Ann, chod my na lunch – zaproponował podchodz c do niej po chwili.

– Id sam, nie jestem głodna.

– Piel gniarka, z któr rozmawiałem, obiecała popilnowa Michaela. Gdyby co si stało, po le wolontariusza do kantyny. – Oczy mu błyszcząły, na policzki wyst pił rumieniec. Mówił z wielk pewno ci siebie.

Była zbyt wyczerpana, eby si sprzeciwiła . W kantynie kr cił si tłum lekarzy i piel gniarek w białych wykrochmalonych fartuchach.

– Tu si d my – powiedział wypatrzywszy pusty stolik w najdalszym rogu sali. Przerzucił marynark przez oparcie krzesła, doł czył do kolejki i po chwili wrócił do stolika, nios c na tacy kanapki z w dlin , surówk z kapusty, kartoniki mleka i kubki topniej cych lodów waniliowych i czekoladowych. Ann, przera ona, e opu ciła swój posterunek, miała wra enie, jakby obdzierano j ze skóry do ywego mi sa. Z wysiłkiem przełkn ła kilka k sów.

– Dlaczego Larry nie chciał, ebym pojechał do Darien? – spytał.

– Dom jest zastawiony kartonami.

– Kartonami?

– Pułkami. Wyprowadzamy si dwudziestego czwartego.

– Do innego domu?

– Nie – uci ła krótko.

– Ann, ja si tylko pytam.

– Wyprowadzamy si , bo nie sta nas na spłat długu hipotecznego ani odsetek dla Gilberte, która przej ła dług na siebie. Nie powiesz mi, e o tym nie wiedziały ?

– Nie wiedziałem. Prawie ze sob nie rozmawiamy.

– Wyrzuciła nas z pracy. Larry zupełnie oszalał. Ma kompleks pariasa, w zwi zku z czym w ka dej wolnej chwili dowodzi, e nim nie jest.

– Dlaczego was wyrzuciła?

– Oskar yła Larry'ego, e defraudował pieni dze z konta przeznaczonego na cele reprezentacyjne i krał jej towary.

– Co ty mówisz? Nic z tego nie rozumiem.

– To chyba jasne! – Gwałtownym ruchem odsun ła talerz od siebie. – Gilberte próbuje mnie ukara za romans z tob . Lany jest po prostu kozłem ofiarnym.

– Gilberte nie ma poj cia, e byłem w Santa Fé.

– Tak, oczywi cie, najmniejszego poj cia. Dlatego była dla nas tak czaruj ca w ostatnich miesi cach.

– Pierwszej nocy po moim powrocie dostała jednego ze swoich ataków. Oskarżyła mnie, że mam dziewczynę w Hollywood. Od tego czasu stale robi złe uwagi na temat domniemanej aktoreczki.

– Posłuchaj tylko. Nie uprzedzajcie mnie, zatrudniła nowego projektanta, którego nazwisko ma figurować na wszystkich wyrobach. Wyrzuca nas, a potem dopilnowuje, żeby nikt nas nie przyjął, co nie jest trudne, wystarczy, że przypomni wszystkim w branży o nazwisku moim, identycznym z nazwą banku, który wydaje weksle całej Siódmej Alei. Powiedz sam, kto bez wyraźnego powodu zachowałby się tak wobec przyjaciółki?

– Ja bym wierzył jej wyjaśnieniom. Jest w ciąży na Larry'ego. To nie ma nic wspólnego z nami.

– Skoro wolisz w to wierzyć.

– Ann, może jesteś pewna, że gdyby podejrzewała mnie o romans z tobą, powiedziałaaby o tym wprost.

Skóra na jego policzkach napięła się.

– Dzięki za lunch. – Zerwała się z miejsca, czując, że nie wytrzyma chwili dłużej pod jego baczny, zatroskany spojrzeniem. Zaczęła przeciskać się między stolikami, przy których pracownicy Mount Sinai leniwie popijali kawę.

– Ann...!-zawołał za nią.

Biegła na górę; zrównał się z nią dopiero na półpiętrze. Nie zwracając uwagi na tłum popołudniowych gości, objął ją.

– O, Boże, Quent, tak strasznie się boję.

– Nasza Fundacja szczerze dotowała organizacje walczące z heinemediem. Zadzwoń do jakiegoś specjalisty. – Gładził ją po włosach.

– Zrobisz to?

– Chciałbym móc więcej dla ciebie zrobić. – Przytknął usta do jej czoła. – Musisz mi jedną rzecz obiecać, kochanie. Nie bój się tutaj obozować dziś w nocy.

– Nie mogę zostawić...

– Niech Larry przejmie wartę na parę godzin. Mieszkamy parę minut stąd. Teraz niech on tutaj trochę posiedzi.

Gilberte nigdy nie miała łatwych kontaktów z ludźmi, a od wizyty w szpitalu czuła się, jakby brała udział w sztuce, w której wszyscy znają swoje role na pamięć, podczas gdy ona musi cały czas improwizować. Bez przerwy czuła się pod ostrzałem ludzkich spojrzeń, w związku z czym stale drżał jej niepokój, czy wykonuje należyte gesty i mówi to, co powinna.

wiadoma każdemu słowa, czując się jak na scenie, zachwalała krójkę satynowej koszuli młodej kobiecie, która brała od niej towar dla Patricii, sieci sklepów z wytworną odzieżą damską w południowej Kalifornii. (Od czasu, kiedy w firmie pojawił się Yves Roland, żadne poważniejsze zamówienie nie obyło się bez osobistej zachęty Gilberte. W porównaniu z projektami Ann jego stroje wydawały się bez życia.)

Zadzwoił telefon.

- Nie ma mnie – rzuciła Gilberte do słuchawki sekretarce.
- Przepraszam, *madame*, ale dzwoni pan Dejong. A wi c odwil – pomy lała Gilberte.
- Poł cz go ze mn .
- Pan Dejong jest tutaj, *madame*.
- Tutaj?
- Czeka w drugim gabinecie, *madame*.
- Musz pani przeprosi na chwilk , panno Wace – zwróciła si z promiennym u miechem do kalifornijskiej kontrahentki. – Mój m wła nie wrócił z podró y słu bowej. Stał. Nie odwzajemnił u miechu. Poczwała, e jej rado ulatnia si .
- Co za niespodzianka, kochanie. Kiedy wróciłe ?
- Dzisiaj po południu. Michael Porter jest w Mount Sinai.
- Wiem, ma heinemedin . Wpadłam tam na chwil . Widz , e ty te . Zanim przyjechałe zobaczy si ze mn .
- Porterowie zatrzymaj si u nas.
- Co? – Gilberte nie była w stanie opanowa zaskoczenia. Mimo e Quent od czasu do czasu brał ze sob Michaela, nie miała w tpliwo ci, e na jego rodziców patrzy z góry. To zupełnie niepodobne do niego lekcewa enie kazało mu unika wszelkich spotka z Porterami.
- Pani Kali ska zajmie si ich córeczk .
- Dzi kuj , e przyszedłe si mnie spyta o zdanie – mrukn ła zdaj c sobie spraw , e sekretarka, wkładaj c kalk pod papier listowy, przysłuchuje si ich rozmowie.
- Darien jest za daleko, eby je dzi tam i z powrotem.
- Nie pami tam, czy ci wspominałam, ale oni u mnie nie pracuj .
- Nie, nie wspomniała mi. – Patrzył na ni spod zmru onych powiek. – Michael jest w krytycznym stanie.
- Michel, a nie Michael. Najbli sza yj ca osoba z mojej rodziny. Moje dziecko.
- Strasznie miło z twojej strony, kochanie. – Wysiliła si na u miech i pocałowała go w policzek. Był ciepły, ale nieprzyst pny. – Ann to moja stara przyjaciółka.

Quent wrócił koło czwartej z doktorem Cashiganem. Cashigan, specjalista z March of Dimes, zaaprobował terapi zastosowan w przypadku Michaela i wypowiadał si z ostro nym optymizmem. Ann obawiała si jednak, e jego pomy lne prognozy maj przede wszystkim za wiadczy przed Fundacj Jasona Templara o post pach bada nad chorob . Spodziewaj c si powrotu Larry’ego przed szóst , poprosiła, eby Quent wyszedł.

Larry zjawił si dopiero po ósmej.

– Musiałem uspokaja Janey, była bardzo nerwowa. Ci gle dopytuje si , czy te jeste chora, jak Michael. Malutka, pojed teraz lepiej do Dejongów.

Pierwszy raz od prawie dwóch dni Ann wyszła ze szpitala. Z otwartych okien samochodów sun cych Pi t Alej wydobywała si gło na muzyka. M czy ni w koszulach z krótkimi r kawami i kobiety w bawełnianych sukienkach spacerowali po chodniku. Wokół ci arówki z lodami zgromadził si tłum dzieci. Zwykły, spokojny letni wieczór wydawał si Ann bole nie nierealny. Obiegła szpital dookoła, daremnie poszukuj c Chevroleta z

powgniatan mask . Zdesperowana, na krawdzi uez, przypomniała sobie, e Larry wspomniał o czekaj cym na ni samochodzie Dejongów. Wychodz c musiała wymin kierowc , nie zwracaj c na niego uwagi.

W wypełnionym malowidłami i pos gami na cokołach hallu domu Dejongów poczuła si dotkliwie nie na miejscu. Wygl dała jak sko czony flejtuch – nie myta, potargana, w zaimprovizowanych szortach; nie było dla niej miejsca w tym nieskazitelnym wiecie. Powinna była zosta w Mount Sinai.

Nagle z mroków półpi tra wyłoniła si Janey w ró owym kwiecistym szlafrocuku. Trzymaj c si kr tej por czy, biegła na dół.

– Mamo, wreszcie jeste . T skniłam za tob , bardzo t skniłam.

– Ja za tob t skniłam jeszcze bardziej, Janey. – Ann wysuwała ostrzegawczo dłonie, nie pozwalaj c dziecku si zbli y . – Musz si najpierw wyk pa , potem b dziemy si tuli i całowa .

Za Janey pojawiła si starsza u miechni ta kobieta na t gich nogach. Przedstawiła si jako pani Kali ska.

– Pani Dejong prosiła, eby powiedzie , e jest u siebie w pokoju.

– Mamo – wtr ciła Janey – musisz koniecznie zobaczy łazienk . Jest dwa razy wi ksza od mojego pokoju.

Ogromn łazienk pokrywał biały dywan, na kranach wytłoczono napis „szczeresrebro”. Na tacy stała bateria butelek perfum i szamponów.

– Ten dom jest wielki i straszny. Chodz po nim zarazki dzieci ce – papłała Janey z wiklinowej kozetki do Ann, która myła głow .

– Janey, nie dostaniesz heinemediny. – Ann, ociekaj c wod , wyszła z k pieli. Zdj ła z wieszaka gruby biały szlafrok z frotte i przykl kła, eby mocno u cisn córeczk . – Wiesz, e nigdy do tego nie dopuszcz .

– W ka dym razie b d spa w twoim pokoju. – Janey pop dziła do sypialni i wskoczyła na najbli sze łoko.

Ann wyci gn ła si na drugim, przekonana, e nie za nie, jednak gor ca k piel rozlu niła napi te mi nie i po dwóch nie przespanych nocach, wyczerpana, zapadła w niespokojn drzemk .

Ann?

W pierwszej chwili, widz c przy łoku Gilberte w lu nym białym peniuarze, Ann uznała to za jeden z powtarzaj cych si koszmarów, w których Gilberte krzycz c oskar ła j o cudzołóstwo. Dopiero kiedy zobaczyła Janey pi c spokojnie z kciukiem przy ustach, przypomniała sobie szpital i oddział heinemediny. Jawa była bardziej przera aj ca ni najgorsze koszmary.

– Która godzina?

– Wpół do dwunastej.

– Musz wraca do szpitala.

– Co z Michaelem?

Ann usiłowała się dogrzebać do bielizny w walizce, przywiezionej przez Larry'ego. Zawsze zachowywały się bardzo skromnie w swojej obecności, więc spodziewała się, że Gilberte wyjdzie. Tymczasem, wręcz przeciwnie, rozsiadła się na otomanie w kwiaty.

– No więc?

– Ci głę to samo. Dostaje tlen przez rurkę w gardle.

– Aaa, tak, tracheotomia, wspominała mi o tym.

Ann, odwrócona plecami, nie mogła widzieć, jak Gilberte nerwowo skubie perłowy guzik przy dekolcie. Dotąd szeptały; teraz Ann odezwała się jasno i dobitnie:

– Chciałabym się ubrać.

– Ale nie ma sprawy. Poproś Jordana, żeby podstawił samochód.

Przysłuchiwała się, jak samochód rusza spod domu. Jej ojciec załatwił zemstę na potomkach zdrajcy. Jego życzeniu stało się a nadto zado. Talent Ann marniał bezużytecznie, jej małżeństwo z ałośnym, zadufanym w siebie typkiem bez charakteru skazywało ją na nędzę i niewypłacalność do końca życia. Jej dziecko jest w tragicznym stanie. Widać, że przeżywa piekło. Czy istnieje bardziej zgnębiona kobieta na świecie?

Tak – odpowiedziała sobie w myślach Gilberte. – Ja nie jestem.

Syn D'Amatów wyszedł ze stanu krytycznego, dziecku Liebmanów spadła gorączka; obie rodziny opuściły noc szpital. W poczekalni, z wycigniętymi nogami, spał samotnie Lany. Zbudziła go pytając o wiadomości – nie było żadnych. Powiedziała mu, że przy wejściu od strony Piętej Alei czeka na niego szofer. Właśnie usiadła na dobre i zaczęła wertować broszurę o metodzie siostry Kenny, kiedy pojawił się Quent.

– Lany pojechał do was – powiedziała.

– Wyjechałem, kiedy zobaczyłem, że wraca. – Usiadł przy niej, współczując co obejmując jej ramieniem.

Dni sierpniowe stapiały się ze sobą. Gorączka Michaela to spadała, to znów szła w górę. Coraz częściej szła w górę. Czasami w poczekalni siedział Lany, kiedy indziej Quent. Bywało, że pojawiała się Gilberte; zawsze kiedy Ann wracała do domu zdrzemnęła się i uspokoiła Janey, Gilberte kręciła się wokół niej, z ukrywanym napięciem dopytując o zdrowie Michaela.

Bał dobroczynny Fundacji odbywał się zwykle w połowie sierpnia, kiedy członkowie Fundacji i starannie dobrany krąg znajomych, którym sprzedano bilety, bawili poza Nowym Jorkiem. Bał był jednym z najbardziej znaczących wydarzeń towarzyskich roku, a obecność na nim dowodziła przynajmniej do miętanki towarzyskiej, zaproszeni wracali więc tłumnie na ten weekend do miasta. Gilberte marzyła o tym, żeby zostać w domu. Czekwała na wiadomość od Ann i chciała być pod ręką, gdyby stan dziecka uległ zmianie, jednak nie mogła sobie pozwolić na luksus okazywania strachu. Wkroczył Edouard z rekwizytami swojego zawodu. Kiedy czesał jej i nakładał makijaż, w napięciu nadśluchiwała, czy nie wraca Ann. O ósmej nie mogła już dłużej odwlekać wyjazdu. Przeszła przez hall, szeleszcząc sut

atłasow sukni balow koloru cytrynowego. W uszach, na szyi i na nadgarstku połyskiwały óltawe brylanty. Z pokoju Ouenta dochodziły wytworne akordy VII Symfonii Beethovena.

Zastukała. Otworzył jej w szarych spodniach od garnituru i koszuli z zawini tymi r kawami.

– Miałe by gotowy ju kwadrans temu. Nie wiem, kochanie, czy pami tasz, ale mówiłam ci, e idziemy do Cary’ego i Deepie na koktajl.

– Zostaj w domu.

– Zasiadasz w radzie balu – przypomniała. Nie wiedziała, e m sp dza noce w szpitalu.

– A gdybym jeszcze nie wrócił z Bostonu? – Powiedział spokojnie, bez zaczepki, jednak w jego oczach pojawił si stalowy błysk.

– Nie jeste w Bostonie, o czym dobrze wie twoja rodzina.

– W radzie balu zasiadał jeden wuj i trzech kuzynów Dejongów.

– Powiedz im prawd . Nie jestem w nastroju do zabawy. Tak jakby ona była w odpowiednim nastroju.

– Twoje maniery pustelnika zaczynaj si robi uci liwe – o wiadczyła i postukuj c obcasami, zbiegła na dół.

Ann była w szpitalu sama.

Zwykle Lany jadał posiłki z Janey, ale tego wieczoru jego córeczka była w kinie na *Królewnie nie ce* z pani Kali ska, kuchark o złotym sercu, która stale wyczarowywała jakie sposoby, eby zabawi oszołomion wydarzeniami dziewczynk . Larry nie najlepiej znosił samotno , teraz ze wszech stron dopadł go l k. Quent zamienił mu czek na gotówk , udał si wi c do Gallaghera, gdzie miał nadziej spotka paru znajomków. Zamówił pol dwic wołow , ale prawie jej nie tkn ł, szukaj c zapomnienia w morzu alkoholu.

Wchodz c do domu, Gilberte odetchn ła gł boko. Ramiona jej opadły. Na cytrynowej sukni z atłasu nie było jednej zmarszczki. Włosy miała równie gładkie jak wtedy, kiedy Edouard upinał je w francuski kok, makija nieskazitelny, bi uteri na miejscu, mimo to z chwil , gdy opadło z niej napi cie, straciła cał elegancj . Kiedy doszła do schodów, z biblioteki wyłonił si Quent.

– Wszystkim ci szalenie brakowało – powiedziała prostuj c si na jego widok.

– Wła nie szedłem zrobi kaw . B d tak dobra i zaparz. Larry zalał si w trupa. Próbujemy go otrze wi z Ann.

– Czy by pani Kali ska dostała zawału? – zakpiła.

– Wzi ła Janey do kina, a potem poło yła j u siebie spa . Po co mamy je budzi .

– Jestem zm czona. Wiem, e nie na wiele si zda zniech canie dobrego Samarytanina, ale radziłabym ci umy od tego r ce. Larry lubi ycie na rauszu, zapewne przez to si tak beznadziejnie wkopał.

Patrzył na ni bez drgnienia.

– *D’accord, d’accord* – poddała si i ruszyła w stron kuchni.

Czekaj c, a kawa si zaparzy, przysiadła opieraj c łokcie na marmurowej stolnicy. W zakamarkach jej umysłu czał si jak zawsze l k o Michaela, teraz jednak snuła ponure my li

o m u. Nie przypominała sobie, eby kiedykolwiek dał od niej wykonywania jakichkolwiek prac domowych. I to w dodatku dla kogo? Dla Lanyego Portera! Doszedł j zapach kawy. Spojrzała na maszynk i zobaczyła, e płyn w dzbanku ma równie ciemn barw , jak jej my li.

– Kelner! – zawołała pod drzwiami biblioteki.

– Dzi ki, Gilberte. – Z bladym u miechem Ann odebrała od niej tac . – Przykro mi, e masz tyle kłopotów z go mi.

Pod cianami biblioteki stały, przywiezione jeszcze z Greatleigh, masywne szafy Duncana Phyfe’a. Zza oszklonych drzwi wida było tłoczone skórzane grzbiety starych serii i nowe ksi ki w kolorowych okładkach – z racji upodoba Cjuenta niewiele beletrystyki. To on był głównym u ytkownikiem biblioteki, on za yczył sobie starych szaf i wielkich, wygodnych foteli.

Larry, zatopiony w skórzanym fotelu klubowym, usiłował d wign si na nogi, po czym opadł na miejsce.

– Witaj była i przyszła szafuniu... przepraszam, szefini – poprawił si .

– No, Larry. – Quent próbował mu wla do ust troch kawy.

– Łyknij troszk .

– Fajni z was ludzie – bełkotał Larry. – Pocziwisko Quent» ci gn ł na p czki tych swoich uczonych doktorków, zast pował mnie rano przy malutkiej...

Gilberte szykowała si do odej cia.

– Byłe w szpitalu? – spytała Quenta, zdejmuj c r k z klamki.

– Tak – odparł krótko.

– Kup razy. Z ciebie te pocziwa dziewczucha, Gilberte Wzi ła nas do siebie, zwolniła kuchark do opieki nad Jane Z drugiej strony... wielkie mi co. Przecie Michael jest twoim..

– Larry! – krzykn ła ostro Ann.

Serce Gilberte biło tak mocno, jakby uniosła nad głow stukilogramowy ci ar.

– Znamy si od dawna, Larry, od bardzo dawna, nie ma wi c mowy o adnej wdzi czno ci. – St paj c po bł kitno-czerwonym wzorze siedemnastowiecznego dywanu, podeszła do Larry’ego i stan ła nad nim. – Niemniej to ja zaparzyłam ci kaw , wi c mógłby j przynajmniej wypić .

Larry chleptał gło no ciemny, dymi cy płyn.

– Musiała przeze mnie sta przy garach. – Postawił fili ank w ryzykowej pozycji na oparciu fotela z czerwonej skóry.

– Pewnie za to nie b dziesz chciała mnie przyj z powrotem...

– Uspokój si , Larry – przerwała mu Gilberte.

– Pami tasz cztery strony o Marjan, które upchn łem do marcowego „Harper^sa”? Cztery cholerne strony strojów G de P. Cztery strony, nie w kij dmuchał. Ale Larry to zrobił, Larry to zrobił. Cztery wielkie, błyszcz ce strony z twoimi kostiumami i sukienkami. To były czasy! A pami tasz grudniow okładk do „Vogue’a”? To ja jestem tym sztukmistrzem, który wyczarował G de P dla wiata. Nie znajdziesz drugiego takiego jak ja. Musiałby si długo, długo uczy . A wielka kampania prasowa wokół tych chłopskich kiecek... Los Angeles,

Nowy Jork, Chicago, pamiętasz? A prezentacja tych cholernych ciuchów z Santa Fé w wiadomo ciach telewizyjnych? Albo to...

Plótt bez końca. Gilberte potakiwała, przerażona, jakby miała przed sobą okaz groźnego zwierzęcia. Nie wiedziała, co odpowiedzieć. Każde słowo mogło go sprowokować do wypaplania tego, czego nie wolno mu było pod żadnym pozorem powiedzieć.

– Lany, chodź na górę – zaproponowała Ann, biorąc do ręki dzbanek z kawą i wyjmując Larry'emu filiżankę z ręki.

– Nie widzisz, że rozmawiamy z Gilberte o ważnych sprawach? – zezło cił się.

– Musz się zdrzemnąć, zanim pojedę do szpitala.

– Oto moja wierna towarzyszka. Zawsze tylko myśli o sobie. Przeklęta karierowiczka. Aby chociaż raz pomyślała o swojej rodzinie, Michael nie byłby w takim stanie. Mogła go wczoraj zawieźć do szpitala...

– Mówiłam ci, co powiedział doktor Levinson – wyszeptowała Ann. – To już i tak nie miało żadnego znaczenia.

– Albo trzeba było wezwać doktora Skagga, a nie kutwi...

– Zamknij się, Lany – powiedział Quent niskim, wibrującym głosem.

– Ty jej nie znasz, nie znasz mojej żony, kolego. Nie wezwała lekarza. Rany boskie, nie wezwała lekarza w czasie epidemii heinemedyny! A wiesz czemu? Powiem ci! Bo jej szkoda forsy!

– Stul ten pieprzony pijacki pysk albo ci dokopię w zafajdany tyłek tak, że wylecisz stąd jak z procy!

Gilberte zrobiła piruet dookoła własnej osi, aby upewnić się, że stek ochrypłych obelg wyszedł z ust Quenta. Napięty, z zaciśniętymi piętami, wpatrywał się w Langego.

Jak daleko się gała pamięć, zawsze imponował jej spokój i opanowanie Quenta. Nigdy nie miotał się w wirze sprzecznych uczuć, jak ona. Nigdy nie podejmował decyzji, ulegając chwilom, nigdy nie dawał się odwieść od swoich przekonań. Jak i czegoś zazdrościła mu tego, że był panem samego siebie. He razy wyrzucała bogom, że odmówili jej daru chłodnej logiki! He razy zastanawiała się, jak potoczyłoby się jej życie, gdyby umiała zachować arystokratyczny powściągliwość i opanowanie męskie? Jak wyglądałoby życie pozbawione pretensji, w ciekłej ambicji, kompleksów, zaborczej miłości, która odbierała jej rozum, bezpańczej potrzeby zemsty, wreszcie... tak, bezbole nie nierozważnych wizerunków macierzyńskich. Jak i czegoś zazdrościła Cjuentowi ułożonego pejzażu w jego duszy. Teraz, pierwszy raz w życiu, dotarło do niej, że jej mąż nie jest wykuty z marmuru bez skazy. Jest tak samo rozdarty i okaleczony jak ja – pomyślała – tylko umie to lepiej ukryć. Nic o nim nie wiem. Płynię w nasj ta sama krew, jesteście my od lat małżeństwem, a ja nic o nim nie wiem.

Larry'ego cofnęło. Przywarł do oparcia fotela, jakby chciał się stać niewidoczny.

– Sam nie wiem, co gadam, przyjacielu. Od tej heinemedyny całkiem mi się pomieszało w głowie – próbował udobrucha Quenta o wiele trzęsawiejszym głosem.

– Czemu ty nie wezwałeś lekarza? – indagował bezwzględnie Quent.

– Starłem się o posadę.

– Przez dwa dni i dwie noce? Czyżby Ann miała zapłacić lekarzowi, skoro czek, który mi

dale, jest bez pokrycia?

– Te cholerne banki zawsze coś popłaczą z moim kontem – wybuchnął Larry. – Muszę uregulować te sprawy.

– Daruj sobie te brednie.

– Quent, po co to robisz? – wtrąciła Ann. Jej wargi, pozbawione szminki, były białe.

– Nie było go, kiedy potrzebowaliście go z Michaeliem – powiedział cicho. – Teraz usiłuje odwrócić kota ogonem i zwałić winę na ciebie.

– Za dużo wypił i tyle – powiedziała wpatrując się w swoje dłonie.

– Ann... – zaczął Quent.

– Larry ma rację. Wszyscy pijemy w strasznym napięciu.

– Gilberte wodziła wzrokiem od Quenta do Ann.

Nagle, kanałami jeszcze subtelniejszymi niż wiadomo o burzliwym życiu wewnątrz domu, dotarła do niej prawda, która miała zawagę na jej życiu.

Ma romans z Ann.

Jej pełen dostojstwa mężczyzna, który sprawiałby wrażenie członka królewskiej rodziny, gdyby w Ameryce istniała monarchia, i żywa, roześmiana, beznadziejnie miśczała Ann?

Chociaż na zdrowy rozum taki romans nie wydawał się możliwy, w pamięci Gilberte ożyły wspomnienia sugerujące coś wręcz przeciwnego. Przypomniała sobie rozmaite wydarzenia, na tyle oddalone od siebie w czasie, że nie wzbudzały żadnych podejrzeń. Tajemnicza pomoc, jakiej Quent udzielił w czasie wojny Ann. Quent, błądy i półwyjścia z Mauthausen, trzymająca w rękach fotografię Ann i Michaela, a ona jest tak zaabsorbowana ukryciem pochodzenia chłopca na zdjęciu, że nie zauważa jego zainteresowania Ann. Wymigiwanie się od spotkania z Porterami, a następnie podejrzenie ostentacyjna obojętność wobec Ann. Kiedy ratował Michaela z objętością przyływu, ona też była na plaży. Jego powrót z „Zachodniego Wybrzeża”, po którym zaczął przebiekiwać o separacji, dziwnie pokrywał się z pobytem Ann w Santa Fé, pobytem, który zawdzięczała chwilowemu zawieszeniu lubów złożonych przez Gilberte umierającemu ojcu! Zaproszenie Porterów do domu. Wreszcie, tak zupełnie do niego niepodobna, ordynarna napaść na Larry'ego.

To nie jest romans. On ją kocha.

Wyglądziła sute fałdy atłasowej sukni i opadła z wdziękiem na fotel. Czuliła się jak wyciosana z bryły lodu.

– Larry, czy bardzo jesteś zalanym?

– Ani ciut ciut.

– Dobrze. Wobec tego teraz my odbierzemy poufną pogawiedkę. Ty i ja. Tak jak Ann z Ojcem przed chwilą – powiedziała wymawiając przeciwległe imiona obojga.

Otwarte wysokie okna wychodziły na miejski ogród. Nagle w ciszy biblioteki wdarło się dalekie wycie syreny policyjnej.

– Co ma znaczyć ta twoja uwaga? – przerwał milczenie Quent.

– Kochanie, rozchmurz się troszeczkę. Jak to mówi, prawda zawsze wyjdzie na wierzch.

– Spojrzała na Ann, która przeleciała gwałtownie liniami. – Myślałam sobie, podejrzewajciecie o romans z jakimś aktorem.

– Porozmawiamy o tym póó niej. – Drgn ła mu powieka, jednak zachował spokojny, stanowczy ton. – Michael ma znowu wy sz gor czk . To nie jest czas na tego typu rozmowy.

– Zawsze rycerski wobec dam – zakpiła.

Larry zar ał, jakby usłyszał wy mienity dowcip.

– W ka dej chwili, Gilberte, mo emy porozmawia , w ka dej chwili. Jestem gotów omówi warunki powrotu do G de P w tej chwileczce.

– Larry, przyjacielu, nie zamierzam bynajmniej rozmawia z tob o interesach.

– Taak?

– Chciałam pomówi o sprawach osobistych. Musimy pomy le , co zrobi z twoj on .

– Zatrzepotała grubo uczernionymi przez Edouarda rz sami. – I z moim m em.

– Z Ann i z Ojuentem? – Zmarszczył czoło.

– Otó to. Z Ann i z Ojuentem.

Na zapijaczonej, chłopi cej twarzy Larry’ego wyrazi cie odbijały si kolejne uczucia. Zakłopotanie, zrozumienie, wreszcie – niedowierzenie.

– Ann i Quent? – wymamrotał. – Chyba artujesz.

– Słoneczko moje, zdradzani mał onkowie zawsze dowiaduj si o wszystkim na ostatku.

– Co ty, do diabła, opowiadasz? – Lany chwycił si oparcia fotela i próbował stan na nogi. – Co si tu, do cholery, dzieje?

– Chod na gór . – Ann, jeszcze bledsza ni przedtem, próbowała mu poda r k .

– Wi c to jest ten facet, któremu nie sk piła łask...

– Lany...

– Kładła si do łó ka z tym worem dolarów, przyznaj si ! – Twarz Larry’ego nabrzmiała i zrobiła si czerwona. Wymachiwał pi ci przed nosem i wygl dał, jakby miał lada moment rozplaka si ze zło ci. – Kłamliwa suko!

Siła jego gniewu i rozpaczy sprawiła, e Ann cofn ła si o krok. Wykr ciła przy tym nog w kostce i musiała si przytrzyma stołu, eby nie upa . Wygl dała na tak oszołomion , jakby upadła naprawd . Quent wzi ł j pod r k i przeoszlone drzwi wyprowadził do ogrodu.

Patrz c, jak cienie obojga zlewaj si , wreszcie znikaj w ciemno ciach ogrodu, Gilberte poczuła dziwne pstryknie cie w gł bi czaszki, jakby kto dokonał na niej bezbolesnej lecz przera liwie wyczerpuj cej operacji. Nie była w stani oszacowa szkód, jakich dokonano w jej systemie nerwym, w ka dym razie nie pozbawiono jej zdolno ci my lenia Ja jestem jego on – my łała. – Wyszedł z ni do ogrodu ale ja jestem jego on .

W marcu, kiedy Quent zaczą ł przeb kiwa o rozwodzie Gilberte pod wiadomie posłu yła si nieszcz sn , wypróbowan metod – koszmarnym snem wzbudzaj cym w nim czucie winy. Jeszcze póó niej, przera ona, e stare metod wkrótce przestan by skuteczne, przygotowała si na wszelk ewentualno w sposób, który napełnił j gł bok pogard dla samej siebie. W tajemnicy przed Quentem zdobyła kopie dwustustronicowego testamentu Jasona Templara i zbioru dokumentów zwi zanych z zasadami dziedziczenia majtku.

Dokumenty wyczyta Patrickowi Kempowi i jego współpracownikowi, Otisowi Schuylerowi. Po pobieżnym przestudiowaniu przekazali najętej firmie z Wall Street, specjalizującej się w zawiłych sprawach majątkowych. Ekspert potwierdził to, co powiedział Quent przy okazji zarządcy: podział majątku przy rozwodzie będzie procedurą niezwykle skomplikowaną. Adwokaci Gilberte uzupełnili tę informację, twierdząc, że jeśli Gilberte nie zechce pójść na rękę młodziemu, proces może się ciągnąć przez dziesięć lat.

Rozważając niesmaczne sposoby utrzymania małżeństwa, patrzyła przez oszklone drzwi w nieprzeniknione ciemno ci ogrodu.

Larry również wpatrywał się w mrok. W jego przekrwionych, rozgorączkanych oczach i rozciągniętych cierpieniem wargach nie było śladu beztróskiego uroku, jaki rozsiewał na co dzień. Ann nie mogła wybrać kochanka równie druzgociego dla jego poczucia własnej wartości, jak Quent Dejong. Od pierwszego spotkania, kiedy przedstawiono ich sobie w Hotelu Piramida, Larry odczuwał w stosunku do Quenta niepokonany zazdrość. Zazdrość Ojientowi jego przodków, zazdrość ubrań szytych przez angielskich krawców, zazdrość manier, akcentu, który zdradzał pochodzenie, wrodzonej odwagi wolnej od zarozumialstwa, zazdrość nonszalancji, z jakimi czasami nie dopinał koszuli na ostatni guzik. Przede wszystkim jednak zazdrość Quentowi majątku. Chociaż Ann była ostatnią osobą, którą mógłby pomówić o interesowności, cały ciężar jej zdrady złożył na karb pieniędzy. Pojkując z cicha, ruszył niepewnym krokiem w stronę tacy z alkoholami i nalał sobie resztkę z karafki, z szyjki której zwisała srebrna plakietka z napisem „Scotch”. Niezgrabnym tajnikiem metabolizmu należało przypisać fakt, że alkohol wywołał u Larry’ego otręśnięcie i skutki.

– Od kiedy to się ciągnie? – spytał, gwałtownym ruchem głowy wskazując ogród.

– Kto to może wiedzieć? To stara historia. Możliwe, że od czasu wojny.

– Była dziewczyna, kiedy się z nią spotywałem, dziewczyna, słyszysz?

– Zadała mi pytanie, a ja ci powiedziałam, co o tym myślę.

– Wzruszyła ramionami. Diamenty założyła na jej dekolcie.

– Jedno jest pewne: w tej chwili romans trwa na całego. Był z nią w szpitalu, powiadasz?

– Aby dać mi wytchnienie, tak to nazywał, skurwysyn. – Pociągnął kolejny łyk. – Ładnie porządku sobie wybrał, aby się do niej *dobiera!

– *Rendezvous* w poczekalni bez drzwi? Lany, chyba nie jesteś aż tak pijany. – Przerwała i po chwili dodała szorstko:

– On ją kocha.

– Ten zimny gad?

Gilberte właśnie miała ukrocić Larry’ego, kiedy przypomniała sobie, że podobnie oceniała temperaturę emocjonalną. Nie powiedziała nic. Firanki wyślizgiły się do podłogi. Podnieśli wzrok wyczekując, jednak był to tylko powiew ‘gorącego powietrza nocy.

– Mam kręka na punkcie tej dziewczyny, flaki z siebie wypruwam dla niej i dla dzieci. – Larry westchnął. – Ale jakiego człowieka ma szansę przy Panu Nadzianym? Nawet gdybym wiedział, że mam rywala, nic by mi to nie pomogło.

– Larry, posłuchaj mnie. Ja się z nim nie rozwiodę.

– A co z... – Skin ła r k w stron ę ogrodu. – Oboje chyba widzieli my to samo? – upewnił si zbol łym głosem.

– A ty? Masz zamiar ratowa swoje mał e stwo?

– Chryste, jak ona mogła mi to zrobi , wła nie teraz, kiedy nasz chłopiec jest tak ci ko chory.

– Gor czka si podniosła? Zmarszczył czoło.

– Ann co tam mówiła, ale nie pami tam, czy si podniosła, czy spadła.

Gilberte przymkn ła oczy.

– Nigdy nie dam Ojuntowi rozwodu – odezwała si po chwili. ‘

– Nie dasz? Tacy ludzie jak on mog sobie kupi , czego tylko zapagn .

– Z wyj tkiem rozwodu – sprostowała. – Poza tym, on • mnie nigdy nie porzuci. To ostatni moralny człowiek na tym wiecie.

– Zale y, co rozumiesz przez moralno . Pieprzenie cudzych on? – Potrz sn ła głow . – Znasz Ann. Nie b dzie chciała by ze mn , je li kocha si w Quencie.

– Jest zbyt wielkim d entelmenem, eby trzyma j w charakterze kochanki.

Czy rzeczywi cie? Nie obchodzi mnie to, nie mog sobie pozwoli na to, eby mnie obchodziło. Niech z ni sypia, niech robi, co mu si ywnie podoba. Bez tego mał e stwa jestem nikim....

– Mówisz, e szalejesz za ni , no to powalcz o ni troch .

– Za bardzo jestem zm czony, eby my le . – Westchn ła wzruszaj c ramionami. Westchnienie przeszło w ziewni cie.

Patrz c, jak Lany idzie zataczaj c si przez bibliotek , Gilberte z przera eniem stwierdziła, e tworzy teraz wspólny front z rozmi kłym pijaczyn . Przez moment mign ła jej w pami ci radosny, zawiadacki oficer, jakim był przed laty, i jej ostra jak skalpel uczciwo wewn trzna podszeptn ła, e w pewnej mierze jest odpowiedzialna za t niekorzystn przemian . Niepewne kroki Larry’ego ucichły na schodach, słycha było tylko szelest li ci i łagodne odgłosy ycia w mie cie. Ogród spowijały nieprzebyte ciemno ci.

Po chwili Gilberte poszła w ład za Lanym na gór .

Zdj ła sukni balow , zmyła makija i zarzuciła przez głow cieniutk jak paj czyna koszul nocn . Zepchni ty w najdalsze zakamarki wiadomo ci l k o Michaela dr czył j ze wzmo on intensywno ci . Kład c si do łó ka, poczuła ucisk na piersi. Nie mogła oddycha . Spazmatycznie chwytaj c oddech, cofn ła si w koszmar *baignoire*. Pomó cie mi. Błagam, pomó cie mi.

Ann i Quent nie odzywali si do siebie. Wielki stary buk szumiał nad ich głowami. Quent przytulił Ann. Zbyt zm czona i zbyt zgn biona, eby zastanawia si nad konsekwencjami słów, które dopiero co padły, Ann wtuliła twarz w koszul Ouenta, wdychaj c zapach potu i krochmalu, wsłuchuj c si w mocny, koj cy rytm jego serca. Kiedy wreszcie odsun li si od siebie, zobaczyli, e w bibliotece nie ma ju ani Larry’ego, ani Gilberte.

– Chyba pójd do pokoju – powiedziała bez zapału.

W sypialni zastała Latty'ego, który przechylony nad toaletkę przejrzał się w lustrze z min człowieka szukającego czegoś w grórze.

– Lany, przepraszam cię – powiedziała.

– W dupie mam twoje przeprosiny. – Od oddechu lustro zaszło parą. – To tym się zajmowałaś po nocach. Ciekawe, jak często wyskakiwałaś do jakiegoś miłego hoteliku?

– Siedział ze mną, i to wszystko. – Ann przypomniała sobie niekończące się godziny w Mount Sinai, kiedy tylko obecność Ojenta chroniła ją przed szaleństwem.

– Taa... już to widzisz. Gilberte jest ciekawa, co z nami będzie. Czy rudowłosa grzesznica zostanie ze swoim małżonkiem?

– A ty z Marjanem?

– Czekałem, a ty powiesz. – Westchnął głębiej. – Czujesz się obrzydliwie. On zaczął chorować, a ja... ja byłem z Marjanem. Nie mogłem patrzeć na to, co robisz z moim domem. – Zaczęła pochlipywać. – Dlaczego musiałaś sprzedać mój dom? – Zataczała się, ruszył do łazienki.

Ann położyła się. Czuła rozpaczliwą potrzebę bycia z Michaeliem. Kiedy Larry wrócił z łazienki, wygładzała narzut.

– A to dokąd znowu? – zapytał. Parę ciemnych od wody kosmyków kleiło mu się do krostowatego czoła. Widocznie spryskiwał twarz wodą. Jednak wydawał się jeszcze bardziej pijany niż przedtem.

– Idź z powrotem do szpitala.

– Taa... z dobrym wujaszkiem. – Mówił teraz głębiej i zaczepnie. – Najpierw sobie parę rzeczy wyjaśnij. Musz wiedzieć, co się dzieje między tobą a tym dzianym sukinsynem.

– Szesz...

– Od jak dawna cię dymie?

– To nie jest tak.

– Od jak dawna?

– Od Francji.

– Od Francji? Rany boskie, chodziłaś jeszcze do szkoły.

– Cigał nas patrol graniczny, byliśmy w wielkim niebezpieczeństwie.

– Nie wiem, czy sobie przypominasz, ale w czasie wojny wmawiała mi, że jestem dziewczyną.

– Nigdy tak nie mówiłam, Larry.

– Mówiłaś. – Chwytał ją za ramiona.

– Puść! To boli.

– Teraz mnie trochę podbrandzłujesz, tak jak jemu to robisz.

– Larry, kochałam cię, ale to było coś innego. Próbowала się wyrwać, ale mocno wpiła palce w jej ciało.

– Taa... Pan Nadziały nie zechciał się z tobą oenić, więc następnemu postanowiła nie dawać bez powodu.

Odepchnął ją i upadła do tyłu, uderzając o ciankę. Krzyknęła. Do pokoju wpadł Quent.

Patrzył na nich, mrużąc oczy. Trzy zwinne kroki do przodu i znalazł się przy Lanym, który rzucił się na sofę. Quent stał zwrócony plecami do Ann. Zobaczyła, jak miśnie jego ramion napinają się pod koszulą. Uniósł otwartą dłoń i zatrzymał kilkanaście centymetrów od szyi Larry'ego. Włóczył OSS zrzuconych na terytorium nieprzyjaciela, instruowano, gdzie znajduje się wrażliwy punkt na szyi, w który należy uderzyć, żeby spowodować natychmiastową, bezszelestną śmierć.

– Quent! – krzyknęła. – Quent, nie!

Dłoń szykująca się do ciosu drgnęła. Ann rzuciła się na Ouenta. Palcami wpiła się w jego ramiona. Wyczuła nieubłaganą siłę jego rąk.

Odwrócił się z nienacką, patrząc na nią nieprzytomnym wzrokiem, jakby w ogóle nie zdawał sobie sprawy z morderczych zamiarów, jakie wywił przed chwilą.

Larry powoli osuwał się wzdłuż ściany. Tułów miał w pionie, same nogi jechały do przodu po jasnym dywanie.

A więc tutaj jesteście wszyscy. – Gilberte stanęła w progu. Jej długie czarne włosy, uwolnione z misternych splotów francuskiego koka, spływały wzdłuż twarzy, bladej i owalnej jak jajo. – Patrzcie sobie, jak Larry odpoczywa.

Larry usiłował się odwignąć, osunął się jednak z powrotem na grubą beżową dywan.

– Trzeba mi klina – wymamrotał.

– Masz już dosyć – ucił Quent.

– Zaraz ci coś przyniosę – powiedziała Gilberte prawie równocześnie.

Później Ann zastanawiała się, dlaczego Gilberte, której charakter był dziwnym mieszaniną niegodziwości i skrajnej uczciwości, pogłębiała alkoholową załamaną Larry'ego. Możliwe, że pod wiadomą przynętą, żeby prawda wypłynęła na światło dzienne. W tej chwili jednak, dręczona chęcią powrotu do szpitala, nie poświęcała uwagi ani stanowi mężczyzny, ani motywom działania Gilberte. Kiedy Gilberte wróciła, Larry wgramolił się na otoman. Podała mu whisky z lodem i przysunęła drzwi.

– Słucham, nie musi słyszeć tego, co mam do powiedzenia.

– Gilberte, nie wiem, co chcesz powiedzieć, ale nie mam czasu cię słuchać. – Ann wyjęła z walizki bluzeczkę w paski. – Wieki całe nie byłam w szpitalu.

– To dosłownie moment, potem będziesz mogła z moim mężem pogadać na swoje poranne godzinki. Chciałam powiedzieć coś, co się wam obojgu przyda. – Wzięła oddech. – Nigdy nie dopuszczę do rozwodu.

– Co tam mówicie o rozwodzie? – spytał łosnym głosem Larry, osuszając wysoką szklankę do ostatniej kropli.

– Różne stany – zauważył Ojuent – mają różne przepisy rozwodowe.

– Owszem. Ale w świetle założeń prawnych będziesz się walczył pośladach przez najbliższych trzydzieści, może czterdzieści lat. Co wtedy zrobisz? Będziesz trzymał małżonkę Ann w jakimś mieszkaniu, w otoczeniu sfory pudełków, obsypując biuteriami i wszystkim, co możesz ni dając swoim utrzymanikom? Proszę ci bardzo, najwyżej adwokaci się na tobie utucz.

– Nie robi ci to żadnej różnicy, a ci w końcu zniechęca? – spytał.

– Nienawidzę, co wypływa z poczucia winy, tak mnie przynajmniej uczył *papa*.

– Michael może mi wskazać – przerwała jej Ann, której niepokój przewyższał siłą emocje wszystkich obecnych w pokoju gościnnym.

– Czy mówi jasno? – zwróciła się do niej Gilberte.

– Tak, tak – odpowiedziała Ann, podchodząc do szafy. – Pozwól teraz, a się przebiorę.

– Domyślam się, że obaj panowie oglądali ci *en deshabille*. – Wyszła powiewając szlafrokiem.

Ojciec zawisł nad Larrym.

– Nie zostawi ci z nim samego – oświadczył chwytając go za wolną rękę i stawiając na nogi. Larry rzucił skruszone spojrzenie Ann, jakby miał zamiar coś powiedzieć, ale Ojciec wypchnął go z pokoju.

Uwolniony za drzwiami, Larry szedł potykając się przez obszerny hall zawieszony mrocznymi holenderskimi pejzazami z siedemnastego wieku. Kaszł ciekawym flegm, przysiadł na najwyższym stopniu piwnicze białych schodów. Quent z Gilberte zostali na drugim końcu hallu. Gilberte miała przez chwilę wrażenie, że się gromadzą zwiadowców dwóch wrogich armii, obserwujących przez lornetki obozowisko nieprzyjaciela. Milczenie przerwał Larry.

– Uparła się zniszczyć nasze życie – wymamrotał, jakby chciał przerwać rozmowę. – Od miesiąca, a może od lat.

Oczywiście to się zaczęło w Kalifornii. Zawsze narażała nas na pokusy. Jak jakiś Faust... czy ten... no... Mefistofeles? Pokazywała, jak powinniśmy... dobre ciuchy, restauracje, limuzyny, drogie meble...

– Larry – przerwała mu Gilberte – czy w swoim dramacie obsadziła mnie w głównej roli Lucyfera?

Zadartł głowę do góry, żeby zobaczyć. Przez chwilę silił się na zwykły, pochlebny uśmiech, w końcu jednak wydukał wargi z pretensją.

– Po co wynosiła nas tak wysoko, skoro potem zamierzała nas stracić w przepaść?

– Masz naprawdę zdumiewający dar wynajdywania usprawiedliwień dla samego siebie – stwierdziła czując przy pieśni bicia serca. To nie było odpowiednie miejsce na rozmowę. Quent przyglądał się jej chłodnym wzrokiem.

– Dlaczego mnie wyrzuciła?

– Chyba musisz zacząć wyczyścić pamięć. Przypomnij sobie tylko sumy, które wydałaś na rzekome koszty reprezentacyjne, a także ubrania, które podarowałaś dla swojej przyjaciółki. – Umilkła. – Niezbyt mądrze zabierasz się do rzeczy, jeśli rzeczywiście masz zamiar wrócić do dawnej roboty.

Na twarzy Larry'ego walczyły ze sobą nadzieja na powrót do pracy i pewność, że Gilberte go nabiera.

– Podpuściła mnie, a potem dała mi kopa. Poszczyła nas swoimi adwokatami.

– Adwokatami? O czym mowa? – wtrącił Quent, przysłuchując się z najwyższą uwagą.

– Kochanie, nie prowokuj go, bo zaraz uderzy w bok. To jego stary numer.

– Jest nad czym płakać. Zaskarżyli nas o wielkie pieniądze. – Larry szedł już na całego.

Pozbył się resztek godno ci osobistej. – A mój dom? Dla mnie każdy dom jest jego twierdzą. Ręka w rękę z moją żoną wyrzuciły cię mnie z domu.

– Miło ci przez chwilę nad sobą poulała – skwitowała Gilberte. – Chodźmy na dół. Musisz jeszcze wypić trochę kawy.

– Jednego tylko nie rozumiem. Dlaczego? Zawsze byliśmy wobec ciebie w porządku. Przecież pomogliśmy ci w Paryżu. Czy malutka nie stawiała na głowie, żeby ci pomóc? A może zapomniała, jak przywlokłem ze szpitala amerykańskiego lekarza z penicyliną dla twojego dziecka.

– Dziecka? – Quent oddepchnął się od inkrustowanej boazerii. – Jakiego dziecka, Larry?

– Dziecka białych myszek w jego głowie. – Gilberte zaśmiała się fałszywie.

Ann, przebrana w czystą bluzeczkę, stanęła w drzwiach.

– Jakiego dziecka? – indagował nieustępliwie Quent. Spod zmrużonych powiek kolejno patrzył na Gilberte, potem na Larry'ego i Ann.

Wszyscy troje zamarli, jakby w ciepłym, pachnącym woskiem powietrzu przeleciały błyskawice, łczyła ich z pozostałymi.

Gilberte nie poczuła nawet, że z jej piersi wydobywa się rzęsy oddech.

Ann mocniej chwyciła za mosiężną klamkę. W upiornym, słabym świetle, czując się za jej pleców, wyraźnie widać było piegę na pobludłej twarzy.

Larry, od chwili kiedy wspomniawszy o dziecku, trzymał dłoń na ustach, jakby chciał wpełznąć z powrotem szokującą wiadomością. Teraz odjął rękę od ust.

– Właściwie co mi może zrobić. Nie porwie przecież dziecka z „elaznego płuca”.

– Michael jest twoim synem? – Quent spojrzał na niego.

Zadarła nieznacznie podbródek, odpowiadając mu wyzywającym spojrzeniem, mimo że lekko przenikała do czułości jej ciała, lekko tak dojmująco, że nie mogła utrzymać się na nogach. Oparła się o drzwi i odwróciła wzrok.

– To znaczy, że jest – podsumował. – Kłamała – zwrócił się do Ann.

Był tak bezbronny w swojej urażeniu, że chciał jej się krzyknąć. Nagle pojął to, co powinna wiedzieć od samego początku, że fakt ukrycia przed nim pochodzenia Michaela z pewnością cię poczyta za dowód zdrady. Obca mu była naiwność, jak Ann obdarzała nieomal każdego, jednak jej wcale nie zaufała bez reszty. W jednej chwili ich wspólny wiat, który mimo wszelkich przeciwności udało im się wznieść, legł w gruzach. Czy mogła jednak postąpić inaczej? Czy mogła narazić się na utratę syna?

– Chyba należałoby mi się jakieś wyjaśnienia – zwrócił się do Gilberte. Rysy jego twarzy stwardniały.

– Nie wiem, co by chciał wiedzieć.

– Po pierwsze, kto jest ojcem Michaela? Chyba że tego nie wiesz. Czy to się stało w Santé?

– Kochanie, naucz się liczyć na palcach, a sam sobie odpowiesz na to pytanie. Jest synem Hocherà – wycedziła nonszalancko, jednak głos miała tak schrypnięty, jakby krzyczała przez te wszystkie lata. – Jest synem czołowego zbrodniarza hitlerowskiego.

– Czy dlatego się go wyrzekła?

- Nie – wtręciła Ann. – Nie miała wyboru. Michael miał...
- Pozwolisz, że porozmawiam z nim bez twojej pomocy.
- Mów – załatwił Quent.

– Dziwi się, że działacie na rzecz UNRR-y, Planu Marshalla i rozmaitych organizacji charytatywnych, zapomniała o niezwyklej obfitości lekarstw i leków, jaka panowała w Europie zaraz po wojnie. Z pewnością ci przypomni się pulchne, rumiane, elegancko ubrane berbecie baraszkuje po ród gruźlicy. Michel, tak wtedy się nazywał, był niedożywiony, w związku z czym łatwo ci mógł się stać ofiarą infekcji, jaka się napatoczyła. Lekarstwa dostawali tylko Amerykanie. Michel dostał niezwykle ostrego zapalenia ucha. Ann zadzwoniła do Larry'ego, który przyprowadził znajomego lekarza, dokładnie tak, jak wygadał po pijaku. Wyglądało jednak na to, że Michel nie po raz ostatni będzie potrzebował cudownych leków, wobec czego moi wielkoduszni przyjaciele zaofiarowali się go zabrać ze sobą do ojczyzny wolnych ludzi i kraju twórców penicyliny. – Zakończywszy swoje zwierzenia, Gilberte poczuła się, jakby przekłamała w niej nabrzmiewające latami wrzody. – Chociaż konsekwencje mogłyby być nieobliczalne, to wyznaczenie prawdy po latach przyniosło jej niewysłowioną ulgę.

– Przez te wszystkie lata udawała, że Michael jest sierotą wojenną – zwrócił się do Ann. Jego oczy, pozbawione wyrazu, wyglądały jak dwa białe kamienie.

– Jest naszym synem.

– Nie podejrzewałem ci nigdy, że zniesz się do sofizmatów. W porządku, zaadoptowali cię go, żeby uratować mu życie.

– Nie – wyszeptwała czując w ustach gorzki smak łiny. – Zaadoptowali my go, bo go kochali my, bo go kochamy.

– I nigdy ci nie przyszło do głowy, że powinienem o tym wiedzieć? Jest wnukiem André, moim kuzynem.

– Quent, z pewnością ci bym ci powiedziała, ale nie mogłam. Złożyli mi obietnicę Gilberte.

– Groziła, że go odbierze, jeżeli puścimy farbę – dorzucił Larry.

– Przestała się tak oburzać – włączyła się do rozmowy Gilberte. – Co miałam niby robić? Musiałam wybierać: albo ty, mój drogi, albo on.

– Bez końca opowiadała mi o wszystkim, co przeżyła w czasie wojny i okupacji. Dlaczego zataiła przede mną istnienie dziecka?

– Wysłuchaj. – Gilberte dręła na całym ciele. – Nie wiem, czy przypominasz sobie, jakie opinie wygłaszała na temat kobiet, które wyrzekły się swojego dziecka?

Lany czknęła i głowa spadła mu na piersi. Zaczęła donośnie chrapać. Ann rzuciła się w stronę schodów, jakby ją ktoś uderzył.

– Lany, wstawaj, proszę ci! No, już! Powinieneś się położyć – przemawiała dręjącym głosem. Była na krawędzi hysterii.

Lany nie drgnęła. Zeszła kilka stopni w dół i pociągnęła go za rękę, usiłując postawić go pionie. Bezwładnie przechylił się na jeden bok. Mógł spaść ze schodów, gdyby postawiła go na nogi.

Rozejrzała się bezradnie.

– Quent – poprosiła. – Mógłby mi pomóc?

Twarz mu nie drgnęła; Lany i Ann w jego oczach mogli z powodzeniem by dwoma meblami, które stały w przejściu.

– Jestem pewien, że poradzisz sobie z nim lepiej ode mnie – oświadczył. Odgłos jego zdecydowanych kroków niósł się przez hall, dopóki nie zniknął w sypialni.

Ann zaszlochała bezgłośnie, jak małe zwierzę wydające z siebie ostatnie tchnienie.

Znow wzięła się za stawianie chrapiącego mężczyzny na nogi.

Gilberte patrzyła na tę scenę zastanawiając się, dlaczego w dalszym ciągu czuje się wyczerpana i pusta wewnątrz. Właściwie powinna się cieszyć z radości. Quent byłby może jest na nią wściekły – cóż, najwyżej odsunął się od niej kolejny krok dalej. Ale zaznaczył a nadto wyraził, że stracił serce dla Ann. Nadal jest jej potajemnym wrogiem, lecz z pewnością przestała być rywalem.

Ręka Lanyego osunęła się, kiedy Ann próbowała ją sobie zarzucić na szyję.

Po chwili Gilberte również wycofała się do swojej sypialni.

Łzy puściły się po policzkach Ann. Otoczona bezcennymi płótnami Rembrandta, sapiąc z wysiłku, samotnie borykała się z bezwładnym mężczyzną.

Przystanąła przed pustą poczekalnią. Zimna po wiata białych lamp, brzydkie meble z niklowanych rurek, wymiśne broszury o heinemedinie, drażniący zapach lizolu – wszystko to składało się na całość tak odpychającą, że pozbawiona towarzystwa osoby, która dzieliłaby jej łęk i odrazę, nie mogła zdobyć się na przestąpienie progu.

Przez hall wolnym krokiem szedł internista w towarzystwie pielęgniarki-stażytki. Internista mówił, że mogliby wypożyczyć samochód i pojechać za miasto w niedzielę, na co dziewczyna odpowiedziała: „Fajowsko!” i wybuchnęła głośnym śmiechem. Trudno było uwierzyć, że istnieje na świecie pary, które spędzają beztrudnie dni, całując się ukradkiem na zielonej trawie. Kiedy para oddaliła się w kierunku dyżurni pielęgniarek, Ann weszła do rodzaka. Ze zwieszonym głowami i pochylonymi plecami przypominała chorych na zwyrodnienie kręgosłupa.

Przecież nie mogłam mu powiedzieć – rozmyślała, z przyzwyczajenia siadając na tej samej co zawsze koczecie w rogu. Nieprzytomna ze strachu o Michaela, widziała wiat jak przez mgłę. W ołdki czuła bolesny ucisk na myśli o tym, że na zawsze utraciła Ouenta. Niepomna listu, który przyszedł z Pary a przed blisko ośmiu laty, wymazała z pamięci pogródkę Gilberte. Zatając prawdę przed Quentem, wydała wyrok na ich miłość. Przymknęła oczy, jeszcze raz widząc wyraz chłodnej wyrozumiałości, z jaką odmówił jej pomocy. Po raz pierwszy w życiu jej *chevalier sans peur et sans reproche* odmówił podania pomocnej dłoni.

Kiedy wreszcie dotaszczyła Larry'ego do łóżka, była złana potem od stóp do głów. Zbiegając ze schodów, zauważyła, że nie ma nawet pięciocentówki na telefon. Zawróciła do pokoju gościnnego i przewracając Larry'ego z boku na bok, przetrząsnęła jego kieszenie. Porwała z portfela dwa wygniecione banknoty dolarowe, zostawiając wierz dolarówk i trzy za niedziały, wybite jeszcze w czasie wojny centy. Dwa dolary i dwadzieścia osiem centów – tyle zostało z czeku bez pokrycia, który Quent zamienił Larry'emu na gotówkę. Tyle była

warta fortuna Porterów.

W zaciszu eleganckiego domostwa Dejongów wolno jej było pozwolić sobie na luksus martwienia się wyłącznie zdrowiem Michaela. Teraz w jej myśli wdarła się szara rzeczywistość pełna przyziemnych, niemniej uciążliwych trosk.

Nie mogli dłużej mieszkać przy Piętej Alei.

Jutro będą musieli wrócić do Darien. Nie mają pieniędzy na benzynę. Ich Chevrolet stoi teraz zaparkowany za astronomiczną opłatą przecznic od domu Dejongów, w garażu, w którym trzymają wszystkie swoje samochody. Nie mają za co kupić jedzenia, nie mają czym opłacić opiekunki dla Janey. (W rozliczeniach pominięła zadłużenie wobec Gilberte i innych osób. Sumy te były tak wielkie, że abstrakcyjne.) Za trzy tygodnie – a właściwie już za dwa – wygaśnie wadium. Będą musieli wyprowadzić się. Dokąd? Kto wynajmie mieszkanie ludziom, których nie stać na pierwszy czynsz, nie mówić już o kaucji? Nie mogła podjąć pracy u Severa. Los Angeles w ogóle nie wchodziło w rachubę. Michael będzie leżał w Mount Sinai jeszcze przez długie miesiące. Jego pobyt w szpitalu, który w wypadku innej choroby kosztowałby jej majątek, był na szczęście darmowy.

Chwała Najwyższemu za istnienie March of Dimes – pomysł chyba po raz setny.

Poruszyła się niespokojnie. Co z Larrym? Czy potrafiłaby zostać przy nim? Czy on zechce?

W tej chwili nie jestem w stanie myśleć o tym.

Dalej – czy Gilberte spełni swoje pragnienia? Niewykluczone. Była nieubłagana jako młoda dziewczyna i wyrosła na nieubłaganą kobietę. Nigdy nie puściła w niepamięć żadnej zniewagi czy tego, co było krzywdą w jej mniemaniu. Wprawdzie Michael został legalnie zaadoptowany, jednak łepa sprawiedliwość pozwala szaloniem wagi przechylić się pod ciężarem gotówki.

– W gruncie rzeczy to wszystko jest bez znaczenia – szepnęła, a w duchu dodała: – Bo e, spraw, żeby był. eby tylko był.

Zapomniała nakręcić zegarek. Nie wiedziała, jak długo siedzi w poczekalni, kiedy z korytarza dobiegł jej stukot damskich szpilek.

Przyszła Gilberte.

Beżowa lina sukienki uzupełniła obróbką z koralami i koralowe kolczyki, dłonie opinały rękawiczki z kołnierzy skóry. Ten nienaganny strój, w szpitalu, w środku nocy wydał się Ann czymś niesłychanie ałosnym.

– Przykro mi – wyszeptała po francusku.

Z topazowych oczu wystrzeliła w jej kierunku błyskawica.

– Wyobraź sobie, że ci przykro – odpowiedziała po angielsku Gilberte po dłuższej chwili. – Dopiero co wyrzekła się mojego syna, a mój mąż również uznał, że się na tobie zawiódł.

– Strasznie mi wstyd, że go okłamywałam.

– Ka dy, kto się wychował w rodzinie takich bogactw jak Cjwent, jest przyzwyczajony do tego, że go oszukują. I do tego, żeby wszystko było po jego myśli.

– Nigdy w życiu nie dostał tego, czego naprawdę potrzebował.

– Tak wła nie przemawia miiiilo . Moja droga, ty go w ogóle nie rozumiesz.

– Ciebie przede wszystkim nie rozumiem.

– Czy to ma by preludeum – spytała Gilberte, zdejmuj c, palec po palcu, r kawiczki – do krytyki mojego charakteru?

– Nie. – Ann potrz sn ła głow ze znu eniem. – Naprawd ci nie rozumiem. Kiedy wydawało mi si , e wiem, o co ci chodzi. Pami tam, jak na rue Daguerre mawiała , kiedy za bardzo si czym przejmowałam, e ycie jest komedi dla tych, co my l , a tragedi dla tych, co czuj . Sama zaliczała si do tych pierwszych.

– Niedokładny cytat, ale niech ci b dzie.

– Osobi cie uwa ałam, e jest na odwrót. ycie wcale nie wydawało ci si zabawne. Nigdy nie dowiedziałam si , co to było, ale w dzieci stwie musiała zosta czym bole nie zraniona, wi c zakuła si w pancierz ironii, eby uchroni si przed dalszym bólem.

Gilberte przeszedł dreszcz. Ann podsumowała j z przera aj c trafno ci .

– Prosz , nasza młoda pani psycholog – zakpiła. – Czy mo e niło ci si , e jeste uczennic Freuda?

– Pomyliłam si w stu procentach, chcesz powiedzie ? Jeste kompletnie pozbawiona uczu . Inaczej nie dokuczałaby mi teraz, kiedy Michael jest w tak ci kim stanie.

– Czy przypadkiem zwalanie winy na innych nie jest specjalno ci Larry’ego?

Ann podeszła do okna. Uniosła listewk aluzji i wyjrzała na zewn trz. W ciemno ciach przeciwległego skrzydła gdzieniegdzie jarzyły si wiatła.

– Co ci powiedzieli? – spytała cicho Gilberte.

– Od czasu jak przyszłam, jeszcze nic.

– W jakim był stanie, kiedy wychodziła ?

– Gor czka troszk opadła, ale wygl dał przera aj co.

Dochodziła trzecia nad ranem, pora, w której zwalnia zegar biologiczny i cykl dobowy osi ga swój najni szy punkt, godzina, w której wyst puje najwi cej zgonów. Doktor Levinson wszedł do poczekalni i Ann wstała z trudem.

– Musi pani koniecznie odpocz . – Popatrzył na ni chłodno, bezosobowo. – Poprosz piel gniark , eby przyniosła pani poduszk .

– A Michael?

– Gor czka znowu poszła w gór .

– Ile stopni?... – wyszeptwała.

– Czterdzie ci.

Z piersi Ann wydobył si cichy skowyt.

Gilberte obserwowała j ze swojego krzesła. Dłonie nienagannie zło yła na w ziutkiej torebce od Hermes. Przez całe ycie tresowała si w nieokazywaniu uczu – nie zdradzała najl ejszych oznak makabrycznego l ku, który odczuwała.

– Wypróbujemy now szczepionk , któr przyniósł Stratton – powiedział Levinson. Stratton, jeden ze sprowadzonych przez Quenta specjalistów, pracował w o rodku bada nad heinemedin przy szpitalu Johna Hopkinsa. – Jest jeszcze w stadium eksperymentalnym... – W zdezynfekowanym powietrzu zawisły nie wypowiedziane słowa: „ale i tak nie mamy nic to

stracenia”.

– Czy mogłaby się z nim zobaczyć? – spytała Ann.

– Z doktorem Strattonem?

– Nie, z Michaeliem.

– Dlatego właśnie nie przychodzi. Mam nadzieję, że pani widok mu pomoże.

Gilberte uniosła się z krzesła.

– Gilberte, to jest doktor Levinson – wybrała Ann. – Panie doktorze, pani Dejong.

– Pani Dejong – zaważał się przez chwilę – pani mój był nam niezwykle pomocny.

Musimy teraz pani przeprosić, ale...

– Ja też idę – przerwała mu stanowczo.

– Nasze przepisy – owiadczył Levinson – dopuszczają tylko wizyty pojedynczych osób, i to z najbliższej rodziny.

– Jestem najbliższą rodziną – owiadczyła.

Doktor przeniósł wzrok z Ann na elegancką kobietę z francuskim akcentem. Uniosła lekko podbródek, odpowiadając mu dumnym spojrzeniem.

– Nie wydaje mi się, żeby to mogło zaszkodzić – zdecydował.

Ann trzęsła się trochę tak, jak Gilberte musiała zawiązać jej tasiemki sterylnej stroju.

Kiedy weszły na oddział respiratorów, Gilberte przystanęła i zaczęła studiować dziwaczne urządzenia, rury, butle z tlenem, lustra umocowane pod kątem nad głowami pacjentów, automatyczne pisaki kreślące zygzaki na kartach oksymetru. Ann, zdając sobie sprawę, jak niewiele ma czasu, popędziła do Michaela. Głowa wystająca z chromowanego wylotu monstralnej maszyny składała się z samej skóry i kości – mała czaszka, a z oczodołów para szarych oczu patrzyła błagalnie na Ann.

– Witaj, Michael. Przywiodłam cię gościa, pani Dejong. Pani Dejong też bardzo martwi się o ciebie – mówiła Ann najzwyczajszym w świecie tonem. – Tatu kazał cię uciąć, za jakiś czas przyjdzie do ciebie.

Skin i głowy.

– Oboje strasznie cię kochamy. Zapadnij te powieki zamknij się.

– Pamiętaj, jak były małe i prosiły czasami, abym piewała ci do snu? – spytała Ann łagodnie, nucąc *Frere Jacques, Frere Jacques. Dormezvous, dormezvous?*

Gilberte dołączyła wyszłym, choć nie tak czystym sopranem: *Sonnez les matines...*

Na znak Levinsona, nie przerywając cichego piewu, zaczęły się wycofywać między rzędamy obłych respiratorów.

Quent czekał już jasno oświetlonej poczekalni. Na ich widok zerwał się z miejsca. Wysoki, barczysty, w opłaskanej koszuli, tchnął energią atlety. Mimo że przywitał się z Ann ze zdawkową bezosobową uprzejmością, na jego widok odczuła głębię ulgi.

– Widzisz, że czujesz się tutaj jak ryba w wodzie – powitała go Gilberte. Jej rozszerzone naczynia krwionośne były jak po belladonie.

– Wracasz od Michaela? – spytał.

– Owszem, był jednym z punktów naszego programu – zakpiła.

– Jak się czuje?

– Brak mi skali odniesienia. Ann?

– Ma ponad... – Odchrząknęła, bo nie mogła mówić. – Ma ponad czterdzieści stopni.

– Ponad czterdzieści stopni? Rany boskie!

Kolebiąc rozłożystymi biodrami, wkroczyła pielgniarka z poduszki.

– Pani Porter? Doktor Levinson powiedział, że to dla pani.

Ann podziękowała pielgniarkę i położyła poduszkę na porysowanym stoliku obok. Quent i Gilberte wybrali miejsca w odległości wykluczającej rozmowę zarówno z Ann, jak i z sobą. Ilekroć Ann zerknęła na Ouenta, widziała, że siedzi z wzrokiem wbitym w najdalszy koniec korytarza. Wskazywały, doskonale wykrojone, umalowane usta Gilberte zastępywały lekko protekcyjnym uśmiechem.

Pielgniarki schodziły z dywanu o szóstej. Na korytarzach zaroilo się od białych fartuchów. Do poczekalni wkroczył znów doktor Levinson.

Zsunęta maska okalała mu szyję jak zielony przypinany kołnierzyk urzędnika, w obwisłej twarzy czaił się wyraz klęski.

Ann wsparła rękę o poduszkę na stoliku i dźwignęła się na nogi.

– Pani Porter – zwrócił się do niej lekarz. – Ann, wolałbym, żeby usiadła.

– Nic mi nie jest.

W miarę jak zbliżał się do niej, szedł coraz wolniej.

– Zaraz po waszym wyjściu – powiedział łagodnie – Michael stracił przytomność.

Zwiliła wargi, nie odrywając wzroku od jego twarzy. Te przekleństwa pielgniarki z ich okrutnym, bez troskim uśmiechem.

– Od szczepionki? – spytała szeptem.

– Mało prawdopodobne, ale niewykluczone. Pani Porter, zrobili my wszystko, co było w naszej mocy, ale nie udało się go nam utrzymać... Pani synek nie żyje.

Przed oczami Ann zawirował kalejdoskop obrazów. W zaszczurzonej piwnicy na Montmartrze niemowlę wodzi za nią miernie powątpiewającym wzrokiem. Malutkie dziecko przyciska dłoń do ucha. Mały chłopczyk pomyka dziarsko na szeroko rozstawionych nogach. Trzylatek z wysiłkiem czyta dla niej dziecięcą książeczkę. Dziecko, które nie może powstrzymać szlochu, ilekroć pyta, czy Ann porzuci go tak, jak jego prawdziwa mamusia. Szczupły chłopczyk biegnie z mokrymi głowami przez zagon nie skoszonej trawy, wyczarowując w powietrzu migotliwe tęczowe światła ogrodniczego.

Obrazy przelatowały jeden za drugim. Gdzieś w tle kobiety głos nucił: *Dormezvous, dormezvous...*

Upadła w objęcia Ouenta.

Gilberte siedziała prosto, skrzyżowawszy kostki nóg, tak jak nauczyły ją siedzieć matka i guwernantka. Jak przez całe swoje życie, tym razem też nie zamierzała okazywać rozpacz. Jednak rozpacz z powodu powtórnej utraty Micziela była zbyt wielka, żeby bezkarnie można było ją ukrywać. Gilberte doskonale zdawała sobie sprawę, co się z nią dzieje. Jej umysł uległ podobnemu podziałowi jak Francja pod niemiecką okupację. Po jednej stronie granicy, za *zon interdite*, ciągnął się ciemny ugór jej duszy – jej *ka*, jej *anima divina*. Po drugiej stronie przemysłowy intelekt komentował scenę, która rozgrywała się przed jej oczami: lekarz

podsuwaj cy flaszeczk amoniaku pod twarz Ann, Quent przykucni ty przy kozetce, rozcieraj cy mał , bezwładn dło . Gł boki smutek maluje si na jego twarzy, po policzkach cieknu mu łzy.

Przez wszystkie lata, kiedy byli razem, nigdy nie widziała go równie załamane go. To niepojęte, że ten powici gliwym czyżna odsłania si w obecno ci lekarza i przechodz cych pielgniarek.

Płacze z powodu Michela – zawyrokowała. – Martwi si o Ann. Jego uczucie do Ann w najmniejszym stopniu nie osłabło. – To dramatyczne stwierdzenie nie wzbudziło w Gilberte ani zazdroci, ani gniewu, ani lku, że go utraci. – Kochaj – skonstatowała spokojnie.

Nie yje. Mój syn nie yje.

Przypomniała sobie gniewny płomie w niebieskich oczach ydowskiego lekarza, którego praktyka została przez hitlerowców zredukowana do nielegalnych zabiegów. Gdybym si wtedy zdecydowała, Michela nigdy nie byłoby na wiecie. Jej myli były wolne od smutku, alu, goryczy. Zawsze pragnła posiada matematyczn precyzj myli. Teraz wreszcie mier syna wyzwoliła j z tyranii uczu .

Nie miała adnego powodu, eby siedzie dalej w poczekalni, przygl daj c si , jak lekarz z Ouentem usiłuj ocuci Ann.

– Widz , e jestem tutaj zb dna – o wiadczyła wstaj c. – Do zobaczenia w domu, Quent.

Tyle rzeczy mam do zrobienia – powtarzała Ann, jad c z Quentem Pi t Alej do domu Dejongów. Od chwili kiedy odzyskała przytomno , na przemian przerzucała si z górnolotnych, biblijnych kwestii w stylu: „synu... mój synu, wolałabym umrze przed tob ” do bardzo przyziemnych rozwa a .

– Odpocznij dzisiaj troch .

– Musimy wraca do domu. Do Darien.

– Dzisiaj? – Zacisn ł dłonie na kierownicy.

– Tak.

– Przecie to nie jest konieczne.

– Nie mo emy mieszka u was. W zaistniałych okoliczno ciach...

Zaczła si ju poranna godzina szczytu. Samochód zwolnił, wreszcie zatrzymał si , uwi ziony w sznurze pojazdów czekaj cych na zmian wiatel w oddali. Mijali pieszcych do pracy chodnikiem biegn cym wzdłu elaznego ogrodzenia Central Parku, po chwili ci sami przechodnie wyprzedzali ich.

– Zajm si przygotowaniami do pogrzebu – o wiadczył Quent.

– Naprawd ? Zwróc ci koszty... zwrócimy ci koszty.

– Nie trzeba. Michael nale y do mojej rodziny. Pozwól, e si tym zajm . W zaistniałych okoliczno ciach... – dodał oboj tnie.

Odwrócona, eby ukry łzy, nie mogła widzie wyrazu winy na jego twarzy. Dr cymir kami przeszukała torebk , wreszcie wyłowiła strz pek papierowej chusteczki.

Uniósł si na obitym skór fotelu i wy dobył z kieszeni chustk do nosa.

– Dzi kuj – powiedziała stłumionym przez cienkie płócienko głosem. – Nie mamy ju

adnych pieniędzy.

Larry leżał rozwalony na łóżku w tej samej pozycji, w jakiej go zostawiła. Pociągnięta za sznurek podwójnych kotar. Słotece wpłynęło do pokoju. Chrapał głośno i obudził się, zasłaniając oczy ramieniem.

– Pi – wymamrotał.

– Musz z tob porozmawiać.

– Pó niej.

– Chodzi o Michaela.

– Michael? – Uniósł głowę par centymetrów nad poduszkę i opuszczył z jej kiem. – Chryste, chyba rzeczywiście cię wczoraj przedobrzyłem.

– Pamiętasz cokolwiek?

Przycisnął palce do czoła. Twarz była mu od potu.

– Czy pamiętam tam rewelacyjne wiadomości o tobie i naszym gospodarzu? Dzięki, ale mi przypomniawszy. A teraz bądź tak dobra i pozwól mi jeszcze pospać.

– Michael... – Łzy spływały po policzkach Ann. Odepiona, po omacku podeszła do łóżka i przysiadła koło Larry'ego. – Michael...

– Co się dzieje z Michaelem?

– Nie wie... Larry... Michael nie wie. Zaciśnięte powieki.

Jego ciałem zaczął wstrząsać głośnie szloch. Ann odgarnęła spódnice, rzednęce włosy z czoła. Kurczowo chwycił ją za przegub dłoni. Położyła się obok niego. Przytuleni ronili wspólnie łzy nad synem.

Larry, trzymając go w objęciach, nie był zupełnie trzeźwy, z czego zresztą zdawał sobie sprawę. Mimo to zaskoczyło go własne zachowanie.

Pchnął Ann na plecy i wgramolił się na nią; otwartymi ustami, z których wydobywał się zapach snu i alkoholu, rozgryzał jej wargi.

Od miesiąca nie proponował jej zbliżenia. Przez chwilę myślała, że Larry wije się w spazmach rozpaczliwym, jednak jego miednica w dobrze znanym rytmie zaczęła ocierać się o biodra Ann. Z bami wgrzyzał się w jej wargi. Wepchnął jej język do ust i zaczął zataczać nim koła. Ciało Ann podjęło instynktowną walkę. Usiłowała się wyrwać, ale była tylko drobną kobietą, osłabioną bezsennością i utratą wagi. Kiedy jej ruch wydawał się, że nie chybiony.

Zadarł jej spódnice. Zalana łzami, nie mogąc złapać oddechu, usiłowała odepchnąć jego rękę. Wreszcie gwałtownym szarpnięciem uwolniła się od jego języka i warg.

– Błagam cię – wyszeptowała. – Drzwi się zamknęły. Ktoś może... Janey może... – Słowa Ann przeszły jej kark.

Wcisnął jej kolano między nogi. Poczuli nieoczekiwany ból w kroczu. Przestała walczyć. Larry szamotał się z rozporkiem. Kiedy wdarł się w nią, krzyknęła z dotkliwego bólu. Jego wściekłe uderzenia wymuszały oddech na płucach Ann. Tak wcale nie musiał się czuć Michael – pomyślała przerażona – kiedy jakaś obca siła oddychała zamiast niego. Larry opadł wreszcie na nią, zalewając ją potem i łzami.

Ostro nie wydostała się spod maty. Ku tykając podeszła do drzwi i zamknęła je na

zasuw , po czym udała si do łazienki, gdzie zamkn ła si na klucz. Słó ce, wpadaj c przez okienko w spadzistym suficie łazienki, zal nió na kranach ze szczerego srebra. Ann przywarła czołem do grubego, ozdobionego monogramem r cznika.

– Mój syneczek... Michael... – dobiegł j rozpaczliwy szloch z pokoju.

Kiedy opadło z niej wzburzenie, wod i mydłem Roger & Gallet zmyła krople krwi z puszystego białego dywanu. Rozkr ciła prysznic na cały regulator i stan ła w strugach wrztku. Rozczesywała zmierzwione, ociekaj ce wod włosy przed zaparowanym lustrem, kiedy Larry zastukał do drzwi łazienki.

– Ann! – zawołał cicho i jeszcze raz zastukał. – Nic ci nie jest?

Z najwyszym wysiłkiem naci gn ła frotowy szlafrok. Omijaj c wzrokiem Larry'ego, przeszła przez pokój go cinny i opadła na swoje łó ko, starannie za cielone ubiegłej nocy.

– Wygl dasz jak upiór – powiedział współczuj cym tonem.

– Włó swój po ciel do kosza, je li jest pokrwawiona – poleciła. – Wrzu do walizki ubrania, które zostawiłam na podłodze w łazience.

Z zamkni tymi oczami słuchała, jak Larry krz ta si po pokoju. Materac ugi ł si ; przysiadł na skraju jej łó ka. Nagle jej stan, granicz cy z katatoni , rozwiął si .

– Zje d aj! – powiedziała głucho. Zerwał si z łó ka.

– O co ci chodzi?

– Zgwałcił e mnie.

– Nic podobnego. Malutka, w głowie ci si pomieszało przez Michaela.

– Bardzo dobrze, zwał win na niego. Wszyscy zawsze s winni, tylko nie ty.

– Wiesz, e jest nam obojgu ci ko.

Kiedy znów usiadł, uderzyła go pi ci w bok. Zniewaga dodała jej siły. St kn ł. Trzymaj c si za nerki, przeniósł si na łó ko bez po cieli.

Siadł z opuszczon głow , r ce zwiesił mi dzy kolanami.

– Posłuchaj, mała, naprawd nie wiem, co si ze mn działo. Mo e rzeczywi cie rzucił e si na ciebie. Ale masz racj . Zawsze zwałam win na kogo .

Zacisn ł dłonie w pi ci.

– Nasz tato si gał po pasek, kiedy tylko złamali my którykolwiek z jego pieprzonych zakazów. Albo kiedy si upił. Albo kiedy szef go ochrzanił. W naszej szcz liwej, kochaj cej rodzinie nie wolno było nigdy zapomina , e za nie wytarty nos mo esz zosta pobity do krwi. – Zamilkł na chwil , kr c c głow . – Czy to, co mówi , te uwa asz za zwalanie winy na kogo .

– Nie wiem.

– Posłuchaj. Wiem, jaki jestem szcz liwy, e ci mam. Jeste taka serdeczna dla wszystkich, potrafisz uszcz liwia ludzi. Nigdy ci nie chciałem zrani . Wiem, e czasami szastam pieni dzmi, ale to wszystko dlatego, e... no, dobra. Po prostu czuj si tak, jakby siedział we mnie jaki inny facet i mówił: „Poka innym, jaki z ciebie fajny go ”.

– Ju dobrze, Lany – powiedziała cienkim, bezbarwnym głosem.

– Nie ebym si chciał rozgrzeszy – odezwał si po dłu szej chwili – ale ta historia z tob i Ouentem to jak na mnie za wiele.

– Powiedziałaś mu, że wracamy dzisiaj do Darien. – Niezdarnie poczłapała do szafy i wyjęła czystą bawełnianą sukienkę, pachnącą krochmalem, którego dodała przy prasowaniu praczka Dejongów.

– Co z pogrzebem? – zapytał.

– Quent się zajmie wszystkim.

– Powiedz mu, żeby kazał wyryć na grobie: „Tu leży syn przegranego człowieka. Ojca nie stało było nawet na pochówek”.

Pocięgnął ją nie nosem.

– Przestań, Larry. Ramiona mu opadły.

– To już przeszło, prawda? To znaczy, mi idzie nim a tob? – zapytał.

– Z jego strony tak – odparła, a ponieważ Larry silił się na szczerą z nią, dodała: – Z mojej strony nie. Zawsze będzie go kochać.

Larry popatrzył na nią z błagalnym wyrazem twarzy, w którym zazdrość mieszała się z głębią bólu.

Gilberte, w kapeluszu i rękawiczkach, zeszła po schodach. Przecinając hall, zajrzała do jadalni, gdzie zastała Ouenta. Niedawno jadła zawsze w łózkach, ale Ouent, który rano lubił solidnie podjeść, schodził zawsze na dół. Dziś stała przed nim tylko filiżanka kawy.

– Idziesz do pracy? – spytał, nie podnosząc wzroku.

– Oczywiście. Rozumiem, że ty zamierzasz wziąć sobie dzieło wolnego.

– Tak czy owak miałem taki zamiar. Trzeba też zająć się pogrzebem.

– Nie uważasz, że to należy do Porterów? Przypuszczając, że słucha ich podsłuchuje, przysiadła się do stołu.

– Nie denerwuj mnie – rzucił.

– Dlaczego? Dlatego, że moim zdaniem formalnie ci pogrzebowe należy do rodziny?

– Dobrze wiesz, że ich na to nie stało. To mnie właściwie denerwuje. Jak mogła doprowadzić do ruiny ludzi, którzy wychowywali twój... którzy wychowywali Michaela?!

– To się stało, kiedy byłam jeszcze bardzo młoda. Potem urodziłam dziecko. Wiek temu.

– Zdumiewajcie się, jak proste stają się nieporozumienia małżeńskie, kiedy wolny od wszelkiego sentymentalizmu umysł nie opłakuje dawnych nieszczęść, kiedy nie kłóbi się w nim żadne uczucie. Również zdumiewała ją łatwość, z jaką teraz przechodziła do porządku dziennego nad utratę Michaela. – Nie wiem, dlaczego miałabym po latach cokolwiek robić z tego powodu.

Popatrzył na nią i rozsiadł się wygodniej na staro wieckim krześle.

– Chciałem z tobą porozmawiać.

– Proszę bardzo, byle nie o rozwodzie.

– Chodzi o sprawę, w której zajmę niedwuznaczne stanowisko – zaczął. – Chciałem dowiedzieć się, ile Larry jest ci winien?

– Mam wrażenie, że zbyt surowo mnie oszczędzasz. Larry zdefraudował moje pieniądze. Mogłam donieść o tym na policję.

– Jeszcze raz pytam: ile?

Zdobyła się na blady uśmiech. Rumieniec wypłynął na jej szyję.

– Musz poprosi ksi gowego o dokładne wyliczenie. Na oko, około dwudziestu pi ciu tysi cy. Gubi si w domysłach, po co ci ta informacja. Wiesz doskonale, e nie przyjm czeku podpisanego przez ciebie.

– Wiem – potakn ł.

Po południu Porterowie wrócili do Darien.

Dom wygl dał, jakby od lat nikt w nim nie mieszkał. Sierpniowe m awki, wpadaj c przez otwarte okna, zaznaczyły c tki na podłogach. Mi dzy dwoma pudłami paj k uprz dł sie . Zapach gnij cych pomara czy wydobywał si spod pokrywy kubła na mieci przy zlewie.

Janey była stale pod ciś kontrol na okoliczno ewentualnych oznak choroby. Po kolacji – nikt nie tkn ł prawie swojej jajecznicy – Ann zaprowadziła córeczk na gór i wło yła jej termometr pod pulchn r czk . Kto zadzwonił do drzwi frontowych. Otworzył Larry. Kiedy Janey zasn ła, Ann zeszła na dół. Larry ogl dał stary film z Jean Harlow.

– Kto to był? – spytała.

– Posłaniec.

– Od kogo?

– Zgadnij, kto z naszych znajomych nie zni a si do korzystania z usług poczty pa stwowej. – Skin ł w stron kartki le cej na stosie ksi ek.

Rozło yła gruby firmowy papier listowy z włóknem lnianym. Pod nagłówkiem „Quent Dejong, Plac Templara 1” znajdowały si dwa akapity po wi cone planowanej ceremonii pogrzebowej. „Pan Dejong uprzejmie zawiadamia, e wszystkie szczegóły mog ulec zmianom zgodnie z pa stwa yceniem. „ List podpisała Marian LaRosa, sekretarka Dejong.

– To wszystko? – spytała.

– Nie doł czono li cików miłosnych, je li o to ci chodzi – o wiadczył wpatruj c si z najwy sz uwag w tlenione włosy Jean Harlow.

– Janey chce, ebym z ni spała.

– Oczywiście, nie widz adnych przeszkód.

Po południu w dzie pogrzebu Michaela Portera padało. Letnia ulewa nie odstraszyła dziwnego zestawu ałobników, którzy zgromadzili si w klimatyzowanej kaplicy domu pogrzebowego Franka E. Campbella przy Madison Avenue. Wielu pracowników Gilberte de Permont zwolniło si tego popołudnia z pracy. Ann i Larry cieszyli si powszechn sympati – obecno na pogrzebie była nie tylko wyrazem współczucia, ale równie solidarno ci. Panowała powszechna opinia, e *madame* post piła po wi sku z Ann. Co do Larry’ego, to zdania były bardzo podzielone: posiadacze kont na wydatki reprezentacyjne nerwowo utrzymywali, e wylanie Larry’ego jest decyzj zbyt surow – z pewno ci wystarczyłaby nagana – natomiast pracownicy pozbawieni takich przywilejów gło no rozprawiali o sprzeniewierzeniu pieni dzy firmy. Szykowne, ko ciste kontrahentki z sieci Better Womenswear przybyły w czarnych lnianych bluzkach z broszkami na prawym ramieniu. D’Amatowie przyjechali z Mount Sinai wspóln taksówk z Liebmanami: ka da para słała modły dzi kczynne swojemu Bogu za to, e nie ich dziecko spoczywa w białej trumience.

Państwo Newcombe przyjechali z Darien mokrymi drogami i autostradami, przywołując z sobą Corian, nauczycielka Michaela dojechała pociągami. Koledzy Larry'ego z branży stawili się, ci gnęli się smugwonimi befsztyków i Martini, którymi raczyli się na lunchu. Milt Copeman, wytwórca płaszczy, przybył wraz z nim.

– Tłucz, mił, energiczny dziewczyn z rudymi włosami los potraktował zbyt okrutnie, a Bank Dejongów... niech ich szlag trafi – wyszeptał, kiedy Gilberte i Ojunt w lizgiwali się do tylnej ławy.

Gilberte nie miała najmniejszego zamiaru przychodzić.

Niezmierny racjonalizm, który właśnie nie w sobie odkryła, podszeptając, że skoro od wielu lat nie była matką Michaela, a Porterowie nie są jej pracownikami, pogrzeb chłopca jej nie dotyczy.

Siedziała przy swoim biurku, skubiąc podanego na zimno łososia z nielegalnych połowów, którego dostarczano jej do biura z Colony, jeżeli nie była z nikim umówiona na lunch. W drzwiach stanął Quent nie zapowiedziany dzwonkiem sekretarki. Na ramionach ciemnej marynarki lśniły krople letniej ulewy.

– W tym pojedziesz? – spytał mierząc wzrokiem biały pikowany sukienkę bez rękawów. – Na pogrzeb?

– Nie dam rady się dzisiaj wyrwać. Mam spotkanie z wytwórcą jedwabi z Lyonu.

– Zastawiłem ci samochód, parkuj.

– Mainbocher jest jedyną firmą w Stanach zaopatrywaną przez *monsieur* Wolfe'a. Tylko przez przyjaciela z Yves Rolandem zgodził się na rozmowę – wyjaśniła spokojnie.

– Nie przyjechałem tutaj dyskutować – odpowiedział z jeszcze większym spokojem. – Jedziemy na pogrzeb.

Gilberte kazała zającha pod dom i przebrała się na czarno.

W kaplicy usiedli z tyłu. Wielu spośród nionych ałobników o zgnębionych twarzach – pracowników i znajomych z branży – zatrzymało się obok, aby zamienić parę słów. Ich stłumione rozmowy nie docierały w ogóle do Gilberte, dar chłodnej logiki, jej najnowsze odkrycie, zniechęcająco opucił. Ogarnięta niepowstrzymanym żalem, nie widziała nic poza małym białym trumienkiem tonącym w białych różach i orchideach. Po raz pierwszy w życiu była na pogrzebie kogoś z bliskiej rodziny. *La p'tite batarde* została uznana za *persona non grata* na pogrzebie własnej babki i ciotki. Gdy zaplombowane przez gestapo trumny ze zwłokami jej rodziców przejeżdżały przez bramy Santé, za którymi czekali członkowie ich rodzin, odsiadywała wyrok za „zadawanie się z terrorystami”. Kiedy wyszła na wolność dzięki interwencji Hocherà, ojciec spoczywał już pod rzeźbionym płaczem cego anioła w zarezerwowanej dla de Permontów kwaterze wiejskiego cmentarza w Ile de France, a zwłoki jej matki, z powrotem przyjeżdżały na łono Cagnych, leżały w marmurowej wnęce ich mauzoleum na cmentarzu PereLachaise.

Wkroczył odziany w szaty liturgiczne pastor Kościoła Episkopalnego pod wezwaniem wi tego Bartłomieja, w którym od ponad pół wieku modliły się rodziny Templarów i Dejongów. Zwrócił się ze słowami pociechy do Larry'ego i Ann, zadeklamował *mierłodego zapałnika* z poematu *Chłopiec z Shropshire*, wreszcie rzucił parę słów o zmarłym,

którego nie znał za życia. Gilberte zmagala się z chęcią, żeby wstać i opowiedzieć zgromadzonym o swoim Michelu, opisać dokładnie jego do wiadczenia ze skrzynkami – to, jaki był cichutki, kiedy zamknęła go pierwszy raz w walizce z otworkami na powietrze, jak ładnie bawił się w skrzynce po amerykańskich dostawach wojskowych, jak piewała mu *Frere Jacques*, kiedy leżał w owalnym pojemniku respiratora, wreszcie dodała na koniec, jak bardzo nienawidziła ostatniej ze skrzyń, podobnej do kawałka tortu przybranego rozetkami z lukru.

Owładnięty niepokonywany płacz. Łzy, którym nie dała upustu w szpitalu, płynęły z oczu strumieniami. Quent otoczył ramieniem jej wstrząsane szlochaniem plecy – na chwilę przestał być matrem, który szykuje się do odejścia, a stał się kuzynem, krewnym Michaela.

Falujący dźwięki organów przybrał na siłę. Na znak porządkowych kolejne rzędy łobników podnosiły się z ławek i przechodziły koło trumny.

Quent i Gilberte wstali wraz z ostatnimi gośćmi. Gilberte nie szlochała już tak bardzo, kiedy weszła między ustawione na stole kompozycje z kwiatów i przystanąła. Wieko trumny było otwarte. W środku leżał chłopczyk w ciemnej marynarce – był to pewnie zakup Quenta. Zabalsamowana, pokryta makijażem twarz nie zdradzała cierpienia, jakich zaznał w ostatnich dniach życia. Nie sprawiał tego wrażenia, że obcuje z wiecznością. Patrząc na małego, umalowanego, obojętnego manekina, Gilberte poczuła ostry, fizyczny ból, jakby z jej ciała coś wydzierano – zapewne serce. Znowu zaczęła przeraźliwie szlochać i dygotać. W objęciach Quenta odeszła od małej trumienki.

Kiedy zbliżyli się do Larry'ego i Ann, grupka otaczająca zrozpaczonych rodziców rozstała się. Łzy płynęły po policzkach Larry'ego. Quent uciął dłoń rękawem, a Ann pocałował w policzek, nie okazując przy tym żadnych uczuć poza współczuciem i smutkiem.

– Larry, nie wiem, co ci powiem – przemówiła bez cienia cynizmu Gilberte, stłumionym przez łzy, porządkiem co szczerym głosem. – Słowa nie dają ukojenia...

Obie matki Michela spojrzały na siebie... Gilberte, ocierając oczy, nie poznawała w tej błędnym, zrozpaczonej kobiecie, na której czarna jedwabna sukienka wisiała jak na wieszaku, ognistej, piegowatej Ann, która na poparcie swoich słów, że nie zgadza się na najmniejsze poprawki w projekcie, umiała trzasnąć piętami w stół, Ann, która najbardziej za artówką potrafiła ugasić jedną ze swoich zabawnych min. Stał przed nią cień człowieka i tylko głos niesfornych rudych loków klócił się z ogólnym wrazeniem.

Gilberte odezwała się pierwsza.

– Ann, tak mi przykro... – powiedziała cicho.

– Był cudownym chłopczykiem... Strasznie go kochałam.

– Ja też nigdy nie przestałam go kochać. Nie udało mi się zabić tej miłości... – Gilberte znowu wybuchnęła płaczem.

Ann wyciągnęła do niej rękę. Ucisnęły się.

Przytulona do drobnej, drobnej ciała Ann, dzieląc z nią matczyną boleść, Gilberte dostrzegła nagle, że ich znajomość swoim przebiegiem przypomina kształt klepsydry. Górny cząstok stanowi niewinne, dziewczęce lata, spędzone w ród najstraszliwszej z krwawych ław, jakich zaznała rasa ludzka, mimo to opromienione radością przyjaźni. Klepsydra zwiła się

tego dnia, kiedy Ann wyszła od Gilberte, niosła w objęciach Michaela. Przeważnie, przez które przesypany był piasek ich splecionych włosów, nastąpiło w piwnicznym składzie przy boulevard Suchet, kiedy Gilberte przetłumaczyła raport gestapo. Potem klepsydra ponownie się rozszerzyła, tym razem pod wpływem posępnego obowiadu, jaki nałożył na nią na odchodnym ojciec.

Uwolniony się z objęć Ann, Gilberte oddaliła się z Ouentem do samochodu, który wkrótce dojechał do orszaku ślubnego.

Porterowie siedzieli odsunięci daleko od siebie na tylnym siedzeniu długiej czarnej limuzyny, sunącej za karawanem po ociekających deszczem ulicach. Za nimi jechały dalsze samochody konduktu.

– Dziwna kobieta z tej Gilberte – zauważył Lany, ocierając oczy.

– Pogrzeb musi być dla niej strasznym koszmarem – dorzuciła Ann. – Nie znosi okazywania uczuć.

– Dobrze powiedziane. Chryste, kto by się spodziewał, że Królowa niegu stopnieje?

– Mam nadzieję, że przestanie. – Ann, rozmyślając o ramieniu Ouenta otaczającym Gilberte, zapatrzyła się w ociekające wodą okno.

– Co przestanie?

– Deszcz. Przestanie padać.

– Aha. – Lany wytarł ponownie nos. – Pytanie za sześćdziesiąt cztery dolary: czy odwoła nagonkę na nas.

– I tak jesteście innym ludziom winni mnóstwo pieniędzy. – Rozmowa toczyła się sama, bez udziału Ann.

– Jedno ci mogę obiecać. Za parę miesięcy nie będzie żadnych problemów z pieniędzmi. Możesz spokojnie zapomnieć o powrocie do Los Angeles. Tutaj, na Manhattanie, wkrótce wszędzie moja ołowiana gwiazda.

Jego słowa spływały po niej jak krople deszczu po oknach samochodu.

Zanim kondukt dotarł na cmentarz, letnia burza ucichła. Słońce wyszło zza chmur, kiedy ciało Michaela, nie lubnego syna pruskiego arystokraty, który byław feldmarszałka przyjął z ręką samego *Führera*, i wnuka równie wysoko urodzonego bojownika francuskiego ruchu oporu, ukochanego, adoptowanego syna tkniętego bankructwem amerykańskiej, mieszczańskiej rodziny, kładziono na wieczny spoczynek w brzozywej wilgotnej ziemi obok trzech obelisków z białego włoskiego marmuru, wznoszących się nad zbiegającymi kolumnami Jessamyn Templar Dejong, Mathilde i Jasona Templarów.

Po powrocie do domu Gilberte ponownie ogarnęła fala rozpacz. Leżała na szezlongu, zalewany się łzami. Jej serce rwało się z powrotem do chwili wzajemnego zrozumienia, kiedy objęły się z Ann, złęczone bólem cierpiących matek. Ann, Ann, tylko ty rozumiesz, co czuję, ty jedna na całym świecie, wiesz, jakie przechodzę męki...

Łzy płynęły jej spomiędzy palców. Nagle przyszło jej do głowy, że wieloletnie doskonalenie złowrogiej sztuki zemsty było pozbawionym sensu szaleństwem. Ann jest jej

jedyn przyjaciółki i nic, co się między nimi wydarzyło, nie było w stanie naruszyć jej i szczerze ci ich uczucia.

Teraz, kiedy Quent już jej nie kocha, nienawiść nie ma najmniejszego sensu. Niech zmarli troszczą się o zmarłych.

Powoli płacz stawał się coraz cichszy. Gilberte otarła oczy. Zamknęła drzwi do sypialni na klucz i odsunęła wzorzysty parawan, który w lecie zasłaniał kominek. Otworzyła sejf i wyjęła zeń rodka florenckich sztuków. Starannie opróżniła jej zawartość – notatki o telefonach, koperty z pieczęciami gestapo, nadpalone, wystrzępione arkusze maszynopisu gsto zapisane po niemiecku – ułożyła wszystko na staro wieckim mosiężnym ruszcie. Sięgnęła po srebrny zapalniczek, który Quent zapalał po stosunku papierosa. Nie kochali się już prawie od roku, ale kto z nich by widział uzupełnić benzynę. Przykładała i przytknęła płomień do papierów. Ręka zaczęła jej drężyć.

Nie mogła.

Dlaczego? Ten dzień, dzień pogrzebu Michaela, z pewnościami nadawał się na dzień odpuszczenia winy, dzień wyzwolenia z tyranii nienawiści i urazu. Mimo to ręka drężyła jej tak, że płomień zaczął gasnąć. Uklęknęła na piętach jak zakonnica i wpatrzyła się w drężyce, dymiły z knotu zapalniczki. Usłyszała ochryple, wyczerpany głos ojca mówiącego, że zdrajca jest jego najgorszym wrogiem, usłyszała, jak matka od niej, żeby zemsta dosięgła również potomków zdrajcy. Zapalniczka zgrzytnęła i zgasła.

Informacje o telefonach – dowody rozpaczy Porterów – zgmiotła i wyrzuciła do kosza. Z wyrazem zimnej determinacji na mokrej od łez twarzy włożyła resztę dokumentów do szkatuły, którą z powrotem zamknęła w sejfie.

Wróciła jej logika. Jak mogła przez chwilę chociaż pomyśleć o złamaniu przysięgi, którą wymógł na niej umierający ojciec?

Następnego dnia z samego rana zadzwoniła do biura Kempa i Schuylera.

Trzy dni później, w niedzielę, młody doręczyciel pozwów z gumką do ucia w ustach zastukał do drzwi Porterów z dokumentem informującym, że firma Gilberte de Permont, Incorporated podejmuje kroki prawne w związku z przywłaszczeniem jej funduszy.

Oglądałem dzisiaj mieszkanie z dwiema sypialniami – oznajmił Larry. – Sypialnia dałaby się przerobić na pokój dla służących. Spore pokoje, portier w galii. Znakomita lokalizacja na Wschodniej Siedemdziesiątej Piątej, między Madison i Park Avenue. – Złamał pieczęć na małej buteleczce Black and White'a, którą przyniósł w teczce do domu. – Wypijesz ze mną, malutka?

– Nie, dziękuję.

– Tylko łyżeczka na noc – namawiał z nieodpartym uśmiechem. – Rozciecz wodę sodową, tak jak lubisz. – Otworzył pustawą lodówkę.

Była za kwadrans dziewiąta; zdjął ją w małym, odrapanym piekarniku upieczoną parówkę firmy Oscar Meyer i wspólnie z Janey przyrumieniła zgodnie z recepturą ciasteczka na deser. W ciągu tygodnia, który upłynął od pogrzebu, był niezmiernie czuły i troskliwy wobec swoich kochanych dziewczyn, jak nazywał Janey i Ann. Co rano udawał się na Manhattan i

wracał punktualnie o piątej trzydzieści dwa. Ann nigdy nie pytała, jak spędza czas w mieście. Nazajutrz po powrocie od DeJongów wręczył jej pięć nowiułkich banknotów dwudziestodolarowych.

– Na jedzenie, benzynę i co tam jeszcze będziesz potrzebowała – oznajmił. Nie pytała, który z jego przyjaciół był na tyle poczciwy, żeby „położyć” mu sto dolarów. Nie wypytywała go o rozmowy telefoniczne, jakie wieczorami odbywał stłumionym głosem przy zamkniętych drzwiach sypialni. Oszołomiona bólem, stale ukrywała łzy przed Janey – biedna mała moczyła się w nocy i budziła naganą koszmarami – nie miała już żadnych rezerw uczuciowych, żeby interesowała się poczynaniami Larry’ego.

Gdyby przyjrzała się swoim uczuciom do matki, zauważyłaby radykalną zmianę, jaka w niej zaszła od chwili, kiedy pojechała z Michaeliem do szpitala. Dalej tliła się w niej miłość do Larry’ego, współczuła mu i litowała się nad nim, jednak puściła miłość jakiegoś istotnego spoiwo. Przestała poczuwać się do obowiązku wynagradzania Larry’emu jego nieszczęśliwego dzieciństwa. Odtąd miały jej dotyczyć tylko własne problemy wewnętrzne.

– Trzymaj. – Podał jej rozciętego scotch’a. – Rano we trójkę podskoczymy pociągami obejrzeć mieszkanie.

– Po co marnować czas po rednika? Wyjeżdżamy pojutrze do Los Angeles.

– Malutka, powtarzam ci w kółko, że jedziemy tam tylko na wakacje. – Uniósł szklaneczkę. – Masz przed sobą prezesa Agencji Reklamowej Pottera.

Wcisnął szklankę w rękach. Jak może na siebie tak beznadziejnie oszukiwać?

– Dziś po południu – oznajmił – podpisałem akt najmu czterdziestu metrów kwadratowych powierzchni w Rockefeller Center.

Szczeka jej opadła. Wymysły Larry’ego zawsze dotąd miały tylko mglisty posmak. Nigdy nie podawał szczegółów.

– Szkoda, że nie mogę ci sfotografować z tamtamtąd. Tak, w samym Rockefeller Center. Trzydzieste trzecie piętro z widokiem na Central Park.

– Nie daj kaucji?

– Tylko czynszu za pierwszy i ostatni miesiąc najmu. – Oczy uciekły mu na bok. – Mam sponsora.

– Larry, wiesz, że teraz wszystkie pieniądze wpływające na nasze konto będą zablokowane. Ci prawnicy...

– Wypłac się przekleć tej suce co do grosza i całej tej bandzie krwiopijców. – Zaspił się na chwilę, po czym łyknął scotch’a i rozpozgodził się. – Trafiłem na złota. Malutka, będziesz chodziła w futrze i w diamentach. Po raz pierwszy w życiu mam wszystko, czego mi trzeba, i to wtedy, kiedy mi trzeba. Po tej historii z Koreą wkrótce zacznie się tu wielka chryja. Wtedy ze szczytu Rockefeller Center rozlegnie się dźwięk drugich skrzypiec. Jak myślisz, kto będzie na nich grał?

Stara piewka wytręciła Ann z dręczącej bierności.

– Lawrence J. Porter – rzuciła zjadliwie – znany bankrut i utracjusz.

– Nie mam złudzeń, że kiedykolwiek we mnie wierzyła – odpalił.

– To był cios poniżej pasa – przyznała.

- Naprawdę spodoba ci się to mieszkanie – zapewniał.
- Pojutrze – powiedziała powoli – wyjeżdżamy z Janey do Los Angeles.

Jej słowa odbiły się echem od pustych ścian kuchennych, nabierając pogłosu, z jakim przemawiał Bóg w panoramicznych ekranizacjach historii biblijnych. Z oddali dobiegł słaby gwizdek pociągu, potem zapadła cisza upalnej nocy. Ann poczuła, że ogarnia ją spokój, jakby jej słowa rzeczywiście technicznie nieziemską moc.

– Tak czy tak wynajmę to mieszkanie – powiedział Larry poirytowany. – Sama sobie będziesz winna, jeżeli ci się nie spodoba.

- Skąd weźmiesz na to wszystko pieniądze?
- Powiedziałem ci już. Mam sponsora. Tak zwany cichy wspólnik.
- Kto?

– Czy to ważne? Grunt, że ma forsę. – Sięgnął ze szklanki. – Mała, wiem, że masz teraz zły okres, ale pamiętaj, że jesteście rodziną. Nie rozbija się rodziny tylko dlatego, że komuś nagle zachciewa się kontemplować palmy nad Pacyfikiem.

– Zarobi na tym w Los Angeles.

– A ja będę w tym czasie zarabiał dwa razy tyle na Manhattanie. – Podniósł głos. – Nie zgadzam się na to, żeby wyjeżdżała i zabierała moje dzieci...

Urwał przy słowie „dzieci”.

Ann łzy napłynęły do oczu. Odstawiła nietkniętą szklankę i zaczęła energicznie szorować zlew proszkiem, chociaż wiedziała, że nabywcy i tak zamierzają przebudować całą kuchnię.

Larry nalał sobie kolejnego drinka. Wypił do dna.

– Było ci ze mną dobrze – stwierdził. – Wiem, że było ci dobrze, dopóki ten nadziany sukinsyn nie pojawił się na horyzoncie.

W jego słowach było sporo prawdy. Może nie była szczęśliwa przy Montecito Lane, ale w każdym razie zupełnie zadowolona z życia.

Larry, który obserwował jej twarz, gniewnie pociągnął nosem i pchnął odporne drzwiczki do ogrodu. Po chwili głośny warkot Chevroleta oddalił się od domu.

Wrócił następnego dnia po południu. Wręczył Janey na pożegnanie wystrojoną kolekcję „Małych kobietek” Madame Alex-André. Znow wsunął Ann do ręki piątą banknotów dwudziestodolarowych.

– To ci powinno wystarczyć na drogę, potem dołóżę ci wiele więcej – zapowiedział.

Nie został na kolacji. Ann i Janey odwiozły go na stację. Kiedy pociąg ruszał, płakali wszyscy troje.

– Niedługo przyjadę zobaczyć moje kochane dziewczyny – wołał z okna. – Pa, Janey. Pa, malutka. Pa, paa...

W ciągu dnia ciarówka Bekinsa zabrała ich rzeczy. Aby zapłacić za przewóz, Ann sprzedała zegarek z czerwonego złota. Spały w piworach, udając, że są na biwaku.

Następnego ranka, jeszcze przed szóstą, wcisnęła Janey do wyładowanego bagami samochodu. Obchodząc maskę, aby usiąść za kierownicą, omiotła po równym spojrzeniem białe drewniane ściany domu. Wierkały wróble, które miały swoje gniazdo w gałęziach

rododendronu, na po ółkłych d błach wyro ni tej trawy l niła rosa, brudne okna „pracowni” odbijały ró ow po wiat wschodz cego sło ca. Rower, którego nie miała serca sprzeda , dalej stał oparty o gara , tak jak porzucił go Michael. Oczy Ann zaszyły mgł . Chocia z pocz tku nie miała ochoty zamieszka w tej pretensjonalnej imitacji kolonialnego dworku, teraz musiała przyzna , e prze yła tu wiele rozczulaj cych chwil.

Ocieraj c oczy wierzchem dłoni, wsiadła do wozu.

Kiedy wł czyła si w sznur p dz cych do miasta samochodów, zacz ło jej dokucza uczucie, e zapomniała o czym niezwykle istotnym, w aden sposób nie mogła jednak przypomnie sobie, co by to mogło by . W Stamford zjechała na pobocze i przejrzała torebk . Prawo jazdy, metryka lubu, wiadectwo urodzin Janey, pieni dze, które dostała od Larr/ego. Niczego nie zapomniała. Przeci ła Manhattan, przejechała tunelem Holland do Newark i tam dopiero sobie przypomniała. Zatrzymała samochód przy stacji benzynowej Shella, dla Janey kupiła z automatu oran ad Birleya, a sama poszła do telefonu.

– Ojwent – powiedziała, kiedy wreszcie udało jej si dodzwoni – nigdy ci nie podzi kowałam za wszystko, co dla nas zrobię .

– Nie ma takiej potrzeby. – Gło ne tr bienie czekaj cego na obsług samochodu zagłuszyło jego uprzejme wykr ty. Kiedy odezwał si ponownie, mówił o wiele swobodniejszym głosem. – Hej, co si tam dzieje?

– Dzwoni z Newark.

– Z Newark? Jeste na wy cigach starych samochodów?

– Jedziemy z Janey do Kalifornii.

– Samochodem?

– Samochodem.

– Tylko we dwie?

– Lany zostaje. Otworzył własn agencj reklamow .

– To co nowego.

– Tak, jest niezwykle podniecony. – Janey siedziała na stopniu samochodu i bawiła si słomk . Pomara czowy płyn ciekł na pi kn jedwabn krynolin nowej lalki. Ann zni yła głos. – Quent, nigdy nie chciałam mie przed tob tajemnic, ale wiesz... to nie s adne niedomówienia, tylko Janey siedzi koło mnie.

– No to nie mów nic.

– Powinnam ci była zaufa .

– Ann...

– Jeste o wiele bardziej skryty ni ja, a mimo to oczekiwałam, e zawsze b dziesz wobec mnie otwarty. Quent, chciałam ci przeprosi .

– Nie, nie artuj – powiedział, a jego niski, gł boki głos zabrzmiał dziwnie blisko.

– Chciałam ci te podzi kowa za to, e podtrzymała mnie na duchu, a potem wszystko załatwię .

– Zawstydzasz mnie. To ja powinienem ciebie przeprosi . Byłem dla ciebie cholernie niemiły. Sam nie wiem, co mi si wtedy stało. Znam przecie twój lojalno i poczucie honoru. Jak mogłem w cieka si na ciebie za to, e dotrzymała obietnicy?

- To były straszne chwile.
- Czujesz się już trochę lepiej?
- Nie – odpowiedziała z prostotą. – Ale w końcu idzie naprzód, no i mam Janey.
- Znasz swój adres w Kalifornii? – spytał po chwili milczenia.
- Tylko adres firmy, dla której będę pracować.
- Dasz mi znać, jak będziesz wiedziała, gdzie mieszkasz?
- Tak, ale będę potrzebowała czasu, żeby się trochę pozbierać.
- Wszystkim nam tego trzeba. Ann?
- Tak?
- Jedź ostro nie.
- Nie zapominaj, chłopcze, że zarabiałam na wycieczki jako szofer generałów.
- Za chwilę miał się zacząć.

Odwiesiła słuchawkę. Przez chwilę napawała się poczuciem niezwyklej ulgi, potem dotknęła platynowych loczków Janey. Kiedy rozgrzane, załadowane po dach auto wjechało w strumień podbiegających na zachód samochodów, obie śpiewały *Kalifornio, wracam już ...*

Ann, Gilberte i Quent
Los Angeles, Nowy Jork, Pary
1953-1954

Nieujawnianie uczu Gilberte poczytywała sobie za punkt honoru, w związku z czym w ciągu trzech miesięcy, które upłynęły od śmierci Michaela, nikomu nie przyszło nawet do głowy, że nieustannie oscylowała między oszaleciami niewzruszoną jasnością umysłu a tornadem emocji, od którego chwilami kręciło jej się w głowie, jakby miała zaraz upaść. Właśnie w tym drugim ze stanów udręczonego umysłu weszła do pokoju muzycznego, w którym Quent słuchał *Koncertu Cesarzowskiego*. Wieczorem mieli przyjechać do cie; na szyi miał czarny rozluźniony krawat.

– Pozwól, że ja to zrobię – poprosiła, zawiązując wąż krawata.

– Dziękuję. – ciszył Beethovena. – Gilberte, usiądź na chwilę. Dawno nie rozmawialiśmy.

– Czy bym słyszała złowieszczy ton w twoich słowach? – spytała z drżącym sercem, siląc się jednak na ton artobliwej wyśzości. – Porozmawiamy później.

Witajcie goście, przyjmujcie komplementy na temat swojej kreacji, zrzucenie z siebie kółka towarzyskie o zbliżonych zainteresowaniach, wygłaszajcie błyskotliwearty, popijajcie cierpkie chablis, pogryzajcie sałatkę z krewetek, befsztyk *à la* Wellington i tort czereśniowy. Czują niegasnący powiew grozy.

Był czwartek i następnego dnia z samego rana goście mieli się rozjechać do wiejskich rezydencji i najroźniejszych „domków” plażowych, w związku z czym wyszli wszyscy naraz, zanim wybiła jedenasta.

– Chodźmy, napijemy się przed snem – zaproponował Quent, kiedy zostali sami.

– Racja, byłabym zapomniała, że mamy odbyć nasze teteatete – skłamała nalewając brandy. Oblał zimny pot; w duchu podziękowała Yves Rolandowi za to, że uparł się przy potnikach w rękawach sukien.

– Udało się, nie uważasz?

– Twoje przyjęcie zawsze się udaje. – Usiadł obracając kieliszek brandy w dłoniach. – Gilberte, oboje nie zniesiemy tego dłuzdę.

– Cięgle mówimy o przyjęciu, czy zmieniliście temat?

– Wyprowadzam się jutro.

Rękaw jej drgnął. Strużka Courvoisier pociekła na długą beżową spódnicę sukni wieczorowej. To było to najgorsze. Tęsiła całą wieczór.

– Jedziesz do niej – wyrwało jej się mimo woli. – Co ty widzisz w tej przeproszonej dziewczusze?

– Będę u Pierre’a – powiedział podnosząc się z miejsca.

– Byłbym reagował stereotypowo, ale zawsze się dziwię, że danielmeni twojego pokroju nie ułatwiają sobie zniechęcenia bez słowa wyjaśnienia.

– Moje odejście nie jest dla ciebie niespodzianką. Wiesz dobrze, co czuję. Chyba zdawałaś sobie sprawę, że zostałem z tobą tylko po to, żeby pomóc ci się pozbierać po śmierci Michaela.

– Szlachetny jak zawsze.

– Widz, że wraca ci forma. – Odetchnął głębiej. – Zostawiam ci ten dom, zresztą możesz mieszkać wszędzie, gdzie zechcesz. Nadal cię kocham, jesteś moją kuzynką ...

– Jestem twoją siostrą !

– To nie było specjalnie udane małżeństwo, dla żadnego z nas.

– Dlaczego nie chcesz się przyznać, o co ci naprawdę chodzi? Byłaś w cieple za każdym razem, kiedy poroniłam, i tyle. – Nie mogła powstrzymać niepotrzebnych słów, które jak rozwieczone szare szczury wyskakiwały jej z ust.

– Pierwszy raz widzę, żeby oszukiwała samą siebie – zauważył chłodno.

– Poroniłam, czy w to wierzysz czy nie. Byłam w ciąży więcej razy niż twoja ruda licznotka.

– Ta rozmowa nie dotyczy...

– Chcesz mi wmówić, że z nią nie sypiasz?

– Nie widziałem jej od pogrzebu.

– Michel był moim synem! – Pot spływał jej po twarzy. Dyszała ciężko.

– Jeśli byś ci potrzebny do czegoś – powiedział wstając – zadzwoni do Pierre'a.

– Proszę bardzo, możesz sobie iść! Ale pamiętaj, nie dam ci rozwodu, a w każdym razie nie przędziej, a będziesz za stary, żeby ci stanął.

– Nigdy nie była ordynarna.

– Jasne, wśród kulturalnych ludzi nie wypada mówić o twojej baryłeczce, jedynej kobiecie pod słowem, która była wiadkiem młodzieży czej brawury, z którą ratowała uczniowie dziewczęta z objawami okrutnych Niemiaszków.

– Śmierć Michaela dotknęła cię ciężko, nie sądziłem.

– Czy Annę też powinnam szukać u Pierre'a? A może nie masz dość odwagi, żeby z nią otwarcie?

– Tak się składa, że ona ma matkę i dziecko, a dla takich beznadziejnych, tchórzliwych typków jak ja stanowi to pewien problem.

– Nic się nie martw, kochanie. Będziesz mógł ją spokojnie trzymać za rękę, kiedy jej się pójdzie siedzieć za malwersacje. A może ona też zechce ci za coś potrzymać. Pamiętam tam z czasów twojej wikszej aktywności, że lubiła ten rodzaj pieszczot.

– Naprawdę jesteś obrzydliwa!

– Nie byłam taka, kiedy żyli moi rodzice!

Drgnął. Zawahał się przez chwilę, po czym zdecydowanym krokiem wyszedł z biblioteki. Grzbietem dłoni otarł czoło, strząsnął krople potu. Po chwili zszedł na dół z walizką w rękę. Trzymał komplety ubrań w każdym ze swoich domów i w apartamentach hotelowych wynajmowanych przez Korporację Templara, więc rzadko widywała go z akcesoriami podróży. Sporych rozmiarów walizka ze skóry nadawała jego wyjazdowi realny wymiar.

– Jeste wszystkim, co mi zostało, Quent – powiedziała ciekim, dziecinnym głósikiem. – Nie odchód .

– Wiesz, gdzie mnie szuka – powiedział cicho. Był bardzo blady.

– Wynosi si ! – wrzasnęła, pierwszy raz nie przejmuj c si tym, e słu ba mo e j usłysz e . – Wynosi si do diabła!

Drzwi na dole zamknęły si cicho. Kiedy usłyszała metaliczny szczęk elaznej bramy, odetchnęła gł boko. Nagle opuścił ją cały strach, jakby w gł bi duszy pogodziła si ju z jego odejciem. Wchodząc na gór , zaczęła zbiera my li. Odszedł, trudno. Trzeba b dzie przemyśle dalsze post powanie. Po powrocie do sypialni odprawiła Yvonne, która musiała słysze finał, je li nie cały przebieg kłótni, nast pnie otworzyła na literze B oprawny w mor notes z telefonami. Bernard, nazwisko flejtuchowatej przeło onej pensji na Montparnassie słu yło jej jako prywatny kryptonim dla Jacka Cony’ego, tysego ekspadochroniarza, którego agencja detektywistyczna prze ledziła swego czasu sytuacj maj tkow Larry’ego i Ann. Od czasu do czasu korzystała z usług Conn’ego, a on, w dowód zaufania, zdradził jej swój numer domowy. Zadzwoiła i zleciła ledzenie m a.

Nast pnego wieczoru, po powrocie z Siódmej Alei, na tacy z poczt zastała odr czn notatk . „Gil, bardzo ci prosz , eby dzwoniła do hotelu albo do biura, je li czego ci trzeba. „

O tym, e Ann rozstała si z Lanym, dowiedziła si w słoneczne popołudnie w pa dzienniku. Patrick Kemp, jej adwokat, zadzwonił i powiedział, e przeprowadził poszukiwania Porterów, którzy nie zgłaszali si ani osobi cie, ani przez adwokata. Kemp i Schuyler obawiali si , e mał e stwo mogło uciec, jednak okazało si , e Larry nadal urz duje na Manhattanie. Nie wiezie sk d wytrzasnął pieni dze na wynaj cie lokalu w Rockefeller Center, w którym zainstalował agencj promocyjn . Pieni dzy wystarczyło mu równie na mieszkanie w St Moritz. Czy Gilberte yczy sobie, eby załatwił s dowy nakaz zablokowania dochodów? Znaczyłoby to, e wszystkie dochody Larry’ego b d automatycznie przelewane na konto Gilberte.

– Mieszkaj w St. Moritz?

– Tylko Porter. Nie przyjmuje naszych telefonów. Mamy jednak co nowego. Dzi rano przyszedł do nas z Kalifornii list od pani Porter z jej nowym adresem w Santa Monica.

– Z Kalifornii?

– Przeniosła si tam z dziewczynk – wyją nił adwokat. Czy przeprowadzka Ojuenta do Pierre’a mogła mie z tym co wspólne? Cotygodniowe sprawozdania Jacka Cony’ego nie wspominały o adnych kobietach, a jeden, jedyny raz, kiedy Ouent wyje d ał z Nowego Jorku, powiadomił j o tym. Przez dziesi dni chodził po górach w okolicach Grenoble. A jednak była przekonana, e Ann i Ojuent utrzymuj kontakt – Czy wyst piła o rozwód?

– Nie sprawdzałem tego.

– Dlaczego?

– Pani Dejong, rozumiem pani zastrze enia, ale prosz mi wierzy , nie ma powodów do niepokoju. Pani Porter przysłała czek bankowy na sum długu hipotecznego, pisze te , e podejmuje si wzi na siebie spłat pełnej kwoty dwudziestu pi ciu tyśi dolarów. Prosi o

zgod na zwrot w ratach miesięcznych. Początkowo spłaty były niewielkie, jednak w miarę wzrostu zarobków zamierza sum podnieść. Nie podaje na razie żadnych konkretnych liczb. Osobiście, radziłbym pani przyjąć jej propozycję. Odzyskanie pieniędzy zajmie wiele lat, a Porter stale wymyka się nam z ręki i będzie pani miała trudno ci z wyegzekwowaniem od niego pieniędzy.

– W tej chwili nie mam czasu na dyskusję – oświadczyła Gilberte, której zabrakło tchu. Nagle uciekło z niej całe powietrze. Zorientowała się, że po latach wytaczania całej tej ciekawej artylerii przeciw Larry'emu, żeby za jego pośrednictwem trafić w Ann, będzie musiała zmienić taktykę walki. Popęłniła poważny błąd strategiczny, wpędzając Ann w ostateczność, która zmusiła ją do opuszczenia miasta.

Szybkim krokiem udała się do gabinetu sekretarki o trupiej czaszce i zadała ostro odwołania popołudniowych spotkań. Kiedy przemierzała w pośpiechu szary dywan pustej sali, poraziła ją jeszcze jedna myśl. Wzniesiona jako narzędzie zemsty firma Gilberte de Permont, Incorporated przestała być skutecznym orężem.

Zazwyczaj wszędzie wozili ją Jordan, jej szofer; nie przywykła do zatrzymywania taksówek na ulicy. Kiedy na Siódmej Alei wyskoczyła na jezdnię, usiłując przywołać taksówkę, omal nie potoczył jej wolno sunący wóz dostawczy. Dojeżdżając do domu, nerwy miała już w takim stanie, że zastanawiała się wręcz, czy nie zadzwonić do biura Quenta. W ciągu tygodni, które upłynęły od wyprowadzenia się z domu, odnosił się do niej z czymś, czego nie umiała inaczej nazwać, jak *gentillesse*. Towarzyszył jej na przyjęciu dla owdowiałej księżnej Kentu, pojechał z nią do Newport na łub Jacqueline Bouvier z jakimś irlandzkim senatorem, jak mógł, tak zamykał usta plotkom o rozpadzie tej cudownie dobranej pary, państwa Dejong. Jak jednak miała dzwonić do niego, skoro jej panika wywołała nagłą utratę oręża w walce z Ann?

Zażyła pigułek nasennych. Niewiele pomogło, pigułka działała tylko jak rodek uspokajający.

Po paru minutach głębił się spokój, jak ciemna zasłona, zastąpił jej podniecenie. Przestała dręczyć; wrócił jej normalny oddech. W umyśle z powrotem zagościła logika.

W oczach współczesnych Amerykanów z pewnością zostałaby uznana za chorą umysłowo, gdyby wyszedł na wiatło dzienne upór, z jakim, niepomna na własny interes, poświęca się rodowej zemście. Cóż jednak współcześni Amerykanie mogli wiedzieć o broczcej ranie w sercu, o rodzinach, w których tradycje honoru się gały całych stuleci, o *la p'tite batarde*, co mogli wiedzieć o łubach, do jakich zobowiązano ją w podziemiach Santé?

Powolnym krokiem przechadzała się po salonie, obmyślając sposoby zniszczenia córki Horace'a Blakely'ego. Teraz, kiedy Larry przestał się liczyć, nie będzie to takie łatwe jak przedtem, jednak nie ma po piechu – uspokajała się. Obie są jeszcze młode.

Padał deszcz – kalifornijska ulewa łobocząc koleiny w stokach gór i niosąc błoto do basenów kąpielowych. Ann wpatrywała się w jasny krąg wiatła rzucany przez reflektory Chevroleta. Przed staro-wieckim łukiem drzwi frontowych wielkie krople odbijały się od chodnika. Larry z pewnością uznałby jej mieszkanie za *declassé*, nie pochwalałby również

jego lokalizacji przy zaniedbanej, wysadzonej palmami uliczce Santa Monica, jednak jednopokojowe, cz ciowo wyposa one mieszkanko było tanie, a architektoniczne ekstrawagancje minionej epoki mile bawiły Ann. Stara pani Podell, wła cicielka domu, zakochała si w u miechu Janey i w ka dy pi tek po południu za darmo opiekowała si dziewczynk (kolejna zaleta mieszkania), kiedy Ann prowadziła kurs kostiumologii oznaczony w katalogu przedmiotów nadobowi zkowych uniwersytetu w Los Angeles numerem sto sze .

Pieni dze zarobione na uniwersytecie przekazywała wprost na konto firmy Gilberte de Permont, Incorporated. yły z Janey z czeków, które Sever wr czał jej co dwa tygodnie. Nie ogl dała ju adnych pieni dzy od Larry’ego, poza stoma dolarami, które wsun ł jej do r ki na odjezdny. Przez cały wrzesie i pa dziernik wydzwaniał zapowiadaj c przekazy pieni ne na niebotyczne kwoty; równie energicznym tonem anonsował, e wkrótce przyleci i porwie „swoje dziewczyny” na Bo e Narodzenie do Palm Springs. Ta obietnica szczególnie rozw cieczyła Ann, poniewa sprawiał ni zawód Janey. Zaklinał si , e przyjedzie na urodziny córki. Nie przyjechał. Przestała mie wyrzuty sumienia, e wywiozła dziecko na drugi koniec kraju.

Biegna c w strugach deszczu z samochodu do domu, pod wiadomie spodziewała si , e Michael powita j na progu – w aden sposób nie umiała przej nad jego mierci do porz dku dziennego. Do upadłego ogłuszała si prac , jednak co noc niła o nim i budziła si , ton c we łzach.

– To ja, pani Podell! – zawołała człapi c w mokrych butach po sp kanych czerwonych płytach patio.

– Przej łem obowi zki pani Podell. – Quent stan ł w drzwiach mieszkania.

Przest piła próg i upu ciła ociekaj c wod torb na wydeptany br zowy dywanik. Quent porwał j w obj cia.

– B dziesz cały mokry – szepn ła ochryple.

W odpowiedzi zamkn ł drzwi kopniakiem i przycisn ł j jeszcze mocniej, całuj c w usta.

Dwukrotnie odwiedzał j ju w Santa Monica, urywaj c si na par dni z podró y słu bowych. Z konieczno ci musieli zachowywa ostro no . Prawo zabraniało zamieszkiwania pod jednym dachem nie lubnym parom, a pani Podell – jak by nie była yczliwa – nie miała zamiaru nara a si na nieprzyjemno ci ze strony policji. Ann groziło oskar enie za niewywi zywanie si z obowi zków macierzy skich – gdyby Lany co wyw szył, mógłby, podobnie jak miejscowe władze, pozbawi j prawa do opieki nad dzieckiem.

– T skniłem za tob . – Quent pogładził mokre sploty jej włosów.

– A ja za tob .

Znów pocałowali si zachłannie.

– Jeste przemoczona na wylot – powiedział zwalnij c u cisk.

– Jak si przebierzesz, przyjd do kuchni na chwil .

W pikowanym szlafroku i znoszonych pantoflach z niebieskim puszkciem odgrzała chili Chasena. W kwestii prezentów dla Ann Quent ograniczał si wył cznie do smakołyków w

rodzaju wielkich pudeł z pysznymi lodami Willa Wrighta, dla Janey nie wychodził poza księżeczek czy drobne zabawki. Przepowiednie Gilberte, że Ann zostanie utrzymanką, zwały jego hojne zapowiedzi.

Ann nie zebrała po kolacji talerzy. Przenieśli się na kanapę. Błysnęło, huknęła grzmot, ulewa zabębniła o szyby. Całowali się z rosnącymi namiętnie.

Nigdy nie kochali się w tym mieszkaniu ze względu na Janey, jednak tej nocy w przytulnym, choć biednie umeblowanym mieszkanku szeleszcząca zasłona deszczu odciła ich od świata. Schrypłymi głosami daremnie ostrzegali się nawzajem. Stało się. Kochali się gorączkowo, podnieceni do szaleństwa.

Deszcz ustał koło północy. Quent wyszedł.

Wrócił rano przed ósmą, żeby zabrać Ann i Janey na śniadanie. Niebo było bezchmurne, nieskazitelny błękit przechodził na horyzoncie w indygo. Promienie słoneczne kładły tysiące złocistych plamek na znaczonych zygzakami seledynu i purpury wodach Pacyfiku. Minęli przez przecznicę boulevard Wilshire. Ann prowadziła za rękę Janey. Nie dotykała Quenta, jednak czuła ciepło emanujące z jego ciała.

U Biffa Janey zjadła parówek, małych, cieniutkich naleśników, po czym, rozdrażniona głodem, zrzuciła pod stół tenisówki, które dawno utraciły swój biały kolor.

– Dlaczego nie mieszkasz w Kalifornii? – spytała Quenta władcym tonem.

– Bo mieszkam w Nowym Jorku.

– Mówiłeś, że mieszkasz w swoim samolocie – wysepleniała oskarżycielsko.

– Czasem w nim śpiam, i całkiem to lubię – odpowiedział.

– Tak naprawdę, to nie jest mój samolot, tylko samolot słubowy.

– Janey, napij się soku pomarańczowego – odezwała się Ann.

– Pfuj, pełno pestek. – Wstrząsnęła się z obrzydzeniem.

– Pani Podell mówi, że jesteście nazeconym mojej mamy.

– Jestem jej przyjacielem – powiedział ostro. – Twoim też.

– Dorośli nie psują się z dziećmi – stwierdziła rzeczowo Janey. – Gdyby był moim przyjacielem, nie zabierałby nigdzie mamy bez mnie.

– Czasem musimy porozmawiać o dorosłych sprawach, które by ciebie znudziły.

– Pani Podell to głupia baba.

– Zdawało mi się, że ją lubisz – zauważyła Ann.

– Nieważne – uciła Janey, nadal zwracając się do Quenta:

– Chciała wiedzieć, czy będziesz moim tatusiem. Powiedziałam jej, że mam swojego tatusia.

– Oczywiście, że masz – potwierdził. – Zawsze będziesz twoim tatusiem.

– Jest u mnie w klasie taka Kathy – zaafierowana, sepleniała teraz na całego. – Jej mama będzie rozwód z tatusiem.

Kelnerka przyniosła zamówione dania do stolika.

– Czy Janey często mówi o rozwodzie? – zapytał potem Ojuent.

– Pierwszy raz zdarzyło się coś takiego.

- A ty?
- Nigdy nie poruszam tego tematu.
- Chodzi mi o to, czy zastanawiałaś się nad tym, co zrobisz.

Ann sennie nacięła po czochoy. Odwróciła się. Leżała na łóżku, przerzucony skórny białym prześcieradłem. Znajdowali się w jednym z bungalowów hotelu Miramar. Korporacja Templara wynajmowała wprawdzie apartament na najwyższym piętrze hotelu Beverly Wilshire, położonego blisko budynku zarządu, ale Ojciec wolał Miramar – Ann mieszkała zaledwie trzy przecznice dalej, poza tym do bungalowów można było wejść prosto z ulicy.

– Niespecjalnie – przyznała się. Nigdy nie myślała o powrocie do Lanyego, ale nie miała żadnych konkretnych planów co do rozwodu. Jeszcze nie otrząsnęła się po śmierci Michaela i nie była zdolna do żadnych decydujących poczynań. W dodatku nie stała jej się na wynajem adwokata.

– Znajdź ci kogo naprawdę dobrego – powiedział czytając w jej myślach. W jednej chwili poczuła się zaenowana swoją cię. Szybko zarzuciła halkę.

– Nie przeszkadza mi moja obecna sytuacja.

– A mnie przeszkadza. – Przerwał na chwilę. – Ann, powinienem ci chyba o tym powiedzieć. Zaraz po śmierci Michaela dałem Lanyemu czek.

– Dałeś mu pieniądze? Dlaczego? – Odwróciła się gwałtownie.

– Aby mógł zwrócić dług Gilberte.

– A tyle? Ojciec, czy on wiedział, na co przeznaczasz te pieniądze?

– Do czeku dołączyłem karteczkę z wyjątkiem. Była w kopercie razem z planem przebiegu ceremonii ślubnej.

– Wiem, to ty jesteś jego tajemniczym sponsorem? – Zaczęła wkładać bluzkę.

– Niechże cię.

– Dlaczego mi o tym teraz mówisz? – Zacerwieniła się, mimo wszystko zaenowana poczynaniami Lanyego.

– Dałbym mu więcej, byle tylko zwrócił ci wolno – powiedział chłodnym, pozbawionym uczucia tonem.

– A co z twoją wolnością?

– Ann, nie masz się o co w ciebie. – Cała jego rezerwa przysła. Potarł chore łokieć. – Tak byłoby łatwiej, i tyle.

– Komu byłoby łatwiej?

– Nam obojgu.

– Rozmawiałeś ze swoim adwokatem? Spuścił oczy.

– Umówiłem się z nim przed śmiercią. Od tej chwili nie mogłem przestać myśleć o André. O tym, jaki był zawsze dla mnie dobry, jak bardzo go podziwiałem, jakim cudownym był człowiekiem, jaki cudowny był dla mnie. Kiedy byłem mały, marzyłem, aby to on był moim ojcem. Jego obraz zaczął mnie prześladować dniami i nocami. Wiesz, jak on uwielbiał Gilberte. – Umilkł na chwilę. – Ann, śmierć Michaela była potwornym ciosem dla ciebie, ale dla niej, w pewnym sensie, jeszcze gorszym. Gilberte nie jest zdolna do okazywania miłości, trzyma wszystko w sobie.

– Wiesz, że zawsze lubiła grać na twoim poczuciu winy.

– Spróbuj się znaleźć w mojej skórze. Jak by się czuła, gdyby skazała kogo ze swojej rodziny na śmierć przez gestapo? W Santé jeden z Niemców kupczył jej ciałem. Dzień po dniu dokonywano na niej zbiorowego gwałtu. Nie do końca, że zamordowali André i ViVi, to jeszcze potwornie znęcali się nad Gilberte. To wszystko mam na sumieniu.

– W związku z czym odwołała spotkanie z adwokatem?

– To, że dalej jesteście my oficjalnie małżeństwem, ma dla niej ogromne znaczenie.

– Ale żyjecie w separacji, nie mieszkacie pod jednym dachem?

– Szczerze mówiąc, nie do końca wiem, co się dzieje w jej głowie, ale wydaje mi się, że to ma coś wspólnego z jej poczuciem bezpieczeństwa. Może masz rację. Może ona mnie manipuluje, jednak nie potrafi jej tego zrobić. – Ciszył głos, jakby był bardzo wyczerpany.

– Kochanie, sam nie wiem, co robi.

– Nie miej wyrzutów sumienia z mojego powodu. – Przysiadła na łóżku i pogładziła go po ramieniu. – Jestem twoją dłużniczką. Uratowałaś mi życie.

Przez resztę długiego weekendu w Kalifornii żadne z nich nie poruszyło więcej tematu rozwodu.

Jednym z architektonicznych smaczków mieszkania było otoczone murem patio, zbyt wąskie, żeby wstawiać do niego meble ogrodowe. Przy ładnej pogodzie Ann lubiła tu pracować. W ciepłe popołudnie, pięć tygodni po wizycie Quenta, Ann klęczała przy manekinie, ponuro patrząc na biały pikot z sztywnego nylonu. Po latach przebierania w najbardziej luksusowych tkaninach czuła fizyczny wstręt do materiału, który Sever powierzył jej z instrukcją, żeby zaprojektowała komplecik: spódniczka i bluzka. Targnęły się autentycznie nudno.

Choć bym stanęła na głowie, cokolwiek zrobię z tej szmaty, zawsze będzie wyglądać jak mundur. Pójdź mi to powiem przez telefon – postanowiła. Szybkim ruchem podniosła się z klęczek. Promienie słoneczna zataczyły jej przed oczami. Poczwała dziwne zawroty w głowie. Przeraziła się, że zemdleje. Usiadła po turecku na czerwonych rozgrzanych płytach patio. Zaczęła głębiej oddychać. Nagle wszystko ułożyło się w jedno cało. Nudno ci, senno w ostatnich dniach, opóźniający się okres. Jest w ciąży. To zapewne skutek słodkiego, romantycznego, po pieśnego kochania podczas ulewy. Pstryknęła placami jak tancerka flamenco i rozejrzała się. Po chwili przyszło jej do głowy, że powinna się podzielić dobrą nowiną z drugim zainteresowanym. Rozmowy mi dzymistowe przekraczały jej finansowe możliwości, jednak postanowiła złapać Quenta w Pierre – w Nowym Jorku było o trzy godziny później niż w Los Angeles; z pewnościami wyszedł już z biura. Trzeszczący sygnał na linii cofnął ją nagle do pierwszej wizyty Quenta. Z zakłopotaniem spytał, czy byłaby uprzejma zajrzeć do niego „rodkami ostro no ci”. Obiecała, że będzie używać diafragmy. Był przykutym do swojego małżeństwa i nie chciał żadnych „wypadków”. W przeciwieństwie do niej, operował bardzo poprolić moralności. Na pewno usynowiłby dziecko, ale nie byłby specjalnie zachwycony faktem, że pochodzi z nieprawego łóżka. Kiedy odebrał telefon, serce zabiło jej mocniej.

– Ann, co się stało? – spytał po wstępnych przywitaniach.

- Nic, nic.
- Masz jakiś dziwny głos.
- Nie najlepsze pojęcie. Kiedy przyjedziesz?
- Po Warm Springs.
- Prawda, byłabym zapomniała.

Uprowadził ją, i czeka go wyjazd do Warm Springs w Georgii, gdzie ma wręczyć nagrodę Instytutowi Badań Naukowych imienia Jasona Templara. Nagrodę w imieniu Instytutu odebrał doktor Jonas Salk, który niedawno, bez żadnych skutków ubocznych i zachorowań, przetestował szczepionkę przeciwko polio na setkach tysięcy uczniów.

Dlaczego nie było takiej szczepionki zeszłego lata? Ann zadumała sobie i westchnęła. Gdyby Michael został w porządku zaszczepiony...

- Powiniennem być w Kalifornii w piątek – odezwał się Ojciec po chwili.

Następnego ranka odprowadziła Janey do szkoły. Po powrocie ogarnęło ją lenistwo. Zamiast rzucić się do pracy nad koszmarnym nylonem – Sever, głuchy na jej argumenty, upierał się, że przy odpowiednim kroju i fasonie komplet okaże się przebojem – odgrzała kawę w rondelku. Siedziała w łóżku, sennie popijając kawę, kiedy otworzyły się drzwi wejściowe do mieszkania. Nigdy nie zamykała ich na dzwonek.

- Quent! Co tu robisz? Dlaczego nie jesteś w Georgii?
- Przyznaj się, co mi naprawdę chciała wczoraj powiedzieć?
- Ja... nnnnoo...

Patrzył na nią wysoki, barczysty; stojąc na tle okna, zasłaniał słonce.

– Przestań udawać, Ann. Wiem, że coś cię gnębi. Powiedz mi wprost, czy chcesz do niego wrócić.

- Do Lanyego?
- Nie zamierzasz wracać?
- Po co miałabym do niego wracać?
- Jest twoim matką, ojcem Janey...

– Zadzwońłam, bo... – Patrzył w jej twarz z napięciem. – No wiesz, to nie jest do końca pewne. Jeszcze nie byłam u lekarza, ale objawy się zgadzają. Ja, no, jestem, jak by to powiedzieć... w ciąży.

- W ciąży?
- Jestem prawie pewna.

Odwrócił się do niej plecami i podszedł do okna. Ann wiedziała, że nigdy się nie zgodzi, żeby pójść na zabieg. Patrzyła na jego rozłożyste plecy i ramiona, wstrzymała oddech. Kiedy odwrócił się, w oczach lśniły mu łzy. Wziął ją za rękę i pocałował w trzon dłoni.

– Hej, Ann... jaka szkoda, że nie mamy lubu. Tak strasznie chciałbym być twoim matką. Całe szczęście, że zrezygnowałem z wyjazdu do Georgii. Ciągle jeszcze nie znalazłbym tej cudownej nowiny.

Czwartego kwietnia Gilberte zaszczyciła po egualny koncert osiemdziesiątletniego Toscaniniego, w całości poświęcony muzyce Wagnera. Toscanini dyrygował Orkiestrą Symfoniczną NBC. Nawracające, tak uwielbiane przez hitlerowców wagnerowskie leitmotywy, budziły w niej przerażenie, ale i na koncert została zaproszona przez Quenta, zrywała się z miejsca i głośnie oklaskami witała burzliwe popisy orkiestry. W czasie antraktu, ucepiona ramieniem, sunęła przez tłoczne, zadymione *foyer* z godnością i dumą królowej w dniu koronacji. Z twarzą jej ciężkim zadowoleniem i pewno siebie witała znajomych królewskim skinieniem głowy przystrojonej w kapelusz od Lilly Dache. Na widok kogoś z elitarnego grona ich przyjaciół zatrzymywała Quenta i gawdziła, artując przez chwilę. Kiedy ruszali dalej, za ich plecami rozlegał się szmer skrytych domysłów. Czy Dejongowie są z powrotem ze sobą? wiała zamigotały. Wrócili na miejsca. Gilberte przywarła do ramienia Quenta.

– Miałaby ochotę się przejść? – zapytał po koncercie, kiedy schodzili w dół po schodach z obu stron obwieszonych plakatami. Weszli w chłodny półmrok.

– wietny pomysł.

Ruszyli Pięćdziesiąt Siódmy. Jordan jechał za nimi powoli samochodem. Triumfalne, fałszywe dźwięki tematu z *Walkirii* cięgle jeszcze rozbrzmiewały w głowie Gilberte i w tym triumfalnym nastroju wydało jej się, że Quent lada chwila przyzna się do tragicznej pomyłki, powie, że ma już do mieszkania w hotelu, że brakuje mu domowych wygód, a przede wszystkim – tęskni za nią.

– Cóż za koncert! Nie wiem, jak ci działo się, kochanie.

Starsza, ekstrawagancko ubrana dama przepchnęła się między nimi, pieszczę do pełnej stałych bywalców rosyjskiej herbaciarni.

– Gilberte, jest coś, o czym powinna wiedzieć – odezwał się Quent, kiedy z powrotem przysunęli się do siebie.

– Tak? – Odwróciła się z nadzieją.

– Ann wraca do Nowego Jorku.

– Co? – Popatrzyła na niego z osłupieniem. Nie takich słów się spodziewała.

– Ann będzie tu z powrotem mieszkać.

– Znowu się zaczęło?

– Nigdy się nie skończyło, od kiedy ją poznałem. Wynajmę jej mieszkanie.

– Gdzie? – Mocniej otuliła się płaszczem.

– W Village. Nie powinniśmy tam spotykać zbyt wielu wspólnych znajomych, twoich i moich.

– Czy mam ci przyznać *croix de guerre* za bohaterские samozaparcie na polu cudzołóstwa?

– Ann lubi tę okolicę – wyjął. – Gilberte, nie chciałem, żeby dowiedziała się o tym od kogoś innego.

– Cóż za troskliwość. – Kiedy okazała im odbicie w witrynie. Byli wysoki, pięknie dobrani par. – Nie wiem dlaczego, kochanie, ale nie wydajesz mi się typem mieszkać w Village.

– Nie b d mieszkał w Village.
– Widz , e naprawd zasługujesz na medal. A jak przyj ł t wiadomo nasz bankrut i bywalec nocnych barów?
– Larry jutro wyje d a do Las Vegas.
– Rozwód w Nevadzie. – Zatuszowała dr enie serca mieszkciem. – Przyznaj si , ile mu dałe kieszonkowego na t wycieczk ?
– Wystarczaj co, eby miała z powrotem swoje pieni dze. Poznał pewn wdow w Teksasie. Z jego słów wynika, e jest to bardzo miła kobieta. Do zamo na. Maj ju wyznaczon dat lubu.
– Biedne goł beczki, ze mn nie pójdzie wam tak łatwo.
– Gilberte, dostaniesz wszystko, czego tylko zapragniesz...
– Nigdy nie ukrywałam, czego pragn . Pragn ciebie. Jest chłodniej, ni przypuszczałam. Reszt drogi chciałabym odby samochodem.

Uniósł dło . Jordan przyhamował.

– Pozdrów Ann ode mnie – powiedziała lekkim tonem, kiedy Quent otwierał przed ni drzwi samochodu. Oczekaa, a Jordan skr ci w Pi t Alej , i zaszyła si skulona w naro niku tylnego siedzenia. S dziła, e odej cie Quenta uodporniło j na ból i upokorzenie, jednak znów ogarn ło j obezwładniaj ce poczucie bezsilno ci. *La p'tite batarde* nie umiała zatrzyma m a. Kiedy dojechali do domu, nie miała siły wej na gór po schodach. Skr ciła do salonu, którego nowy wystrój – nie nobiałe ciany o ywione płótnami impresjonistów – wzbudzał powszechny zachwy. Gilberte nagle skonstatowała, e brakuje tylko aksamitnego sznurka, eby jej salon nabrał wygl du koszmarnych salonów w rezydencjach podmiejskich udost pnianych turystom dla celów dobroczynnych. Stała przy oknie, patrz c ponad wiatłami Pi tej Alei w mrok Central Parku. My lała, e umrze, kiedy si wyprowadzał do Pierre, a teraz jeszcze to! Przez całe lata była obiektem zazdro ci wszystkich zam nych kobiet z jej kr gów, a teraz dowiedz si , e jej bajeczny m zwi zał si z rozwódk znik d. Quent, nieskaziteln mał onek, wzór wszelkich cnót, yje z kochank ! O, jak si wszyscy b d miali. Nagle ogarn ła j nieprzeparta potrzeba ucieczki.

Pojad do Pary a – postanowiła.

Pary , miasto rodzinne, w którym upłyn ły jej dziewcz ce lata. Pary ... Zawsze lubiła starannie wszystko zaplanowa i nie dawała si ponie impulsom, tym razem jednak, przy oknie zaparowanym mgiełk jej oddechu, postanowiła wyjecha najszybciej, jak si tylko da. Decyzja podziiała jak rodek uspokajaj cy i pobudzaj cy zarazem.

Rzuciła si do ksi ki telefonicznej w bibliotece i zaprosiła dwie owdowiałe, słyn ce ze skłonno ci do plotek krewne Dejongów na „improvizowan kolacyjk ”, która miała si odby jeszcze tego wieczoru.

Nad wy mienicie przyrz dzon ciel cin o ywiła si i zdradziła obu damom, e dla podreperowania sił twórczych wybiera si w podró do wiatowej stolicy mody, Pary a.

Potem dni toczyły si w zawrotnym tempie. Kre liła zamaszyste poprawki na pedantycznych akwarelach Yves Rolanda. Latała na Bermudy nadzorowa kr cenie letnich reklamówek – ledwie mogła patrze na Marjan, Dziewczyn Gilberte de Permont. Wykłócała

si z dostawcami materiałów i dodatków krawieckich. Szkołę Moe Sbicca, kierownika działu sprzedaży, który miał zastępować za czarnym biurkiem z orzecha włoskiego. Moe otrzymywał ograniczone uprawnienia. Każda transakcja powyżej dwóch tysięcy dolarów miała obowiązek uzgodnić telefonicznie przez Atlantycką. Mimo że przedsiębiorstwo Gilberte utraciło swoją pierwotną rację istnienia, nie była w stanie zwolnić obrotów; Gilberte de Permont, Incorporated, jak czerwone krwinki w krwiobiegu, stały się niezbędnym składnikiem jej istnienia. Jack Convy przysłał raport na trzy strony, w którym donosił, że pan Dejong wynajmował mieszkanie przy Washington Square. Do mieszkania wprowadziła się pani Porter z sześciolatnią córeczką. Gilberte pracowała teraz już prawie całą dobę na okrągło.

Wreszcie nadszedł dzień, kiedy o zmierzchu samolot zaczął kołować nad wiatłami Paryża.

Gerard, jeden z parę ich paryskich słuchaczy, nowiutkim Jaguarem zawiózł ją do elegancko odrestaurowanej dziewiętnastowiecznej rezydencji ogrodzonej żywopłotem z bukszpanu. Parę lat wcześniej, kiedy dom na rogu rue Gabriel stał się – po remoncie – luksusową kamienicą, wykupili z Quentem całą piętrosz na paryskie *piedaterre*. Zjawiała się ona Gerarda. Pomogła mu w tym w szczególności słuchowymi schodami piętrowych walizek. Yvonne miała przyłecie z resztą bagażu nazajutrz rano.

Bezsenność wzięła górę nad zmęczeniem. Gilberte leżała na obszernym łóżku, obmyślała najrozsądniejsze sposoby zniszczenia rywalki – rewolwery, sztylety, arsenik, *baignoire*, duszenie. Zbrodnicze myśli nie ustępowały, chociaż zdawała sobie sprawę, że najgorszą karę, jaką mogła ponieść córka Horace'a Blakely'ego, Ann wymierzyła sobie sama – czekało ją życie w zapadłych korytarzach (dokładniej mówić – w Greenwich Village), romans bez nadziei na małżeństwo i dziecko. W ciemnościach uśmiechnęła się z bolesną ironią; jej *maman* przecie te miała dziecko.

Dzwonko cielny wybił jedenaście uderzeń. Gilberte założyła szlafrok. Otworzyła teczkę z dokumentami i wyjęła raporty gestapo. Trzymała nadpalony okupacyjny papier z czciny należącej do najwspanialszych relikwii. Po powrocie do łóżka zasnęła.

Obudziła się przed szóstą w poczuciu bezsensu i rozpacz. Po co w ogóle przyjeżdżała do Paryża? W Nowym Jorku uchodziła za kobietę sukcesu i – przynajmniej w oczach wikszości – za noszoną rękawiczon bogatego, wpływowego człowieka. Tu jest tylko skazanie na pniach dwóch znakomitych rodów. Wzdychając ciężko, pociągnęła za gobelinowy sznur dzwonnka, dając nianę do łóżka.

Depresja nie ustępowała, ale *café au lait* podniosła jej ciśnienie. Może powinna zamówić parę kreacji u Diora – Yves Roland nie ma cienia pomysłu, ale przynajmniej mogłaby go zagonić do wykonania imitacji paru modeli z klas. Poza tym powinna przyjrzeć się słynnym lub nym akietom Balenciagi.

Nie było nawet siódmej. Jeden z domów mody nie był jeszcze otwarty przez wiele godzin. Zdecydowała przyjrzeć się pracującym parę parankom – nowe kierunki w modzie czsto inicjowali młodzi, którym stałe brakowało grosza. Na dzwonek stawiała się Yvonne.

– Przyjechała? – ucieszyła się Gilberte. – Chciałam wyjść. Czy rozpakowała już mój biało granatowy kostium?

– *Oui, madame* – potwierdziła Yvonne. Przyglądała się Gilberte z niepokojem. Była całkiem zrozumiała, że jej pani wyglądała na zgnębioną od czasu, kiedy *monsieur* się wyprowadził, teraz jednak w jej topazowych oczach pojawił się lekki błysk szaleństwa. – Ale czy *madame* nie powinna wypocząć?

Dziękuję ci dyskretnie, lojalnie Yvonne uniknęła wrogiej niechęci Gilberte do słuchania, mimo to pracodawczyni odpowiedziała jej gniewnym głosem:

– Mojesz sobie spać, jeżeli masz ochotę, ale ja mam na głowie sprawę przedsięwzięcia. Powiedz Gerardowi, żeby podstawił samochód. Będzie sama prowadziła.

Miała. Gilberte, która rzadko siadała za kierownicą, gwałtownie ruszyła po mokrej ulicy. Na Champs-Élysées bezładnie przepychała się sfora Citroenów; Gilberte z największym trudem udawała się od czasu do czasu rzucić okiem na pieszo idące pod parasolkami kobiety. Ich płaszcze przeciwdeszczowe nie zdradzały żadnego specjalnego stylu. Parokrotnie omal nie doprowadziła do stłuczki. Wycofała się na szerokie, puste ulice *seizieme arrondissement, ce beau quartier*, dzielnic klas uprzywilejowanych. Samochód pognął sam po avenue Foch, jakby ktoś ciągnął przeciągniętego do skoku jaguara z jego samochodu na niewidzialnym postronku w stronę boulevard Suchet.

Gilberte starannie unikała domu swojego dzieciństwa, w którym zaznała jedynie samotności, udręki, ałui ograbienia. Jednak zew tego miejsca był nieodparty. Kiedy jej wzrok padł na wysoki, zgrabny wieo otynkowany pałacyk połyskujący dachami mansard, obudziły się w niej bolesne wspomnienia. Mała Gilberte, dumnie wyprona obok ojca w jego opływowym samochodzie – ich wyprawy zawsze miały jakiś miły pretekst. Gilberte poddaszkciem w kształcie muszli, naga, ogolona kolaborantka. Gilberte, radosna panna młoda, otwiera pudła ze spadkiem po podstarzałym pruskim kochanku...

Dokumenty! Czy pamiętała, żeby zamknąć walizeczkę na kluczyk? Nie mogła sobie przypomnieć. Kierownica wymknęła jej się z ręki. Samochodem zarzuciło. Usłyszała gwałtowne trąbienie klaksonu, pisk opon na mokrej nawierzchni. Poleciała do przodu, uderzając głową w przednią szybę. Miriady wiatel zawirowały jej przed oczyma, a potem zgasły. Quent – zdmuwała pomyśle. Ogarnęła ją ciemność.

Stojąc na rozkładanej drabinie, Ann wbijała gwóźdź w wieo pomalowane białocianem, na którym miał zawisnąć ostatni z glinianych talerzy z Acoma. Mieszkanie przy Washington Square było stare, pokoje miały ponad cztery metry wysokości. Dwie nietypowe wnęki powiększały powierzchnię salonu, w większej stał wysokiej klasy adapter Quenta, który sam odwracał płyty, jego płytoteka i pianino Bosendorfera, na którym grywał z niespotykaną wirtuozeri, mniejsza wnęka była przeznaczona na zabawki Janey. Wrodek salonu zajmowała jedynie stara kanapa Ann, pokryta nowym materiałem w paprocie, i sztaluga ustawiona przy wykuszu okiennym. Minęły dwa burzliwe tygodnie, od kiedy rzuciła projektowanie dla Severa. Poprzedniego dnia Ojuent zażądał, żeby wypocząła parę godzin. Spędziła ten czas, szkicując akwarele kwitnących pod oknami drzew.

Schodziła z drabiny po ostatni talerz z minwinowajczyni. Ojuent, wyjeżdżając tego ranka bez entuzjazmu na zaplanowaną jeszcze w zeszłym roku konferencję w Kalkucie, wymógł na Ann obietnicę, że wszystkie prace fizyczne będzie powierzała Corianie. Ale

Coriana odbierała właśnie Janey z prywatnej szkoły w siedzibie.

Kiedy Ann zadzwoniła do Coriany z wiadomością, że wraca do Nowego Jorku, Murzynka przyrzekła jej w imieniu Newcombe wypowiedzenie; całym sercem pragnęła być z powrotem ze swoim jagniętkiem. Janey była równie zachwycona spotkaniem. Z pulchnymi bródkami wspartymi na rękach wpatrywała się w słuch, wreszcie przysunęła się bliżej i wtuliła w dobrze znane krągłe kształty, przesłoniła je zapachem cynamonu.

Dziewczynka straciła niewinność wobec świata, nie straciła jednak nic z odziedziczonego po rodzicach uroku. Okazała się prawdziwą gwiazdą lunchu w hotelu Pierre, lunchu, który dorosłych uczestników łatwo mógł przyprawić o chorobę wrzodową. Było to spotkanie dwóch par, roszczących sobie prawa do Janey: Ann i Quenta z Larrym, któremu towarzyszyła Maisie Wentkus.

Maisie mówiła z taksówką za piewem, nosiła wielki połyskujący diamentami broszek w kształcie ptaka. Była matką trzech nastoletnich synów, którzy uczyli się w szkole wojskowej. Ilekroć Larry otwierał usta, patrzyła na niego z nabym uwielbieniem. Ann podejrzewała, że kiedy minie pierwsze onie mielenie, Maisie, oficjalnie trzy lata – na oko dziesięć lat – starsza od Larry'ego, zechce przytulić narzeczonego do matczynej łona i zacznie go rozpieszczać jak czwartego synka. Drugie danie wylądowało na stole. Larry przywołał kelnera, dając kolejnego Martini. Maisie wesoło trzępnęła go po rękach.

– Kochanie, przecie wiesz, że masz już dosyć. – Z uśmiechem odwołała jego zamówienie. Larry zyskał w Maisie rozkochanie w nim, niemniej surową matkę.

– Czy jak się pobierzecie, to zostaniesz tatą dzieci pani Wentkus? – zagadnęła Larry'ego Janey, dodając: – I będziesz ich uczył grać w baseball jak Michaela?

Lanyemu zadrżały usta. Ann położyła rękę na jego dłoni.

– Zawsze bądź twoim tatusem, malutka – powiedział. – Będzie nasz druha na weselu. Jak tylko wrócisz z Nevady, pójdziemy we trójkę z ciocią Maisie i kupimy ci kilka różowych sukienek. A jak przyjedziesz do nas na ranczo, będzie miała własnego kuczka. Będziemy czysto oboje przylatywać do Nowego Jorku, żeby się z tobą zobaczyć. Co ty na to?

– W porządku – odpowiedziała bez przekonania.

Ann bardzo przejmowała się problemami adaptacyjnymi Janey, jednak miała te własne trudności. Drucym pismem wypełniała czek – konto otworzył jej Quent. Nie miała najmniejszych wątpliwości, że kocha ją do szaleństwa i jest zachwycony perspektywą posiadania dziecka, jednak rzadko kiedy towarzyszył jej poza starą masywną bramą kamienicy, ozdobioną rzeźbionym laurowym wiechem. Doskonale rozumiała, że chce oszczędzić upokorzenie Gilberte, jednak czuła się jak potajemnie strzeżona kochanka z kartki *Bocznej uliczki* Fannie Hurst. Gdyby byli rodzice, byłoby przerażenie jej prowadzeniem się, a dziecko uznałoby niechybnie za owoc występu. Mimo pewnych niewygód związanych z tą sytuacją, Ann bezwstydnie pławiła się w szczęściu. Przytyła troszeczkę i kości obojczyków nie odznaczały się już tak wyraźnie. Twarz jej jaśniała, piwne oczy błyszczały.

Wieszkała właśnie talerz, stojąc na czubku drabiny, kiedy zadzwonił telefon. Skrzywiła się i oparła rękę o cianę, zostawiając na nieskazitelnej bieliład farby drukarskiej z gazety, w której był opakowany talerz. Ostro nie zeszła na dół. Pobiegła do kuchni – chociażali nadal

miała smukłą, a brzuch płaski, jej ruchy nabrały pewnej ociężałości.

– Słucham?

– Western Union – zadudnił w słuchawce kobiecy głos. – Telegram dla pana Ouentina Dejonga.

Ann zmarszczyła czoło. Kto mógł wiedzieć o tym, że Quent u niej bywa? Już chciała zaproponować, żeby przekazano telegram do Korporacji Templara, kiedy przyszło jej do głowy, że Quent musiał specjalnie zostawić komuś jej numer.

– Proszę czytać.

– „Pani Dejong ranna w wypadku samochodowym. Stop. Stan ciężki. Stop. Proszę o natychmiastowe przybycie. Stop. Yvonne Latrielle rue Gabriel czterdzieści cztery, Pary...”

Kim jest Yvonne Latrielle? Dlaczego Quent, zawsze taki dyskretny, miałby jej akurat opowiadać o mieszkaniu Ann?

– Czy mam powtórzyć tekst depechy?

– Tak, proszę. – Tym razem Ann zanotowała tekst telegramu.

Kiedy odkładała słuchawkę, jej wzrok padł na słowa „stan ciężki”. Quent nigdy nie używał samolotu słobowego do lotów transkontynentalnych, w związku z czym bzdzie uchwytne dopiero za trzy dni, kiedy dotrze do Kalkuty, skąd dojazd do Pary a zajmie mu kolejnych kilka dni.

Zagryzła wargi i sięgnęła po telefon. Cztery telefonistki – dwie amerykańskie i dwie francuskie – w błyskawicznym tempie połączyły ją z Paryem. Połączenie okazało się beznadziejne. Odgłosy sonarów nakładały się falami na oddalony głos Yvonne Latrielle, wyjątkowo, kim jest dla *madame* Dejong. Ann w końcu się domyśliła, że rozmawia z osobistą pokojówką Gilberte. Trzaski ucichły i słychać było wyraźnie po pieśni wyrzucane słowa.

– ... znalazłam adres *monsieur* w notesie *madame*. Głęboka zmarszczka przecięła czoło Ann – była absolutnie pewna, że Ouent nie dawał Gilberte jej telefonu przy Washington Square.

– W jakim jest stanie?

Znow usłyszała tylko urywki odpowiedzi. Powtórzyła pytanie.

– Samochód... głowa... nie odzyskała przytomności. – Z oddali rozległo się coś, co mogłoby być szlochem. – ... krytyczny... powinien ktoś z rodziny...

– Zrobi, co będzie w mojej mocy – powiedziała Ann, odkładając słuchawkę. Nie odchodziła od telefonu. Paryscy lekarze prosili o przybycie kogoś z rodziny. Mogła zadzwonić do ojca Ouenta, którego nigdy nie widziała na oczy, jednak Gilberte nie ukrywała swojej pogardy wobec tego podstarzałego donuana.

Po paru sekundach zdecydowała. Sama poleci do Pary.

Na pierwszy rzut oka mogło to wyglądać komicznie – zwykle dziewczyna młoda (a może utrzymanka, czy wręcz dziwka) nie pada na złamanie karku po to, żeby pielęgnować i podtrzymywać na duchu jego honor. Jednak Gilberte była przyjaciółką jej młodoci, a Ann wiązyla miłości i przyjaźni ceniła nad życie. Niepomna na ostrzeżenia przed dalekimi podróżami zawarte w broszurze, która wręczył jej ginekolog, wykręciła numer do biura

Ouenta. Panna LaRosa, której Quent zlecił udzielanie pani Porter wszelkiej pomocy, obiecała przekazać tekst telegramu do Kalkuty. Ann poprosiła energiczną sekretarkę o zabukowanie miejsca na najbliższy lot do Paryża, i natychmiast poprawiła się, nie chodzi jej o trzy miejsca. Janey nie mogła zostać bez adnego z rodziców w Nowym Jorku (Lany właśnie nie załatwił zameldowanie w Nevadzie). Ann nie chciała tego powierzyć dziecku opiece obcych w Paryżu, musiała więc wziąć ze sobą dziewczynkę z opiekunką. Panna LaRosa wcale nie powiedziała, że zobaczy, co się da zrobić. Słubowym tonem zapewniła Ann, że trzy bilety pierwszej klasy na wieczorny lot Air France zostaną jej dostarczone przez posłańca na Washington Square. Gdyby wynikły jakiegokolwiek trudności paszportowe, prosi o telefon; pan Dejong ma znajomości w Departamencie Stanu.

Wyciągając podrapane walizki z olbrzymiej szafy w korytarzu, Ann doszła do wniosku, że wprawdzie za pieniądze nie można kupić szczęścia ani uchronić się od cierpienia fizycznych czy moralnych, jednak z pewnością można na nimi wygładzić nieco kandydaturę codziennej egzystencji.

Nie była w Paryżu od końca wojny. Kiedy jechała taksówką z Orły, ze wszystkich stron dopadły jej wspomnienia. Matka, kochana i beznadziejnie mieszczańska stuprocentowa Amerykanka, po której lata w Paryżu spływały bezładnie, ojciec, pełen serdecznych uciśnięć, przystojny, choć z nieznacznym podbródkiem... młoda, niewinna Gilberte z uśmiechem do wiadzonej kobiety... dowcipny baron i elegancka baronowa... Ouenta w swetrze od Jacquesa Tinela, pachnący tani okupacyjny namiastek tytoniu... Lany w czerwonym mundurze oficera... Michael miotający się w konwulsjach, jak ryba wyrzucona na brzeg.

Trzymając Janey na kolanach, bezmyślnie odpowiadała na pewne okrzyki zachwytu Coriany na widok wieży Delfa czy Łuku Triumfalnego.

W mieszkaniu przy rue Gabriel powitała ją Yvonne Latrielle. Dziękując wylewnie, choć nie do końca szczerze, za natychmiastowe przybycie, pokojówka pani Dejong zaprowadziła ją do gościnnych pokoi. Janey, która miała spać z Corian, wybrała naturalnie sypialnię o różowych cianach.

Sypialnia Ann była obita opalizującym niebieskim jedwabiem, współgrała z błękitnym wzorzystym dywanem. Z błękitnego aksamitnego *plumeau* unosił się zapach suszonych kwiatów. Ann kręciła się w głowie ze zmęczenia; zaalarmowana dotknięciem ciała na łóżku. Wiedziała, że nie spocznie, dopóki nie zobaczy się z Gilberte. Krótko przed wyjściem kawy postawiła się nieco na nogi, odpychając od siebie myśl, że nie potrafiłaby z taką sprawą prowadzić nawet jednego domu, a co dopiero siedmiu czy nawet ośmiu. Gilberte z pewnością była nieskończenie bardziej predysponowana do roli pani Dejong.

Gilberte umieszczono w prywatnej klinice przy avenue Paul Doumer, tuż przy Trocadero. Budynek kliniki był kiedyś rezydencją arystokratycznej rodziny, której herb nadal widniał wyryty w czarnym marmurze kominka w hallu wejściowym. Przy biurku ze złożonymi brzegami siedziała pielęgniarka o ostrych rysach twarzy.

Kiedy Ann poprosiła o widzenie z *madame* Dejong, pielęgniarka złożyła szczupłe ręce za plecami, przybierając pozostawiony strzegący spokoju cierpiących w murach zakładu.

– Czy *madame* należała do rodziny chorej?

– Jestem jej bardzo dobrą przyjaciółką .

– Strasznie mi przykro. *Madame* Dejong jest w bardzo ciężkim stanie i tylko rodzina ma pozwolenie na odwiedziny.

– Specjalnie przyleciałam z Nowego Jorku.

Pacjenci tego szpitala nosili znane nazwiska, nierzadko poprzedzone arystokratycznym tytułem. Amerykanie, naturalnie, nie mieli rodowodów, w związku z czym o wiele trudniej było oszacować ich pozycję. Wskazywane wargi pielgniarki stały się całkiem niewidoczne, kiedy badawczo przyglądała się *madame* Porter. Bez kapelusza, w szykownym zielonym płaszczu przewieszonym paskiem, ta piękna, młoda kobieta o czystej twarzy i rudych włosach wyglądała dostatecznie nonszalancko, jednak w jej lekko cudzoziemskiej francuszczyźnie nie pobrzmiwała jakaś słabość, brak pewnej wrodzonej arogancji.

– Doktor powiedział wyraźnie: tylko rodzina.

Ann zadarła głowę, naładowała ton i postawę, które przybierała Gilberte w Mount Sinai, aby dostać się do Michaela.

– W takim razie będziecie państwo zmuszeni wyjść.

– Pozwoli pani, że sprawdzę najpierw, w jakim pacjenta jest stan – oświadczyła pielgniarka, już nie tak pewna siebie.

– To nie jest konieczne. Proszę mi powiedzieć, którą mam iść.

Pielgniarka wbiła wzrok w karton Gilberte i skapitulowała.

Ann weszła po schodach na piętro i ruszyła po piesznie szerokim korytarzem, którego eleganckie boazerie zupełnie nie pasowały do brzozy, prozaicznego linoleum i aparatury medycznej. Po trzech niskich stopniach weszła do pokoju Gilberte.

Pokój, chociaż do spory, wyposazony był iście po spartańsku – wielu pacjentów na czas pobytu w klinice sprowadzało własne meble i obrazy. Na komodzie stała szklanka z bukietem fiołków. Przez krótką chwilę Ann zamyśliła się nad różnicami między dłym małym bukietem a egzotycznymi bukietami, którymi zastawiony był cały pokój w klinice ginekologicznej doktora Kreigera. Jej wzrok powędrował w stronę łóżka pacjentki; jedna rękawa była zagipsowana a popo pachy i podwieszona na wyciągu. Biały bandaż, jak czepek zakonny, okalał twarz rannej z wszystkich stron, nos miała osobno zabandażowany, w poprzek twarzy. Na ułamek sekundy Ann zatrzymała się w progu. Czy by pielgniarka o okrutnych ustach skierowała ją do złego pokoju? Jednak spod bandaży wypływała gęstwa czarnych, lśniących włosów, które mogły należeć tylko do jednej osoby. Ann zrobiła dwa kroki do przodu.

– Gilberte?

Ranna nie drgnęła nawet.

– To ja, Ann.

Pięć Gilberte równomiernie podnosiła się i opadała. Pielgniarka przyłożyła do uniosła wzrok znak księżki. Uśmiech przydawał jej twarzy swojskich konturów brzozy.

– Czy pani Dejong jest pod wpływem środków uspokajających, czy nie odzyskała przytomności? – spytała Ann.

– Doktor wszystko pani wyjaśni. Będzie za jakie pół godziny. Zechce pani łaskawie

usi .

Projektant krzesła musiał chyba wziąć łapówkę od chirurga-specjalisty od schorzeń kręgosłupa – krzesło miało za długie nogi, zbyt wysokie siedzisko i oparcie nachylone pod niekorzystnym kątem do przodu. Ann musiała wytrzymać się na krześle, aby nie zsunąć się ze śliskiej skóry. Niewygodna pozycja, a może wyczerpanie spowodowały, że jej myśli przecinały się w różnych kierunkach jak supernowoczesne wielopoziomowe skrzyżowania autostrad w Los Angeles.

Z jednej strony, ta cięko – kto wie czy nie miertelnie – ranna kobieta jest jej najstarszą przyjaciółką, jedyną, z niewymuszonym radością, radością jak i niestosownie w tamtych latach wojny i głodu. To jest Gilberte, z którą udawały do wiadzone kobiety, Gilberte, z którą chociaż opowiadały sobie o chłopcach i zwierzały się z niecenzuralnych myśli i marzeń, Gilberte, jej towarzyszką zwariowanej zabawy w papierowe wycinanki, która miała przez długi czas ich karierach zawodowych w przyszłości.

Z drugiej strony, z głębokim smutkiem myślała o Gilberte, której zwoźniczy powiew luksusu, jak pieśń Lorelei, zwił Lanyego w wir ruiny. Gilberte, która nigdy nie okazała odrobiny uczucia Michaelowi od chwili, kiedy Ann zniosła go po brudnych schodach w Saint-Ouen – prawdę mówiąc, do ostatnich dni życia dziecka sprawiała wrażenie, jakby zapomniała o jego istnieniu.

Był jeszcze najniższy, najgłabszy poziom myśli, na którym kryły się osobiste niepokoje Ann. Kochała ją Gilberte, nosiła jego dziecko pod sercem i nie miała najmniejszego zamiaru szlachetnie usunąć się na bok. Chciała spędzić z nim resztę życia, nawet jeśli nie zdecydował się wystąpić o rozwód. Na tym poziomie zdawała sobie sprawę, jak wygodnie byłoby dla niej – i dla dziecka – gdyby nieprzytomna kobieta w bandażach znalazła się w rubryce ofiar wypadków ulicznych paryskich dzienników.

Jednak siedziała u wezwania Gilberte, pragnąc jej powrotu do zdrowia. Mimo wszelkich urazów i rywalizacji nie była zdolna przyjąć Gilberte miernie, podobnie jak nie byłaby w stanie przyjąć rewolweru do zabandażowanej głowy przyjaciółki.

Półtorej godziny później, o wpół do drugiej, kiedy młody sanitariusz w przetrzebanym kitlu przyszedł zwolnić pielęgniarkę na obiad, Ann, która nie jadła w ogóle niadania, nie poszła za nią, chociaż jedzenie u mierzyłoby zapewne mdłości. Bała się, że przeczy nadejście lekarza.

Minęła już czwarta, kiedy wbiegł przez rzędnice drzwi. Był wysoki i miał do pokonywania brzuch, jednak cienki w szyi i szpiczasta bródka niezwykle upodabniały go do owianego legendy Karła, Toulouse-Lautreca. Ann przedstawiła się jako najbliższa przyjaciółka *madame* Dejong i wysłanniczka *monsieur* Dejonga, który jest w Indiach *en route* i będzie mógł dotrzeć do Paryża dopiero za kilka dni. Lekarz z kolei oświadczył, że jest neurologiem wezwanym do *madame* Dejong, ponieważ stwierdzono, że oprócz skomplikowanego złamania ręki, złamania nosa i ran na twarzy *madame* Dejong doznała również uszkodzenia czaszki.

– Wystąpiło pęknięcie czaszki po prawej stronie, są również podejrzenia o wylew wewnętrzny – wyjął.

– Czy doszło do uszkodzenia mózgu? – spytała Ann, czując, że zaschło jej w gardle.
– Kręgosłup jest nie uszkodzony – powiedział ostro nie lekarz.
– Czy będzie zdolna do normalnego życia?
– Nie wszystko naraz, *madame*. Najpierw musimy ją utrzymać przy życiu.
– Ale... co będzie, jeśli zostanie na zawsze w takim stanie? Spojrzał na Ann uważnie, nie piwnymi, przenikliwymi oczami.

Wydało jej się, że lekarz przez skórę widzi wstępującego w jej łonie embriona.

– *Madame*, radziłbym pani wrócić do hotelu i odpocząć. Tutaj na nic się pani nie przyda.
– Zatrzymałam się u pani Dejong. Czy będzie pan uprzejmie zadzwonił do mnie, gdyby jej stan uległ... zmianie?
– Naturalnie.

Przez następnych czterdzieści osiem godzin Ann miała wrażenie, że unosi się na wzburzonych morskich falach. Z trudem wmuszała w siebie posiłki, które jej przynoszono. Spała mocno, ale najwyżej przez cztery godziny. Czuła cichą wdzięczność do Gerarda, szofera Gilberte, który wynajął samochód w miejsce rozbitego Jaguara, i zafundował Janey i Corianie przejazd po Paryżu, rozdramiona jej wprowadzić skrywaną niechcący Yvonne, jednak prawie wszystkie jej myśli krążyły wokół szpitala. Zgodnie z zarządzeniem władz kliniki, nie wolno jej było spędzać więcej niż dziesięć minut na godzinę w pokoju chorej. W poczekalni, utworzonej z piwnego, owalnego buduaru, w którym księżna lubiła niegdyś odpoczywać samotnie, nachodziła jej myśl, że została, jak jakaś potępiona dusza, uwięziona w niezliczonych kręgach czy ców szpitalnych poczekalni. Siedząc przy łóżku Gilberte, nie była w stanie oderwać oczu od przerażonej twarzy bez wyrazu.

Drugiego wieczoru w Paryżu, podczas ostatniej z ustalonych wizyt, dostrzegła lekkie drgnienie posiniaczonej powieki nad lewym okiem rannej. Nie odrywał wzroku od twarzy Gilberte, rzuciła się do łóżka, w obawie, że przeoczy kolejny ruch. Jednak pier przyjaciółki nadal spokojnie falowała oddechem, a jej ciało pozostało bezwładne. Ann zaczęła podejrzewać, że drgnięcie brwi było tylko wytworem jej pobocznych myśli. Czekając, bez końca wpatrując się w twarz Gilberte. Nagle, kiedy wizyta miała się już skończyć, na posiniaczonej twarzy ponownie drgnęła powieka.

– Próbuje otworzyć oczy – szepnęła Ann, tłumiąc podniecenie.

– H? – zainteresowała się pucołowata pielgniarka, która właśnie układała rączniki w szufladach biurka.

– *Madame* Dejong – wyjąknęła szeptem Ann. – Budzi się. Pielgniarka po piesznie zbliżyła się do łóżka, obrzuciła chorującą wzrokiem, zmierzyła tętno w nadgarstku zdrowej ręki, wreszcie uniosła powiekę i zajrzała w pozbawione wyrazu oko. Potrzebna jej była przecząca odpowiedź.

– Widziałam, że się poruszyła – powtarzała z uporem Ann.

– Arówka czasem migocze. – Pielgniarka wskazała wzrokiem szpitalną lampę, która świeciła rzeźbionym plafonem.

A jednak Ann po powrocie na rue Gabriel poczuła, że wstępuje w nią optymizm.

Przespała sześć godzin i obudziła się o trzeciej, tknięta magicznym przecuciem, że jej eli Gilberte dostanie do ręki dobrze znany przedmiot, odzyska przytomność. Przez ciemne, pogrążone we śnie mieszkanie ruszyła do sypialni państwa domu. Na sekretarzyku dostrzegła walizeczkę z dokumentami Gilberte. Z nadzieją, że znajdzie oprawny w tłoczony skór notes, z którym Gilberte nigdy się nie rozstawiała, nacisnęła złoty przycisk. Wieko walizeczki odskoczyło. Oczom Ann ukazały się sfatygowane dwie koperty opatrzone swastykami i trupi czaszką, insygniami gestapo. Na jednej z nich napisano na maszynie po niemiecku: „Seksja IV, *Geheimdienst* Zamach terrorystyczny przy Gare de l'Est, 6. 10. 1941 André de Permont, sprawa zamknięta”. Na drugiej kopercie widniał podobny napis, tyle że dotyczy Vivienne Cagny. Yves Roland przebiekiwał co o skandalu sprzed lat. Ann uważała to za paskudne plotki; bardzo ceniła Ojuenta za to, że nigdy nie wspominał o nich ani słowem. Minęła dłuższą chwilę, zanim oswoiła się z prawdziwym nazwiskiem baronowej. Skłoniła się do aktów gestapo u Gilberte? Czy przywiozła je ze sobą do Paryża, czy odkryła dopiero na miejscu? Sięgnęła po koperty opatrzone nazwiskiem barona i drżącymi rękami wyciągnęła cztery podniszczone stronicę.

W głosie niemieckich słów rzuciło jej się w oczy nazwisko: „Horace Blakely”. Z ust Ann wyrwał się słaby jęk. Wytężyła umysł, aby przywołać całą znajomość niemieckiego.

Tłumaczyła mozolnie. Kiedy jej pełnych warg opadły, jakby się miała zaraz rozplakać, ale oczy pozostały suche. Lektura zajęła jej ponad pół godziny. „Ciało zwrócono rodzinie dwudziestego piątego marca tysiąc dziewięćset czterdziestego drugiego”.

Zegar tykał, z oddali dochodziło wycie psa. Patrząc tym wzrokiem na dokumenty, Ann przypomniała sobie dzień, kiedy jej rodzice zostali zatrzymani przez francuską policję. Po tym, jak poszła na *commissariat*, gdzie padła ofiarą zboczonego, krostowatego *agent de police*, dalsze poszukiwania pozostawiła baronowi de Permont, a sama, posłuszna jego rozkazom, udała się do szkoły. Po południu zastała ją w domu Dorothy, pełną logicznych opowieści o kontroli paszportów i o tym, jak po godzinie policyjnej zezwolono im na nocleg w jednym z gabinetów. Wszystko to były kłamstwa. Ann dowiedziała się teraz, że rodzice w rzeczywistości byli w kwaterze gestapo przy avenue Foch. Biedny, przerażony tato. Po paru dniach Gilberte i jej rodzice zniknęli...

Z rozmyślań o przeszłości wyrwało jej charakterystyczne przeciągłe buczenie francuskiego telefonu. Obawiając się o sen domowników, czym prędzej podniosła słuchawkę.

Paryska telefonistka zapowiedziała rozmowę z Kalkutą dla *madame* Porter. Połknięcie było bardzo słabe. Ann każe zdanie musiała wykrzykiwać po kilka razy. Gilberte jest nieprzytomna. Nieprzytomna. Nie, nie było mowy o żadnej operacji. Kiedy przyłeci do Paryża? Co mówi? Jak długo? Kiedy odkładała słuchawkę, bolało jej gardło.

Schowała oba raporty w walizeczce Gilberte i na palcach wróciła do wytapetowanej jedwabiem sypialni dla gości. Bolały jej wszystkie mięśnie, jakby przez wiele godzin poddawała się wiczeniom, do których ciało nie jest przystosowane. Dotychczas kucharka, przynosząc niadanie na tacy, zastawiała ją ubraną od stóp do głów, tego dnia jednak Ann nie wstała z łóżka. Ciężar urojonej winy, którą Gilberte wiadomie obarczyła Ojuenta, był równie morderczy jak odłamy skalne, które ładowano mu na plecy w kamieniołomach Mauthausen.

Czuła, że nie jest w stanie wejść do pokoju w klinice.

Posuwała się w nieskończonym labiryncie krętego białego tunelu. Tunel kołysał się i falował. Nie mogła utrzymać równowagi. Opadła na czworaki. Nagle uświadomiła sobie, że porusza się poza czasem. Nie było ani słowa, ani kszycy, które znaczyły upływ dni i miesięcy, nie wiedziała ani jak długo podróżuje, ani ile zostało jej jeszcze drogi. Nie istniało nic poza nieprzerwanym w drówna czworakach przez biały elastyczny tunel wiecznym ci... Nagle, nie wiedząc jak i dlaczego, zaczęła wciągać się na stabilną platformę. W ten sposób nie mogła dociec, gdzie jest. Czy by była sokołem myliwskim, któremu treserzy zszyci powieki? Mozolnie rozważała tak mo liwo, w końcu jednak uznała je za nieprawdopodobne. Sokoły widywała na ciemnych, zniszczonych płótnach obrazów. Nagle przypomniała sobie obraz dumnego ptaszyska na odzianej w rękawice dłoni jednego ze starożytnych de Permontów.

Nazywam się Gilberte de Permont Dejong – pomyślała. Siła woli otworzyła powieki. Przeszył ją o lepiący ośły blask, jakby zapłonęło tysiąc słów w wietlistym wybuchu bomby wodorowej. Przerażona, zamknęła oczy. Poczowała, że nieprzerwanie towarzyszy jej lęk. Dlaczego? Przypomniała sobie, jak kluto ją, szturchano i dęgano w rękę, jak wciskano jej wiśtwa do nosa i cewki moczowej. Gdzie jest teraz? W więzieniu? Czy wraca do siebie po kolejnej sesji tortur?

Skóra mrowiła ją, jak od ukłuśetek tygrysię. Z jednej ręki płynęły sygnały bólu, mimo że była niewłaściwie sparaliżowana. Jej twarz co pokrywało, jednak Gilberte nie odważała się wolno rękę sprawdzić, co to jest. Wszystkie dźwięki miały dziwny pogłos. Nie próbowała już otwierać oczu, tylko cała zmieniła się w słuch. Jakiś mężczyzna rozmawia z kobietą. Mimo zniekształconych dźwięków, udało jej się ustalić, że rozmowa toczy się w zwykłej francuszczyźnie. W pewnej chwili wyловиła słowo: „pacjentka”.

Jestem w szpitalu – pomyślała.

Mgła w jej umyśle się rozwinęła. Mężczyzna jest lekarzem, kobieta pielęgniarką, rozmowa dotyczy Gilberte.

– Wczoraj poruszyła lewą powiekę – informowała pielęgniarka.

– Dlaczego nie zadzwoniła pani, żeby mi o tym powiedzieć? Miałbym dobrą wiadomość dla pana Dejong.

– Czy dalej jest w Kalkucie?

– Zamówił samolot czarterowy. – Ci amerykańscy bogacze umieliby z forsy zrobić latajcy dywan. – Będzie tu jutro albo pojutrze.

Lewa strona głowy Gilberte pulsowała boleśnie, jakby ją przypalano rozżarzoną elastyczną gumką, jednak myślenie przychodziło jej łatwiej. Przyjedzie Quent. Byłam nieprzytomna. Jak długo? Co się ze mną działo?

Nagle przypomniała sobie jazdę po boulevard Suchet i nieoczekiwany poślizg.

Otworzyła oczy. Upiorny blask nie był tak o lepiący; w nogach łoska rysował się mglisty kontur. Kontur rozdzielał się na dwie sylwetki.

– *Mon Dieu!* – To był głos kobiety. – Niech pan spojrzy! Gilberte zamknęła oczy,

zatapiaj c si w d wi kach coraz bli szych kroków.

– PaniDejong?

Kto si nad ni nachylał. Zobaczyła niewyra ny zarys twarzy ze szpiczast bródk , która sprawiała wra enie, jakby była pod wietlona od rodka.

– Pani Dejong? Czy pani mnie słyszy?

– Jak długo tu jestem? – Kleista materia słów z trudem wydobywała si z jej ust.

– Tak, tak, jest pani w szpitalu. Powtórzyła pytanie.

– Co si stało? Miała pani przykry wypadek. Ale ju zd yła pani solidnie odpocz .

– Głowa... boli...

– Tak, b dzie tu lada chwila. Pani przyjaciółka, *madame* Porter, ju przyleciała ze Stanów.

Ann... Gilberte niejasno mign ło w pami ci, e z osob Ann wi e si co haniebnego, jednak nie mogła sobie przypomnie nic wi cej i w ko cu uznała, e przyjaciółka przyjechała po prostu j odwiedzi .

– Przesiaduje u pani dniem i noc – dodał lekarz. – Na pewno pojawi si tu dzisiaj.

Przyci ni te banda ami mi nie rozci gn ły powoli pokaleczone, obrzmiałe wargi Gilberte w u miech wdzi czno ci.

Przez reszt dnia głównie drzemała. Przebudzaj c si , my lała o Ann, i je li zdarzyło si , e odzywały si w niej jakie wspomnienia, odmawiała przysłuchiwania si ich złowrogim podszeptom. Przyjaciółka odwiedzała j w klinice. Przyleciała do Pary a specjalnie dla niej.

Nast pnego ranka ust piła oci ało umysłu, która chroniła Gilberte przed wiadomo ci , e Ann jest jej najbardziej zaci t rywalk , wiecznym wrogiem.

My li Gilberte pobiegły do walizeczki z dokumentami.

Wył cznie dla mojej wiadomo ci – my lała. – Nikt ich nigdy nie powinien zobaczyć .

Wróciły w tpliwo ci sprzed wypadku. Czy zamkn ła walizeczk ?

S cz c przez szklan rurk letni , słodzon *cafe au lait*, w dalszym ci gu oddawała si niepokoj cym my lom.

Poprosz Ann, eby przyniosła mi walizk – zadecydowała.

Tego ranka Ann si nie pojawiła. Lekarz, który badał Gilberte po południu, uznał, e przyczyn niepokojnego zachowania pacjentki jest r ka na wyci gu, i zaordynował rodki uspokajaj ce. Gilberte na przemian drzemała i budziła si ; za ka dym przebudzeniem w jej umy le na nowo od ywały w tpliwo ci. Ann przeleciała Atlantyck , eby by u jej wezglowia. Ann przesiadywała całym dniami w klinice. Czemu nie przyszła? Nie zadzwoniła nawet i nie spytała o jej zdrowie. Z minuty na minut w Gilberte wzbierało podejrzenie, e Ann natkn ła si na *dossier*. U progu nocy niepokój był silniejszy ni ból, oszołomienie lekami i wir pomniejszych uczu .

Nast pnego dnia rano był szary i ponury. Gilberte patrzyła, jak wiatr wygina okryte wie zieleni gał zie lipy za oknem jej pokoju.

Nagle zjawiła si Ann.

Powitała Gilberte skinieniem głowy. Nie usiadła.

– Słyszałam, że do mnie przychodziła – odezwała się Gilberte.

– Parę razy.

– Chciałam cię prosić, żeby następnym razem, idąc tutaj, wstąpiła najpierw do mojego mieszkania.

– Mieszkam u ciebie.

– Ach tak? – zdziwiła się Gilberte. – Chciałabym, żeby przyniosła mi walizkę z dokumentami.

– Po co? Nie powinna jeszcze zabierać się do pracy.

– Czytała raporty gestapo. – To było oskarżenie.

– Szukałam czegoś, czego czuła się wstydzona. Wyobraziłam sobie, że taki przedmiot może wytrącić cię ze stanu powagi. Nie miałam najmniejszego zamiaru grzebać w twoich papierach – broniła się Ann.

– I jak w świetle informacji jawi ci się twój ukochany tatuś?

– Gilberte, to nie jest odpowiednia chwila...

– Skwapliwy donosiciel, tak określiło go gestapo.

– Był przerażony. Bał się śmierć matki, czy nie potrafisz tego zrozumieć?

– Słyszysz, że mój ojciec nie miał wyrzutów sumienia, przyglądając się, jak moja matka chłostała na śmierć, a mnie gwałcił i torturował?

– Wielokrotnie o tym myślałam.

– Gdyby pochodziła z rodziny, w której liczy się coś takiego jak honor, pewne rzeczy byłyby dla ciebie jasne. Przyjaciel nigdy nie zdradza przyjaciela, chyba że jest podstępny, podły kreatur.

– Był zwykłą ludzką istotą, która znalazła się w potrzasku. – Pełne, łagodne usta Ann zwały się. Czuliła, jak wzbiera w niej gniew i uraza.

– A może, twoim zdaniem, powinnam zbudować pomnik na jego cześć? Wyobraź sobie, co czułam na myśl, że jedyne dziecko oddałam na wychowanie córce Horace'a Blakey'ego?

– Bardzo mi przykro, Gilberte – powiedziała Ann bez wstydu.

– To, że ci przykro, nie zwróci uwagi moim rodzicom. Z dwójgą złego woliu hitlerowców, przynajmniej nie ukrywali, kim są. Twój ojciec był podstępny gadem...

– W porządku, Gilberte. Powiedziała już dosyć...

– Choćbym nie wiem ile mówiła, nigdy nie powiem dosyć. Nędzna gadzina, pozbawiona krzyku honoru...

– Kto jak kto, ale ty na pewno nie masz prawa wypowiadać się na temat honoru. – Ann podeszła do okna. Gał zieleń za jej plecami gniewnie chłostały szybki okienniki. – Dlaczego pozwoliła Ouentowi w przekonaniu, że to on zdradził twoich rodziców? Dlaczego utrzymywała go w tej wierze?

– Nie mam obowiązku tłumaczyć się przed tobą – oświadczyła Gilberte chłodno i wyniośle, ale w duchu zadrżała.

– Nie musisz, to przecież jasne jak słońce. Ile razy chciała coś od niego, ile razy wyglądało na to, że ma zamiar odejść z powodu twojego kolejnego wiństwa, czym prędko

budziła w nim wyrzuty sumienia...

– Jedna z dziwek mojego matki nie będzie mi wtykać nosa w sprawy, które dotyczą tylko nas. – Mimo otępienia tego działania morfina serce Gilberte biło mocno.

– Na Boga, Gilberte, jak mogła mu zrobić coś takiego? Faktycznie – jak mogła? Gdyby z licznych wyrzutów, jakie cię były na jej sumieniu, miała wybrać najpoważniejszy, zapewne wskazałaby oszustwo i podłość, z jaką podporządkowała sobie Quenta. Czy jednak istniał inny sposób zatrzymania go przez te wszystkie lata?

– Teraz mi pewnie powiesz, że jedynym sposobem zadania uczynienia za moje winy będzie oddanie go w twoje ręce.

– Oddanie? W moje ręce? Przecież to jest człowiek, a nie jakiś sprzątaś. Prawda, nigdy nie liczyła się z cudzymi uczuciami. Zauważyłam to już u *madame Bernard*. Zgoda, dziewczęta nie były dla ciebie specjalnie miłe, ale z drugiej strony widziałeś było z kilometra, że masz je za nic. Potrzebne ci były tylko jako dowód twojej wyższości nad resztą świata. Jesteś godna poślówienia, Gilberte. Straciłaś to co najwartościowsze w życiu, bo nigdy nie potrafiła nikogo kochać ...

Potrafiłam, potrafiłam... Kochałam ojca. Kochałam Michela. Kochałam Quenta. Wszystkich straciłam.

– No, no, zdaje się, że zaczyna się rutynowa analiza mojego charakteru.

Ann popatrzyła jej prosto w oczy.

– Trzeba by biegłego ode mnie w psychopatii, żeby rozgryźć, dlaczego jesteś taka pokręcona. – Wzięła torbę i parasol i wyszła.

Tydzień trwało, zanim dziennikarze wyniuchali wypadek Gilberte, w szybkim tempie jednak nadrobili zaległość. Chociaż Gilberte de Permont nie cieszyła się tak sławą jak niektóre gwiazdy Hollywood, jednak była główną projektantką mody, a jej życie obfitowało w akcenty, które jak wiat wiatem przykuwały uwagę publiczności: była piękna, przyszła na świat w arystokratycznej rodzinie, spowijała ją lekka otoczka skandalu, wyszła za mąż za multimilionera znanego szerokim rzeszom jako wnuk – i jedyny dziedzic – Jasona Templara. Pierwsze wzmianki w amerykańskiej prasie i telewizji sugerowały, że jej stan jest najprawdopodobniej beznadziejny – chwyt stary jak wiat, który miał utrzymywać publikę w napięciu. Nawet prasa francuska, w tym okresie zaabsorbowana wkroczeniem komunistów do Dien Bie Phu, poświęciła wypadkowi wiele uwagi. Konserwatywny „New York Times” zamieścił notatkę o wypadku na stronie tytułowej, a na tej stronie znalazł się artykuł szczegółowo opisujący błyskawiczną karierę Gilberte, jej wkład w modę, porównywalny z zasługami Christiana Diora. Wspomniano o barwnych tajlandzkich jedwabkach, zeszłorocznych sukienkach chłopkach i tegorocznym stylu Santa Fé. Wynoszono jej talent pod niebiosa i podsumowywano osiągnięcia w sposób, który miał w sobie coś z przedczesnego epitafium. Koncern prasowy Hearsta wyciągnął na światło dzienne jej podejrzany przeszłość w okupowanej Francji: była kolaborantką, kochanką wysokiej rangi hitlerowskiego zbrodniarza wojennego czy też – jak jej zmarli rodzice – bojowniczką ruchu oporu torturowaną za działalność patriotyczną? Wzmianka o separacji małżeńskiej przedostała się do wiadomości publicznej, kiedy Earl Wilson zaczął spekulować

na łamach prasy, czy ta bardzo, ale to bardzo wytworna para zwie czy pocałunkiem pojednanie w szpitalnym łóku. Po avenue Paul Doumer kręcili się, paląc papierosa za papierosem, niezależnie dziennikarze. Reporter londyńskiego „Daily Mirror” wyprzedził ciarówki od dostawcy kwiatów. Złapano go w ostatniej chwili, kiedy maszerował do pokoju Gilberte z wiosennym bukietem. Po tym wydarzeniu dyrektor administracyjny szpitala, przyzwyczajony do straszenia pcheł obskakujących znakomitości polityczne i atrakcje w postaci pomniejszych ksiątek, wynajął strażników, którzy legitymowali wszystkich wjeżdżających na teren kliniki.

Dziennikarz z Associated Press pierwszy rozpoznał czarnowłosego mężczyznę, który odsuwał szyb samochodu z amerykańskimi rejestracjami, żeby zamienić kilka słów z wartownikiem. Obiektywy aparatów były wycelowane w Ouenta.

Na widok pojawiającego się bez zapowiedzi *monsieur* Dejongę puciołowata pielgniarka przerwała przyglądanie ozdobionej monogramami poszwy (Gilberte zażądała sprowadzenia prywatnej pościeli z paryskiego mieszkania) i po piesznie wycofała się na korytarz.

Przed wejściem do kliniki Quent widział się z Ann, odbył również rozmowy telefoniczne z lekarzami Gilberte. Chociaż go uprzedzali, nie był naprawdę przygotowany na to, co zastanie. Stanął na progu jak wryty, patrząc z przerażeniem i troską na uniesioną rękę Gilberte i bandaż wokół głowy, twarzy i klatki piersiowej.

– Nazwałam to stylem Nefretete – odezwała się. Roze miał się i podszedł do łóżka.

– Przepraszam, ale dopiero teraz przyjeżdżam. Dowiedziałem się o wszystkim dopiero w Kalkucie, a potem była fatalna pogoda do latania.

– Lepiej pójdź no nie wcale – skwitowała.

Przysunął krzesło do łóżka i ujął jej zdrową rękę. Mocny ucisk mskiej dłoni dodał jej otuchy; po raz pierwszy od konfrontacji z Ann zażyta w niej iskra nadziei. (Poinformowała pielgniarkę, że nie życzy sobie żadnych kontaktów z *madame* Porter. Ostro nie okazała się zbudna – Ann nie tylko nie przyszła, ale nawet nie zadzwoniła.)

– Pamiętasz, jak to się stało? – zapytał.

– Pamiętam tylko, że co najechało na Jaguara, podobno nieduża ciarówka.

– Gil, co ty robiła przed waszym dawnym domem? Zwykle nadkładała kilometrów drogi, żeby tylko nie oglądać boulevard Suchet?

– Sama nie wiem, jak to się stało. Quent, nie wiesz nawet, ile dla mnie znaczy twój przyjazd – roztkliwiła się.

Puścił jej rękę.

– Nie powinnam była tego mówić?

Nie odpowiedział. Podszedł do okna. Słonce, przedzierając się przez gałęzie lipy za oknem, rzucało wietliste cienie na jego pochylone ramiona.

– Pojechałam tam, bo ci głębiej rozmyślałam o tym, jak wyglądaliby moje życie, gdyby *papa* i *maman* nie zginęli – odezwała się po długiej chwili milczenia. – Nie byłoby żadnych tortur, żadnych gwałtów, żadnych Hochererów i żadnych Michelów. Urodziłabym ci dzieci.

– Nigdy by my się nie pobrali – powiedział cicho.

– Dlaczego tak uważasz?

– Ja te miałem okazję do rozmowy z nią .

– Pokazała ci te dokumenty – stwierdziła z gorzkim wyrzutem.

– Nie mamy przed sobą żadnych tajemnic z Ann.

– Nawet o bohaterskich czynach ojca twojej najmilszej?

– Gestapo potrafiło złamać niejednego.

– Dziwnym trafem nie udało im się to ani z tobą , ani z moimi rodzicami.

– Zawsze mnie oszukiwała , również na temat twoich rodziców – powiedział chłodno, cięgiem brwi.

– Czego mogłeś się spodziewać z Gorgon ?

– Potem. – Zaczepił głębiej powietrza. – Potem będziemy walczyć o te sprawy , dobrze?

– Ale ja już teraz chciałabym znać stan twoich uczuć . – Banda nie wrzynała jej się w twarz, która sprawiała wrażenie krwistej i obrzmiałej. – Chciałabym już teraz wiedzieć , co się dzisiaj o swojej najdroższej pani Blakely Porter.

– To wszystko nie ma nic wspólnego z Ann.

– Winy ojców – przypomniawszy.

– Zabawna sprawa – odezwał się wreszcie. – Larry powiedział Ann, że musiała od dawna motać intrygami , żeby go zniszczyć . W pierwszej chwili wydało mi się to typowe dla Larry’ego, wszyscy wokół są winni, tylko nie on. Teraz chyba będzie musiał zwrócić mu honor. Mówiłaś mi o jego podstępach na Ann, prawda?

– Pamiętasz obietnicę naszych przodków? Kiedy widziałam *papa* po raz ostatni, wspominał o przykładzie szlachetnego Guya. Domagał się , żebym dopełniła zemsty, podobnie jak on. Zemsty, która dosięgnie spadkobierców zdrajcy.

– Gilberte, André nigdy w życiu nie poprosiłby cię o coś takiego.

– Nie dał tego ode mnie.

– Nie wierz w to. Nigdy, nigdy nie skazałby cię na życie zmarnowane dla bezsensownej zemsty.

Twarz Gilberte zbledła jak okalająca ją banda nie.

– Bezsensownej? Wypełnianie zobowiązań jest dla ciebie bez sensu?

– Wiem rozmownie usiłowała zrujnować życie Ann? – W jego oczach pojawił się niebezpieczny błysk.

– Córki człowieka, który zdradził twoją rodzinę i zrujnował moje życie – odpowiedziała zaczepnie, chociaż nie przeszył jej bezsilne, złote cierpieniem ciało.

Przyjrzał się jej uważnie i pokiwał głową .

– Ty rzeczywiście nadajesz się do zakładu dla umysłowo chorych.

– Czy by? – zakpiła.

– miałaś się , kiedy zamykał drzwi. Jej śmiech w ciszy pokoju zabrzmiał ochryple.

Na rekonwalescencję zdecydowała się wrócić do Nowego Jorku.

W domu przy Piętej Alei nie wystawiała nosa ze swoich pokoi; odmawiała przyjmowania gości, którzy zresztą wkrótce przestali się pokazywać . Obrzmienia twarzy goiły się ; kilka

ledwie widocznych blizn zostało usuniętych drogą chirurgii kosmetycznej. Odzyskiwała pełnię władz w złamanej rękę. Nadal jednak odmawiała wychodzenia z domu. Moe Sbicca, który zajmował jej miejsce za biurkiem, wysłał w końcu telegram z zapytaniem, w jaki sposób ma finansować kolekcję zimową. Dotychczas sama finansowała Gilberte de Permont, biorąc pożyczki od Korporacji i – w jakim sensie – przekładając pieniądze z kieszeni do kieszeni. Kiedy odpowiedź na telegram nie nadeszła, Moe wziął swój szary kapelusz do ręki i podreptał do banku Dejongów przy Siódmej Alei, gdzie zadano od firmy identycznych odsetek jak od wszystkich w tej branży.

Gilberte obwarowała się książkami, z których nic nie mogła sobie przypomnieć, i starymi filmami, które skakały jej przed oczami, jakby lampy jej Zenitha miały lada chwila zgasnąć.

Nagle, niespodziewanie, nadeszła jesień.

Pierwszego października Gilberte przystanęła przy oknie swego pokoju. Było wczesne popołudnie, słońce w drowało nad wyniosłymi budynkami rodowego Manhattanu, rzucając wietliste cienie na szkarłat i złoto drzew Central Parku. Niekiś pchały przed sobą wózki, matki przyglądały się zabawom swoich pociech, starzy ludzie, otuleni w palta, gawędzili na ławkach, zamiatacze uli? nie rozstawali się z radijkami tranzystorowymi, słuchając transmisji z Mistrzostw świata. W rzece samochodów od czasu do czasu pojawiała się dorożka cięgnięta statecznie przez konie. Gilberte nie zwracała najmniejszej uwagi na impresjonistyczne uroki widoku, który rozpościerał się u jej stóp.

Pogrążona była w rozmyśleniach, na których zeszło jej całe lato. Jak spełniłoby się danie ojca (ten obowiązek, który nałożył na nią przed laty, rozciągał się teraz na tę małą z dołeczkami w brodzie, wnuczka Horace'a Blakely'ego)? Kiedy ponuro zagłębiała się w mrok, ciemność, obłąkaną stroną swojej przyjaźni z Ann, czuła bolesne pomieszanie uczuć. Miała wrazenie, że została zaprzęgnięta do mechanizmu, który tyranizuje ją, wymuszając posłuszeństwo. Chociaż gardziła sobą, nie była w stanie zerwać paktu ze zmarłym. Dążyła do wcielenia kolejnych planów intryg, ile razy jednak była już bliska celu, w ostatniej chwili pojawiał się obroca w postaci Ojenta. Miał się nieustannie na baczności i pilnował, aby aden z numerów Gilberte nie doszedł do skutku. W zasadzie w ciągu tych wszystkich miesięcy powiodła jej się tylko strategia opóźnienia rozwodu, którą zamierzała ciągnąć przez lata czy dziesięciolecia.

W hallu ryczał denerwujący odkurzacz. Skrzywiła się niechętnie. Kiedy wreszcie ucichł, dobiegła jej uszu rozmowa słuchoch.

– Słuchaj teraz w Nowym Meksyku – mówiła pani Kaliska, kucharka. – Moim zdaniem, to woła o pomstę do nieba, że nie mogła się pobrać. Pani Porter to taka kochana osoba. Pomyślała tylko, jej chłopczyk zmarł na heinemedin, a ona pamiętała o tym, aby podziękować mi za opiekę nad tym słodkim małżonkiem Janey. Przesłała liczący obrazek pustyni, sama go namalowała, jest podpis w rogu. Pokażę ci później, mam go u siebie w pokoju.

– Bóg za nią odmawia różaniec. Czy dziecko tam przyjdzie na świat?

– Kto to może wiedzieć?

– Kiedy ma się urodzić?

– Lada dzie .

– Biedne male stwo, b dzie b kartem. Odkurzacz ponownie zaryczał.

Gilberte – *la p'tite batarde* – przygryzła pi ci, eby zagłuszy skowyt rozpaczy.

Dziecko... Dziecko?

Dawno wiedziałabym o tym, gdybym nie zatrzasn ła si na tyle miesi cy.

Chwiejnym krokiem przeszła przez pokój i osun ła si na szezlong. Ann powiodło si w czym , co jej si nigdy nie uda, co , co dwukrotnie pozorowała przed Quentem. My l o własnej bezpłodno ci spowodowała, e ciałem Gilberte, jak na pogrzebie Michaela, wstrz sn ł rozpaczliwy szloch.

Dopiero pod wieczór jako tako przysła do siebie. Wiadomo o dziecku stawiała j w niemo liwej sytuacji. Nie narodzone dziecko było krewnym jej ojca, jej kuzynem i wnukiem miertelnego wroga Horace'a Blakely'ego.

Drgn ła niespokojnie na wspomnienie słów, które padły z ust Ojuenta w paryskim szpitalu.

– *André nigdy w yciu nie poprosiłby ci o co takiego... Nigdy, nigdy nie skazałby ci na ycie zmarnowane dla bezsensownej zemsty.*

Ale Quent nie był z nimi w podziemiach Santé, Quent nie słyszał ich ostatniej rozmowy.

Przycisn ła r ce do głowy, o ywiaj c w pami ci koszmar sprzed lat. Posiniaczona, krwawi ca, naga pod mundurkiem szkolnym powiedziała:

– *On, czy te ona, powinien wycierpie tyle samo co ty. Mam zamiar dopi tego, kiedy si dowiem, kto to był.*

Ojciec tkwił przywi zany do masywnego krzesła.

– *A jego rodzina powinna wycierpie tyle samo co twoja. Tak jak lubował Guy de Permout ze swoim synem.*

– *Gilberte...*

Czuła pulsowanie u podstawy czaszki, jakby jej mózg kurczył si i powi kszał na przemian. Zgodnie z u wi con legend , to był wła nie moment, w którym jej ojciec wymógł na niej pami tn przysi g . W rzeczywisto ci, powiedział jedynie jej imi . Ich rozmow przerwał kapitan Knecht, który w przyprószonym okrucami ciastek mundurze wszedł i polecił Wissmanowi, eby odprowadził Gilberte z powrotem do celi.

– *Dopóki b d yła, ojczec* – zawołała z progu wysokim, po piesznym głosem – *cierpie b dzie rodzina zdrajcy.*

Otworzyła oczy szeroko z przera eniem i czym pr dzej zamkn ła je z powrotem.

Rozległo si stukanie do drzwi.

– *Madame, przynosz obiad* – zawołała Yvonne.

– Nie jestem głodna.

Trz s cymi r kami rozebrała si nieporadnie i wskoczyła do łó ka. Przez cał noc dr czył j kalejdoskop koszmarów, przerywany g ł bokim, pełnym samooskar e rachunkiem sumienia.

Dlaczego wydało mi si , e *papa* wymógł na mnie t obietnic ? By mo e pod wiadomie chciała by prawdziw de Permout, legaln spadkobierczyni dzielnego Guy.

Mo e chciała zachowa namacaln wi z nie yj cymi rodzicami? Jakie to miało teraz znaczenie? Wszystkie wyja nienia nie były w stanie przy mi niezbitej prawdy, e udr czona gwałtami, nie słuchała uwa nie, co mówi ojciec.

Całe lata upływały jej na ekstatycznym wyszukiwaniu najperfidniejszych sposobów zemsty.

Koszmary sko czyły si o wicie. Wstała z łó ka i pewnym krokiem podeszła do sejfu. Na mosi nym ruszcie kominka uło yła brunatne koperty z raportami. Przytkn ła srebrn zapalniczk , nabrała gł boko powietrza i przyło yła pewn r k płomie do po ółkiego papieru. Dokumenty zacz ły płon , podskakuj c w kominku jak czarne i pomara czowe ptaki. Gilberte poczuła nagle oczyszczenie, jakby jej organizm wydalił z siebie trucizn . Tak długo poruszała pogrzebaczem w kominku, a ogie strawił ostatnie lady papieru.

Zapatrzyła si w popioły. Tyle zostało z jej zemsty na potomkach Horace'a Blakely'ego. Kału a wosku z piecz ci i zazdro o rywalk .

Jednym skinieniem r ki mogła powoła do ycia zast p adwokatów, którzy nie dopu ciliby do rozwodu jeszcze wiele lat po osi gni ciu dojrzało ci przez dziecko. Ale przez te wszystkie lata Quent b dzie mieszkał z Ann, a Gilberte wiedziała z własnego do wiadczenia, e rodzina jest rodzin , nawet je li yje bez legalnych wi zów.

Jako jedna z de Permontów miała na tyle dumy i honoru, eby nie podporz dkowywa przyszło ci wymogom niskiej zazdro ci. Siadła za biurkiem, z twarz blad i ci gni t chłodnym pi knem. Pisała nieprzerwanie przez pół godziny, nast pnie wło yła papier listowy do kremowej koperty. Ubrała si i zesła na dół. Przez dług chwil stała niepewna w progu domu, walcz c z agorafobi ostatnich miesi cy. Po jasnym bł kitnym niebie płyn ły białe wełniaste chmury. Promienie sło ca odbijały si od karoserii samochodów mkn cych Pi t Alej , szyby okienne l niły diamentowym blaskiem, szara, masywna bryła Metropolitan Museum wygl dała jak poznaczona mu ni ciami złotej farby. W parku lekki wietrzyk zabawiał si z gał ziami drzew. Przed oczyma Gilberte kł b rdzawych li ci buku przeleciał nad elaznym, zwie czonym ostrymi szpikulcami ogrodzeniem. Była ładna pogoda, bezpieczna pogoda. Mocno dociskaj c łokcie do boków, zmusiła si do postawienia pierwszych paru kroków. Trasa prowadziła tylko do skrzynki pocztowej i z powrotem.

Juan wyjechał z rana ci arówk do Santa Fé, a zaraz potem panna Keely, młoda, spokojna angielska guwernantka, zabrała Janey i Corian nowym Cadillakiem obejrze prac garnarzy w s siedniej wsi, Tesuque. Ann i Ojuent dopili kaw i ruszyli na spacer (poło nik zalecił trzy kilometry dziennie) poln drog prowadz c w stron masywu Sangre de Cristo.

Ann miała ogromny brzuch – Ojuent musiał i bardzo powoli, eby dotrzyma jej kroku. Obejmował j ramieniem. Jego nowojorscy współpracownicy mieliby trudno ci z rozpoznaniem m czyzny w podniszczonym kowbojskim kapeluszu, starej kraciastej koszuli i lewisach. Ró nica zaznaczała si przede wszystkim w jego twarzy, z której ulotnił si wyraz nieobecno ci. Ojuent wygl dał jak swój młodszy, pogodniejszy brat.

Kiedy wrócili do domu, na stole jadalnym czekała ju na nich poczta. Ann podniosła do oczu kopert z wytłoczonym nazwiskiem nadawcy: „L. Porter”. Larry nigdy nie rwał si do

pióra, wobec czego Maisie dowiadywała się o pasierbic i przysyłała jej cz sto pi knie opakowane podarunki ze sklepu NeimanMarcus.

Quent wzi ł do r ki swoj poczt .

– Przyszedł list od mojej ony – powiedział pokazuj c opasł kremow kopert .

Ann spojrzła z l kiem. Równie dobrze mógłby jej podsun grzechotnika. Co innego czyta w powie ci o zem cie rodowej, a co innego dowiedzie si , e własna przyjaciółka po wi ciła ycie, eby ci dokuczy .

– Czytaj, ja pójd odgrza kaw – zaproponowała po pieśni.

– Kto b dzie trzymał przy mnie krucyfiks, eby odczyni zły urok?

Wybuchn li wymuszonym miechem. Chocia oboje mieli powody do rozgoryczenia, ile razy próbowali artowa z Gilberte, czuli si , jakby brali udział w dziecinnym spisku. Ojuent zaczekał z otwarciem koperty, a Ann wróci z kaw . Przysiedli przytuleni i zacz li czyta jednocze nie.

Najdro szy Quencie!

Kiedy po wypadku wracałam do zdrowia, przesłam przez jeden z samotniczych okresów w moim yciu – wiem, e czytaj c o tym, natychmiast wypomnisz mi w my lach, e kiedy byli my razem, osiem razy na tydzie namawiałam Ci do wyj cia, jak to okre late . Mog Ci si teraz przyzna , e to nie był pierwszy pustelniczy epizod w moim yciu.

Zadałam Ci tak wiele bólu i cierpienia, e nie miem nawet domaga si wybaczenia. Na pewno nie po kłamstwach o mierci moich rodziców, które Ci uporczywie wmawiałam, i o obu rzekomych ci ach. Wierz mi, nigdy nie zamierzałam pełni roli bogini zemsty w Twoim yciu. Na swoj obron mog powiedzie tylko tyle, e zawsze Ci kochałam, gł boko, chocia pewnie niezbyt m drze. Rozpaczliwie chwytalam si wszystkiego, eby Ci zatrzyma .

Quent, nie my l, e si chc usprawiedliwia , ale zdajesz sobie spraw , jak bardzo jestem yciowo okaleczona. Przez moje ycie wojna przetoczyła si z hukiem i jej echa ci gle jeszcze si we mnie odzywaj . Pogarda, to jeszcze zbyt słabe słowo, eby okre li to, co czuj wobec siebie i własnych poczyna .

Do ju tych cikliwych wynurze . Pisz ten list głównie po to, eby Ci powiedzie , e zgadzam si na rozwód. Mo e by z mojej winy albo z Twojej jak Ci b dzie wygodniej. Sam ustal zasady podziału maj tku. (Prawd mówi c, prosz o to dla własnej korzy ci – wiem, e w ten sposób dostan wi cej, ni kiedykolwiek o miałabym si za da przez moich adwokatów). W zamian za współprac , chciałabym prosi Ci tylko o jedn rzecz, która w tej chwili mo e Ci przyj z trudem, ale na pewno nie jest niemo liwa. Prosz , darz mnie takim samym uczuciem jak przed laty, w Ile de France. B d dla mnie kuzynem i przyjacielem.

Nie ufam sobie na tyle, eby ponownie czyta t łzaw epistoł . Przyjmij j jako cri de coeur od Twojej na zawsze Gilberte

Gilberte, Quent i Ann Pary , 1964

W roku tysiąc dziewięćset czterdziestym czwartym, siedem lat po uzyskaniu przez Gilberte Dejong rozwodu z powodu zdrady współmałżonka, w Paryżu otwarto Francuskie Muzeum Kostiumów imienia André de Permont i Vivienne Cagny. Dochody z firmy, które wzrastały z roku na rok, od kiedy Yves Rolanda zastąpiła zdolna, pulchna dziewczyna od Patou, Gilberte przeznaczyła na zakup i renowację osiemnastowiecznej kamienicy, ocienionej starymi drzewami przy placu Furstenburg. W pierwszej chwili miała opory przed wyryciem na marmurowym portalu, literami metrowej wysokości, różnych nazwisk jej rodziców – ródka niekończących się cierpień w dzieciństwie. Czas jednak zatarł stary skandal i w zalewie księki na temat ruchu oporu jej rodzice przedstawiani byli jako ktoś w rodzaju Tristana i Izoldy, parowianych legend kochanków. Wysłannicy Gilberte penetrowali wiejskie dwory w poszukiwaniu dawnych strojów. Kolekcje odzieży dwudziestowiecznej skompletowała uciekając się do próbników pod adresem zarówno sławnych krawców, jak i ich klientek. Wreszcie wszystko było gotowe na uroczyste otwarcie muzeum.

W ródgo ci przewidziany był prezydent de Gaulle, księżniczka Małgorzata i lady Byrd Johnson, a także panteon sław świata mody z obydwu stron Atlantyku. Chanel, Vionnet, Schiaparelli, nieszczyśny Molyneux, który zaczynał tracić wzrok, Balenciaga i młody Saint Laurent, który właśnie objął firmę Diora. Z Anglii przybyli Charles James i Hardy Amies. Stany Zjednoczone reprezentował Mainbocher, twórca sukni i welonu lubnego dla Księżniczki Windsoru – księżka rodzina miała również zaszczyt uroczystego otwarcia. Wielu obecnych przybyło na zaproszenie Pałacu Elizejskiego, uroczyste podlegała więc protokołowi dyplomatycznemu i *placement* go ci nie należało do obowiązków Gilberte.

Jednak nawyki wieloletniej gospodyni nie dają się tak łatwo wykorzenić. Przyjechała na miejsce jeszcze przed rozpoczęciem imprezy. Przeciskając się między krzesłami do ostatniej chwili dostawcami żywności i kwiatami, sprawdzała karty z nazwiskami gości. Jej długa do kolan bordowa sukienka z jedwabiu naszywanego połyskliwymi cekinami sprawiała wrażenie *dernier cri* mody. W rzeczywistości była suknią jej matki, wydobyta z piwnicy domu przy boulevard Suchet przez Jean-Jacquesa de Permont, ropuchowatego kuzyna. De Permontowie – nie był przecież Jean-Jacques – i dumni, choć zubożali Mascaretowie przyjęli wreszcie do rodziny. Ta mocno spódniona akceptacja stanowiła dla Gilberte ródło wielkiej dumy i zadowolenia.

Kiedy sięgnęła po karty podpisane „M. Dejong i Mme Dejong”, na jej twarzy pojawił się nieopisany, choć tajony smutek.

Nadal kochała Quenta. Widywała ich z Ann na tyle często, aby nauczyła się ukrywać bolesną melancholię. Dotychczas ich spotkania przebiegały *en familie*, tym razem jednak mieli się spotkać na oczach najostrożniejszych języków Paryża, miasta słynącego z dowcipu i złośliwości. Nie miało najmniejszego znaczenia, jak się zachowa – spotkanie na jednym ringu

byłej ony z obecnością na pewno będzie obiektem kpiącej obserwacji.

Do diabła z nimi! Wzruszyła połyskującymi ramionami. Ten wieczór jest po waszym ojców. Kuzyn jej ojca z pewnością ci zasługuje na to, żeby znaleźć się pośród zaproszonych.

Mieszkanie przy rue Gabriel było tylko niewielką częścią ogromnego majątku, jaki przypadł w udziale Gilberte po rozwodzie. Quent nie sprawił sobie nowego *piedaterre* w Paryżu; Dejongowie zatrzymali się w George V. Oboje z Ann siedzieli przy telefonie – on w sypialni, ona w salonie, nasłuchując głosem dziecinnego szloch dobiegającego z odległości kilku tysięcy kilometrów.

– Powtórz jeszcze raz, Billy – poprosił Quent. – Nie mogę zrozumieć ani słowa z tego, co mówisz.

Billy, tonąc we łzach, oświadczył, że bliźniaki namawiają się na niego. Jason i Jessamyn, para dziesięcioletnich rudych, urodzonych z nieprawego łona bliźniąt, była – według łagodnego określenia ich matki – parą absolutnych diabłów. Jacykolwiek by jednak byli, z pewnością ci nie namawiali się na Billa/ego, jak utrzymywał stale siedmiolatek, pierwsze lubne dziecko Dejongów, a tym samym spadkobierca Trustu Templara.

W słuchawce odezwały się głosy bliźniąt. Tłumaczyły ze zmieszaniem, że Billy płacze, bo włączył nie przegrany w chińczyka. Wreszcie przyszła kolej na Janey. Z długimi jasnymi lokami przedzielonymi na środku głowy, technicznie niezmiernie subtelnie cieniując płóciennymi prerafaelistów, była typowym wytworem lat sześćdziesiątych. Informacja, że wybiera się na koncert Beatlesów z przyjaciółmi z Foxcroft, wywołała potok niespokojnych sprzeciwów z ust ojca.

Quent odłożył słuchawkę i wrócił do salonu.

– Czasami wydaje mi się, że mamy czterdzieści cioro, a nie tylko czworo dzieci – oświadczył.

Ann uśmiechnęła się, ale w jej oczach czaił się smutek; dla niej zawsze mieli o jedno dziecko za mało.

Miałby dwadzieścia lat – pomyślała. – Pewnie przyjechałby z nami do Paryża na otwarcie muzeum po waszym ojców jego dziadków.

Sznur wielkich czarnych limuzyn sunął przez rue de l'Abbaye i rue Jacob, kierując się powoli w stronę południowego przy placu Furstemburg muzeum. Z jednego z samochodów wysiedli Quent i Ann. W świetle wymyślnych latarni twarz Ann zdradzała niepokój, twarz Quenta wymuszone opanowanie. Choć udało mu się odnaleźć dawne ciepłe, kuzynowskie uczucia wobec Gilberte, przed spotkaniem z nią zawsze miał się na baczności. Ann, która łatwo zapominała przykre fakty z przeszłości, miała bardziej błahsze powody do niepokojów. Czute, że wszyscy obecni będą się zastanawiać, co widział Quent, porzucając Gilberte dla przeciwniej, niewysokiej rozwódki? Co ją w dodatku skusiło, żeby założyć krótki sukienkę własnego projektu? (Cięgle jeszcze lubiła projektować, ale jej prawdziwymi towarzyszkami stały się pejzaże malowane akwarelami; miała już cztery wystawy, których sukces

mylnie przypisywała faktowi, że kręgi towarzyskie Quenta przygarbiły ją do swojego zbiorowego łona – nawet jego stary, rozpustny ojciec musiał przyznać, że jest niezwykle podobna do ukochanej zmarłej Jessamyn i że gdyby jego oko padło na nią wczynie, Quent nie miałby cienia szansy.)

W wysokim foyer panował głośnie gwar. *Arpeggia* orkiestry smyczkowej i wybuchy miechu przebijały się przez wielogłosne rozmowy. Zapach perfum i modnych ostatnio wonnych płynów po goleniu walczył o lepsze z dymem papierosów. Zaproszeni, zanim ruszyli dostojnie po szerokich, zakręconych schodach, oddawali szatniarzom płaszcze i okrycia. Na podłogę w blasku reflektorów patrzyła z portretu Vivienne Cagny – baronowa, jak ją nadal nazywała w myślach Ann. Artyście, mimo że zniekształcił lekko jej brwi, obdarzył nosem bardziej zadartym niż w rzeczywistości i przyciemnił lekko jasne włosy, udało się uchwycić niepowtarzalny, ironiczny urok baronowej, a tak to „co”, co stawiało ViVi de Mascaret Cagny w rzędach *haute noblesse*.

Pod portretem Ann dostrzegła wyprostowaną, wojowniczą sylwetkę Charlesa de Gaulle’a. Widywała go już wczynie parokrotnie. U boku generała stała Gilberte, w sukni swojej matki połyskliwa jak płomień.

Ann zbliżyła się do nich. Nagle gwar przycichł. Wszystkie głowy jak jeden miodwróciły się w ich stronę. Gilberte wyciągnęła zimne jak lód ręce do Ann.

– Nic się nie bój – szepnęła po francusku. – Wiesz, że chrześcijanie nie dają się złomom na poście.

Le tout Paris w osłupieniu przyglądał się, jak Ann wybuchła miechem, a następnie padała w objęcia Gilberte.

Po ośmiu wymienionych daniach i zasłuchanych peanach na cześć Gilberte i francuskiej *couture* do foyer wkroczyły czarująca dziewczyna o nienaganych manierach, demonstrująca historyczne stroje.

Goście wstali od stołu i ruszyli zwiedzać *musee*, popatrując na siebie nawzajem i studiując oszklone eleganckie gabloty z eksponatami. Quent wpadł w sidła przygłuchej apodyktycznej wdowy po jednym z de Permontów, która wykrzykiwała mu do ucha anegdotki o jego ciotecznej babce.

Cekiny na sukni Gilberte migotały połyskliwie, kiedy zbliżyła się do wykuszu okiennego, na którym siedziała Ann, tłumiąc ziewanie.

– Masz wolne chwile? Jesteśmy dwa kroki od rue Daguerre.

– Chcesz tam teraz iść? Przecież jesteś gospodynią imprezy – zdumiała się Ann i na jednym oddechu dodała: – Nie byłam tam od wojny.

– Ja też. Ale sama przyznasz, że wspólna wyprawa na rue Daguerre jest najwłaściwszym ukoronowaniem tej uroczystości?

Gilberte poleciła szoferowi zatrzymać wóz przy rue Delambre. Wieczorowe pantofelki obu kobiet stuknęły teraz po ulicę, którą dawniej chodziły na skróty do *madame Bernard*. Tam jednak, gdzie spodziewały się zastać przejście z rue Delambre z rue Daguerre, wyrósł zakład: „Pompes Funebres, B. Maigne”. Musiały nadto iść drogi przez boulevard

Edgar Quinet.

Przed elazn bram cmentarza Montparnasse stała spleciona w u cisku para.

– Miło nie l ka si upiorów – oznajmiła grobowym głosem Ann.

– Zupełnie, jakbym ci wtedy słyszała.

– Bo e wi ty, Gilberte. Dwadzie cia pi lat...

– Prawie wier wieku, moja miła.

Ann czuła, e co jej si nie zgadza w widoku ulicy, dopiero po paru krokach dotarło do niej, e zaskakuj j wiatła w oknach i gdzieniegdzie trupi, migotliwy blask telewizorów. W jej wspomnieniach ulica zawsze była posłusznie zaciemniona.

Kiedy dochodziły pod numer siedemdziesi t cztery, zwolniła kroku. Nagle, jak ywe, stan ło jej w pami ci po egnanie z rodzicami... Wiotki, pergaminowy policzek Dorothy podany do ostatniego pocałunku, starczy zapach zapłakanej twarzy Horace'a, ich chórálne błagania, eby porzuciła szalony zamiar wydostania si z Pary a i bezpiecznie siedziała na miejscu. Zadr ała. Mocniej zasun ła poły jedwabnego, wieczorowego płaszcza.

Gilberte stan ła przed bram . Pod haftowanym paciorkami pantofelkiem wyczuła rys w granitowym schodku.

– Dot d nie załatali tej szczeliny – wykrzykn ła. Ann zatrzymała si przy niej.

– Gilberte... Tato na pewno nie miał zamiaru skrzywdzi twoich rodziców...

Gilberte zeszywniała.

– Co za upiorne miejsce. – Jej głos rozbrzmiewał zgrzytliwie w posrebrzanej ksi ycem ciszy. Chocia pogodziły si z Ann, nie była w stanie wybaczy tchórzliwej gadzinie, Horace'owi Blakely'emu, cierpienia, które ci gn ł na jej rodziców. – Nie wiem, co mnie w ogóle naszło, eby ci tutaj wyci ga .

Szybkim krokiem ruszyła do samochodu. Ann pod ała za ni . W milczeniu jechały pustymi ulicami z powrotem na place Furstenburg.

Samochody rozje d ały si na wszystkie strony. Quent stał ju na schodach przed muzeum. Gilberte została w samochodzie. Ann wysiadła i u ciskała m a. Kiedy przyłgn ła do niego, nagle uniosła si zasłona przeszło ci. Znów poczuła ciepło rozgrzanych kłód elektrycznego kominka, egzotyczny zapach ameryka skiego tytoniu, usłyszała ciche pstryknie cie zapalniczki, któr Quent, wysoki i dra ni co pewny siebie, zapalał papierosa Gilberte. Przypomniała sobie uniesienie w skiej czarnej brwi, z jakim Gilberte zaci gała si dymem. W jej uszach ponownie rozległ si młodzie czy miech Larry'ego. Na twarzy poczuła rumieniec, kiedy wygładzała przemoczone fałdy szkolnej spódniczki. Byli my tacy młodzi, e a si płaka chce – pomy lała. Poczuła dojmuj c t sknot , eby zatrzyma czas w tamtej chwili i uło y ich los od nowa.

– Złe wspomnienia na starych mieciach? – spytał Quent. Kiedy mówił, jego pier drgała, wibracje przechodziły na ciało Ann.

– Za du o duchów.

Nagle znów znalazła si w tera niejszo ci. Wzi ła m a pod r k . Przytuleni, patrzyli w lad za oddalaj cym si samochodem Gilberte.

